

**Rani Manicka**

**Dotknięcie Ziemi**

Z angielskiego przełożyła Joanna Puchalska

Świat Książki

Skan i korekta Roman Walisiak

Tytuł oryginału TOUCHING EARTH

Redaktor prowadzący Elżbieta Kobusińska

Redakcja merytoryczna Anna Ryder

Redakcja techniczna Julita Czachorowska

Korekta

Jolanta Spodar

Marianna Filipkowska

Copyright © 2004 by Rani Manicka

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Bertelsmann Media sp. z o.o., Warszawa 2006

Świat Książki

Warszawa 2006

Bertelsmann Media sp. z o.o.

ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie Piotr Trzebiecki

Druk i oprawa GGP Media GmbH, Póssneck

ISBN 978-83-7391-763-7

ISBN 83-7391-763-2

Nr 5056

Opis z okładki.

Olśniewającym językiem swej prozy Manicka doskonale podkreśla mroczny klimat tej dramatycznej opowieści.

„Time Magazine”.

\*

Drogi Czytelniku! (...) Tu wkroczysz w świat wyjątkowo brutalny i trudny. (...) Razem odnajdziemy Piękno, które zbłądziło, gdyż dało się zwieść pokusie. Leży teraz nagie i opuszczone, ale przetrwa, ponieważ Twoje miłosierne spojrzenie wskrzesi je

z popiołów upodlenia.

\*

Nutan i Zeenat - piękne, niewinne balijskie bliźniaczki, Elizabeth - ekskluzywna prostytutka, Anis - artysta, przerażony odkryciem sekretów ojca i własnych uczuć. Ci pozornie różni ludzie stają się sobie w dziwny sposób bliscy. Wszyscy są okaleczeni i zagubieni, wszystkich prześladowają bolesne wspomnienia. Wszyscy dążą do samozagłady w „świątyni pająka” - mrocznym miejscu w Londynie, którym włada Sycylijczyk Ricky, gdzie alkohol, seks i narkotyki przynoszą upragnione zapomnienie...

\*

Rani Manicka - urodziła się w Malezji w wielodzietnej rodzinie. Po studiach zamieszkała w Londynie. Jest autorką nagrodzonej powieści Matka Ryżu, która szybko zyskała uznanie czytelników i stała się światowym bestsellerem.

\* \* \*

Dedykuję Girolamowi Avarello, który opowiedział mi o człowieku imieniem Ricky, oraz Sue Fletcher, która tchnęła życie w tę książkę.

Od Autorki.

Drogi Czytelniku,

jeśli czytałeś „Matkę Ryżu” i oczekujesz podobnej opowieści, muszę Ci uczciwie doradzić, byś odłożył tę książkę, ponieważ tu wkroczysz w świat wyjątkowo brutalny i trudny. Jeśli jednak nie lękasz się spojrzeć mi w oczy, zapal swą lampę i ruszajmy w drogę. Razem odnajdziemy Piękno, które zbłądziło, gdyż dało się zwieść pokusie. Leży teraz nagie i opuszczone, ale przetrwa, ponieważ Twoje miłosierne spojrzenie wskrzesi je z popiołów upodlenia.

Rani Manicka.

\* \* \*

Kobieta wyciągnęła szyję i zawyła jak wilk. Wydierała sobie włosy z głowy i potem ich kępki sterczały z jej zaciśniętych pięści, gdy bębniła nimi w nieczułą ziemię. O rozpaczy, chłopiec nie żył. Nagle poderwała się, tocząc dokoła nieprzytomnym wzrokiem.

- Nie ruszać go, dopóki nie wrócę! - krzyknęła, po czym pobiegła aż do drzewa bodhi i padła do stóp Buddy. - O Oświecony! - zawołała. - Mój syn nie żyje. Jeśliś prawdziwie jest naszym panem, przywróć mu życie!

Budda podniósł powieki. Chciał jej przypomnieć, że narodziny i śmierć wpisane są w byt nieprzebudzonych, ale zapewne dojrzał w jej oczach błysk szaleństwa, bo rzekł:

- Idź i przynieś mi garść ziarna z domostwa, w którego progi dotąd nie zawitała śmierć, a ja oddam ci twego syna.

Wdzięczna i rozradowana kobieta wielokrotnie uderzyła przed nim czołem, po czym, wycofawszy się sprzed jego oblicza, rozpoczęła poszukiwania. Szukała, i szukała, i szukała, i...

Osoby biorące udział:

Przypatruj się im pilnie.

Nie można im ufać, a wśród nich mogą nawet być duchy.

\* \* \*

Bliźniaczki.

Nutan.

Nad wzgórzami wstawał świt, kiedy otwierałam maleńkie drzwi drewnianej kapliczki przodków. W środku położyłam na liściach kokosa owoce, kwiaty i ciastka. Drzewa, krzaki, cała roślinność była cicha i spokojna. Zapaliłam kadzidełka, zamknęłam oczy i wdychając głęboko chłodne, wonne powietrze, uniosłam złożone dłonie - cały świat odpłynął. Zapewne trwałabym tak nawet godzinę, gdyby nagle zza muru ogrodu nie dobiegł głośny dziecięcy śmiech. Na ułamek sekundy z falą tego dźwięku przypląnęła ona. Raptownie otworzyłam oczy.

To nie ona. Oczywiście, że nie.

Stałam nieruchomo, patrząc na swoje złożone dłonie i pobielełe kostki palców. To nie mogła być ona... ale mimo to chwilę później pobiegłam po stwardniałej ziemi w stronę muru i wspięłam się na wierzch, przy czym moje stopy z łatwością odnajdywały znajome szczeliny w nierównych kamieniach. Dojrzałam je z góry. Dwie dziewczynki, w wieku najwyżej czterech lub pięciu lat, ubrane w stroje tancerek, w wielkich złotych diademach, na których w rytm ich ruchów połyskiwało i tańczyło światło wczesnego poranka. Szły do wioski. Przy naszej bramie ich bose stopy rozgniotły porzucone przez wiewiórki w nocy skórki owoców. Dziewczynki zniknęły za rogiem.

Usiadłam na murze. Nie myśląc o niczym, głąskałam pieśczośliwie aksamitny mech pokrywający kamienie miękkim dywanem i przyglądałam się maleńkim stworzonkom uwijającym się w szparze. Nagle wróciła przeszłość. Niewinna i wciąż jeszcze niepokonana przez dzień, w którym osunęłam się na brudną podłogę w obskurnym londyńskim mieszkaniu i, otoczona przez obojętne, obce twarze, umarłam.

15

Wpatrywałam się w tę przeszłość jak zaczarowana. Jakby nie wiązały się z nią żadne straty. Jacy wspaniali byliśmy wtedy wszyscy! Zachodziło słońce w barwach płynnego złota, a my obie z siostrą tańczyłyśmy przy dźwiękach sape, strunowego instrumentu, na którym grała mama. Gdy nasza matka, Ibu, siedząc, podwijała zdeformowaną nogę pod siebie, a drugą trzymała wyprostowaną, jej smukłe ciało nabierało wdzięku i gracji, jakie nie dane jej były w ciągu dnia, gdy stała lub chodziła.

I zobaczyłam też ojca, z długimi włosami, jeszcze czarnymi, spiętymi jak u kaptana w kok, przycupniętego przy rzędzie klatek w kształcie dzwonów. Z lubością podsuwał ziarna kukurydzy swym pupilom, bojowym kogutom. Był lalkarzem i genialnym brzuchomówcą. Zdobył wielką sławę. Jego przedstawienia cieszyły się tak ogromną popularnością, że często wyjeżdżał z domu na dłużej i wędrując od wioski do wioski, występował ze swoimi dwustoma skórzanymi lalkami. Strasznie byłam wtedy z niego dumna. A jednak w lśniącej bańce wspomnień to Nenek, naszą babcie, widziałam najwyraźniej. Siedziała na schodach swojej części domu i spoglądała przepastnymi oczami, lekko zamglonymi, ale stale czujnymi, przez chmurę mlecznoszarego dymu unoszącego się z jej goździkowego papierosa.

Ach, ta przeszłość! Czarowna bajka, lecz zaprawiona trucizną.

Na dłoń upadły mi moje własne łzy. Dotknęłam ich. Krople ze studni smutku. Gdybym tylko mogła sięgnąć w przeszłość! Pochwyć ją. Niepotrzebnie ją zniszczyłam. O nierozważna, po trzykroć nierozważna! Jakże wielka była moja lekkomyślność! Teraz widzę, co pozostało z wczorajszego dnia.

Słońce wspięło się już nad wzgórze. Szarozielona, cętkowana żaba dała nura w kępę drzew bananowych, a ja, nie mogąc znaleźć w duszy spokoju, zeskoczyłam z muru. Zgoda, opowiem ci wszystko, ale nie tutaj. Nie w ogrodzie pełnym barwnych kwiatów i drzew spuszcujących w dół kiście dojrzałych owoców. Tutaj groziłoby mi oskarżenie o zbyt ni sentymentalizm. Odpowiedniejszym tłem dla mojej opowieści będzie świątynia umarłych. Tam otrzymam przebaczenie. Chodźmy tam. To niedaleko, a jest to cudowne miejsce, w którym czas nie istnieje. Prowadzi do niego misternie rzeźbiona brama, strzeżona dzień i noc przez olbrzymie kamienne posągi.

16

Ale zaraz, zaraz, jeśli opowiem ci wszystko i niczego nie pominię, a ciebie pewnego dnia los rzuci na moją rajską wyspę, czy obiecasz mi, że gdy mnie zobaczysz, spowitą w sarong i chmurną, nie zawołasz mnie głośno po imieniu? Rozpoznające mnie spojrzenie byłoby dla mnie bolesne. Jak ekskrement na kwiecie, zwróci powszechną uwagę i przyniesie wstyd, o Boże, jaki straszny wstyd. Ależby ludzie gadali!

Widzisz, w raju tak jest, że imię raz zbrukane stale drży z lęku i nic już nie da się z tym zrobić. Bardzo trudno jest bronić raz zaszarganej reputacji. Mnie już wprowadzie na niczym nie zależy, ale muszę myśleć o moich bliskich i chronić ich.

Chodź, kiedy miniemy plac targowy w środku wsi, sama zobaczysz i zrozumiesz.

No i jesteśmy na miejscu. Spójrz tylko. Czy nie mówiłam, że wrota świątyni są jak z bajki? Zdejmij buty. Nawet tak wcześnie rano kamienna posadzka będzie już nagrzana. Pies nigdy nie postawi tutaj łapy, ale koty łażą jak po swoim. Kiedy byłyśmy małe, często przychodziłyśmy tutaj, wabione tą niesamowitą ciszą. Śmiertelne między bogami. Pełne lęku, szłyśmy na paluszkach tamtym korytarzem, gdzie stoją wielkie posągi groteskowych, typiących chytrze demonów z wywalonymi językami, sięgającymi aż do pępków. Teraz, jako osoba dorosła, widzę w nich istoty łagodne, uśmiechnięte i szczerze. Śmiertelność to tylko taka gra.

Tutaj. Siądźmy na plamie słonecznego światła, a kiedy odarcie z iluzji stanie się zbyt bolesne, oczy będą mogły spocząć na płomienistej koronie kwitnącego drzewa, o, tamtego. Gdy w trakcie opowieści weźmiesz mnie za rękę i przysuniesz się bliżej, nie zapominaj o obietnicy.

Urodziłam się dwadzieścia cztery lata temu w tej małej, zagubionej na odludziu wiosce. Balińczycy wierzą, że każde dziecko jest darem niebios, a moja siostra i ja traktowane byłyśmy jak szczególnie cenny skarb. Identyczne bliźniaczki. Tak bezgranicznie nas uwielbiano, że przez pierwszych kilka miesięcy pozostawałyśmy w nieustannym fizycznym kontakcie albo z Nenek, albo z Ibu, a zatem nasze ciała ani razu nie dotknęły nieczystej ziemi. Później zaś nie szczędzono starań, by odkrywany przez nas świat był pełen cudów.

17

Obie z siostrą reagowałyśmy żywo na pocałunki składane w naszych włosach i na smak krowiego mleka gotowanego z kawałkami cukru. Piłyśmy lemoniadę z deszczowej wody i limon, które Nenek wpierw lekko ugniatała stopami, przez co miękły i wydzielały intensywniejszy aromat. A ponieważ wierzymy tutaj, że związek pomiędzy dzieckiem a jego własnym ciałem i w ogóle światem materialnym jest delikatny i łatwo go przerwać, nigdy nie zdarzyło się, byśmy zostały uderzone czy chociażby tylko zbesztane.

Dlaczego zatem, żyjąc w tak rozkoszonym świecie, uciekałam od jego snów i marzeń i szukałam rzeczywistości istniejącej w brutalnym śmiechu nocnych zwierząt i dźwięku wydawanym przez wystające z wody korzenie? Ten żalony szept, uparcie rozlegający się w całym domu: „To wszystko jest kłamstwo... To kłamstwo...”. Dlaczego czasami odnosiłam wrażenie, że obie z siostrą jesteśmy tylko gośćmi u ludzi wprawdzie nam życzliwych, ale obcych? Że Nenek, Ibu i ojciec posiadają wspólny sekret i że zmówili się, aby go przed nami ukryć. Szkoda, że nie wiedzieli, iż w raj u nie ma miejsca dla kłamstwa i że zniszczy ono wszystko tylko przez to, iż tak bardzo chce się uwolnić.

Powiedzmy, że moją opowieść rozpocznę od ojca, mistrza lalek i twórcy cieni, posiadającego niezrównany talent i palce ruchliwe jak węże. Siadał na macie przed lampką napełnioną olejem kokosowym i drewnianym młoteczkim, trzymany między palcami prawej stopy, wybijał rytm: puk, puk. Był to sygnał dla muzykantów. Delikatny dźwięk wypełniał powietrze, a on sięgał do pudełka w kształcie trumny po płaską, martwą lalkę. Ażurowa sylwetka na ekranie drżała, a potem zniekształcała się, kiedy przesunął ją za migotliwym płomieniem. Nagle zastygała bez ruchu na środku ekranu.

Gdy już wyrecytował swoje magiczne mantry i przystąpił do poruszania ruchomymi kończynami marionetek, cudowne zaklęcie poczynęło działać i małe lalki ożywały. Ich fantastyczne przygody nigdy nie kończyły się przed świtem. Jakże dumne byłyśmy, siedząc wśród publiczności, gdy brzuchy bolały nas od śmiechu albo gdy nie dawały się powstrzymać łzy spływające w dół po naszych policzkach. Po przedstawieniu podchodziliśmy do niego i klękaliśmy. Aby nas pobłogosławić i zapewnić

18

ochronę czarów, spryskiwał nas świętą wodą i przyciskał wilgotne ryżowe ziarna do naszych czoł, skroni i szyji.

Ach, ojczu, ojczu... jak mogłeś?

Mistrz marionetek przyczepiał niewidzialne sznurki do naszych nieświadomych ciał i pociągając nimi to w tę, to w tamtą stronę, niepostrzeżenie wkładał swój głos w nasze usta. On pierwszy wpuścił smutek do naszego domu.

W moim odczuciu ojciec był bardzo przystojny. Miał długie, gęste rzęsy i wyraźny garbek u nasady nosa, a przy tym był zagadkowy, jakby spowity w niewidzialną zasłonę, i zawsze zachowywał dystans. Jego usta, z cienkim wąsikiem nad górną wargą, rozciągały się w uprzejmym, pełnym godności uśmiechu. Poruszał się w sposób starannie wyważony i przemyślany. Ubierał się na czarno, a wyjątek stanowiła wielka czarno żółta orchidea, którą czasami zatykał za uchem. Owszem, był łagodny w obejściu, ale co naprawdę kryło się pod maską łagodności?

- Obie was bardzo kocha - mówiła Ibu do siostry i do mnie.

Tymczasem ja znałam sekret, którego ona nie знаła. Ojciec kochał tylko moją siostrę. Być może dlatego, iż wyczuł, że siostra bardziej potrzebuje jego opieki. Albo, co bardziej prawdopodobne, dlatego że moje wiecznie zaciśnięte usta za bardzo przypominały mu Nenek. Ja byłam dla niego zbyt dzika i zbyt śmiała. Wyczuwałam w nim źle skrywane odrzucenie, widoczne w jego mocno podciągniętych kolanach, w surowym napięciu szczupłej szyi, w cienkich ustach, gdy lekko drgały w uśmiechu skierowanym w moją stronę, i w pięknych, wyraźnie uciekających ode mnie oczach. Ale nie to było największym sekretem. Najważniejsze było to, że nie zależało mi na nim. Jediną osobą, której miłości pragnęłam w życiu, była Ibu. Jediną rzeczą na świecie, wzbudzającą we mnie prawdziwe pożądanie, było to, aby jej oczy zniżyły się i spoczęły na mnie, jasne i kochające. Przepetnione takim samym pieścizotliwym światłem, z jakim spoglądały na ojca. Byłam święcie przekonana, że Ibu jest najbardziej niezwykłą, najpiękniejszą i najmądrzejszą istotą na ziemi. Chciałam być taka jak ona. W mej pamięci zachowały się strzępy rozmów świadczące o jej wyjątkowej błyskotliwości.

Tak naprawdę moja pamięć kłamie. W rzeczywistości Ibu była nieśmiałym, delikatnym, kalekim stworzeniem. Według żadnych kryteriów

19

nie sposób byłoby uznać jej za piękność, ale dwie rzeczy miała rzeczywiście niezwykłe. Jedną z nich to wspaniała, pachnąca wonnościami szata gęstych, długich do kolan, kruczoczarnych włosów, które zwijała na karku w kok. Drugą była niespotykana jasna cera. Ta alabastrowa bledość brała się stąd, że nigdy nie wystawiła stopy za próg domu, bojąc się o swoje serce, które tak łatwo się męczyło.

Dziecko urodzone z wadą serca potrafiło przez sześć godzin leżeć na kolanach Nenek, pijąc jedną butelkę mleka. Lekarze, kiwając smutno głowami, zapowiedzieli, że nie dożyje dorosłego wieku. Nenek przygarnęła wtedy moją matkę do piersi, splunęła na sterylną podłogę szpitala i przeklęła ich: „Niech to, co wyrzekły wasze okrutne usta, spadnie na wasze dzieci”.

Wróciła do domu z niezłomnym postanowieniem. Czyż nie pochodziła ze starego i znakomitego rodu uzdrowicieli?

Jej córka będzie żyła. Ona sama nie cofnie się przed niczym, żadna ofiara nie będzie zbyt wielka, by ocalić to wątłe życie, które powołała na ten świat.

Doskonale pamiętam niezliczone noce w okresie naszego dorastania, kiedy to wyjący w dolinie ciemny wiatr kręcił się w kółko i pędził w wyższe partie gór niczym wściekły wilk, pragnący porwać swój łup. Cały czas niecierpliwie wyczekiwał, aż całkiem zamrze urywany oddech mojej matki. Chciałam pogłaskać Ibu, pocieszyć ją, ale nie miałam odwagi. Bezwładnie spoczywała na cienkim materacu na podłodze, zbyt wåtła i delikatna, żeby jej pomóc.

Tak właśnie zapamiętałam Strach. Mały, słabo oświetlony pokój, powietrze gęste od palących się ziół i nasion. Na środku pokoju młoda kobieta rozpaczliwie walcząca o każdy oddech. Dziki, nieswój wzrok siostry, kiedy bezszelestnie mijaliśmy się, bez końca znosząc do pokoju Ibu metalowe naczynia z rozżarzonymi do czerwoności węglami. I oczywiście krew pulsująca dziko w moich nadgarstkach.

Zapamiętałam też Nadzieję. To była inna postać, skulona przy leżącym twarzą do ziemi ciele Ibu. Ach, ta była potężna, a jej dłonie emanowały wielką mocą, która przenikała wszystko i unosiła się wirem

nad jej głową. Szkoda, że nie widziałaś Nenek w tym momencie. Wolno, rytmicznie wcierała sporządzone

20

przez siebie maści w pierś córki i cały czas przy tym śpiewała duchom w rodzinnym dialekcie górskich plemion, błagając, schlebiając, a nawet grożąc. Obiecywała im dary. Bardzo szybko przejęłam od niej te dziwne, na wpół rozkazujące, na wpół żalosne pieśni. Za każdym wybuchem rozdzierającej mokre niebo błyskawicy ja też błagałam wciąż od nowa.

Nie wzywajcie jej w nocy, nie w nocy.

O potężne duchy, witam was w moim domu.

Jeśli was obraziłam, przebaczenie, bądźcie wspaniałomyślni.

Przyjmijcie moje ofiary. O potężne.

Nie zabierajcie tego, co nie jest wasze.

Nie okazujcie swego gniewu.

Och, zostawcie mi dziecko.

Pozwólcie, by żyło jeszcze jeden dzień.

Nie wzywajcie jej w nocy,

NIE TEJ NOCY.

Mimo gorączkowych zabiegów Nenek małe, pokryte henną ręce Ibu leżały nieruchomo, a w cichych, cierpliwych oczach nie było nadziei. Wyglądała wtedy jak piękne, delikatne, lecz dla nas stracone dziecko. Od czasu do czasu dziecko to podnosiło głowę i składało pocałunek na szerokich stopach matki, leżących na ziemi jak dwa wachlarze. Ibu delikatnie kładła na nich policzek, jak na poduszce. Była już bardzo zmęczona. Cichutko, niemal bezgłośnie pocieszała matkę: „To tylko stare ubranie, mamo, które zrzucam. Pozwól już odejść mojej duszy”.

Te rozsądnie brzmiące słowa pobudziły Nenek do zanoszenia jeszcze gorętszych błagań, tak że w końcu duchy stały się jej posłuszne. Obie z siostrą siedziałyśmy na naszym posterunku w cieniu drzwi, wyłączone z tego wszystkiego, co się działo, ale do głębi poruszone intensywnością miłości obecnej w maleńkim pokoiku i w pełni świadome, że noc cały czas gwałtownie dopomina się o naszą własność. A jeśli zabierze nam Ibu? A jeśli przez chwilę słabości czy nieuwagi przegramy tę bitwę? Wiatr niestrudzenie wył na dworze.

Gdy koguty ojca obwieściły świt, siostra od dawna leżała skulona pod ścianą, śpiąc z wyczerpania, a mój głos ochrypnął i niemal zanikł

21

od zażartego targowania się. Dopiero wtedy ogarnęła mnie ulga. Dopiero wtedy Nenek odwróciła się i przez gęsty dym dzikim, triumfalnym wzrokiem spojrzała na mnie, swoją współniczkę.



Na przekór ciemnościom znów udało się oszukać śmierć, pozbawić ją łupu. Po raz kolejny. Nie była aż tak potężna wobec połączonych sił Nenek i moich. Zdobyliśmy dla Ibu jeszcze jeden dzień, który mogła, kulejąc, przetrwać. Nenek wstała, zabierając ze sobą spluwaczkę Ibu - połowę skorupy kokosa; w środku była mieszanina popiołu i żółtozielonej flegmy. Pijana radością, wstałam, podeszłam bliżej i zajęłam to miejsce zwycięzcy, które Nenek właśnie zwolniła. Lekko dotknęłam bladej dłoni Ibu, która odpowiedziała mi słabym uściskiem. Zamknęła oczy i otworzyła usta, być może chciała mi podziękować, ale ja uprzedziłam ją.

- Ciii - szepnęłam. - Ciii. - Cała tkliwość wszechświata wykwitła na moich drżących ustach. Teraz pamiętam, jakby to było wczoraj. To niezwykle ciepło miejsca zwolnionego przez Nenek. Obok Ibu. A Ibu, biedactwo, uśmiechając się smutno, dzielnie i cierpliwie przetrwała jeszcze jeden świt.

Straszliwie nieśmiała i samotna Ibu na ogół spędzała większą część dnia w milczeniu, pogrążona w myślach, podczas gdy jej zwinne, mądre palce, pofarbowane na czerwono sokiem roślinnym, bez wysiłku skręcały liść palmy, tworząc z niego dzieło sztuki godne Boga, albo też wyczarowywały piękne parasolki z delikatnego świńskiego żołądka. Były to dary, które potem zanosiliśmy do kapliczek. W jej dłoniach nawet zwykły, blade żółty pióropusz niedojrzałego kokosowego liścia stawał się niezwykłym naczyniem, spojonym własną centralną łodygą.

Kiedyś na Galungan, wielkie hinduistyczne święto Stworzenia Świata, Ibu zrobiła najpiękniejszą ofiarę, jaką zdarzyło mi się widzieć w życiu. Była to dwumetrowa wieża tak zręcznie wykonana, że żaden drewniany szpikulec ani podtrzymująca konstrukcję łodyga bananowca nie prześwitywały przez pęk upieczonych w całości kurczaków, słodczy, owoców, warzyw, ciastek i kwiatów. Nenek poniosła na głowie ten istic królewski dar do świątyni. Przy wejściu do świątyni wewnętrznej pochyliła się nisko, by mężczyźni oczekujący po drugiej stronie mogli przejąć sięgającą nieba wieżę.

22

Kobiety długo obchodziły w koło niezwykle dzieło mojej matki. Podziwiały owoce palmy sagowej, zielone satynowe kulki wyszywane czerwonym jedwabiem i fioletowe kwiaty z dżungli. W ich oczach kolejno pojawiały się zaskoczenie, zawiść i aż nazbyt wyraźny, graniczący z wściekłością, podziw dla zręczności matki. Długo stały, studiując technikę, za sprawą której grona lśniących różowych jagód łączyły się z purpurową korą, a cynobrowe papryczki chilli z karmazynowymi listkami i żółtymi płatkami kwiatu mangostanu. Doskonale wiedziały, że nigdy nie osiągną kunsztu Ibu. Nikt nie potrafiłby tego dokonać.

Kiedy biegiem wróciliśmy do domu, żeby jej o wszystkim opowiedzieć, ona, śmiejąc się cicho, pozwoliła nam przystroić sobie włosy.

Nigdy nie zapomnę tej pierwszej odurzającej smugi zapachu olejku kokosowego i poczucia, że oto moje dłonie uwalniają i rozwijają czysty jedwab. Wspólnie nadałyśmy im wielki, gładki kształt zwany susuk konde. Upinałyśmy fryzurę ozdobnymi grzebieniami i delikatnymi złotymi szpilkami, a Ibu w tym czasie żuła daktyle zawinięte w liście betelu. Potem zgrubiałymi palcami dotknęła naszych oczu, nosów i ust, mówiąc:

- To dobrze, że obie macie twarz waszego ojca. Oczy lśniące jak poranne gwiazdy. Jesteście najpiękniejszymi dziećmi, jakie widziały moje oczy.

I wsunęła w nasze włosy kwiaty bugenwilli. Chciała, żebyśmy zostały słynnymi balijskimi tancerkami. Delikatnie ujęła nas pod brody i przyciągnęła do siebie, tak że czułyśmy zapach daktyli i betelu w jej oddechu, a ja przysunęłam się jeszcze bliżej, ciągle tęskniąc za mocniejszym uściskiem, za tym, by zgrubienia na jej dłoniach zagłębiły się w moją skórę, bo kiedy tylko lekko dotykała palcami naszych twarzy, miałam wrażenie, jakby nas odpychała. Jakbyśmy nie należały do niej.

Ze względu na jej delikatne zdrowie nie pozwalano nam z nią spać i te leniwe popołudnia, kiedy leżałyśmy cichutko u jej boku, były dla nas niewypowiedzianie cenne. Drżąc z przejęcia, że poświęca nam uwagę, stale błagałyśmy ją o nowe opowieści, chcieliśmy dowiedzieć się czegoś więcej o jej dzieciństwie spędzonym w górach z Nenek. Ale pamięć Ibu była kiepska, a język leniwy. Opowiadała nam jedynie o tym, jak bardzo była głodna

23

następnego dnia po skąpym wieczornym posiłku, na który jedli pieczony ryż, i jak siedziała w drzwiach ubogiej chaty, czekając, aż Nenek wejdzie na wzgórze. W końcu Nenek przychodziła, kołysząc szyją na boki jak klasyczna hinduska tancerka i starając się utrzymać równowagę pod niesionym na głowie olbrzymim dzbanem z wodą.

W prawej ręce Nenek też niosła wodę, w niebieskim wiaderku, a lewą trzymała za rączkę mego nieżyjącego od dawna wuja. Szczupłego chłopca, który złamał serce Nenek, umierając w dzieciństwie.

Raz Ibu opowiedziała nam o jego śmierci.

- Wzdłuż ścian korytarza w szpitalu biegały brązowe szczury. Przyszedł człowiek w białym fartuchu i powiedział Nenek, że jej syn nie żyje. Przez chwilę stała całkowicie nieruchomo. Potem, osunąwszy się na ziemię, usiadła ciężko, z głową przechyloną na bok, a z ust pociekła jej ślina i tak dyszała jak wielkie, powalone zwierzę: w potwornej męce, ale nie mogąc umrzeć. Czasami myślę sobie, że powinna była wtedy umrzeć.

Nie pytałyśmy, dlaczego. Zahipnotyzowane głosem Ibu, z roztargnieniem głąskaliśmy dziwaczny, pozbawiony palców kikut, który zazwyczaj podciągała pod siebie i chowała pod sarongiem. Był gładki, jasnorożowy i całkowicie bezużyteczny. Jedynie z pomocą laski Ibu mogła się poruszać, a i to utykając. Nigdy, przenigdy nie doszła nawet do skraju ryżowego pola, ale w nas jej defekt nie budził obrzydzenia. Nie znałyśmy jeszcze uczucia wstydu i przyjmowałyśmy wszystko w sposób naturalny: wręcz jeszcze bardziej kochałyśmy ją za tę niedoskonałość.

Kiedy tylko Ibu czuła się dobrze, przez cały dzień siedziała przy prymitywnych krosnach. Mimo iż żyliśmy w rajku, byliśmy bardzo biedni i wszyscyśmy brali czynny udział w zdobywaniu ryżu naszego powszedniego; ojciec używał głosu lalkom, Nenek leczyła chorych, ja robiłam ciastka, które obie z siostrą sprzedawałyśmy po szkole, a spod palców Ibu wychodziły długie zwoje songket - haftowanych złotą lub srebrną nicią jedwabi, farbowanych na głębokie, nasycone tony indygo, ochry, turkus, seledynu, czerni bądź cynamonu. Były to wzory tak misterne i skomplikowane, że wykonanie każdej sztuki zajmowało kilka miesięcy. Tkaniny te ozdobiły potem zadbane ciała bogatych kobiet.

24

Jeszcze teraz głębokim smutkiem napęła mnie to, że żadna z tych szlachetnych materii nie narodziła się po to, by otulić ciało mojej matki. Ibu nie nałożyłaby niczego innego niż zwykły batikowy sarong.

- Szkoda by je było nosić po domu - mawiała.

Na nasze dziesiąte urodziny zaczęła wyszywać dwa kawałki czekoladowego jedwabiu. Były to hafty tak niezwykle, że praca nad nimi trwała dwa lata i dopiero wtedy Ibu była w pełni zadowolona. Widniały na nich fantastyczne lasy pełne ptaków, zwierząt, kwiatów, wśród których tańczyły dziewczęta. I nie skłamię, jeśli powiem, że były to najpiękniejsze dzieła, jakie wyszły spod jej palców. Dawne to wszystko czasy, ale wciąż jeszcze, gdy zamykam oczy, słyszę podzwaniające lekko dzwoneczki krosien, wprawiane w ruch jej zręcznymi palcami, poruszającymi się szybko i bez ustanku. Ten dźwięk niezmiennie kojarzy się z Ibu, z jej pracą, z jej przymiotami i z jej pięknem.

Nenek starannie składała cudne tkaniny i zanosila je do drogich, klimatyzowanych butików w Seminyak. Jak mam ci opisać Nenek? Należałoby zacząć od tego, że wcale nie wyglądała na czyjąkolwiek babkę. Pamiętam, że cudzoziemcom wielokrotnie zdarzało się brać ją za naszą starszą siostrę. Według standardów balijskich uważana była za wielką piękność i gdziekolwiek poszłyśmy z nią, zawsze na naszej drodze stawali wpatrzeni w nią mężczyźni. Często byli to turyści o pachach lepkich od potu, o oczach, w których płonęło pożądanie. Niemal oblizywali się na jej widok, musiała więc być piękna również według waszych standardów. Jakich słów mam użyć, by to wszystko stało się zrozumiałe dla zachodniego umysłu? Moja babka była prostą kobietą, lecz robiła rzeczy, które wam wydałyby się jakimś oszustwem, sztuczką.

W jej wszechświecie cała przyroda była siedliskiem duchów. Rozmawiała z nią, a natura jej odpowiadała. Czy widziałaś, jak drzewo się uśmiecha? Ja widziałam. Kiedy przechodziła pod nim Nenek. Mówiła drzewom, czego od nich potrzebuje, a one dzieliły się z nią swą pradawną wiedzą. Czasem oddawały jej swoje korzenie, które wyglądały jak kasawa, ale kiedy usunęło się z nich ciemną, przypominającą korę skórkę, miąższ w środku był świeży i słodki niczym arbuz. Innym razem zdradzały

25

sekret specjalnych korzeni, które należało wykopać gołymi rękami, inaczej cała ich moc wsiąkała w ziemię. Kucnąwszy, Nenek kopała głęboko; tylko najgrubsze korzenie zawierały specjalne lecznicze olejki, niezbędne do jej mikstur. Czasami kaleczyła sobie palce do krwi, ale trudno, zносиła ból z cierpliwym uśmiechem. Potrzebne jej były po to, żeby zrobić lekarstwo dla Ibu.

Mieszkańcy wioski nazywali ją balia, co znaczy uzdrowicielka zajmująca się leczeniem chorób i nastawianiem złamanych kości, ale wyczuwali, że to nie wszystko, że w tym jest coś więcej. I to o wiele więcej. A choć nie mieli pewności, krążyły szeptane na ucho plotki, że tak naprawdę Nenek to balian uig, istota zdolna rzucać czary i uroki rzeczywiście niebezpieczne. Pokazywali sobie „męskie” drzewo papai rosnące na naszym podwórku. Zgodnie ze starym balijskim przesądem czarownice musiały mieć w swoim najbliższym otoczeniu dziwnie nieregularny cień tego drzewa, gdyż pod nim zbierały się w budzących wstręt i grozę obrzędach picia krwi. Nasze niewinne drzewo potwierdzało te podejrzenia.

Nenek przybyła do naszej wioski, kiedy Ibu miała zaledwie dziewięć lat, ale nadal była tu obca. Pogodziła się z faktem, że zawsze tak będzie, i nie przejmowała się tym specjalnie. Żyła sobie spokojnie, codziennie składała ofiary: w świątyniach - z kwiatów, owoców i słodkich ciasteczek; na rozstajach dróg, cmentarzach i w miejscach wypadków - z zepsutego mięsa, cebuli, imbiru i alkoholu. Klęcząc, zawodziła: Rang, ring, tah.

Urodzeni, żyjący, umarli. Niech myślą, że ona jest ta inna.

Nie zmieniała niczego w swoim tańcu, żeby się upodobnić do kobiet z naszej wioski. Nieraz przyglądały się jej, gdy tańczyła na dziedzińcu świątyni, balansując na głowie naczyniem pełnym rozżarzonych do czerwoności węgli. Ich twarze miały wyraz obojętny. Wprawdzie czasem zdradzały lekkie zainteresowanie, ale wyraźnie było widać, że uważają ją za prostytutkę.

Raziły je pogańskie, pełne wigoru ruchy Nenek. Ja dostrzegałam w nich jedynie zadziwiającą energię. Były to przecież tańce plemienne. Z kamienną twarzą, bez cienia uśmiechu, wyciągała szyję jak żuraw, aż żyły zaczynały się jej rysować pod skórą, przypominając naprężone sznury. Unosiła prawą stopę, usztywniała

26

ją, czyniąc z niej broń, i kopiąc w bok, wyskakiwała wysoko w powietrze. Brwi miała przy tym uniesione niemal do linii włosów, płonące oczy były szeroko otwarte i uważnie wpatrzone przed siebie, a usta wydawały przeciągły, niesamowity krzyk. Trzymając nadgarstki złączone przed twarzą, zaczynała się obracać, najpierw wolno, z pełnym powściągliwości wdziękiem, potem coraz prędzej, aż wreszcie wirowała tak szybko, że gdy się na nią patrzyło, jej oczy wyglądały jak czarne smugi na tle rozmazującej się twarzy. Wokół niej unosiły się złowieszcze pomarańczowe iskry.

Kobiety się jej bały.

A jednak próżność zwyciężyła i starały się jej przypochlebić. Pożądały urody, którą warzyła w swym kotle. W jej czarodziejskich rękach korzenie i liście stawały się magicznymi płynami jamu, zdolnymi skutecznie upiększyć ciało i zatrzymać młodość, by jak najdłużej gościła na kobiecych policzkach. Obie z Ibu stanowiły najlepszą reklamę dla jej mikstur, bo nawet gdy Nenek osiągnęła pięćdziesiątkę, a Ibu była po trzydziestce, ich młodość wciąż ociągała się z odejściem. Wyglądały na dwudziestolatki, talie miały jak osy, włosy kruczoczarne i delikatną cerę. Wcierały w siebie tak wielkie ilości różnych maści, że wonna skóra przywabiła tnące zygzakami powietrze ważki, które przysiadły na ich strojach, stapiając się z kolorowym wzorem.

Odkąd z siostrą weszłyśmy w wiek dojrzewania, musiałyśmy raz w tygodniu zażywać garść małych czarnych kulek, które robiła dla nas Nenek. Raz w miesiącu przez dwie godziny pokrywała nas od stóp do głów luhur, żółtą pastą zrobioną z imbiru, kurkumy, przypraw, oleju, mąki ryżowej oraz sekretnej mieszanki korzeni z dżungli. Nie ulegało wątpliwości, że obie z siostrą miałyśmy wyjątkowo piękną skórę, piękniejszą niż inne dziewczęta z naszej wsi. Był to powód do wielkiej zazdrości, gdyż każda balijska dziewczyna zawsze gorąco pragnęła mieć złotą skórę. Przychodziły więc kobiety z córkami i uśmiechały się przymilnie, spoglądając oczami pełnymi ostrożnej uprzejmości. Robiły to dla pięknej skóry koloru złota.

Za plecami tchórze nazywali ją Ratu Gede Mecaling, jak legendarnego władcę wyspy Nusa Penida, okrutnego czarownika, lub po prostu leyak, co znaczy czarownica. Słyszałam nawet, jak

27

mówiono o niej ranga, czyli wdowa, które to słowo tak naprawdę oznacza groźną czarownicę, rozdierającą długimi pazurami dzieci i pożerającą ich wnętrzności.

Leyak geseng, teka geseng. „Spalić czarownice, spalić je wszystkie” - śpiewały raz dzieci na rozstajach dróg.

Podbiegłam do nich i popchnęłam przywódcę bandy tak mocno, że wpadł tyłem do rowu. Z rękami opartymi na biodrach, dysząc ciężko, wyzwalałam wszystkich do walki. Nikt się nie ośmielił podnieść ręki. Byłam wnuczką czarownicy. Ktoś mruknął pod nosem, że widziano ją o północy, medytującą na cmentarzu.

Roześmiałam się im w twarz.

- Nie wierzę wam. Przede wszystkim nikt z was nie odważyłby się tam pójść.

Upierali się, że Nenek trzyma w zamkniętej skrzyni wysuszone ciało mego wuja, ale ja tylko skrzyżowałam ramiona na piersi i wyjaśniłam chłodno, że zaglądałam do niej i że skrzynia jest absolutnie niewinna. Pogardliwie doradziłam, żeby nie gadali o sprawach, o których nie mają pojęcia.

A prawda wyglądała tak, że mieli rację. Ich malutkie, biedne serduszka słusznie obawiały się mojej babki. Nenek była czarownicą. Potężną. Posiadała magiczną moc, odziedziczoną po ojcu. Umiała widzieć rzeczy „odległe”. Takie, których żadna z nas by nie zobaczyła. Opowiadała nam o duchach mieszkających w każdym drzewie, zwierzęciu i kamieniu o dziwnym kształcie.

- Bądźcie dla nich dobre - mówiła. - Tych, którzy je szanują, obdarzają mocą.

Swoją własną moc czerpała jednak z innego źródła. Potajemnie hołubiła buta kalas, niewidzialne, podstępne duchy ziemi, stworzenia czyniące zło, które kupiła od podobnej do siebie kobiety. Trzymanie ich było bardzo niebezpieczne i przed śmiercią musiała je przekazać innej czarownicy lub czarownikowi, inaczej czekałyby ją straszliwe męki na łożu śmierci, gdyż nie mogłaby przejść do innego świata. Była to magia niedobra i ciemna, bez której jednak nie poradziłaby sobie. Potrzebna jej była, by chronić Ibu. Każdy ma jakiś cel w życiu, moja babka miała tylko jeden: przedłużyć życie córki. Nie było takiej rzeczy, której nie zrobiłaby dla Ibu.

28

W jej mocy pozostawał macan utul, demon o gładkim, wydłużonym ciele, podobny do pantery. Spełniał każdy rozkaz, ale żądał w zamian regularnych dostaw świeżej krwi i mięsa dzika, a czasami musiał to być cały martwy pies. Szukała także pomocy u innego potężnego ducha, mającego postać wyblakłego węża, który sprowadzał na nią wizję i uczył sztuki leczenia. Kiedy pojawił się po raz pierwszy, wystawił na próbę jej odwagę, owijając się wokół niej potężnymi splotami. Nenek stała w środku olbrzymiego gada, nieruchomo i bez lęku, dopóki nie uznał w niej swej nowej pani. Zmuszony do posłuszeństwa, pokazał jej, jak należy słuchać krwi płynącej w żyłach człowieka, aby się dowiedzieć, jaka choroba go toczy.

Pewnej księżycowej nocy obudziłam się wczesnym rankiem i będąc na wpół jeszcze pogrążona we śnie, dostrzegłam go kątem oka. Był ogromny, wydzielał wokół siebie mglisty opar, a spoczywał kilka cali nad ziemią tuż przy głowie Nenek. Natychmiast spojrzałam w jego stronę, lecz grube białe zwoje zdążyły wrócić w ciemność. Przy śpiącej twarzy Nenek pozostał jedynie mrok.

Zapytałam ją raz:

- A co się stanie, jeśli będziesz już musiała przekazać buta kalas, a nie będzie odpowiedniej osoby?

Patrzyła na mnie długo, a jej pełne tajemnic oczy były kompletnie puste.

- Widziałam twarz mojej następczyni - odrzekła w końcu. Głos miała obcy i smutny.

- Kto to jest? - szepnęłam. Serce podskoczyło mi w piersi. Bałam się odpowiedzi.

- Jesteś jeszcze za młoda, żeby poznać moją następczynię. I nie myśl o tym. Nie będę cierpieć. Umrę w pokoju. - Łagodnie położyła dłoń na moim czole. - A teraz idź, poszukaj siostry i pobawcie się na polu.

Pocieszona pewnym dotykiem chłodnej ręki, poszłam. Świat wtedy był pełen sekretów dorosłych.

A Nenek wróciła do warzenia liści i wyciskania zielonej cieczy na rany i chore miejsca. Fachowo spluwała na pacjentów. Ślina jej miała wielką moc leczenia chorób. Mrucząc zaklęcia, Nenek nacierała ciało chorego kulką z ciasta, aby wyciągnąć zeń

29

truciznę. Potem rozrywała ją i oglądała środek. Jeśli znalazła igły lub czarne nasionka, znaczyło to, że przyczyną choroby była czarna magia, a wtedy jej czarne oczy uważnie przyglądały się pacjentowi. Tacy chorzy, wychodząc od niej, skrywali w oczach tajemnicę, a z tyłu głowy mieli mały kwadrat wygolonej skóry, ze śladem po nakłuciu pośrodku.

Pewnego dnia zobaczyłam, jak Nenek bez słowa błyskawicznym ruchem nakłuła rękę mężczyzny między palcami. Zaskoczony próbował się wyrwać, ale przytrzymała go. Podstawiła pod rękę naczynie i krew spłynęła z niej do lekarstwa z drzewnego soku. Była też kobieta z Sumatry, która przybyła z migreną powodującą zaburzenia widzenia, na którą zachodni lekarze nie byli w stanie nic poradzić. Widziałam, jak moja babka ostrożnie przecięła żyłę na jej czole. Zrobiło się późne popołudnie, a miska napełniła się krwią, zanim wreszcie złośliwy duch, uciskający nerw w głowie, zgodził się opuścić ciało chorej.

Wieczorem, gdy z siostrą siedziałyśmy na macie Nenek nad spożywanym ze wspólnego garnka posiłkiem, zaglądałam na moment do jej tajemnego, niezwykłego świata. Nigdy nie uwierzyłabyś, że coś takiego istnieje. W świecie tym nocne, wędrowne duchy przybierają postać czarnych kotów, nagich kobiet i lśniących, czarnych wron. Niewidzialne przemieszczają się, sunąc po linii prostej,

zbierają się na rozstajach, w miejscach ważnych i magicznych, wywołują wypadki i powodują szkody. Czasami zatrzymywały się przy zagrodzie dla świń, a wtedy Nenek łapała je i wpuszczała w drzewa i kamienie.

Aha, mam rację. Twoje brwi uniosły się leciutko. Nie wierzysz mi. Myślisz, że to jakiś hokus pokus. Pamiętaj jednak, że wy macie waszą naukę, a my naszą magię. Gdybyś choć raz zobaczyła oczy mojej babki, wiedziałabyś, że mówię prawdę, i przyznałabyś mi rację, że to niezwykła kobieta.

Moja babka spogląda na świat oczami, których nie da się opisać, tak bardzo przyciągają i zarazem przerażają. Czarne niczym węgiel, bezdenne i niemal nieludzkie w migającym blasku ognia. W oczach tych znajdziesz odpowiedź, dlaczego Holendrzy przestali sprowadzać balijskich niewolników i przetrucili się na bardziej uległe nacje. To właśnie przez te fanatyczne kobiety, raniące się sztyletami, zanurzające palce we własnych ranach

30

i malujące sobie czoła na czerwono, nim padły w płomienie, które zabierały je wraz ze zmarłymi małżonkami do podziemnego świata.

Najbardziej jednak utkwił mi w pamięci obraz Nenek poruszającej się bezszelestnie w mroku wczesnego poranka, niczym płynny cień połyskujący złotymi bransoletami. Miała zwyczaj budzenia się o czwartej rano, kiedy tylko okna uprawiających ryż wieśniaków zażółciły się światłem olejnych lampek. Cicho wchodziła do pokoju Ibu i stawała nad córką. Zadowolona ze spokojnego oddechu, wychodziła na dwór obudzić swoje śpiewające ptaki i tak zaczynał się dzień. Na Bali niebo zapala się wcześniej. O piątej rano słońce widać już na widnokręgu.

Zamiatała do czysta podwórko z opadłych w nocy cytrynowo białych kwiatów frangipani, po czym, zarzuciwszy sobie okrągły bambusowy koszyk na plecy, tylko z nim wyruszała w góry. Była ich dzieckiem. Szanowała je, a one jej błogosławiły. Pełne chichoczących małąp, pięknych motyli i krzyczących ptaków górskie dzungle były jej herbarium.

Kiedy po sprzedaniu ciastek wracaliśmy do domu, Nenek siedziała na progu i albo jadła owoce dzikiej pigwy, wyciągając co jakiś czas twarde włókna spomiędzy zębów za pomocą pasm własnych włosów, albo wachlowała się plecionym palmowym liściem, głośno wyrażając tęsknotę za chłodnym górskim wiatrem. Pochodziła z daleka, z plemion zamieszkujących szaro niebieskie góry. Tyle było wiadomo, resztę spowijała tajemnica. Gdzieś tam był opuszczony mąż i zmarłe dziecko, ale jeśli było coś jeszcze, nic się o tym nie mówiło. Miała swoje rozliczne sekrety i nie mogła ich, ot tak sobie, rozgłaszać. Temu, kto nie trzymał języka za zębami, groziła utrata mocy lub, co gorsza, obłąd. Straszliwe tajemnice powierzała jedynie jaszczurkom.

Albowiem to niezwykle stworzenia. Nenek mówiła, że rozumieją nasz język, ale nie wolno im mówić o niczym z wyjątkiem przyszłości. Jednak mimo wszystko nie można było im ufać do końca. O określonych porach roku Nenek łapała je gołymi rękami, starannie zaszywała im pyszczki i dopiero potem powierzała im szeptem swoje tajemnice. Smutno mi się robiło na widok odbiegających spieszenie stworzonek z zamkniętymi na zawsze

31

pyszczkami. Pamiętam swoją nielojalną wobec Nenek myśl, że lepiej by trzymała swoje sekrety dla siebie, skoro są tak straszne, że aż jaszczurka musi zdechnąć z głodu, aby je zachować.

A jednak kochałam ją bardzo i to ją, a nie ojca, uznawałam za głowę i opiekuna naszej rodziny. Bardzo często podczas pory gorącej spałyśmy z siostrą na dworze, wtulone jak dwa szczeniaki w jej ciepłe ciało. I choć nie ulegało wątpliwości, że nie kocha nas tak gorąco, jak kochała Ibu, to jednak była najważniejszą postacią mego dzieciństwa. Zabierała nas na niezwykle wyprawy, na przykład na poszukiwanie najrzadszego kwiatu na świecie. Jego maleńkie pączki rosną przez dziewięć miesięcy, by rozkwitnąć zaledwie na cztery dni.

Aby go znaleźć, musiałyśmy udać się aż na Sumatrę. Pod koniec wyczerpującej drogi, w sercu nieznanego nam świata deszczowego lasu, zatrzymałyśmy się wreszcie, gdy oczom naszym ukazał się dziwny kwiat. Był intensywnie czerwony, nakrapiany żółtymi, aksamitnymi brodawkami; dziwny i ogromny (cztery stopy szerokości) wyłaniał się spośród korzeni dzikich pnączy i rozkładających się roślinnych szczątków leśnej ściółki. Od razu było wiadomo, dlaczego nazywa się go trupim kwiatem. Śmierdział jak rozkładające się ciało. Unosiły się nad nim muchy mięsiary. Jednak po wysuszeniu i starciu go na proszek wystarczała szczypta, by kobiecy brzuch rozciągnięty po ciąży skurczył się albo by przywrócić sprawność seksualną starzejącemu się mężczyźnie.

Nenek często zabierała nas nad morze, na skały, dokąd nie docierali turyści. Kucnąwszy na skraju skały, hakiem podwazała jeżowce przyłączone do swoich podwodnych siedzisk. Biegałyśmy w słonej mgiełce rozpryskującej się pod stopami wody, pomagając zbierać wodorosty. W drodze powrotnej wstępowałyśmy do biednej wioski rybackiej, żeby kupić ryby. Suszone ryby wybierałyśmy my, natomiast Nenek zawsze potrafiła wyłowić z ratanowego kosza najświeższe ryby na całej Bali.

Gdy karmazynowe słońce zapadło za wzgórza, Nenek piekła owoce morza na ogniu podsycanym skorupami kokosa. Ibu przynosiła na talerzach gotowane słodkie ziemniaki i soczyste pędy bambusa marynowane w occie z dodatkiem chilli. Siadaliśmy kręgiem u wejścia do tej części domu, gdzie mieszkała mama, zajadając

32

smażone sojowe ciastka, a nietoperze w tym czasie opuszczały swoje drzewa w poszukiwaniu jedzenia. Zmierzch zapadał szybko i gdy my rozmawialiśmy, Nenek wstawiała i zapalała brązowe latarnie. Podwórze wnet zalewał ich łagodny blask, a każdą z nich spowijała brzęcząca otoczka niezliczonych owadów. A gdy zrobiło się całkiem ciemno, rozbłyskiwały świetliki.

Raju nie da się zapomnieć. Nigdy.

Chodziłyśmy z Nenek na ptasie targi kupować śpiewające ptaki. Nenek wieszała potem drewniane i bambusowe klatki na wszystkich zabudowaniach naszej zagrody. Bezbłędnie wybierała okazy o najpiękniejszych głosach. Jedne były wysokie i słodko brzmiące, kiiki, kiiki, kiiki, inne przypominały dziwne, głębokie gdakanie, czarr, czarr, czarr. Gdy ptaki chorowały, przytrzymywała je delikatnie prawą ręką, lewą wkładając im do dziobków lekarstwa w formie kuleczek wielkości ziarenek ryżu, które sama przyrządzała. Kiedy nadchodziła pełnia księżycy, wypuszczała je z klatek, a ptaki, miast odlecieć, siadały jej na ramionach, dłoniach i kolanach, całkiem oswojone, i zaczynały śpiewać. Napętniały cały dom cudowną pieśnią, a my sadowiliśmy się wtedy obok Ibu i z trwożnym szacunkiem podziwialiśmy niezwykle widok pokrytej ptakami babki.



Razem buszowałyśmy po targach w poszukiwaniu mięsa zielonych leśnych gołębi, fioletowych kurek wodnych i nietoperzy jaskiniowych. Te ostatnie Nenek kupowała żywe. Wisiały potem głowami w dół na suficie, kręcąc szyjkami i obserwując nas. Godzinami wisiały tak skręcone i nieruchome, poruszając ospale pazurkami. Nenek zawsze przeproszała zwierzęta.

- Jesteś świętym duchem, szanuję cię i kocham, i proszę cię, byś dziś zechciał stać się ważnym elementem naszej uczty.

Podnosiła szyję nietoperza do ust i jeden błyskawiczny ruch wystarczał, by był gotów do włożenia do garnka.

Nenek zasiadała z nami, kiedy ćwiczyliśmy angielski, którego uczył nas ojciec. Oczywiście miała wtedy przymknięte i niezgłębione, lecz na jej twarzy malowała się wyraźna duma. Nie zgadzała się jednak, gdyśmy chcieli ją uczyć obcych, suchych dźwięków języka białego człowieka. „Są jak ciernie w ustach” - mawiała.

Żywiła ogromną, niewytłumaczalną niechęć do białej rasy. Zupełnie tego nie rozumiałam, dopóki nie stało się za późno,

33

o wiele za późno. Ale wtedy jeszcze myślałam, że biali są cudowni, bogaci i hojni. Nenek wściekłaby się, gdyby wiedziała, że w grupkach po trzy lub cztery biegaliśmy do niemieckich i francuskich turystów, którzy przyjeżdżali minibusami, żeby „chłonąć widok pól ryżowych”. Wyciągałyśmy szczupłe brązowe rączki z odpowiednio żałosnym, specjalnie wyćwiczonym na tę okazję wyrazem twarzy, i żebrałyśmy. Był to łatwy zarobek. Nie wzruszała nas głęboka nienawiść Nenek, uważałyśmy tych ludzi za niegroźnych. Często, kiedy jeździliśmy z nią do Denpasar, do dajackich kupców sprzedających czarny koral i soki z drzew z Borneo, biali prosili, byśmy pozwoliły się sfotografować. Uśmiechałyśmy się śmiało i szeroko, dobrze pamiętając twarde krągłości monet w zaciśniętych dłoniach, ale Nenek z dezaprobatą kręciła głową i chwytając nas mocno za ręce, przyspieszała kroku.

Popatrywała na nich przelotnie, dyskretnie, kątem oka. Nieufnie traktowała fotografię, pomyślała, żeby „duszę” człowieka pokazywać na papierze. Podejrzliwość budziła w niej nawet ich tusza, gdyż kiedyś, spróbowałszy jedzenia białych i stwierdziwszy, że jest kompletnie pozbawione smaku, doszła do wniosku, iż skoro są tacy grubsi, to pewnie skrycie żywią się ludzkim mięsem. No i oczywiście kwestia higieny. Słyszała, że biały człowiek żyje w strasznym brudzie.

- Rzadko kiedy się kąpią, a herbatę mieszają grzebieniem - mawiała, odrzucając głowę do tyłu i opuszczając kąciki ust z niesmakiem.

Naszym zdaniem było wręcz przeciwnie. Jakże czyste i szeleszczące były banknoty, które przechodziły z ich rąk do naszych.

- Kto tak powiedział? - zapytałyśmy natychmiast zgodnym chórem.

- Dajakowie - odrzekła. - Biali ludzie przyjeżdżają i mieszkają w ich długich domach.

- Och, ale to przecież ci młodzi z plecakami. - Lojalnie broniliśmy białych. Słyszałyśmy o nich w szkole. - Pewnie po prostu nie mieli tyżki.

Nenek pozostawała nieprzejeżdżana.

- Czy tygrys jadłby daktyle, nawet jakby był głodny?

34

- Owszem, gdyby był zaczarowany - odpowiedziała moja siostra bliźniaczka, wymachując ręką i chichocząc, choć buzię miała lekko wystraszoną.

Moja siostra kochała zwierzęta. Wszystkie poruszały jej serce. Ratowała życie zmęczonym pszczołom, leżącym w oszołomieniu na ziemi. Ostrożnie podnosiła włochate kłębuszki i sadzała je na łyżce z wodą i cukrem. Fascynowały ją ich trąbki -wyglądające, jakby zrobiono je z brązowego, przydymionego szkła - które owady rozwijały, pijąc płyn. I ogromną radość sprawiało jej brzęczenie przywróconych na nowo do życia stworzonek.

Moja siostra była tą, która daje, która zawsze mówi: „Proszę, weź większy kawałek”.

Czy była to porcja jaja, ciasta ryżowego, latawiec czy girlanda, którą Ibu dla nas zrobiła. Zawsze oddawała mi większy kawałek lub kładła mi na ramiona ładniejszą girlandę.

Kiedyś znalazłyśmy zdychającą małą, którą przejechał motocykl, żałośnie mrugając oczami. Moja siostra odwróciła się do mnie:

- A co będzie, jeśli się rozstaniemy? - spytała cicho, przestraszonym głosem, trzymając w ręku swoje różowe pantofle. Za bardzo je lubiła, żeby je nosić.

- Głupstwa gadasz - odparłam. - Oczywiście, że nigdy się nie rozstaniemy. Nenek na to nie pozwoli. Razem się zestarzejemy. Zobaczysz, będziemy nierozłączne.

Tak, moja siostra była niewinna. Mam wciąż jej obraz w pamięci - dziecko, z powagą spacerujące po wiosce; na małej główce taca z ciastkami, wysoki dzbanek po brzegi napełniony słodką kawą i stos szklanek. Pewnie zapomniałam powiedzieć o tym, ale moja siostra to także moje serce. Należy do mnie. A gdy moje serce przestanie bić, ja przestanę oddychać i nadejdzie koniec.

Zeenat

- Co ty tu robisz? Gdzie jest moja siostra? Pewnie się zgubiłaś, bo ta zdradliwa ścieżka prowadzi jedynie na cmentarz, do niebezpiecznego, nawiedzonego przez duchy miejsca na skraju głębokiej rozpadliny. Nikt nie odważa się zapuszczać tu samotnie po zapadnięciu nocy, ale nie lękaj się, weź mnie za rękę. Wieczór jeszcze nie nadszedł, a świątynia umarłych jest nie tak daleko stąd. Nim słońce zajdzie, odprowadzę cię z powrotem do mojej siostry. Ona jest taka wrażliwa. Zawsze płacze przy tej części, więc na razie ja wezmę na siebie ciężar opowieści. Dopóki ona nie wróci.

Jeżeli moją siostrę nazywałaś Nutan, na mnie możesz mówić Zeenat. To nie są oczywiście nasze prawdziwe imiona, ale ja też mam wiele do ukrycia, też czuję lęk przed palcem wskazującym to, co powinno pozostać zakryte, i też napawa mnie smutkiem biedny kwiatek zbrukany ekskrementem. Smutne to, ale konieczne, abyśmy się skryły pod imionami, które kiedyś nadałyśmy naszym świnkom.

Były śliczne i bardzo je kochałyśmy; ciągnęły po ziemi tłuste brzuszki, wyciągały ryjki nad niskim ogrodzeniem kojca i otwierały szeroko pyszczki, gdy natrafiły na dojrzałą papaję. Mądre stworzonka wiedziały, że porzucone owocowe skórki należą do nich. Biedactwa, rozpieszczone bez granic, zapomniały wszakże o wiszącym nad nimi przekleństwie; o gładkich nożach, czekających, by zapuścić się w ich ciała.

W naszej zachłanności my też o tym zapomnieliśmy, ale o tym później. Patrz pod nogi na tej ścieżce. Widzisz te wielkie ciemnozielone drzewa rosnące na skraju cementarza? To magiczne drzewa kepuh. Dają schronienie duchom.

Aha, uśmiechasz się. Uprzejmie starasz się ukryć pełne wyższości politowanie. Ale i tak cię poznaję. Czasami mówisz po

36

angielsku, czasami po włosku, czasami po niemiecku lub japońsku, twoje kieszenie zawsze są pełne pieniędzy. Nasze palce może się kiedyś otarły o siebie. Jesteś z rasy istot wędrownych. Każdego lata tysiące was schodzi na nasze plaże, szukając dziewiczej natury pod łagodnie kołyszącym się drzewem pandanu. W nadziei, że ujrzyście księcia siedzącego ze skrzyżowanymi nogami lub przyłapięcie tajemniczą dziewczynę, kąpiącą się bez koszuli w kamiennej sadzawce.

Twoja sucha jak pergamin dusza spodziewa się odkryć magię, a tymczasem dzień i noc prześladowają was nachalni mężczyźni: „Może pokój? Może samochód? Może dziewczynę?”.

Twoje blade oczy, znudzone i rozpieszczone przez Hollywood, zatrzymują się na niezbyt przekonująco oferujących swe wdzięki dziewczętach, na transwestytach tkwiących we wdzięcznych pozach pod neonami Hard Rock Cafe. A potem wracasz do swojej rzeczywistości z satysfakcją, że twój aparat fotograficzny uchwycił nieco egzotyki - procesję żałobną lub uśmiechniętego wieśniaka - choć nie bez poczucia winy.

A może poczucie winy zawiodło cię wraz z wiecznie poważnymi japońskimi turystami do teatru, gdzie oglądałaś pokaz tańca barong, apatycznego w południowym upale, kiedy to znudzenie tancerzy dorównywało twemu pragnieniu, żeby wreszcie sobie stamtąd pójść. Widziałaś, jak niby to wpadają w trans i zadają sobie cios tępą stroną sztyletu? Ponieważ założono, że i tak nic nie rozumiałaś, na scenę wyszła pięknie ubrana kobieta, tupnęła nogą i zaczęła klaskać na znak, że przedstawienie skończone. Ty też posłusznie zaczęłaś klaskać i wstałaś, kierując się do wyjścia.

Miałaś poczucie, że zbyt wiele zapłaciłaś za zbyt mało... a jeśli ci powiem, że jest coś więcej? Jeśli pokażę ci, co kryje się za niby nic nieznaczącym azjatyckim uśmiechem w twoim aparacie fotograficznym? Jeśli pokażę ci mistyczne rytuały w świetle latarni, podczas których ludzka krew dotyka ziemi? Jeśli powiem ci, że Bali jest magiczna? Że każdy łagodny podmuch wiatru to oddech bogów i bogiń?

Muszę cię jednak ostrzec, że w mocno zaciśniętych dłoniach trzymam zaledwie okruchy. To tylko ruchome cienie tych czasów, gdy z siostrą byłyśmy pięknymi bliźniaczkami. Tak trudno

37

było nas odróżnić, że ludzie we wsi traktowali nas jak jedną osobę. „Gdzie są bliźniaczki?” - pytano. Nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby posłać gdzieś tylko jedną z najprostszym choćby zadaniem.

Jedna z nas, moja siostra, była lepszą tancerką. Nawet gdy ze spuszczonego wzrokiem zastygała bez ruchu, nie można było od niej oderwać oczu. Między brwiami, które zostały wygolone i namalowane ponownie w formie dwóch idealnych czarnych łuków, nosiła priasan, białą kropkę, znak piękności tancerki. Jej drobne palce bez wysiłku wyginały się, dotykając przedramion, jakby były delikatnymi, otwierającymi się płatkami lotosu. Moja siostra mogła tańczyć godzinami. Wyglądała jak marionetka, tak bardzo jej twarz była nieruchoma i niezmienna, niczym maska.

Podczas uroczystości tańczyła legong. W szacie przetykanej złotą nitką, w diademie na głowie przystrojonym świeżymi kwiatami frangipani, z przyczepionymi długimi, pomalowanymi na złoto paznokciami zdobionymi jej drżące palce, zmieniała się w samotną, udręczoną księżniczkę. Ocierając łzy, uderzała o udo wachlarzem. Tłum, rozpoznając ten gest, wzdychał. Nieskończony smutek.

Złoty diadem na głowie migotał w słońcu.

Potem biegliśmy do kamiennej sadzawki, gdzie się kąpałyśmy, a następnie pędziłyśmy do waning, drewnianej chatki, w której Ni Madę Wetni sprzedawała plastry niedojrzałego ananasa w sosie z czerwonej papryki, czosnku i soli. Zawsze starałyśmy się być pierwszymi klientkami. Pierwszemu klientowi nigdy się nie odmawiało. Sprzedaż musiała dojść do skutku za wszelką cenę, inaczej mógł powstać pechowy precedens. Wzdychając ciężko, brała od nas pogniecione banknoty, składała je wzdłuż na pół i melancholijnie uderzała nimi o wszystkie naczynia po kolei, mruczając pod nosem modły o zysk.

Zjadałyśmy nasze owoce w cieniu drzewa tamaryndowego.

- Udawaj, że jesteś mną. Rób to, co ja - mówiła Nutan, a ja stawałam się jej lustrem. W zabawie tej, w której osiągnęłam wyjątkową biegłość, każdy ruch powielany był w tak drobnym ułamku sekundy, jakbyśmy miały jeden umysł. Jakbyśmy były tą samą osobą. Inne dzieci zazdrościły nam, co stanowiło dla nas powód do zadowolenia.

38

Siostra podświadomie opiekowała się mną. Jestem młodsza zaledwie o kilka minut, a jednak czasami zdawało mi się, jakby to były lata. Ja byłam nieśmiała, ona odważna, śmiała i miła. Ona mówi każdemu, że ja jestem miła i że zawsze ratuję zwierzęta, ale tak naprawdę jestem niczym w porównaniu z nią. Ona jest taka sama jak Nenek, niezwykła i tajemnicza. Czy opowiadała ci, jak płakała nad małpką umierającą na skraju drogi? Kiedy była dzieckiem, zawsze długo i mozolnie budowała małe występy na swoich zamkach z piasku, by zmęczone ptaki miały gdzie przysiąść i odpocząć. Żeby mogły powiedzieć: „Ale mam szczęście”. I to ona organizowała wyprawy po świeższe schwyte przez chłopców w szczelinach, wyschniętych po zebraniu ryżu z pól. Zakradałyśmy się aż pod ich domy, żeby uwolnić biedne, szamoczące się owady.

Moja siostra jest niezwykła, o wiele bardziej niezwykła niż ja.

Nie umiem dokładnie wytłumaczyć tego, co czuję do Nutan. Kocham Nenek i Ibu, ale nie ulega kwestii, że są to osobne i różne istoty. Moja siostra to kość z mojej kości, jest częścią mnie, należymy

do siebie. Co jest jej, jest moje, a to, co moje, jest jej. Kiedy byliśmy dziećmi, nawet sny miałyśmy wspólne, widziałyśmy siebie wzajemnie we śnie. Zawsze było mi żal innych dzieci w szkole. Jakże musiały być samotne i zalęknione!

Kiedy zobaczyłam zdjęcie bliźniąt syjamskich, wywołało to we mnie szok. Wyjątkowo złośliwy demon musiał spowodować tak potworne wynaturzenie. Tamtej nocy śniło mi się, że moja siostra i ja jesteśmy złączone brzuchami i z trudem wdrapujemy się po schodach na górę. Zatrzymałyśmy się na podeście. Razem tworzyłyśmy niezgrabną literę „Y”. Nasze na zawsze uwięzione, złączone biodrami ciała skręcały się, odwracając od siebie. Miałyśmy trzy nogi, dwie zdrowe i jedną chorą, która zwisała bezwładnie między nami. Spojrzałam w twarz mojej siostry i nie czułam przerażenia tym trzynogim stworzeniem, jakim byłyśmy. Uśmiechnęłyśmy się do siebie. Ona jest moją największą pociechą. Jest moim sercem. W duchu jesteśmy jak bliźnięta syjamskie. Jak mam ci to wytłumaczyć? Tego nie da się opisać słowami.

Dwa razy w tygodniu, po południu, chodziłyśmy oglądać stare hinduskie filmy w domu dozorczy świątynnego. Miał wielką

39

kolekcję popularnych filmów. Siedziałyśmy jak zaczarowane, kiedy piękne, ubrane w sari bohaterki i ich partnerzy tańczyli na zboczach wzgórz i bawili się w chowanego wśród kokosowych palm. Laila, o laila, laila, laila, ho se ho laila - śpiewałyśmy później, buszując w kanałach nawadniających ryżowe pola w poszukiwaniu małych ryb i żab.

A kiedy ojciec wracał po długiej nieobecności, przez całą noc siedziałyśmy zauroczone, słuchając różnych głosów i pięknych pieśni, które przynosił ze sobą. Nutan na pewno ci powiedziała, że ojciec nasz znał więcej niż sto historii na pamięć. Niepostrzeżenie opuszczał postać demona ciskającego piorunami i stawał się niebiańskim księciem, mówiącym pradawnym jawańskim językiem. Wśród tych wszystkich historii, jakie nam opowiadał, miałyśmy swoje ulubione. Zawsze niecierpliwie czekałyśmy na wieczór, kiedy po wyrecytowaniu mantr ożywiających lalki podnosił głowę i zaczynał opowieść słowami: „A Walmiki usiadł na dywanie trawy kusa, wypił tyk świętej wody i powiedział: jak długo trwają góry, a rzeki spieszenie uchodzą do morza, tak długo opowieść o Ramajanie będzie na ustach rodzaju ludzkiego...”

Oczywiście znasz historię Ramy i Sity, ale nie słyszałaś, jak opowiadał ją mój ojciec. Z jego ust opowieść spływała jak muzyka. Znasz to, jak Rama i Sita bawili się w chowanego wśród niebieskich kwiatów lotosu w czystej, skąpanej w blasku księżyca wodzie? Rama zanurzył się w ciemnej wodzie i tylko jego niebieska twarz wystawała ponad powierzchnię. Szukająca go Sita nie była w stanie odróżnić go od kwiatów lotosu, za każdym razem musiała schylać się, wąchać je i brać każdy do ręki, aż wreszcie dotknęła ust kochanka.

Lecz w moich najbardziej sekretnych marzeniach urodziwy Rama nie był jak niebieski lotos, tylko jak złotowłosi australijscy surferzy. Mężczyźni tańczący na falach. Z miejsca na plaży, skąd ich obserwowałam, wydawali się wprost nieprawdopodobnie piękni.

To chyba pieśń czternasta? Rama ma zostać królem. Odbывают się wielkie uroczystości i panuje ogólna radość, ale spójrz, spójrz na lewo, skąd wychodzą wszystkie niedobre postacie; oto wpełza

kaleka, garbata służąca Kuni z trucizną jadowitych słów. „O, niemądra” - syczał wtedy ojciec pełnym nienawiści

40

głosem do macochy Ramy. Kuni namówiła młodą królową, by zażądała spełnienia dwóch dawno zapomnianych obietnic, jakie niegdyś złożył jej król: ma wypędzić Ramę i uczynić swym następcą jej syna.

Nie wyobrażasz sobie nawet tej dziecięcej pasji, z jaką obie z siostrą nienawidziłyśmy garbatej Kuni. Po słowach ukochanej żony drżący cień starego króla bezradnie osuwał się na ziemię. „Moja piękna żona jest jak tygrysica. Jakże lekko przychodzi jej sprowadzenie na mnie upadku!” - łkał ojciec dźwięcznym głosem starego króla. Wszyscy słuchacze płakali, a Ramę wypędzano do dżungli.

Kilka wersów później ojciec nagle uderzał w bęben gamelan i przykładał płasko dłoń do drżącej żółtej skóry, tłumiąc dźwięk. Był to oddech złego demona Rawany, który, skryty w zaroślach, podglądał Sitę zbierającą leśne kwiaty. I tak ciągnęły się fantastyczne przygody lalek ojca, dopóki Rama nie odzyskał tronu.

Obie z siostrą wdychałyśmy wtedy z ulgą. Ojciec gasił latarnię i ekran ciemniał. Z boku pojawiała się jego twarz, piękne oczy przeczesywały tłum w poszukiwaniu nas. Uśmiechał się, my śmiałyśmy się do niego. Kiedy widzowie się rozeszli, pomagaliśmy mu pakować lalki i razem wracaliśmy do domu. Wzgórza wciąż jeszcze gościły słońce i w wieczornym świetle koloru morskiej wody z daleka widzieliśmy Ibu, siedzącą w progu, czekającą, promienną. Wpatrzoną w ojca jak w obraz. Kochała go tak bardzo, że aż czasem odnosiłam wrażenie, iż jest zazdrosna o mnie i o siostrę.

Zagadką dla mnie było to, jakim cudem poślubiła ojca, i to nie tylko z powodu kalectwa, lecz także dlatego, że pochodziła ze starożytnego plemienia Bali Aga, którego wyznający animizm członkowie zdecydowanie odrzucali jakąkolwiek naukę szkolną, a kiedyś nawet piłowali zęby i barwili je na czarno. Ich obsesja na punkcie odrębności i izolacji była tak wielka, że po wizycie obcych zmiatali ścieżki w swojej wiosce, by zatrzeć ich ślady.

Przeszłość moich rodziców była niejasna, wręcz mętna, ale ponieważ Ibu zawsze zaczynała popłakiwać, kiedy ją o to pytano, więc nauczyłyśmy się nie pytać. Chwilami zdawało mi się, że w pięknych oczach ojca dostrzegam wstyd, iż dał się schwytać w pułapkę. Byłam niemal pewna, że zmuszony został do wyrzeczenia się

41

jakiejś ważnej dla niego wolności. W dzieciństwie sądziłam, że przyczyną owego wstydu jest kalectwo matki, ale kiedy podrosłam, uświadomiłam sobie, że przez te wszystkie lata jego szacunek dla niej pozostał taki sam.

Nie było zatem żadnych nagłych zmian w uczuciach, lecz jedynie czuła, pozbawiona wybuchów namiętności miłość. Kładł delikatnie rękę na pochylonej głowie Ibu, jakby była jego najdroższą siostrą. Tajemnicza hańba kryła się gdzie indziej. Może w noszonej przez niego bransolecie jongi. Była świadectwem sekretnej wspomnienia, bliskiego sercu. Inna kobieta? Przed Ibu?

Ibu zaś ze swej strony wielbiła go niestrudzenie. Zawsze starała się stanąć nieco niżej od niego, dbała o wszystkie jego potrzeby, usługiwała mu z cichym, graniczącym wręcz z obsesją oddaniem.

Raz wczesnym rankiem przyszedł Ibu do głowy pomysł, żebyśmy razem upiekły dla ojca ciasto. Nenek, Nutan i ja pojechałyśmy autobusem aż do Denpasar po potrzebne składniki i po południu wypróbowałyśmy przepis podany na pudełku margaryny. Ibu śmiała się w głos. Była naprawdę szczęśliwa. Później zaniósłszy z siostrą ciasto do domu naszej przyjaciółki Ketut i tam, siedząc na dworze, czekałyśmy, aż ciasto się upiecze. Kiedy było gotowe, zaniósłszy je do domu: mocno czekoladowe i pachnące. Ubijałyśmy je tak długo, że, lekkie jak obłok, aż rozpływało się w ustach. Tymczasem tamtego wieczoru ojciec w ogóle nie przyszedł do domu i siedziałyśmy na bale we cztery, jedząc, rozmawiając i śmiejąc się. Jakże cudownie Ibu śmiała się w ten czarowny wieczór!

Ryżowe łodygi leżały już na polach związane w okrągłe bele złota, a ich pobłyskująca w słońcu słoma oddawała z powrotem ziemi cenne minerały. O zachodzie słońca Nenek wystawiła za bramę zrobione z liści palmy kokosowej naczynia z jedzeniem, kwiatami i pieniędzmi oraz tłącą się skorupę kokosa, aby złe duchy miały wszystko, czego im trzeba, i nie musiały wchodzić do domu.

Czy to nie dziwne, jakie rzeczy się zapamiętuje? Pamiętam ręce mojej matki i to, jak bardzo były białe, kiedy nagle oznajmiła, że jest zmęczona i że musi udać się do siebie. Nenek zaniósła ją wtedy, jakby Ibu była dzieckiem. Pamiętam, że poszłam do sypialni

42

zapytać, czy może chce jeszcze ciasta. Leżąc na łożu, pokręciła głową i powiedziała:

- Nie będzie już więcej ciasta dla tego ciała. Jak orzeł opuszcza gniazdo i wznosi się w niebo, tak ja też muszę zostawić to gniazdo, żeby ulecieć wolno.

Posłano po ojca. Ibu była chora, bardzo chora. Leżała w łóżku, nie mogąc już więcej tknąć ani przuć, skórę miała jak papier, oczy zamknięte, a kiedy je otwierała, lśniły dziwnym podnieceniem. Jak u dziecka nie mogącego doczekać się dawno obiecaney wycieczki. Na widok mojej smutnej, zroszonej łzami twarzy powiedziała:

- Nie smuć się. Dopiero bez moich nóg będę mogła brodzić w lśniącym mule nad rzeką.

Nutan nie płakała. Siedziała wyprostowana przy drzwiach, przemawiając do duchów rozkazująco i władczo. Zupełnie jak Nenek. Ochryplym głosem godzinami powtarzała te same słowa. Nie płakała. Nie przestawała śpiewać. Stała się jakby obca. To było straszne.

Och, wybaczcie, jeśli zrobiłam coś złego,

Ale nie zabierajcie jej.

Nie zabierajcie tego, co nie jest wasze.

Nie wzywajcie jej,

Nie w nocy, nie tej nocy.

Z wioski dobiegał słaby zew bębnow i śpiewu, będący wstępem do popisów tanecznych. Ibu pieszczotliwie przesunęła słabnącymi palcami po wysokich kościach policzkowych Nenek, pocieszając ją.

- Spójrz tylko, upływ lat nie waży się ciebie tknąć.

Nenek ledwo słyszała jej słowa, gdyż zagłuszał je szorstki głos Nutan, błagającej duchy. Smutno, jeszcze niżej schyliła głowę, by mogła na niej spocząć ręka umierającej Ibu, jakby teraz to Nenek była dzieckiem, a jej córka matką.

Zaraz po powrocie ojciec pośpieszył do łóża Ibu. Zwróciła twarz w jego stronę i zobaczyłam, że wzdycha z zadowoleniem. Z oczu znikło dotychczasowe rozgorączkowanie. Głos jej był zaledwie wątlwym szeptem, gdy mówiła:

43

- Od dawna śmieję się śmiechem, który ty włożyłeś w moje usta, i płaczę łzami, które zostawiłeś w moich oczach, ale nadszedł czas spalić żywiczne kadzidło i oddać mnie. Tęsknię do dotyku twoich dłoni na moich popiołach, kiedy będziesz rozsypywać je po morzu.

Następnego dnia ten ledwo tłący się płomyk zgał.

Zasnęłam i nagle obudziłam się w środtku nocy. Zobaczyłam, że ojciec siedzi na schodach stodoły, nieruchomy jak kamienny posąg, a Nutan wpatruje się z przerażeniem i niedowierzaniem w Nenek, pochyloną nad nieruchomym ciałem Ibu. Powietrze było łagodne od kadzidła. Nenek, pijana arak madu, palmowym alkoholem zmieszonym z sokiem z cytryny i miodem, masowała ciało Ibu płynnymi, pełnymi miłości ruchami. Z jej pogańskich ust dobywał się głęboko poruszający serce hymn.

Zostań, zostań na zawsze blisko mnie.

Nigdy nie zapomnij.

Chwytałam cię za stopę,

Głaskałam cię po twarzy,

Myłam twoje włosy, całowałam zimne usta.

Nic się nie bój. Nie uciekaj.

Zostań, zostań na zawsze przy mnie.

W pewnym momencie jej oczy napotkały mój wzrok i pokręciła głową, jakby w oszołomieniu. Potem spojrzała na Nutan i zduszonym głosem zawołała:

- Nie mogłam jej zatrzymać! Tak mi przykro. Wiesz, że nie ma takiej rzeczy, której bym nie zrobiła, żeby ją zatrzymać. Nie ma. Poszłabym w najgłębszą dżunglę i pozwoliłabym się pożreć dzikim zwierzętom, oddałabym moje piersi na żer dla trujących ryb. Była moim życiem. Moje życie się skończyło.



Nutan tylko patrzyła nieruchomym wzrokiem, a Nenek przycisnęła policzek do Ibu i rozplakała się rzewnymi łzami. Jeśli odrywała się od twarzy Ibu, to tylko po to, by z wielką żalnością uderzać się dłonią w czoło. Ten smutek był dojmujący. Podeszłam do niej i bezradnie upadłam u jej stóp. Przez całą noc Nenek zawodziła swoje straszliwe pieśni. Niosły się nad cichymi, okrytymi mgłą polami ryżowymi. Ojciec siedział cały czas nieruchomo na

44

stopniach stodoły, a obojętny świat spał dalej. Tuż przed świtem, gdy skończyło się palmowe wino, Nenek wolno i chwiejnie wstała.

Niebo miało kolor krwi.

Ostrożnie otwierała płatki niezliczonych kwiatów, rozsiewając ich zapach nad nieruchomym ciałem Ibu. Kiedy płatki opadały, krzyczała gorzko:

- Gdybym żyła w dżungli, obciąłabym sobie palce i uszy na znak, jak straszliwą poniosłam stratę, ale w tym nieczystym kraju, gdy moja córka odeszła, muszę udawać, że jestem szczęśliwa!

Potem przyniosła klatki z ptakami do pokoju, w którym sypiała Ibu, i po kolei otwierała wszystkie. Stanąła na środku i głośno klasnęła w dłonie. Przerażone ptaki z gwałtownym trzepotem skrzydeł uleciały przez otwarte okna. Te niedawno kupione kierowały się od razu w niebo, ale te, które miała dłużej, przysiadły najpierw w bambusowym gaju obok zagrody, wyraźnie zaskoczone, i zaśpiewały dla niej po raz ostatni, po czym one też wzbiły się ku wolności. Zastaniając twarz rąbkim sukni, Nenek płakała. Później patrzyliśmy, jak niszczy nasze święte kapliczki. Jej najżarliwsze modły nie zostały wysłuchane, więc zbuduje większą i lepszą kapliczkę dla innego bóstwa.

Pamiętam, jak podniesiono Ibu, umyto i namaszczone jej blade ciało olejkiem i kwiatami. Nenek wtarła drobny ryżowy proszek w jej skórę i po raz ostatni przystroiła jej włosy. Splotła jej dłonie, złączyła stopy. Położyła kawałek metalu na zębach, aby uczynić je mocnymi, i lusterka na oczach, żeby uczynić je jasnymi, liść miodli na brwiach, żeby je upiększyć, i włożyła kwiaty jaśminu do nosa, by oddech stał się wonny. W końcu wszystko zostało zrobione. Dopiero wtedy Ibu naprawdę umarła. Do tego momentu była jeszcze żywa, a teraz otaczał ją blask chwały. Pamiętam, jak bardzo była piękna.

Czuwaliśmy całą noc przy ciele, strzegąc go przed niedobrymi duchami. Co noc, dopóki leżała we wschodnim pawilonie, zapalona lampa wskazywała jej błąkającej się duszy drogę do domu. Ludzie kulili się w ciemnych kątach, drzemiąc. Przez całą noc brzęczał i huczał gambang.

Zanurzono ją w nafcie.

Nenek stała w cieniu wielkiego ciemnego drzewa kepuh za świątynią. Wyglądała jak zabawka, mała i porzucona. Nutan

45

ściskała mnie za rękę, a Nenek odwracała głowę, kiedy mężczyźni, poprawiając ułożenie ciała, szturchali je. Chcieli, żeby się szybciej spaliło. Ani przerażający widok, ani zapach spalenizny, wydzielany przez ciało, nie robiły na nich wrażenia. Dobrodusznie przekomarzali się ze zwłokami, prosząc, żeby paliły się szybko, to prędzej będą mogli pójść do domu. Niech cię to nie szokuje. Tak już

u nas jest. Kremacja to radosna uroczystość, podczas której przyjaciele i krewni wyprawiają bliską osobę w drogę powrotną do domu.

Dopiero po spokojnym odejściu Ibu ojciec uświadomił sobie, jak głęboką poniósł stratę. Siedział samotnie na progu, ukrywając głowę w ramionach, a popołudniowy wietrzyk muskał mu włosy. Miał wrażenie, że znalazł się w spowolnionym śnie. Dziwił się, jak mogła mu przeszkadzać jej kaleka noga. Wstydził się, że nie wpuścił jej do swego świata. Trapił się, że nie będzie więcej pępkiem świata dla anioła. Nie płakał z żałości, choć bardzo bolał nad utratą swej kulawej łani. Nigdy więcej jej oczy nie zapalały się na widok jego przystojnej twarzy.

Dla mnie ten cień śmierci matki był trudny do zrozumienia. Czyż nie miała ochoty uwolnić się od swego smutnego życia? Wierzyłam Ibu, kiedy z płonącymi oczami i absolutną szczerością tłumaczyła, że powinna pierwsza pójść do nieba, gdzie otrzyma z powrotem zdrową nogę. „Czeka tam na mnie para butów niezwyklej piękności. Kiedy do mnie przyjdziecie, razem będziemy chodzić i chodzić” - obiecywała. Obietnica ta rozjaśniała dom, w którym mieszkaly moje myśli, lecz żaden promień z mojej lampy nie zdołałby oświetlić domostwa Nenek. Pograżona w czarnej otchłani, przewracała meble i kaleczyła się o ostre krawędzie. Rano budziła się z imieniem córki na ustach. Kiedy wracałam ze szkoły, już od chwili wejścia przez furtkę czułam bijący od niej nieukojonny żal.

Jej niespokojne wędrówki niezmiennie kończyły się przy milczących krosnach córki. Czasami siadała na bale, jakby nasłuchując rytmicznej sekwencji trzech dźwięków, delikatnie dzwoniących dzwoneczków, czótenka uderzającego o wydrążony bambus i szybkiego podwójnego uderzenia w tkaninę. Innym razem przystawała w drzwiach wąskiego, ciemnego pokoju Ibu, wpatrując się w materac, na którym córka zmarła.

46

W przeciwieństwie do mego ojca Nenek nie znała obyczajów szlachetnie urodzonych. Nie umiała z pogardą odnosić się do doczesnego życia ani za nic mieć chwilowych przyjemności i przemijających cierpień. Patrząc na śmierć jak na drzwi do innego świata albo na przyjaciela. Śmierć, mawiała zawsze, jest wtedy, kiedy nie dojrzałaś przed sobą ścieżki i upadłaś. Stąd śmierć była dla niej barbarzyństwem, a uroczystości z nią związane czymś przeciwnym naturze. Nie, nie, ona każdy oddech przyjmowała z radością. Była dzieckiem Matki Ziemi i tylko wtedy, gdy jej stopy pozostawały w kontakcie z ziemią, czuła się u siebie.

Bardzo cierpiała z powodu odejścia córki. Dla niej ciało nie było jedynie nieczystym i tymczasowym naczyniem dla duszy. Ciało to cała magia. W przeszłości przodkom mojej babki zarzucano kanibalizm. Nie była to oczywiście prawda, ale nawet jeśli w jakichś zamierzonych czasach rzeczywiście jedli ludzkie mięso, to działo się tak w akcie miłości, pozwalającym zatrzymać zmarłych przy sobie.

W szufladzie Ibu Nenek znalazła schowane głęboko stare, czarno białe, zwijające się na brzegach zdjęcie, które zapewne zrobił ojciec, kiedy Nenek była na jednej ze swoich wypraw. W szoku wpatrywała się w fotografię. On tam był, duch Ibu. Uwięziony. Widok ten poraził ją. Ukryła twarz w zagłębieniu ramienia i rozplakała się. Kochała córkę, ale fotografie były złe. Więziły duszę. Mimo to za każdym razem, kiedy zabierała się do zniszczenia brązowiejącej, poplamionej herbatą pamiątki, okazywało się, że nie jest w stanie tego zrobić.

Przez wiele dni wpatrywała się w swoją uwięzioną córkę, aż pewnego dnia podjęła decyzję. Zabrała zdjęcie do japońskiego fotografa w Denpasar, a on je odświeżył. Wyretuszował niedoskonałości, zabarwił policzki Ibu na różowo, namalował na jej ustach tak rozkosznie różany kolor, że przypominała gwiazdę filmową. Oprawiona w czarno złotą ramkę zawisła u Nenek, a Nenek składała jej dary z kadzidła.

Nutan.

Skąd się wzięłaś na naszym cmentarzu?

Lepiej stąd odejść, wkrótce zapadnie noc, a wtedy jest niebezpiecznie. Idź tędy i ostrożnie stawiaj nogi. Widzisz zgarbioną, smutną postać w prowizorycznie skleconej budzie, tam dalej? To ojciec. Jest nieczysty, ale mu wybaczyłam. Musiałam. Niepodobna oddzielić skażonej krwi przedmiotu obserwacji od obserwatora. Dziś w nocy musi być pełnia, skoro szuka tylko własnego towarzystwa. Całą noc tam przesiedzi, stary i zapomniany, napełniając srebrne pola ryżowe dźwiękiem swego fletu. Jeśli będzie miał szczęście, dostrzeże gwiazdowego węża, spadającą gwiazdę.

Przez długi czas myślałam, że nasz wstydlivy rodzinny sekret ma coś wspólnego z jego przodkami. Nie domyśliłabyś się, patrząc na nasze ubóstwo, że byli oni możnymi władcami Bali. Po chlubnej przeszłości pozostało w rodzinie dość dziwne dziedzictwo. Trzy piękne srebrne naczynia pochodzące - powiedzmy sobie szczerze: zagrabione - z holenderskiego statku. Stanowiły przedmiot zażartych walk różnej maści rabusiów, dopóki nie skonfiskowali ich królowie. Dla mnie te misternie wykonane przedmioty były niewypowiedzianie piękne, Ibu zaś dostrzegała przede wszystkim blask srebra. Przesuwała delikatnie dłonią po wypolerowanej powierzchni.

- Jakie mądre są piękne rzeczy - mówiła, obracając je tak, by światło odbijało się na ich gładkich powierzchniach. - Oślepieni ich blaskiem ulegamy iluzji, że są naszą własnością. Zapominamy, że jesteśmy jedynie ich tymczasowymi opiekunami. Przetrwają nas. I tak żyją wiecznie, starannie strzeżone przez głupców.

48

Miała rację. Wypolerowane na błysk, kuszące człowieka przedmioty stały się przyczyną smutnego końca dumnych przodków mego ojca. Biały człowiek użył ich jako pretekstu, by odebrać nam władzę, ziemię i bogactwo. Ludzie z rodu mego ojca byli teraz właścicielami rozsypujących się pałaców, na których remont nie było ich stać, biednymi lalkarzami, którym odebrano ziemię, lub skromnymi zamiataczami samotnych górskich świątyń.

Jednak patrząc, jak Ibu starannie je czyści, wyobrażałam sobie mego biednego ojca w całkiem innym świetle. Z bogato zdobionym nożem zwanym kris, zatkniętym na plecach, stojącego w długiej srebrno złotej szacie u wrót wspaniałego pałacu. Hinduski książę. Widzisz, mój ojciec nie pochodzi z Bali. Miał nawet prawo do królewskiego tytułu z Gusti Agung.

Był jednym z kilku ocalałych członków królewskiego rodu Majapahit, dawnych władców Jawy. Z przerażeniem patrzyli oni na islamizację swego kraju, na to, jak pod jej oschłym oddechem kurczy się i więdnie całe piękno. Postanowili przeżyć swój upadek gdzie indziej. Na Bali przywieźli nie tylko religię, ale też najlepszych aktorów, tancerki, rzemieślników, konkubiny i wierną służbę. Jednak nie

był im dany szczęśliwy koniec; ich historia jest krwawa i straszliwa. Wiele lat później na Bali popełnili rzecz obłąkaną.

Wydali potęgę dynastii na sąd bogów, decydując się na przerażający rytuał zwany puputan. Musiałaś o tym słyszeć. Stało się to, kiedy Holendrzy po raz pierwszy ruszyli na podbój Bali. Wyposażeni w broń palną, parli naprzód, spodziewając się łatwego zwycięstwa nad wojownikami uzbrojonymi jedynie w sześciociałowe noże. Wreszcie natknęli się na opuszczone miasto. Z pałacu unosił się dym, a w murach rozlegał się niesamowity, pulsujący rytm wybijany na bębnach. Na oczach zaskoczonych Holendrów z wysokich bram wyszła cicha procesja.

W niesionym przez czterech mężczyzn palankinie dumnie siedział radża, odziany w śnieżną biel i bogato przybrany najwspanialszymi klejnotami. Miał na sobie swój ceremonialny kris. Za nim szły zbrojne strażę, potem dworscy urzędnicy, żony, dzieci i służba, wszyscy wspaniale ubrani, a oczy ich lśniły jak w transie. Jakies sto kroków od Holendrów radża zatrzymał palankin, zszedł na ziemię i dał sygnał.

49

Natychmiast przybliżył się najwyższy kapłan i skłoniwszy się wprzód nisko, z idealną precyzją wbił sztylet w pierś radży. Przerażeni Holendrzy zobaczyli, że na ten znak wszyscy pozostali w jakiejś dzikiej orgii samozagłady poczęli zwracać sztylety przeciwko sobie samym lub przeciw sobie nawzajem. Umierali z pieśnią na ustach. Wtedy wyszły kobiety ubrane w najlepsze brokaty. W oczach miały szaleństwo, wymyślały skamieniałym z wrażeń żołnierzom, z pogardą ciskając w nich biżuterią i złotymi monetami. Odsłaniały piersi, krzycząc do Holendrów, żeby strzelali.

Ci, zaskoczeni, tylko patrzyli. Nigdy dotąd kolonizowane ludy nie zachowywały się w tak niewytłumaczalny sposób. Gdzie podziała się zwykła uległość, jaką wszędzie dotąd napotykali? Jak tu okazać łaskawość wobec takiego obłędu? Oto był niezbity dowód, że Balijszczy są zbyt dzicy, zbyt zepsuci, by ich sobie podporządkować, by zwycięzcy mogli nimi rządzić. Okazali się prymitywnymi dzikusami.

Bez dalszych wyrzutów sumienia Holendrzy otworzyli ogień.

Dzieci padały podziurawione kulami. Te najmniejsze z nich umierające matki trzymały jak najwyżej w górze. Coraz więcej ludzi z wyciągniętymi krisami wypadało na oślep z pałacowych bram, potykając się o stosy trupów. A Holendrzy strzelali, dopóki z pomordowanych nie usypał się wysoki pagórek. Tworzące go ciche ciała o wciąż gniewnych oczach śniły swój piękny sen. Nie będzie nimi rządzić wróg.

Przyglądała się temu jedna z żon radży. Nawet najmniejszy jęk nie wydarł się z jej ust. Zaczekała, aż żołnierze obedną wszystkie zwłoki ze złota i drogocенności, a potem delikatnie owinęła zakrwawione ciało radży matą. Chętnie rzuciłaby się w płomień jego stosu pogrzebowego, ale była ciężarna. Daru bogów nie wolno odrzucać.

Była to moja prababka, Nyang Ratu, a w łonie nosiła wówczas posiadacza dumnego imienia Anak Agung Rai, mojego dziadka. To już inna historia, poza tym ja nie jestem wtajemniczona w sekrety mistrza lalek, a tobie się śpieszy. Więc skrócę moją opowieść. Niech lata przelecą jak dzikie ptaki po wieczornym niebie. Niech ich skrzydła zaniósą cię prosto do chwili naszego szaleństwa.

Pojone naparami i karmione ziołami Nenek, wystrzeliliśmy w górę jak bambusowe pędy.

Gdy nadszedł czas pierwszej menstruacji, Nenek przygotowała obrzęd inicjacji. Po trzydniowym okresie odosobnienia, podczas skomplikowanej ceremonii, przesunęliśmy lekko po policzkach trzymanymi między kciukiem a palcem wskazującym kawałkami surowej bawełnianej tkaniny, ozdobionej rysunkami bóstw miłości. W ten sposób zostałyśmy oddane mocom, które chronią, ale też sprowadzają niepewność i pokusy. Ani Zeenat, ani ja nie interesowałyśmy się chłopcami z wioski. Ich oczy śledziły nas, gdy szłyśmy gdzieś w naszych sprawach, ale ponieważ bali się babki, nigdy się do nas nie zbliżali.

Kiedy byłyśmy już gotowe do spiłowania zębów, znów zamknięto nas w odosobnieniu. Wyszłyśmy stamtąd oczyszczone i ubrane w złote brokaty i korony z kwiatów. Poprowadzono nas do pięknie udekorowanego bala, na którym leżały dary ofiarne. Bramiński kapłan przytrzymał nasze otwarte usta małymi kawałkami trzciny cukrowej i wtedy spiłowano nam sześć górnych zębów, abyśmy stały się naprawdę piękne i aby pozbawić nas męskich, twardych, zwierzęcych cech: pożądliwości, chciwości, gniewu, skłonności do pijaństwa, chaotyczności i zazdrości. Nenek nie miała spiłowanych zębów. Ze śmiechem mówiła nam, że długie kły mają zwierzęta, demony i czarownice.

Kiedy miałyśmy osiemnaście lat, pewnego dnia przybył do domu ojciec i swoim opanowanym, grzecznym głosem oznajmił nam rzecz zaskakującą. Otóż sprzedał swój srebrny spadek, a więc będziemy mogły pójść na uniwersytet w Bandungu, ale jeszcze przedtem ma dla nas inną niespodziankę, przyjemność, jakiej na pewno się nie spodziewamy. Przymknął powieki, skrywając oczy pod długimi rzęsami. Słuchałyśmy z lękiem. Wakacje za granicą. Trzy lub nawet cztery miesiące w Londynie. Co ja wiedziałam o Londynie? „Most Londyński wali się, wali się...” Ojciec powiedział nam, że nasz stryj znalazł dla nas pracę kelnerek w kawiarni swego znajomego, bardzo blisko dworca Victoria.

Dworzec Victoria. Jak obco i egzotycznie brzmiało to w języku mego ojca!

Wszystko zostało ustalone. Miałyśmy mieszkać w wynajętym pokoju. Zadbano o każdy szczegół. A nam aż dech zaparło

i odjęło mowę, tak bardzo byłyśmy zdziwione i podniecone. To jak marzenie! Pomysł tak cudowny i fantastyczny, że nie miałyśmy odwagi przemówić, i wtedy Nenek, która milczała przez cały czas, wydała z siebie cienki i przenikliwy krzyk. Twarz jej pobladła.

- Nie, nie zabieraj ich też! - krzyknęła.

Ojciec nawet nie odwrócił głowy. Piękne oczy spoglądały daleko, w stronę niebieskiego cienia góry Agung.

- To moje dzieci i ja decyduję - rzekł wreszcie, po raz pierwszy odzywając się nie w zwykły, prosty sposób, tak jak odnosiliśmy się do siebie nawzajem, ale w bardzo wyszukany, oficjalny, jaki obowiązywał wśród jego ludu. Jakby był obcy. Jakby ona była obca. Uprzejmie, ale tak zimno, że aż dreszcz przebiegł mi po krzyżu. Wymienili zagadkowe spojrzenia. I w tym dziwnie odrealnionym

momencie wszystko to, co do tej pory przyjmowałam za rzecz zwyczajną, zadrżało i obróciło się w pył. Jakbym zajrzawszy w lustro, zobaczyła obcą twarz. Uświadomiłam sobie wtedy, że po raz pierwszy Nenek spojrzała bezpośrednio na ojca. Dłuższą chwilę trwali w pulsującym, wrzącym od napięcia własnym świecie. My z siostrą przestałyśmy istnieć. W głowie, lecz jakby dochodzący z bardzo daleka, usłyszałam głos, dawno zapomniany głos. Idy Bagus.

Nie był to przyjazny głos. Od dawna znał tabu, skrywane w naszej rodzinie. Pełne triumfu szyderstwo, które usłyszałam, kradnąc świerszcze spod jej domu, okazało się prawdą. Tym razem nie była to zwykła plotka o Nenek, lecz rzeczywista prawda. Od razu stało się jasne, dlaczego nazywano ją herjanda kembang. Choć w dosłownym tłumaczeniu słowa te oznaczają młodą wdowę, ich prawdziwy wydźwięk jest pejoratywny. Określa się w ten sposób niedawno owdowiałą kobietę o wątpliwej moralności.

Wreszcie wszystko zrozumiałam. Świadomie doprowadził ją do tego, że na niego spojrzała. Zmusił ją. Żeby zademonstrować swą straszliwą władzę. Ach, gdybym tylko wcześniej uważniej patrzyła! Skrywane głęboko namiętności. To moja piękna babka była pierwszą i prawdziwą miłością ojca. Nenek pierwsza z nim spała, dopóki nie dostrzegła błysku pożądania w oczach swej kalekiej córki. Dwa były prawa, według których żyła moja

52

babka: nigdy nie odmawiała niczego córce i ustanawiała własne zasady. Sama usunęła się, oddając kochanka córce.

Ach, cisza. Cisza na Bali jest wyraźnym znakiem sprzeciwu, wręcz gniewu.

Palce mego ojca gniewnie obracały w koło bransoletę jong, którą wiernie, odkąd pamiętam, nosił przez te wszystkie lata, we dnie i w nocy. Nenek tak łatwo się go wyrzekła, a jednak zranione serce zazdrośnie przechowywało jej wspomnienie. Zdumiewająca była ta namiętność, którą tłumił w sobie mój łagodny ojciec. W głowie usłyszałam głos Nenek z tej nocy, kiedy umarła Ibu i kiedy jeden jedyny raz widziałam ją pijaną. „Wiesz, że nie ma takiej rzeczy, której bym nie zrobiła, żeby ją zatrzymać. Nie ma”. Podjęta decyzja nie pozostawiła w niej żalu. Łatwo jest zastąpić szlachetnie urodzonego kochanka, a córki się nie da.

Nagle wszystko zaczęło idealnie pasować. Nic dziwnego, że miłość Ibu była tak pełna rozpacz, powiedziałabym nawet: desperacji, i że ojciec, wędrowny lalkarz, rozładowywał dręczące go emocje w swoim teatrze. Dojrzałam też lęk Nenek, to ciężące na niej przekleństwo. Żal mi się jej zrobiło. Tego, co pozwoliła miłości zrobić z sobą. Jak snopek ryżu, który daje się wymłócić, pozwala się zmiażdżyć i zgnieść, by potem, bezbronny, wydany został na pastwę żaren. A mąka z niego? Prażyliśmy ją we wrzącym oleju, nazwaliśmy ryżowym ciastkiem i śmieliśmy się, jedząc. Jakże wielka i wspaniała była jej miłość do mojej matki!

Ojciec natomiast widział tylko to, że Nenek go poświęciła. Oddała kalekiej córce jak niechciany przedmiot. Jakże ślepe byłyśmy obie z siostrą! Tuż przed naszymi niepodejrzewającymi niczego oczami rozgrywał się wielki dramat dorosłych. Niepokojne duchy krążyły wokół nas.

Nic dziwnego. Nic dziwnego.

I tamtego dnia zrozumiałam, dlaczego wciąż unosił się w naszym domu przygnębiający szept: „To wszystko jest kłamstwo... To kłamstwo...”. Ojciec nie kochał nas. Żadne z nich nas nie kochało. Ani Ibu, ani Nenek, a już z pewnością nie ojciec. Dzięki naszemu istnieniu możliwy, wygodny i do przyjęcia dla reszty świata stawał się ich układ. I cóż naprawdę nam teraz ojciec oferował? Czym był ten kąsek, jeśli nie gorzkim naparem z odrzuconej namiętności,

53

tak wygotowanym, że pozostała tylko zemsta na dzień? A jednak miałam na niego wielką ochotę, pragnęłam daru ojca.

Zrodzony z trucizny, przysiadł na podłodze naszego ubożego domostwa jak cudowny skrzydlaty lis. Ledwo co narodzony, jeszcze słaby i delikatny, ale chroniony osłoną migotliwych skrzydeł, które - o czym wiedziałam - były strzałami przeznaczonymi dla serca Nenek. Nawet mając tę świadomość, nic nie mogłam poradzić na to, że mimo wszystko go pragnęłam. A dlaczegoż by nie? Czy całymi latami nie knuli swego spisku, rzucając nam jak ochłapy blade zapewnienia o miłości? Tymczasem lis obiecywał wielką przygodę i niesłychane cuda.

Londyn w zasięgu ręki!

Choć zachowałam milczenie, w sercu już opuściłam Bali i moją najdroższą Nenek. To tylko wakacje - mówiłam poczuciu winy kołoczącemu się w piersi.

- We wnętrzu każdego tygrysa kryje się stary, zmęczony człowiek - ostrzegła Nenek. Jej głos był zaledwie słabym szeptem.

Pod wpływem tych słów ojciec zeszywniał i tylko patrzył niewidzącym wzrokiem na wiszące na ścianach kolorowe tkane maty. Mówiła prawdę. Żerowisko tygrysa zawsze jest samotne i porośnięte chwastami. Każdy pozbawiony przyjaciół, majestatycznie przegowany zwierz ma w sobie starego, zmęczonego człowieka. Widziałam go. Siedział wyprostowany i dumny jak wojownik, ale nie w pełni żywy. On nie był jednym z nas, lecz pochodził z rasy starej, rozproszonej i zżeranej chorobą własnych myśli. Jego dusza nie była balijska, jak dusza Nenek, mojej siostry czy moja. Mój ojciec był jawajskim księciem. I nigdy o tym nie zapomniał.

W jego ostrożnych, niewidzących oczach kryło się przerażenie przepychem, tym, jak my traktowałyśmy pospolitą wulgarność złoceń, wybujałość form i jaskrawe kolory. Jawajski pan doskonale umie naśladować sztukę i kulturę Balijszczyków, staje się ich mistrzem, gotowym raczyć widzów prząsnym humorem, którego nigdy, przenigdy nie uzna za swój własny. Był subtelnym rycerzem, bez drgnienia powiek znoszącym ciężką, niesprawiedliwą dolę. Był panem własnych uczuć.

Ach, ojczu, dlaczego głębiej nie skryłeś swego sekretu? Nie wydajesz się już tak piękny wnaszych oczach. Odtąd jesteś dla

54

nas zaledwie ośleptym jastrzębiem, złośliwym skutkiem rozczarowania i gniewu. Całymi latami uczyłyśmy się kochać jego samotność jak coś pięknego. Uczyłyśmy się podziwiać przewrócone kolumny, porośnięte mchem posągi, spękane kamienne stopnie, sadzawki cuchnące stęchlą wodą. Rozmyślnie nie zważałyśmy na to, co było w nim pokonane i zniszczone. Jakaś część mnie wciąż

potrzebowała jego miłości, chciała wyciągnąć ramiona i ogarnąć nimi tę samotną postać, zgarbioną od lat pochylania się nad lalkami.

- Mój smutek jest niczym. Jeśli nie spojrzysz wstecz, nawet nie zrozumiesz, dlaczego padam od zadanych mi ran. Ale czy smak krwi twoich dzieci słodki jest w twych w ustach? - spytała Nenek. Głos miała przepełniony smutkiem.

- Ty też zdecydowałaś o przyszłości twojego dziecka. Czy teraz zabronisz mi mego przywileju? - Głos ojca był zgryźliwy.

Nenek uśmiechnęła się. Był to uśmiech balijski. Wcale nie oznaczał radości. Był jedynie próbą załagodzenia sytuacji, wyciszenia nieprzyjemnego obrotu spraw. Pokazania przeciwnikowi, że nie stanowi się dla niego zagrożenia.

W ciszy, jaka zapadła, ojciec wstał nagle i wyszedł do świątyni. Tej nocy, kiedy już w milczeniu nakarmił koguty, ukryta pod jego częścią domu podsłuchiłam słowa, które były dla mnie szokiem. Zaklęcia poskramiające czarownicę.

Twoje oczy ślepe,

Twoje ręce sparaliżowane,

Twoje stopy bezużyteczne.

Wyniosły i uczony strażnik nad moim śpiącym ciałem.

Nie umrę we śnie,

Mój parasol jest żółty, bogowie mnie poważają.

Nie bać się, nie bać się.

Tysiąc czarownic będzie mi się nisko kłaniać.

Nie bać się, nie bać się.

Tej nocy Nenek miała dziwny atak. W podobnym do transu stanie pełzała po pokoju, mruczając głośno, że nie wolno nam opuszczać wyspy. Bogowie zapomną, że mają nas chronić, a ona straci władzę nad złymi duchami, które chcą nam zrobić krzywdę.

55

Przecięła sobie nadgarstki i siedząc nieruchomo jak posąg, pozwoliła krwi płynąć, karmiąc w ten sposób nienasyconego jasnego węża i czarnego kota tak długo, że aż obie z siostrą przypadłyśmy w końcu do jej kolan, łkając:

- Dosyć, dosyć, dosyć.

Później tej samej nocy obudził mnie natarczywy głos siostry.

- Szybko, to Nenek.



Razem pobiegliśmy na bale. Nenek łkała jak dziecko, tak samo jak tej nocy, kiedy straciła córkę. Siostra uklękła obok niej i łagodnie gładziła ją po włosach. A ja ujrzałam, jak Nenek wynurza się z jakiegoś straszego koszmaru.

- Nadchodzi wielki smutek. Złamałam zasady. Błąd, nie wolno patrzeć wstecz. Teraz czarny kot stanie się niespokojny. Tracę nad nim władzę. Jest coraz bardziej zachłanny! - krzyczała, a oczy miała jak nawiedzone. Kiedy przyniosłam jej trochę wody, ścisnęła mnie za rękę i błagała: - Nie jedź. Czy jeśli będę błagać cię o przebaczenie, obiecasz mi, że nie pojedziesz? Powiedz. Powiedz, że nie pojedziesz.

Pochyliłam twarz w milczeniu. Podjęłam już decyzję. Im wcale nie zależało na nas. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że oczy Nenek jeszcze bardziej pociemniały i patrzą w nieznaną dal. Nagle odniosłam wrażenie, że bardzo się postarzała. Kruczoczarne włosy szydziły wręcz z wymęczonej twarzy.

- Nie, nie... Czy naprawdę zostawiłam wronę na straży moich cennych jajek? - wyszeptwała. Spojrzała mi w oczy. Rozumiała doskonale, że ja jestem głową, a moja siostra ciałem. - Naprawdę chcesz jechać? - spytała w końcu.

Wyjazd nie był prezentem, był próbą przekupstwa; nagrodą za jej samotność i przerażające zmęczenie w oczach. Próbowałam wyobrazić sobie ich dwoje w tym domu. Gorzka cisza, smutne kroki Nenek. Na to właśnie czekał. Dlatego chciał, żebyśmy wyjechały. Biedna Nenek.

Ale tamtego dnia ja też chciałam ją ukarać. Czyż nie ścisnęła mocno za jeden brzeg sieci kłamstw? Poczułam dłoń siostry na ramieniu i kiedy spojrzałam na nią, zobaczyłam w jej twarzy błaganie. Ale skrzydlatego lisa nie wolno było odrzucić.

- Zrobimy tak, jak życzy sobie ojciec - powiedziałam. Chciałam wyrwać się z naszej zapadłej wsi, gdzie każdy wiedział to,

56

czego nam nawet nie przyszło do głowy podejrzewać. Chciałam wydostać się na szeroki świat. Należało nam się. W oszukańczy sposób pozbawili nas matczynej miłości. Przynajmniej tego teraz nam nie zabiorą.

-I popędziły ku swemu przeznaczeniu... - rzekła cicho. Choć oczy jej lśniły w ciemnościach niczym dwie czarne perły, na twarzy malowała się klęska. Nenek nigdy niczego nam nie odmówiła. Ani razu. Jeśli tylko było to w jej mocy, walczyła o nas. Kiedyś powiedziała mi: „Staramy się czynić z naszych dzieci pośtańców własnych myśli. Ale dusza dojrzewa i już nasze wnuki odważamy się tylko kochać”.

Przez wiele dni kręciła dla nas tysiące czarnych kulek, pięciomiesięczny zapas jamu. Zapakowała je w dwie stare puszki po mleku w proszku. W dniu naszego wyjazdu weszliśmy do jej ciemnego pokoju po błogosławieństwo. Siedziała samotnie na wąskim łóżku. Dokoła niej leżały rozsypane składniki potrzebne do sporządzenia goździkowego kordiafu, kojącego ból. Uklękłyśmy u jej stóp.

- Już za późno - rzekła jakby ze zdziwieniem, a potem odwróciła się do mnie i poradziła: - Kiedy mistrz lalek daje ci skrzydła, oczywiście musisz odlecieć, ale pamiętaj, że masz się strzec drapieźników na niebie.

Nie miałam pojęcia, że już widzi mnie poza zasięgiem swojego opiekuńczego spojrzenia. Ruszałam w drogę niepewnie, z sercem złamanym jak jej. Mojej siostrze powiedziała jedynie:

- Śnij o Ibu.

Kiedy skręcałyśmy za rogiem, odwróciłam się i zobaczyłam ją stojącą przy bramie. Jej twarz była jak smutna maska. Podniosłam rękę, żeby jej pomachać, ale ona natychmiast cofnęła się poza zasięg mego wzroku. Z ręką na ustach. Wszystkie jej dotychczasowe słowa jedynie utwierdzały moje serce w uporze, natomiast ten niemy smutek poruszył mnie do głębi. Wydawało się niesprawiedliwe, że ta wspaiała, silna kobieta musiała mi ustąpić.

- Przykro mi, naprawdę, ale tak musi być - szepnęłam. Nagle przypomniałam sobie siostrę i znów przysiadłam na

kolanach ojca, udając, że jesteśmy lalkami brzuchomówcy, poruszającymi ustami w momentach wyznaczonych jego głosem.

57

Wtedy po raz pierwszy moje stopy kroczące w ślad za ojcem zawahały się, a ja poczułam ukłucie strachu przed wielkim, szerokim światem i przed drapieżnikami na niebie. A jednak Nenek miała rację. Było już za późno, bo kiedy ojciec odwrócił się i swoim zwykłym spokojnym, obojętnym głosem powiedział: „Szybciej, bo spóźnicie się na samolot”, strach zniknął, a moje stopy przyspieszyły kroku.

Muszę teraz bardzo starannie cedzić tę historię. Pilnować, żeby całe złoto zostało wypłukane z rzeki.

Przyjechaliśmy do Anglii w styczniu. Na lotnisku Heathrow spotkał nas krewniak ojca, dumny, przystojny mężczyzna. Zmierzył nas wzrokiem od stóp do głów, jakby z nami coś było nie tak, jakby nie mieściło mu się w głowie, że ojciec mógł tak beztrąsko pogwałcić prawo czystości krwi. Dla czegoś takiego?... - zdawał się mówić jego wzrok.

- Chodźmy - rzucił krótko i odwróciwszy się, poprowadził nas przez tłum zebrany w hali przylotów. Przy drzwiach zatrzymał się. Postawiliśmy bagaże na ziemi i spojrzaliśmy wyczekująco. Popatrzył na zegarek. Powiedział, że ma mało czasu. Zaraz wraca do Manchesteru, gdzie mieszka z rodziną. Nie przewiduje następnych spotkań z nami.

Na dworze panował przenikliwy ziąb. Było zimniej niż podczas najzimniejszej nocy w górach. Nie byliśmy odpowiednio ubrane na taką pogodę. Szybko wsiadliśmy do taksówki, tuląc się do siebie wzajemnie, żeby się ogrzać. Stryj podał kierowcy adres. Wyglądało na to, że jedziemy prosto do mieszkania nad barem z kebabami. Stryj nie wyraził chęci zobaczenia naszego lokum i zaczął w taksówce. Z baru wyszedł jakiś człowiek i kazał nam iść za sobą ciemnymi, stromymi schodami. Na imię miał Mustafa. Pokazał nam pokój. Mały, nędzny. Pachnący stęchlizną. Dwa wąskie łóżka zestawione razem. Okno wychodzące na ulicę. Czarne ślady palców przy kontaktach. Licznik, do którego wrzucało się monety, żeby włączyć ogrzewanie. W rogu była kabina prysznicowa, a toaleta, porządna i splukiwana wodą jak te w Denpasar, znajdowała się na końcu korytarza. Czysz za tę szczyrzą norę

58

wynosił sto pięć funtów tygodniowo. Zobaczyłam zgorzenie w oczach siostry. To niemożliwe, żeby coś tak nędznego aż tyle kosztowało. Przecież na Bali za tę sumę wynająłoby się pałac.

Zostawiłyśmy bagaże i zbiegłyśmy brudnymi schodami z powrotem do czekającej taksówki. Po kilku minutach jazdy znalazłyśmy się przed kawiarnią o zaparowanych oknach, w której miałyśmy pracować. Przy drzwiach zadźwięczał mosiężny dzwonek. W środku powietrze gęste było od zapachu smażeniny. Kilku gości siedziało nad wielkim posiłkiem, który - jak się tego później dowiedziałam - nazywa się pełne angielskie śniadanie. Smażone jajka, kiełbaski, bekon, fasola, pieczarki i smażone połówki pomidorów. W tym zatłuszczonym świetle smażyło się nawet chleb. Stryj podał rękę właścicielowi, który zamiast ust miał wąską szparę, jakby po cięciu nożem, i przedstawił nas nie jako krewne, ale jako znajome. Potem zwrócił się do nas:

- W takim razie zostawiam was. Ponieważ pewnie się już nie zobaczymy, od razu się pożegnajmy. Życzę wam szczęśliwej podróży powrotnej na Bali.

Po czym wyszedł i wsiadł do czekającej taksówki.

Właściciel był zimnym człowiekiem. Miałyśmy pracować sześć dni w tygodniu od szóstej trzydzieści rano do szóstej trzydzieści wieczorem, z czterema półgodzinnymi przerwami. Za sto dwadzieścia funtów na rękę dla każdej. Dał nam służbowe stroje, białe koszule i krótkie czarne spódnice. Powiedział, że potrąci za nie szesnaście funtów z naszych zarobków. Mogłyśmy jeść do woli z tego, co zostanie z każdego smażenia, i dostawałyśmy dwulitrową butelkę napoju z limon na dzień.

- Możecie zacząć jutro - powiedział. - Jakby się kto pytał, to jesteście krewnymi, które przyjechały na wakacje. Po prostu pomagacie nam przez kilka dni.

Skinęłyśmy potakująco. W głębi ducha byłyśmy straszliwie przerażone. Nie spodziewałyśmy się, że tak szybko będziemy zdane na własne siły w obcym mieście. Tak rozpoczęły się nasze cudowne wakacje - praca sześć dni w tygodniu w brudnej, ponurej kawiarni. Choćbym nie wiadomo jak starannie i często sprzątała, zawsze na stołach była warstwa tłuszczu.

Sześć razy w tygodniu w chłodzie wczesnego poranka szłyśmy do pracy, mijając prostytutki obstawiające poranne pociągi. Pod

59

drzwiami czekałyśmy, aż przyjdzie kucharz i nam otworzy. Bardzo szybko się przyzwyczaiłyśmy. Poranek zaczynał się od bysiowatych robotników budowlanych, którzy niezmiennie i regularnie usiłovali nas podrywać. Byli nieszkodliwi. Robili to w sposób zabawny. Nieco później schodziły się agresywne, wymagające, bezkształtne kobiety o niemilych twarzach, ciągnące za sobą po trzy lub cztery bachory, przy czym ciągle krzyczały na swe pociechy i groziły im laniem. Frytki i kiełbaski dla małych potworów i pełne śniadanie dla mamus. Dowiedziałam się od kucharza, że takie jak one nie musiały pracować, ponieważ rząd utrzymywał je i ich dzieci.

W porze lunchu przychodził personel biur. Głównie mężczyźni. Z wyblakłymi, załęknionymi oczami. Często czytali przy posiłku.

Po zakończeniu lekcji w szkole zjawiała się druga fala kobiet żerujących na opiece społecznej, zbyt leniwych, żeby ugotować obiad (nazywały ten posiłek podwieczorkiem). Po nich, tuż przed

zamknięciem, kiedy nasz skąpy szef podliczył już kasę i poszedł sobie, a my miałyśmy jeszcze opróżnić popielniczki i pozamykać, zjawiali się bezdomni. Zaczęło się od tego, że raz przyszedł jeden i starannie przeliczywszy drobniaki, zamówił kawę. Tak mi się go żal zrobiło, że nie tylko nie wzięłam od niego za kawę, ale też podgrzałam mu resztki bekonu. W ciągu tygodnia wieść się rozeszła i potem miałyśmy siedmiu czy ośmiu takich stałych gości, przychodzących w porze zamknięcia. Nie podawałyśmy im już resztek, ale bezlitośnie opróżniałyśmy lodówki z ich zawartości.

Wiedziałyśmy, że jeśli nasz skąpy szef dowie się o tym, wścieknie się, że sobie tak poczynamy z jego własnością, ale nie poczuwałyśmy się do żadnej lojalności wobec niego, odkąd dowiedziałyśmy się, że tylko my dwie i chłopak z Macedonii, nielegalnie zatrudniony jako pomywacz, dostajemy tak lichy wynagrodzenie. Angielskie kelnerki i grecki kucharz z oficjalnym pozwoleniem na pracę zarabiali ponad dwa razy tyle co my. Było też niemal pewne, że potrąciłby nam z wypłaty, gdyby się dowiedział.

Zapach bezdomnych kojarzył mi się ze zdechłym psem, ale najpewniej była to mieszanka odoru alkoholu parującego wszystkimi porami skóry oraz psującej się żywności pochowanej

60

po kieszeniach. Pod pretekstem, że musimy uważać, czy szef nie wraca, otwierałam drzwi kawiarni, żeby przewietrzyć salę. Stojąc w progu, obserwowałam przystanek autobusowy po drugiej stronie ulicy.

Patrzyłam na podjeżdżające piękne czerwone piętrowe autobusy. W zapadającym mroku kierowcy w oświetlonych wnętrzach wyglądali jak nierealne zjawy. Rozmarzona, obserwowałam ludzi czekających w kolejce na wejście w otwierające się z sykiem drzwi. Kolejno wsiadali do środka. Mój wzrok śledził ich, jak płacą kierowcy za bilet i szybko przechodzą dalej, starając się znaleźć miejsce. Kiedy już usiedli, wyciągali książki lub po prostu zaczęli gapić się w mrok za oknem. Czasami ich spojrzenia napotykały mój wzrok, na moment pojawiało się w nich zaskoczenie tym, że są obserwowani, ale potem oczy pasażerów ześlizgiwały się obojętnie z przyglądającej się im kelnerki. Kompletny brak zainteresowania. Szczęśliwi we własnym świecie. Zazdrościłam im.

Ani razu nie odważyłam się sama stanąć w kolejce na przystanku. Podświadomie wiedziałam, że autobus jest tylko symbolem. Iluzją i mrzonką rozczarowanej cudzoziemki. Próbowałam wyobrazić sobie, jak zabiera nas daleko od przygniatającej nudy codziennej pracy, wiecznie zimnego pokoju i nieznośnie brzydkiej rzeczywistości naszych wakacji, i przenosi gdzieś, gdzie jest ciepło, bezpiecznie i gdzie by nas kochano. Dokąd naprawdę bym zawędrowała, gdybym uległa pokusie? Autobus stałby się po prostu autobusem, banalnym, z pobazgranymi ścianami i gumą do żucia przyklejoną do siedzeń.

Byłam głęboko nieszczęśliwa. W chwili dziecinnej złości zламаłam serce mojej babce, a w zamian trafiłam do tego szarego, niedobrego świata. Ona zawsze nas kochała. To oczywiste.

Londyn gorzko mnie rozczarował. Nie to obiecywał błyszczący lis. Tak często zaniebawane przez słońce miasto było w naszym odczuciu nieprzyjemnie wilgotne. Właściwie padało tutaj niemal codziennie, wielkie marznące krople deszczu rozpryskiwały się na oknach. Nawet dzień odchodził wcześniej. O czwartej po południu było już ciemno. A dworzec Victoria? Miejsce, które kiedyś wydawało się tak wspaniałe, wręcz czarodziejskie, było jeszcze bardziej szare i jeszcze bardziej obce.

Przemierzałyśmy to obce miasto wzdłuż i wszerz, zawsze w butach. Tu nie było gdzie chodzić boso. Ziemia pozbawiona była szmaragdowo zielono złotych pól ryżowych. Ludzie szli spiesźnie, otuleni w smutne stroje i z nieszczęśliwymi minami. Nikt się nie uśmiechał. Nikt się do nas nie odzywał. Raz na ulicy stary człowiek w pogniecionym kapeluszu spojrzał na nas i rzucił ponuro:

- Paskudny dzionek, co?

Byłyśmy tak zdumione tym, iż obcy Anglik zwrócił się do nas, że skinęłyśmy mu i uśmiechnęłyśmy się. Jakże zgłodniałe byłyśmy choćby odrobiny miłości i ciepła!

I gdzie mieszkała Bogini Ryżu? Musieli ją stąd wygnać. Na skrzyżowaniach nie było ani jednej bambusowej świątynki wypełnionej darami. Jakże skąpi musieli być ci ludzie, skoro odmawiali swemu Bogu jedzenia.

Urządzali święta, ale ani dla Boga, ani dla demonów. Swojego Boga o miłej twarzy - a mieli tylko jednego - trzymali w wielkich jak największe jaskinie budynkach, które nazywali kościołami i katedrami. W świątyniach tych było zawsze zimno, a wierni wchodzili i wychodzili cichutko ze spuszczonej oczami. Mieli nerwowe, ponure twarze, jakby popełnili jakieś straszne grzechy i potrzebowali przebaczenia.

Tęskniłam za smakiem młodych pędów paproci, jasnozielonych i pysznych, podawanych z paseczkami piekąco ostrej papryki chilli, rosnącej dziko na skraju pól ryżowych. Moje podniebienie pamiętało małe, jasnoczerwone ananasy, które Nenek zbierała w porannej mgle, kiedy przemierzała dżunglę. Raz, obudziwszy się w chłodzie poranka, pod zamkniętymi powiekami zobaczyłam schyloną Nenek, jak zbiera pyłek opadający z egzotycznych różowo żółtych kwiatów. Mieniący się pomarańczowy złotook, wielki jak talerz, zerwał się spłoszony, lśnią i trzepocząc skrzydłami. „Las jest moją matką” - powiedziała Nenek, starannie wsypując pyłek do małej plastikowej torebki.

W piątkowe i sobotnie wieczory, zwinięta w kłębek i przytulona do siostry w poszukiwaniu ciepła, tęskniłam za dźwiękiem świerszczy grających w nocy, gdy tymczasem po ulicy włóczyły się bandy trzynasto i czternastolatków popijających cydr z plastikowych butelek.

Zbierali się przed naszym barem. Upojeni własną śmiałością, klęli, ile wlażło. Spróbowałam tego słowa na własnym języku. Litera „k” miała lekko gorzki smak, litera „r” była wydłużona.

Nie było tu ptaków krzyczących o świcie, jedynie gdy w nieruchomym powietrzu niedzielnego poranka szłyśmy po croissanty na śniadanie, widziałyśmy stada wron i gołębi zerujące na nocnych wymiocinach młodych ludzi.

Pracując sześć dni w tygodniu i zarabiając zaledwie tyle, żeby opłacić czynsz i kilka najpotrzebniejszych do życia rzeczy, niewiele mogłyśmy zdziałać. Wszystko było potwornie drogie. Pewnej niedzieli poszłyśmy na Trafalgar Square. Rozbawił nas widok takiej masy gołębi. Jakże znajome były ich szare ciała! Przypominały ruchome szare kałuże na chodniku, ale też przywodziły na myśl górala Bagaswatiego, mieszkańca wsi Batak, który wieczorami dorabiał sobie na plaży w Kuta. Zapalał naftową lampę pośrodku koła utworzonego przez turystów. Kiedy już skupił na sobie ogólną

uwagę, łamał zapałkę trzymaną między kciukiem a palcem wskazującym, a wtedy zamknięty w stojącej na ziemi klatce gołąb padał martwy. Zawsze rozlegało się westchnienie, przy czym kobiety milczały, a mężczyźni wygłaszali różne teorie. Wszyscy płacili.

Bagaswati zrobiłby majątek na Trafalgar Square.

Pewnego razu poszliśmy piechotą do Piccadilly Circus, gdzie pod stacją metra grubo opatulony człowiek sprzedawał pieczone kasztany po funcie za torebkę. Pieczone kasztany mają cudowny aromat. To zapach, który już zawsze będzie mi się kojarzył z zimą w Londynie. Grzałyśmy się w ciepłe piecyka, gdy poczerwiałe od węgla ręce wydawały nam nasze porcje.

- Proszę, złotko - powiedział sprzedawca kasztanów lekko ochrypłym głosem i wręczył mi małą papierową tutkę napełnioną gorącymi, słodkimi kasztanami.

Przy Shaftesbury Avenue odkryliśmy Soho. Jakie to dziwne, że homoseksualni mężczyźni tak agresywnie się afiszowali! Na Bali homoseksualizm jest jedynie eksperymentem, czymś, czego próbują młodzi chłopcy, nim się ustatkują, ożenią i będą mieli dzieci. No cóż, Bali jest rajem.

Zjadliśmy lunch w Chinatown, wśród znajomych zapachów.

63

Tam też natrafiliśmy na duriany, które obudziły w nas tęsknotę za domem. Zeenat policzyła i oznajmiła, że owoc kosztuje dwadzieścia dwa razy więcej niż u nas. Groził potężną dziurą w naszym skromnym budżecie, a jednak nie mogłyśmy się oprzeć pokusie. Na stacji metra ludzie przyglądali się nam podejrzliwie. Zapach, który sprawiał, że nam leciała ślinka, w nich budził wstręt. Jakie to dziwne! W pokoju ochoczo rozcięliśmy owoc, ale skończyło się to jednym wielkim rozczarowaniem. W środku nie miał miedzianego koloru owoców z dżungli, jakie Nenek przynosiła do domu, ale był mdło żółty. I wcale nie miał przydymionego, intensywnie słodkiego smaku, który tak uwielbiałyśmy. Został zbyt wczesnie zerwany. Potem, tak jak nas uczono od dzieciństwa, napełniłyśmy wydrążoną łupinę wodą i wypiliśmy. Siedem razy, oczywiście.

Po przeszło dwóch tygodniach przyszedł list napisany przez Nenek w dniu naszego wyjazdu. Niecały tydzień później postanowiliśmy wracać do domu. Patrzyliśmy sobie w oczy podekscytowane. Jakże szczęśliwa będzie Nenek, kiedy zobaczy, że nic złego się nam nie stało. Następnego dnia podczas przerwy wyszliśmy do budki telefonicznej i zmieniliśmy daty naszych biletów. Były ważne przez rok, ojciec dopłacił, ale co tam. Chciałyśmy wracać do domu i już. Zamierzałyśmy wymówić pracę pod koniec wieczoru. Zawsze wracam myślą do tego brzemiennego w skutki dnia z uczuciem zbliżonym do rozbawienia. Jak niewiele brakowało do ucieczki!

Za kilka minut miała się skończyć nasza zmiana.

Gdyby tylko nagle nie zaczęło padać!

Obie z Zeenat patrzyliśmy na niebo, które otworzyło się niespodziewanie i lunęła z niego ściana deszczu, gdy idący szybko ulicą, ubrany na czarno mężczyzna naraz skręcił w prawo. Zadzwoił mosiężny dzwoneczek, a on wsunął się przez uchylone drzwi do kawiarni.

Nie był naszym stałym klientem. Potężny, wysoki i śniady, o zwichrzonych jasnych włosach, oczy miał tak niebieskie jak morze, nos prosty i dumny, ale to głównie na jego usta się zapatrzyłam. Były nieprawdopodobnie zmysłowe. Nieznacznie wygięte w kącikach, jakby w lekko kpiącym uśmiechu. Nigdy przedtem nie widziałam takich ust, ani u mężczyzny, ani u kobiety.

64

Usiadł, strzepnął dłonią krople wody z jasnych włosów i drogiej skórzanej kurtki. Zauważyłam brak obrączki. Kiedy uśmiechnął się do jednej z tych flej, którym rząd płacił za to, żeby nie pracowały, odsłonił zęby drapieżne jak u wilka.

Nagle go zapragnęłam.

Spojrzałyśmy z siostrą na siebie.

- Ja pójdę - powiedziałam i przysięgam: nie czułam oddechu tygrysa na twarzy. Do tego momentu byliśmy niewinne. Dwie chodzące niewinności, aż proszące się, by ktoś je zdeprawował.

\* \* \*

Ricky Delgado.

Ricky.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, zdrowo lunęło. Klnąc na czym świat stoi wredną angielską pogodę, otworzyłem kompletnie zaparowane szklane drzwi mijanej właśnie kawiarni i schroniłem się w jej wnętrzu. Jezu, co za beznadziejne miejsce! Wcześniej ktoś musiał tu napsikać jakimś wyjątkowo smrodliwym odświeżaczem. Jak w kiblu. Gdyby tak zdjęć warstwę tłuszczu, stoliki okazałyby się zapewne w całkiem niezłym stanie, ale plastikowe krzesło, na którym usiadłem, było istnym narzędziem tortur. W moją stronę wystartowała ubrana na czarno biało kelnerka, której całkowicie obce było pojęcie pośpiechu. Za to genialnie się poruszała. Głowa w górę, łopatki ściągnięte, wolno kołyszące się biodra. I nagle przestało mi przeszkadzać, że angielska pogoda to taka złośliwa i wredna cholera.

W końcu czarno białe cudo dotarło do mnie, a że oczy miało tajemnicze, a usteczka uśmiechały się słodko, nie mogłem się powstrzymać: obrzuciłem ją od stóp do głów beczelnym spojrzeniem i gwizdnąłem. Wszyscy goście się odwrócili, żeby popatrzeć. Pies ich trącał. Co oni tam wiedzieli o azjatyckich laleczkach i o ich skórze jak jedwab? Była tak piękna i egzotyczna, że krew uderzyła mi do głowy. O rany, trzeba było widzieć to smagle ciało. Aż mnie ręce świerzbiały.

W którymś momencie, jeszcze kiedy gwizdałem, słodki uśmiech zadrżał lekko. Najczarniejsze w świecie oczy spojrzały na mnie, teraz niepewnie i nawet odrobinę wrogo, a ja już w myślach przesuwałem palcami po tej szyjce jak mleko z miodem, do żywej doliny piersi, po delikatnej, gładkiej skórze brzucha... i dymałem ją na całego.

- Co podać? - spytała. Naumyślnie chłodno. Dobra taktyka. Spodobało mi się jeszcze bardziej. Nieprzystępna. To zawsze działa.

- Espresso, małe - odparłem, automatycznie wykonując gest kciukiem i palcem wskazującym.

- Espresso, małe - powtórzyła z akcentem tak obcym, że pomyślałem sobie, iż pewnie od niedawna jest w tym kraju. I że pewnie jej angielski jest ubogi. Na szczęście dla niej i dla tego, co mi chodziło po głowie, nie ma sprawy, nawet jeśli jej zasób słów ograniczał się do: „Ooo, aaa, Eric Cantona”. Do tego mile widziane byłyby kocie miauki, ale... co tam, nie jestem wybredny.

Odeszła, kręcąc biodrami. Głowa prosto, łopatki ściągnięte, obcisła kiecka, pod nią świetny tyłeczek. Mijając duże lustro, odwróciła głowę; granatowo czarne włosy związane wysoko w koński ogon przeskoczyły na lewe ramię i nasze oczy spotkały się. Jej wzrok uciekł bardzo szybko. Weszła za bar i zajęła się ekspresem do kawy, mówiąc coś szybko w chinolsko brzmiącym języku do jakiegoś żółtego cherlaka. Nie jadłem nic od lunchu poprzedniego dnia, a lekko już wyschnięte jedzenie w podświetlonej szklanej gablocie wyglądało nawet na jadalne. Może jakoś przetrwam ten deszcz w kawiarni z tą wolno poruszającą się boginią. Bogini wróciła z kawą.

- Dzięki, Bella - rzuciłem uwodzicielsko, pieszcząc ją oczami, zgadując smaki, jakie odnalazłyby na niej moje usta.

- Coś jeszcze? Wsypałem cukier do kawy.

- Zjedz ze mną kolację - zaproponowałem, uśmiechając się drapieżnie. Wbrew powszechnie panującej opinii kobiety nie są w stanie oprzeć się dwunożnym wilkom.

Między jędrnymi wargami błysnęły zębki, wyglądające tak, jakby je spiłowano pilnikiem do paznokci.

- Tam, skąd pochodzę, mamy odpowiednie określenie na mężczyzn takich jak ty. - Zamilkła na chwilę i uśmiechnęła się. -Krokodyle lądowe.

Odrzuciłem głowę w tył i głośno się zaśmiałem. Świetna dziewczyna, w sam raz dla mnie. Zabawna, co się udzielało.

- Gdzie w takim razie mieszka reszta mego gatunku?

- Na Bali. Wiedziałem. Dzikuska.

- Byłem tam.

- Naprawdę?! - zawołała z ożywieniem. Czarne oczy pocieplały.

- Jestem Ricky. Jak masz na imię? - I tak nie miało to znaczenia. Na ogół każdą można przyuczyć, żeby reagowała na Bellę.

- Nutan.



- Nie daj się prosić, Bella. To tylko kolacja. - Mrugnąłem do niej i kiwnąłem głową. Na wypadek, gdybyś się dotąd nie zorientowała, jestem Włochem. Nawet lepiej. Sycylijczykiem. Rozważyła propozycję. Niemal słyszałem, jak skrzypią trybiki w jej główce.

- Weź ze sobą koleżankę, jeśli mi nie ufasz - zaproponowałem. Ten numer nigdy nie zawodzi. Słowo daję, kiedy nic innego nie działa, to poskutkuje zawsze.

Zaśmiała się. Była śliczna.

- Uparty jesteś. Ciekawe, jak to było, kiedy do twojej wioski przyjeżdżał lodziarz. Mogę zabrać siostrę bliźniaczkę?

Mamma mia, akcent miała wprawdzie dość dziwny, ale wyraźnie właśnie zaproponowała mi dwa towary w cenie jednego. Kusząca oferta, jak w supermarkecie, a nie w małej obskurnej kafejce przy Victorii. Jeszcze jedna taka sama jak ona. Dwie. Cały zestaw dla mnie. Nigdy dotąd nie miałem bliźniaczek. Ogarnęła mnie przemożna chęć pogrążenia się w lubieżnej fantazji, na którą składały się dwa piękne ciała splecione w gorącym uścisku, ale wcześniejsze jej słowa przeniosły moje myśli w zupełnie inny czas i zupełnie inne miejsce.

Lodziarz jest w wiosce. Słyszę jego dzwonek.

Jestem małym wiejskim chłopcem i biegnę do kuchni naszego domu. Jest tam kobieta o miękkim sercu. Robi involtini\*.

[\* Zwijane naleśniki (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki)].

Jej mąż utrzymuje, że najlepsze na całej Sycylii.

- Mamma, mamma, gelato! - drę się rozpaczliwie.

- Nie dzisiaj. - Głos ma tak zdecydowany, jak tylko ona to potrafi.

71

- Mamma, gelato, gelato! - krzyczę jeszcze rozpaczliwiej, biegając jak oszalały dokoła niej.

- Nie, Ricardo. Powiedziałam: nie - mówi jeszcze bardziej stanowczo, przekrzykując moje wrzaski.

Nikt inny nie nazywa mnie Ricardo.

Rzucam się na ziemię i walę piętami w kamienną podłogę.

- Gelato, mamma, gelato - zaczynam płakać na poważnie. Dobiegająca z dworu idiotyczna melodyjka staje się coraz głośniejsza, a ja doskonale wiem, że wkrótce zaczniesz się oddalać.

Potrząsa znowu głową.

-Nie.

Wygląda na to, że tym razem nie da się przekonać, ale ja zawsze walczę do upadłego. Moje ręce spieszenie przywierają do skroni, jakby dopadł mnie śmiertelny ból. Musi zmięknąć, inaczej samochód z lodami odjedzie. Wariuję. Nazwałabyś to pewnie histerią.

- Moja głowa, moja głowa, niech mi ktoś pomoże! - krzyczę.

- O Dio bono! - woła matka i już wiem, że się poddaje.

- Mamma, pomóż mi, moja głowa, moja głowa! - wydieram się jeszcze głośniej.

- Disgraziato\* - syczy, ale pulchna, ubrudzona mąką ręka sięga do wycięcia bluzki i spomiędzy miękkich piersi wydobywa portmonetkę.

[\* Łobuz].

Natychmiast przestaję ryczeć i zrywam się na nogi z wyciągniętą ręką. Chwytam podane pieniądze i wybiegam w jasne światło na dwór.

Kurwa, ty przecież nie chcesz słuchać tych wszystkich bzdur o dzieciństwie.

Chcesz? No dobra, powiem ci, co wiem, a nawet czego nie... no, czego lepiej nie wiedzieć. Żebyś się tak nie rumieniła, postaram się jak najmniej przeklinać. Andiamo. Tym razem od początku.

Matka mówiła, że kiedy była ze mną w ciąży, pojechała na Korsykę na wesele. Korsykanie mają sporą domieszkę krwi murzyńskiej i są dziwni. Wierzą w czarną magię. W każdym razie na tym weselu jakaś stara baba, oczywiście ubrana na czarno i w woalce jak z rybackiej sieci na paskudnej gębie,

72

przywołała mamę do siebie, żeby ta usiadła z nią pod drzewem oliwnym.

Starucha przyłożyła koślawe paluchy do brzucha matki i przepowiedziała:

- Ciesz się. Piękny chłopak wyjdzie spomiędzy twoich nóg. I zapamiętaj moje słowa, będzie to ktoś niezwykle.

Moja matka, która miała trzydzieści sześć lat i była lekko zażenowana tym, że zaszła w ciążę po szesnastu latach przerwy, bardzo się ucieszyła z błogosławieństwa korsykańskiej wiedźmy. Za jego sprawą w późniejszych latach zawsze mięła wobec mojej samowoli, co przyczyniło się do wzmocnienia wszystkich fatalnych cech mego charakteru.

Po każdym wykroczeniu puszczałem się szaleńczym biegiem w stronę pól, a mamma stawała w progu, ujmując się pod boki. Zazwyczaj w prawym ręku trzymała miotłę lub wałek, którymi mi wygrażała.

- Disgraziato. Tifaro in pezzi\*.

[\* Łobuzie! Rozedrę cię na strzępy].

Łobuziak, to jasne, ale nikt nigdy nie rozdarł mnie na strzępy. Człowiek szybko się uczy. Nawet w tym mało prawdopodobnym przypadku, kiedy dziecko nie zdoła umknąć karzącej ręce sprawiedliwości, włoskie rodzicielstwo przewiduje łagodne konsekwencje dla biednego berbecia. Parę godzin później, kiedy burza mijała, wracałem dokonać najazdu na spiżarnię. Stojąc na środku kuchni, nasłuchiwałem szurania nóg po schodach. Po pewnym czasie ta niska, przysadzista kobieta, zawsze w brzydkich, ale wygodnych butach, przychodziła do kuchni.

- Co, głodny jesteś? - Głos miała szorstki, ręce splecione na piersiach, ale już nie pamiętała, jakim to ja jestem okropnym łobuzem. Udając wstyd, zwieszałem nisko głowę i przyznawałem, że tak. Wydawała długie westchnienie cierpiętnicy i zabierała się do przyrządzania dla mnie kolacji. Potem zasiadała przy drewnianym stole i przyglądała mi się, jak jem. Ach, mamma, o pulchnej, ciastowatej twarzy, ciemnoszarych włosach i karmelowych oczach pełnych miłości i chęci dogadzania. Krzyczała i łażała mnie, po czym dawała wszystko, czego chciałem.

73

Mieszkaliśmy w wymierającej wiosce o nazwie Ravanusa. Tak dalece pozbawionej wszelkiej infrastruktury, że co dwa tygodnie około siódmej rano przyjeżdżała ciężarówka i przywoziła zapasy wody na nasze domowe potrzeby. Jeśli woda skończyła się wcześniej, musieliśmy pożyczać od sąsiadów. Nawet na centralnej piazzie było jakoś smętnie. Niezliczone chude lata zmniejszyły populację do tego stopnia, że wszyscy znali wszystkich. Każdy obcy był przedmiotem czujnych spojrzeń, dopóki nie stał się częścią życia wsi lub przynajmniej dopóki wszyscy nie wiedzieli dokładnie, co robi.

W Ravanusie był senny bar, dość spory targ, kilka ponurych sklepików, mała poczta, niekochane psy łańcuchowe na wszystkich podwórkach i osławione circolos, kluby hazardowe. Przy piazzie wynajmowano pokoje na jaskinie hazardu. Był to jeden z nielicznych występków, rujnujących mieszkańców tej wymierającej wioski. Ale jak tu ich winić za złe nawyki? W pewnym sensie budzili mój podziw. Przynajmniej uciekali od nieznośnej nudy.

Kiedy ich spalone słońcem twarze krzyczały: O Dio bono! -wcale nie było w tym rezygnacji. W czasie ogólnej posuchy tylko oni pili słodką źródlaną wodę. Byli to tutejsi mężowie, bracia, ojcowie, kuzyni, przychodził też częściowo sparaliżowany prawnik, zawsze w towarzystwie chłopaka, którego zadaniem było trzymanie kart i wypełnianie czeków na wielkie sumy, przegrywane przez pana.

W jednym z takich podejrzanych miejsc mój wuj stracił dom. Miał szóstkę, a jego przeciwnik wyciągnął siódmkę. Zdarzali się też zawodowcy, o szklistych, nieprzytomnych oczach, tasujący talię tak szybko, że karty świszczą tylko: ciach, ciach, ciach. To przy nich zbierały się grupki gapiów.

„Czy ty kompletnie zwariował?” albo „Nie bądź głupi” -szeptano z podnieceniem do odważnych, a zarazem żalonych mężczyzn, gotowych przegrać nieświadome tego żony na miesiąc lub pół roku, lub nawet na zawsze, jeśli któraś dobra kobieta, dowiedziawszy się o tym, powiesiła się.

Istniała duża szansa, że człowiek, który nie uprawiał hazardu, wpadał w szpony innego rozpowszechnionego nałogu. Alkoholizmu. Moim ulubionym alkoholikiem był Toto, śmieszny, zawsze

74

bardzo grzeczny mały człowieczek, który codziennie przychodził do baru. Zamawiał trzy grappy, na stojąco szybko wychylał je do dna i potem robił krok do tyłu, rycząc, jakby był nadal w wojsku: „Krok w tył!”. Później rozlegał się okrzyk: „W tył zwrot!”, a wtedy obracał się zgrabnie, strzelając obcasami, wyprostowany jak struna. Nikt nie zwracał już na to uwagi. Wracał piechotą do domu, wypijał kilka litrów wina i tracił przytomność, przeważnie w swojej stodole. Kupował wino od mojego ojca, dwie beczki czerwonego wina na rok, każda beczka o pojemności tysiąca pięciuset litrów. Ojciec opowiadał, że kiedy Toto był małym chłopcem, błagał mego dziadka o alkohol.

- Nie bądź taki, zio, daj mi trochę wina.

- Madonna mia, tylko nie znowu to - odpowiadał rozjątrzony dziadek.

Pewnego dnia zobaczył, jak Toto, leżąc na ziemi, pił czerwone wino prosto z kranika beczki.

Moim zadaniem było budzenie Tota każdego ranka. Wiosna, lato czy zima, rytuał zawsze był ten sam. Wylewałem mu na głowę wiaderko wody i czekałem, aż się poruszy. Alzati! „Obudź się!” - krzychałem, aż wreszcie ciężkie powieki się podnosiły, a mętne oczy spoglądały na mnie niepewnie. Zabarwione na fioletowo od czerwonego wina usta drgały w kącikach. Mamrotał coś, co brzmiało jak: „No dzień dobry, dzień dobry”. Siadał i przysięgam, że trzeszczały mu przy tym gnaty. Potem prawa ręka macała marynarkę, szukając drobniaków dla mnie.

Pewnego lodowatego lutowego poranka, kiedy drzewa migdałowe pokryte były białym kwieciami niczym pianą, przechyliłem wiaderko z wodą nad głową Tota i kazałem mu się budzić, ale on nie chciał wstawać, więc przewróciłem go na plecy. Jego fioletowe usta wykrzywione były w dziwnym, chytrym uśmiechu, jakby poznał sekret, o którym ja jeszcze nic nie wiedziałem. Był już sztywny. Miał trzydzieści pięć lat.

- Czy jesteś martwy, Toto? - spytałem ciało. Nie było odpowiedzi.

Cofnąłem się o krok, przewracając przy tym wiaderko. Hałas toczącego się wiadra wystraszył mnie i nagle przeraziłem się jak głupi. Toto cały czas uśmiechał się swoim martwym uśmiechem.

Byłem sam na sam z trupem.

75

- Mamma! - wrzasnąłem i uciekłem. Gnany strachem, pędziłem co sił w moich dziewięcioletnich nogach, a wtedy to ja naprawdę umiałem biegać. Wręcz słygałem z prędkości. Kiedy rozgrywano mecz piłki nożnej, obie drużyny najpierw błagały, a potem uciekały się do zwykłego włoskiego sposobu, czyli przekupstwa, żeby tylko mieć mnie u siebie. Biegając, cały czas miałem przed oczami martwą twarz Tota śmiejącą się zuchwale. Wariactwo.

Otwierając ciężkie drewniane drzwi domu, który zbudował mój pradziadek, dygotałem w sposób nieopanowany. W środku było zimno i ciemno. Pod solidnymi grubymi ścianami stały ohydne meble z drewna tekowego. Wszystko zostało kupione za czasów pradziadka. Na ścianie wisiał jego portret - wyglądał na nim jak dobry, uczciwy, pracowity człowiek i choćbym nie wiem jak się starał, nigdy nie potrafiłem wyobrazić go sobie jako mordercy.

A jednak nim był. Nawet odsiedział za to swoje. Dwadzieścia lat za wybawienie wsi od nękającego ją gangstera. Po wyjściu z więzienia został ojcem chrzestnym, takim jak u Maria Puzo, z tą różnicą, że pradziadek musiał poświęcić dwadzieścia lat swego życia za wątpliwy przywilej bycia tak kochanym i szanowanym, że najbłahsze wydarzenie we wsi nie mogło się obyć bez jego błogosławieństwa.

Było to w czasach, kiedy słowo mafia rzeczywiście oznaczało rodzinę, czyli lojalność. Kiedy przekłuwano sobie palce, rozsmarowywano krew na obrazku świętego i trzymając w ręku palący się skrawek papieru, przysięgano omertę: „Niech tak samo spłonę w ogniu, jeśli zdradzę rodzinę”. W tamtych czasach wielcy, zachowujący anonimowość ludzie honoru, tacy jak mój dziadek -

niepiśmienny biedny pasterz - żyli bez rozgłosu, przyjmując przysługi w zamian za przysługi. Nikt poza wioską nie wiedział, że skromny pasterz mieszkający w budzie na stoku wzgórza to capo. To była zwykła rzecz na Sycylii. Lud, od wieków rządzony przez znajdujących się daleko i niecieszących się zaufaniem kolejnych zdobywców, nauczył się we własnym zakresie rozwiązywać kwestie sporne.

Gdybyście spytali starszych ludzi o don Delgada, najpierw uśmiechnęliby się do własnych wspomnień, a potem pokiwaliby głowami z prawdziwym smutkiem. „To były czasy...” - zaczęłyby się lamenty.

76

Czasy, zanim fantastyczne zyski z narkotyków i prostytucji zmieniły mafię w dzisiejszego budzącego grozę, okrutnego i nienasyconego potwora. Mój ojciec nienawidził mafii, tego, czym się stała. „A bodaj się wszyscy pozabijali - spluwał za każdym razem, kiedy rozchodziła się wieść o kolejnym zabójstwie w Palermo. - To wataha psów bez więzów krwi i bez honoru. Zabijają niewinne kobiety i dzieci”.

Kiedyś w środku gorącego lata do domu naprzeciwko przybyli żołnierze mafii, pięciu mężczyzn ubranych po miejsku. Siedzieliśmy przy stole, jedząc minestrone, gdy nagle podmuch letniego wiatru otworzył drzwi frontowe. Stanęli w progu domu sąsiada i zastrzelili go. Tak po prostu. Na oczach żony i dwojga przerażonych dzieci. Hałas był jak przy eksplozji. Tamten upadł na ziemię razem z krzesłem, z ciała pociekły dwie ciemnoczerwone strużki. Odwrócili się, chcąc odejść, i wtedy zobaczyli nas, patrzących w szoku. Przez moment nikt się nie poruszył, ani żaden z nich, ani żadne z nas, aż wreszcie ojciec wstał i zamknął drzwi.

- Jednego mniej - powiedział. Więcej się o tym nie mówiło. Kiedy przybyli kompletnie obojętni carabinieri, okazało się, że „niczego nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy”.

Zdyszany po biegu, zatrzasnąłem ciężkie drzwi, odgradzając się od kłuszącego zimna i groteskowego uśmiechu Tota. Była dziewiąta rano i matka była w domu sama. Stała przed wielkim paleniskiem, trzymając w ręku rondel na długiej rączce. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć na mnie, i czerwono pomarańczowe płomienie oświetliły jej twarz. W zimie często gotowała mi śniadanie na ogniu. Jej puszyste omlety były wprost przepyszne. Kiedy ojciec był w domu, jedliśmy je, siedząc przed telewizorem. Potem ojciec spoglądał na mamę znacząco, przykładał palec do policzka i obracał nim, jakby wiercił w policzku dziurę. To znaczyło, że jedzenie było pierwsza klasa.

Podbiegłem do niej. Bez tchu złapałem ją za spódnicę i przekazałem wiadomość o śmierci.

- Martwy, martwy, Toto, Toto martwy.

Lewa ręka matki poszybowała w górę i zakryła usta, natomiast prawa - doskonale pamiętam - nie wypuściła rondla. Pragmatyczna sycylijska matka. Śmierć uderzyła poza rodzinnym kręgiem, a tu jest dobry posiłek, którego nie wolno zmarnować.

77

Tak, mamie daleko było do anioła. Gdy przychodziło do targowania się, stawała się zażarta, kłótniwa, krzykliwa, bezwstydną, agresywną i skąpa. Często ciągnęła mnie ze sobą na targ, gdzie całymi godzinami potrafiła wyklócać się o cenę koszuli czy krótkich spodenek. Jej taktyka była prosta. Najpierw powtarzała z uporem, że sprzedawca w ogóle nie ma serca, skoro żąda tak wygórowanej

sumy. Musi obniżyć cenę. Gdy to zawiodło, a przeważnie zawodziło, przestawała grozić i zaczynała błagać. Wyciągała portmonetkę i pokazywała, jak niewiele tam jest. Następnym posunięciem było udawanie, że odchodzi, by mógł za nią zawołać: Vieni, vieni, signora! Wtedy triumfalnie zawracała i płaciła cenę, którą wyznaczyła sama. Ale czasami nie wołał za nią. Wówczas musiała ustąpić i wrócić. Oczywiście, jeśli wszystko odbywało się w życzliwej atmosferze, nie był to żaden powód do wstydu, lecz jak najbardziej legalny sposób renegocjacji. I cała zabawa zaczynała się od początku, aż do momentu ponownego odejścia. O ile wiem, matka powieliła ten scenariusz do dzisiaj. Jest to silniejsze od niej.

Ma jeszcze w pamięci czasy wojenne, kiedy rodzina była tak biedna, że tygodniami noszono te same ubrania, a podstawą pożywienia były migdały. Mięso jedli tylko wtedy, kiedy jej ojcu udało się ustrzelić dzikiego królika.

Kupcy to rozumieli. Pochodzili z tego samego pokolenia. Zawsze byli uprzejmi, nigdy nie okazywali wyższości. Była to po prostu taka gra. Czasami oni tracili, czasami traciła pokrzykująca na nich klientka. W ostatecznym rozrachunku i tak się wszystko wyrównywało.

Pogrzeb Tota odbył się trzy dni później. Był bardzo sycylijski. Duszący zapach białych lilii. Sztwywni i zakłopotani mężczyźni w swoich najlepszych i jedynych granatowych garniturach, kobiety w czarnych strojach, ściskające nakrochmalone, wyprasowane białe chusteczki, pokoje pełne krewnych przybyłych uronić obowiązkową łzę, no i oczywiście zrozpaczona matka. Tu na chwilę chciałbym zatrzymać się i opowiedzieć o tragicznych sycylijskich matkach oraz ich nieokiełznanej rozpaczce.

Matka zawsze znajduje się blisko trumny. Jest to kluczowa pozycja i od osoby pełniącej tę rolę wiele się wymaga. Musi płakać za całą Sycylię. Bijąc się zaciśniętymi pięściami we własne

78

piersi, zawodzi: „ooo coo zaa ból, jaaki ból”. Potem szczegółowo zdaje nudną relację, jak to odmówiła jakiejś prośbie zmarłego. Wymyśla sobie i przeklina siebie tak zajadle, że wszyscy zaczynają wyobrażać sobie, iż było to coś bardzo ważnego i znaczącego. Tymczasem po chwili dowiadują się, że chodziło na przykład o przyniesienie szklaneczki czerwonego wina, o co drogi zmarły poprosił ją wiele miesięcy temu. Na tym nie kończą się jęki i płacze, ponieważ matka zaczyna przypominać sobie inne powody do poczucia winy, jeszcze bardziej odległe w czasie. Przeplata je kolejnymi krzykami: „oooch jaki ból, coo zaa ból...”.

Nie należy zapominać, że towarzyszy temu nieustanne bicie się w lewą pierś. Mężczyźni bezskutecznie usiłują uspokoić kobietę. „No już, już, starczy” - błagają bez przekonania. Podobnie jak kupcy na targu, wszyscy doskonale znają swoje role. To też jest taka gra.

Matka Tota spogląda na mego ojca i zawodzi:

- Oooo jeszcze w zeszłym tygodniu mój Toto mówił mi, jak cię lubi... Ooo coo zaa ból... czemu, ach, czemu ja nie...

Niezrażony kiepskimi statystykami, jeśli chodzi o skuteczność pocieszania zbolącej sycylijskiej matki, żeby „proszę, przestała już”, ojciec po męsku podchodzi do niej.

Nie muszę chyba dodawać, że nie udało mu się wykonać zadania, choć naprawdę papa jest niezwykłym człowiekiem. Potrafi wyczuć deszcz w powietrzu i wystarczy, że spojrzy przez okno, a wie, która jest godzina. Nigdy nie pomylił się o więcej niż piętnaście minut. Często razem jemy nasz ulubiony przysmak, i to w nasz ulubiony sposób. Wkładamy do ust po dwie sardele, do tego dwa lub trzy zielone winogrona i dopychamy wszystko chlebem. Jest to nasza własna, niepowtarzalna kombinacja. To myją wymyśliliśmy i uważamy, że jest nie do pobicia.

Ojciec jest rolnikiem. Sycylijscy rolnicy bez słowa skargi harują jak woły codziennie, nawet w niedzielę. Nawet w najzimniejszy zimowy dzień ojciec o piątej rano jest już w polu i pracuje. Trawi go żądza ziemi, ziemi i jeszcze raz ziemi, a już nabytej nigdy nie sprzedaje. Ma dwadzieścia tumina ziemi. Jest to dawna miara, która zachowała się w wiejskich zakątkach Włoch.

79

- Jak to jest dużo? - zapytałem kiedyś.

- Bardzo, bardzo dużo - odparł z cichą dumą.

- A w kilometrach? Wzruszył ramionami.

- Kto wie? Ale to dużo, bardzo dużo.

Pamiętam go jako silnego, pracowitego i zabawnego, bardzo zabawnego człowieka. Opowiadał fantastyczne historie o życiu przed wojną. O czasach w Paryżu, kiedy to niejednokrotnie, podobno „przypadkiem”, lądował w barze z panienkami, z drinkiem w rękę i olśniewającą blondyną uczeponą ramienia. W tych czasach lubił towarzystwo niezłej blondynki. Szkoda, że go nie słyszałaś. Jeszcze nim zdążył otworzyć usta, już zaczynałem się śmiać. Był naprawdę zabawny. Złościł się, gdy mu się przerywało, i to było jeszcze zabawniejsze.

- Nie przerywaj. Twój dziadek taki był, twój stryj taki był, a teraz ty sam tak się zachowujesz.

- No dobra, dobra. Niech tata mówi dalej.

- Teraz już nie pamiętam - mrucał niezadowolony. Kondukt żałobny Tota był wyjątkowo smutny i ponury.

W przeraźliwie zimny dzień przeciągał nieznośnie wolno środkiem miasteczka, a zgromadzone w nim kobiety głośno zawodziły. Gdy przechodziliśmy, sklepikarze i mieszkańcy zamykali okna i zaciągali rolety. Wiem, że to brzmi jak pozbawione współczucia odcięcie się od śmierci i żałobników, i wierz mi, że na miejscu wyglądało to jeszcze gorzej, ale taki jest nasz obyczaj. Kiedy ja umrę, wszyscy będą robić to samo.

Idące na czele konduktu dzieci rzucały kwiaty na drogę przed karawanem. Na końcu szliśmy we czterech, Giuseppe, Lilio, Ignizio i ja, i szeptaaliśmy między sobą. Byliśmy bandą strasznych łobuziaków. Naszym bohaterem był Sando Khan, la tigre de Malaisie. Nie opuściliśmy ani jednego odcinka w telewizji. Snuliśmy już plany w związku z obchodami karnawału w lutym, które odbywały się na ulicach naszego miasteczka. Stacaliśmy wtedy walki z podobnymi bandami z sąsiednich wiosek. Odpędzaliśmy wrogów kijami. Cała nasza banda liczyła dwudziestu chłopów.

Ale najlepiej było zawsze w lecie, kiedy o ósmej wieczorem jest jeszcze ciepło i jasno. Gdy mama, siedząc na dole, szykowała listę moich występów do wglądu dla ojca i dla jego paska,

80

uciekałem cichcem na strych. Ostrożnie podważałem obluźwane deski dachu, wymykałem się na gzyms i po rynnicy zjeżdżałem w dół.

Na głównym placu miasteczka czekali już na mnie Giuseppe, Lilio i Ignizio, popalając tanie niemieckie papierosy. Robiliśmy zrzutkę i ustawialiśmy się w kolejce po sangonaccio, krwawą kiszkę. Nic na świecie nie może się równać z tymi kiełbaskami podpiekanymi na małym przenośnym piecyku don Collogerego. Jeżeli stało się na końcu kolejki, istniało spore prawdopodobieństwo, że trzeba się będzie obejść przepaszającym uśmiechem don Collogerego. On już nie żyje, ale była to niezwykła postać. Szczupły, zasuszony, z włosami lśniącymi jak lakierki, siedział na drewnianej skrzynce po piwie peroni, cały ubrany na czarno, od małej czapeczki na głowie do wyczyszczonych na błysk butów.

Požeraliśmy kiełbaski na stojąco, a raz, kiedy mieliśmy za mało pieniędzy i nie stać nas było na sangonaccio, Giuseppe wybłagał u swego ojca, który sprzedawał ryby, pudełko sardynek. Potem zakradliśmy się do piwnicy mego ojca i zwędziliśmy trochę wina. Zanieśliśmy pudło z rybami i wino do opuszczonego domu, roznieciliśmy ogień z gałązek zebranych na zboczach wzgórz i upiekliśmy sardynki. Aby nas nie nakryto, jedliśmy i piliśmy w ciemnościach. Kompletnie pijani, zjedliśmy nawet głowy. Następnego ranka biedny Giuseppe zwymiotował, kiedy odkrył, że zjadł rybie oczy. Mnie tam było obojętne. Nie jestem wrażliwy.

Czasami w garażu mego ojca odbywaliśmy walki na miecze. Najpierw zanurzaliśmy miecze w baku vespy należącej do mego brata, a potem zapalaliśmy je. Pewnego dnia Lilio zanurzył w baku palący się miecz. Benzyna zajęła się natychmiast. Wybiegliśmy w dzikiej panice, zatrzymaliśmy się jak wryci trzy jardy od drzwi garażu i wrzeszcząc, popędziliśmy z powrotem. Giuseppe chwycił krzesło i zbliżył się w stronę płonącej vespy.

- Co ty wyprawiasz?! - ryknąłem. Oczyma wyobraźni widziałem już, jak cały dom staje w płomieniach. Biegaliśmy jak szaleni, szukając wody. W przypiływie rozpaczki Lilio zaczął walić w otwór baku swoim mieczem i, Grazie Santa Maria, płomienie w cudowny sposób zgasły. Padliśmy na kolana z niewysłowioną ulgą.

81

Piękne były też letnie wakacje.

Nie musiałem codziennie wychodzić razem z ojcem o piątej rano do szkoły i męczyć się podczas powolnej, półtoragodzinnej jazdy na traktorze. Nie znośłem jazdy w zimie, kiedy na traktorze było tak potwornie zimno, że szczykały mi zęby i traciłem czucie w palcach. Mijający nas kierowcy często zatrzymywali się, żeby „podrzucić chłopca”. Sycylijska zima była potwornie zimna, a lato ogniste. Bywało tak gorąco, że w nocy nie można było spać. Wyciągałem wtedy materac z łóżka na balkon, ale o wpół do piątej rano budzili mnie mężczyźni na ulicy.

- Co ty robisz na dworze? Idź do środka! - wykrzykiwały szorstkie, denerwująco wesole głosy, przekrzykujące warkot traktora.



- Za gorąco w środku! - odkrzykiwałem.

- Allora, śpij dalej. - I hałas traktorów zamierał w dali.

W czasie wakacji nie jadłem na śniadanie, jak zazwyczaj, chleba i mleka czy puszystych omletów, lecz zabierałem pojemnik z pokrywką do domu Tsi Stefano, przy tej samej ulicy. W piwnicy ustawiałem się w kolejce rozgadanych kobiet i sennych chłopaków. Tsi Stefano doglądał zawieszonoego nad ogniem, podsycanym drewnem oliwnym, wielkiego żelaznego kotła, w którym bulgotało mleko. Kiedy przychodziła moja kolej, serowar, o powykrzywianych rękach z węzłami żył, nalewał do pojemnika trzy, czasem cztery płaskie chochle puszystej ricotty i trochę płynu. Wręczałem mu dwieście lirów i pędziłem do domu, gdzie wyjadałem wszystko do czysta, pomagając sobie kawałkiem chleba. Pycha.

Moją pierwszą pracą było karmienie świń. Dostawały papkę złożoną z trocin, wody i różnych resztek. Po nakarmieniu świń biegłem do babci. Mieszkała w zakurczonym domu, gdzie pachniało fermentacją, zupełnie jakby hodowała grzyby pod łóżkiem. Jak u każdej sycylijskiej babci przed obrazkiem Madonny paliła się czerwona lampka i stał bukiet sztucznych kwiatów. Spiesznie myłem podłogę i naczynia. Robiłem to za pieniądze. Czasami musiałem usiąść w pokoju i wysłuchać monotonnych opowieści o wojnie. „Dwa dni i dwie noce Niemcy maszerowali przez Ravanusę... A potem przyszli grzeczni amerykańscy żołnierze. Poprosili o arbuz i zjedli go z cukrem. - Tu chichotała

82

głośno i radośnie. - Amerykanie, ha, ha ha, arbuz z cukrem..."

W lecie razem z bratem pomagaliśmy ojcu przy zbiorze oliwek. Specjalnymi grabiami strącaliśmy owoce na siatkę leżącą na ziemi. Potem zbieraliśmy jasnozielone oliwki, wsypywaliśmy do specjalnego pojemnika na kółkach przyłączonego do traktora ojca i zawoziliśmy do tłoczarni. Były takie dwa zwariowane lata, kiedy ojciec dodatkowo uprawiał białe winogrona dla supermarketów i w związku z tym musiałem chodzić wzdłuż rzędów winorośli i walić łyżką w patelnię, żeby odstraszyć ptaki. W ten sposób miałem pracę przez siedem godzin dziennie. Ojcu żal było pieniędzy na strzelające z hukiem armatki.

W lecie tego roku, kiedy umarł Toto, zingara, czyli cygańskie dzieci, próbowały ukraść kasztanowy miód wytwarzany przez pszczoły z naszej pasieki. Był lipiec, pora zbioru migdałów. Migdały zbierane tak wcześnie są miękkie i kwaskowate i stanowią miejscowy przysmak. Cyganiaki przyszły podczas sjesty, myśląc, że nikogo nie ma w polu. Głupie dzieciaki ukrały cały ul i znacznie oddaliły się z nim od domu, ale kiedy go otworzyły, pszczoły wyroiły się i rozdrażnione południowym upałem zaczęły żądlić. Smarkacze biegali w kółko, wymachując chudymi brązowymi rączynami i krzycząc: „A sio! A sio!". Pobiegliśmy tam, obsypaliśmy ich piaskiem i pszczoły odleciały.

Na wzgórzu Saracion zachowały się greckie ruiny. Często znajdowaliśmy tam potłuczone ceramiczne talerze, popękane naczynia z terakoty, pokruszone amfory i narzędzia kuchenne z brązu. Zazwyczaj przedmioty te wykonane były w sposób dość prymitywny, toteż nie poświęcaliśmy im specjalnej uwagi, po prostu je wyrzucaliśmy. Jednakże pewnej wiosny, kiedy mój ojciec i brat spryskiwali drzewa niezdrowymi chemikaliami mającymi ochronić je przed czerwiem, natknąłem się na prawdziwy skarb. Znalazłem rzecz tak piękną, że nawet taki barbarzyńca jak ja, który znajdował przyjemność w zabijaniu kur dla zabawy, pomyślał, by ją zachować. Natrafiłem na ten mój skarb w sporej odległości

od powalonych, na wpół zagrzebanych w ziemi wapiennych kolumn, gdzie, jak wierzą, kiedyś stała świątynia.

Wejście do jaskini było tak wąskie, że do środka trzeba się było wczołgiwać tunelem długości czterech czy pięciu stóp, w czarnych

83

jak smoła ciemnościach. Potem tunel poszerzał się, aż docierało się do wyżej sklepionej przestrzeni, gdzie można było normalnie stanąć. W ścianach wykute były nisze, w kamiennym kręgu na środku zachowały się popioły i kawałki spalonego drewna. Ale najdziwniejsze było to, że dawno temu ktoś najwyraźniej dostał w tym miejscu małpiego rozumu. Wszystko zostało połamane lub roztrzaskane na drobne kawałeczki. Wszędzie leżały jakieś fragmenty, połamany męski tors, uszkodzone kozie rogi i kawałki pięknych niegdyś waz z czerwonymi figurami na czarnym tle.

Moją uwagę zwróciło przede wszystkim palenisko. Leżał tam wysoki na dwie stopy posąg kobiety, na wpół zagrzebany i zwęglony na brzegach. Połowa marmurowej twarzy była odrąbana, jakby ktoś potraktował ją toporem, zostawiając brzydką rysę biegnącą od krągłych piersi aż do bioder. Nogi odrąbane były na wysokości bioder, brakowało rąk. Jedną później znalazłem. Ktoś musiał rzucić nią o ścianę i wylądowała w jednej z wnęk. Uśmiech został zmiażdżony, a jedyne ocalałe oko było tak samo niewidzące jak we wszystkich rzeźbach greckich i rzymskich, ale kiedy w migoczącym świetle zapałki odwróciłem statuę na bok, przebiegł mnie dreszcz. Była niewiarygodnie, w niedający się wyrazić sposób piękna. Krwawa bogini. Skarb. Dotknąłem brudnymi palcami zachowanej połowy twarzy i doznałem dziwnego uczucia, że właśnie zostałem w coś wtajemniczony. Była moja.

Wiele wieków temu w mojej sekretnej świątyni dokonano w napadzie szału dzieła zniszczenia. To było oczywiste, ale dlaczego? Kiedyś bogini musiała posiadać tu swoje sanktuarium. Czemu ktoś porąbał posąg i pozostawił w jaskini? Cała sprawa osnuta była mgłą tajemnicy. Kiedy wytarłem figurę rękawem swetra, w moim sercu zagościła zachłanność i z jakiegoś powodu, dla mnie samego niezrozumiałego, postanowiłem trzymać ją z dala od oczu innych, nawet chłopaków z mojej własnej bandy.

Dokładnie zamaskowałem wejście. Często przybiegałem na wzgórze i wślizgiwałem się do jaskini, żeby popatrzeć na mój największy sekret. Aż do dnia, gdy za sprawą miłości owinąłem starannie posąg i zaniósłem w prezencie dziewczynie.

Tego roku oliwki były zbyt małe, żeby je zbierać i przerabiać na oliwę, więc rolnicy po prostu zostawili je na drzewach. I tak mieliśmy ich za dużo. Siedziałem na drzewie oliwnym, chcąc wypatrzeć

84

wejście do króliczej nory, kiedy zobaczyłem ją, jak idzie od strony sąsiedniego pola z naręczem pełnych kwiatów. Jej głowę okalała cudownie puszysta chmura włosów o barwie ciemnego miodu. Była najśłodszym stworzeniem, jakie w życiu widziałem, o małych usteczkach koloru na wpół dojrzałych wiśni.

Nieświadoma mojej obecności, usiadła pod drzewem. Wokół niej unosiły się wielkie niebieskie ważki. Z kieszeni spódnicy wyciągnęła margerytkę i zaczęła obrywać kolejno płatki, nucąc: „Kocha, nie

kocha, kocha, nie kocha..." i ostatni płatek: „kocha". Natychmiast zerwała się na równe nogi, zaśmiała się radośnie i poczęła kręcić się w kółko. Jej małe stopy poruszały się coraz szybciej i szybciej, a chmura włosów podskakiwała i fruwała w takt tego wirowania. Jakże niezwykle rozkoszna była ta dziewczyna!

Po chwili usiadła ponownie i sięgnęła po następną margerytkę. Znowu skubała płatki, „kocha, nie kocha, kocha..." i na ostatni wypadło, że „nie kocha".

- Och nie - westchnęła. Nie do wiary. Czy to możliwe, że jej przestach był autentyczny?

Goła łodyżka pofrunęła za jej plecy. Kolejny kwiatek został wyciągnięty i ceremonia się powtórzyła. Ta łodyga też zasłużyła na odrzucenie i zasięgnięto porady następnego. No cóż, rezultat był znów taki sam. Nie kocha. Dziewczyna niespodziewanie ukryła twarz w dłoniach i załża się łzami, łkając, jakby serce miało jej zaraz pęknąć. Patrzyłem na nią z góry, coraz bardziej zaintrygowany.

Że tak drobne stworzenie potrafi płakać z takim żarem, było dla mnie całkowicie nowym i bardzo przyjemnym odkryciem. Doświadczyłem ukłucia niechęci do uczucia będącego przyczyną tego płaczu, do tej marnującej się namiętności. Nagle i niespodziewanie spłynęło na mnie przedziwne doznanie. Rywalizacja. Myśl o tym, żeby zdobyć jej miłość. Myśl o tym, żeby ją posiadać. Nie fizycznie. Wtedy byłem jeszcze niewinny. Chciałem ją mieć na własność. Jak zabawkę. Żeby móc powiedzieć kolegom: „Spójrzcie tylko na to cudowne stworzenie. Jest moje". Tak mi się przynajmniej wydawało, że to właśnie czuję, ale być może już byłem zakochany w rozwianych lokach i w tej bezmiernej żarliwości, z jaką ona potrafiła kochać.

85

Zsunąłem się z drzewa i jej zaskoczona twarz natychmiast uniosła się do góry. Co pamiętam? Oczywiście. Łagodne, brązowe, wilgotne. Widziałem, jak pierwszy moment przestachu, wyrażający się w szeroko otwartych ustach, przechodzi w prawdziwe przerażenie, gdy uświadomiła sobie, czego byłem świadkiem. A rumieniec? Muszę ci o nim opowiedzieć. Uroczy, budzący sympatię, jasnopurpurowy. Ale nim upokorzenie zdążyło przerodzić się w trwałe zażenowanie, wyciągnąłem rękę i pomogłem jej wstać, jakby była starym kumplem. Postanowiłem sobie, że pewnego dnia będzie moja.

- Chodź, pokażę ci jaskinie - zaproponowałem, nie mając na myśli naturalnie tej mojej sekretnej - a potem pójdziemy na lody.

I właśnie kiedy jedliśmy lody w słodkiej bułce, dowiedziałem się wszystkiego o Francesce Sabelli.

Podobnie jak wielu innych sycylijskich rolników borykających się z wysokimi podatkami, ojciec Franceski wyjechał za granicę, żeby jego rodzina miała więcej ziemi. Przyjeżdżali tu co roku latem na wakacje do krewnych, zwiększając na ten czas populację miasteczka. Francesca opowiedziała mi o tym dalekim kraju, w którym mieszkała, o Anglii. Z zawiścią słuchałem opisów miasta pełnego sklepów, domów, kin, miejsc, gdzie można potańczyć, restauracji i wielkich samochodów.

Kiedy skończyły się wakacje, pożegnaliśmy się pod oliwnym drzewem. Wyciągnąłem niezgrabny, zawinięty w gazetę pakunek. Otworzyła go ochoczo, ale wzdrygnęła się na widok zawartości, jakby to był żywy wąż. Z przerażeniem patrzyła na moją krwawą boginię.

- Okropne - wymamrotała, splatając ręce.

Popełniłem błąd, zmarnowałem moją najpiękniejszą własność. Powinienem być dać jej słodczyce, tort albo świecidełko ukradzione w wiejskim sklepie. To wielki cios, kiedy ukochana osoba nie jest w stanie docenić poświęcenia związanego z darem. Widząc zmieszanie w moich oczach, skłamała:

- Nie, właściwie to jest aż nazbyt piękne... niezwykle... zdumiewające. - Zagryzła impulsywnie wargi. - Dzieło sztuki. Tak, tak, im dłużej patrzę, tym bardziej mi się podoba - dodała. Ale już się stało. Oddałem jej moją najcenniejszą rzecz, a ona jej nie chciała.

86

- Przyjadę do ciebie. Daj mi swój adres - poprosiłem. Szybko napisała adres na kartce. Ścisnąłem ją w dłoni.

- Ti amo, Francesca.

Rozpromieniła się. Jej włosy rozwiały leciutki wietrzyk, a ja pochyliłem się i pocałowałem młode, wypukłe usteczka. Dziwny był ten pierwszy pocałunek. Dla mnie pierwszy smak niewinności, bez języczka, bez namiętności, bez techniki. A jednak był piękny. Pamiętam go do dziś. Ach, ta przeszłość! Ta niewiarygodna wprost delikatność Franceski.

- Pewnego dnia weźmiemy ślub - obiecałem. W wieku lat trzynastu mówi się takie rzeczy.

- Będę czekać na ciebie - zapewniła solennie.

Wiele lat później stanąłem u frontowych drzwi Franceski ze słodkich listów i stwierdziłem, że loki ma dokładnie takie same, jak je zapamiętałem. I że wielkie brązowe oczy nadal pełne są światła. Uprzejmie pożegnałem się z jej rodzicami i poszliśmy do kina. Póki szliśmy ścieżką, prowadziłem ją najspokojniej w świecie, ale kiedy tylko skręciliśmy za róg, chwyciłem ją w ramiona i pocałowałem. Wiele nauczyłem się od naszego ostatniego pocałunku i teraz całowałem ją długo i namiętnie. Gdy podniosłem głowę, byłem ekstatycznie szczęśliwy, a ona zyskała tytuł mojej dziewczyny, przyszłej żony i matki moich dzieci. Niczego nie nauczyła się od naszego ostatniego pocałunku. Nadal nie umiała się całować.

Pamiętam, jak raz spałem przez cały tydzień. Stało się to wtedy, kiedy matka i ciotka zawiozły mnie do Caltanissetty, gdzie miano mi usunąć niewielką narośl na rękę. Pamiętam, jak najpierw leżałem na stole operacyjnym, patrząc na dużą jasną lampę nad głową, a potem obudziłem się i ujrzałem ojca przyglądającego mi się z niepokojem. Później świat znów stał się czarny. Schrzanili prostą operację. Szyja i klatka piersiowa bardzo mi spuchły. Kiedy było po wszystkim, matka opowiedziała mi, że ojciec biegał jak wariat po korytarzu, przyparł lekarza do ściany i przysięgał, że wszystkich pozabija, jeśli cokolwiek, cokolwiek mi się stanie. Obudziłem się tydzień później w pokoju szczelnie wypełnionym wszystkimi moimi krewnymi: były tam dalekie ciotki, wujowie, których nie widziałem od czasów dzieciństwa, kuzyni, których nie rozpoznawałem, jeszcze dalsi kuzyni, o których istnieniu w ogóle nie wiedziałem.

87

Powiedziano, że tylko w dużym szpitalu w Palermo mogą nakłuć moją rozdętą klatkę piersiową, żeby zeszło z niej powietrze. Nie wiedziałem, co mi jest, ale nie bałem się, dopóki nie znalazłem się w karetce zupełnie sam, i wtedy byłem pewien, że umieram.

W Palermo lekarz zdecydował się na znieczulenie miejscowe. Gdy szedł w moją stronę z ostrym narzędziem w rękę, zacząłem krzyknąć:

- Ja umieram, ja umieram!

Lekarz miał dość specyficzne poczucie humoru.

- Aaa, no to umieraj - rzucił. - No już, szybko umieraj. Jak to? Jeszcze nie umarłeś? - kpił ze mnie, śmiejąc się.

Przez miesiąc nie mogłem się ruszyć, z piersi wystawała mi rurka, której koniec znajdował się w butelce z wodą w kształcie piramidy. Mój oddech wydobywał się z wody w postaci unoszących się w stronę powierzchni bąbelków. Mięśnie nóg tak mi zwiotczały, że musiano mnie podtrzymywać, kiedy po raz pierwszy usiłowałem zrobić kilka kroków. Wtedy na łóżku obok położono Rocca. Od razu zostaliśmy przyjaciółmi. Był starszy i pochodził z Palermo.

Wieczorami, kiedy już nas nakarmiono i podano ostatnią porcję lekarstw, wychodziliśmy przez okno. Rocca, ja i trójkątna butelka zabezpieczona w plastikowej torbie reklamówce. W ciemnościach czekało Palermo. Przeważnie po prostu przesiadywaliśmy w barach, pijąc kawę i paląc papierosy. Aż pewnego dnia Rocca zaproponował cielesne uciechy. Poszliśmy na dworzec kolejowy i tam, stojąc przy żelaznym słupie, odśpiewałem stare miłosne piosenki neapolitańskie z lat pięćdziesiątych, które zawsze śpiewał mój ojciec. Choć były to pieśni zazwyczaj wykonywane przez męskie głosy, szorstkie od wlewanej w gardło całymi latami grappy, brzmiały całkiem niezłe w wydaniu mego czystego, wysokiego głosu.

Kobiety reagowały natychmiast. „Biedny chłopiec” - mówiły, a ich oczy przesuwają się po rurce nękanej w plastikowej torbie, i wszystkie, jak jeden mąż, z wilgotnymi oczami wrzucały drobne pieniądze do czapki Rocca. Kobiety prawdopodobnie reagują na dzieci w taki sam sposób, w jaki mężczyźni reagują na piękne dziewczyny. Instynktownie, natychmiast i nie

zważając na rozsądek. Wkrótce w czapce zebrała się wystarczająca suma.

W gorącą noc znaleźliśmy ją w bocznej uliczce, opartą o latarnię, wachlującą się złożoną gazetą. Miała czarne buty na bardzo, bardzo wysokim obcasie. Skóra jej stóp, widoczna między ostrymi szpilkami obcasów i czarnymi skórzanymi paskami, gładka była jak ptasie jajo i zaczerwieniona od dźwiganego ciężaru. Patrzyłem na nią, zafascynowany napiętymi mięśniami łydek. Żadna kobieta w Ravanusie nigdy nie włożyłaby czegoś takiego.

Rocco wziął na siebie negocjacje.

Chciała wiedzieć, ile mamy, a on usiłował to zataić, żeby zachować coś na potem, na małego drinka w ramach oblewania i papierosy. W końcu cena została ustalona. Zaprowadziła nas na górę wąskimi schodami i otworzyła drzwi prowadzące do brudnego pokoju.

- Nie, nie, nie razem - powiedziała, kiedy ja też próbowałem wejść.

Rocco miał być pierwszy. Stałem z uchem przy drzwiach, uważnie nasłuchując. Przez jakieś pięć minut skrzypiały sprężyny łóżka. Potem Rocca jęknął, jakby z wielkiego bólu. Usłyszałem brzęk klamry paska

i ledwo zdążyłem odsunąć się od drzwi, kiedy się otworzyły. Spojrzałem ponad głupkowato uśmiechającym się kolegą.

Siedziała na brudnym łóżku i kiwała na mnie zakrzywionym palcem. Wziąłem plastikową torbę i wszedłem do środka. Zamknąłem drzwi. Na zewnątrz nie widziałem jej dobrze, ale w ostrym świetle nagiej żarówki widać było wyraźnie, że jest to najprawdziwsza lafirynda. Czarny koronkowy stanik, czerwone podwiązki, gruby ciemnoniebieski cień na powiekach, karmazynowe usta gryzące się z idiotycznie płomienistymi włosami. Nie miała majtek. Wszystko razem tanie i plugawe.

Trzymając kurczowo plastikową torbę, podszedłem bliżej. Postawiłem butelkę na ziemi. Rozpięta mi guzik i suwak. Luźne spodnie opadły na ziemię. Poczułem na sobie dotyk jej długich, zakrzywionych paznokci. Z tak bliskiej odległości to wszystko - płomieniste włosy, niepasujące do gęstych czarnych włosów łonowych, znudzone usta, krzykliwy makijaż i przytłaczająca obfitość sflaczałych piersi - okazało się zbyt intensywne.

89

Po chwili było po wszystkim.

W twardych oczach pojawiło się lekkie rozbawienie, po czym wzruszyła niedbale ramionami. Odwróciła się ode mnie i zaczęła się ubierać.

- Ej! - zawołałem.

- Bello - roześmiała mi się prosto w oczy - za tę cenę jest tylko raz. - Błyskawicznie się ubrała i stanęła z założonymi rękami, patrząc ponuro na moje spodnie. Nie byłem mężczyzną, który by ją do czegośkolwiek zmusił. Podciągnąłem spodnie i zapiąłem je. Otworzyła drzwi. Wyszedłem za nią. Rocco stał oparty o ścianę naprzeciwko. Unikałem jego wzroku. Zamknęła drzwi na klucz i razem zeszliśmy po schodach.

- Ciao, idźcie prosto do domu, chłopcy - doradziła dość uprzejmym, jak mi się wydawało, głosem, po czym skręciła w prawo za rogiem i zniknęła nam z oczu.

- No i jak było? - spytał Rocco.

- Świetnie - odparłem, a twarz paliła mnie ogniem. Zjedliśmy po kawałku pizzy. Wziąłem sobie napoletanę. Nie

mogłem dokończyć swojej porcji. Czasami zastanawiam się, gdzie ona teraz jest, ta niby twarda, a tak naprawdę sponiewierana przez życie istota, przez którą smak pizzy już zawsze kojarzy mi się ze smakiem upokorzenia.

Wkrótce potem wróciłem do Ravanusy, gdzie ciągle słyszałem na ulicy:

- Aaa! Mówiono, że nie żyjesz.

Było późne lato, dni skwierczały od upału, wiatr był ognistym, parzącym podmuchem. Cała Sycylia przemieniła się w jeden ogromny piec. Na stokach wzgórz, gdzie gleba jest kredowo biała, można było niemal oślepnąć od blasku. Na drogach pojawiały się wodne miraże. Dzieci zakradały się do

zwierzęcych koryt i piły z nich wodę. Ogłupiały od upału, leżałem na zacienionej werandzie, gdzie było gorąco jak w piekarniku. Jakiś owad brzęczał mi koło ucha, ale byłem zbyt ospały, by go odgonić.

Powietrze było tak nieruchome, że słyszałem Tsi Stefana, który w słomkowym kapeluszu na głowie kołysał się w bujanym fotelu na werandzie swego domu na drugim końcu ulicy. Zignorowałem głos matki wołającej mnie z kuchni po raz piąty.

90

W bezlitosnym upale czułem się tak, jakby życie wyciekało ze mnie wszystkimi porami ciała.

I przyszło mi do pogrążonej w letargu głowy, że gdybym w tym momencie na zawsze znieruchomiał, odpowiadałoby to mojemu wyobrażeniu piekła. Uwieczony na całą wieczność w ogłupiającej, bezlitosnej monotonii. Właśnie wtedy po raz pierwszy pomyślałem o ucieczce.

Potem znów przyszła jesień, powietrze było ciepłe i pijane od zapachu winogron fermentujących na krzakach. Chmary muszek opadały na nas, kiedy zbieraliśmy owoce. Siedziałem na wozie, leniwie wyjmując liście z winogron. Przejrzałe owoce ojciec odkładał na bok na wino. Tylko z winogron, których pestki zmieniły kolor z ciemnozielonego na brązowy, powstawało wino

o pełnym, przydymionym bukiecie. Przechowywano je w drewnianych beczkach i nie wolno go było wstrząsać. Ojciec robił najlepsze wino w miasteczku. Czerwone oczywiście. Prawdziwie sycylijski trunk.

Ignizio, Giuseppe i ja jedliśmy winogrona i walczyliśmy na nie, okładając się gronami. Skakaliśmy z mułów, gwizdaliśmy

i tańczyliśmy nasze szalone tańce. Ignizio nauczył się gdzieś jednej sztuczki. Kopał swego muła w zęby, aż zwierzak podskakiwał do góry z bólu. Uważał to za zabawne. Też głośno się śmiałem, ale nie byłem już jednym z naszej bandy. Umierałem wśród tej małomiasteczkowej mentalności. Musiałem się stamtąd wyrwać. Odczuwałem głód tego, czego smaku nigdy nie zaznałem: twardego, szerokiego świata poza naszą wioską. No i oczywiście był pognieciony papierek z adresem Franceski. Pod drzewami migdałowymi zbieracze starannie przesiewali odpadki, szukając migdałów przeoczonych przez ojca, a ja snułem plany wyjazdu.

Kiedy ojciec zaczął kłaść fundamenty pod dom dla mnie, ukradłem pieniądze i wyjechałem do Florencji.

Tam pracowałem na straganie u signora Rivoli. Pomagałem nosić skrzynki, układałem owoce w równe piramidy i przywoływałem kobiety robiące na targu zakupy. Zacząłem uczyć się angielskiego. W przeciwieństwie do matematyki język obcy wchodził mi do głowy dość łatwo. Wypatrywałem amerykańskich i angielskich turystek, żeby porozmawiać z nimi w ich języku.

91

Byłem wtedy ładny i miły, toteż zawsze miały dla mnie czas. Podobnie zresztą jak księża i zakonnicy, przychodzący na targ w sutannach i habitach. Często przystawali przy naszym straganie. Zupełnie jakby mieli wielką słabość do owoców. Niedozwolone pragnienia maskowali pełnymi pokory gestami, które w zupełności wystarczały, by zwieść signora Rivoli. Seksualność aż biła z ich kłajstrowatych

twarzy, kiedy ciemne rozbiegane oczy spoczywały na moich jasnych, skąpanych w słońcu włosach i flirtowały z moimi niebieskimi oczami.

Głosy mieli łagodne, ale oddech na moim czole był gorący, gdy nachylali się, żeby powiedzieć, co chcą kupić. Przeważnie chodziło o torbę brzoskwiń, ale mówili to tak, jakby to było jakieś sekretne hasło, które powinienem rozumieć. Kiedyś jeden z nich przesunął lekko palcem po moim ramieniu. Che biondi -szepnął. Z całkiem różnych powodów obaj wpatrywaliśmy się niczym zahipnotyzowani, jak jasne włoski na moim ramieniu unoszą się i opadają pod jego wędrującym dotykiem. We mnie natychmiast odzywała się skłonność do manipulacji, wywołująca prowokujące zachowanie w zamian za pieniądze, które wciskali w moją dłoń. Na lody. Na Francescę. Zawsze patrzyłem niewinnie, zawsze w bok.

Bardzo śpieszyło mi się do Franceski i żeby jak najszybciej zaoszczędzić, spałem w wagonach kolejowych. W tym czasie mnóstwo biedaków tak robiło. Zakradaliśmy się tam, kiedy stacja pustoszała na noc. Rano strażnicy, obchodząc wagony, krzydzeli na całe gardło: „Nooo, pobudka! Wychodzić”. Myłem się w dworcowej toalecie, zamykałem małą torbę z rzeczami w skrytce na dworcu i szedłem do pracy. Sypiałem z torbą pod głową. Pewnej nocy odzyskałem świadomość, czując pulsujący ból z boku głowy, i wnet okazało się, że moja poduszka wraz ze wszystkimi pieniędzmi, jakie miałem na świecie, zniknęła. Obrobiony do czysta, siedziałem w wagonie i płakałem z bezsilnego żalu. Niemal słyszałem szyderstwa ojca Franceski, widziałem ulgę na prostej twarzy mojej matki oraz mego ojca - „wybaczam ci, mój synu” - wręczającego mi kluczyki od tego przeklętego traktora. Spalona ziemia Sycylii znów parzyła mnie w stopy. Francesca była stracona.

92

Zwinąłem się ciasno w kłębek i płacząc, usnąłem. I wtedy przyśnił mi się sen. Najpierw zobaczyłem mgłę zbierającą się w pustym wagonie. Metalowa podłoga pod moimi stopami zmieniła się w jasną, kredową ziemię, po której biegałem jako dziecko, a powietrze stało się jakby zimowe, aż zacząłem dygotać z zimna. Mgła przybrała kształt ludzkiej postaci. Był to zarys sylwetki mężczyzny, który stawał się coraz wyrazistszy. Gdy uformował się w pełni, okazał się wysokim, pięknym mężczyzną przypominającym azteckiego wojownika o płaskiej, szczipłej twarzy, ostro zarysowanych kościach policzkowych i suchych, wąskich, okrutnych ustach. Najbardziej jednak niezwykły był siedzący na jego piersi olbrzymi pająk. Pająk w moim śnie przemówił łagodnym, nieco ironicznym kobiecym głosem:

- Nie masz dość, Ricky?

Zatkało mnie z wrażenia, ponieważ w tym momencie pająk zrobił dziurę w piersi mężczyzny i wypijał z niej czerwone mleko.

- Nie masz już dość, Ricky? - spytał znów pająk. - Nie masz dość tego nędznego życia? Chodź, Ricky, zbuduj mi jeszcze raz świątynię.

Jeszcze raz? W moim śnie nie mogłem mówić. Było mi zimno, tak strasznie zimno.

- Hekate, strażniczka mojej świątyni, nie uznaje mnie już. -Pająk zaśmiał się porozumiewawczym, szyderczym chichotem. Patrzyłem w osłupieniu, jakoś dziwnie bez lęku, tymczasem pająk rósł w oczach i stawał się coraz bardziej czarny, a jego oczy lśniły jasnozielono w ciemnościach. Całkiem zmienił swój kształt, a wtedy odwróciła się do mnie, ukazując profil. Od razu ją poznałem.



Była to moja strzaskana statua, ubrana w długie, powiewne szaty o brzegach haftowanych złotem. Tak piękna, że patrzyłem jak zaczarowany, jakbym był pijany do utraty zmysłów.

Na jej twarzy wolno wykwitł uśmiech. Nigdy dotąd żadna kobieta nie uśmiechnęła się do mnie tak wszechwiedząco, a zarazem tak uwodzicielsko.

- Wieki czekałam na ciebie, Ricky. Zbudujesz mi świątynię? Przywiedź do mego ołtarza ludzi zagubionych i poranionych, rozproszonych po ziemi jak zbłąkane owce. Ofiaruj mi ich dusze.

93

Chcę mieć po równo żądzę, zepsucie i upadek... - Zamilkła na chwilę, jej oczy patrzyły na mnie przebiegle. Usta złożyły się w trąbkę, przypominającą trujący bielun. - Tak jak niegdyś... - Powietrze dokoła niej wyglądało jak spękane, jakby przenikała je cieniutka pajęczyna. - Sam nie uwierzysz, jak wielka nagroda spłynie na ciebie. - Głos zniżył się do szeptu. - Wszelkie pragnienia twego serca... sława, szczęście, miłość...

Wiedziałem, choć nikt mi tego nie powiedział, że już jej kiedyś służyłem. I to ja zniszczyłem jej świątynię w napadzie dzikiego szału. W czujnie patrzących oczach bogini kryła się żądza i fałsz, jej alabastrowa skóra, przesiąknięta zepsuciem, lśniła zielonkawą poświatą. Miałem przed sobą potwora. Wyczuwałem bijące od niej zło, które wnikało głęboko w moje zastygłe w bezruchu ciało, lecz nawet we śnie byłem mężczyzną i kiedy poruszyła się tak, że jej szaty się rozchyliły, zrozumiałem, że się jej nie oprę. Zadrzałem.

- Powiedz: tak.

- Tak - odparłem.

Oczy bogini załśniły jak oczy lisa po zabiciu wszystkich kur w wiosce. Dotknąłem żołądka. W żyłach rozlało mi się promieniujące gdzieś ze środka ciepło. Dusząca mnie przedtem czarna rozpacz ulotniła się bez śladu, a ja czułem się tak, jakbym unosił się w przestworzach w oparach tego dopiero co odkrytego ciepła. Przyszłość jawiła się upajająca i wspaniała. Tajemnicze istoty utkane z mgły wolno poczęły się rozpraszać, aż w końcu pozostał jedynie śmiech kobiety pająka, niski, okrutny, jałowy dźwięk.

Obudziłem się w zimnym, pustym wagonie. Był to tylko sen, ale sprawił, że poczułem się silny i mocny. Droga przede mną rysowała się wyraziście.

Otworzyłem drzwi wagonu i uśmiechnąłem się jak szaleniec. Nie do wiary, cały świat spowijała czarodziejska mgła z mego snu. Taka, w której można patrzeć z zamkniętymi oczami. Taka, w której obraz widziany otwartymi oczyma podobny jest do tego pod zaciśniętymi powiekami... Dotknąłem guza na głowie. Był gorący i pulsował pod dotykiem, ale nie czułem nic. A może stara wiedźma z Korsyki miała rację? „Będzie to ktoś niezwykły”. Miałem zbudować świątynię, świątynię pająka, świątynię mocy, bogactwa i rozkoszy.

94

Znajomy powiedział mi o pokoju do wynajęcia. Wprowadziłem się. Ta cholera, moja gospodyni, była tak skąpa, że pewnie nie jadła z obawy, że będzie musiała później się załatwić i użyć papieru

toaletowego. Punkt dziewięta trzydzieści stara małpa wyłączała elektryczność w całym domu. Przyniosłem sobie przenośny telewizor, a kiedy wróciłem z pracy, stał pod drzwiami mego pokoju. „Żadnych telewizorów” - ton jej głosu był nadto wymowny.

Zatrudniłem się jako tynkarz. Była to ciężka robota, kładło się sześć warstw, nim można było powiedzieć: finito. Tynk we Włoszech jest inny. Zupełnie inny niż matowoszary tynk używany w Anglii. Nasz przypomina różowy marmur. U nas nowy tynk to bardzo ważna sprawa. Ludzie latami mieszkali w tylko otynkowanych wnętrzach, dopóki ściana nie zabrudziła się tak, że konieczne było malowanie.

Pewnego lata tynkowaliśmy szkołę. Podczas przerw przychodziły popatrzeć na nas tabuny chichoczących nastolatków. Ośmielone przewagą liczebną oraz oddzielającym nas murem, otwarcie gapiły się na mój nagi tors i wymieniały na głos uwagi. Po raz pierwszy stałem się wtedy obiektem zainteresowania płci przeciwnej. W miarę upływu czasu komentarze stawały się coraz bardziej śmiałe i aż dziw bierze, że całkiem nie przewróciło mi się od nich w głowie.

Kupiłem suszarkę do włosów, zainwestowałem w drogą skórzaną kurtkę oraz koszule w śmiałych kolorach i odtąd nosiłem się z fasonem. Na ulicy zarówno kobiety, jak i mężczyźni oglądali się za mną. Ale nie byłem szczęśliwy; przy takich zarobkach jak moje raczej trudno było dorobić się majątku. Kiedyż wreszcie będę bogaty i wpływowy? Koniecznie trzeba było dotrzeć do Anglii. Tam pieniądze leżały na ulicy i tam czekała na mnie Francesca.

Mając siedemnaście lat, pojechałem autostopem do Paryża, podwieziony przez pewną Francuzkę. Zaoferowała mi nocleg u siebie. W nocy przysła do mnie na kanapę. Przez najwyżej sekundę mój zmacony snem umysł nie mógł pojąć, co jest grane, ale gdy zaczęła całować moje plecy, natychmiast się ku niej odwróciłem. Była to prawdziwie rozkoszna niespodzianka. Pozostał mi po niej ciepły kącik w sercu dla wszystkich Francuzek.

95

Przesiedziałem u niej trzy miesiące, jak uzależniony. Seks, seks, seks. Zadziwiałem ją co najmniej trzy razy w ciągu nocy, bez jednego słowa, po prostu budziła się z czymś gorącym i twardym w środku. O świcie wyrwałem jej ciepłe ciało ze snu kolejną porcją. Szła do pracy, a mnie dzień mijał na czekaniu na jej powrót, by rzucić się na nią, kiedy tylko stanie w drzwiach. Dostałem kompletnej szajby na punkcie tego nowego dla mnie doświadczenia! Potem nagle pewnego dnia miałem dosyć i odszedłem.

Pracowałem w restauracji, zmywałem naczynia po obiedzie i kolacji. Wieczorami szef, w sumie nie taki zły gość, zamykał mnie w pomieszczeniu gospodarczym, gdzie w kącie leżał materac. Przez całą noc słuchałem z małego magnetofonu Pink Floydów i Cata Stevensa, a potem próbowałem grać na starej gitarze, którą dostałem od szefa. Okazało się, że muzykę mam we krwi. Nauka gry przychodziła mi łatwo. Najpierw chwyt, potem słowa. Starałem się poprawnie je wymawiać. Żeby dobrze je poznać, kupiłem słownik angielsko-włoski.

W pomieszczeniu tym roiło się od szczurów, ale były w porządku. Bardzo szybko nauczyliśmy się nie wchodzić sobie w drogę. Zabawne stworzenia. Wcale nie budzą we mnie wstrętu. Puszyste i brzydkie. Były tak samo głodne jak ja. W tamtych czasach przepadałem za słodyczami, a tam trzymano ciastka. Zdarzały się noce, kiedy zjadaliśmy cały wielki tort, szczury i ja. Ale nie było to życie dla mnie i po

miesiącu rozstaliśmy się ze szczurami. Teraz, gdy tak wspominam, mam wrażenie, że był to najbardziej niewinny i nieskomplikowany okres mego życia. Godziny brzdąkania na gitarze i totalne zauroczenie naiwnością Cata Stevensa i idealizmem Floydów.

Po odejściu stamtąd zostałem barmanem. Nauczono mnie podawać podgrzany koniak: kieliszek opierało się bokiem o filiżankę z wrzącą wodą. Nauczyłem się też sposobów, za pomocą których kelnerzy oszukują pracodawców. Przynoszą własny džin, który mają dobrze schowany, i przy barze zamawiają sam tonik. W barze płacą za tonik, dolewają swój džin, a gość płaci za džin z tonikiem. Świetny biznes. Nie do wykrycia przez najlepszy system kontroli. Mnie też dopuścili. Barmana trzeba mieć po swojej stronie. Mógłby sypnąć. Zepsuć dobry interes.

96

Po skończonej zmianie szliśmy gdzieś razem z kelnerami; kucharze byli raczej zbyt nie zrównoważeni, żeby brać pod uwagę możliwość wspólnego spędzenia wieczoru. Chodziliśmy na turystki do klubów nocnych. „O rany, spójrz tylko, jakie oczy! - piszczały, gdy przechodziłem. - Czy to kolorowe szkła kontaktowe?” Czasami mówiłem, że tak, czasami, że nie. Bez znaczenia. Przecież rano i tak mnie już nie zobaczą. Na swój własny sposób byłem wierny Francesce. Tych wszystkich twarzy i ciał nie pamiętam, ale wiem, że było ich dużo. Bardzo dużo. Zarabiałem na wyjazd do Anglii. Wiele się nauczyłem od Francuzek, ale najbardziej podobało mi się u nich to, że zawsze wyglądały i pachniały świeżo, kąpiąc się raz na tydzień - wystarczyła odpowiednia mieszanka dezodorantu i perfum.

Na koniec dotarłem do Anglii. Pogoda była tu paskudna, ale nie miało to znaczenia, wreszcie byłem tam, gdzie powinienem być. Tu był mój dom. Poznałem pewnego człowieka z Sycylii, który otworzył restaurację w Londynie. Restauracja don Calabresego przypominała piracki skarbiec, tak strasznie zagracona była najróżniejszymi dziwacznymi przedmiotami. Z radości na mój widok objął mnie na powitanie. Niemal się rozplakałem ze wzruszenia, że wreszcie ktoś przemówił do mnie po sycylijsku. Znał mojego dziadka. „Twój pradziadek był bohaterem” - powiedział. Usiedliśmy nad talerzem spaghetti vongole.

Lubił pozować na ekscentrycznego, nieszkodliwego, spokojnego starszego pana. Miał azjatyckiego szpaka, którego karmił karmą dla psów. Nauczył go, żeby skrzeczał: „Och nie, to znowu ty”, kiedy do środka wchodzili goście; żeby wołał: „No i gdzie moja kolacja?!” , gdy stolik już obsłużono; i pytał: „A rachunek?” tych, którzy wychodzili. Goście byli zachwyceni, nie wiedząc, że przez większość czasu „przemity ptaszek” wykrzykuje po sycylijsku obelgi pod ich adresem: „Banda angielskich świń, nie zna się na niczym. Dać im psie żarcie”. To od tego zwariowanego ptaka, który umiał też kaszleć jak stary palacz, przejąłem zwyczaj zaczepiania każdej przechodzącej babki.

Don Calabrese trzymał na liście płac zwariowanego kucharza, który wylewał kadzie wrzącej wody przy akompaniamencie

97

wrzasków: „Jesteś gównem!” na biednego Polaka, z kocią zręcznością uskakującego mu z drogi. „Małe gówno” - ryczał wtedy kucharz. Był kompletnie stuknięty, głąkał kawałki surowego mięsa lub ryby, przemawiając czule: „Patrzcie, piękny jak torebka od Prądy... jak pasek Guccio”. Natomiast gdy wychodził w białym fartuchu na salę do gości, był opanowany i uroczy. Niewiarygodne.

- Don Calabrese, szukam pracy.

Na moment przestał być ekscentrycznym, nieszkodliwym, spokojnym starszym panem i spojrzał na mnie bystrymi, przenikliwymi oczami. Tak, to był ten typ człowieka, który wyciąga ze zlewu plasterki cytryny, bo mogą się przydać następnego dnia do drinków, i pod koniec zmiany każe kelnerom zlewać z kieliszków pozostawione przez gości wino do wykorzystania w kuchni.

- Jakiej pracy?

- Dobrze płatnej. Wychylił swoją grappę.

- Chcesz roznosić paczki? Dobry zarobek i bez ryzyka, bo jesteś jeszcze dzieckiem. Nic ci nie zrobią.

- Si - odpartem.

- Przyjdź w piątek.

- Czy mogę pracować u pana jako kelner, zmywać lub pomagać w kuchni i mieszkać tu na miejscu? - spytałem.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Jasne, ale uprzedzam, że pieniądze są gówniane.

- W porządku.

Zamieszkałem na górze i kiedy nie nalewałem drinków, nie obsługiwałem stolików i nie pomagałem Polakowi zmywać, biegałem z przesyłkami. Odbierałem je i zanosłem pod wskazany adres, najczęściej do pubów. Po jakimś czasie zaczęto mi powierzać paczki, które miałem zawozić do Francji. O wiele bardziej się to opłacało, płacili nawet trzy tysiące funtów za jedną podróż. Gdy zaoszczędziłem około trzydziestu tysięcy funtów, spytałem don Calabresego, czy mi wystarczy, by coś za to kupić. Uniósł krzaczaste brwi, kiwając głową z podziwem: „Brawo”. Kilka dni później powiedział mi o restauracji La Giocanda, czyli Wesolek. Dzierżawa oczywiście, ale bardzo tania, biorąc pod uwagę lokalizację.

98

- Problemy z vatem - rzekł smutno. Najwyraźniej on też obawiał się urzędników od ceł i akcyzy. - Przekleństwo wszystkich restauracji - splunął ze złością.

Był to skromny lokalik przy Jermyn Street, ale był mój własny, a w dodatku całkiem sympatyczny. W rzeczywistości kosztował nie trzydzieści, ale dziewięćdziesiąt tysięcy funtów. Zgodnie z dawną włoską tradycją trzydzieści tysięcy było sumą oficjalną, zadeklarowaną w urzędzie skarbowym, podlegającą pod podatek. Reszta miała być wpłacona nieoficjalnie do ręki w postaci gotówki. Doszedłem do wniosku, że mi to pasuje.

Klucze dostałem w sobotę późnym wieczorem. Poprzedni właściciel, wychodząc, zabrał ostatni utarg. Stałem w progu i spojrzałem na słabo oświetlone wnętrze, na kieliszki lśniąco pod reflektorkami, na pusty bar, na stoliki w pobliżu kasy, jeszcze niesprzątnięte. W tej błogosławionej ciszy wszystko wyglądało jakoś tak magicznie.

Przez dłuższy czas chodziłem po sali: tu czegoś dotknąłem, tam coś przestawiłem, gdzie indziej czemuś się uważnie przyjrzałem. Starannie odkręciłem wszystkie butelki w lodówce etykietami na zewnątrz. Opróżniłem popielniczki. Wytarłem i wypucowałem bar, aż zaczął lśnić. Skończyłem o piątej nad ranem. Stałem po drugiej stronie ulicy i spojrzałem na oświetlone wnętrze. Nie mogłem wprost w to wszystko uwierzyć. Zamknąwszy oczy, wyobraziłem sobie hałaśliwą restaurację, pełną eleganckich gości, oraz zaparkowane gęsto samochody w uliczce. Jeszcze wiele lat później największą przyjemność sprawiało mi, gdy mogłem przejść się wolno ulicą, popatrzeć na drogie, stojące ciasno jeden przy drugim auta, i pomyśleć, że są tu z powodu mojej restauracji.

Po chwili zgasilem papierosa i poszedłem zamknąć drzwi. Miałem zaledwie osiemnaście lat.

Na początku pracowałem ciężko i długo. W pierwszy weekend, kiedy wszyscy już sobie poszli, udałem się na zaplecze i wciągnąłem z powrotem do środka wystawione przez personel czarne plastikowe worki ze śmieciami. Opróżniłem je na kuchenną podłogę. Na czworakach starannie sprawdziłem zawartość każdego z nich. Pamiętasz, powiedziałem ci już, że nie jestem wrażliwy. Odkryłem niebywałe marnotrawstwo. Wybrałem

99

wszystko, co jeszcze nadawało się do użycia, i przyrządziłem smakowity posiłek. Następnego dnia podałem go pracownikom. Jak zjedli, powiedziałem, skąd pochodziło jedzenie. Jedna z dziewcząt zwymiotowała i natychmiast dostała wymówienie, natomiast ci, którzy zostali, nauczyli się, że trzeba dwa razy pomyśleć, zanim się coś wyrzuci.

Po czterech miesiącach działalności otrzymałem pismo powiadamiające, że mam się przygotować na kontrolę wату. Groźny inspektor skarbowy okazał się kobietą. Przyszła o dziesiątej rano zapowiedzianego dnia. Biedna. Wysoką cenę zapłaciła za swoją wiedzę i intelekt. Zupełnie jak wcześniej w przypadku osób duchownych, tak i tu, wobec możliwości odniesienia korzyści finansowej, automatycznie przestawiłem się na program flirtująco uwodzący. Obrzuciłem ją powłóczyстым spojrzeniem.

Nie na darmo nazywano mnie w Paryżu wilkiem. Dobrze opanowałem swoje rzemiosło. Moje oczy zmierzyły ją od stóp do głów, po czym zatrzymały się na wąskich ustach. Przez te sześćdziesiąt sekund była najpiękniejszą kobietą na świecie.

Uniosłem brew. Zarumieniła się.

Zaproponowałem cappuccino. Niepewnie oblizała wargi i skinęła przyzwalająco.

Mrugnąłem. Dotknęła mysich włosów.

Sięgając po cukierniczkę, otarłem się lekko o jej ramię.

- Przepraszam - powiedziałem, nie spuszczając wzroku z jej ust.

Czy zje ze mną kolację? Obserwowałem jej wahanie.

- Nie - odparła, ale oboje wiedzieliśmy, że poległa. Usiadła przy stoliku w kącie i przeglądając moje papiery, popijała moją kawę. Cholera jedna.

Zaproponowałem ciastko. Uśmiechałem się. Zalotnie.

- Nie - odmówiła ponownie i podeszła do kasy. Wstuknęła kombinację cyfr i ku memu absolutnemu przerażeniu maszyna zaczęła wypluwać z siebie zwój papieru pokryty informacjami. Nie patrząc na mnie, wróciła do stolika i zabrała się do studiowania oskarżającej mnie rolki.

Aż się spociłem. Powinienem był zwrócić się do księgowego don Calabresego. Teraz siedziałem po uszy w gównie. Skąd miałem wiedzieć,

100

iż te kasy są tak zaprogramowane, że przechowują absolutnie wszystkie informacje?

Zawołała mnie do stolika. Spojrzała mi w oczy i powiedziała bardzo wyraźnie:

- Pańskie wyliczenia się nie zgadzają. - Krew uderzyła mi do głowy. Poczułem gorąco na policzkach. Cholera jasna. Przeklęta suka. Oczy spoglądające znad trzeciej filiżanki cappuccino były spokojne. Doskonale wiedziała, co jest grane. Nie przerywała ciszy. Cholerna, gruba, brzydka baba czekała, a ja dusiłem się we własnym sosie. - Coś mi się zdaje, że któryś z pracowników pana okrada. - Jej głos był tak samo spokojny jak oczy.

Spojrzałem na nią uważnie. A zatem wcale nie chciała mojej głowy, to był tylko taki pokaz siły. Nie dlatego, by moje zabiegi odniosły skutek, choć na pewno czuła pokusę. Nazbyt dobrze wiedziała, iż flirtuję z identyfikatorem inspektora podatkowego, a nie z nią. Aż nie byłem w stanie wykrztusić z siebie słowa, tak wielka ulga mnie zalała. Grube babsko po prostu bawiło się ze mną w ciuciubabkę.

Przystąpiła do pouczania mnie, jak można złapać takiego winowajcę, jakich liczb szukać i gdzie. Mówiła o tym, co mój złodziej może robić w przyszłości, żeby ukryć swoje sztuczki, i o niewykrywalnych sposobach, jakie są najczęściej stosowane. Skończyła i spakowała swoje rzeczy.

- Powodzenia - powiedziała i poszła sobie.

Doskonale wiedziała, że kombinuję, i jeszcze sama nauczyła mnie, jak lepiej maskować ślady, by stały się niewidoczne dla niepowołanych oczu. Czy to jakaś pułapka? Podszedłem do telefonu i umówiłem się na spotkanie z księgowym don Calabresego.

- Żyd, ale to prawdziwa perła - wychwalał go don Calabrese. Pojechałem do Hounslow i w bocznej uliczce zadzwoniłem

do zielonych drzwi. Asystentka była brzydką kobietą z wadą wymowy. Nie myśl sobie, że mam coś przeciwko zatrudnianiu niepełnosprawnych, ale jej zajęło dobre pięć minut, nim wystękała: „Proszę zaczekać. Pan Fass rozmawia przez telefon”.

Zaprowadziła mnie do poczekalni, która miała wielkość szafy, a w oknach wystrzępione zasłony. Zacząłem mieć poważne wątpliwości co do pana Fassa. Też byś miała, gdybyś zobaczyła

101

tę poczekalnię, z łuszczącą się farbą na ścianach, brudnymi kanapami i wejściem od tyłu. Zza ściany dochodziły głosy dwojga dzieci. Jedno z nich krzyknęło. Odgłosy kroków. Uderzenie. Krzyki oddaliły

się razem z krokami. Winowajca, zredukowany teraz do pociągnięcia nosem, został na miejscu. Ściany były bardzo cienkie. Wróciła asystentka i zaproponowała mi kawę. Tak długo trwało, zanim to z siebie wykrztusiła, że dokończyłem pytanie za nią i odpowiedziałem. Uśmiechnąłem się szeroko.

- Nie ma sprawy. Tyle że nie jestem przyzwyczajony do niepełnosprawnych.

Kiedy zjawiła się ponownie, tylko pokazała palcem na górę. Wszedłem po drewnianych schodach i zapukałem do jedynych znajdujących się tu drzwi.

- Proszę - rozległ się głos.

Wszedłem. Pokój od ściany do ściany wypełniony był brązowymi teczkami. Zawsze dobry znak. Przy zawałonym papierami stole siedział drobny człowieczek z wielkimi siwo czarnymi wąsami.

- Siadać, siadać - zaprosił, na wpół unosząc się, i wskazał mi krzesło z połamanym siedzeniem stojące naprzeciwko po drugiej stronie biurka. Jego lewe oko poruszało się normalnie, natomiast prawe patrzyło nieruchomo. Jezu, to dlatego żartowali sobie z niego, że tak wiele razy przymykał oko na różne sprawy, aż w końcu odmówił współpracy.

Usiadłem, przez następną godzinę on gadał. Zrozumiałem, dlaczego jest to taki skarb dla każdej włoskiej i chińskiej restauracji stąd do Birmingham. Wiedział wszystko, co należy wiedzieć, żeby skutecznie uciekać od podatku, i znał różne inne kruczki.

- I ci od podatku dochodowego, i ci od cła i akcyzy... wiedzą, że się oszukuje. Jak się nie oszukuje, to się idzie z torbami. Widzą liczby. Od tak dawna są w tej branży, że znają wszystkie przekręty, tyle że przymykają oko. - Wskazał swe nieruchome oko. - Dopiero kiedy człowiek staje się zbyt chciwy, spadają na niego jak sępy. Nawet wtedy jednak nie po to, żeby kogoś zamknąć, ale żeby wycisnąć z niego, ile się da. I mogą to zrobić. Mogą przyjść nawet do domu. Nie wolno ich lekceważyć.

W ciągu kilku minut nauczył mnie wszystkiego, co wiem dzisiaj. Kupować na czarno (płacąc gotówką, bez rachunków)

102

i utrzymać stałą marżę. Ściany mają uszy. Trzeba natychmiast niszczyć wszystko, co może stanowić obciążenie. Dogadać się z dostawcą obrusów. Liczą je. To samo z pudełkami do pizzy. Nigdy nie należy zgłaszać prawdziwych wynagrodzeń tym od podatku dochodowego. Zupełnie nie rozumieją, że włoscy kucharze wiecznie domagają się pieniędzy, odmawiając jednocześnie płacenia za siebie ubezpieczenia i podatku. I bardzo, bardzo ważne: nie wolno pozwolić, żeby marża brutto spadła poniżej trzydziestu procent. Wtedy komputer nie wyłowi danych. Należy pamiętać, że gdy w tym kraju otwiera się restaurację, ma się na dzień dobry cichego, zachłannego współnika, który nic nie robi, niczego nie wnosi, ale żąda prawie połowy zysków.

Jednak VAT wynosi siedemnaście i pół procent.

Tak, siedemnaście i pół procent od sprzedaży. Restauracje, w przeciwieństwie do księgowych, nie doliczają siedemnastu i pół procent do rachunku. Muszą wrzucić to w koszty. Po obliczeniu ostatecznego zysku siedemnaście i pół procent ze sprzedaży równa się owej połowie.

Następnie pan Fass zaprezentował swój magiczny kapelusz. Wyjął z niego wszystkie sztuczki, dzięki którym mogłem utrzymać tych drani z dala od mego garnka z miodem. Byłbym skończonym durniem, gdybym z miejsca nie zatrudnił tak niebywałego geniusza.

Skromnie skinął głową na znak zgody.

Nim skończyłem dwadzieścia lat, dzierżawa została ostatecznie przepisana na moje nazwisko. W wieku dwudziestu jeden lat ożeniłem się z Francescą. Byłem zakochany i świat był cudowny. Dwa lata później miałem drugą restaurację i pierwsze dziecko. Zaczynał pan Fass przysyłać cztery razy do roku jednego ze swoich pomagierów, który wyliczał VAT i tak ustawiał wszystko, by marża brutto była do przełknięcia dla centralnego komputera wydziału ceł i akcyzy. I sporządzał roczne rozliczenia.

Kiedyś na Boże Narodzenie przyjechali moi rodzice. Pojechałem na Heathrow ich odebrać. Wyglądali zupełnie jak uchodźcy. Matka miała na sobie długie futro, które posłałem jej na urodziny. Znacznie lepiej prezentowało się w sklepie na wieszaku. Wyglądała jak każda Włoszka w średnim wieku ubrana w coś takiego, niska i przysadzista. Ojciec, poblady z niepokoju,

103

prawie aż usiadł z ulgi na mój widok. Biedaki, nigdy przedtem nie lecieli samolotem. Bardzo przeżyli przesiadkę w Mediolanie. Francesca powitała nas w progu. Stojąc z tyłu, patrzyłem, jak klaszcze w dłonie, całuje teściów i obejmuje ich, zupełnie tak, jakby nie pogardzała nimi kompletnie.

Mamma rozpięła pękatą podręczną torbę i wyciągnęła trzy półtoralitrowe butelki po primera aranciata, napełnione po brzegi własnym winem. Następnie, jak magik wyczarowujący królika z kapelusza, wyciągnęła całe prosię, martwe i surowe. Uśmiechnęła się dumnie.

- Brawo! - zawołałem z zachwytem. Zawsze lubiłem prosiaki - i martwe, i żywe. Co by zrobiła, gdyby celnicy kazali jej otworzyć torbę, pozostawało dla mnie tajemnicą. Spojrzałem na moją żonę. Oczy miała szeroko otwarte, malowało się w nich niedowierzanie i lekki niesmak. Obiecałem sobie, że musi obejrzeć film Bernarda Bertolucciego, ten o zabijaniu świń, a wtedy zrozumie znaczenie prezentu mamy. Jak mógł nie wzruszyć jej widok różowego prosiaka, proszącego się o upieczenie? Za bardzo przejęła się tym, że ma być Angielką. To było jej wadą. Zapomniała o tym, co to znaczy być Włoszką. Przyrządzała suflety z kurczaka i podawała je w kamionkowych miseczkach. A bez świni nie ma uczy, Francesco.

Dzieci były zachwycone prosiakiem leżącym na stole. Lucca złapała go za racice, a Maria chciała obejrzeć od środka ryj, ale powstrzymał je zduszony krzyk Franceski.

- Zostawcie tę świnię w spokoju i natychmiast umyć ręce. To smutne u Franceski. Nie ma w sobie twardości kobiety

wiejskiej. Uległa neurotycznej obsesji higieny objawiającej się potrzebą „wietrzenia” pokoju co kilka godzin i otwierania okien nawet w środku zimy, strojenia dzieci w markowe ubrania i pilnowania, żeby się nie ubrudziły, i wzywania lekarza za każdym razem, kiedy dziecko się przeziębilo.

Mamma złożyła ręce na piersi. Nie podobało się jej, że wnuczki przyuczone są jeść spaghetti widelcem i łyżką. Straszliwym szokiem było dla niej odkrycie miarki do spaghetti w jednej z



kuchennych szuflad. Papa z kolei postukał w ścianki działowe. Oświadczył mi, że są cienkie jak papier. Aaaa! Nie ma to jak święta w rodzinnym gronie.

104

Restauracja prosperowała doskonale. Więc wziąłem następną. Jedną, dwie, trzy, potem cztery i pięć, aż doszedłem do dziesięciu.

Żeby sfinansować to wszystko, zorganizowałem coś w rodzaju narkotykowego łańcuszka. Sprowadzałem narkotyki, dzieliłem na porcje i rozprowadzałem wśród kierowników restauracji i nocnych klubów. W Trampie włoscy kelnerzy rozkręcili kwitnący interes. Bywało, że sprzedawali aż do trzech uncji tygodniowo każdy. Chyba wszyscy w to weszli. Nawet kierownicy moich restauracji. Po jakimś czasie zacząłem im dawać kokainę zamiast wypłaty. Wychodziło o wiele taniej.

Było ekstra. Pieniądze płynęły szerokim strumieniem. Miałem dwa złote roleksy, buty robione na zamówienie, garnitury szyte na Saville Row, stopy kaszmirowych swetrów i elegancki adres - 181 Chevening Road. Przy ulicy, przy której mieszkał kiedyś mój bohater Cat Stevens. Kobieta pająk dotrzymała słowa. Nadszedł czas, by zbudować jej świątynię, miejsce grzechu, i sprowadzić życiowych wykolejeńców.

Zdecydowałem, że będzie to mieszkanie. Po dziurki w nosie już miałem bzykania kelnerki w toalecie, nad kuchennym zlewem, na desce do krojenia, w chłodni czy w piecu do pizzy! Kanapa w biurze była niewygodna, a poza tym pijane i napalone klientki nie zdarzały się tak często, jak bym sobie życzył. Chciałem mieć miejsce pełne pornografii, gdzie mógłbym urządzać potężne orgie. Tuzinami spraszać prostytutki. Dostarczałbym kokę i jeszcze bym na tym zarobił.

Zacząłem szukać mieszkania. Miejsca, gdzie mógłbym składać w ofierze po równo grzech, żądę i upadek. Pośród tego wszystkiego naprawdę kochałem Francescę. Moją mater dolorosa. Ponad wszelkimi podejrzeniami, dziewiczą i czystą. Ważną część mnie samego.

Znalazłem w końcu mieszkanie, zapłaciłem gotówką i zapisałem na nazwisko brata. Żeby się fiskus nie czepiał. Było proste: jedno duże wnętrze na dole i dwie sypialnie na górze. Mieściło się nad pubem i wchodziło się do niego po schodach, na których ktoś namalował fioletowymi literami napis: „Schody do nieba”. Uznałem, że bardzo pasuje. I tak zaczął się najbardziej szalony okres mego życia. Dzień i noc przychodzili i wychodzili ludzie,

105

często dziwni, niejednokrotnie zaburzeni. prostytutki na telefon. Całnocne imprezy.

Do tej pory nie tknąłem koki, aż pewnego dnia pomyślałem: a co tam, spróbuję; i puf, natychmiast ujrzałem pajęczynę. Dopóki nie posypałem jej białym proszkiem, była niewidoczna. Teraz się pokazała, idealna kula złożona z setek tysięcy delikatnych, przenikających się oczek. Dla nieświadomych niebezpieczna pułapka, dla świadomych zapowiedź niekończącego się grzechu.

Wszystko układało się dobrze. Zadzwoiłem do matki, żeby zawiadomić, że Francesca znowu jest w ciąży. Na ułamek sekundy w słuchawce zapadła cisza, po czym mama zasypała mnie gratulacjami. W końcu, powodowana inną wielką włoską troską, zapytała:

- Czy stać cię na jeszcze jedno dziecko? Wiesz, że musisz je nakarmić, ubrać i zbudować im dom?

Nafaszerowany koką, zaśmiałem się.

- Si, mamma. Stać mnie na dziesięcioro dzieci.

- Skoro tak uważasz - rzekła z powątpiewaniem. Imprezy stawały się coraz bardziej szalone, prostytutki coraz

bardziej wyuzdane. Pieniądze płynęły nieprzerwanym strumieniem.

Wszystko na czarno, jak mówią Włosi, gotówka z ręki do ręki.

\* \* \*

Francesca Sabella.

Francesca.

Myślałam, że umrę, kiedy tamtego popołudnia na Sycylii Ricky zeskoczył z drzewa. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. W samotności płakałam rozpaczliwie z jego powodu, aż tu nagle zjawia się on sam, a oczy ma tak niebieskie jak sycylijskie niebo w najpogodniejszy letni dzień. Jak sięgam pamięcią, zawsze kochałam się w Rickym, z daleka oczywiście. Wyobrażałam sobie nawet, że on wciera sobie słońce w skórę i we włosy, aż cały zaczyna lśnić. Wtedy na polu gapiłam się na niego w osłupieniu, kompletna idiotka. Pewna byłam, że się ostatecznie skompromitowałam i że nic mnie już nie uratuje, ale on spokojnie wyciągnął rękę, pomógł mi wstać i zabrał pokazać jaskinie.

Wypytywał, z czyjego powodu są te łzy. Kiedyś podsłuchałam, jak babcia radziła mamie: „Im bardziej ich kochasz, tym mniej kochają ciebie. Niech on się za tobą ugania. Wszyscy mężczyźni to lubią”. Spojrzałam mu w oczy. Niech się ugania. Niech zawsze się za mną ugania. Powiedziałam mu, że to z powodu takiego jednego w Anglii. Niebieskie oczy pociemniały od burzy zazdrości szalejącej w jego sercu. Babcia miała rację. Nie zapomniałam tej nauki. Towarzyszyła mi cały czas, kiedy ojciec ściągnął naszą rodzinę do Anglii.

Ojciec zawsze powtarzał: „Moim jedynym nałogiem jest praca”. I rzeczywiście pracował nałogowo. Pamiętam, że nigdy go nie było w domu. Tyrał dzień i noc, żeby odłożyć sumę pozwalającą na otwarcie delikatesów w Anglii. Oczywiście dawno już ich nie ma. Rozumiesz... supermarkety... Więc wiele lat zasuwał świątek - piątek, robiąc przerwę tylko po to, by zjeść kawałek chleba i kilka sardynek z puszki, aż w końcu pewnego dnia mógł zrealizować swoje marzenie.

Nim przyjechaliśmy do Anglii, pracował w Niemczech, budował drogi i domy. Mieszkał w wielkim, zimnym betonowym budynku, jedzenie gotował na prowizorycznej kuchence z kamieni i drewna, a sypiał na słomianym materacu położonym na stosie cegieł. Podczas deszczu dach przeciekał, a wtedy materac porastał mchem. Każdą zarobioną markę posyłał do domu. Rozpłakałam się, jak opowiadał, że z biedy jadł chleb z pastą do butów.

- Fa niente, nie zaszkodziło mi - pocieszał mnie. - Przecież pasta zrobiona jest ze smalcu.

Przez pierwszych kilka lat po wyjeździe z Sycylii mieszkaliśmy w wozie kempingowym na pustym polu w Egham. Ojciec pracował jako kelner, a matka była pokojówką w pobliskim pięknym, starym hotelu Great Fosters. Ojciec słabo jeszcze wtedy mówił po angielsku. Mimo to pracował w herbaciarni i przetrwał tam niemal rok, umiejac powiedzieć tylko: „Z mlekiem czy bez, proszę pani?”. Nie mieliśmy nawet bieżącej wody. Codziennie chodziłam do studni należącej do sycylijskiego rolnika imieniem Mario. uprawiał kilka akrów warzyw i pozwalał mi wybrać, co chciałam. Ponieważ dzięki niemu nie musieliśmy kupować jarzyn, matka podkradała drobiazgi, takie jak mydełko, płyn do mycia naczyń, wybielacz i pastę do butów, i dawała je Mariowi, żeby okazać naszą wdzięczność.

Ciężko nam było w tych pierwszych kilku latach, kiedy rodzice odkładali każdy zarobiony pens. Czułam się bardzo samotna. Nie chciałam wyjeżdżać z Sycylii. Tu w szkole byłam obca. Po angielsku mówiłam z dziwnym akcentem. Czasem stałam samotnie i usiłowałam zrozumieć, o czym rozmawiają inne dzieci. Mówiły tak szybko, że trudno mi było nadążyć. Jakże tęskniłam za moimi przyjaciółkami z Ravanusy! Były dla mnie jak siostry, nawet nie musiałam pukać do drzwi, kiedy przychodziłam je odwiedzić.

W Anglii dziewczęta dojrzewają szybciej, malują się, noszą minispódniczki i wysokie szpilki, piją alkohol i spotykają się z chłopcami. Matka nigdy by mi nie pozwoliła na podobne zachowanie. Oczywiście ja sama też tego nie chciałam. Tylko często płakałam, nie mogąc sobie darować, że musiałam zostawić Ricky'ego i Sycylię dla czegoś takiego.

Na Sycylii mówi się, że Anglicy są zimni, ale jest tam dobra wołowina, a konie chodzą po ulicach. Miałam piętnaście lat,

110

Anglicy byli zimni i niesympatyczni, wołowina mi nie smakowała, a na ulicach nie było żadnych koni.

Marzyłam, że odłożę trochę pieniędzy i wrócę na Sycylię. Czasami zastanawiałam się, co by się stało, gdybym nie wyjechała stamtąd. Wyszłabym za Ricky'ego. Mieszkałabym w tym domu, który ojciec Ricky'ego zbudował dla niego. Kiedy mnie słuchasz i patrzysz na mnie, pewnie wyglądam jak zwykła Europejka, ale ja do szpiku kości jestem Sycylijką. Sycylia oddalona jest od Anglii zaledwie o trzy godziny drogi, ale to inna planeta. Wszystko jest zupełnie inne, pogoda, ludzie, roślinność, ziemia, powietrze, domy, smak wody...

- I tak wyjdiesz za mnie - powiedział Ricky na pożegnanie. Ależ smutno mi było wtedy! Ale też byłam podekscytowana! I taka młodziutka! Wiernie czekałam na niego. Aż pewnego dnia zjawił się, złote włosy miał czysto umyte, ramiona szerokie i mocne. Bałam się, że będzie mówił tak jak moi rodzice, co mnie żenowało, kiedy byłam nastolatką. Ale nie, on mówił jak anioł. Mówił nawet po francusku.

Nazywał mnie chérie. Taka byłem dumna z niego. Poprosił ojca o moją rękę. Ojciec poczęstował go grappą, matka popłakała się ze szczęścia.

- Jakie to piękne! - łkała.

W podróż poślubną pojechaliśmy na Bali. Nigdy przedtem nie byłem nigdzie poza Europą, nie mówiąc o takiej egzotyce jak południowo wschodnia Azja. Przez pierwszych kilka dni myślałam, że jestem w raju. Na terenach otaczających hotel hodowano dzikie koguciki z dżungli i co rano budziło nas ich pianie. Wszędzie rosły wspaniałe palmy, a ich liście kołysały się lekko na wietrze. Stawałam na balkonie naszego pokoju hotelowego i jadłam mango, trzymając je w obu rękach, tak jak robiły to brązowe dzieci na plaży. Wysysałam pestkę, aż stała się idealnie czysta. Pływający na dmuchanych bananach ludzie machali do nas. Machałam i ja do nich, trzymając owoc w rękach, zupełnie jak dziecko.

Ricky podszedł i objął mnie.

- Moja mała żoneczka. Tylko dżinsy i koszulka, i nic pod spodem.

Wtuliłam się w niego plecami.

- Twoja żoneczka. Dżinsy i koszulka, i nic pod spodem.

111

Te zachody słońca. Niewiarygodne. Tak zapierające dech w piersiach, że aż nieprawdziwe. Codziennie stawaliśmy na plaży, trzymając się za ręce, i podziwialiśmy je. Jaskółki muskały wodę. Staliśmy w różowym świetle, zachwycając się szalonym, nienasyconym pragnieniem, jakie widzieliśmy nawzajem w swoich oczach. Szczypałam się. Czy rzeczywiście jestem w tym raju? Zostawialiśmy ubrania na plaży i zanurzaliśmy się w wodzie, pobłyskującej złotymi i miedzianymi refleksami. Ciepła i jedwabista, wirowała wokół nas, a nasze młode ciała, ocierające się o siebie, znajdowały miłość w morzu.

Pamiętam, jakby to było wczoraj. Świat przestawał istnieć, a liczyło się jedynie ciepłe morze i skóra Ricky'ego. Po wyjściu z wody szliśmy wzdłuż plaży, czekając nadejścia nocy. Patrzyliśmy na dzieci ścigające się i nurkujące w wodzie, wykrzykujące głośno: „Słoneczny patrol!”. Potem morze stawało się tak samo czarne jak niebo, a dalekie światła statków i łodzi przypominały mrugające gwiazdy.

Nie powinniśmy byli oddalać się od hotelu.

Już w niedużej odległości od miejsc typowo turystycznych można było natknąć się na duże, otwarte ścieki zatkane śmierdzącymi śmieciami. Wystarczyło pojechać dowolną drogą, oprócz tej prowadzącej na lotnisko, by się przekonać, że nie na każdym rondzie stoją piękne pomniki. Kawałek dalej od hoteli zaczynała się inna Bali, nędzna i brudna.

Tam, dokąd docierają turyści, wszystko ma odrażająco komercyjny charakter. Nigdzie nie można pójść, niczego nie można zobaczyć, żeby nie trzeba było najpierw płacić. A plaża Kuta to zanieczyszczony grajdoł pełen natarczywych krajowców, chciwie dybiących na dolary turystów. Jeżeli na minutę zostałam sama, przysuwał się do mnie żigolak - przeważnie niski, o płaskiej, nieładnej twarzy - i proponował swoje towarzystwo. Krajowcom najwyraźniej obce jest pojęcie kosza na śmieci. Po prostu rzucali odpady na ziemię, nawet jeśli kosz stał tuż obok.

I te ich dziwaczne tańce. W jednym, na przykład, mężczyźni przebranemu za dzika pośród ogólnej wesołości wyrywa się i zabiera długiego różowego penisa. A na domiar wszystkiego nie ma na wyspie ani jednego prawdziwego chrześcijanina. Tutejsi ludzie wyznają jakąś dziwną, pogańską religię, będącą odmianą hinduizmu.

112

Kilka razy w ciągu dnia mieszkańcy rzucają na skrzyżowaniach dróg zepsute jedzenie, gdyż wedle tutejszych wierzeń skrzyżowania są miejscami niebezpiecznymi, nawiedzanymi przez złośliwe duchy. Jakby nie dość było tego obrzydlistwa, polewają to wszystko alkoholem i dorzucają kawałki surowego zepsutego mięsa, do których natychmiast zlatują się zielone muchy i watahy bezpańskich psów.

Nieraz omal nie wdepnęłam w takie niedojedzone nonsensowne paskudztwo. Gnijące odpadki to ofiara przeznaczona dla złych duchów, ale małe przydrożne świątynie poświęcone tym dobrym bogom też są okropnie brudne.

Najbardziej jednak przerażało mnie zafascynowanie Ricky'ego tymi bezbożnymi praktykami. Jakby chciał stać się częścią tego całego zła. Pewnego wieczoru, kiedy spacerowaliśmy wzdłuż plaży Kuta, napotkaliśmy czarownika z gołębiami. Był stary i ubrany w łachmany. Chwalił się, że za każdym razem, kiedy złamie trzymaną w palcach zapałkę, jeden gołąb padnie martwy. Ricky, przekonany, że to jakaś zwykła sztuczka, czujnie obserwował go przez godzinę. Kilkanaście razy zmieniał miejsce, żeby przypatrzeć się z różnych stron i pod różnym kątem, ale tajemnica pozostała niewyjaśniona.

Po przedstawieniu Ricky podszedł do tego człowieka, dał mu trochę pieniędzy i poprosił, żeby pokazał nam prawdziwą Bali. Wtedy w skupionej twarzy starca dostrzegłam coś, co mnie zaniepokoiło. Błysk rozpoznania. Jakby mój mąż przemówił do niego tajemnym językiem. Całkowicie niezrozumiałym dla mnie. Skinął głową i oświetlając drogę latarnią, poprowadził nas wąskimi bocznymi uliczkami. Zatrzymał taksówkę, po czym dobrą godzinę jechaliśmy po ciemku. W końcu taksówka zatrzymała się, byliśmy gdzieś w górach. Powietrze było tu chłodniejsze, a ziemia bardziej miękka.

Przeszliśmy przez drewniany most, spod którego dochodził szmer wody. Jeszcze zanim dotarliśmy do bambusowego zagajnika, dało się słyszeć prymitywne bicie bębnow i poczułam zapach kadzidła. Bambusy trzeszczały w ciemnościach. To smutny dźwięk. Minęliśmy zarośla.

Za nimi zobaczyłam oświetloną płonącymi pochodniami polanę, a nieco dalej ciemny zarys pokrytej strzechą świątyni. Po

113

jednej stronie w półcieniu stali krajowcy, a ich pełne oczekiwania twarze tworzyły zwartą ścianę. Patrzyli na nas ciekawie. Wyraźnie kroilo się jakieś diabelstwo. Ricky odważnie ruszył w ich stronę.

W powietrzu czaiła się czyjaś mroczna, niezycziwa obecność. Niech mnie Bóg skarże, jeśli kłamie, ale to coś przesunęło mi się po skórze, jakby dotyk paznokcia, aż włosy zjeżyły mi się na karku i zdrząłam, mimo że noc była ciepła. I wtedy bardzo blisko usłyszałam coś. Cichy, drwiący śmiech.

Miejscowi stali dokoła, patrząc uważnie, ale bez lęku. To coś na ich wezwanie opuściło swoje czarne legowisko. Przebyli wiele mil na piechotę, żeby zobaczyć tę groźną, nienaturalną obecność. To był ich teatr.

Na środku polany siedziało w kręgach po turecku około stu pięćdziesięciu nagich do pasa mężczyzn, a każdy z nich miał zatknięty za lewym uchem kwiat hibiskusa, przypominający te potwornie wielkie mięsożerne kwiaty z dżungli. W migoczącym świetle ich twarze miały w sobie coś demonicznego. Wyglądali, jakby byli w transie, oczy mieli lśniące i niewidzące i kołysali się zgodnie z pulsującym rytmem bębnow. Bębny te w dziwny sposób działały również i na mnie. Jakby starały się zahipnotyzować mnie i wbrew mojej woli przejąć nade mną władzę. Ziemia pod moimi stopami zaczęła drżeć. Wtedy usłyszałam mały krzyk w ciemnościach.

- Tak, to kecak, taniec małp - szepnął Ricky z podnieceniem. - Zaraz się zacznie.

Nagle wpadli mężczyźni przebrani za demony, wydając wysokie, triumfalne okrzyki. Siedzące w cieniu, kołyszące się ciała zesztyniały, jakby wyczuły niebezpieczeństwo. Noc rozdarło jedno wspólne klaśnięcie i głośny okrzyk. Opętańcze kołysanie się stawało się coraz intensywniejsze, usta zaczęły wykrzykiwać rytmiczne: czak a czak, czak a czak, czak a czak. Było to skrzeczenie małp.

- Tancerze połknęli ducha małp, którym zakłócili spokój w lesie - szepnął stary.

Trzysta idealnie zgranych rąk zamachało w powietrzu, przebierając palcami, i nagle falujące ciała, niczym płatki kwiatu, zadrżały i otworzyły się z głośnym rykiem. Powietrze pełne było

114

chmur kurzu i dymu kadzideł. Na długi, pełen niepewności moment piski ustały i zapadła cisza. Potem znowu rozbrzmiał dziki jazgot, twarze o rozwianych włosach wyglądały groźnie. Demony ogarnęła panika. Wszystko oblepione było gorącym wilgotnym powietrzem.

Rozległ się przenikliwy krzyk, który zmroził mnie do szpiku kości.

Czarownik, w migającym świetle płomieni sprawiający wrażenie groteskowego olbrzyma, w całkowitej ciszy balansował na jednym palcu stopy. W najgorszych koszmarach wciąż widzę go, jak szykuje się do uderzenia. Odrzucił w tył długie, falujące włosy, spojrzął na skulone ciała na ziemi i rozpoczął swoje czary. A co to były za czary! Jęgliwe zaklęcia wykrzykiwane falsetem. Noc wydawała się dziwnie nieruchoma w zestawieniu z tym szatańskim amokiem. W otaczających nas zaroślach i na polach ryżowych panowała kompletna cisza. Gdzie podziały się wszystkie odgłosy zwierząt i owadów? Powolny taniec czarownika jaki się teraz rozpoczął sprawiał wrażenie chaotycznego, a jednak był dziwnie pełen wdzięku.

Demony usiłowały z nim walczyć, wijąc się i powstając z zakrzywionymi palcami, jakby chciały podrapać go po twarzy, ale magia ich pana była zbyt potężna. Wyprostował się, spoglądając złowrogo i wyginając ręce wysoko nad głową, a syczał przy tym groźnie. Wciąż jeszcze wstrzymywałam oddech, kiedy było już po wszystkim.

Płomienie zgaszono, zmęczeni mężczyźni rozchodzili się w ciemną noc. Oboje z Rickim staliśmy zdumieni. Coś się wydarzyło. Coś niebezpiecznego. Powietrze... jakby wibrowało wokół nas.

W świetle pochodni zafascynowana twarz Ricky'ego wydawała mi się kompletnie obca. Przez moment miałam wrażenie, że przestałam istnieć. Czułam się zagubiona i przerażona. Jakbym złapała tygrysa za ogon i dopiero wtedy zorientowała się, po co mu są zęby. Znowu pojawił się przy nas morderca gołębi. Mój własny, świeżo schwyty tygrys dał mu jeszcze trochę pieniędzy ze swego

portfela. Nie przeliczywszy ich nawet, człowiek ten zaczął nas prowadzić z powrotem. Pożegnał się z nami na plaży, w miejscu, w którym go wcześniej spotkaliśmy.

115

Szliśmy w ciszy, każde z nas pogrążone we własnych myślach. Na niebie wisiał zamglony księżyc, fale miękko rozbijały się na plaży. W stojącym przy plaży hotelu ktoś śpiewał do mikrofonu „Killing Me Softly with His Song”. Do oczu napłynęły mi łzy. W środku czułam się odrętwiała. Wszystko się zmieniło. Chyba właśnie wtedy po raz pierwszy dotarło do mnie, że mój mąż nie jest mój na zawsze.

Na ciemnej wodzie samotny rybak zapalił swoją lampę. Świeciła żółto i rzucała piękny odbłask na czarną powierzchnię morza. Zawsze wzruszała mnie dola rybaków ciężko zarabiających na życie i ten samotny człowiek wydał się dziwnie bliski memu sercu.

Tej nocy obudziłam się nagle. Przyszedł czarownik i dotknął mojego policzka. Rękę miał zimną jak lód. Uśmiechał się. Chciał zabrać mi męża. Klimatyzacja szumiała, Ricky spał głęboko. Cicho wysunęłam się z łóżka i wyszłam na balkon. Mój rybak zgasił już lampę i wrócił do domu. Dziwne, jak dotkliwie odczułam w sercu jego nieobecność. Próbowалаm wyobrazić go sobie w drewnianej chatce nad skromną kolacją, składającą się z ryby i ryżu, a przy nim pięcioro dzieci i żonę. Ale nie mogłam. Był w zupełnie innym świecie... a jednak należał do mnie.

Wróciłam do pokoju i siedząc na skraju łóżka, patrzyłam na Ricky'ego. Spał jak dziecko, podczas gdy mnie dręczyły strachy. Zupełnie jakby wyspa chciała mi coś powiedzieć, przekazać ostrzeżenie. On też zniknie jak mój samotny rybak.

- Rybaka możesz sobie zabrać, ale mój mąż zostanie na zawsze - powiedziałam głośno. Na tle śnieżnobiałej pościeli opalona skóra Ricky'ego lśniła jak wypolerowana miedź. Uklęknęłam obok i zlizyłam z niej odrobinę soli, delektując się sennym ciepłem jego ciała, i nagle ogarnęła mnie jakaś nienazwana żądza. Ugryzłam go tak bezlitośnie, że aż jego złota głowa podskoczyła, zaklął brutalnie i jego ciało posiadało mnie. Jest mój. Widzicie, jest mój. Skulona w jego mocnych ramionach zasnąłam. Zapomniałam, że czarownik czeka w pobliżu.

Mój mąż go wezwał.

W dniu wyjazdu siedzieliśmy w kawiarni, pijąc kawę, kiedy nagle przy naszym stoliku przystanął człowiek sprzedający drewniane rzeźby. Zaczął ustawiać swój towar między zastawą

116

do kawy, sztuka po sztuce. Jedna rzecz mi się spodobała - stary brodaty rybak niosący kosz z rybami.

- Ile? - zapytałam po angielsku i ku memu zaskoczeniu okazało się, że on mówi też po włosku, choć z dziwnym akcentem. Tak wielu Włochów przyjeżdża na Bali, że nauczył się naszego języka i nauczył się nas rozpoznawać.

- Włosi cenią dobre rzemiosło - wyjaśnił. - Niemcy są zawsze tacy sami. W rajach chcą tylko pić piwo. Włosi mają styl. Amerykanie to najlepsi klienci. - Potarł o siebie kciuk i palec wskazujący. - Amerykanie troppo denaro, za dużo pieniędzy.

Ricky sięgnął po portfel, a wtedy stary człowiek uśmiechnął się porozumiewawczo i spytał:

- Nie chce panpenunggu, strażnika, razem z rzeźbą?

Ręce Ricky'ego natychmiast zamaryły, ale oczy ożywiły się. Wyprostował swoje długie, brązowe ciało. - Co?

- Zaklnę ducha w tę rzeźbę, a kiedy wróci pan do swego kraju, obudzi go pan muzyką, którą panu dam. Usiądzie na pańskim ramieniu, niewidzialny i uważny. Jego zadaniem będzie chronić pana. Dzień i noc. Penunggu nigdy nie odpoczywa. Jeśli pańscy wrogowie będą chcieli panu zaszkodzić, zniszczy ich.

- Ile? - spytał Ricky. Jego głos był taki zimny i oficjalny.

- Nie! - zawołałam. Serce waliło mi w piersi. - Nie, proszę odejść! - krzyknęłam ostro do mężczyzny, jednak on nie ruszył się z miejsca. Wszyscy patrzyli na nas. Handlarz obserwował Ricky'ego. Czarne, wiedzące oczy wyrażały pogardę. Złapałam Ricky'ego za rękę i zmusiłam, żeby na mnie spojrział.

Miał oczy zupełnie obcego człowieka.

- Proszę cię, nie igraj z rzeczami, których nie rozumiemy -prosiłam z rozpaczą, a on po przeraźliwie długiej chwili skinął niechętnie głową i kazał tamtemu człowiekowi odejść.

- Nie zrób nam krzywdy - błagałam. Uśmiechnął się z żalem i z roztargnieniem pogłaskał mnie po policzku. A ja w sercu zastanawiałam się, co takiego jest w moim mężu, że wszyscy ci balijscy przekupnie usiłovali sprzedać mu swoje czary, że wprost zaczepiali go na ulicy.

Podczas naszego pobytu na Bali wydarzyła się jeszcze jedna dziwna rzecz. Pewnego wieczoru, kiedy oglądaliśmy przedstawienie

117

o walce dwóch mocy - między dzieciożerną czarownicą imieniem Rangda, w ohydnej masce, a wielkim, podobnym do lwa zwierzęciem Barong - zauważyłam na widowni przepiękne bliźniaczki. Ubrane były bogato w tradycyjne stroje, a do małych paluszków przyłączone miały długie złote paznokcie. Zapewne czekały na to, by wystąpić w jakimś fragmencie. Podeszłam do dziewcząt i poczęstowałam je słodyczami. Uśmiechnęły się nieśmiało. Nad nimi stała ich starsza siostra, wielka piękność.

Podniosłam głowę i spojrzałam w jej niezwykle oczy. Były czarne jak noc, jednocześnie dalekie i hipnotyzujące. Efekt był taki, że przeszył mnie dreszcz, ale mimo to nie mogłam oderwać od niej wzroku. Oczy te wpatrywały się we mnie uważnie, bez śladu ciepła, ale też bez wrogości. Najwyraźniej była opiekunką dwóch pięknych dziewczynek. Nagle przy moim boku pojawił się Ricky, który wcześniej robił zdjęcia tancerzom, kiedy kropiono ich świętą wodą, by wyszli z transu.

- Che bellina - powiedział i wyciągnął rękę, chcąc dotknąć policzka jednej z dziewczynek. Wtedy niespodziewanie ta dziwna, piękna kobieta wydała z siebie syk zupełnie niczym atakujący wąż, rzuciła się naprzód i zgarnęła obie pupilki, jakby jego dotknięcie mogło im zrobić krzywdę.

Zaskoczona spojrzałam ponownie w piękne, groźne oczy. Malowała się w nich straszliwa furia. Ricky zastygł w bezruchu, a dziwna kobieta z błyskiem - jak mi się wtedy wydawało - nienawiści odciągnęła dziewczynki i szybko zniknęła w tłumie gapiów. Przez wiele lat nie mogłam zrozumieć, co się



właściwie stało. Myślałam, że może źle zrozumiała intencje Ricky'ego albo że jakiś zwyczaj zabraniał, aby dzieci dotknął mężczyzna, cudzoziemiec... aż pewnego dnia obudziłam się z dziwnego, koszmarnego snu, drżąca i spocona, i nagle, w ciemności, zrozumiałam. Zobaczyłam prawdziwą twarz tej kobiety. Choć było to zupełnie niezgodne z jej naturą, musiała skryć ją pod maską złości. Włosy zjeżyły mi się na głowie.

To był strach. Ona się bała Ricky'ego. Bała się dotyku jego rąk na powierzonych jej pieczy skarbach. Jakby mój piękny jasnowłosy mąż był złym duchem, mogącym skalać je na zawsze.

118

Zaszłam w ciążę. Ricky okręcił mnie wokół siebie w dzikim tańcu. Było to nasze pierwsze wspólne Boże Narodzenie. Przyjechali z wizytą teściowie i jak tylko rozpakowałam mój prezent, zrozumiałam, że nie będzie łatwo się z nimi dogadać. W starym pudełku po butach znalazłam brzoskwiniowy negliż z syntetycznego, drapiącego materiału z wstawkami z białej koronki wokół głęboko wyciętego dekoltu. Był niewybaczalnie ohydny. Kupiła tę odrażającą nylonową tandetę na sycylijskim targu i przywiozła aż do Anglii jako gwiazdkowy prezent dla synowej.

Jaka intencja się za tym kryła? Ożywienia mojego życia intymnego?

- Piękny. Dziękuję, mamma - powiedziałam z trudem, starając się nie okazać, jak bardzo czuję się dotknięta. A moja teściowa trzymała w ręku piękną torebkę od Louisa Vuittona, którą ja dałam jej w prezencie, i uśmiechała się. Była naprawdę dumna ze swojego okropnego podarunku.

Innym razem ta kobieta wyciągnęła z torby świnie, całą zabita świnie. Od ryja po ogon prosiak musiał mieć około dwóch stóp długości. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Była jak jakaś afrykańska mamma nielegalnie przemycająca kawałki mięsa z buszu. Spojrzałam w niebieskie oczy Ricky'ego. Było w nich rozbawienie. Nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, że on jest okrutny.

Jak dowiedziałam się, że mój mąż nie był mi wierny?

Że jak pies, co poczuje sukę, bezwstydnie włóczy się po ciemnych zaułkach, wyszukuje brudne dziwki i gzi się z nimi przy śmierdzących śmietnikach? Całkiem zwyczajnie. Przez bliską przyjaciółkę żmiję. To od Roselli dowiedziałam się o tym, że mój mąż szuka nowych wrażeń.

Kiedy ją poznałam, była właścicielką drogiego butikiu Momi Intimi. Miękkie różowe dywany, zaledwie kilka ekskluzywnych wieczorowych sukni i seksowna włoska bielizna. Nastawiała Astora Piazzolę, ale tak dyskretnie, że trzeba było się bardzo natężyć, żeby coś usłyszeć. Godzinami siedzieliśmy tam i gadałyśmy. Ona też jest Włoszką, ale z Neapolu. Uważałam ją za moją najlepszą przyjaciółkę.

119

Pewnego dnia otworzyła małe pudełko, w którym przechowywała czek, i nagle przypomniała sobie, że coś jest jej pilnie potrzebne.

- Popilnuj - poleciła i szybko poszła na zaplecze.

Naturalnie mój wzrok padł na pudełko, a pierwszy czek leżący na górze nabazgrany był zamaszystym, nieporządnym charakterem pisma Ricky'ego. Wziąwszy do ręki czek, wpatrywałam się weń z osłupieniem i niedowierzaniem. Ricky wydał sto dziewięćdziesiąt pięć funtów. Na bieliznę. Nie dla

mnie: byłam w czwartym miesiącu ciąży. Przez moment nie byłam w stanie się poruszyć. Potem spojrzałam na drugą stronę.

Była pusta. Wzięłam torebkę i wyszłam ze sklepu.

Wróciłam do domu i usiadłam na schodku w holu. Nie czułam bólu. Chronił mnie szok. Przychodziły mi do głowy różne rzeczy, które po chwili ulatywały, nie zdążywszy się rozwinąć w myśl. Niebawem musiałam odebrać dzieci ze szkoły. Poszłam do kuchni, otworzyłam lodówkę. Były tam płetwy rai, które należało ugotować jeszcze tego samego dnia, inaczej zaczną śmierdzieć amoniakiem. Mięso będzie miększe, ale zapach zbyt ostry. Dla mocniejszego żołądka niż mój.

Poszłam do gabinetu Ricky'ego. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze nad kominkiem. Skórę wokół ust miałam białą, białą od furii. Byłam wściekła, leciało mi z nosa, ręce mi drżały i nie mogłam nad tym drżeniem zapanować. Otworzyłam szuflady i zamknęłam je z hukiem tak mocno, że aż przewróciły się stojące na biurku fotografie.

Był koniec kwietnia. Czułam zapach umierających hiacyntów, zostawiających ostatni papierowy oddech na werandzie. Jak on śmie? Jak ten drań śmiał? Kupić moje ciało i sprzedać moją duszę. Cichy głos dopowiedział: „Jak on mógł?”. I dlaczego akurat w butik Roselli? To naprawdę zabolalo. Wreszcie zrozumiałam szyderstwo w jej oczach, kiedy zaczynałam opowiadać o sukcesach Ricky'ego, o jego miłości, o oddaniu dla córki. Jak musiała mnie nienawidzić! Jakąż byłam zaślepioną, skończoną idiotką!

Nic dziwnego, że z taką starannością zadbała, żebym się dowiedziała. Była tak zazdrosna, że chciała, by mój sukces okazał się nic niewart. Co za suka! Nienawidziłam jej i nienawidziłam jego.

120

Mój wzrok padł na królika z agatu o pięknych brązowych smugach na tle dymnej szarości. Prezent gwiazdkowy od Ricky'ego. Wyraz miłości w czasie spełniania marzeń. Albo okrutny żart. Królik wskazujący do różnych nerek.

Wzięłam go do ręki. Był ciężki. Z rozmachem cisnęłam nim do kominka. Rozbił się w przynoszącym satysfakcję huku i brzęku tłuczonego szkła. Potem popielniczka, prezent od jego matki, strasznie brzydka, ale którą bardzo lubił. Poszła w ślad za królikiem.

Nie umiem nawet wyrazić, jak wielka ogarnęła mnie chęć niszczenia, aż w końcu jej uległam. Gdy stanęłam potem pośrodku pobojuwiska, mój gniew był rozładowany. Włożyłam płaszcz i pojechałam odebrać Lukkę. Dałam jej kolację, położyłam spać i zadzwoniłam do Ricky'ego.

- Si, amore, wracam do domu, jak tylko zamknę restaurację - obiecał.

- Będę czekać.

Tej nocy leżałam od jedenastej do trzeciej, nie śpiąc. Za każdym razem, gdy zamykałam oczy, widziałam siebie, jak wymierzam mu cios lampą. Widziałam jego osłupiałą twarz, ręce unoszące się w odruchu, by osłonić głowę, a w oczach ból od uderzenia. Jednocześnie w środku byłam martwa. O Boże, on jest ojcem mego dziecka! - krzyczał mój brzuch, ale ciała nie dało się powstrzymać. Ruszyło

naprzód, znów uderzyło i zepchnąwszy go ze schodów, poczęło ciskać weń gradem słoiczków, dezodorantów i perfum, dopóki na chwiejnych nogach nie wyszedł za drzwi frontowe.

Siedząc na łóżku, czekałam na jego powrót.

Najpierw próbował kłamać, zaprzeczać, gad oślizgły, ale byłam na to przygotowana. Ja też skłamałam.

- Rosella opowiedziała mi o innych razach, o innych kobietach. Szczęka mu opadła. Ani przez moment nie podejrzewał, że

dojdzie do takiej zdrady.

Najlepiej, jak to mówią, upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Przy okazji położyć kres dalszym konszachtom tej lafiryndy z moim mężem. W tym momencie, o Boże drogi, zrobiłam coś głupiego, i to nie pierwszy raz. Ogłupiała z bólu, zadałam niewłaściwe pytanie.

121

- Czy już mnie nie kochasz? - spytałam, płacząc.

- Francesco, proszę cię, wiesz, że kocham cię z całego serca. Ona nic nie znaczy. To była pomyłka.

- Nie kłam, Ricky.

Przeszedł na włoski. Wiedział, że wtedy nie potrafię mu się oprzeć.

-Amore mio, od lat cię kocham. Pamiętasz, jak jako młody chłopak przynosiłem ci kwiaty?  
Gdziekolwiek byłem, nigdy nie zapomniałem o tobie. Jesteś jedyną kobietą, którą w życiu kochałem i którą pragnąłem poślubić. Jesteś matką moich dzieci. Razem się zestarzejemy. Wrócimy na Sycylię i wieczorami będziemy siadywać na balkonie domu, który dla nas zbudował mój ojciec. Będziemy popijać czerwone wino z winogron, które zbierzemy razem. Nasze kości się zestarzeją, a twarze będą jak te zapomniane winogrona, które spadły na ziemię i pomarszczyły się. A ja będę ci ciągle powtarzał: Daj mi spojrzeć na siebie raz jeszcze. Bo zawsze będziesz dla mnie najpiękniejszą kobietą na świecie. Kocham cię, Francesco. Te wszystkie kobiety, one nic dla mnie nie znaczą. Rozumiesz?  
Nic. Putany, wszystkie co do jednej.

Sporo było tego do przełknięcia, ale kiedy już otworzyłam usta, ze zdumieniem odkryłam, że wszystko gładko się zmieściło. Po prostu chciałam kupić towar, który sprzedawał. Nie gardź mną tak bardzo. Kiedy ludzie odchodzą, odruchowo chce się ich mocniej przytrzymać. Dopiero teraz widzę, jak bardzo byłam żalosna. Wtedy nie mogłam tego widzieć. Moje serce było młode i jak niewinne dziecko pragnęło słodkich owoców jego słów. Wierzyłam, że mam szansę wygrać tę walkę.

- To po co ci one? - łkałam, patrząc w oczy błękitne jak niebo.

Zmarszczył czoło, dłońmi objął głowę.

- Bo jestem słaby. Bo jestem mężczyzną. Ponieważ kuszą mnie te putany. Ale w moim sercu jesteś tylko ty.

- Więc kim jest ta kobieta?

- Ona się nie liczy. Zerwę z nią - zadeklarował natychmiast, a ja wiedziałam, że tego nie zrobi. Po co miałby to robić?

Przypomniało mi się, jak przyniósł mi ten koszmarny posążek, porąbany tak mocno, że aż mnie ciarki przeszły. Lśniące zapałem

122

oczy Ricky'ego mówiły wyraźnie, że jest to rzecz dla niego najcenniejsza. Kochał mnie wtedy. To te niemoralne kobiety, które żądały bielizny ze sklepu żmii, stanęły na jego drodze.

- Co ona ma takiego, czego ja nie mam?

- Nic. Po prostu jest młoda.

Wiem, że chciał mnie w ten sposób pocieszyć, dać do zrozumienia, że to tylko pieprzenie się na zimno, ale ja zmartwiałam. Cios był mocny. To już koniec. Nie wiedział tego, drań, że nie mógł powiedzieć gorszej rzeczy. Dopóki nie wyrzekł tych słów, nie odczuwałam upływu czasu. Teraz oczywista prawda wyszła na jaw. Stałam się stara i nieatrakcyjna. Gdyby powiedział, że ona jest dobra w łóżku albo że jest lepszą kucharką, albo lepiej go rozumie, mogłabym z nią rywalizować, ale jak można konkurować z młodością?

Urodziłam dwoje dzieci i nosiłam następne. Moje ciało zmieniło się. Nie byłam już dla niego pociągająca. Co on wiedział o rodzeniu dzieci? Nigdy nie dzielił swego ciała z inną istotą ludzką, nigdy nie zostało najpierw rozciągnięte, a potem rozdarte. Naturalne, że po czymś takim pewne partie są obwisłe i sflaczałe. Ledwo je zauważałam kątem oka, ale on widział je i oceniał.

Wyciągnął rękę, jakby chciał fizycznie powstrzymać mnie od rozpadnięcia się na kawałki. Spojrzałam w te niebieskie oczy i nie ujrzałam w nich nic. Kiedyś wiedziałam, co myśli. Kiedyś wiedziałam, co lubi. Lubił gruszek z serem pecorino, skropione miodem, po niedzielnym obiedzie, na który były kotlety jagnięce. Kiedyś wydawało mi się nawet, że on jest mój i tylko mój.

Tej nocy, kiedy już zasnął, sprawdziłam jego telefon komórkowy. Ostatnie połączenie, o północy, było od Giny. Znałam ją. Młoda, czarująco uprzejma kelnerka, która obsługiwała mnie kiedyś w jego restauracji. Zwracała się do mnie per signora. „ Si, signora, no, signora, per favore, signora, grazie, signora, arrivederci, signora, pieprzę się z pani mężem, signora". Cholerna kurewka. Gdzie to robili? Na kanapie w jego biurze czy w toalecie na dole? Nie, najprawdopodobniej na stoliku numer dziewięć, kiedy wszyscy już sobie poszli, przy wyłączonych światłach, z wyjątkiem tego jednego przy barze. On lubi to tam robić. Wiem z autopsji.

123

Jak ja jej nienawidziłam! Mimo to doszłam do wniosku, że ona ma tylko urok nowości i jędrne ciało. Ja miałam dzieci, obrączkę, dom, historię i połowę wszystkiego. Będę ciągnąć dalej moją grę, a ona będzie patrzeć na mnie znad kopanego dla siebie grobu, bać się mnie i liczyć się ze mną.

„Udawać, że to on się za tobą ugania. Niech on się za tobą ugania”.

Rano, kiedy Ricky zszedł na dół, sprawiał wrażenie czujnego, ale nie widać było, aby się specjalnie czymkolwiek martwił. Zastał śniadanie czekające na stole, a przy drzwiach spakowaną walizkę. Błagał, starał się mnie przekonać, ale pozostałam niewzruszona, twarda jak skała.

- Idź do niej - powiedziałam. - Jeśli tak bardzo jej pragniesz, to sobie ją miej. Musi czegoś brakować w naszym związku, skoro potrzebujesz jej ciała. - A kiedy nie przestawał prosić, dodałam: - No idź już.

Gdy w końcu poszedł, rozplakałam się.

Mój plan był prosty i genialny. Gdybym wymogła na nim pozbycie się jej, stałaby się zakazanym owocem. Owocem, którego musi kosztować w tajemnicy. Gdy podałam mu ją na talerzu, jej perfumy nie były już tak podniecające, a ciało też straciło urok. Im bardziej ich kochasz, tym mniej kochają ciebie... Udawaj, że to on za tobą się ugania. A wróci na kolanach i będę go miała już na zawsze. Ryzykowałam wprawdzie, ale znowu nie tak bardzo. Wysłałam z założenia, że przecież w jego żyłach płynie sycylijska krew.

Dzieci i ja byliśmy rodziną.

Udało się. Wrócił na kolanach. Dana tak łatwo, straciła swoją wartość. Seks na stoliku dziewiątym stał się brudny. Wyrzekł się jej chętnie, ale oboje z Rosellą dali mi lekcję nieufności, więc niewiele czasu zajęło mi domyślenie się, że kobiety - i to zbyt wiele, by je zliczyć - regularnie udostępniały mu swoje ciała. Widziałam je w jego potarganych włosach, czułam ich zapach na jego skórze, domyślałam się w wyrwanych guzikach i delikatnie dotykałam ich w śladach pozostawianych przez kolorowe paznokcie na jego plecach.

W końcu znużyło mnie to wszystko i straciłam wolę walki. Doświadczając przewrotnego rozbawienia na myśl o tych brudnych,

124

ukradkowych romansach. Na początku myślałam, że wygrałam bitwę, ale tak naprawdę ją przegrałam. Z własnej winy. Pokazałam mu wyraźnie, że go przyjmę z powrotem. Że nie tylko potrafię mu przebaczyć, ale że rozpaczliwie tego pragnę. Nic mi już nie zostało, mogłam jedynie stać się bardziej twarda. Byłam, jak to określiła Maya Angelou w programie Oprah Winfrey: „rozdziobowana przez kaczki”.

To wtedy zaczęłam przyglądać się młodszym kobietom. Przesiadywałam w centrum handlowym, gapiłam się na nastolatki i zastanawiałam się, na czym polega różnica między nimi a mną. Początkowo nie rozumiałam. Wiedziałam, że coś nas różni, ale nie potrafiłam wskazać palcem, co. Chodziłam do szatni na basenach i ukradkiem obserwowałam nieświadome tego faktu ciała. Stawałam obok nich w toaletach nocnych klubów, udając, że poprawiam usta lub przeczesuję włosy, i dokonywałam porównania.

Z wolna dostrzegłam różnicę. Oczywiście sprawą była moda; ich ubrania były tanie, ale supermodne. Wszystko, co ja wkładałam na siebie, było drogie, znakomicie uszyte i grzeczne. Moja skóra zawsze była cudownie opalona, a szminka na ustach jasna. Wyglądałam doskonale. Zupełnie tak samo jak żony wielkich bogaczy, które spotyka się na zakupach w Knights bridge czy na Bond Street. Młode dziewczyny nosiły delikatne obroże z pawich piór i bransoletki z małych koralików.

Ja, oczywiście, miałam na palcu pierścionek z ogromnym brylantem.

Inna różnica, i to dość zasadnicza: tłuszcz. W miejscach, gdzie ma największe znaczenie: na twarzy, pośladkach, na rękach. Nauczyłam się rozpoznawać je nawet z tyłu. Prawie nie odczuwały zimna, toteż ubierały się w cienkie, tanie materiały, które ciasno przylegały do młodzieńczych pośladków - dopiero się zaokrąglających, tańczących w rytm kroków, a nie trzęsących się i tracących gładkość. Dostrzegłam, że czerwień jest najintensywniejsza wewnątrz środkowej części ich ust. No jasne: jakie jest świeże mięso, jeśli nie czerwone? Wszędzie gdzie padły moje zawistne oczy, napotykałam jędrną skórę tworzącą od szczęki do podbródka jedną gładką linię.

Przerażało mnie lustro i wyrok, jaki w nim wyczytałam. Czy doświadczę kiedyś tego słodko gorzkiego cudu spokojnego pogodzenia się

125

z przemijaniem czasu, z którego zwierzyła mi się matka?

Zaczęłam robić zakupy wieczorami i w weekendy, kiedy Ricky był w pracy. Tak wygląda samotne życie żony znanego restauratora. Najgorsze były weekendy. Wszyscy pili alkohol i świetnie się bawili, a ja chodziłam opustoszałymi przejściami między półkami w supermarketach. Dziwne, jak oświetlone wnętrza Sainsbury'ego potrafiło mnie pocieszyć. Wśród gotowych dań i stosów papieru toaletowego napelniałam wózek najlepszymi towarami, najwyższej jakości, ekologicznymi, o nowym, lepszym smaku - lepszymi, lepszymi, lepszymi...

Przy kasie rzucałam ukradkowe spojrzenia na kobiety, które kupowały towary z marką sklepu albo z czerwonymi nalepkami „promocja” na opakowaniu. Przez moment, gdy sięgałam po moją złotą kartę, czułam się lepsza, a wtedy podnosiłam wzrok i dostrzegałam w sąsiedniej kolejce parę flirtującą nad znacznie biedniejszymi zakupami, i znowu uświadamiałam sobie, jak wielką cenę zapłaciłam za to, żeby móc robić zakupy ze złotą kartą.

Zawsze wracałam do punktu wyjścia. Prawda jest taka, że miłość nie ma szans tam, gdzie nie ma wierności. Pozostają wtedy tylko względy praktyczne. I tak pogrążona w cieniu smutku pchałam mój wózek w ciemność. Koniec zakupów. Koniec wieczoru. Rozpakowywałam przyniesione rzeczy, chwilę w samotności oglądałam telewizję i kładłam się spać.

W łóżku godzinami przewracałam się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Byłam życiowym wrakiem. Odkąd młodość pokazała mi drzwi, mój mąż miał dla mnie jedynie pustą namiastkę dawnego uczucia. Obrączka w ogóle nic dla niego nie znaczyła, a wierność, którą ja nosiłam niczym koronę z drogocennych kamieni, plugawił w miejscach ciemnych i tajemnych.

Któregoś ranka wyszłam, żeby wziąć pocztę, i zobaczyłam, że na przedniej szybie samochodu Ricky'ego jakaś zakochana pannica narysowała szminką serce. Wróciłam do środka i zrobiłam mu śniadanie. Powtarzałam sobie cicho, że pragnę od niego jedynie trwałości związku. Obiecał mi to i będę to miała. Będzie patrzył, jak się starzeję. Będziemy razem dwoma pomarszczonymi, zapomnianymi winogronami. Inne kobiety wykorzystyła, nie szanując ich, i odrzuci. Przelotne rozkosze. Dziwki.

126

Pewnego razu, gdy robiliśmy razem zakupy w supermarkecie, niespodziewanie wpadliśmy na kobietę o tak zimnej urodzie, że przypominała manekin. Platynowa blondynka. Wysoka i bez najmniejszej skazy, w białej powiewnej bluzce z meksykańskim haftem i elastycznych dżinsach - była wszystkim tym, czym nie byłam ja. Ricky nie miał wyjścia, musiał nas przedstawić. Mimo że bardzo starał się to ukryć, usłyszałam w jego głosie szacunek. Dla niej. A w lodowatych oczach Elizabeth Miller ujrzałam litość. Dla mnie.

\* \* \*

Elizabeth Miller.

Elizabeth.

Spojrzałam na niedojedzony tost, który zostawił na talerzu. Grudki żółtego masła były za grube, żeby się stopić. Ilekroć widziałam coś takiego, zawsze i niezmiennie powracał do mnie ten sam obraz. Palce mojej siostry, z paznokciami obgryzionymi do żywego, starannie wycierające serwetką masło z trójkątnej grzanki. Tymczasem on wrócił do pokoju śniadaniowego i tamten obraz się rozmazał.

- Podoba ci się? - spytał, unosząc lekko rękę.

Oczywiście wyglądał tak jak zawsze. Gruby buldog w garniturze, za który zapłacił krocie, ale zmusiłam się do promiennego uśmiechu.

- Bardzo ładny - odrzekłam po arabsku. - Powinieneś sprawić sobie jeszcze jeden, w tym samym odcieniu niebieskiego, to zdecydowanie twój kolor.

Odszedł na bok i zaczął podziwiać swoje odbicie w lustrze nad kominkiem. Mógł pozwolić sobie na ignorowanie mojej obecności, ponieważ należałam do niego w pełnym tego słowa znaczeniu. Towar kupiony i zapłacony. Pewnego dnia doszedł do wniosku, że chciałby mieć w swojej kolekcji irlandzkiego elfa, a ja akurat spełniałam te kryteria. Raz nawet mi powiedział, że jestem elfem, wesołym stworzeniem niemającym duszy, niemającym w jasnym ciele niczego prócz haustu słodkiego powietrza i oczywiście niemądrych, błahych sekretów. Tak. Uważał mnie za ciało pełne nicości. Byłam sprzętem zapewniającym przyjemność. Zaspokajałam jego potrzebę zajęcia się czymś, rozerwania się.

Spojrzał na mnie z wyższością i uśmiechnął się.

Czyżbym była aż tak dobrą aktorką? Czy to możliwe, że udało mi się tak starannie ukryć przed nim strach? Dziwne, że nie

131

dostrzegł żadnego podstępu u swojej „szarookiej irlandzkiej wróżki”. Zwłaszcza teraz, gdy oszalałam dla innego mężczyzny. Musiał to być cud „wyłącznika”, który już dawno temu odkryłam w swojej głowie. To wprost genialna sprawa móc wyłączyć się i nie czuć nic, żadnego strachu, żadnego bólu,

nienawiści, smutku czy radości. Od czasu do czasu tłumione emocje dają o sobie znać w postaci paraliżującego ataku paniki, ale w sumie wyłącznik działa znakomicie.

Z początku zdumiewało mnie to jego przekonanie, że wszystko ujdzie mu na sucho. Zbyt łatwo sobie założył, iż nigdy nie wezmę odwetu. Doszłam do wniosku, że mogły się za tym kryć trzy powody. Po pierwsze, kultura, w której się wychował, uczyła tego, że kobieta może być tylko uległa i bezsilna. Po drugie, w jego przypadku zadziałała też zwykła arogancja, będąca rezultatem niezmiernego bogactwa. A po trzecie, co było najbardziej prawdopodobne, istniał przecież zawarty między nami cyniczny układ: spora suma, gdy już będzie miał mnie dosyć.

Spojrzał mi w oczy. Oczekiwał, że będę smutna, więc dostarczyłam mu porcji żalu. Była to jedna z funkcji elfa opłakiwać jego nieobecność. Znowu wyjeżdżał.

- Gotowa? - spytał.

Kiwnęłam głową, że tak.

Pod drzwiami czekali muskularni, czujni mężczyźni. Otoczyli nas skwapliwie. Przy wyjściu z windy czekało następnych dwóch. Idealnie zgrana praca zespołowa. Przeszliśmy razem przez elegancki hotelowy hol. Ktoś już wyperfumował drogę przed nami, toteż pachniała jak kwiatowy ogród. Ktoś otworzył nam drzwi idealnie wulgarnej białej limuzyny. Wsiadliśmy i samochód natychmiast ruszył. Ochrona na przednich siedzeniach, przed nami kolumna samochodów. W środku było przyjemnie ciepło. Jego tłusta ręka spoczęła na moim udzie. I znowu nawiedziło mnie niechciane wspomnienie tłustej ręki.

Cofnęłam głowę i poczułam, że zaczynam się pocić. Nie teraz. Gdyby wiedział o duszącym mnie strachu, o niespokojnych falach... Proszę, nie teraz. On zaraz wyjedzie. Oddychałam głęboko. Wolno. No już, już, nie bądź takim mazgajem, Elizabeth.

Poczułam jego palce, z roztargnieniem błędzące po moich włosach. Okręcił sobie lok na palcu wskazującym. Na samym

132

początku właśnie one go we mnie zafascynowały. „Co za wspaniałe włosy! Nigdy w życiu nie widziałem takich” - powiedział z podziwem. A ja po prostu za długo trzymałam farbę. Przez głupią pomyłkę. Teraz upierał się przy tej platynie bez gustu. Ostrożnie, bardzo ostrożnie wróciłam do zwykłego stanu. Stanu zamrożenia. Wyłącznik wciąż działał. Odwróciłam się w jego stronę. Już nawet mogłam bez emocji patrzeć na tłustą rękę. Podniósł mój lok do ust. Posłusznie przysunęłam głowę bliżej. Zanim zdążył szarpnąć.

Na lotnisku staliśmy naprzeciwko siebie. Uśmiechałam się smutno. Ach, cóż zrobić...

Nie odrywał oczu od moich ust. Kiedyś mi powiedział, że przypominają mu biało różową porcelanę. Gdyby tylko wiedział, co te usta znały i robiły. Nagle zadał szokujące pytanie o coś, o co nigdy przedtem nie pytał.



- Kochasz mnie? - spytał. Ach, to o to chodzi, chciał osiąść wszystko. Czyżbym myliła się co do niego? Czyżby to samolubne, skamieniałe, brzydkie serce jednak chciało czegoś więcej? Twarde oczy patrzyły na mnie uważnie i przenikliwie. Może jednak nie byłam wcale taką dobrą aktorką. Może zaczął podejrzewać coś w związku z tamtym drugim. Musiałam być ostrożna. On był niebezpieczny.

- Tak - powiedziałam.

- Jak lekko przychodzi kobiecie kłamstwo - szepnął. Czarne szurze oczka zalśniły złowrogo, ale jednak się uśmiechnął. Z jego strony była to tylko taka gra. Sprawdzian. Mięśnista ręka zagłębiła się w kieszeni i wyjęła pudełeczko. Kazał mi je otworzyć. Pierścionek z brylantem. O, słodki Jezu, zamykał mi drogę odwrotu. Teraz przestawała to być tylko gra. Pierścionka o takich rozmiarach nigdy nie dostaje się za darmo, to tylko pożyczka na tak długo, jak długo należy się do pożyczającego, to zapłata za dobre sprawowanie. Pierścionek nie był mój. Oznaczał jedynie, że ucieczka stanie się teraz trudniejsza. Uciekaj, Elizabeth, uciekaj. Natychmiast.

Wsunął mi pierścionek na palec. Pasował idealnie. Wpatrywałam się w ogromny kamień. On nigdy niczego nie robił połowicznie, zawsze wszystko było największe, najlepsze, najdroższe. Palce mojej siostry, różowe i nagie, były bardzo ruchliwe.

133

Grzankę należało bardzo starannie wytrzeć. Bałam się go. Tłustej ręki. Czarnych zimnych oczu. Jakże bezlitosne już je raz widziałam!

Co do jednego miał rację. Rzeczywiście jestem elfem, ale co do reszty, mylił się. Nie jestem jednym z tych tęczo-mieniących się stworzonek wyśnionych przez Enid Blyton. Nie mam cieniutkich skrzydełek na grzbiecie i nie mieszkam w zakątku jego ogrodu. Nie jestem z nim też ze względu na znaczną sumę obiecaną na koniec koszmaru. Nie, jestem z nim, ponieważ na to właśnie zasługuję.

Widzisz, jestem irlandzkim elfem, a irlandzkie elfy to te niezdecydowane anioły, które podczas wielkiego buntu w niebie nie potrafiły opowiedzieć się po żadnej ze stron. Ponieważ okazało się, że nie są ani na tyle dobre, by zostały zbawione, ani na tyle złe, by je potępić, zesłano je na ziemię i kazano zamieszkać w ciemnych i dalekich zakamarkach. To właśnie jest mój ciemny i odległy zakamarek. Kiedyś ja też nie mogłam się zdecydować i tylko obserwowałam pewien bunt. Nie robiąc nic. I za moje niezdecydowanie zostałam wypędzona.

Wewnątrz nowego garnituru jego serce pod moją dłońią biło równo, nieświadome niczego. Przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Po chwili zginął w tłumie ochroniarzy i sekretarzy.

Odwrociłam się, wyjęłam chusteczkę z torebki i otarłam usta. Nienawidziłam, kiedy mnie całowano. Było to jak fizyczna zniewaga. Odjechał. Bardzo starałam się nie biec do czekającej limuzyny.

- Chcę zrobić zakupy. Proszę mnie podwieźć na Knightsbridge - poleciłam kierowcy. Oparłam się na siedzeniu i patrzyłam na zupełnie nierealny kamień na palcu. Co czułam? Nic. Weszłam do Harrodsa i szybko minęłam uśmiechniętą kobietę, która zrobiła krok w moją stronę, próbując wręczyć mi pachnącą kopertę. Nie mogli mi się oprzeć, ci sprzedawcy perfum. Byłam dla nich jak magnes. Wyminęłam ją zgrabnie i przyspieszyłam kroku, drugimi drzwiami wyszłam z powrotem na ulicę i zamówiłam taksówkę.

- Swiss Cottage i proszę się pośpieszyć.

Taksówka podwiozła mnie pod pub Newt and Cabbage. Barman pomachał do mnie ze środka. Kiedyś wybiegł i powiedział,

134

że zawsze patrzy na moje nogi, jak biegnę po schodach, dopóki nie znikną koniuszki obcasów. Na gorze ściągnęłam pierścionek z palca i wrzuciłam do torebki, jakby to była błyskotka bez wartości.

Przy drzwiach był dzwonek, ale nie zadzwoniłam. Miałam klucz. Wszyscyśmy mieli. Ricky nam dał. Chciał, żebyśmy się czuli jak u siebie. Zamknęłam za sobą drzwi i na moment oparłam się o nie. Było to jeszcze jedno ciemne miejsce zestania. Kilka osób siedziało na wytartych kanapach, a z kuchni dobiegał zapach słynnego sosu arrabbiata, przyrządzanego przez Ricky'ego. Niedługo on sam pojawił się w drzwiach, niosąc wielką misę makaronu.

Byłam u siebie. Tam, gdzie moje miejsce, w świątyni pająka. Bliźniaczki, jak zwykle idealnie piękne, wstały, trzymając się za ręce, i podeszły się przywitać. Może już je poznałaś. Są z Bali. Lubię je. Pochodzą z pogańskiego świata, gdzie seks nie został jeszcze zinterpretowany przez Freuda, a namiętność nie jest nalaną dziwką, lecz piękną bosą nimfą, pragnącą wstąpić w nowe progi.

Na wyciągniętej dłoni Nutan leżała krótka słomka.

Zaraz opowiem ci wszystko, odrobinę cierpliwości. Zabiorę cię do staroświeckiego sklepu ze słodyczami, gdzie sprzedają anyżowe kulki, miętowe toffi i karmelki z białą smugą, a także do Galway Rock, gdzie droga rozdzielająca się na dwie węższe prowadzi do dzikiego i pięknego kraju zwanego Connemara. Zatka ci dech w piersiach, ale najpierw pozwól mi wziąć działkę. Wąska strużka białego proszku przywiezionego aż z Kolumbii. Pospiesz się z tą słomką, Nutan, ludzie czekają, żeby dowiedzieć się, kiedy postanowiłam, że zostanę kobietą upadłą.

Dopiero rok temu pojechałam odwiedzić krainę mego dzieciństwa i wyglądała dokładnie tak samo, jak ją sobie zapamiętałam. Z autobusu wysiadłam w Clifden. W mieście trwały przygotowania do wystawy kucyków, a ja poszłam powoli drogą na Lower Sky, wijącą się wzdłuż wybrzeża. Po lewej stronie ziemia opadała stromo do morza, cichego i rozleniwionego tego dnia, a po prawej wznosiła się, tworząc niezwykle piękny wiejski krajobraz. Jeszcze wyżej rosły paprocie i kolcolisty.

135

Był koniec sierpnia i dni jeszcze trwały długo. Żywopłoty płonęły kwiatami fioletowej tojeści, montbretii i wiązówki, a ziemia pod stopami była jednym wielkim niebieskim dywanem dzwonek, świerzbicy i wyki. Na plaży kręciły się dzieci. Ach tak! Ja też kiedyś byłam szczęśliwym dzieckiem morza. W podkasanej sukience i na bosaka zbierałam sercówki i małże, brodziłam w poszukiwaniu krewetek w skalnych zatoczkach i od czasu do czasu, osłaniając rękami oczy, wypatrywałam wypływających na powierzchnię makreli.

Szłam drogą i wszystko było w porządku, dopóki nie skręciłam w kamienną ścieżkę i nie stanęłam przed naszym domem. Przeżyłam wstrząs.

Kryty strzechą dach był nienaruszony, ale nie było już zewnętrznych drzwi, pomalowanych przez ojca na czerwono, ani okiennic. Ściany dusiły się pod pędami dzikiego wiciokrzewu, a czerwone i fioletowe fuksje matki zdrewniały wskutek zaniedbania. W środku podłogę pokrywała gruba warstwa brudu i śmieci, a w kącie leżał porzucony worek po mące. Czy to my zjedliśmy jego zawartość?

Podniosłam głowę i widok belek, już wiele lat temu poczerniałych od dymu, wywołał w mojej piersi tępy ból. Długi czas stałam odwrócona plecami do morza, patrząc na tę ruinę. Obok przejechali turyści na rowerach. Ruszyłam w stronę brzegu osłoniętej zatoki, oddalając się od wzgórza. Uderzył we mnie podmuch zimnego wiatru. Poprzedniej nocy musiał być sztorm. Na plaży leżało pełno czarnych i żółtych wodorostów.

Dobrze znaną drogą zaczęłam wspinaczkę, idąc coraz wyżej, gdzie wielkie szare skały ubrane są w niebezpiecznie śliski żółty mech. Tam była moja przeszłość. Wysoko, wysoko nad morzem. Gdy stoi się podczas sztormu na skraju skały, pędzący w górze wiatr pokrywa twarz słoną mgiełką. Ach, jak dobrze znałam to miejsce! Rozbudzone morze było takie piękne, nieujarzmione i absolutnie dzikie. Niemal słyszałam je takie jak wtedy, ryczące, potężne.

Gniewne i pożądliwe.

Gdy byłam mała, nie bałam się sztormów, które tak bardzo przerażały moją matkę i siostrę i zapędzwały skulone, piszczące psy pod łóżka. Wręcz je uwielbiałam. Lampa naftowa rozhuśtana

136

w przybudówce, świszczące wichury, zygzaki jasnych błyskawic rozdzierających niebo i rozlegające się coraz bliżej trzaski piorunów. Z każdą chwilą coraz głośniejsze, aż okna drżały i wydawało się, że nasz kochany domek rozleci się na kawałki. Mama siadała przed ogniem, obejmując jednocześnie moją siostrę, brata i mnie. Było przytulnie i ciepło, czuliśmy zapach obiadu w jej oddechu, kiedy wysokim, melodyjnym głosem śpiewała łzawe irlandzkie piosenki.

Wydawało się, że szalejące na dworze, krążące nieustannie wokół naszego domu dzikie wiatry mówią ludzkim głosem.

- To tylko wiązania strzechy ocierają się o ściany - uspokajał nas ojciec, ale ja pewna byłam, że to wiatr tak gada.

Czasami w chłodne noce, gdy reszta rodziny spała, nakładałam nieprzemakalny płaszcz ojca i wykradałam się z domu. Walcząc z wiatrem, zaciskając zęby, mrużąc oczy w szparki, szłam z latarnią na skały. Bywało, że błyskawica uderzyła tak blisko, iż włoski na mojej skórze stawały naelektryzowane, a serce zaczynało bić mocniej. Z wysokości widziałam światła całej okolicy, krętą, skrzącą się bielą drogę i nasz mały, kryty strzechą domek, lśniący na tle stoku wzgórza niczym czarodziejskie, magiczne sanktuarium.

Marznący deszcz chłostał i ciął mnie bezlitośnie w gołe nogi, gdy pełzłam na skraj najdalej wysuniętej skały. Chciałam zobaczyć, jak głodne morze rozbija się o brzeg, rozszalałe, czarne i spienione, i poczuć unoszący się nad wodą zapach mokrych wodorostów. Zawsze, zanim odeszłam stamtąd, wyciągałam z kieszeni wiązanek polnych kwiatów, guzik, ptasie pióro albo martwego motyla i ciskałam we wzburzoną kipieli. Rycząc i sycząc z rozkoszy, wielkie białe szpony wyciągały się po moją ofiarę.

Żywiłam wdzięczność dla morza. Odkąd byłam dzieckiem, wiedziałam, że mnie pragnie. Czułam, jak mnie woła, ale odmawiałam pójścia. W zamian karmiłam je, żeby było zadowolone. Ofiarami drobnymi, więc nie nakarmiłam go wystarczająco i sięgnęło po coś bardziej cennego. Najcenniejszego.

Tego dnia pod koniec sierpnia dotarłam na swój dawny posterunek, nie mając przy sobie kwiatów, niezwykłego kamyka czy martwego owada, więc zdjęłam małą srebrną bransoletkę i cisnęłam do wody. Moja ofiara. Nie zabieraj mnie jeszcze. Nieco dalej

137

morze było spokojne, przyjazne, wręcz przymilało się do plaży, a wiewiórki na homary wesoło tańczyły na falach. Panował taki spokój, że niemal byłam pewna, iż za zakrętem zaraz w lewo od skał zobaczę stoik po dżemie pełen krewetek.

Stado mew przeleciało nade mną, krzycząc ochryple, i nagle przypomniałam sobie dzień, w którym mama, pogrążona w rozpacz, zwróciła niewidzące oczy w stronę morza, a czarny bawełniany szal opadł jej luźno aż do talii. Ale nie, zacznijmy jeszcze wcześniej.

Zacznijmy od mego ojca. Mój tata to najbardziej irlandzki Anglik, jakiego można sobie wyobrazić. Miał gęstą strzechę brązowych loków, oczy jakby skradzione dziecku, uśmiech zachęcający do psoty i wielką skłonność do śmiechu. Przyjechał do Connemary w odpowiedzi na ogłoszenie zamieszczone przez hotel Ardagh poszukujący pianisty. Kiedy pachnąc jak browar, wolnym krokiem wszedł do środka, matka, która pracowała w hotelowej kuchni, siedziała akurat przy barze po skończonej zmianie. „Już na pierwszy rzut oka było widać, że niezły z niego hultaj” - mawiała matka.

- Trzeba zapłacić za taksówkę - powiedział do kierownika, opierając się o bar. Oczywiście wyszli zapłacić „taksówkarzowi”, choć wiadomo było doskonale, że nie ma żadnych taksówek od Galway do Clifden. Jak zwykle ojciec znalazł kogoś, kto go podwiózł. Zawsze wszystko zgrabnie załatwiał.

Ojciec w swoich wspomnieniach pomijał ten kawałek i zaczynał od dnia, kiedy oboje z matką kupili nasz domeczek. Jak w ciepły kwietniowy dzień nadeszli od strony kamienistego wzgórza. Jak padał deszcz, a morze jęczało cichutko, gdy matka stała przed domem, płacząc ze szczęścia.

Dom został opuszczony podczas wielkiego głodu i tylko kryty strzechą dach, otulony niebieską siatką, pozostał nietknięty. Spróchniałe zielone drzwi zewnętrzne, wyrwane z zawiasów, leżały na popękanej kamiennej podłodze. Liczne sztormy nadwerężyły spore partie szarych murów. Matkę bardzo bolały te wszystkie zniszczenia. Pobiegła do komórki stojącej za domem.

- Tu będzie twoja pracownia. - Znów rozpląkała się z wielkiej radości, gdyż prawdziwą pasją ojca było malarstwo. Bębnił w klawisze tylko po to, żeby zapłacić rachunki. To on wyremontował dom

138

i komórkę. Pozbierał kamienie rozrzucone na wzgórzu i zbudował dla mamy mur bez zaprawy, w którego obrębie rosły kalie i ziemniaki. Mama mawiała, że ręce elfów nie zrobiłyby tego lepiej. Na zewnątrz żelaznej bramy zawiesił skromny czarno biały szyld z napisem: „Sprzedaż obrazów”.

W dniu, w którym się przeprowadzili, przyszedł powitać ich farmer z drugiej strony wzgórza. Miał rumiane policzki i przyniósł im osefkę masła własnej roboty, zawiniętą w kawałek muszliny. Ojciec zaprosił go do środka i podzielił się z nim swoją whisky. Bawili się jak Pan Bóg przykazał, matka wystukiwała rytm łyżką, ojciec przygrywał na skrzypczkach, a Seamus tańczył i śpiewał piosenkę o kosie. Wychodząc, powiedział: „Wicie, panie sąsiedzie, ta ziemia tutaj, to ona jest moja. To jak, będziecie płacić za dzierżawę?”.

Pozowałam ojcu, siedząc w komórce na trójnożnym stołku, ze śmietankowym herbatnikiem albo jabłkiem w ręku. Potem zawsze koniecznie musiałyśmy obejrzeć jego dzieło. Zmieniał mnie w żabę w różowej sukience albo w dziwną jaszczurkę z długimi, kręconymi lokami. Nie odniósł sukcesu jako malarz. Jego obrazy były zbyt dziwaczne jak na wiejski sklepik. Za mało grzeczne i układne. Turyści ich nie chcieli.

Kiedy nie malował, parał się ogrodnictwem, choć trzeba przyznać, że na tym polu też nie odnosił wielkich sukcesów. Próbował uprawiać czereśnie i agrest, ale w naszej nieprzyjaznej glebie uprawy nigdy nie wyszły poza etap pierwszych pędów. Warzywa stanowiły jeden smutny widok. Mimo że naprawdę się starał. Jak był sztorm, budził nas o szóstej, czasem o piątej rano, kazał wskakiwać w kalosze i iść zbierać wodorosty, które Atlantyk wyrzucał na nasze brzegi i które służyły mu do użytkowania ziemi. Ręce nam czerwieniały i sztywniały z zimna, a kiedy płakałam z bólu, mój brat Jack wsuwał sobie moje dłonie pod pachy. Wyposażeni w metalowe kubki, uciekaliśmy do rowów szukać kryjących się jak klejnoty wśród zielonych liści poziomek i jagód, które zbieraliśmy do maminej kuchni i spiżarni.

Gdyby matka urodziła się mężczyzną i do tego Francuzem, byłaby znaną na całym świecie szefem kuchni, gdyż z najprostszymi produktami potrafiła wyczarowywać zadziwiające rzeczy. Nawet skromny kartofel za sprawą musztardy lub skórki pomarańczowej

139

potrafił przemienić się w coś wielkiego i wspaniałego. Młode mężatki przychodziły do niej po naukę, jak odrobiną zsiadłego mleka sprawić, by zwykła gotowana kapusta nabrała smaku czegoś wyjątkowego. Uczyła je podawać do gotowanej ryby jarzynkę z przyrumienionego kopru włoskiego, a do pieczeni wieprzowej czerwone pikle jabłkowe.

A jej przetwory, słowo daję, były wręcz legendarne. Dżem z czarnego bzu z goździkami, czereśnie w marmoladzie pomarańczowej i agrest z kandyzowaną cytryną. Szczęśliwy dzień nastał w naszym domu, kiedy sklep Millars w Clifden zgodził się sprzedawać u siebie jej pikle. Poszliśmy z ojcem do kuchni hotelu Ardagh, gdzie siedząc na schodach, zajadaliśmy cudowne miodowe, pomarańczowe i lawendowe lody jej roboty. W Dniu Chleba Grubo Posmarowanego Masłem czy Dniu Wielkich Porcji robiła ragout z ostryg i potrawkę z karczochów i fig.

Podrzucana jako dziecko na schodach kościelnego przytułku, matka opowiadała nieprawdopodobne, jeżące włosy na głowie historie o okrucieństwie, jakiego doznała od zakonnic. Ale nie żywiła o to żalu. Wyrzuciła list prawnika, zachęcający ją do wstąpienia do grupy ofiar żądających zadośćuczynienia. „I dobro, i zło zawsze wrócą do człowieka” - powtarzała tylko, trzymając w ustach drewniane spinacze do bielizny i zapętlając sznurki praniem. W kuchni lubiła nosić czepek, wprawdzie brzydki, ale była z niego bardzo dumna. Moje ostatnie związane z nią wspomnienie to takie, jak krzywi usta w

przekonaniu, że się uśmiecha, ale pamiętam ją też szczęśliwą; stoi między tradycyjną czarną kuchnią, na której bulgoce wielki garnek, a stołem z surowego drewna, zastawionym słoikami z przetworami. Nad głową ma wyblakły obrazek Matki Boskiej.

Mój brat Jack miał siedem, ja pięć lat, kiedy urodziła się nasza siostra Margaret. Pamiętam dzień, w którym przynieśli ją do domu; brzydkie zasuszone stworzonko z cienkimi prostymi włoskami. Miała bardzo ciemne oczy, którymi wodziła z uwagą, i długie cienkie rączki, zawsze wyciągnięte, zawsze chętne i chwytiliwe.

Kiedy była mała, siedziała w kącie, krzycząc i piszcząc, dopóki matka nie wzięła jej na ręce. Oboje z bratem patrzyliśmy ze zdumieniem na tę godną podziwu wytrwałość, gdy chciała zwrócić na siebie uwagę. Kompletnie nie rozumiałam jej złości i wrzasków,

140

ani dlaczego tak bardzo potrzebowała tego, by rodzice nieustannie się nią zajmowali. Nie przejmowałam się jednak tym zbyt i to Jack wpadł na pomysł, że nowa siostrzyczka może być podrzutkiem elfów, które porwały naszą prawdziwą siostrę. Szeptał, że ona sprowadzi nieszczęście na nasz dom, a po skończonej psocie zniknie i więcej się nie pojawi. Był przekonany, że tylko jeśli się wypędzi podrzutka, wróci nasza prawdziwa siostra, cała i zdrowa.

- Patrz tylko, ile ona je - mówił. - Podrutki mają nienormalny apetyt. Zjedzą wszystko, co się im da. Są w stanie opróżnić spiżarnię do czysta.

Rozebraliśmy ją, żeby sprawdzić, czy porastają ją jasne puszyste włoski, jak to jest u elfowych podrzutek. Nie porastały.

- Pewnie dopiero jej wyrosną - mruknął ponuro mój brat.

Siedząc na trójnożnym stołku, opowiedziałam ojcu o podejrzeniach Jacka. Na moment oderwał wzrok od płótna i spojrzał na mnie. Starał się zachować powagę, ale oczy mu błyszczały.

- Kaczątka jest brzydkie i dlatego trzeba mu dokuczać - odrzekł i opowiedział mi historię o tym, jak brzydkie kaczątka przemieniło się w łabędzia. - Tak, elfy należy traktować z szacunkiem, inaczej mogą być bardzo niemiłe - stwierdził później, podrzucając zapłakaną Margaret wysoko w górę i „hops”, łapiąc ją ze śmiechem. Mimo tych wszystkich wysiłków wryła mi się w pamięć jedynie jako posępna, okrągła buzia przy kolacji.

Nadeszła jesień. Tego dnia słońce stało zamglone na niebie, a pękate pszczoły bzycały w żywopłocie, kiedy szliśmy nagrzaną ścieżką łowić homary przy skałach. Jack posadził Margaret na głazie.

- Siedź tu i nie ruszaj się. Bądź grzeczna i popatrz sobie trochę na mewy - przykazał jej. Mewy siedziały na skałach niczym spalone kaczki. Był to dobry dzień na połów i torba Jacka już się prawie nappełniła, kiedy podniosłam głowę i stwierdziłam, że Margaret zniknęła. Mój brat pobladł. Spojrzałam na morze i zobaczyłam jej głowę podskakującą na falach.

- Patrz! - krzyknęłam. - Robi sztuczkę taty.

Ojciec uczył nas wszystkich, że nie utoniemy, jeśli będziemy mieć uszy zanurzone w wodzie.

- Może ja po nią pójde? - zaproponowałam natychmiast, ale Jack już biegł w stronę wody. Był doskonałym pływakiem. Jego ramiona mocno cięły wodę, gdy płynął w stronę czarnej głowy, coraz dalej i dalej w morze. Nie sądziłam, że ona jest aż tak daleko.

Poczułam zimny dreszcz przerażenia i ucisk w żołądku, kiedy nagle za sobą usłyszałam wesoły głosik wymawiający moje imię. Odwróciłam się, a tam stała ona, mały podrzutek elfów.

- Nie znaleźliście mnie - zaśpiewała dumnie.

Dobry Boże, ona bawiła się w chowanego! Zaczęłam krzyczeć do Jacka, żeby wracał, ale silny północno zachodni wiatr, wiejący od gór, porywał moje słowa i ciskał z powrotem w twarz. I nagle nie widziałam już więcej mego brata, tylko czarną głowę unoszącą się coraz dalej i dalej. Nie nakarmiłam morza jak należy.

Przez długi czas siedziałam na plaży, pogrążona w szoku, otępiała, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało, boleśnie ściskając rękę podrzutka. Pewnie aż krzyczała z bólu, ale ja tego nie słyszałam. To niemożliwe. Niemożliwe, żeby chłopak, który potrafił wsunąć rękę do nory i wyciągnąć pięknego, tłustego królika, nie wypłynął na powierzchnię. Na niebie latały mewy, kołując i krzycząc.

- Piekło i szatani! - zawołał ojciec z rozpaczą, kiedy obie z siostrą poszłyśmy powiedzieć, co zrobiło zachłanne morze. Matka wybiegła z domu i przedzierając się przez zielony kłujący kolcolist, zaczęła schodzić w dół po klifie, potykając się przy tym, a ostry czarny żwir okrutnie ranił jej ręce. Krzyczała:

- Mój skarbie, mój syneczku najdroższy, nie odchodź! Nie zostawiaj mnie!

Czyż może dziwić tak bezmierny smutek i ból? Przypomniałam sobie, jak mój brat o śmiejących się oczach zjadał małe ślimaki pobrzechki. Czyż można się dziwić morzu, że go zapragnęło?

Tego wieczoru ojciec był tak pijany, że przewrócił się do tyłu i upadł na plecy, z bezwładnie rozrzuconymi nogami. I tylko patrzył nieruchomo przed siebie. Matka, przewiązana w pasie czarnym szalem, siedziała milcząco przy oknie, wpatrzona w morze. Nic nie mówiła. Nie płakała. Czekwała na jego ciało, ale, widzisz, on był tak drogocenny, że morze nie chciało go oddać, nawet bez życia. Serce matki zostało na zawsze złamane.

Nawet nie mogła własnymi rękami wykopać grobu i złożyć w nim utraconego dziecka. Jak żyć teraz, gdy syn odszedł tak szybko? W ciągu miesiąca opuściliśmy Connemare. Przenieśliśmy się do Anglii. Do okropnego miejsca zwanego Kilburn.

Nie będę cię zanudzać opowieściami, jak brudne było Kilburn, jak ohydne było nasze małe komunalne mieszkanie z dwiema sypialniami ani jak ojciec, zapomniawszy zupełnie, że jest wielkim malarzem, którego czas jeszcze nie nadszedł, zaczął pracować w firmie kurierskiej. Nie, opowiem ci tylko o podrzutku.

Ciągle jadła. Pewnej nocy poszłam do kuchni i gdy zapaliłam światło, zobaczyłam, że siedzi na podłodze, oparta plecami o lodówkę, i spieszenie wpycha sobie do ust surowe kiełbaski. W osłupieniu patrzyłam na jej wielką, bladą twarz.

- Na miłość boską, co ty wyprawiasz, Margaret? - Wyglądała jak irlandzki skrzat, ściskający swój garnek ze złotem.

Nasz podrzutek. „Są w stanie opróżnić spizarnię do czysta”.

- Wynoś się! Idź stąd! Przestań mnie szpiegować - warknęła, odsłaniając zęby jak wściekły kundel.

- Przyszłam tylko po szklanek mleka - tłumaczyłam się, zaskoczona.

Spojrzała na mnie z nienawiścią i wybiegła z kuchni, ściskając w ręku różową kiełbasę.

Kiedy osiągnęła wiek dojrzewania, stała się jeszcze bardziej obca. Ukryła się w za dużych wełnianych swetrach, pod wieloma warstwami odzieży i welonem długich włosów. Pewnego ranka oświadczyła, że została wegetarianką. Był to bunt wyjątkowo podstępny i zdradliwy. Tak naprawdę ona wcale nie mięso odrzucała. Odrzucała nasze życie, ciepło, które sprawiało, że stanowiliśmy rodzinę. Podczas gdy my wszyscy - aż się nam uszy trzęsły - zajadaliśmy się pieczoną kaczką i zieloną fasolką lśniącą od sosu przezroczystego jak czerwono brązowe szkło, ona z trudem przełykała posiłek złożony z pięciu strączków fasoli, dwóch różyczek gotowanego kalafiora i jednego młodego kartofla. Męczyła się nad jednym plackiem ziemniaczanym bez żadnych dodatków, podczas gdy myśmy pałaszowali góry placków z przepyszny nadzieniem. Przytapałam ją nieraz, jak zerkając kątem oka na sosy lśniące na naszych talerzach. Z fascynacją,

143

a jednocześnie z lękiem. Została wegetarianką, żeby uciec od kalorii, ale ja nie zapomniałam o jej łakomstwie. Jak wypychała sobie surową kiełbasę do gardła.

Dopiero matka zauważyła, że Margaret ma bardziej niż zwykle wystające kości policzkowe.

Przyszedł dzień, kiedy nakarmiono ją siłą w szpitalu. Niebezpiecznie spadł jej poziom potasu.

- Tu chodzi nie tylko o jedzenie - wyjaśnił lekarz.

- Wielki Boże! Ona prowadzi wojnę z samą sobą - jęknęła matka.

- Aha, czyli anoreksja - głośno i z ulgą westchnął ojciec. Jedną z tych nowomodnych chorób. Nic poważnego. To tylko chęć zwrócenia na siebie uwagi. Ale tą skórą i kośćmi, ważącymi razem niecałe trzydzieści pięć kilo, rządziła ta sama pełna determinacji natura, która kazała jej wydzierać się, dopóki ktoś jej nie wzięł na ręce. Przez nią nasze posiłki stały się smutnymi spotkaniami zgarbionych, pogrążonych we własnych myślach, obcych sobie ludzi, uważnie popatrujących na siebie nawzajem. W ciszy siedzieliśmy nad dawno pustymi talerzami i patrzyliśmy, jak ona kroi jedzenie na niemożliwie małe kawałki i wolno, wolno, z największą niechęcią przeżuwa każdy kęs.

Żeby wywołać wrażenie, że już jadła, wysypywała na swój talerz okruszki z tosterka. Przemysłnie ugniatała kawałki chleba w dłoniach, aż zmieniały się w lepkie ciasto, które łatwo dało się upchnąć w rękawie. Podjazdowe działania wojenne były obustronne. Ona ukradkiem napełniała kieszenie luźnych spodni jedzeniem z talerza, a rodzice chyłkiem ładowali podwójną porcję masła i śmietany do jej tłuczonych kartofli. Ona obsesyjnie serwetką wycierała masło z grzanki, rodzice cichcem dosypywali więcej cukru do jej budyniu. Patrząc z boku, obserwowałam ich zabawę w kotka i myszkę, te chytre zmagania o wielu zasadach i równie wielu fantach. Tylko dla wtajemniczonych.



Nieistotne, jak wiele miłości jej dawali, po prostu zawsze było jej mało.

Patrzyłam na jej coraz bardziej haczykowany nos i miałam wrażenie, że widzę dzikiego wojownika. Jak turecki sułtan, prędzej by umarła, niż się poddała. Usiłowała zdobyć sam Konstantynopol. Nawet jeśli był już pusty, a mieszkańcy dawno wymarli.

144

Często, kiedy przychodziliśmy do szpitala, odwracała głowę i ignorując naszą obecność, z nienawiścią w oczach spoglądała na rurki doprowadzające pożywienie do jej wygłodzonego ciała. Pamiętam, jak kiedyś stała przed lustrem. Podniosła bluzkę i poskarżyła się:

- Popatrz, jaka jestem gruba!

Ale kiedy napotkałam jej wzrok w lustrze, zobaczyłam, że jest to pełne pychy kłamstwo. To jasne, że widziała, jak jest żałośnie chuda, ale nie chciała tego przyznać. Przyznanie się zniszczyłoby wszystko. Przestałaby być bezradną ofiarą, niemogącą powstrzymać się od skubania chusteczki, żeby nie myśleć o głodzie, i stałaby się manipulującą nami egoistką.

Moim zdaniem ona wcale nie chciała umrzeć. Czego więc chciała? Posuwała się daleko, ale gdy już dotarła na sam skraj, a rodzice chcieli przenieść ją w tył o jeden krok lub, jeśli mieli szczęście, nawet dwa, udawała, że się opiera.

A potem znów zjawiała się przy stole i przebierając palcami, bawiła się jedzeniem... i nie jadła. To wtedy zaczęłam jej nienawidzić. Widziałam przewrotność, z jaką cały czas trzymała rodziców na baczność. Dzień i noc. Byli przekonani, że jest chora, ale ja wiedziałam lepiej. Widzisz, ja zobaczyłam prawdziwą Margaret w lustrze, oglądającą się ze wszystkich stron: „Popatrz, jaka jestem gruba”. Ja jedna widziałam, co naprawdę kryje ta wychudła, kłamliwa twarz i długie, chwytnie palce. Rozpad naszej rodziny. Śmierć mego brata.

Przyglądałam się rodzicom, cierpliwie czekającym, aż ona weźmie następny kęs do ust, i dostawałam szału. Czy nie moglibyście wreszcie dać sobie spokój i coś zjeść, do cholery? A potem, leżąc w łóżku, słyszałam, jak Margaret wymiotuje w toalecie. Wracała z oczami załamionymi, ale z wyzywającym spojrzeniem. Nienawidziłam jej.

Przez nią matka stała się tą starą, zmęczoną kobietą, której łkania dochodziły do nas przez ścianę sypialni. W ciemności naszego pokoju czekałam, aż Margaret zacznie oddychać równo we śnie, i wtedy szeptałam mój plugawy sekret tak głośno, jak tylko się odważyłam:

- Nienawidzę cię. Nienawidzę cię, Margaret. Chcę, żebyś umarła. Słyszysz? UMARŁA.

145

Pewnego dnia, gdy weszłam do naszego pokoju, moja siostra leżała wyciągnięta na łóżku, ze wzrokiem utkwionym w sufit i wiązanką kwiatów na piersi.

- Co robisz? - spytałam w osłupieniu. Spojrzała na mnie z zadowoleniem.

- Tylko tak udaję - wyjaśniła spokojnie. - O śmierci, zgaś mój oddech. Śmierci, weź mnie za rękę. Śmierci, uśmiechnij się do mnie. Śmierci, nie zwlekaj zbyt długo... - I zamknąwszy oczy, udawała

umarłą. Czy słyszała, jak w ciemności szeptałam o mojej nienawiści? Doszłam do wniosku, że jednak nie. Była tylko zwykłą komediantką.

Któregoś dnia przez kominek wpadł do bawialni wielki czarny kruk, mający gniazdo na kominie. Fatalnie popalił sobie skrzydła i cierpiał potwornie. Biedne stworzenie, zdążył zanieczyścić cały pokój, zanim oszołomiony i drżący usiadł na toalecie. Margaret nie chciała patrzeć, jak ojciec go zabijał, ale ja widziałam wszystko. Jak szybko duch opuścił spalone ciało. Ta śmierć wcale nie była odrażająca. Wręcz przeciwnie, była jak przyjęcie z ulgą wyzwolenie od bólu. Pochowaliśmy go przy torach kolejowych. Przyszło mi wtedy na myśl, że pewnego dnia Margaret też zostanie pochowana. Będę ją czuć w brązowym zapachu ziemi.

Umarła we śnie, spokojnie jak anioł.

Pamiętam, jak to było, gdy ogarnęła ją wieczna noc; jeszcze nie była martwa, ale już tak bliska śmierci, że powinnam była pobiec do rodziców i zaalarmować ich, że jej oddech stał się urywany. Ja tymczasem położyłam się do łóżka. To był właśnie ten moment, kiedy nie zdecydowałam się na opowiedzenie się po żadnej ze stron, kiedy nie zrobiłam nic. To dlatego zostałam zesłana w miejsca ciemne i odległe.

Zdawało mi się, że całą wieczność leżę bezsennie w ciemnościach, nasłuchując zamierania umęczonego oddechu, aż wreszcie w pokoju zapadła wielka cisza. Odwróciłam wtedy głowę i spojrzałam na budzący się za oknem dzień. Jak pięknie wstawało słońce! Przez długą chwilę niebo było dosłownie białe złote. Zapowiadała się wspaniała pogoda. Cisza była wprost cudowna.

W tym momencie do pokoju weszła matka, a ja zacisnęłam piekące powieki.

146

Usłyszałam kroki zbliżające się do łóżka Margaret, a potem przyspieszony oddech. Rozległ się pełen przerażenia głos.

- Margaret! Margaret! - krzyżała matka, ale oczywiście Margaret już dawno nie żyła. No i czy w końcu nie odeszła naprawdę szybko?

- Steven! Steven! - wołała ojca.

- Elizabeth! Elizabeth! - wołała mnie.

Podniosłam powieki i ujrzałam jej oczy, przerażone, szeroko otwarte. Spojrzałyśmy na siebie i w tej sekundzie zrozumiałyśmy.

Sabotaż.

Błada jak śmierć cofnęła się, kręcąc gwałtownie głową. Odwróciła się, podeszła do swego zmarłego dziecka i przytuliła je. Jednak w tym zupełnie nierealnym momencie nie dostrzegłam potępienia w jej odwróconych do mnie plecach, a tylko błysk wdzięczności w oczach. Usunęłam źródło jej największej udręki. Zrobiłam to, na co ona nigdy by się nie zdobyła. Wysłałam moją siostrę w noc. Moment ten minął i poprosiła mnie, żebym jej pomogła, choć doskonale wiedziała, że już nic nie da się zrobić. Wstałam i spojrzałam na ciało siostry. Jej twarz wciąż zwrócona była w moim kierunku, oczy otwarte i nieprzebaczające. Te twarde oczy wpatrywały się we mnie całą noc.

Kto wie, co widzą umarli.

„Nie słyszałaś, jak cię wołałam? Ja nie chciałam umierać. Nie wzruszył cię ten odgłos? - oskarżały patrzące na mnie oczy. -Odgłos umierania, rozpaczliwy dyszący szept, wzywający twojego imienia?"

No więc już teraz wiesz. Kłamałam wcześniej, mówiąc, że oddech ustał i zapadła cisza. „Odgłos umierania". Tak, słyszałam go. Był potworny. Świadczył o strasznych męczarniach. Raz nawet jej głos próbował mnie podejść. „Szybko, zawołaj mamę -błagał słabo. - Umieram i muszę się pożegnać". Moja siostra, jak to zawsze podejrzewałam, nie miała odwagi spojrzeć śmierci w oczy. Na sam koniec nie chciała umierać, ale zbyt często wzywała jej imienia nadaremno, więc ta w końcu nadeszła. Wsunęła ją w swoją wielką paszczę, wyssała duszę do cna i wypluła nieżywe ciało.

Matka zamknęła mojej siostrze oczy. Za pierwszym razem buntowniczo rozwarły się znowu, ale za drugim razem się udało.

147

Potem starannie owinęła zimne ciało kocem i kołysała kochaną głowę. W pewnym momencie koc osunął się i wtedy je ujrzeliśmy: delikatne włoski porastające brzuch. Matka ze zdumieniem dotknęła złotego puchu.

- Zimno jej było. Tak zimno, że wyrosło jej okrycie z włosów - mruzczała. Pokiwała głową i zacisnęła lekko usta.

A ja pomyślałam sobie: no i Jack miał rację od samego początku. Rzeczywiście była podrzutkiem. Przez długi czas mama nie pozwalała ojcu wezwać karetki. Siedziała i kołysała się, śpiewając pieśń umierającego łabędzia. Rozumiałam, że chce śpiewem przynieść ukojenie zmarłej córce, ale nie był to już ten piękny, melodyjny głos, jaki pamiętałam z czasów, gdy gromadziła nas wokół siebie i śpiewała, abyśmy się nie bali straszliwej burzy szalejącej na dworze. Nie, to był surowy, pozbawiony melodii pisk, któremu towarzyszył groteskowy taniec kołyszącego się ciała.

Stanęłam nad siostrą i teraz, gdy jej oskarżające oczy były zamknięte, doszłam do wniosku, że jednak w jej śmierci było coś pięknego. Biedna Margaret była ładnym trupem.

Tego wieczoru kot przyniósł martwego kosa i z szacunkiem złożył go u stóp mamy. Miał to być dar, pociecha dla pogrążonych w żałobie. Ojciec ustawił na grobie Margaret kamiennego anioła. Opłakiwał ją ten anioł w kamiennych szatach, z oczyma spuszczoneymi w dół. Czasami szłam do niej i kładłam się na trawie porastającej cichą ziemię jej grobu. Sama nie wiem, dlaczego. Nie trzeba było tego robić.

Byłam dzieckiem żmiją wyhodowaną na własnym łonie. Widziałam to w oczach matki.

Spoiwo łączące rodziców przestało istnieć i ich drogi się rozeszły. Ojciec odszedł z sekretarką z firmy, w której pracował. W dniu, w którym nas opuścił, przypomniało mi się, jak zabawny był w Connemarze, w Dniu Świętego Patryka, kiedy w cylindrze na głowie biegał na palcach po pokoju. Chwytał wpół roześmianą matkę, nazywał ją ma chroidhe, moje serce, czasem skracając to do pięknego dźwięku machree. Później, weseli i szczęśliwi, zapiekaliśmy jajka nad ogniem na kominku, a ojciec palił fajkę.

Wróciłyśmy z matką do Irlandii. Zamieszkałyśmy w Dublinie i żyłyśmy w nędzy.

148

Matka stała przy kuchennym oknie w szlafroku, z pustym kartonem po mleku w ręce.

- Nie ma już mleka - mówiła ze zdziwieniem.
- Owszem, mamo - przytakiwałam. - Nic już nie ma w kredensie.

Chciałam, żeby mnie zapytała: „Dlaczego pozwoliłaś jej odejść?”. Ale nigdy tego nie zrobiła.

Poczucie winy matki było jak ośmiocalowy kuchenny nóż, który uderzył z boku, kiedy nie uważała, i utkwiał głęboko w jej ciele. Widziałam, jak się szarpie, żeby go wyciągnąć, ale tylko jeszcze więcej krwawiła. Od tamtej chwili zawsze nosiła to ostrze w sobie. Powtarzała zamroczonym głosem:

- Daj mi trochę czasu. Odrobinę, a obiecuję, że będzie lepiej.

Więc czekałam i czekałam, ale matka stała się coraz bardziej obca. Nie była w stanie spojrzeć mi w oczy. Wybaczyła zakonnicom, ale nie mogła zmusić się do tego, żeby wybaczyć mnie. Tak wielki był ten skrywany głęboko wstyd, że w końcu stałyśmy się dla siebie obce. Nie umiałyśmy wzajemnie się pocieszyć. Obie byłyśmy morderczyniami. Nie dane nam było zaznać pociechy, jaką daje smutek.

Czasem odwiedzałam ojca. Sekretarka siadała mu wtedy na kolanach i coś szeptała do ucha. Jakieś ich drobne sekrety, po to, żebym wiedziała, iż jestem tu zbędna, że jestem ta trzecia. Chciała tylko mężczyzny, dla jego potomstwa nie miała miejsca.

Nigdy nie znalazłam miejsca dla Margaret, więc muszę nosić ją w sobie. Czasami zakrada się do moich snów i wpatruje się we mnie uporczywie. „Dlaczego? Dlaczego mi nie pomogłaś? Powinnam być tam, gdzie ty, a nie jestem. Przez ciebie. To ty ponosisz odpowiedzialność za to, co się ze mną dzieje”. Albo przychodzi w nocy i siada w kącie sypialni, patrząc na mnie złowrogo. Jej puste oczy widzą w ciemnościach bez latarki. Robi naszyjnik ze szczerzych zębów, a kiedy go skończy, mój czas też dobiegnie końca. „Wymów moje imię, a będę żyć” - mówi.

Oczywiście nigdy tego nie zrobiłam. Nie zasługiwałam na to, by kogokolwiek ratować. W lustrze już dawno zaczęłam dostrzegać to, co widziała matka: morderczynię ukrytą w mojej skórze. Jak te ryby, które udają korale albo unoszące się w wodzie wodorosty, aby oszukać niczego nie podejrzewającą ofiarę i dzięki

149

temu przeżyć. Ty też, gdybyś dostrzegła we mnie morderczynię, mogłabyś próbować ją zniszczyć.

Mając szesnaście lat, szczerze nienawidziłam ukrytego we mnie monstrum. Za każdym razem, gdy patrzyłam w lustro, nie widziałam pięknej dziewczyny, której mężczyźni przysięgają miłość do grobowej deski, lecz jedynie zimnego potwora, który pozostał obojętny na błagania umierającej siostry.

Więc uciekłam.

Do Londynu.

Wysiadłam z pociągu zmęczona i dezorientowana. Wszyscy wydawali się tacy czymś zaaferowani. Pośpiech, pośpiech, pośpiech. Otaczał mnie cały świat, wielki i pełen podniecających przygód. Jedna wyszła z cienia pod postacią mężczyzny. Był zdecydowanie przystojny, taki gładki i ulizany typ. Ubrany w ładny niebieski garnitur. „Czy chciałabyś być modelką?” Instynktownie w duszy wiedziałam, że nie należy mu ufać, a jednak moje usta odparły: „Tak”.

Wyjął wizytówkę. Była skromna i głosiła, że jej właściciel jest łowcą talentów agencji modelek. Nie Elite, ale Elites. Bardzo podobnie. Oszukiwano mnie. Ale ja chciałam, by mnie oszukano.

Ten mężczyzna zabrał mnie do pewnego mieszkania. Były tam inne dziewczyny. Wszystkie piękne. Jedna tak piękna, że nie mogłam się na nią napatrzeć. Na stopach miała baletki, brązowe włosy całe w lokach, a oczy niebieskie. Była Irlandką, znajomą jak irlandzki chleb. Uśmiechnęła się do mnie. „O - szepnęło moje serce. - To będzie moja przyjaciółka”.

- Chodź - zaprosiła mnie Maggie. - Będziesz w moim pokoju.

Szybko zostałam prostytutką. To bardzo podobne do nalewania guinnessa. Dwuetapowy proces. Nalewasz trochę, czekasz, potem nalewasz więcej. Nie zrozumiesz tego, jeśli sama przez to nie przeszłaś. Mechanizm jest zawsze ten sam: „Jesteś moja. Moja. Nikomu nie wolno nawet na ciebie spojrzeć. Z nikim się nie dzielę. Rozumiesz? Moja i tylko moja... Ale czy nie mogłabyś mi trochę pomóc? Jeśli naprawdę mnie kochasz, zrobisz to. Daj spokój, to tylko seks. Nic nie znaczy. Będę kochał cię jeszcze bardziej. Zobaczysz. To tylko taka praca, na miłość boską...”

150

Jak motyl dostępny dla każdego kwiatka. Trzepoczący skrzydłami, gdzie popadnie, dopóki nie pochwyli go ptak albo okrutny kot sąsiadów. Dusza zaprzędana diabłu.

Mężczyźni, powiadam ci, to podłe kreatury. Widzę, że się uśmiechasz. Myślisz, że twój mężczyzna jest lepszy niż ci, których spotkałam w życiu? Nie, nie, moja ty wprowadzona w błąd biedulko.

Przez chwilę bądź mną w moim życiu, a ja będę tobą w twoim.

W ciemne noce twój mężczyzna jest moim mężczyzną, chce tego na ostro, na szybko lub całkiem inaczej. W sumie wszyscy oni dążą do tego samego. Popróbować wszystkiego, nie, raczej odkryć wszystko, nie narażając się na szyderstwo czy krytykę. Cały czas tkwi w nich pragnienie, by okazać, jakie tak naprawdę są z nich nędzne i podłe stworzenia. Nie wierzysz mi. Może to i lepiej. Tak, tak, postępuj w myśl zasad starych czarownic: „Jeśli się za dużo wie, to można się za szybko zestarzeć”\*.

[\* Cytat z książki Clarissy Pinkoli Estes Biegnąca z wilkami w przekładzie Agnieszki Cioch. W powieści jest wiele odniesień do tej książki].

Ale wtedy czeka puste łóżko i zimne prześcieradła. Spójrz, co ze mną się stało. Raz odebranej niewinności nie odzyska się z powrotem.

Czy to nie ciebie widziałam, jak przyśpieszasz kroku, ściskając mocno ramię mężczyzny, o którym zawsze myślałaś, że należy tylko do ciebie, i wlepiasz nienawistny wzrok we mnie? Razem z inną dziewczyną stałyśmy wtedy w podejrzanym bramie na Soho, zaczepiając przechodzących mężczyzn. Śmiałyśmy się z ciebie, patrząc na twoje oddalające się plecy, pełne godności i oburzenia. Wtedy to

nie była prostytutka. To było zwykłe naciąganie. Płacili słono za moje „koktajle na szampanie”, pięknie udekorowane kieliszki z kolorowym syropem. W tym biznesie nie było czegoś takiego jak stali klienci. Potykali się na ciemnych schodach i spadali w dół, a potem zostawali starannie oskubani, i nawet ci, którzy nie wyszli niezadowoleni i nie kleli na czym świat stoi, nigdy nie przychodzili po raz drugi.

Czy zauważyłaś, jak oczy twego mężczyzny przesunęły się po mnie? Jak bezradny był wobec tej niepohamowanej ciekawości, która go nagle podstępnie ogarnęła? A ponieważ ty nalepiłaś sobie etykietkę z napisem „porządna”, więc nie mogłaś

151

odkrywać swojej własnej seksualności i musiałaś udawać potępienie i pogardę, maskując tym cichą zazdrość o takie występne stworzenie jak ja, o te wszystkie rzeczy, które ja robiłam za pieniądze. Pragnęłaś, aby cały mój rodzaj został unicestwiony, prawda? Jesteśmy naturalnymi wrogami od niepamiętnych czasów.

Wreszcie trafił się pewien młody człowiek, klient, drobny dealer narkotyków, który postanowił wyrwać mnie z mojej profesji. Zabrał mnie do siebie. Dumnie nazywał swoją dziewczyną. Wychodziliśmy razem, trzymając się pod rękę. Sądzę, że byłam dla niego czymś w rodzaju ozdoby, mającej zaimponować koleśiom. Pewnego dnia opacznie zrozumiał spojrzenie, jakie wymieniłam z jednym jego znajomkiem, no i młody człowiek poczuł się zagrożony. Dręczyło go to, aż wreszcie pewnego wieczoru, wspomagając się butelką ginu, znalazł rozwiązanie. Genialny pomysł. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł, pozostawało zagadką. Jeszcze tej nocy wyjął kwadrat wycięty w fałszywym suficie i sięgnął do swoich zapasów. Wydobył kawałek białego kamienia, który jak za dotknięciem magicznej różdżki przemienił się w biały proszek.

- Spróbuj - zachęcił mnie. Sam też do tej pory nie próbował.

No więc spróbowaliśmy oboje. Było genialnie. Co noc próbowaliśmy do późna. Z upływem czasu stałam się złodziejem. Zaczęłam pragnąć białego proszku. Od chwili, gdy otworzyłam oczy, chciało mi się działać. Nauczyłam się podkraść mu zapasy w ciągu dnia. Niedużo, żeby nie zauważył. Pomału oboje się zmienialiśmy. Na naszych własnych oczach stawaliśmy się potworami. Niezrównoważonymi, chciwymi, pozbawionymi skrupułów. Przestałam czuć do niego wdzięczność, stawałam się coraz bardziej zdesperowana. Na początku nie zauważał, ale w końcu spostrzegł, że biały proszek w skrytce topnieje. W jego oczach błysła chciwość. Skrzyczał mnie i nazwał dziwką. Prędzej czy później z nich wszystkich wyłazi prawdziwa natura, podłe kreatury, ale mimo wszystko zostałam, a on doskonale wiedział, że zostanę. Miał władzę. Miał biały proszek.

Pewnego razu przez cały dzień jechałam na tym, co ukradłam dzień wcześniej, kiedy on był na ostrym haju. Wieczorem, po powrocie do domu, pokazał, na co go stać. Oświadczył, że idzie

152

na przyjęcie do znajomego. Beze mnie. Niewątpliwie czekała tam na niego inna kobieta. Nie obchodziło mnie to, dopóki nie okazało się, że wyjmuje ze skrytki biały kamień i starannie go pakuje. Zabierał go ze sobą.

Miałam jakieś pieniądze. Chciałam zaczekać, aż on pójdzie, i też wyjść. Kupić trochę od któregoś z jego kumpli. Nagle usłyszałam, że zamyka mnie od zewnątrz na klucz. Bydlak mnie uwięził. Waliłam pięściami w drzwi i krzyczałam do niego, a w odpowiedzi usłyszałam jedynie ciężkie, oddalające się kroki na schodach. Byłam tak wściekła, że w ogóle nie myślałam. Działam instynktownie jak zwierzę. Otworzyłam okno i wyskoczyłam.

Powietrze było chłodne i świeże i powiem ci, że jak leciałam, było bosko. Nie czułam strachu, nawet kiedy upadłam na miękką trawę pod oknem, płasko na plecy, i stwierdziłam dziwną martwość w ciele. Usłyszałam jego kroki na ostatnim stopniu schodów.

Dotarłam na dół wcześniej niż on.

Nie będąc w stanie się ruszyć, zawołałam do niego. Usłyszawszy mój głos, zatrzymał się, zdezorientowany. Potem podszedł i stanął nade mną z komicznym wyrazem twarzy. Wolno pochylił się i spojrzał na mnie z bliska. Dłuższą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem.

- Głupia dziwka - rzucił i mocno mnie uderzył. Nie bolało. Potem odszedł. Niebo nie było czarne, ale zadziwiająco niebieskie. Tak piękne, że aż z oczu popłynęły mi łzy. Poszedł na to swoje przyjęcie, ale po drodze wezwał karetkę. Przyjechała z rykiem syreny.

Wsadzili mnie w gorset aż po piersi. Miałam szczęście, jak powiedzieli. Mogłam skrócić kark, umrzeć i pójść do nieba. Myśleli, że zostałam wypchnięta. Nie wierzyli, że ktoś tak młody i piękny mógł wyskoczyć z własnej woli. Szukali siniaków i nie znaleźli. Zdziwieni i zażenowani, wrócili potem do swoich dzieci i małych piętrowych domków, szczęśliwi, że ich życie nie ma nic wspólnego z takim dziwnym, przedziwnym światem.

Przyszedł mnie odwiedzić w szpitalu, z przeogromnym bukietem kwiatów, bombonierką w kształcie serca i wyrazem współczucia na twarzy. Gdy delikatnie ujął moją rękę, odwróciłam

153

głowę w drugą stronę. Wtedy poczułam w dłoni małą paczuszkę. Spojrzałam na niego. Patrzył mi prosto w oczy. To był test. Jak daleko pozwolę mu się posunąć.

Przyglądając mu się uważnie, zacisnęłam palce na prezencie. W jego oczach pojawił się błysk triumfu. Wygrał. Dla nas obojga było teraz jasne, że nigdy nie byłam niczym więcej niż zwykłą prostytutką i nigdy niczym innym nie będę. Mającą swoją cenę. Którą wedle woli można kupić i sprzedać. Również za marne grosze. Nigdy nie zapomnę tego momentu hańby. Tej kompletnie zaskakującej dla mnie chwili, kiedy sama zgodziłam się, by wyznaczono za mnie cenę. Momentu, w którym zaprosiłam świat, żeby sobie używał na mnie do woli.

Tak naprawdę jestem jednym z tych kormoranów zjadających grzechy\*.

[\* Nawiązanie do Biegającej z wilkami Clarissy Pinkoli Estes. Kormorany od starożytności symbolizują istoty „zjadające grzechy”].

W brzuchu mam grzechy mojej siostry. To dlatego ona, niekompletna, czeka w ciemności i patrząc na mnie z nienawiścią, robi naszyjnik ze szczurzych zębów. Muszę przestać istnieć, zanim zażąda tego, co zjadłam, i znów stanie się całością. Ona chce, żebym przestała istnieć, żebym umarła.

Jeden jedyny raz zapomniałam o śmierci. Było to wtedy, gdy pojechałam na Jamajkę z klientem nie lubiącym brązowoskórych dziewcząt. Na jakiś turniej golfowy. Przez trzy dni zniknął o siódmej rano i wrócił pijany późnym wieczorem, dzięki czemu cały dzień miałam dla siebie. Niedaleko hotelu był mały bar na plaży, a kobieta, która ten bar prowadziła, miała dziecko, najśladziej, jakie możesz sobie wyobrazić. Brązowe i tłuściutkie.

Pozwalała mi zabierać je na plażę, gdzie mogła nas cały czas widzieć. Godzinami leżałam na piasku, bawiąc się z dzieckiem. Jadło papkę z kartofli, groszku i kurczaka. Miało włosy jak ciemny obłok, niewiarygodnie miękkie. Po południu spało pod barem w koszyku, a ja szłam popływać w ciepłej wodzie. Kiedy się obudziło, szłam po nie. Och, co to był za raj! Wtedy zapomniałam o moim wyroku śmierci. A wieczorem, gdy sama spacerowałam po plaży, księżyc nie wstydził się świecić na dziwkę.

Ostatniego dnia znalazłam leżące na ścieżce małe martwe pisklę. Niosłam wtedy na ręku brązowe dziecko. Zatrzymałam

154

się na moment, zauważywszy małe ciało, nie większe niż mój mały palec, nagie i czerwone.

- Biedactwo - powiedziałam i oboje z chłopcem spojrzeliśmy ciekawie na martwego ptaszka. W tym momencie byłam taka jak on, jak wszyscy mężczyźni na tym świecie, którzy widzą śmierć wszędzie dokoła, a jednak nie bardzo wierzą, że ich też to spotka. Z tym dzieckiem w ramionach byłam niezwykła. Pomyślałam, że mogłabym stać się inna. Pomyślałam, żeby zacząć na nowo. Wrócić do Anglii, zaadoptować małe brązowe dziecko. Byłoby tylko moje.

Wróciłam stamtąd jak inny człowiek. Grzech, który nosiłam w sobie, nie ciążył mi już tak strasznie. Wiedziałam, co powinnam zrobić. Koniec z narkotykami. Chciałam należeć do kogoś, nosić jego obrączkę i jego nazwisko. A gdy pozostaną mi już tylko resztki własnych zębów, umrzeć i zostawić go ze złamanym sercem. Chciałam dziecka, rodziny i kuchni pachnącej świeżo upieczonym chlebem. Wszystko moje. Zapisalam się na mieszkanie komunalne i znalazłam sobie pracę w nocnym klubie jako recepcjonistka. Tydzień później dziewczyna stojąca w kolejce wykrzyknęła radośnie moje imię. O, Elizabeth! O, Maggie!

Zostałyśmy znowu przyjaciółkami, a ona powiedziała mi, że też chce skończyć z prostytutką. Zapropozowała mi, żebym zamieszkała z nią na najwyższym piętrze w Maida Vale, dopóki nie dostanę własnego mieszkania. Wydawało się, że to dobry pomysł.

Mieszkanie było małe i nędzne. Niespodziewanie na kolanach lądowały ci olbrzymie koty i wszędzie, gdzie spojrzeć, leżały dziesiątki książek z antykwariatu na temat filozofii, historii, sztuki i kultury. Tworzyły wielkie stosy, stały na półkach, walały się na stołach i stolikach, w zasadzie były wszędzie. Z sufitu zwieszały się pajęczyny, wszystkie poduszki porwane były przez koty i sterczało z nich pierze. W kuchni śmierdziało starą karmą dla kotów, lodówka była pusta, z wyjątkiem kartonów z mlekiem i puszek z piwem. Po kuchennym parapecie swobodnie biegały nieskrępowane niczym miliony mrówek.

- Słyszałaś kiedyś o środkach owadobójczych? - spytałam, patrząc na czarne rojowisko.

- Po prostu są głodne. Jak się im zostawi odrobinę dżemu na oknie, nie rozlażą się po całej kuchni.



Potem zaprowadziła mnie do sypialni i tu westchnęłam. Jakby to był zupełnie inny dom. Najmniejszego śladu kociego zapachu. Była nieskazitelna, ale największe wrażenie robiły ściany. Wszystkie obwieszane obrazami olejnymi.

- Twoje dzieło? - spytałam. Kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

Ach, więc tym jesteś naprawdę, malarką - pomyślałam. Jakże cenną rzecz poświęciła dla tak zwanego łatwego życia! Przypominały mi trochę obrazy ojca, ale były lepsze, o wiele lepsze, przepełnione dojmującym smutkiem i poczuciem straty.

- Są świetne, Maggie. Sprzedasz je?

- Nikt ich nie chce. - Pomyślałam o tacie usiłującym sprzedać swoje i o tym zabijającym go poczuciu, że nikt ich nie chce. Biedna, biedna Maggie.

Dla mnie była wszystkim tym, czym prostytutka nie jest. Czasem w nocy, gdy szłam do ubikacji, witał mnie pogodny widok Maggie siedzącej w koronkowym szlafroku przed kominkiem, z nogami opartymi na zniszczonym stołku, czytającej i głaszczącej kota. To od niej nauczyłam się spokojnej radości, jaką daje czytanie. Jedynym problemem było to, że książka przenosiła mnie w świat, który nie był mój i nigdy nie mógł być mój.

Dostała pracę kelnerki w nocnym klubie, w którym pracowałam. Świetnie się razem bawiliśmy. Zapraszano nas na przeróżne przyjęcia i zawsze byliśmy królowymi balu. Nie miałyśmy dużo pieniędzy, ale kupowałyśmy najmodniejsze ubrania w Top Shopie i modyfikowałyśmy je, dodając własne akcenty w postaci guzików, kieszeni i aksamitnych wykończeń, które odcinałyśmy od ubrań kupionych za grosze w charytatywnych sklepach z używaną odzieżą. Nigdy w życiu się tak dobrze nie bawiłam jak wtedy.

Czasami obie z Maggie balowałyśmy tak ostro, że szła ostatnia butelka alkoholu. O szóstej rano wybiegałyśmy z domu i minąwszy wózek mleczarza, rzucaliśmy kamykiem w okno na piętrze nad narożnym sklepem. Po chwili rozchylały się zasłony i ukazywała się w nich brązowa twarz. Machałyśmy wesoło. Zaczynał się dobrze znany rytuał. Najpierw twarz wycofywała się, a potem zasłony poruszały się znowu i w prześwicie migała inna brązowa twarz. To była żona pana Dulipa Singha. Wkrótce potem

drzwi się uchylały lekko, byśmy obie mogły się wślizgnąć do środka. Tak wcześnie rano pan D. nie nosił swego turbana. Gęste, siwiejące włosy były zawsze potargane.

- Wódki - mówiłyśmy, udając, że dyszymy rozpaczliwie.

- Ach, wy nieznośne dziewczyny. - Ciężki akcent brzmiał surowo, ale kiwający palec zdradzał nieskończoną pobłażliwość. Zawijając butelkę w zieloną bibułkę, ostrzegał nas z rodzicielską troską przed zimnem i niebezpiecznymi mężczyznami na ulicy. Potem otwierał drzwi i ukradkiem wyglądał na ulicę, szybko rozglądając się w prawo i w lewo. Spiesznie wypychał nas na dwór.

- Jakby pytała was policja, to nie zapomnijcie, że tylko pożyczycie butelkę i oddacie później.

- Oczywiście, panie D. Dziękujemy, panie D.

- Niech pan do nas kiedyś wpadnie - zapraszała Maggie. W jego oczach pojawiał się błysk. Wprawdzie uważał ją za zwykłą ulicznicę, ale w czarnych, chciwych oczach wyraźnie widziałam zachwyt słodką, małą Maggie.

Pewnego dnia zastałam Maggie w kuchni czyszczącą pędzle.

- Trzeba zacząć nowe życie - powiedziała. - Najlepiej od włosów. Ufarbujmy je.

Za długo trzymałam farbę na włosach.

- O rety! - zawołała, śmiejąc się. Ale potem spojrzała jeszcze raz i powiedziała: - Nie, nawet mi się podoba. Wygląda ekstra.

Właśnie szliśmy zabalować i po drodze, niedaleko od Park Lane, zatrzymała się przy nas biała, długa limuzyna. Wysiadł z niej kierowca o oliwkowej cerze.

- Wy, dziewczyny, chcecie na przyjęcie? - spytał z nieprzyjemnym, ciężkim akcentem. Pokręciłam przecząco głową.

- Jasne - pisnęła Maggie i wskoczyła do samochodu. Stałam bez ruchu na chodniku.

- Co ty wyprawiasz, na miłość boską - syknęłam. - Tak właśnie werbują aktorki do tych filmów, gdzie pokazują zbrodnie na żywo.

- Nie bądź dzieckiem - odparła niecierpliwie. - Przecież to tylko kierowca. To będzie imprezka dla nadzianych facetów. No, chodź, wsiadaj.

Nie mogłam jej zmusić, żeby wysiadła, a nie chciałam też puścić jej samej.

157

- Niezła z ciebie przyjaciółka - powiedziałam i też wsiadłam.

Dwie rzeczy wydarzyły się na tym przyjęciu. Spotkałam wysokiego blondyna imieniem Ricky, który nie był zaproszonym gościem, a tylko wpadł, żeby dostarczyć narkotyki. Podszedł do mnie leniwym krokiem i wsunął mi do ręki klucz.

- Jak ci się znudzi tutaj, to wpadnij na najlepszą balangę w mieście - szepnął i poszedł sobie. Czy zdarzyło ci się kiedyś coś takiego? Czy podszedł ktoś do ciebie i dał ci klucz, o którym wiadomo, że nie powinno się nigdy, przenigdy z niego korzystać? Czułam się jak żona Sinobrodego.

Schowałam klucz do torebki i spojrzałam w oczy przysadzistego, intensywnie przyglądającego mi się mężczyzny, który nie pił alkoholu ani nie wachał białego proszku. W swoim kraju był przywódcą religijnym. Inni zwracali się do niego z szacunkiem, nazywając go mułką. Był także miliarderem i gospodarzem przyjęcia. Wyciągnął rękę i dotknął moich włosów.

- Co za wspaniałe włosy! Nigdy w życiu nie widziałem takich. - Uśmiechnął się. - Dobrze, że nie bierzesz narkotyków. To wstrętny nałóg.

Fizycznie był nieatrakcyjny, ale odebrał doskonałe wykształcenie w Anglii, a ponadto intrygował egzotyką. Pod koniec gry w szachy wykrzykiwał „szach mat” z arabskim akcentem. Rzeczywiście brzmiało to jak: „król nie żyje”. I umiał zabiegać o względy kobiety. Zасыpywał mnie prezentami, otworzył dla mnie rachunki w drogich butikach, zabierał mnie do najlepszych lokali i ogólnie traktował jak królową. Najdrobniejszy kaprys spełniał z przyjemnością. Wystarczyło, że wymówiłam jego imię, a wszystko stawało się moje. Urządził mnie w bogato wyposażonym mieszkaniu w Mayfair, tak by za każdą bytnością w Londynie móc mnie odwiedzać, i spodziewał się, że zimę będę spędzać z nim w Arabii Saudyjskiej.

Czy wiesz, jak neodparta może być pokusa? Brzmiało to jak bardzo niewiele za bardzo dużo. Więc w końcu, mimo że go nie kochałam, zostałam jego kochanką. Miesiące mijały w dekadentckim luksusie. W zimie leciałam do Arabii Saudyjskiej. Helikopter lądował w samym środku pustyni, na wspaniałym pałacu otoczonym całymi akrami nieskazitelnych trawników i ogrodów, o wiele bujniejszych i bardziej zadbanych niż w Anglii. Ale

158

w głębi duszy, nawet gdy kąpałam się w wodzie płynącej ze szczerzłotych kranów, nadal czułam się jak prostytutka. Nie tego chciałam od życia, więc kiedy przyszło pismo z urzędu miasta, że przyznano mi mieszkanie, uznałam, że nadeszła pora, by odejść. Był to znak od Boga. Powiedziałam mu, że odchodzę. Byłam dla niego miła. W końcu był dla mnie dobry.

Najpierw roześmiał się, śmiechem mężczyzny, który ma wszystko. I wtedy niespodziewanie, gdyż kompletnie nie przeczuwałam żadnego niebezpieczeństwa, i tak szybko, że musiał być przygotowany na ewentualność domagania się przeze mnie wolności, nauczył mnie wszystkiego o „wyłączniku” w mojej głowie. Sprawiał on, że gdy zaszła potrzeba, przenosiłam się w zimne, ciemne miejsce, gdzie nie czułam nic. Ani strachu, ani bólu, ani nienawiści, ani smutku, ani radości. Ani nadziei.

Już po wszystkim pocałował mnie lekko w czoło, pogłaskał moje włosy i powiedział:

- Dlaczego tak ze mną igrasz, habibi? Mój temperament to naprawdę niebezpieczna rzecz. Pamiętaj, to ja zdecyduję, kiedy nadejdzie czas naszego rozstania.

Przez wiele dni przemierzałam w tę i z powrotem bogato urządzone mieszkanie. Wściekła. Niedowierzająca. Pałająca żądzą zemsty. Snułam plany. Myślałam o nożach, truciznach, wynajętych mordercach. Nie będę bezbronnym stworzeniem w szponach drapieżcy. Maggie tylko spoglądała na mnie z niedowierzaniem.

Wtedy pewnej nocy przyśniło mi się, że moja siostra skończyła robić naszyjnik ze szczerzłych zębów. Otworzyła usta, które wyglądały jak czarna dziura, i wyszły z nich potworne rzeczy. Obudziłam się zapłakana. W tym momencie straciłam całą nadzieję. Nikt nie mógł mi pomóc. Byłam tylko prostytutką. Czułam nienawiść do całego świata. Nie miał dla mnie nic oprócz pogardy. Zawsze tylko czekał na to, żeby mnie zgnieść i stłamsić. Jedyłą moją obroną było to, aby nie dać mu się znowu dotknąć. Będę odporna na jego awanse, na nieśmiałe zaproszenia do gry według jego niesprawiedliwych zasad.

Nagle nie było już potrzeby karania mego prześladowcy. Z własnej woli pozostałam w jego ręku, ale tylko po to, żeby go wykorzystać. Żeby go zmusić do płacenia za coś, co i tak jest bez

wartości. Zastygłam w tej obronnej złości, cały czas czując w sercu żal i niesmak. W ten sposób nigdy mnie nie pokona.

Znałam tylko jeden sposób na ucieszenie mojej siostry. Wstałam z łóżka i zaczęłam przeszukiwać szafki, szuflady i torebki, aż wreszcie znalazłam go w słoiku z innymi zapomnianymi szpargałami. Klucz blondyna. Nie pragnęłam mężczyzny, ale tego, co obiecywał. Ten klucz Sinobrodego w mojej dłoni płakał krwawymi łzami. Krwią serdeczną. Przeciekała mi przez palce i wsiąkała w ubranie. Czyż nie byłam już wcześniej w tajemniczym pokoju i nie widziałam bezgłowych ciał innych żon? Nic mi więcej nie zostało. Wszelkie nadzieje zostały obrócone wniwecz. Za mocno zostałam poraniona. Klucz płakał i płakał w moim ręku, kiedy wychodziłam z mieszkania w Mayfair i szłam do świątyni pająka... a teraz już nie mam wyjścia\*.

[\* Klucz w opowieści o Sinobrodym, według Clarissy Pinkoli Estes, symbolizuje „przyzwolenie na poznanie najgłębszych i najciemniejszych sekretów psychiki”, które degradują i niszczą potencjał kobiety].

Musisz go poznać. Sama nie wiem nigdy, czy mam go podziwiać, czy mu współczuć.

\* \* \*

Anis Ramji.

Anis.

Myślę, że można śmiało powiedzieć, iż kochałem mego ojca, dopóki nie otworzyłem w jego komputerze pliku opatrzonego klauzulą „przeczytać dopiero po mojej śmierci”. Nie było go w domu, zarządzał właśnie imperium hotelarskim mego dziadka. Niełatwo było mi złamać hasło, w końcu poddało się, kiedy do równania wprowadziłem jego numer buta. Pamiętam ten ekscytujący moment, gdy ekran rozjarzył się pogrubionymi literami „Boże, błogosław”, wprowadzając mnie w jego sekretny świat. Retę, ależ byłem wtedy młody. I jak straszny był to dla mnie szok!

Do dziś pamiętam, jak czytałem każde słowo z przerażeniem, niedowierzaniem i najwyższym wstrętem. Mój ukochany ojciec był pedałem, zboczeńcem. Wszystkie odrażające szczegóły opisane były z lubością i z kliniczną dokładnością. Każde anonimowe spotkanie przedstawione zostało z detalami. Wchodzili w niego mężczyźni wszelkich kształtów i rozmiarów. Codziennie przychodził do tego pokoju, zamykał drzwi na klucz i z pietyzmem przelewał na ekran swoje wspomnienia, czerpiąc z nich seksualną rozkosz. Potęga słów była tak wielka, że czułem się niemal naocznym świadkiem każdej obrzydliwej sceny.

W kuchni matka prażyła skorupy i głowy krewetek. Tak długo siedziałem, gapiąc się przez okno sam nie wiem na co, że aż doczekałem się odgłosu mielenia w kamiennym młynku, a jeszcze później zapachu gotowego curry zagęszczonego krewetkowym proszkiem. Gdy ojciec wrócił do domu i

spojrzałem na niego, zobaczyłem go na kolanach w śmierdzącej toalecie przed wielkim czarnym mężczyzną, którego nazywał „ciemnym aniołem”. Ujrzałem, jak niecierpliwymi dłońmi ojciec rozpina spodnie anioła i chciwie zaczyna go ssać. Tfu, tfu, tfu.

163

- Co się stało, Anis? - spytał ojciec. Przebrał się w tradycyjny strój. Z tego ciała powstałem i ja. Myśl ta przyprawiła mnie o mdłości.

- Nic - odparłem.

- Jedzenie gotowe. Chodźcie do stołu! - zawołała matka.

W milczeniu zasiedliśmy do posiłku. Matka nałożyła ojcu jedzenie na talerz. Ryż, zielony groszek dał i jego ulubione curry z krewetek. Przechodząc obok niego, z czułością odgarnęła mu niesforny lok z czoła. Widząc to, miałem ochotę ją uderzyć. Jak mogła? Jak mogła nie wiedzieć o nim czegoś takiego? Jak mogła być aż tak ślepa? Jak mogła dotykać tak ohydny brudu kochającym gestem? Miałem o to do niej ogromny żal. Wstałem i odszedłem od stołu.

- Co się stało, Anis?! - zawołała matka głosem zaskoczonym, jakbym ją zranił tym odejściem. Miała za dobre serce. Nigdy nie może się dowiedzieć.

- Nic! - odkrzyknąłem, wybiegając z domu. Nienawidziłem ich obojga. Pobiegłem do dziadka.

Ojciec przyszedł po mnie, ale musiał wrócić sam, beze mnie, ponieważ dziadek, człowiek poważny i posiadający w rodzinie wielki autorytet, powiedział:

- Zostaw tu chłopca na kilka dni.

Widziałem przez okno, jak ojciec odchodzi, posłusznie podporządkowany woli dziadka. Mimo że byłem bardzo młody, rozumiałem. Szedł na kompromis. Żył w kłamstwie, żeby nie stracić miłości i akceptacji swego ojca. Homoseksualizm był nie do przyjęcia. Taka perwersja w ogóle nie wchodziła w grę.

Od tego dnia zamieszkałem z dziadkiem.

Dziadek za młodu wyjechał z Indii do Kenii, żeby szukać złota. Zamieszkał nad jeziorem i od razu zauważył, że ryby złowione przez rybaków szybko się psują. Sprowadził więc sól i dorobił się majątku na handlu solonymi rybami. Kupił wtedy ziemię i rodzina przeniósła się na wzgórze, gdzie powietrze było rześkie i można było hodować róże o kwiatkach wielkości dziecięcej główki. Kupił wielki bungalow i kazał otoczyć go szerokimi drewnianymi werandami. Dom był tak rozkosznie chłodny, że listonosz oraz robotnicy naprawiający drogi wokół wzgórza często przychodzili odpocząć na cienistej werandzie. Był to cudowny dom.

164

Białymi kamiennymi schodami schodziło się do suterenu, gdzie dziadek, wygodnie rozparty, z grubym kubańskim cygarem w zębach, słuchał bluesa. Jest to muzyka szczególnie bliska memu sercu. Piękne pieśni, śpiewane przez ludzi bardzo zacnych, ale straszliwych pechowców. Jest bez pieniędzy, żona właśnie odeszła, dziewczyna jest lafiryndą, czynsz niezapłacony, nawet cholerny pies uciekł i zdechł.

Było to dość dziwne upodobanie dziadka, zważywszy na fakt, że był to silny, szorstki w obejściu człowiek, niepoddający się i walczący do upadłego, bystry, twardy przedsiębiorca. Kiedyś, po spożyciu znacznej ilości mięsa dzika i whisky, powiedział żartobliwie coś, co mnie zaskoczyło.

Zwierzył mi się, że odkąd ożenił się z moją babką, ani razu nie spojrzął na inną kobietę. Twierdził, że to dlatego, iż moja babka miała na niego sposób. Nigdy, przenigdy się przy nim całkiem nie rozebrała. Zawsze robiła to w półmroku, więc jakaś jej część pozostawała nieodkrytą, ekscytującą zagadką. W ten sposób nigdy się nią nie znudził. Wciąż czekał, że pewnego dnia odkryje ją całą, jak sekret, a do tego czasu gotów był zadowalać się wyobraźnią, rozpalającą jego namiętność.

Myślę, że tłumacząc się przede mną ze swego wielkiego uczucia, nie oddał babce w pełni sprawiedliwości. Była czymś o wiele, wiele więcej niż nieobnażonym do końca ciałem. Była zagadką. Większą część dnia spędzała w milczeniu. Gdy padał deszcz, szła na spacer bez parasola. Radosny głos świątynnego dzwonu uważała za najbardziej posępny odgłos na świecie. Wprost nie mogła znieść tego samotnego, przenikliwego tonu.

Nie miała bliskich przyjaciół i gdyby znalazła się w szpitalu, pewnie zdiagnozowano by ją jako niepoczytalną, tymczasem w moim przekonaniu spokojna twarz babki kryła cały inny świat, który jadł, spał i rozmawiał. Ten świat wołała i do niego wracała pod osłoną ciemności. Dziadek mawiał, że noc jest to czas dla oświeconych, którzy medytują, dla oddanych sprawom doczesnym, którzy wtedy się im oddają, dla chorych, którzy cierpią, i dla babki, która siedziała, nasłuchując, jakby noc należała tylko do niej.

W nocy zmieniała się, jakby przepełniała ją jakaś przedziwna moc. Nocna rosa pokrywała jej ciało i omywała skórę. Gdy szła

165

przez wysoką trawę obok zielonej sadzawki, żaby tylko czmychały na wszystkie strony spod jej nóg. Stopy poruszały się szybko i bezgłośnie. Tylko ona wiedziała, dokąd idzie. Szaleństwo jest bardzo osobistą sprawą, to taki aksamitny sekret. Zupełnie jak mech w ogrodzie mchów. Nie można go niczym zachęcić ani nakłonić do życia, ale kiedy znajdzie dla siebie kącik, zaczyna się rozprzestrzeniać, roztaczać dokoła swą urokliwą magię, ożywia każdy kamień i każdą powierzchnię, której dopadnie. Ciekawscy nie powinni po nim deptać, bo na zawsze ulegnie zniszczeniu. Jego sekrety można jedynie szeptać w ciemności nocy w samotne ucho młodego chłopca. Czasami siadałem obok niej. Obok nieruchomej, łagodnej postaci.

Blade światło księżyca miękko oświetlało twarz babki. Pytała:

- Słyszysz, Anis?

- Co? Żabę skrzeczącą w sadzawce na końcu ogrodu? Oczy utkwione miała w ciemną dal. Jakby patrzyła właśnie na

zmarszczki na powierzchni wody, na chylące się przed delikatnym wiatrem trzciny, na śpiące białe lilie.

- Jakże wielkie jest jej pragnienie, by zrzucić oślizgły płaszcz, rozwinąć skrzydła i poszybować w granat majaczącego w dali lasu. We własnych marzeniach nie jest już łatwą zdobyczą węża, którego szelest

słyszysz w trawie. Ale słuchaj... słuchaj, ona nie może się zebrać na odwagę. Boi się, że ogarnie ją strach, że zginie na wolności, że znajdzie śmierć lub nowego wroga w postaci dzioba i szponów orła.

Czasami pytała:

- Widziałeś?

Był to robaczek świętojański, który tak jasno rozbłysnął, że w jego świetle ujrzeliśmy opadający samotnie liść.

Kiedy byłem młodszy, pociągał mnie ten zaczarowany świat w jej głowie, fascynowała moc, jaką posiadał, gdyż miał wielki wpływ na świat w mojej głowie. W srebrzystym, nocnym powietrzu ja też słyszałem wielkie stare drzewo, płaczące nad zdradziecką naturą człowieka. Już na zawsze każda żaba będzie dla mnie obawiającą się ryzyka, wątpiącą w siebie, słabą istotą, która pewnej nocy, dawno temu, ze strachu przed tym, co może się wydarzyć, nie odważyła się sięgnąć po swoje największe marzenie. A zwykła ziemia? To gospodarz tuczający ludzi, żeby zrobić

166

sobie z nich ucztę, kiedy przyjdzie czas. Robaki? Zęby ziemi. Posłuchaj... Czy słyszysz?

Co naprawdę widziałem, a co było jej wyobraźnią?

Wciągnęła mnie do świata marzeń i zatarła granice mojego świata. Pewnego dnia dała mi aksamitną sakiewkę.

- Dobrze będzie, jeśli zrobisz z niej kiedyś użytek.

Do dziś pamiętam odprawiany przez nią milczący rytuał picia herbaty. Codziennie, raz o dziesiątej rano i potem znowu o czwartej po południu, zasiadała sama na werandzie i w całkowitej ciszy wypijała filiżankę herbaty, zagryzając ją połówką czekoladowo miętowego herbatnika.

Dziadek wiedział, że nigdy nie wejdzie do omszałego ogrodu babki. Zadowalał się czekaniem pod kamienną bramą i pilnowaniem. Nikt inny nie mógł tam wejść. A gdy nie słuchał bluesa, wracał pamięcią do innej swej wielkiej pasji, do polowania. Opowiadał mroźące krew w żyłach historie o lwach, które w ciemnościach stawały się myśliwymi i krążyły wokół obozu, rycząc i pomrukując, a ich oczy błyskały w świetle ogniska. Raz nawet te wielkie koty porwały człowieka. Cała piwnica wyklejona była zdjęciami dziadka stojącego nad zwierzyną, którą upolował, zazwyczaj z jedną nogą opartą na zdobyczy. Uwielbiał mięso. Nie było dnia, żeby nie zjadł mięsa. Nawet w święta. Czekał, aż babka pójdzie po coś do kuchni, po czym wyjmował kawałek ryby lub mięsa z plastikowego pojemnika ukrytego pod ubraniem i chował pod kopczykiem ryżu. Później wolno, ukradkiem konsumował mięso z ryżem, jogurtem i jedynym warzywem, jakie w drodze ustępstwa zgadzał się jeść - z bakłażanem.

Pewnego razu podczas podwieczorku w eleganckim towarzystwie w Kanadzie zobaczył buddyjskiego lamę medytującego w mokrej szacie na ośnieżonym patio. Jego ciało wydzielalo tak niewiarygodne ciepło, że mimo mrozu odzież lamy wyschła.

Zrobiło to na dziadku tak ogromne wrażenie, że popadając w skrajne przeciwieństwo, został wegetarianinem. Godzinami siedział nieruchomo, zawodząc: Om Mani Padme Hum. Klejnot Om w Lotosie.

- Kim jesteś? Siedź bez ruchu, a nagle zobaczysz siebie, jak patrzysz na siebie. Jeśli zrobisz to naprawdę szybko, zaskoczysz

167

samego siebie. Zobaczysz, co Ten, Który Wie, czyli twoja dusza, obserwuje. Obcego.

Wiele miesięcy później poczuł kłucie w lędźwiach i okolicach miednicy. Pałący ból utrzymywał się przez kilka dni, a kiedy ustąpił, dziadek zaczął widzieć ludzi inaczej, wraz z otaczającymi ich kolorami.

- Satchitananda, Bóg istnieje - powiedział mi. - Rozpłynie się w każdej zupie, którą zechcesz wypić.

Nagle jakby jego oczy się otworzyły i dostrzegł moje kłopoty. Same złe kolory wirujące dokoła mnie złowieszczo. Do tej pory zapraszał mnie do swego pokoju i namawiał do medytacji, lecz teraz powiedział:

- To, co zwinęte śpi, może zaatakować, gdy się zbudzi. Chłopiec musi najpierw odrzucić złość.

Chciał wiedzieć, dlaczego jestem taki wściekły na ojca, ale nie powiedziałem mu. Nie mogłem mu powiedzieć.

Kiedy zaczęły się polityczne niepokoje w Kenii, rodzina uciekła do Londynu. W Afryce pozostał majątek ziemski i wiele cennych rzeczy, ale ojciec z wielką przenikliwością zainwestował wszystko, co się dało, w branżę hotelarską. Miał dobrą głowę do interesów i biznes kwitł. Wkrótce były już trzy hotele w rodzinnym przedsiębiorstwie.

Bunt przyszedł mi niespodziewanie łatwo. Zarzuciłem te przedmioty, z których moi rodzice byli szczególnie dumni: matematykę, biologię, fizykę i chemię. Zostawiłem je w pół drogi i zająłem się sztuką i poezją. Gdybyś zobaczyła rozczarowanie na twarzy mego ojca, zrozumiałabyś, jak wielką przyjemność sprawiła mi rezygnacja z moich najlepszych przedmiotów. Zacząłem rzeźbić. Na początku dziurawe bryły. Robiłem tak na złość, chciałem być banalny, mało oryginalny i bezużyteczny, tymczasem moje wysiłki uznane zostały za logiczne próby zrozumienia formy. Więc przerzuciłem się na malarstwo. Tu wreszcie moja złość znalazła ujście.

Malowałem ojca. Raz ukrywałem go pod maską, kiedy indziej wykorzystywałem jakiś jeden element jego twarzy. Malowałem go w przeróżnych poniżających pozach. Niezadowolony, przystaniałem czymś jego starzejące się ciało. A potem zacząłem przytłaczać go innymi ciałami. Moje obrazy przeobraziły się

168

w kaskady aktów, a każda z nagich postaci miała twarz naznaczoną cierpieniem. Niektóre obrazy były wręcz obsceniczne i krytycy nie zostawiali na mnie suchej nitki, ale wtedy przyszło wsparcie z niespodziewanego źródła. Męczarnie malujące się na moich twarzach zostały zinterpretowane jako rozkosz.

Zapukałem do tych samych drzwi, do których pukał mój ojciec. Obrazy szły jak świeże bułeczki w środowiskach gejowskich. Śmiechu warte! Na przyjęciach otwarcie składano mi nieprzyzwoite propozycje, a ci, którzy tego nie robili, wysyłali ciche, zachęcające sygnały. Zauważyłem coś dziwnego: wszyscy geje mieli bardzo piękne oczy, często z długimi rzęsami.



Weź mnie - mówiły te piękne oczy. Czemu się kryjesz po kątach? Wyjdź, przecież jesteś jednym z nas.

W odpowiedzi spoglądałem śmiało, uśmiechając się tajemniczo. Nie mówiłem: tak, ale też pilnowałem się, żeby nie powiedzieć: nie. Nawet poszedłem na kilka takich przyjęć. Pełno było na nich snujących intrygi, hałaśliwych, wulgarnych istot, a w tle darta się Kylie Minogue. Czy wyobrażali sobie, że nie wiem, co robią? Brudne świnię. Wiedziałem o ręczniku ociekającym brązowym śluzem. Czasami kusiło mnie, żeby tym najbardziej namolnym dać numer mego ojca, ale nie, nie uległem. Bardzo, bardzo uważałem, żeby nie okazywać tym ludziom swego obrzydzenia.

Za pieniądze odziedziczone po dziadku kupiłem dom w South Kensington. W salonie z pięknym wykuszowym oknem urządziłem pracownię. Stawałem się kimś, ważną postacią. Jednak w głębi serca wiedziałem, że jestem oszustem. Wcale nie byłem malarzem. Byłem dzieckiem usiłującym ukarać rodziców. W duchu zgadzałem się z krytykami. Moja sztuka była do niczego.

Pewnego dnia przyszedł ojciec, żeby obejrzeć moje prace. Miał nerwowy zwyczaj przygryzania wewnętrznej strony lewego policzka. Przyciskał policzek do zębów i gryzł. Był to fizyczny objaw poczucia winy, nabytego w ciągu wielu lat skrywania okropnego sekretu i prowadzenia podwójnego życia, po to, by nie wzbudzać odrazy. W zamyśleniu przystawał przed każdym obrazem i milcząc, zgrzytał zębami ze złości, a kiedy skończył oglądać, odwrócił się do mnie. Nie było w nim wstydu i nie przeproszał, jak tego chciałem, była tylko potworna udręka.

169

- Czasem dzieci dostaje się za dobre uczynki, a czasem za grzechy - wyszeptał ochryple.

Opuścił mój dom, szurając nogami po drewnianej podłodze, z głową pochyloną nisko; stary rozpustnik z wygryzionym policzkiem. Teraz już wiedział. W układance moich prac zobaczył kawałki samego siebie, ale oczami filistra. Czy po obejrzeniu szklanej gablotki z cielakiem przepiętowanym na pół i zamarynowanym w solance zwiedzający galerię sztuki rzeczywiście mają prawo sądzić, iż doznali szoku wskutek drastyczności? To głupcy poruszeni przez moment czymś, co mylnie biorą za okrucieństwo. Jak mój ojciec. Widzą to, co chcą widzieć.

Mój ojciec zobaczył przemoc i szyderstwo, które chciał widzieć, ale już nie zauważył niewymownej męczarni mojej duszy. Przez ułamek sekundy, gdy wychodził, chciałem zawołać go od drzwi, wziąć za rękę i pokazać mu różnicę. Nauczyć go niemówionego języka sztuki. To sekret znany jedynie artystom, czasem najsurowszym krytykom, ale nigdy kupującym obrazy.

Prawdziwe okrucieństwo kryje się, na przykład, w obrazie nagiej dziewczyny, leżącej na trawie, z koszem białych tulipanów u boku. Niebezpieczeństwo leży w niewinnej plamie jasnego różu. Przecież skoro jest sezon na tulipany, musi być zimno. Są też inne aluzje. Picasso nie był brutalny, był po prostu samolubny, chciwy i brzydki. Szalone pociągnięcia pędzla Goi to tylko frustracja, skorupa van Gogha, tak, zgoda, to czyste szaleństwo. Wyszczерzone sztuczne zęby Bacona to niewypowiedziany ból duszy. Najwięcej drastycznej przemocy znajdziesz, przyglądając się uważnie obrazom pędzla dżentelmenów epoki wiktoriańskiej, tłumiących swe uczucia i popędy. Jeśli nie odkryjesz w nich zimnego zła, o którym mówimy, zgłoś się do mnie, a ja zaprowadzę cię do pierwszej lepszej galerii i pokażę prawdziwe oblicze okrucieństwa.

Nie zatrzymałem wychodzącego ojca.

Dalej trwoniłem życie na malowaniu wulgarnych wizerunków rozpaczy.

Aż poznałem Swathi.

- Swathi znaczy gwiazda - poinformowała mnie ze śmiechem, o czym wiedziałem. Podobnie jak ja była Hinduską z pochodzenia, natomiast różniło nas to, że była nosicielką wirusa

170

HIV. Spotkałem ją w Trampie, gdy już zbierałem się do wyjścia. Ubrana w skąpą czarną sukienkę i pończochy z koronkowymi podwiązkami, których nie zakrywał brzeg sukienki, siedziała ze skrzyżowanymi nogami w plamie czerwonego światła na stole, racząc zebraną dokoła niej grupkę jakąś anegdotą.

Coś w niej przykuło moją uwagę, więc podszedłem bliżej.

W którymś momencie słuchacze wybuchnęli śmiechem, a ona złapała jednego z facetów za głowę i wlała mu prosto do gardła szampana z butelki. Wszyscy na nowo ryknęli śmiechem. Wpatrywałem się w nią, aż odwróciła głowę i zauważyła mnie. Uśmiechnęła się tak smutno, że równie smutnego uśmiechu nie widziałem w życiu. Podszedłem do niej, pomogłem jej zejść ze stołu, a wtedy z bliska odkryłem dwie rzeczy. Była bardzo wysoka i bardzo szczupła, zbyt szczupła. Aż kości sterczały jej pod skórą. Zawiozłem ją do siebie, siedzieliśmy w kuchni, pijąc kawę i rozmawiając. Była pełna życia i umierała.

- Wysłałam za mąż za Amerykanina, który okazał się homoseksualistą - wyznała.

Ach, zdrada.

Następnego ranka posadziłem ją na parapecie w pracowni. Kojarzyła się z intensywnymi odcieniami jesieni, od oczu w kolorze przypalonego cukru i skóry o czerwonawobrązowej barwie wodnych alg do pomysłowych pasemek w kolorze żółtych liści, jakie fryzjer zrobił jej we włosach. Przesunąłem dłonią po drewnianej palecie i w promieniach słońca, odbijającego się od pomalowanych na rdzawy kolor paznokci, po raz pierwszy w życiu zacząłem malować kobietę, piękną kobietę.

Czarne jak węgiel rzęsy namalowałem tak długie, że rzucały na policzki smutny cień. Sprawiał, że wyglądała na wychudzoną, mówiąc tym samym smutną prawdę nie tylko o terażniejszości, ale i o czekającej ją przyszłości. Malowałem jak szalony, jak nigdy dotąd. Kiedy cofnąłem się i spojrzałem na moje dzieło, nie wierzyłem własnym oczom. Przestałem być miernym malarzem, nie było już mowy o miernocie. Na moje płótno wkradło się coś brązowego i pięknego. Znalazłem muzę. Melpomenę, muzę tragedii.

Skończył się mój różowy okres.

Wolno, bardzo wolno, zdejmowałem z niej kolejne części garderoby. Nieprzyzwyczajona do nagości bez pożądania, w obronnym geście

171

przycisnęła ramiona do piersi. Pocałowałem jej zamknięte powieki i szepnąłem, że każdy fragment jej ciała piękny jest w moich oczach. Czy nie widzi, że będzie czystą magią na moim płótnie?

- Spójrz na mnie - błagałem, aż otworzyła oczy, w których drzemała głębia wewnętrznego świata. Złożonego i fascynującego. Pocałowałem ją w ramię i zdjąłem jej spódnicę. Nie opierała się. Moje usta dotknęły łagodnej krągłości biodra. Leżała bez ruchu na drewnianej podłodze. Naga.

- O, Swathi - westchnąłem. Choroba jest w tobie. Muszę się śpieszyć.

Swathi. Gwiazda. Wygrzebałem z szuflady starą aksamitną sakiewkę, którą dała mi babka. Skąd tak wiele lat temu ta niezwykła kobieta wiedziała, że pewnego dnia przyda mi się torebeczka pełna srebrnych gwiazdek? Posypałem maleńkimi gwiazdeczkami nagie ciało Swathi. Utworzyły lśniący kopczyk. Kiedy spojrzałem w jej oczy, błyszczały zachwytem.

- Spójrz, długo czekały, by dotknąć prawdziwej gwiazdy - szepnąłem.

Kolejno, jedną po drugiej, wkładałem gwiazdki w jej włosy. Wiele razy całowałem ją delikatnie.

- Piękna - mruzczałem z roztargnieniem, a jej nagość przypomniła mi, jak ukryty w szafie, dusząc się od odoru naftaliny, przez wąską szparkę w drzwiach podglądałem kobiety myjące nieruchome ciało mojej babki. W całkowitej ciszy nacierały ją połówkami limon. Tarty tak mocno, iż bałem się, że zejdzie skóra. Było to tak dawno temu. Nie wiem, dlaczego akurat to nieprzyjemne wspomnienie pozostało we mnie tak żywe. Wolałbym, żeby już się zatarło. - Moja własna piękna Swathi. - Teraz przyjdzie twoja kolej.

Namalowałem ją z gwiazdami we włosach, osłaniającą ręką osamotnione piersi. Pewnego ranka, podczas malowania, opowiedziałem jej o ojcu. Po raz pierwszy mój sekret wyszedł na jaw.

- Nie byłeś mu wdzięczny za to, że chronił matkę? - spytała. Ponieważ sama zносиła z cierpliwością godną świętej zdrady męża, najwyraźniej oczekiwała tego samego ode mnie. Ciekawe, jak poradziła sobie ze swoją złością. Wcale nie byłem tak do końca przekonany, że jej słodki, smutny uśmiech rzeczywiście

172

nic nie skrywa. Chyba że od początku do końca był oszustwem. Może wyszła za mąż dla zielonej karty.

- To wina społeczeństwa, że oboje cierpimy. Gdybyśmy ich nie prześladowali, nie dyskryminowali i nie pogardzali tak bardzo tym, jacy są, tym, na co nie mogą nic poradzić, nie musieliby się ukrywać, kłamać i udawać, prawda? Twój ojciec nie zraniłby ciebie, a mój mąż nie ożeniłby się ze mną. Robiliby w życiu to, czego pragnęły ich serca. A gdyby tak było na odwrót? Gdybyś ty był uważany za nienormalnego pod względem upodobań seksualnych? Gdyby społeczeństwo usiłowało zmusić cię do seksu z mężczyzną?

Przestałem malować w połowie pociągnięcia pędzlem. Poczułem się zdradzony. Brała jego stronę. Cicho sięgnąłem po nowe płótno i namalowałem ją pod postacią żmii ukrytej w piasku, tak że tylko oczy było widać, patrzącej i czekającej, żeby uderzyć, żeby zamordować. Po raz kolejny przemówiłem, używając języka mojej sztuki. Ale ona jedynie się uśmiechała. Zły, namalowałem ją z czerwonymi rozwiązłymi ustami, kopulującą płynnie z ogromnym fioletowo zielonym pytonem. Nadal się uśmiechała.

Nie chciałem zatem jej więcej malować. Odłożyłem pędzle i wpadłem w ponury nastrój. Trwało to aż do dnia, w którym ona, nadal bez złości, mając oczy szeroko otwarte, a chude nogi bezwładnie rozrzucone, zaczęła umierać. Z mego jesiennego drzewa opadały już liście. Umierała na chorobę, która atakuje tylko gołębie. Dopuścił do tego jej słaby system immunologiczny. I ja. Chciałem zobaczyć Melpomenę z mieczem w jednym ręku i gołębiem w drugim.

Ach, jak szybko pustoszyła ją choroba. W ciągu miesiąca delikatne ciało Swathi okazało się już tak wycieńczone, że nawet nie miała w sobie dość sił, żeby usiąść na ławeczce pod oknem. Zaniósłem płótno na górę do sypialni i malowałem ją umierającą w moim łóżku. Przerywałem tylko po to, żebyśmy oboje coś zjedli i żeby dać jej lekarstwa. Pewnego dnia zaczęła mówić, najpierw o babce, potem o matce i o nieszczęsnym ojcu. Zrozumiałem wtedy, że krok po kroku zaczyna się poddawać.

Poznałem historię bogatej i apodyktycznej kobiety, która ożeniła swego brzydkiego, psychicznie rozdeptanego przez siebie syna

173

z najpiękniejszą dziewczyną we wsi. Dowiedziałem się o posusznej synowej, która musiała cały czas trzymać oczy spuszczone. Aż do dnia, w którym okrutna teściowa umarła, a wtedy piękna kobieta podniosła głowę i pokazała światu swoje własne, groźne oczy. Odtąd ona była najważniejsza. Mąż został odesłany do zbierania orzechów kokosowych, jak służący. Nie wolno mu było wchodzić do domu frontowymi drzwiami. A ich mała córeczka została raz uderzona tak silnie, że przeleciała przez cały pokój.

Córka uciekła i wyszła za homoseksualistę, tancerza z amerykańskiego zespołu tanecznego. Nie wróciła już do domu. Teraz w jej głęboko zapadłych oczach pojawiła się tęsknota. Żeby zobaczyć raz jeszcze zgarbioną postać ojca, przywołać raz jeszcze piękną, dziką kobietę, Amę. Widziałem to w jej oczach. Nie musiała mówić. Ale przecież nie mogłem pozwolić jej odejść. Nie teraz. Nie kiedy miałem natchnienie.

Pamiętam oglądany kiedyś obraz Pierre'a Bonnard. Namalował swoją umierającą żonę. Kolory i pociągnięcia pędzla z wolna stawały się coraz bardziej histeryczne. Pamiętaj o sekretnym języku sztuki. Cena była wysoka, ale okazja wprost jedyna w swoim rodzaju. Tak, malując skórę w pełnym napięciu podnieceniu, używał niebieskiej farby. Rejestrował wiernie wszystko, nie odrywając wzroku od mętniejących oczu i opadających kącików ust. Bardziej niż smutek owładnęła nim zachłanna ciekawość, jak wygląda śmierć. Uwiecznić ją na płótnie. Mnie również dręczyło straszliwe pragnienie, żeby zobaczyć, jak umiera gwiazda. Coraz bardziej podobna była do śmierci.

Śpiący szkielet.

Czasami patrzyłem na nią, gdy leżała pogrążona we śnie, nieruchoma, jakby już ją zabalsamowano, tak że niespodzianką było to, że otwierała oczy. Raz delikatnie rozchyliłem jej ubranie i przyjrzałem się piersiom. Były skurczone, zapomniane, niekochane, a obwódki brodawek pociemniałe i brzydkie od umierania. Nagle otworzyła oczy i tak patrzyliśmy na siebie, aż wreszcie nie mogłem dłużej znieść jej spojrzenia. Popsułem coś, czego nie da się naprawić. Zawstydzony, wycofałem się chyłkiem.

Pewnego ranka zastałem ją stojącą przed płótnem, wpatrzoną w mój obraz.

- Podoba ci się? - spytałem.

Przyłożyła dłoń do swojej twarzy na płótnie i rozmazała moką farbę.

- Dlaczego? - spytałem zszokowany. Uważałem, że obraz jest bardzo dobry.

- Nie podoba mi się. Ja jeszcze nie umarłam, Anis. Dla ciebie to nic, póki sam tego nie doświadczysz. - Odwróciła się i spojrzała na mnie z urazą w oczach. Postarzała się w ciągu ostatnich dni. Przyszło mi do głowy, że ona mnie kocha. I że już „tak wygląda”. Właśnie tak. Czym ten pokój stanie się bez niej?

Zamknąłem oczy. Zobaczyłem słoneczne światło sączące się z okna i drobiny kurzu zawieszony w jego smudze. Wzburzone prześcieradła leżące na pustym łóżku. Gwałtownie otworzyłem oczy.

- Co się stało? - spytała.

- Nic - odparłem z wściekłością. Nie chciałem niczego przegapić. Nie mogłem sobie na to pozwolić. Śmierć istniała. Przychodziła po człowieka, niezależnie od tego, gdzie się znajdował.

Kiedy zrozumiała, że dobrowolnie jej nie odpuszczę, spękane usta wyrzekły następujące słowa:

- Zawieź mnie z powrotem do matki. Nie pozwól mi umrzeć tutaj. I tak nigdy mnie nie chciałeś.

Zawiozłem ją do drewnianego domu w stanie Kerała. Na nasze powitanie wybiegł jej ojciec pracujący na polu palm kokosowych. Był to drobny mężczyzna o krzywych nogach, w brudnej przepasce na biodrach. Dawniej słabowity syn bogatej kobiety, dziś zbieracz kokosów. Kłaniając się i szurając niepewnie nogami, stanął ze smutkiem przed gasnącą córką, a łzy płynęły mu po twarzy.

- Ama - zaskrzeczał potwornie żalonym głosem.

Drżące ręce powędrowały ku córce, ale nie odważyły się jej dotknąć. Wyszła matka. Cała przystrojona złotem. Wspaniałe niebieskie sari mieniło się, gdy szła w naszą stronę. Roztaczała wokół siebie zapach esencji różanej, ale nikt jej nie powiedział, że jej dawna niezwykła piękność przykurzyła się pyłem świata, który osiadł na jej twarzy. Bez słowa wyciągnęła pokryte henną ręce i pomogła córce wejść do domu.

Ojciec został na dworze i skrzyżowałszy czekoladowe ramiona na wystających żebrach, patrzył tęsknie w stronę domu, jakby

był niedotykalny. Jakiś wieśniak przybiegł z wodą w butelce, przywiezioną ze źródeł Gangesu wysoko w Himalajach.

- Święta woda wyleczy dziecko - rzekł z szacunkiem, a jego poczerńnięte od słońca ręce wręczyły dar.

Potem była mowa o samosach\* z czarną soczewicą, ale kiedy zobaczyłem Swathi na łóżku jej matki i usłyszałem, jak mówi: „Ooo, kochany Anisie, przecież wiesz, że każde rozstanie stwarza nowe możliwości”, zrobiło mi się niedobrze.

[\* Trójkąty ciasta z nadzieniem upieczone w tłuszczu].

Chwiejnie odwróciłem się, potrącając przy tym niechcący jej matkę.

Oczy kobiety zwęziły się oskarżycielsko.

- Czy wzięłeś zbyt wiele od mojej córki? - spytała cicho. Pył świata uniósł się jak poruszony powiewem wiatru i część opadła na ziemię.

Patrzyłem na nią w milczeniu.

- Gdy moja córka była mała, poszła kiedyś do sklepiku ze słodyczami i próbowała oddać złotą bransoletkę za jednego cukierka. Był to zapewne jedyny mężczyzna, który odmówił przyjęcia jej hojności.

Poczułem, jak krew napływa mi do twarzy. Ach, wstyd...

Zasłaniając się słabymi wymówkami, wróciłem do Anglii, gdzie dzień i noc malowałem ją z pamięci. Ambitnie wielkie płótna pokrywałem farbą gorączkowo, niecierpliwie. Głowa jest bardzo ważna dla skali. Namalowałem jej głowę wielką. Swathi leżała, jakby oderwana od krajobrazu, groteskowa. Namalowałem te straszliwe, skurczone piersi. Mimo że obiecałem, iż nigdy ich nie namaluję. Okrutne było to żerowanie na umierającej istocie, a jednak nie potrafiłem pozostać obojętny na wewnętrzny impuls. Byłem wściekły na Swathi. Jak śmiała oskarżać mnie o egoizm? Jak śmiała winić mnie za swoje wyniszczenie?

„I tak mnie nigdy nie chciałeś”. Nakładałem farbę grubo szpachlą. Uzyskałem dokładny odcień jej skóry, dodając odrobinę ultramaryny do czerwieni kadmowej, bieli tytanowej, żółtego ugru i sieni palonej. To była zemsta. „Przecież wiesz, że każde rozstanie stwarza nowe możliwości”. Jak śmiesz? Cienie pod jej oczami najlepiej oddawała zieleń soczysta. „O, mój kochany, kochany Anisie”. Nic z tego. Malowałem ją w paszczy lwa. Sama skóra

176

i kości w węzowej czerwonej sukience. Jak składa w darze kwiaty. Odwrócona plecami do mnie. Z rozpostartymi skrzydłami.

Przeklinałem, że kończy się światło, ale nie przestawałem malować.

Aż pewnego dnia dostałem telefon z Indii na mój koszt. Była to jedna z ciotek Swathi. Jej siostrzenica umarła z moim imieniem na ustach. Wzywała mnie w ostatnim tchnieniu. Nie zadzwoniłem ani nie napisałem do niej. Ani razu. Leżała jak bezwładny ciężar w moich ramionach. Tak wielki, że miałem ochotę ją gdzieś położyć, ale nie miałem gdzie. Umyłem pędzle. Byłem wykończony.

Tydzień później przyszedł od niej list. A ona już nie żyła. Rozerwałem kopertę. Nosił datę sprzed trzech tygodni. Twierdziła, że czuje się bardzo dobrze. Może przyjadę zobaczyć się z tobą - napisała. Gdyby nie zmęczenie, czułabym się zupełnie tak, jakbym nie miała w sobie tego wirusa. Może nie mam. Proszę cię, Boże. Może nie mam. Napisz jak najszybciej, proszę - błagała. Jedyne, co robię, to czekam na pocztę.

Zmiałem list w zaciskającej się pięści.

Miałem wystawę w Serpentine. Odniosłem wielki sukces. Dzięki obrazom Swathi. Stałem się pupilkim krytyków. Bożyszczem świata sztuki. Poważni kolekcjonerzy z Nowego Jorku uważali, że moje dzieła są piękne.

Ja widziałem w nich jedynie bezlitosne okrucieństwo. Podobnie jak krytycy. Pamiętaj, sekretny język. Myślałem, że to na nią jestem zły, ale w gruncie rzeczy czułem wstręt do samego siebie. Po raz pierwszy spojrzałem na swoje obrazy z dystansu i zobaczyłem, co widziała ona, kiedy rozmazała swoją twarz, mówiąc: „Jeszcze nie umarłam”. Wykorzystałem ją. Byłem bydlakiem.

Wiał zimny wiatr, kiedy zacząłem ostro pić.

Posłałem spory czek jej ojcu i choć otrzymałem w odpowiedzi patetycznie wdzięczny list, mimo to wystawiłem obraz jego córki kopulującej z zielono fioletowym pytonem, zatytułowany: „Dla ciebie to nic, póki sam tego nie doświadczysz”. Wycenili go śmiesznie wysoko, a jednak poszedł jako pierwszy.

Czułem się jeszcze większym oszustem niż dotąd, ale twardo piłem szampana, którego serwowali, i uśmiechałem się z odpowiednio tajemniczym wyrazem twarzy. Plama mojej winy została niezauważona.

177

Z kieliszkiem szampana w ręku odwracałem się od kolejnej wylewnej twarzy w stronę następnego gratulującego głosu, a mięśnie twarzy poruszały się przy tym, co znaczy, że się uśmiechałem. Tego jednego dobrze nauczyłem się od ojca: uśmiechać się i znosić ból.

Gdy miałem czternaście lat, niemożliwe dla mnie było wyrażenie szoku, jakiego wówczas doznałem, teraz zaś wyrażanie smutku nie było na topie. Zamknięty w klatce, rzucił się na mnie i zaczął zjadać mnie od środka. W nocnej ciszy słyszałem, jak żarłocznie mnie pożera, ale nie czułem nic. Czasami, gdy moje ciało we śnie drgnęło gwałtownie, budziłem się, zawsze mając zaciśnięte pięści.

Nie byłem teraz w stanie malować. Wziąłem się zatem do poezji. Wypijałem butelkę wina, brałem do ręki pióro, które zawisało nad czystą kartką papieru i... nic. Rzuciłem więc pióro i pisanie poezji. Dziwne to było uczucie, kiedy nie miałem nawet ochoty wziąć pędzla do ręki, ale to przynajmniej nie bolało. Nikt nie wiedział o mojej niemocy twórczej. Pamiętaj, byłem kimś na tym polu. Enigmatem, intrygującym zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Otaczała mnie woń sukcesu i wszędzie, gdzie się znalazłem, ludzie oglądali się za mną, uwiedzeni tym zapachem. Dni mijały na spaniu, noce na balowaniu. Niemal zawsze coś się działo -otwarcie nowej restauracji czy klubu, promocja książki, wystawa.

Podczas jednej z takich eleganckich imprez pewien amator cielesnych uciech opowiedział mi o niezwyklej kurtyzanie.

- Nie ma takiej rzeczy, której by nie zrobiła, by sprawić rozkosz. Są to takie wyżyny sztuki miłosnej, że aż trudno uwierzyć, jeśli się nie doświadczy tego samemu. Żadne tam tanie sztuczki, żeby przyspieszyć erekcję. Na imię ma Czandni i jest wyznawczynią Kamasutry Watsjajany. Na początek ta niezwykle kobieta kuli się i rozchyła palcami pośladki. - Zamilkł na moment i spojrzał na mnie z rozbawieniem. - A robi to po to, by z szacunkiem ucałować własny odbył i pokazać klientowi, że żadna część jej ciała nie jest obrzydliwa ani brudna. Wszystko, absolutnie wszystko jest możliwe...

Z kieszeni koszuli wyciągnął matową srebrną wizytówkę.

- Jeśli sobie zażyczysz, bogini ciebie również tam pocałuje. Ostrzegam jednak. Jest niebezpieczna. Wykonuje taniec zwany

178

kuszeniem lotosu. Już samo to może uzależnić. Pamiętaj - dodał - ta dziwka kosztuje tyle złota, ile sama waży.

Zły byłem na niego za tę poufałość, a jednak mroczna, ciemnooka wizja kazała mi zachować spokój i milczenie.

Czandni, światło księżyca.

Po babce zostało mi oczarowanie blaskiem księżyca.

„Posłuchaj, wsłuchaj się w blask księżyca. Za sprawą jego światła twoje członki staną się płynne, a głowa, ramiona i nogi będą tańczyć do wtóru jego głosu”.

Pomyślałem o jej gładkich, łagodnie zaokrąglonych policzkach i włosach czarnych jak noc. Kiedy podnosiła spuszczone oczy, wielkie były od niewypowiedzianych szeptów. Tak, postanowiłem dać sobie odrobinę księżycowego światła. Umówiłem się na spotkanie z moją hinduską wizją.

Gdy otworzyła drzwi, doznałem szoku.

Miałem przed sobą niebieskooką blondynkę, całkiem zwyczajną kobietę. Jak miała czelność nazywać siebie światłem księżyca? Nie było w niej nic tajemniczego ani czarodziejskiego. Powiedziała mi, że przyszedłem za wcześnie, ale żebym mimo to wszedł, a ja uświadomiłem sobie, że w dodatku jest Amerykanką. Użyła za dużo czarnego eyelinera i jej oczy wybijały się zbyt mocnym akcentem, fałszywe i niemające nic wspólnego z mistycznym imieniem. Skinęła głową i ledwo dostrzegalnym ruchem palców wskazała, że mam iść za nią. Kiedy prowadziła mnie wąskim korytarzem, zauważyłem, że przez długą, przezroczystą niebieską szatę, którą miała na sobie, prześwituje nagie ciało.

Lekko odwróciła głowę w moją stronę.

- Może się zdarzyć, że szukając korzyści, ponosi się stratę. - Mimo nosowego akcentu rozpoznałem słowa Watsjajany i zrobiło mi się nieswojo, ale ona tylko wskazała tacę pokrytą plecionką z liści betelu. Położyłem na liściach ustaloną sumę. Otworzyła drzwi i wszedłem.

- Przyjdę za chwilę - zapowiedziała. Drzwi zamknęły się z lekkim trzaskiem.

W tle rozlegał się dźwięk sitaru. Rozejrzałem się dokoła. Pomalowany w odcieniach bardzo ciemnej zieleni, pachnący olejkiem sandałowym i oświetlony glinianymi lampkami pokój przeniósł mnie

179

w zupełnie inny świat. Obok misternie rzeźbionego łoża z kolumnami stał naturalnej wielkości posąg hinduskiej tancerki. Leniwie poruszający się wachlarz wprawiał w ruch przezroczyste białe i różowe draperie, które muskały posąg. Na środku leżał ciemnozielony dywan. Wszystkie okiennice były



zamknięte, ale za nimi musiał znajdować się ogród; słychać było podzwanianie dzwonek powietrznych.

W domu ktoś jeszcze był. Czułem zapach prażonego kokosa.

Drzwi otworzyły się i weszła ona. W tym magicznym pokoju ona też uległa przemianie. Cofnęliśmy się w czasie. Byliśmy w tajemnej sypialni córki radży. W migoczącym blasku licznych olejnych lampek jej twarz emanowała ciepłym złotem. Podeszła bliżej i stanęła na zielonej macie. Wokół niej unosił się staroświecki, prawie znajomy zapach.

Na głowie miała czudamani, ozdobę wykonaną z drobnych filigranowych listków i motyli. We włosy wpięła wielkie aksamitnie czerwone kwiaty. Szyję otaczała harsaka, naszyjnik w kształcie węża. Złoty napierśnik podtrzymywały dwa sznury koralu rudraksz, największych, jakie w życiu widziałem. Jej ramiona otaczały bransolety hestali, a na nadgarstku pobrzękiwała bransoletka z rzeźbionych słoników. Miała też mnóstwo pierścionków na palcach rąk i nóg. Ujęta szerokim pasem z ciemnego złota, rzeźbionym w splecione w uścisku pary, opadała aż do ziemi srebrzysta szata ze srebrnych paciorków nanizanych na sznurki. Od stóp do głów przystrojona była w metal.

- Takhtya takhta? - szepnęła. Tron czy trumna.

- Takhta - odpowiedziałem. Trumna.

Zaskoczony jej wyglądem oraz tym dziwnym pytaniem, wypowiedziałem to słowo bezmyślnie. Proponowała mi prawo, które kiedyś rządziło zachowaniem okrutnych Mogołów. Odpowiedź powinna być brzmieć: tron - nieskończona przyjemność.

Brwi uniosły się lekko, ale tylko się uśmiechnęła. Wszystko jest dozwolone i wszystko może być interesujące.

- Mmm... może właśnie na to zasługujesz, ale nie tutaj. Nie teraz. Nie kiedy zapłacone jest za tron - powiedziała i otworzyła pięści. Posypały się płatki kwiatów. Miała rację. Zapłacone zostało za tron, na długo przedtem, nim ujrzała mnie na oczy.

180

Na rękach miałem krew, jak najbardziej odrażający z Mogołów. Na moim dworze okrutnie torturowałem i zabiłem piękną gwiazdę. Zasługiwałem na to.

Czandni położyła się przede mną na dywanie. Setki srebrnych koralików rozdzieliły się, spływając na jej nagie nogi. Był to piękny widok. Wdzięcznie uniosła biodra i nogi prostopadle do ciała. Nie zauważyłem przedtem, że ręce i stopy zabarwione miała na intensywnie czerwony kolor. Złączyła podeszwy stóp, tak że barwnik utworzył wdzięczne czerwone kółko.

Potem zwinęła się w kłębek i dotknęła głową ud. Patrzyłem, jak rozstawia szeroko nogi i zbliża głowę do rozchylnych pośladków. Wolno, niespiesznie pocałowała własny odbył. Kiedy się wyprostowała, na zaróżowioną twarz spłynęły jasne pasma. Spojrzała wtedy na mnie przez welon włosów. A mnie się wydawało na początku, że ona wcale nie jest piękna!

Z rumieńcem na policzkach była cudownie piękna, jej oczy niósły radość pogrążonym w smutku. Nagle ogarnęło mnie ogromne podniecenie. Do pokoju wszedł duży i piękny pies. Uklękała przy jego pysku i spojrzała uważnie w moją stronę. Wszystko, absolutnie wszystko było dozwolone. Milczałem.

Nie po to przyszedłem.

- Idź - poleciła i pies bezgłośnie wyszedł. Odwróciła się do mnie plecami i zaczęła napełniać ciepłą wodą stary, miedziany instrument. Płynnymi ruchami przecierała go kawałkiem tkaniny tak długo, aż zaczął błyszczeć. Położyła gładki przedmiot na ziemi. Czekał. Bezużyteczny, dopóki nie ma pięciu stopni więcej, niż wynosi temperatura ciała. Potem odwróciła się i spojrzała na mnie. Odpowiedziałem jej spojrzeniem. Jej zamiary wciąż pozostawały dla mnie zagadką.

Była mistrzynią sześćdziesięciu czterech sposobów miłości.

Rozwiązała mały supełek na sznurku koralu rudraksz, przytrzymujących napierśnik, i zdjęła go. Wzięła małą tubkę pachnącego kremu i zaczęła nacierać nim piersi. Były małe, ale doskonałe. W ogóle wszystko w niej w sposób idealny koncentrowało się wokół sekretnego celu. Zrozumiałem. Była lustrem. Odbijała wszystko, co widziała. Paznokcie miała niebezpiecznie długie, złote, wypolerowane i zastrzone nie w jeden czubek, ale w dwa, a niektóre nawet w trzy.

181

Patrzyłem jak zahipnotyzowany, gdy ostre jak brzytwa czubki muskały, dotykały i lekko drapały białoróżową skórę. Uniosła brodę i zamknęła oczy, a gdy je otworzyła, płynąłem po lśniących wodach kanału, a w dali płonęły widoczne przez okno dwa wspaniałe żyrandole z Murano. Jakże piękne było to miejsce ucieczki, które mi oferowała! Jakby w sekretnym porozumieniu dotykało wszystkich tych miejsc we mnie, które potrzebowały naprawy.

Wyciągnęła lewą rękę i ściągnęła paznokieć ze środkowego palca. Zszedł łatwo. Był sztuczny. W jej oczach malowała się profesjonalna duma, już samo to wystarczało, by obudzić pragnienie jej kunsztownego, płatnego dotyku. Była ciałem, w które mógł wejść każdy mężczyzna, ale jednak miała w sobie coś niedostępnego. Milcząc, zanurzyła stępiony palec w małym kryształowym słoiczku. Olejek kokosowy. Kąpiąc olejkiem na drewnianą podłogę, podeszła do mnie, teraz władcza i bezwzględna. Zamarłem. Rozszalała się we mnie burza. Straszliwy wstyd i silniejsze od wszystkiego podniecenie.

Och, ona mnie znała. Doskonale wiedziała, po co przyszedłem. W jej lśniących oczach zobaczyłem, że wcale nie jestem lepszy od mego ojca.

Zacząłem wychodzić na spacer w najgorsze burze. Spacerowałem, gdy na dworze wył wicher, a marznący deszcz chłostał gniewnie. Jakby ta furia przyrody mogła poruszyć tę część mnie, która zupełnie odrętwiała. Wiedziałem, jak bardzo jestem poharatany. I że nie da się już tego naprawić.

Pewnej nocy, kiedy wolno i z namaszczeniem upijałem się w Trampie, zobaczyłem na parkiecie leżącego na plecach mężczyznę, który robił z siebie przedstawienie, udając zdychającego robaka. Blondyn, przystojny, ubrany w kolory lat osiemdziesiątych, czarną koszulę, jasnozieloną marynarkę, dżinsy i czarno białe buty. Pomyślałem sobie, że może to być tylko Włoch. Inni goście stali i patrzyli. Rozbawione towarzystwo przy stoliku w rogu klaskało zachęcająco.

- Dalej, Ricky, dalej.

Na ich stoliku panował jeden wielki bałagan i chaos, stało mnóstwo butelek szampana, dzbanków od koktajli, niezliczone

182

szklanki i kieliszki. Oczywiście było, że są to ludzie skrywający wielki ból. Nie szczędząc trudu i zachodu, przywdziali drugą skórę grzechu, by zamaskować rozmiar gnijących ran. To była Alicja w krainie czarów - szczury w kawie i myszy w herbacie. Muszę włosy pocukrzyć, bo mnie spiekli na brąz\*.

[\* Nieznacznie zmienione cytaty z Alicji w krainie czarów i Co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra Lewisa Carrolla. Na podstawie przekładu Roberta Stillera].

Moja zdesperowana dusza wyczuła, że wśród tych ludzi zanoszą się na dziką i upojną burzę.

Przyglądałem się im bacznie okiem pijanego artysty. Ciekawe, co naprawdę kryło się pod beztróskim śmiechem.

Największe wrażenie robiła powściągliwa platynowa blondynka. Była naprawdę piękna, o nieskazitelnej urodzie, a z jej bystrego spojrzenia łatwo było wyczytać, że nie jest to wcale żadna głupia gęś. Znałem ten typ: zimna do szpiku kości i wymagająca bogatej oprawy. Takie kobiety domagały się strojów, biżuterii, samochodów, domów, posiadłości i wszystko to otrzymywały.

Obok niej siedziała piękna dziewczyna o bardzo jasnej cerze, z kaskadą brązowych loków. Odchyliła głowę do tyłu i śmiała się, ale tak naprawdę była zupełnie gdzie indziej, w jakimś bardzo smutnym miejscu. Od razu wyczułem, o co chodzi: ta kobieta sprzedawała swoje ciało dla chleba.

Przy niej siedział twardy, bezwzględny i najwyraźniej odnoszący sukcesy biznesmen. Pragnął platynowej blondynki, ale ona nawet nie chciała o tym słyszeć.

Dwa dalsze miejsca zajmowały istoty, które bez przesady można określić jako „cudowne zjawiska”. Bliźniaczki z Oceanii, o okrągłych twarzach pięknych hinduskich posągów. Obie ubrane na czarno i identyczne pod każdym względem. Ale jedna błyszcząca, a druga była przezroczysta. Jakby była cieniem albo bladym odbiciem swojej siostry.

Migdałowe oczy cienia napotkały mój wzrok i szybko umknęły. Interesujące. W ułamku sekundy te ciemne, ciemne oczy powiedziały mi, że ich właścicielka jest całkowicie nieskazona tą wiedzą, która brudzi duszę. Absolutna niewinność. Zaintrygowało mnie to.

183

Jak czystość może się uchować pośród takiego zepsucia? Po blisko roku twórczej impotencji zaczęło mnie korcić, żeby ją namalować. Ale nie tylko. Zapragnąłem tej przejrzystej istoty dla siebie. Nigdy nie pragnąłem Swathi. Chciałem ją tylko malować. A tę nieosobę chciałem zachować dla siebie.

Jej skóra wołała do mnie; bez absolutnie żadnej skazy, jakby prosto z obrazu olejnego Gustava Bouchera. Nie piękna odaliska, ale niewolnica trzymająca lustro, a jej oczy tubylki skromnie odwrócone od twoich.

Odezwała się tkwiąca we mnie gadzina i odczułem podniecenie na myśl o perspektywie spędzenia reszty nocy.

Ruszyłem więc w ślad za królikiem i wpadłem do nory, w cały ten zamęt, zupełnie nie zastanawiając się nad tym, jak, u licha, się potem z tego wygrzebię. Platynowa piękność nazywała się Elizabeth, smutnooka dziewczyna - Maggie, olśniewająca, roześmiana bliźniaczka - Nutan, a jej cichy cień - Zeenat. Mała Zeenat. Będziesz moja.

Czarno białe buty skierowały się w moją stronę. Miał niebezpieczne oczy wilka. Kiedy się uśmiechał, w kącikach ukazywały się zmarszczki. Każdy element jego twarzy rozpatrywany z osobna był brzydki, ale zestawione razem osiągały jakąś zwariowaną synergii i tworzyły twarz o zniewalającej zmysłowości. Od dawna, od bardzo dawna nie zetknąłem się z tak wyzywającą seksualnością u zwykłego człowieka. Uśmiechnął się i powiedział coś o świątyni pająka.

Wydawało mi się, że się przesłyszałem, ale w tym momencie podszedł do nas twardy, bezwzględny i najwyraźniej odnoszący sukcesy biznesmen i wyciągając rękę, powiedział:

- Bruce Arnold. Tak, chodź z nami do świątyni pająka. Kto wie, może ci się spodoba.

\* \* \*

Bruce Arnold.

Bruce.

Najwcześniejsze wspomnienia?

Huśtawka pomiędzy mokrym snem, w którym swoją rolę odegrały trzy dziewczyny z The Supremes w ich najlepszych latach (bezwstydne pindy), a staniem na krześle i za pomocą płynu do mycia naczyń Fairy Liquid obsesyjnego mycia w kółko talerza i sztuczków przed użyciem. Matka uznała, że jestem dzieckiem zaburzonym, i wysłała mnie do psychiatry. Cholernie mi się przysłużył. Łatwizna - wystarczyło znać odpowiedzi, które chciał usłyszeć. No i teraz, gdy mam trzydzieści jeden lat, nic, dosłownie nic się nie zmieniło. Nadal rozbieram je trójkami i nadal wstręt budzi we mnie najmniejszy ślad brudu i w ogóle wszelka niedoskonałość.

Mieszkaliśmy w skromnym szeregowcu na East Endzie. Matka, pochodząca z zielonego Surrey, nienawidziła swego nowego adresu i była przedmiotem kpin plotkarek w miejscowej pralni. Myślę, że to nie ich wina, sama się o to prosiła, nazywając swych sąsiadów „tutejsi ludzie”. Tu należy oddać jej sprawiedliwość: ona była inna. Mówiła inaczej, utrzymywała znakomitą figurę, w lecie nosiła lekkie sukienki z krótkimi rękawkami, miała serwis do herbaty z prawdziwej porcelany i wiedziała, że mleko wlewa się do herbaty, a nie odwrotnie.

Ogromnie lubiła się zaprzyjaźniać z bogatymi starymi wdowami, które mieszkały we własnych domach przy zadrzewionych uliczkach kilka minut drogi od nas, mimo że szybko odkryła, iż jej

małomiasteczkowy snobizm był niczym w porównaniu z ich snobizmem. Stare raszple wyciągnęły z mojej siostry, że matka poniekąd udawała lepszą, niż jest. Jej wyszukany akcent zapożyczony był od państwa, u których moja babka sprzątała lub którym prowadziła domy.

187

Boże, ile trudu sobie zadawały, by zachować „czystość” swego żalosego grona. Gdy zapraszały kogoś z zewnątrz na swoje podwieczorki, z trzypiętrowo ustawionymi talerzami, wyłożonymi malutkimi serwetkami, na których leżały miniaturowe kanapeczki, z tortem na szklanej paterze, to tylko po to, by traktować taką osobę protekcyjnie i wysługiwać się nią jak służącą. Szczerze nienawidziłem tych zadzierających nosy babsztyli.

Do dziś pamiętam, jak raz, ze szmacianą lalką mojej siostry na taczce, stałem na końcu ulicy, zbierając datki na Święto Prochowe, kiedy wyrosła przede mną bezkształtna postać Prunelli Woolridge. Twarz miała twardą jak ceglany mur.

- Pensa dla Guya?\* - zaproponowałem nieśmiało, uśmiechając się jak najprzyjaźniej.

[\* Przed tzw. Świętem Prochowym, rocznicą spisku przygotowywanego przez Guya Fawkesa, dzieci zbierają datki na fajerwerki].

Większość ludzi wzruszyłaby się, ale nie ona. Wściekle spojrzała na mnie z góry i przemówiła donośnym i pompatycznym głosem:

- Nic z tego! Czy twoja matka wie, że żebrzesz na ulicy?

- Jasne - odpaliłem, nie mrugnawszy okiem, choć łgałem w żywe oczy.

Urażona, pociągnęła nosem. Choć mruknąłem: „Stara jędza” do jej oddalających się pleców i nie przerwałem żebrania, nigdy nie zapomniałem, jak czułem się przez tę jedną chwilę, kiedy patrzyła na mnie z pogardą. Z taką samą, z jaką rozmawiała z moją matką. Czasami myślę, że to wtedy narodziło się we mnie owo bolesne uczucie wstydu zmieszanego z litością, jakie żywiłem do mamy. Często przyglądałem się jej z pozbawioną sentymentu ciekawością. Skąd jej się to brało? Dlaczego skazywała siebie na takie tortury? Dlaczego została z moim grubiańskim ojcem? Przecież nie dlatego, że nigdy jej nie uderzył.

Kiedy myślę o ojcu, pamiętam głównie oczy. Czarne, lekko zwężone, czasami świecące, ale zawsze twarde jak kamień. Był duży, potężnie zbudowany, rękę miał skorą do paska. Teraz to się nazywa znęcaniem się, ale wtedy było to po prostu „surowe wychowanie”. Zwłaszcza wobec siostry. A jednak czynił to w jak najlepszej wierze. Nie chciał, żeby skończyła z brzuchem jak

188

wszystkie nastolatki w okolicy. „Dzieci wożą dzieci” - mruczał, kiedy tylko zobaczył jedną z takich dziewczyn z wózkiem.

Bez trudu mógłbym go teraz obsmarować, zachować się nieelojalnie, ale prawdę mówiąc, gdyby nie on, nie miałbym nawet tego niewielkiego wykształcenia, jakie mam. Do szkoły przestałem chodzić w wieku piętnastu lat, jak wszystkie inne dzieci z naszego bloku, już na starcie skazane na niepowodzenie. Kiedy zachorował i na wpół oślepnął od cukrzycy, na podstawie niepisanego

porozumienia zawarliśmy pakt, że „zapomnimy” o przeszłości. Poprawiałem koc na jego kolanach i głośno mu czytałem. Zabawne, prawda? Że my, jego najbliżsi, woleliśmy go w stanie niemocy. Pozbawiona zębów bestia miała zapewnioną staranną opiekę, a sama czynność dbania o nią była dla nas źródłem swoistej, skrywanej głęboko fascynacji.

Pamiętam, że gdy byłem mały, często mieszkalem u babci, jeśli oczywiście nie zarządzała właśnie domostwem lorda Haslema albo nie sprzątała we dworze sir Humphreya. Moi dziadkowie mieszkali w małym szeregowym domku w Staines. Nie pamiętam dobrze dziadka, poza tym, że był strasznym sknerą. Przesiadywał w najwygodniejszym fotelu we frontowym pokoju, okupując kominek i telewizor. A ponieważ było nie do pomyślenia, żeby nie obejrzał wiadomości albo programów sportowych, babcia musiała oszczędzać latami, żeby kupić dla siebie mały przenośny telewizor, który postawiła w kuchni. Za każdym razem, kiedy słyshał, że idę do toalety na dole, wołał za mną:

- Najwyżej dwa kawałki, młody!

Miał na myśli papier toaletowy. Hojność w jego wydaniu oznaczała nie paczkę miętówek, ale góra jednego cukierka.

Babcia opowiadała mamie, że kiedy zaprosił ją na pierwszą randkę, musiała zapłacić za swój bilet autobusowy. Nie mogłem nigdy zrozumieć, dlaczego od razu nie zerwała z nim, przecież była taka genialna. Sprzątała u innych ludzi, myła ich łazienki, polerowała balustrady na schodach i opróżniała kosze na śmieci, ale głowę miała nie od parady. Gdyby urodziła się w moich czasach, mogłaby być dyrektorem zarządzającym firmy z rankingu Fortune 500. Mama powiedziała mi kiedyś, że babcia raz otworzyła drzwi dwóm drobnym złodziejaszkom. Narkomanom na głodzie z nożami w rękach. Natychmiast padła na ziemię i wrzasnęła:

189

- Herbert, szybko, wypuść wilczury!

Zdenerwowani wpadli w panikę i uciekali, aż się kurzyło, choć w domu nie było żadnego Herberta ani wilczurów, tylko mama i babcia.

Z ogromnej torby wysypywała słodycze do kufli dla mnie i dla mojej siostry. Nucąc pod nosem, krzątała się po kuchni, podczas gdy my siedzieliśmy przy kuchennym stole, oglądając kreskówki w jej przenośnym telewizorze i opróżniając kufle. Doskonale pamiętam naszą babkę.

Pamiętam też pierwszy dzień w szkole. Jak wyplakiwałem sobie oczy i darłem się jak opętany z innymi dziećmi. Z tym że moja matka była bardziej elegancka niż inne mamy.

- Przyszykuję teraz obiad, żeby był gotowy, jak cię odbiorę -mówiła.

- W porządku. To na razie.

Przez tę pralnię mamy przeszedłem niezłą szkołę życia. Sposób mówienia, z którego matka była taka dumna, oddalał mnie od rówieśników. Dokuczali mi, i to ostro. „Ooo, podaj mi masło, proszę” - małpowali, przesadnie akcentując „ę” w słowie „proszę”. Walczyli z wszystkimi moimi „proszę” i „dziękuję”. Sporo krwi przelało się w tej wojnie, zanim do głosu doszła genetyka i potężna klatka piersiowa mego ojca rozwinęła się także i u mnie. Nagle okazało się, że przerosłem chłopaków.

Każdemu mogłem spokojnie spuścić łanie. Serwowałem „proszę, „dziękuję" za pomocą solidnych pięści. East End nie miał nic do gadania.

Łypiący groźnie wąskimi czarnymi oczami, z nosem złamanym w wielu miejscach, wyglądałem jak recydywista. Zyskałem sobie swoistą sławę. Nagle okazało się, że do dobrego tonu należy ładne wyrażanie się, i tak oto przybyło mi grono naśladowców: Paddy, Bonehead, George, Dwayne i Jelly. Jelly to nie jest jego prawdziwe imię, po prostu Chinka pracująca w smażalni ryb nie umiała wymówić „r". W tamtych czasach byliśmy strasznie bezwzględni. Kiedy człowiek jest młody i twardy, wszystkie dziewczyny są do wzięcia. Tak wyglądało to nasze życie. Próbowaliśmy wszystkiego, co tylko strzeliło nam do głowy.

Czasami wydaje mi się, jakby od tamtej pory minęły wieki. Wspominam to wszystko z pewnego rodzaju smutnym wzruszeniem.

190

Wszyscy moi kumple skończyli w sposób, który ty byś uznała za przykład zmarnowanego życia. Zawsze któryś odsiaduje wyrok za drobne przestępstwa albo dostaje zdrowo w tyłek w interesach, na które jest za chudy w uszach. Ale wtedy jeszcze byliśmy nierozłączni; twardzi i bezgranicznie lojalni. O! Te bijatyki, w które się wdawaliśmy. Te powroty z pokiereszowanymi facjatami z pubu „Pod Turkiem". Pamiętam Paddy'ego bez koszuli, na chodniku, na luźno ugiętych kolanach, z czoła sączy mu się krew, a on tylko bluzga: „No chodźcie tu. Pękacie, co?", podczas gdy dwa wielkie osiłki krążą dokoła, obrzucając go przekleństwami i wymachując stłuczonymi butelkami. Taki był właśnie Paddy. Kompletny świr.

Ja starałem się walczyć na zimno. Zaskoczyć przeciwnika.

Jeden po drugim moi kumple odpadali ze szkoły, więc w ramach starej przyjaźni dołączyłem do nich po małej maturze. Ojciec nie mógł już mi nic zrobić ani powiedzieć, tendencja zniżkowa w jego zdrowiu trwała w najlepsze. I tak zresztą miałem złe stopnie. Bicie się i chodzenie na dziwki nie są dobrym sposobem na dobre stopnie. A perspektywa pracy przez osiem godzin nudziła mnie śmiertelnie. Przez jakiś czas włóczyłem się z chłopakami, którzy próbowali różnych przekrętów, ale tych dobrych było naprawdę niewiele. W końcu zaczęli zadawać się z drobnymi kanciarzami i szmuglować fajki. Przyjeżdżali samochodem z Europy, a w oponach papierosy, jakie chcesz. W garażach pełno pociętych opon. Wiedziałem, że to niebezpieczne, i wcale nie czułem się dobrze z ryzykiem, jakie się z tym wiązało, ale po jakimś czasie wszedłem w to. Był to niezły zarobek.

Pewnego razu jechaliśmy z Paddym po EarFs Court.

- O cholera, psy - mruknął pod nosem.

Przed nami policyjna blokada drogowa. A tu bagażnik pełen beczek z nielegalnymi chemikaliami. Nie, nie dopadli nas wtedy. Przepuścili bez sprawdzania, ale w tym momencie miałem dosyć. Koniec z takimi wypadami, zbyt wysoką cenę można było zapłacić.

Pewnego ranka obudziłem się zielony na twarzy i na zajebistym kacu, ale za to wiedziałem bez cienia wątpliwości, czego naprawdę chcę. Zostać fryzjerem. Chłopaki patrzyli na mnie niedowierzająco. Coś mi się w główce porzestawiało? A może

to pierwszy krok w stronę spedałenia się? Ileż docinków musiałem znosić! Ale nie zniechęciłem się. Fryzjerstwo było jedyną rzeczą, jaka budziła we mnie autentyczną fascynację. Od czasu, kiedy w dzieciństwie babcia zabrała mnie ze sobą do fryzjera, przepełniał mnie nabożny zachwyt dla tajemniczego, cudownego świata, o którym mężczyźni nie mieli pojęcia.

Wystarczyło, że babcia otworzyła szklane drzwi, a wkraczaliśmy w rozkosznie pachnący ogród kobiet. Nie było tam mężczyzn, tylko babki wszelkiej maści, przychodzące po to, by się ostrzyć i uczesać. Kojący odgłos rozmów starszych pań, traktujących siwe włosy płukankami w najcudaczniejszych kolorach, relaksujące ciepło i szum suszarek do włosów oraz te zmiany, jakie działy się na moich oczach. Siedziałem jak zaczarowany, obserwując obsługiwaną właśnie klientkę, póki musnąwszy po raz ostatni nową fryzurę i rzuciwszy w lustro pełne zachwytu spojrzenie, nie poszła sobie, a wtedy moje oczy wędrowały ku następnej. I tak dalej. Zupełnie jakbym był w sklepie ze słodyczami. Pamiętam, z jaką dumą babcia ostrożnie gładziła nieskazitelne uczesanie i pytała:

- No i jak?

Miałem wielką ochotę samemu tworzyć ten świat.

Wydawało mi się również, że mogę mieć do tego smykałkę. Gdy widziałem kobietę na ulicy, od razu umiałem ocenić, czy fryzura pasuje do jej typu urody.

Zrobienie dyplomu okazało się łatwizną, po prostu kaszka z mlekiem. Zacząłem pracować u miejscowego fryzjera pana Wonga, brzuchatego Chińczyka o nastroszonych czarnych włosach. Miałem dziewiętnaście lat, kiedy moje boksujące pięści rozwarły się dla pasm czystych mokrych włosów, a usta coraz częściej zadawały grzecznościowe pytanie: „Czy to jakaś specjalna okazja dziś wieczorem?”. Był to dla mnie rodzaj szoku, mam na myśli to, że teraz ja sam sprzedawałem w sklepie ze słodyczami. Zaniósłem chłopakom dobrą wiadomość; miałem świetne miejsce na podryw. Najlepsze sztuki wybierałem dla siebie, a te, które średnio mi pasowały, starałem się załatwić dla kumpli. Strasznie dużo mieliśmy wtedy randek w różnych kombinacjach.

Bardzo szybko nauczyłem się, co najskuteczniej działa. Większość dziewczyn potrzebowała romantyczności i pieczyt, zanim

łaskawie zgodziły się zaszczyścić moje łóżko, ale napotykałem też sporo bardziej wyedukowanych dam, które nie bawiły się w głupie kłamstwa. Miewałem swoje słabości. Długie nogi, proste ramiona, skośne zielone oczy, pieprzyk w okolicy ust i tak, o tak, długie włosy. Za każdym razem, kiedy w drzwiach stawała dziewczyna z naprawdę długimi włosami, mój temperament dawał

o sobie znać. Miałem własną teorię na ten temat. Według niej kobieta, która starała się podkreślić różnicę między jej płcią a moją, nie miała kontrolnego czerwonego światła, które potrafi się zapalić w najmniej odpowiednim momencie. Cały czas zielone światło. Tak zwany przez mistrzów zen problem lisa. Coś, o czym wiedziałem wszystko. Oczywiście, jeśli nie była hinduskiego pochodzenia, bo wtedy równie dobrze mogło być odwrotnie.

I tak sobie spokojnie zaliczałem klientki pana Wonga, aż któregoś dnia wpadł jak burza do salonu.



- Co ty sobie wyobrażasz? Bara bara z moimi klientkami? Za kogo ty się masz? Za Bruce'a Lee? Odtąd żadnych takich. Rozumiesz? Dureń jesteś. Srasz tam, gdzie jesz.

Właśnie paliłem papierosa na zapleczu i nawet nie drgnąłem. Wziąłem ostatniego macha, zgasilem peta nogą, wrzuciłem na siebie kurtkę i wyszedłem, salutując dwoma palcami. Biedny pan Wong, szczeka mu opadła, ale ja miałem dziewiętnaście lat i byłem za duży kozak, żeby nie reagować tak, jak mi właśnie do łba strzeliło. I tak zbijałem bąki z kumplami, stale z tego samego powodu tracąc kolejne posady, dopóki nie skończyłem dwudziestu czterech lat.

Stał się cud i chłopaki zaczęli pracować bardziej na poważnie. Załapali się na całkiem niezły interes, prowadzony bardzo profesjonalnie przez bezimiennych bossów narkotykowych w Amsterdamie i mający powiązania z rosyjską mafią. Potrzebowali ludzi na pierwszą linię, którzy w razie wpadki wezmą impet na siebie. Chodziło o import materiałów na zasłony, których ładunek z Rosji tak naprawdę nie istniał, i o kupę szmalu. Dla nas oficjalnie wypadało dwa procent. Ryzyko było duże, ale numer wyglądał i pachniał dobrze. Tylko towarzystwo ubezpieczeniowe traciło. Wszedłem w to.

Sześć miesięcy później wycofaliśmy się, mając więcej pieniędzy, niż w życiu widziałem na oczy. Sto tysięcy do podziału na pięciu.

193

Chłopaki zabrali się do przepuszczania swoich udziałów. Ja wyszukałem podniszczony, pusty lokal i przerobiłem na zakład fryzjerski. Marzył mi się staroświecki zakładzik z plakatami gwiazd filmowych z lat pięćdziesiątych na ścianach i szklanym stojem z cukierkami przy kasie, jak ten z moich lat dziecińczych, ale pewna obrotna laseczka, pracująca jako specjalistka od wizerunku firm, z którą się wtedy umawiałem na randki, wzbogaciła koncepcję wystroju i w ten sposób poszedłem w stronę pseudowłoszczyzny. Jako akcent wieńczący całość dorzuciliśmy popiersie Cezara z groźną miną.

W wieczór otwarcia chłopaki zjawili się z beczką guinnessa. Pod koniec zabawy, o świcie, przechylaliśmy się przez barierkę mostu Bermondsey, głowiąc się, dlaczego Cezar nie chciał unosić się z nurtem Tamizy jak pusta beczka. Dwa dni później chłopaki podjechali białym dostawczakiem i z głupimi minami wyjęli z niego posąg księcia Wellingtona wysokości sześciu stóp. Wtasczyli go do zakładu i ustawili przy kasie. Nigdy ich o to nie zapytałem, ale mogłem się domyślać, że został zwędzony z ogrodu jakiegoś nadzianego waźniaka. Jeśli kiedyś trafiłaś do salonu fryzjerskiego w Bermondsey, gdzie całe okno wystawowe zajmuje rzeźba facia w płaskim kapeluszu i długim płaszczu, to byłaś w moim zakładzie.

Odniosłem wielki sukces, a moje umiejętności doprowadziłem do poziomu sztuki. Nie umawiałem się już z klientkami, całym sercem solidaryzując się z biednym panem Wongiem. Dopiero kiedy samemu znajdzie się w skórze drugiego człowieka, zaczyna się go rozumieć. Dziewczyny dawały chleb codzienny. Gdyby któryś z moich fryzjerów potraktował mój zakład jak miejsce dostaw panienek, też bym się wściekł. Wielokrotnie napotykałem w lustrze uśmiechnięte spojrzenie interesującej twarzy. Przesuwałem wtedy palcami wzdłuż włosów po obu stronach, sprawdzając, czy równo są obcięte, i napominałem siebie: nie sraj tam, gdzie jesz, nie jesteś Bruce'em Lee.

I pieniądze. RETY. Od każdej klientki było pięć funtów napiwku, czysty zysk. Jak spodobał się kolor, to na czysto w sumie zarabiałem nawet pięćdziesiąt. Nie do wiary. Nie mieściło mi się w głowie,

dlatego wszyscy nie rzucili się na fryzjerstwo. Co wieczór opróżniałem kasę z co najmniej połowy gotówki. Pieniądze na wydatki. O czym władza nie wie, tego sercu nie żal.

194

Otworzyłem drugi salon bliżej Londynu, stanąłem do konkursu i otrzymałem przywilej wywieszenia tabliczki z napisem: „Fryzjer Roku 1999”. Była ładna i złota. Potem ktoś zaproponował mi, żebym firmował swoim nazwiskiem kosmetyki do pielęgnacji włosów. Seria Bruce Arnold. Dwadzieścia pensów za każdy sprzedany produkt. Uważnie przyjrzałem się liczbom i kazałem spadać na drzewo. Znalazłem chemika, który zrobił całą linię specjalnie dla mnie. Wyprodukowanie jednego artykułu kosztowało mnie funta, a sprzedawałem je u siebie od sześciu funtów w górę.

Na tym etapie zaryzykowałem i otworzyłem salon w drogim centrum Londynu. Kurczę, to było coś zupełnie nowego. Z wyjątkiem czynszu, opłat i nieco wyższych pensji wszystkie inne koszty własne pozostały na tym samym poziomie, za to trzeba było widzieć, jak ładnie cennik poleciał w górę.

No, no, no - nie mógł się nadziwić chłopak ze straszliwego zadupia. Kto by pomyślał. Apetyczne, zarozumiałe, bogate panienki w markowych džinsach wrzucające dziewięćdziesiąt osiem funtów za nową fryzurę na kartę płatniczą tatusia. Biedny tatuś, co sześć tygodni wywalał następne pół patyka na pasemka i zabiegi. Czysty obłęd, ale dla mnie to było wprost genialne. Nauczyłem się żyć wdzięczność - dla Pana Boga. Ładnie z Jego strony, że większości angielskich dziewcząt dał włosy w nudnych odcieniach mysiego. Zatrudniłem świetnego kolorystę, prawdziwego specja w swoim zawodzie. Ubrany w skórzane spodnie, podchodził do klientek rozkołysanym krokiem, trzymając grzebień w wypielęgnowanej dłoni ze srebrnym sygnetem na kciuku; oficjalnie gej, ale flirtujący na lewo i prawo. A babki na topie uważały go za ósmy cud świata. Być może płaciłem mu zbyt wiele. Facet był na haju cały czas.

W świecie fryzjerskim narkotyki to normalka. Zwłaszcza tam, gdzie są duże pieniądze. Byłem na pokazach, gdzie znakomici fryzjerzy, których oglądasz na kanałach Sky, schylali się dyskretnie, żeby się sztachnąć kokainą. Jak nie wierzysz, to popatrz dobrze. Czasami dranie nie mogą się powstrzymać; są na wizji, a tu wargi przylegają do dziąseł, usta wykrzywają się w nerwowym tiku. Cała branża pełna jest nosów o tak zjechanych śluzówkach, że marzą im się metalowe wkładki, byle tylko móc nadać takiej

195

operacji jakiś pozór legalności. Nie chcę tu wymieniać nazwisk, ale zwróć uwagę na te dziwaczne i brzmiące z cudzoziemska. To wszystko są lepsze numery.

Przedtem nigdy nie bawiłem się w narkotyki. Zawsze wolałem schlać się w pubie z chłopakami. Zacząłem jednak nosić towar ze sobą, bo coraz więcej pańienek się go domagało. Kokaina, jak się przekonałem, okazała się największym magnesem na laski. Działała jak „sezamie, otwórz się” i od razu można było przejść do konkretów. Dawniej taki efekt miewała chyba tylko propozycja obrączki. Ale na pewno nie aż do tego stopnia. Widziałem dziewczyny kłękające w męskich toaletach i spieszenie rozpinające suwaki w spodniach facetów, żeby tylko dostać działkę. Obrzydliwe, ale prawdziwe. Nie narzekałem jednak, gdyż często były to moje spodnie.

W miarę upływu czasu brałem coraz więcej, ale, co dziwne, bez tego wariackiego podniecania się jak u innych. Raczej z poczuciem pewnej nieuchronności. Wieczorem, zawsze o tej samej porze. Z coraz większego poczucia nudy. Nic lepszego nie było do roboty.

Wkrótce potem, jak otworzyłem bajerancki salon, przyszła jedna z tych kobiet, które nazywam żonami z Saint Tropez, przesadnie opalona i przesadnie chuda, w białych spodniach. Zdjęła markowe okulary przeciwsłoneczne i wtedy zobaczyłem, że oczy miała w kolorze blednących siniaków. Smutna cudzoziemka -pomyślałem sobie, ale wtedy posłała mi luzacki, pewien siebie uśmiech i wrażenie smutku znikło.

- Francesca Delgado. Byłam umówiona na jedenastą trzydzieści ze stylistą - powiedziała.

- Bruce Arnold - odparłem, uśmiechając się i wyciągając rękę. Dłoń miała małą i miękką. Od jakiegoś już czasu chciałem wypróbować nową kolorystykę, a jej śniada twarz w kształcie serca i długie proste włosy nadawały się do tego wręcz idealnie. Zwierzyłem się jej ze swoich planów. Skinęła głową. Zrób tak, żebym była piękna - mówiły dwa siniaki w jej twarzy. Dopiero kiedy myłem włosy, zobaczyłem, że się naturalnie kręczą. Wziąłem mokre loki do ręki.

- Jezu! - wykrzyknąłem. - Długo pani je suszy, żeby były proste?

196

- Prawie godzinę codziennie. - Żona z Saint Tropez, co to ma mnóstwo czasu.

Właściwie bardzo niewiele kobiet wygląda dobrze w lokach, ale ja czułem, że jeśli jej nie będzie w nich dobrze, to komu będzie? Ufarbowałem je na cztery kolory złota. Starannie nawoskowane loki po wyschnięciu zmieniły się w olśniewającą złotą burzę. Kiedy skończyłem, zobaczyłem, że zerka do lustra. Nie odwracała głowy na wszystkie strony, jak robią to inne kobiety. Patrzyła nieruchomo na swoje odbicie. No tak, nie przypominała już w niczym zaniedbywanej żony. Wyglądała uroczo i niewinnie jak młoda dziewczyna. Nasze oczy spotkały się w lustrze. Powiedziała:

- Nie podoba mi się. Proszę je wyprostować.

- Nie podoba się pani? - Nie mogłem wprost uwierzyć. Na koniec jedna z dziewcząt wyprostowała jej włosy, tak jak sobie życzyła. Już po wszystkich pokręciła głową, tak jak robią to inne kobiety, uśmiechnęła się i podziękowała mi uprzejmie.

- Musi pan wpaść do mego męża. Ma włoską restaurację. Nazywa się Villa Ricky.

Ale numer, chodziłem tam od lat.

Więc następnym razem, kiedy poszedłem na kolację do Villa Ricky, poprosiłem właściciela, i z zaplecza wyszedł wielki, przypominający lwa facet z nieśmiałym, szerokim uśmiechem. Od razu było widać, że jest kompletnie nawalony. Zwierzył się, że tankuje drugi dzień, od zeszłego wieczoru. Przyniósł sobie krzesło, zamówił jednocześnie aspirynę i grappę. Wybierał się właśnie na przyjęcie do hotelu pod Londynem. Problem polegał na tym, że miesiąc wcześniej zabrali mu prawo jazdy za jazdę po pijanemu.

- Takie tam, głównie jacuzzi - skomentował imprezę. - Tłumy panienek w bikini, a wszystkie nafaszerowane koką. Umiesz prowadzić?

- Jasne - odparłem, a on (zważ na to, że pierwszy raz widziałem wtedy faceta na oczy) czule ujął moją twarz w dłonie, przyciągnął ją do siebie i wycisnął głośnego całusa na moim czole, krzycząc radośnie: - Co za szczęście, ale mam fart!

Dwie rzeczy mnie od razu w nim uderzyły: że ręce miał jeszcze bardziej spracowane niż ja i że byłem zupełnie bezbronny wobec tej nieangielskiej manifestacji ciepła i wylewności.

197

Z miejsca wymiękłem. Nieczęsto spotyka się ludzi takich jak on. Jego światło płonęło silniej i jaśniej niż moje.

- No to co? Idziesz ze mną? - spytał. Chyba nie żartował?

- Nie ma sprawy - odparłem i od tamtej pory często razem balujemy.

Wiem, że jest samolubny, nieprzyjemny, wulgarny i ma wszędzie, ale mimo to lubię faceta. To ludzkie dynamo. Okrutny, niespokojny, wiecznie nabuzowany, rozrzutny hulaka, pieprzący się na prawo i lewo, z kim i gdzie popadnie. Jakby ktoś włączył go wiele lat temu i od tamtej pory działa jak nakręcony. Kiedyś znaleźliśmy go nieprzytomnego na podłodze i natychmiast pojechaliśmy z nim do szpitala. Lekarz zrobił tomografię i oznajmił, że nic złego się nie dzieje, tyle że jego mózg po prostu wyłączył się, żeby trochę odpocząć. Facet nie spał od czterech dni.

- Proszę jechać do domu i przespać się trochę - doradził doktor.

- A tam, przespałem się w waszym tomografie - powiedział. Myślałem, że żartuje, dopóki nie zobaczyłem, jak łyka garść wspomagaczy; będąc w takim stanie, pożerał je garściami. Po czym wprosił się do towarzystwa jadącego na całonocną balangę do Southampton.

Widzisz go, jak tańczy pod migającym neonem klubu tuż obok potężnego głośnika, szaleje na najwyższych obrotach i drze się na całe gardło. Dochodzisz do wniosku, że to prymityw, a wtedy ten zwariowany sukinsyn łapsz za gitarę i zaczyna śpiewać Pink Floydów „Hello, Is There Anybody Out There” tym swoim niesamowitym, wibrującym głosem, aż dostajesz gęziej skórki. Gotowa jesteś wtedy przysiąc, że to ledwo ucywilizowane ciało nawiedza czasem piękna, choć szalona dusza.

I to jego frywolne poczucie humoru. Kawały, jakie opowiada. Czasami śmieję się tak bardzo, że walę pięściami w stół i dostaję kolki ze śmiechu. Wszystkie są niesmaczne, ale okropnie śmieszne, i można je usłyszeć tylko od włoskiego restauratora.

No i ta jego fenomenalna zdolność przyciągania kobiet. Przecież ja też nie narzekam nigdy na brak niezłej laski na wyjście, ale ten facet po prostu ściąga je tabunami. Jest precyzyjny jak maszyna.

198

Trzeba mi jednak przyznać, że jestem o wiele bardziej wybredny niż on. On poszedłby do łóżka ze wszystkim, co się rusza. Powiedział nawet kiedyś: „Te grube i brzydkie są najlepsze”. Pewnie się bardziej starają. Ja bym tak nie mógł. Niektóre kobiety lądujące w jego łóżku, fuj, w głowie mi się nie mieści, bym miał ich dotknąć. Obawiam się, że tu wracamy do obsesyjnego mycia, mycia, i mycia płynem Fairy Liquid.

Nawet najmniejsze podejrzenie brudu wystarczało, żebym wiał co sił w nogach. Na widok kalectwa flaki się we mnie przewracają. To brzmi okropnie, wiem, ale tak jak ludzie nim dotknięci nie mogą nic na nie poradzić, tak ja nie potrafię się przełamać. Już taki jestem. Wrażliwy. Niektórych rzeczy nie mógłbym zrobić, inne tak. Ledwo radzę sobie z łupieżem. Moja tolerancja z pewnością nie obejmuje blizn, zniekształceń, amputowanych kończyn, niezagojonych ran i płynów ustrojowych, które nie należą do mnie.

Natomiast zawsze byłem odporny na krew. Nawet jako dziecko. Matka dotąd opowiada, jak kiedyś, oderwawszy się od zabawy, przybiegłem z widelcem wbitym w stopę i powiedziałem spokojnie: „Mamo, mam widelec w nodze”. Za to nie mogę znieść innych rzeczy, choćby na przykład, jak ktoś myje zęby. Sam widok wystarcza, żeby przyprawić mnie o mdłości. Kiedy pokazywali to w telewizorze, musiałem zamykać oczy.

Świątynia pająka? Sądziś, że to jakieś niezwykle miejsce? No więc nie. To brudne, ponure mieszkanie w centrum Londynu, gdzie spotykają się sami smutni ludzie i biorą narkotyki. Czasami, kiedy ogarnia mnie mdlące poczucie, że marnuję życie, to mimo że niemal czuję zapach obecnych tam karaluchów, jednak idę. Idę, ponieważ każda dobra imprezka zawsze się tam kończy. Wiele twarzy pojawia się i znika, ale jest kilkoro stałych gości, którzy są obecni niemal zawsze.

Jak na przykład ekstradziwka imieniem Haylee. Burza naturalnie jasnych włosów, piersi jak marzenie, tyłek taki, że oczy same wychodzą z orbit, i ten rodzaj instynktownej świadomości seksualnej, która przemienia banalną czynność podnoszenia czegoś z podłogi w erotyczny występ - to pochylanie się w biodrach, ładnie wypięty tyłeczek, wystający jak trzeba, ciało wygięte we wdzięczny łuk. Wszystko w naprawdę gustownym opakowaniu,

199

ale stawki wysokie. Myślę, że wiązała swoje nadzieje z ustrzeleniem piłkarza z pierwszej ligi. Ricky miał ją raz. Dawno temu, gdy była pijana.

Jest też mała Maggie, Irlandka, również prostytutka, która zawsze nosi baletki. Kiedyś musiała być to wielka piękność. Gdy ją poznałem, ciało miała jeszcze całkiem, całkiem, natomiast nadmiar używek i rozrywek zniszczył jej twarz i nadał oczom brzydki wyraz smutku i desperacji. Kiedy Harold Robbins pisze o bohaterkach, co to idąc przez życie, przy każdej okazji zaliczają zastępy mężczyzn, nadużywają alkoholu i narkotyków i mimo to wyglądają dobrze, jest to czysta fikcja. Mimo to polubiłem ją. Jest zabawna i ciepła.

Kiedyś na haju wylądowaliśmy w łóżku. Rozebrała mnie, a potem popsowała wszystko, wyplakując się na moim ramieniu. „Kochaj mnie, Bruce, choć trochę” - błagała, ale moje zapędy nie szły aż tak daleko. Nie chciałem być następny w kolejce tych, którzy ją wykorzystywali. Nawet ja nie mógłbym być aż takim draniem. Rozumiałem, że seks jest dla niej walutą i za każdym razem, kiedy kogoś nim obdzielała, sama stawała się biedniejsza. Więc osuszyłem jej łzy i głupio się spiliśmy. Byłem na tyle pijany, że spytałem, dlaczego nosi cały czas baletki, a ona opowiedziała mi coś przeraźliwie smutnego. Otóż kiedy miała pięć lat, dziadek powiedział jej, że tylko księżniczki noszą baletki.

No i oczywiście to Ricky ściągnął balijskie bliźniaczki. Piękne stworzenia. Zaczął chodzić z tą śmielszą, a ja nie miałbym nic przeciwko tej drugiej, ale jasno dała mi do zrozumienia, że jej to nie interesuje.

Inną naprawdę ciekawą postacią jest malarz Anis. Szczupły, śniady mężczyzna o brązowych oczach. Czasami, po bezsennej nocy, pojawiają się pod nimi ciemne koła, a wtedy tęczy wydają się jeszcze jaśniejsze, niemal nierealne. To właściwie śmieszne, ale czasem mu zazdroszczę. Szkolne lata nie minęły mu na picu kradzionego ginu pod schowkiem na rowery. Zdobył porządne wykształcenie, więc kiedy otwiera usta, nie gada bzdur.

Na początku opowiadano mi o innej Irlandce, imieniem Elizabeth, dziwce arabskiego miliardera, ale nie od razu ją poznałem. Przebywała wtedy w Arabii Saudyjskiej i była, cytując Ricky'ego w najlepszym melodramatycznym wydaniu, „wyjątkowo piękna”.

200

Jego entuzjastyczne zachwyty podziały na mnie z wręcz odwrotnym skutkiem. Odstraszyły mnie. Nie brałem się za dziewczyny „wyjątkowo piękne”. Zawsze sprawiały na mnie wrażenie, jakby zesły z okładki „Vogue'a” z zamiarem uwolnienia mnie od gotówki. Nie chcę się teraz specjalnie nad tym rozwodzić, ale wprost nie znoszę tych sprzedajnych dziwek i wyobrażałem sobie, że ona właśnie taka jest, choć z drugiej strony ciekaw byłem, jakiej to dziewczynie udało się upolować arabskiego miliardera. No i któregoś razu, jak przyszedłem na imprezkę, Ricky powiedział:

- A tak, przy okazji, Elizabeth wróciła...

Nastawiłem się na jędrne, młode stworzenie wykwitające ze skąpej różowej bluzeczki, więc byłem zupełnie nieprzygotowany na twarz, która się przede mną pojawiła. Przyszły mi na myśl słowa piosenki Lobo: kiedy cię zobaczyłem stojącą tam... krew spłynęła mi do stóp.

Boże, ona była dla mnie niebezpieczna przez swoją doskonałość: porcelanowa cera, nieskazitelne rysy manekina, węzowe biodra i długie, długie nogi. Z wyjątkiem, oczywiście, włosów. Jakiś idiota utlenił je na upiorny platynowy kolor. Jednak w życiu nie przypuszczałbym, że ktoś może być tak zimny i wyniosły. Od sztywnych prostych włosów do pozbawionych uśmiechu ust o barwie lodowatego różu była idealnie zimna. Czy lodowa rzeźba coś czuła? Ten nagły ucisk w żołądku. To zastygłe, nieruchome pożądanie.

Krew spływająca do stóp.

Wskutek doznanego na jej widok szoku zgłupiałem kompletnie.

- ...Ricky nie przesadzał. Jesteś naprawdę wyjątkowo piękna - wystękałem, co było oczywiste dla jakiejś wolno działającej części mego mózgu, a jednocześnie chciałem skopać samego siebie, kiedy ta kretyńska kwestia została wygłoszona. Słyszała to na pewno miliony razy. Skoro należała do paczki Ricky'ego, oczekiwała czegoś zabawnego, a nie przynudzania.

- Dziękuję - zbyła mnie uprzejmie i odwróciła się.

Platynowy welon rozdzielił się, odsłaniając kark. Drobne kości wypychające skórę. Żałosne lub wzruszające, zależy jak na to spojrzeć.

201

- Jaki on jest? - spytałem.

- Słucham? - Głos miała tak zimny jak skandynawskie skrzypce. Druga struna na dole, która nawet nie drgnęła, lśniła niepokojąco.

- Arab. Jaki on jest?

W jasnoszarych oczach pojawił się niedobry błysk. Owszem, miałem zamiar ją znieważać; tymczasem jedyną reakcją było pociągnięcie łyka szampana. Zauważyłem, że nosi alchemiczną bransoletkę jak księżniczki w legendach o królu Arturze. Symbole oznaczały złoto, rtęć, kwas, miedź, ogień, ziemię, sól...

Nagle uśmiechnęła się. Przebiegły uśmiech. Taka sztuczka.

Coś powiedziała, nie pamiętam co. Dziwnie na mnie podziałał ten uśmiech. Żadne tam strzelające gwiazdy czy muzyka sfer, nie był to nawet silny podmuch wiatru, ale do dziś doskonale pamiętam tamto wrażenie. Pachnący perfumami, różowy, niewypowiedzianie piękny i pogardliwy. Boże, szkoda, że tego nie widziałaś. Uśmiechając się do mnie ze szczytu niezdobytej wieży, przypawiła mnie o furię. Zapraǳnęłem tej zimnej suki tak bardzo, że to pragnienie aż bolało. Jak wkrótce się przekonałem, było ono ślepe, nagie i absolutnie bezwstydne.

\* \* \*

ŚWIĄTYNIA PAJĄKA.

Gry i rozgrywki.

Przebacz im ich grzechy.

Kwiecień 2000.

Nutan.

Zapadał zmrok i menele już sobie poszli. Jedynie Martin jeszcze zwlekał, wysączając fusy z kawy i wysysając resztki smaku z pozbieranych niedopałków. Obserwowałem przystanek autobusowy po drugiej stronie ulicy. Ta sama pętla, ten sam rytuał, ludzie wsiadali, rzucali się na wolne miejsca, układali wokół siebie swoje rzeczy, omijając spojrzenie obserwującej ich kelnerki. Tą małą dla nich ważną kelnerką byłam ja; przez trzy miesiące z tego samego miejsca patrzyłam na nich z zazdrością, a

teraz, w ten wiosenny wieczór, wszystko było inne. Teraz już rozumiałam, że autobus nie jedzie do żadnego cudownego świata, i widziałam pasażerów takich, jakimi naprawdę byli. Nie było czego zazdrościć tym ludziom, znudzonym i znużonym swoim szarym życiem. Co oni wiedzieli o upajającym zapachu wnętrza rollsroyce'a?

Ja wiedziałam sporo.

Jakiś przechodzień roześmiał się. Przyjemny, cywilizowany dźwięk. Nigdy nie podejrzewałam, że Londyn może być tak piękny. Za sprawą wiosny powietrze było łagodne, a nagie gałęzie przystrajały się w szaty bujnej zieleni. Przechodnie już nie otulali się szczelniej paltami i nie umykali jak szczury. W pubie po drugiej stronie ulicy wystawiono na dwór stoliki. Siedzieli przy nich goście z drinkami, usiłując jak najdłużej zatrzymać odchodzący wieczór. Noc miała inny charakter, była bardziej niebezpieczna.

Martin podniósł się wreszcie i ruszył, powłócząc nogami. Był brudny, obszarpany, cały przesiąknięty smrodem starego moczu. Odsunęłam się na bok i wypuściłam go.

- Do jutra, Martin.

207

Mijając mnie, niedbale podniósł prawą rękę i machnął nią gdzieś w okolicach ucha. Kiedyś, pod wpływem współczucia, jakiego doznaje się na widok powalonego drzewa, spytałam:

- Gdybyś mógł jeszcze raz przeżyć swoje życie, co byś zmienił? Podniósł na mnie czarne oczy i nagle jakby spadła z nich zasłona. Błysnęły dziko.

- Nic. Cholera, ani jednej rzeczy - syknął.

Spojrzałam na niego ze szczerym zdumieniem, na moment zapomniawszy o jego nędzy, a on uśmiechnął się; co mu tam gruba warstwa soli na chateaubriandzie, fochy kochanki mającej na sobie jedynie perły, czarna hawana w zębach i maserati za rogami. Co mu tam rajskie życie. Życie jest tu i teraz. Co tam głód. Niczego mu nie żal.

To była prawda. Nie odczuwał nawet wdzięczności za moją dobroć. Dam czy nie dam, niewiele go to obchodziło. Najwyżej poszedłby jeść do śmietnika. Jego uśmiech mi to powiedział. Dobroczynność to eufemistyczne określenie litości, a nawet -tak jak w moim przypadku - odrazy. Nie ma więc czego żałować i nie ma co przeproszać za gorączkowo przeżyte, hulaszczcze życie. W dodatku niefrasobliwe. Trzy miesiące temu byłabym zszokowana takim podejściem. Kłozard utrzymujący, że jest o wiele bogatszy ode mnie. Pokiwałabym z politowaniem głową i w poczuciu własnej wyższości modliłabym się za niego.

Ale wtedy jeszcze słoneczny bóg nie schronił się przed deszczem w naszej skromnej kawiarni. Widzisz, póki mnie nie dotknął, byłam jak niedokończona. Nie znałam nic innego. Nim moje oczy go ujrzały, głupie schody ruchome wprawiły mnie w zdumienie. Ricky był jak przewoźnik na łodzi. Rejs za darmo. Po prostu wskakuj, kotku. Wszystkim się zajął, wszystkiego doglądał, więc nie tonęłam. Przekonałam się wtedy, że grzech jest jak winogrono. Żeby się nim odurzyć, wystarczy je wycisnąć. Tak właśnie robiłam. Wyciskałam je.



Nagle stałam się inna.

Tak bardzo inna, że gotowa byłam dać się porwać, dać się oślepić błyskiem, który dojrzałam w oczach brudnego kloszarda. To dopiero byłby wyczyn: dziewięćdziesięcioletnia, wysuszona, zniszczona życiem staruszka umierająca z radosnym uśmiechem na twarzy. W pełni zadowolona ze swoich grzechów.

208

Zabawne, ale kloszard przypominał mi Ricky'ego. Nie podejrzewałam wcale, żeby Ricky miał skończyć jako menel, daleka byłam od tego, ale obaj mieli w oczach tę samą beztroską buntowniczość, kiedy wznosili toasty na cześć życia, chlapiąc przy tym na siebie winem z kieliszka. Byli mistrzami łamania tabu, łotrami już na wstępie ryzykującymi wieczne potępienie. Malowniczość wyznawanych przez nich prawd stępiała instynkt pozwalający dostrzec konsekwencję, którą był upadek.

Z natury mnie też ciągnęło do występku, więc nie przeraziłam się, gdy Ricky zabrał mnie do mieszkania nad pubem. Do świątyni pająka. My, Balińczycy, od najwcześniejszych lat uczymy się nie bać pająków. Na polach ryżowych jadowite pająki czają się przy ziemi i pożerają wiele szkodników niszczących rośliny. Bez nich żniwa byłyby gorsze. Sama więc widzisz, ani razu nie doświadczyłam strachu.

Wręcz przeciwnie, dla mnie było to fascynujące miejsce należące do dzieci nocy. Ludzie ci mieli w sobie coś, co mnie pociągało, nawet ich zepsucie było intrygujące. Z dnia robili noc, a z nocy dzień. Na wszystkich twarzach malował się ten sam pełen podniecenia wyraz, mówiący: „daj mi więcej”. Tu nie robiło się żadnych zapasów na jutro, a słowa „na przyszłość” uważane były za nieprzyzwoite i nikt nie kalał sobie nimi ust. Oni po prostu się bawili.

Jadowity pająk obwąchiwał mnie i oblizywał. Nagle ścisnął mnie za biodra i przewracał. Był jasnowłosy, przystojny i silny jak indyjski bawół. Zabraniał nosić mi cokolwiek, co nie było z lycry, tak żeby mieć dostęp do całej mnie w ciemnych zakątkach nocnych klubów. Czasami zaciągał mnie na puste schody. Seks był szybki i szalony.

Potem szłam do toalety i w lustrach oglądałam moje oczy płonące triumfem. Dawno temu z innymi dziećmi wybiegałam na piaszczystą drogę przyglądać się cudzoziemcom o niebieskich oczach, różowej skórze i zasobnych kieszeniach. Przybijaliśmy im piątki, nazywaliśmy ich chiu. Podobało się im, że biegniemy za ich autobusami, podobało się im, że są dla nas tacy ważni. Jeśli to prawda, że wszystko, co otrzymujemy, jest spełnieniem naszych najskrytszych pragnień, to biegnąc na bosaka, musiałam marzyć o dniu, w którym spotkam się z nimi w tym samym lustrze.

209

Ricky pokazał mi świat tak fantastyczny, że mógł istnieć tylko w nocy, kiedy już wszyscy dobrzy ludzie wysiedli z czerwonych autobusów i poszli spać. I tylko jeśli było się gotowym wydać ogromne sumy pieniędzy, a Ricky był. Ubrani w eleganckie stroje wkraczaliśmy w ten świat mrocznymi drzwiami, strzeżonymi przez potężnych mężczyzn w czarnych garniturach. Miejsca te nosiły cudowne nazwy: Tramp, The Fridge, China White i Cloud Nine. Wąskimi schodami schodziło się w dół... w głąb ziemi. Ludzie spotykający się w gorących, skąpo oświetlonych pomieszczeniach nie nosili czerni i granatów. O nie, w tych tajemnych głębiach królowały świetliste kolory i musujący napój zwany szampanem.

Tam odnalazłam to, co obiecywał skrzydlaty lis. Złoty pył we włosach opalonych na brąz cudzoziemców. Ludzi kosztujących niedozwolonego owocu.

Obie z Zeenat pławiłyśmy się w zakazanych owocach. Takich jak bezbarwne płyny, które miesza się z zimnym napojem. Ale tylko w klubach, gdzie muzyka jest głośna i mocna. Inaczej nie działają jak należy. Och, to była cudowna rzecz. Był też biały proszek, tak straszliwie drogi, że nie odważałam się przeliczyć jednego grama na indonezyjską walutę. Kokaina. Jak imię dziewczyny. Ricky nazywał ją koka. Poznałaś ją? Niesamowite sztuki wyczynia z twoją głową. W tym czasie moje koleżanki ze szkoły ścinały trawę na paszę dla krów. Pomyśleć tylko, że nikt z mojej wsi nie przeżył tego, co ja.

- Koka! - krzyczał Ricky, wysypując całą torebkę na telewizor. Jak zaczarowana wpatrywałam się w biały pagórek. Czasami sypał ścieżkę na blacie, ciągnącą się przez całą długość baru, i posuwając się na czworakach, wdychał strumień bieli. Nie byłam w nim zakochana, on był tylko przewoźnikiem, któremu nie można było się oprzeć. W prawej dłoni miał łańcuch, a na jego końcu klucz do niebywałych uciech. „To tylko brama, a ja mam klucze”. Przewoźnik mrugał do mnie porozumiewawczo.

W restauracji łąpał mnie za kostkę, ja piszczałam ze śmiechu, a on ciągnął moją nogę w górę i bezceremonialnie kładł ją na stole. Nożem odcinał mi pończochy i rozrzucał je po sali. Zdarzało się, że łądowały w czyjejszupie. Wolno podnosił moją stopę do ust i ssał palce. Publika była kompletnie zaskoczona: kelnerzy zdumieni, kierownik sali w szoku, goście oburzeni.

210

Przebierałam bezradnie palcami, śmiejąc się w głos. Gdy biały pagórek ma odpowiednią wielkość, wszystko wydaje się śmieszne.

Zeenat tego nie pochwałała. Uważałam, że jest po prostu zazdrosna, podobnie jak ja bym była, gdyby to ona znalazła Ricky'ego. Chcąc ją uspokoić, szeptałam: „Jesteś moja, a ja jestem twoja. Nikt nie może wejść między nas”. Nie wierzyła mi. Stale narzekała. Skarżyła się, że Ricky to dziki, hałaśliwy, godny pogardy zwierzak. A poza tym brzydki. Przekonywała mnie, że jest niewierny.

- Jesteś dla niego jak liść banana. Kiedy z tobą skończy, wyrzuci cię - ostrzegała. Nie przejmowałam się. Chciałam, żeby mnie wykorzystał. Chciałam doświadczać tych nowych dla mnie wrażeń. I umrzeć ze słowami kloszarda na ustach, że nie żałuję „ani jednej, cholera, rzeczy”. Więc wybaczałam Ricky'emu wszystko. Czemu nie miałabym mu wybaczyć? Ten człowiek był źródłem rozkosznych doznań.

Wszędzie, gdzie tylko poszliśmy razem, kobiety patrzyły na mnie z zazdrością. Taki był przystojny. Wymownie gestykułował, oczy mu błyszczały. Spoglądając na tego jasnowłosego, pięknego mężczyznę u mego boku, byłam niezwykle dumna, że przewoźnik wybrał właśnie mnie.

Amore mio. Doskonale wiedziałam, że żadne z nas nie kochało. Tylko wyciskaliśmy winogrono. Czułam się winna, zostawiając Zeenat samą, ale ona nie lubiła jego towarzystwa. Pomagała niszczyć wzgórze koki, lecz przez cały czas patrzyła na Ricky'ego i na mnie z wyrzutem,

- Jesteś moja, a ja jestem twoja. Przecież Ricky jest żonaty -pocieszałam ją. - To tylko zabawa. Jest jednym z tych złotowłosych bogów tańczących na falach, których zawsze pragnęłam. Nie pamiętasz? Niedługo wrócimy do naszego małego rajku, więc póki czas cieszymy się gniazdem pająka.

Zanim sprzątnęłam solniczki i pieprzniczki, zapach bezdomnego ulotnił się. Ekspres do kawy syczał, wypuszczając kłęby pary. Zeenat myła w zlewie jego ruchome części. Kiedy skończyła, zaczęła gasić światła. Z postawionym kołnierzem płaszcza czekała na mnie, aż starannie pozamykam drzwi. Wracałyśmy w milczeniu. Noce nadal były chłodne.

211

W pokoju usiadła na łóżku i zdjęła buty. Otworzyłam drzwi szafy.

- Znowu wychodzisz - stwierdziła z wyrzutem.

- Przecież możesz iść ze mną, jeśli chcesz. Właściwie to czemu nie? Jutro jest niedziela. Nie pracujemy - odparłam. Ale nie chciała. Trochę już zaczynała mi działać na nerwy tym swoim wiecznym wieszaniem się na mnie, wczepianiem się, ale bez żadnej chęci do przeżycia przygody. Wolałabym, żeby znalazła sobie kogoś. Rozerwałaby się trochę. Przynajmniej może zniknąłby ten wyraz wiecznej troski z jej twarzy. Będziemy mieć mnóstwo czasu na to, żeby się nudzić, kiedy wrócimy do naszej wioski. Przyglądała mi się, gdy myłam się przed lustrem.

Pomalowałam usta na ciemnoczerwony kolor.

- Nie uważasz, że Bruce jest całkiem niezły? Wiesz, gdybym nie chodziła z Rickym, zabrałabym się za niego. Moim zdaniem jest super. Co ci się w nim nie podoba? Ma piękne czarne oczy, dołeczek w brodzie jak u aktora i te ramiona!

Odbicie jej twarzy w lustrze wcale nie było uprzejme.

- No to go sobie weź - warknęła. Odwróciłam się i spojrzałam jej prosto w oczy.

- No dobrze, w takim razie może Anis? Musisz przyznać, że wśród tych wszystkich ludzi, których poznałyśmy, on jest naprawdę wyjątkowy. Miły, uprzejmy, wykształcony i szaleje za tobą.

Przez chwilę patrzyła na mnie, jakby uważnie przyglądała się prawdzie, którą właśnie powiedziałam, ale po chwili pokręciła głową.

- Daj mi spokój. Nie chcę żadnego z nich. Chcę wrócić do domu i już. Nienawidzę tego miejsca. - Jej głos nagle stał się ostry. - I tak musimy wracać do domu, czy ci się to podoba, czy nie. Zapomniałaś, że paszporty podstemplowali nam na pół roku? Nasze wizy lada moment się skończą.

- Nic nie szkodzi - odparłam beztrąsko. - Ricky mówi, że większość jego pracowników nie ma legalnych papierów na pobyt, a co dopiero mówić o pozwoleniu na pracę. Jak przychodzi urzędnik z biura imigracyjnego, uciekają tylnym wyjściem. Nie złapią nas, jeśli nie będziemy robić nic nielegalnego.

- Nie masz już dosyć? Kiedy zamierzasz wracać do domu?

212

Ugryzłam się w język. Jak to myśmy zawsze sobie wyobrażały, Zeenat i ja? Że będziemy dwiema starszymi paniami mieszkającymi razem? Coraz mniej realne wydawały mi się te nasze dziewczęce przysięgi. Zaczynałam rozważać myśl, czy w ogóle wracać.

- Będę w restauracji Ricky'ego, jeśli zmienisz zdanie. -Chwyciłam torebkę i wyszłam z pokoju.

Na schodach usłyszałam, że Zeenat krzyczy za mną:

- Wcale nie tęsknisz za Nenek?! Jej głos załamał się w pół słowa.

\* \* \*

Ricky.

Była sobota wieczór w Villa Ricky. Za każdym razem, kiedy ktoś przechodził przez wahadłowe drzwi, z mojego posterunku przy barze miałem widok na wnętrze kuchni. Zawsze sprawiało, że serce mi rośnie: przewijały się tam rzesze pijaków, złodziei, nałogowych kłamców, rozrzutników, handlarzy żywym towarem i sprytnych drani, którzy umieli przyrządzać niezwykle dania. Wszyscy oni zeszli z drogi cnoty i wszyscy wybrali moją kuchnię na miejsce, gdzie można się przycząić. Pełne agresji warknięcia: „Stolik piąty gotów?” i „ Czy ktoś może, do kurwy nędzy, wziąć się za stolik dziewiąty?” były muzyką w moich uszach.

Pani przy stoliku siódmym twierdziła z uporem, że w jej jedzeniu jest mięso. Boże broń. Wegetarianki, lesbijki - jeszcze nie tak dawno temu była to dla mnie jedna cholera. No dobra, ale ta była nawet niebrzydka. Kelner udał się do kuchni z duszą na ramieniu. Posłańcy takich wieści przeważnie padali ofiarą wywołanej przez siebie burzy. Chłopak aż kucnął ze strachu, naturalnie w bezpiecznej odległości od Franka, który, czerwony na twarzy, pieniał się ze złości. Pamiętasz go? To ten zwariowany artysta z La Stregi.

- Co za cholerna kurwa się znowu rzuca?! - wrzasnął.

Żywił wielką pogardę dla wegetarian. Obrażali jego sztukę. Uważał, że powinni siedzieć w domu i tam skubać swoją marchewkę. „Dlaczego, kurwa, włączą się po knajpach? Żeby zawracać nam głowę i zmuszać do robienia potraw bez smaku?”

213

Idioci! Kretyni! Jak można przyrządzać jedzenie bez rosółu mięsnego?” - deklamował patetycznie.

Ja natomiast doszedłem do wniosku, że nasz klient nasz pan. Za puree z fasoli w kształcie mielonego kotleta, warte kilka pensów, liczyłem sobie jak za doskonały kawałek mięsa. Franco ruszył w stronę sali. Po drodze przystanął i włożył nieskazitelną białą czapę. Drzwi otworzyły się i ukazało się w nich promiennie uśmiechnięte zjawisko. Nawet ja dałbym sobie wmówić, że wszystko jest szczerze i prawdziwe.

- Allora, a tavola! - zawołał miło.

Zbadał talerz z tak bliska, że aż wystraszyłem się, że cichcem napluł do niego.

- Aaaa - zdiagnozował ze znanstwem. Odstawił talerz na stół. - Szanowna pani jest w błędzie. W całkowitym błędzie. To jest... - Urwał. Prawą ręką wykonał w powietrzu gest, jakby czubkami palców chwytał różę, po czym przyłożył je do ust i złożył na nich siarczasty pocałunek. - Scamorza, wędzony ser. - Promienny uśmiech wyrażał współczucie dla jej omyłki. - Delizioso, jak mięso, prawda? - Wyraźnie zawstydzona kobieta przytaknęła. Uznała swą winę. Zadowolony, że wszystko zostało wyjaśnione, a jego wiarygodność ocalona, schylił się w teatralnym ukłonie. - Buon appetito, signora. - Dumnie wyprostowany, świetnie znający swoje miejsce i obowiązki, zniknął za drzwiami. Doskonale wiedziałem, co tam teraz wyprawia. Zerwał czapkę, wściekając się i klnąc, na czym świat stoi. - Wegetarianie, kurwa. Dlaczego, kurwa, nie siedzą w domu?

W drzwiach pojawił się, całkowicie wypełniając je swoją osobą, groźnie wyglądający czarny facet. Aż musiał schylić się, żeby wejść do środka. Tak między nami mówiąc, to Cosmos był prosty i szczerzy - jak kawałek chleba. Muchy by nie skrzywdził. Ale, cholernik jeden, do tego stopnia miał wszystko gdzieś, że kiedyś godzinę szedł z mojego mieszkania do kiosku odległego o dziesięć minut drogi. „Jasne, koleś, zaraz wracam” - mówi drań i przychodzi po godzinie. Po całej godzinie... Gdyby speed był bez smaku, zaprawiłbym mu herbatę tylko po to, żeby zobaczyć, co to będzie.

Teraz u ramienia wisiał mu mruczący, zabójczo piękny czekoladowy kociak. Cosmos był moim dostawcą koki, a także dostarczał

214

dziewczyny na przyjęcia. Miałem cichą nadzieję, że tę może mi zostawi. Wyglądało na to, że umie wydawać autentycznie kocie dźwięki. Coś w rodzaju solidnego jęku, który pozytywnie na mnie działa. Do biura musieliśmy przejść przez kuchnię i te kute na cztery nogi kuchenne popychła już nas śledziły kątem oka. Zaraz zaczęły pukać do drzwi. Zamknąłem je na klucz. Cosmos wyjął z torebki dziewczyny pięciokilowy blok. Wyciągnął się jak sułtan na kanapie. Cosmos nigdy nie ruszał towaru. Mawiał zawsze: „Raz dotknij tego gówna, a już po tobie”.

Kiedy pożegnałem się z czekoladką - była nie do wzięcia, obiecana na imprezkę dla chłopaków z Ameryki - i odprowadziłem ich do drzwi, zabrałem się do przetwarzania koki. Odciałem kilo na własne potrzeby, resztę pokruszyłem, zmieszałem z proszkami przeciwbólowymi i włożyłem pod prasę. Po trzydziestu sześciu godzinach zestali się na powrót.

Strzeliłem sobie solidną działkę. Tak dużą, że kiedy wchodziłem przez wahadłowe drzwi na salę, usta miałem zupełnie zdrętwiałe. Nutan siedziała na barze, a przed nią stało w rzędzie osiem tequili. Kierownik sali typta oblesnie.

Wzięła głęboki oddech i podniosła pierwszy kieliszek. Tequila, sól, cytryna. Barman klaskał i wykrzykiwał słowa zachęty, a kelnerzy, stojąc w rzędzie, bębnilo o bar. Cztery kieliszki tequili były puste.

- Brava, Nutan, brava! - krzyknął ktoś. Pięć, sześć, siedem. Odrzuciła głowę do tyłu i wychyliła ostatnią. Obecni powitali to gromkim aplauzem. Wychyliła je duszkiem, jedną po drugiej bez przerwy

i nawet nie rozmazała się jej szminka. Zauważyła moje uśmiechnięte i pełne uznania spojrzenie. Brava, Nutan. Brava. Następnym razem spróbujemy dziesięć, aha?

\* \* \*

Anis.

Dlaczego zawsze pożądamy rzeczy, które nie chcą być nasze? Czułem, że pomału tracę głowę dla Zeenat. Jakżeby inaczej? Samo patrzenie na sposób jej poruszania się było jedną wielką rozkoszą. Ramiona równe, głowa uniesiona wysoko. Jakby niosła na niej wielki dzban z brązu. To przez noszenie od wczesnego

215

dzieciństwa ciężarów na głowie. Dzięki temu miała taki właśnie krok. Patrzyłem, jak idzie w moją stronę z płonącymi oczami. Łuna upadłego imperium.

A jak wonną miała skórę! Każdy najmniejszy fragment pachniał wprost rozkosznie. Na początku myślałem, że to pracowicie wtarty olejek, ale ona, zarumieniwszy się, wyznała:

- To dzięki babci. Od dzieciństwa karmiła mnie i moją siostrę specjalnymi ziołami.

Spojrzałem na nią ze zdumieniem.

- Podoba ci się? - spytała nieśmiało. Uniosłem jej rękę do ust. A więc to sproszkowane kwiaty i zioła. Na samą myśl krew uderzyła mi do głowy. Pokazała mi małe czarne kuleczki. Czary starej kobiety. Ja też miałem kiedyś babcię czarodziejkę.

Zeenat mówiła o swojej ojczyźnie, o zapadłym zakątku świata, gdzie uwłaczające czci spojrzenia białych ludzi nie zmusiły jeszcze kobiet do zakrywania piersi. Tam w dawnych czasach tylko prostytutki okrywały ciało, żeby zasygnalizować swoją nieczystą profesję. W tym dalekim kraju czary były czymś na porządku dziennym.

Ponieważ czary z jej opowieści były tak dalekie i ponieważ bardzo chciałem, żeby to była prawda, wierzyłem jej. Być może, gdybym zobaczył na własne oczy tę dziwną i wspaniałą kobietę imieniem Nenek, zwątpiłbym w słowa Zeenat, odwoławszy się do logiki, ale odległość robiła swoje. Gdyby czary rzeczywiście istniały, z pewnością zagnieździłyby się właśnie w tym dalekim raj. Ale najpierw opowiem ci, jak zbliżyłem się do tej niezwyklej istoty.

Na początku spotykałem ją tylko w świątyni Ricky'ego. Dziwne to miejsce i nie jestem do końca pewien, czy potrafię właściwie ci je opisać. Na pierwszy rzut oka mieszkanie wydaje się obskurne, ale tak naprawdę jest po prostu banalne. Na dole znajduje się jedno duże wnętrze, umeblowane kanapami w jednej części i z długim stołem ze szklanym blatem w części drugiej. Schody przy ścianie prowadzą na górę do dwóch pomieszczeń; jedno to dość duża sypialnia, a drugie to ciemny schowek.

W kuchni, jeśli się przyszło w odpowiedniej porze, można było zastać Ricky'ego, sprawnie siekającego czosnek wielkim tasakiem albo urzędującego z drewnianą łyżką w garści nad wielkim kotłem z gotującym się makaronem. W aromatycznych oparach

216

rozlegał się jego baryton śpiewający dość swobodne wersje Cyrulika sewilskiego.

Jeślibyś została dłużej, zobaczyłabyś, jak wnosi na stół parujące misy z jedzeniem i ze śpiewem na ustach ustawia je wokół butelek z cierpkim czerwonym winem i koszyków z chrupiącym pieczywem, ściągniętym z którejś z jego restauracji. Pozostali porzucają wówczas gniazdko przytulnych kanap i podchodzą do stołu, żeby zjeść i napić się. Potem, podczas picia kawy z ekspresu, zawsze krąży butelka czegoś przepalającego gardło. Jeszcze później wkracza ktoś z kilkoma gramami koki. I impreza zaczyna się na nowo.

I tak przez całą noc, zabawa na dole i uprawianie miłości na górze. Ale powiem ci, że w tym wszystkim czai się coś złego, coś bardzo złego. Gdyby nie Zeenat, nigdy nie przyszedłbym tam po raz drugi. Raz poszedłem sam. Mieszkanie było puste i przysięgam, że nie byłem w stanie wejść dalej niż za próg. Dostałem gęziej skórki, palce stóp podkuliły mi się i wbiły w podeszwy butów.

Puste mieszkanie emanowało złą, wyczekującą obecnością. Instynktownie czułem, że ma to coś wspólnego z freskiem namalowanym na ścianie w głębi. Ponieważ na dole znajduje się w zasadzie jedno pomieszczenie, nie ma od tego malowidła ucieczki. Na pierwszy rzut oka wydawało się niegroźne. Pozornie nie było w nim nic nadzwyczajnego, było wręcz nieporadne pod względem techniki i miało błędy w wykonaniu. Pędzel malarza przedstawił pustą grecką świątynię, z popękаныmi kolumnami porośniętymi pnączem i podłogą zaśmieconą połamanymi sprzętami; leżały tam czerwone i czarne amfory, talerze, kuchenne utensylia, kozie rogi.

Pośrodku ruin płonął jasny ogień, w który wpatrywała się kobieta ubrana w białą szatę i odwrócona plecami do widza. Włosy miała czarne, tak czarne, jakby w ogóle nie odbijały światła. W rękę trzymała płaczącą maskę. Malowidło kończyło się przy prostopadłej ścianie i odnosiło się wrażenie, jakby zostało ucięte: przy samej krawędzi widoczny był koniec męskiej nogi, uniesionej jakby podczas ucieczki. Ale i tak mężczyzna ów nie uciekłby daleko. Metalowy łańcuch pętał mu kostkę. Śmieszne, że łańcuch nie był ze sztywnego metalu, ale był wydłużony i rozciągliwy jak miękkie zegary Dalego.

217

Z tego rodzaju okrucieństwem nigdy dotąd się nie zetknąłem. Pędzel artysty musiał zostać poprowadzony przez wyjątkowo złowrogiego ducha. Zielona poświata na białych dłoniach kobiety i jej nagich stopach, niewidoczna dla widza twarz, pełna bólu i cierpienia maska, noga zdesperowanego mężczyzny - wszystko to budziło grozę.

Nie, tego się nie da opisać. Musisz sama to zobaczyć. Ale tu nie tylko chodziło o malowidło. Całe to miejsce było złe. Pod przykrywką śmiechu i pomruków świadczących o seksualnym zaspokojeniu działo się coś okropnego. Przychodzili tu ludzie obolali i poranieni, a wychodzili zupełnie zniszczeni.

Stróżem świątyni był oczywiście Ricky. Jest to naprawdę niezwykle człowiek, inteligentny, zabawny, fascynujący, pełen energii i absolutnie charyzmatyczny. Mało który facet mógłby się pochwalić tym,

że przeleciał więcej kobiet, zażył więcej narkotyków, wypił więcej szampana, opowiedział więcej tłustych kawałów i miał więcej znajomych, a jednak... jednak... ktoś, kto tak łatwo wskoczył w czarno białe buty alfonsa i ściągał do siebie poharatanych przez życie ludzi, nie może być niczym więcej niż podłym nędznikiem.

Podstępem zwabiał nieszczęśników do swojej świątyni niegodziwości, wręcz polował na nich, zwłaszcza na kobiety, a potem przyglądał się, jak inni, których zdeprawował wcześniej, wykorzystują jego ofiary i wciągają je coraz głębiej w bagno zła. W gruncie rzeczy był taki jak jego twarz: nieprzyjemne rysy sprytnie połączone w sposób dający złudzenie piękna. Twarz ta nieskażona była cierpieniem ani wyrzutami, natomiast często pojawiała się na niej budząca grozę radość na widok występków, do których udało mu się nakłonić innych. Zdawać się mogło, że zepsucie raduje mu serce, tak jak kiedy idąc ulicą, słyszy się dobiegającą z przejeżdżającego samochodu ulubioną muzykę taneczną. Nawet sposób, w jaki kochał, był zniewagą dla drugiej strony; robił to na zimno, a jego oczy były zawsze pełne pogardy dla łatwej zdobyczy. Tak naprawdę on nie znosił kobiet.

Czasami myślę sobie, że jedyną kobietą, którą Ricky nie pogardzał, była Elizabeth. Nigdy nie zakosztował rozkoszy jej łoża. Spoglądał na platynowe włosy, na zimne oczy, na przepiękne usta uśmiechające się okrutnym uśmiechem i wyobrażał sobie, że

218

oboje ulepieni są z tej samej gliny. Płacili tą samą walutą. Ona doskonale знаła ten mechanizm. Jej oczy wyraźnie mówiły, że poznała prawdę o mężczyznach i dobrze wie, jak bardzo są żałośni. Łatwo wpadali w sieć jej urody. Wiedziała, czego chcą, co im się roi po głowach. Więc grała pod nich swoją komedię.

Patrząc na ich spragnione grzechu twarze, uśmiechała się zimno i mówiła, czego od nich oczekuje. A oni posłusznie spełniali jej rozkazy. O sobie nie mówiła nic i nie zachęcała do zwierzeń. Nawet to, gdzie mieszka, było tajemnicą. I to właśnie Ricky'ego zachwycało. Zimna manifestacja obojętności. Gotowość użycia, wykorzystania, wzięcia, ile tylko się da, i pozostania przy tym piękną i niewzruszoną. Podejrzywałem, że w jej przypadku chłód jest jedynie mechanizmem obronnym, ale Ricky'emu na pewno nie przyszło to do głowy. Obserwował ją z boku z wyraźną przyjemnością.

Najobrzydliwsze jednak było to, jak Ricky zwabił te dwie niewinne istoty, bliźniaczki, i jak bez najmniejszych skrupułów przystąpił do dzieła deprawacji. Raz zszedł z góry ze swojej sypialni, gdzie był z Nutan, i aż oko mu się zaświeciło na widok Zeenat śpiącej na kanapie. Spod zmrużonych powiek widziałem to jego spojrzenie, ten moment cynicznego namysłu. Boże drogi, ją też chciał mieć. Następnego dnia zaproponowałem jej pięćset funtów, żeby przyszła mi pozować. To dużo, wiem, ale myśl, że Ricky zniszczy to dziecko, budziła taką grozę, iż skłoniło mnie to do podjęcia działań. Pewnie przeliczała pieniądze na walutę indonezyjską, tak długo trwało, nim wreszcie otworzyła usta z niedowierzaniem, a jej ręka szybko ukryła pieniądze. Skinęła głową ochoczo. Tak zaczęła się nasza współpraca.

Ustawiłem ją w pozie, jaka mi była potrzebna. W dziennym świetle jej skóra była wspaniałym zjawiskiem. Nieskazitelna, lśniąca od środka, jakby nie było tam ciała, krwi i kości, tylko drogocenny, świetlisty olej.

- To zioła - powiedziała nieśmiało.



- Może ja zacznę brać te wasze magiczne pigułki - zażartowałem.
- O, nie - ostrzegła poważnie. - To tylko dla kobiet. Dla mężczyzn są inne rzeczy...
- Naprawdę? Jakie?

219

- Jeśli nie możesz... no wiesz... - Zakryła usta dłonią i zachichotała.
- Aha, no to może jak będę trochę starszy.

Kiwnęła głową na znak, że się ze mną zgadza. Nawet w raju na porządku dziennym było to, że starsi mężczyźni potrzebują czegoś na potencję.

Wieki temu, zdawałoby się w innym życiu, na tym samym oknie siadała Swathi, a słońce ukośnie padało na jej twarz. Na chwilę mignęła mi przed oczami, szczupła, wręcz wychudzona... Ale jej już nie było, odeszła ze słowami: „Każde rozstanie stwarza nowe możliwości”. Moja nowa możliwość uśmiechnęła się do mnie niepewnie. Cofnąłem się kilka kroków.

- Pomyśl o kimś, kogo kochasz. Bądź tam, gdzie jesteś kochana - odpowiedziałem. Pod tym względem wszyscy są tacy sami. Czyż każda rasa na swój sposób nie uczy się, jak zrobić z mąki kulę ciasta i zmienić ją w chleb?

Spojrzałem znad mojego szkicownika. Patrzyła przez okno, zatopiona w przyjemnych wspomnieniach, a w jej oczach pojawiła się jakaś utajona radość. Zeenat przypominała ptaka. Małego, ciemno upierzonego i tak niezwykle delikatnego, że staje się nerwowy i niespokojny, kiedy go obserwują, ale gdy bezpiecznie buja w powietrzu, jest nieskończonym pięknem, cudem stworzonym przez naturę. Jak niewiarygodnie piękne były te tajemnicze, pełne tęsknoty oczy!

- O kim myślisz?
- O mamie. Spytałem ją o matkę.
- Umarła, ponieważ chciała mieć nowe stopy - usłyszałem odpowiedź.

Z uśmiechem zacząłem malować tę rozkoszną istotę, w którą tak niespodziewanie przeobraziły Zeenat jej własne wspomnienia. W każdej chwili mogła rozpuścić się w powietrzu albo odlecieć. Musiałem więc malować, malować i malować. Póki światło jest dobre. Póki jej skóra lśni jak oświetlony setkami świec dom, w którego długich, sięgających ziemi oknach powiewają przezroczyste zasłony.

220

Zadzwoił dzwonek przy drzwiach. Poszedłem otworzyć.

- Czy mogę wejść, Anis? - spytała Zeenat.

Z założonymi rękami, opierając się o ścianę, patrzyłem, jak zdejmuje buty. Stopy miała szerokie i spłaszczone od chodzenia boso. Powiedziała mi kiedyś, że do siódmego roku życia chodziła w ogóle bez butów, a potem w butach tylko do szkoły.

- Jestem głodny. A ty? - spytałem.

- Ja też. Mogę coś ugotować - zaproponowała.

Miała za sobą cały dzień na nogach przy obsłudze gości, potem dla oszczędności z Victorii na South Kensington przyszła piechotą, a teraz proponowała, że będzie gotować.

- Zamówimy jedzenie do domu i wypożyczymy kasetę wideo. Skinęła głową, promieniejąc.

- Indonezyjskie?

- Oj tak - odparła jeszcze bardziej ochotczo.

- Co chciałabyś obejrzeć?

- „Pretty woman”. - Nie musiała się ani chwili zastanawiać.

- Hmm! - bąknąłem. Dlaczego wszystkie znane mi dziewczyny tak strasznie rozczulają się nad tą ckliwą hollywoodzką bajdą

o mężczyźnie zakochanym w prostytutce? Jakby się to mogło zdarzyć w prawdziwym życiu.

Otworzyłem butelkę wina. W trakcie posiłku powiedziała:

- Okropne. Bardzo niedobre jedzenie. Musisz pojechać ze mną na Bali. Ugotuję dla ciebie młode pędy bambusa i wieprzowinę z ziołami i czerwoną chilli. I poznasz moją babkę. Zakochasz się w niej z miejsca.

Słowa dotyczące jedzenia wymawiała bardzo starannie. Nagle znów zapragnąłem ją chronić.

- Posłuchaj, a może byś mi stale pozowała. Na pewno mogę zapłacić ci dwa razy więcej, niż dają ci w tej nędznej dziurze.

- Och nie, nie mogę zostawić siostry. Byłoby jej bardzo smutno samej. Ale dziękuję ci. Dziękuję, że zadajesz sobie tyle trudu, Anis. - Mówiła uroczyście, przyłożywszy dłoń do piersi i nisko pochylwszy głowę. Nie sądziłem, żeby Nutan specjalnie się przejęła, ale nie powiedziałem słowa.

Wyszliśmy razem po kasetę wideo i dzielnie przesiadziałem cały proces przeobrażania się Julii Roberts z dziwki o wielkim

221

sercu w damę z klasą. Po dziesięciu minutach „Angielskiego pacjenta” Zeenat zasnęła na kanapie. Chwilę patrzyłem na nią. Spała jak dziecko, trzymając kciuk w ustach, a miękko zarysowana pierś unosiła się i opadała. Chciałem pocałować te anielskie usta. Jak niewiele jeszcze wiedziały! Była niezapisaną kartą.

Kochałem ją, wiedząc, jakie to beznadziejne. W najmniejszym nawet stopniu nie była mną zainteresowana. Przyszła tylko dlatego, że czuła się samotna i tęskniła za domem. Pragnęła jedynie wrócić do swej małej wioski i do babki. Powiedziała mi kiedyś: „Jesteśmy prostymi ludźmi. Ludźmi ziemi. Trzeba wracać, zanim powietrze miasta przyprawi nas o chorobę. Zanim nas zniszczy”.

Przypomniał mi się sposób postępowania z kobietami, jakiego uczył mnie dziadek: „Anis, nie ma takiej, na którą nie podziałałby nagły brak zainteresowania. Okazuj jej swoje względy dzień i noc, nawet jeśli spotykasz się z odrzuceniem i pogardą. A pewnego dnia przestań ją adorować. I jeśli nie będzie twoja w ciągu góra miesiąca, to przyjdź do mnie. Nawet jeśli będę już leżał w grobie. Omówimy etap drugi, który, ostrzegam cię, jest ostateczny i nie nadaje się dla słabeuszy”. W jego piersi zahuczał głęboki śmiech.

Postanowiłem jednak, że nie będę aż tak cyniczny. Tym razem na mnie przyszła kolej kochać bez wzajemności. Z miłością już tak jest, że może jej być ociupinka, ale całość musi być nieskazitelna. Zachowałem się jak łajdak wobec Swathi, a jednak zrozumiała, wybaczyła i jeszcze nauczyła mnie, że prawdziwie szlachetna miłość to ta, którą się czuje do drugiej osoby, a nie ta, której się jest obiektem. To była moja szansa na odkupienie. Gdybym teraz zawiódł, jej pojawienie się w moim życiu poszłoby na marne.

W migającym świetle telewizyjnego ekranu obiecałem sobie, że będę bronił tego śpiącego dziecka. Delikatnego i wrażliwego, które znalazło się niebezpiecznie blisko paszczy wilka. Ja jeden stałem między nią a Rickym. Nie wolno pozwolić, by zbrukał tę czystą kartę. Nie wiem, jak długo szkicowałem ją ani jak długo patrzyłem na nią w niebieskawym świetle, ale musiałem zapaść w sen na siedząco, podparty na poduszkach.

Obudziła mnie rano, dmuchając mi lekko w powieki.

222

- Tak budziła nas babcia - powiedziała, kiedy spojrzałem na nią zamglonym wzrokiem, czując kwaśny smak w ustach po wczorajszym winie. Podniosła butelkę z mlekiem.

- Spójrz, ktoś zrobił dziurkę w kapslu.

- To pewnie sikorki.

- Sikorki?

- Takie małe ptaszki. Nauczyły się przebijać dziobkami srebrną folię i spijać śmietankę z wierzchu.

Roześmiała się z zachwytem.

- Naprawdę? Jakie mądre! Przyjdę kiedyś w niedzielę rano, schowam się za firanką i podejrzę je.

Zgoda.

\* \* \*

Francesca.

Znowu źle spałam. Ricky w ogóle nie wrócił do domu zeszłej nocy. Odkąd stracił prawo jazdy za jazdę po pijanemu, woli przespać się w pracy niż zawracać sobie głowę taksówkami. Przez chwilę pomyślałam o wąskiej kanapie w jego biurze. Natychmiast natrętnie wcisnęła się inna myśl. Odepchnęłam ją. Z dołu słychać było, że Rosa zaczęła odkurzać. Cichy szum drażnił mnie. Przesunęłam się na stronę Ricky'ego i ukryłam twarz w jego poduszce. Była zimna, czułam słaby zapach perfum, moich. Nie bywał w domu na tyle często, żeby pozostawić po sobie zapach swojej wody. Odrzuciłam kołdrę i usiadłam.

Niedługo Rosa przyjdzie na górę i będzie chciała sprzątać sypialnię. Zwlokłam się z łóżka, zrzuciłam koszulę nocną, która opadła na podłogę, i nago stanęłam na wadze. Mogłam spojrzeć w dół bez obaw. Zrezygnowałam z kolacji poprzedniego wieczoru. Strzałka pozostała tam, gdzie była wczoraj rano, nawet gdy przenosiłam ciężar ciała z nogi na nogę.

Zadowolona stanęłam przed długim lustrem. Nigdy nie można być zbyt bogatym ani zbyt chudym. Stojąc bokiem, przyjrzałam się uważnie, czy nic nie oklapło, specjalną uwagę poświęcając piersiom i pośladkom. Dobrze. Nic się nie zmieniło... jeszcze. Szybko wciągnęłam obcisły fioletowy kostium gimnastyczny i przeszłam do sąsiedniego pokoju poćwiczyć. Czterdzieści pięć minut później,

223

cała pokryta cieniutką warstewką potu, wzięłam kąpiel. Leżąc w pachnącej pianie, nie myślałam

o niczym konkretnym. Moje myśli po prostu uleciały leniwie. Jak zwykle na pola Sycylii. Wyszłam z wanny dopiero, gdy woda zaczęła stygnąć. W gorącym, wilgotnym powietrzu kilka pasemek zaczęło się skręcać. Szybko włączyłam żelazko do włosów

i wyprostowałam nieposłuszne loki.

Potem usiadłam w szlafroku przed lustrem toaletki i przystąpiłam do makijażu. Na początek przyjrzałam się sobie uważnie, szukając zmarszczek. Nowych. Dziś nie było. Dobrze. Przysunąwszy się blisko do lustra, obejrzałam wargi. Były nadal tak wypukłe jak pierwszego dnia, kiedy wstrzyknięto mi kolagen, nadal tak samo obce, i ciągle boleśnie przypominały, jak bardzo dla mnie nieznanie i niezrozumiałe było terytorium, na którym się znalazłam.

Kompletnie zagubiwszy się w życiu, próbowałam odnaleźć siebie, obserwując kobiety bywające w tych samych sklepach. W myślach nazywałam je „klubem pierwszych żon”. Sama nie byłam dość bogata, żeby mieć legitymację takiego klubu; z podsłuchanych rozmów dowiadywałam się o wakacjach spędzanych na jachtach, o różnych sposobach na brązową opaleniznę - najlepszą uzyskuje się na prywatnych wyspach na Morzu Karaibskim. I jednak przyznałam sobie honorowe członkostwo. Krwawiłyśmy spod tej samej korony cierniowej.

Kobiety te stały się dla mnie wyroczniami. Tylko na podstawie obserwacji - gdyż nie ośmieliłam się z nimi zaprzyjaźnić - pomału nauczyłam się niepisanych zasad kształtujących ich styl bycia i starałam się odgadywać myśli i intencje ukryte za każdym zakupem.

Jeśli je dobrze rozumiałam, bogate kobiety mnóstwo czasu poświęcały na odseksualnienie siebie. Tylko jasne szminki były dozwolone, ponieważ kolor czerwony pobudza, jest rodzajem seksualnego zaproszenia. A ponieważ ciało z natury swojej jest seksowne - jest kształtne, porusza się, kołysze, zaprasza i wysyła zachęcające sygnały - były chude jak szkielety. Podobnie działo się z ich włosami i ubraniami. Wszelki nieład czy przypadkowość nie wchodziły w grę. Musiały mieć równiutkie hełmy doskonale ufarbowanych włosów i nienagannie skrojone ubrania.

224

Robiły tak, ponieważ wiedziały, że nie mogą rywalizować z kochankami i utrzymankami swoich mężów. Czyż sama nie spędziłam lat całych na bezradnym śledzeniu grupek chichoczących dziewcząt w centrach handlowych, pełna zawiści o ich jędrne ciała i skórę? Zmarnowany czas. Po prostu nie ma rady na odchodzącą młodość. Rozumiałam zatem, dlaczego kobiety te odrzucały jako wulgarne wszystko, co miały do dyspozycji ich rywalki. Wszystko, co było pełne życia i spontaniczności. I nie szczydziły starań, by wyróżniać się tym, że wyglądają drogo i niedostępnie.

Kiedy po raz pierwszy zauważyłam u nich takie pełne usta, zupełnie nie wiedziałam, o co im chodzi. Wpadłam nawet w lekką histerię. Nagle poczułam się zagrożona, jakbym traciła z nimi kontakt, ponieważ nigdy nie spodziewałam się, że sięgną po tak jawnie seksualny argument. Wyglądało na to, że teraz trudniej będzie odróżnić żony od kochanek.

Spróbowałam wydąć usta w lustrze. W duchu uznałam to za groteskowe. Jak orangutanica w rui. Wszyscy mogą zobaczyć. Nabiegłe krwią genitalia na twarzy. Na początku tak wstydziłam się moich „nadmuchanych” ust, że cały weekend przesiedziałam w sypialni. W niedzielę przyszedł do domu Ricky. Miał ciemne kręgi pod oczami i był kompletnie wyczerpany, ale kiedy zobaczył, co robiłam, na jego twarzy pojawił się wyraz dziwnego rozbawienia, a zarazem lekkiego zaciekawienia. Przesunął ręką po moim karku, pochylił się i polizał moje usta. Poczułam brandy na jego języku.

- Podoba mi się - powiedział i nagle pobiegliśmy na górę, i kochaliśmy się.

Kiedy skończyliśmy, zobaczyłam, że rzęsy mu opadają, ale gwałtownie potrząsnął głową i otworzył powieki.

- Moje laleczki są pod drzwiami - powiedział, zwlekając się z łóżka. I choć mówiłam, że nic się nie stanie, jak dzieci trochę poczekają, wstał i poszedł do łazienki. Słyszałam dźwięk odkręcanych kranów, stuk buteleczek z perfumami odstawianych na marmurowe kafelki, splukiwanie toalety. Kiedy wyszedł, oczy miał żywe i błyszczące. Zatarł ręce i zawołał: - Gdzie są moje dzieci?! Francesco, co z nimi zrobiłaś?!

Otworzył drzwi i dzieci wpadły przez nie, krzycząc:

225

- Tu jesteśmy, tatusiu! Tu jesteśmy!

A on udawał, że nie słyszy ani nie czuje, że młodsza dwójka jak szalona uwija się wokół jego nóg. Wyciągał szyję, patrząc na lewo i prawo, i znowu na lewo, wołając:

- Gdzie są te dzieci?! No gdzie?! Chyba ich nie oddałaś, Francesco. Przyznaj się.

Lucca odnosiła się już z pogardą do takich zabaw.

- Przestań się wygłupiać, tatusiu - upomniała go swoim prawie dorosłym głosem. Więc złapał ją i zaczął łaskotać, aż straciła oddech ze śmiechu i tylko błagała, żeby przestał. Leżałam w łóżku, ogarnięta apatią, słysząc, jak piszczą ze szczęścia, że są z ojcem, i marzyło mi się, żeby zawsze tak było. Ale to przecież całkiem nierealistyczne. Nie można mieć w życiu wszystkiego, prawda?

Odkręciłam zakrętkę mleczka kosmetycznego i zaczęłam je wklepywać w twarz lekkimi ruchami od dołu ku górze, po czym przyszła kolej na tonik, a potem na najdroższy krem nawilżający, jaki można kupić za pieniądze. Następnie zaczęłam zwykły makijaż. Najpierw korektor Touche Eclat na lawendowe kręgi pod oczami. Po satynowym podkładzie przyszła kolej na cienką warstwę pudru. Puste płótno czekało na kolory. Czarny eveliner, szary cień na powieki, trzy warstwy tuszu na rzęsy, emulsja rozjaśniająca, róż i na koniec jasna morelowa szminka.

Należało wykonać to bardzo starannie. Wszystko musiało być bez skazy, ponieważ byłam przekonana, że zbyt wiele rzeczy we mnie jest nie takich jak trzeba. Miałam nawet w sobie kawałki całkiem martwe. Ubrałam się w garderobie. Szary kostium od Prądy i miękkie szare pantofelki. Stałam przed lustrem. Wyglądałam dokładnie tak, jak chciałam wyglądać. Żona bardzo bogatego człowieka. Honorowa członkini klubu pierwszych żon.

Kiedy zmieniałam torebkę, weszła Rosa. Nie podniosłam oczu. Powitała mnie wesołym głosem.

- Dzień dobry, Roso - odparłam naumyślnie chłodno. Wiedziałam, że wyjdę na głupią, zarozumiłą wiedźmę, ale nie chciałam jej zachęcać do rozmowy. Nienawidziłam jej obecności w moim domu. Krzątani, konkretnych robót, jej kobiecych kształtów... pomniejszała mnie, sprawiała, że czułam się jeszcze bardziej bez wartości. Chciałam sama sprzątać swój własny dom. Usłyszałam, że zmierza w stronę łazienki.

Otworzyłam szafę i wyjęłam ubrania, które wybrałam na sprzedaż w agencji w Knightsbridge. Były to suknie wieczorowe, w których już raz mnie widziano. Agencja mogła mieć dla mnie czek za poprzednie. Zeszłam na dół, myśląc o Rickym. Chciałam zadzwonić do niego, ale wiedziałam, że nie znosi, kiedy się go budzi przed lunchem.

Gdy wracałam do samochodu po oddaniu ubrań, zawołał do mnie Tonino, właściciel restauracji Montpelliano, grubiutki, wesoły człowiek.

- Ach, signora Delgado, co za piękny dzień! Zapraszam, niech się pani napije ze mną kawy.

Był chłodny, rzeński poranek, Tonino siedział przy stoliku przed restauracją, pił kawę i palił papierosa. Wymówiłam się z grzecznym uśmiechem. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że wszyscy śmieją się ze mnie, jednocześnie się nade mną litując. Uparcie powtarzałam sobie, że to nic. Przecież i tak nie wiedzą wszystkiego. Nie wiedzieli, co mi obiecał Ricky. Tutta la vita. A ja miałam zamiar zmusić go, żeby dotrzymał słowa. Ostatnie lata życia spędzimy na Sycylii, w domu, który dla niego zbudował ojciec. Z naszego balkonu będziemy patrzeć na winnicę, gaje oliwne, biały piasek...

Zrealizowałam czek, który dostałam w agencji, poszłam do fryzjera, na lunch wypitałam w eleganckiej małej kawiarni filiżankę czarnej kawy, a potem chodziłam po sklepach, dopóki nie przyszła pora odebrać dzieci. Był to wolny dzień naszej au pair. Raz w tygodniu sama odbierałam dzieci ze szkoły.

Od razu było widać różnicę między mną a innymi matkami. One spoglądały na mnie bez cienia sympatii. Myślę, że były zazdrosne albo może wyczuły, że nie mam ochoty się z nimi przyjaźnić. Nie zamierzałam uczestniczyć w ich żalostnej paplaninie nad kawą ani wymieniać zabawnych anegdot o naszych mężach.

Dzieci wychodziły już z klas. Inne dzieciaki ociągały się z wyjściem, miały jeszcze jakieś sprawy z kolegami z klasy, moje z miejsca podbiegły do mnie. Bez żadnego wstydu czy zażenowania rzuciły się na mnie i przytuliły się mocno. Inne matki patrzyły z zazdrością. Ciekawe, co ja takiego robię, że dzieci mnie tak kochają. Chciałam im powiedzieć, że sprawa jest bardzo prosta, wręcz banalna. Spragnione bliskości, tulące się dzieci to

227

nie jest wynik dobrego rodzicielstwa, to rezultat regularnego zaniedbywania.

- Chodźcie - mówię moim dzieciom. - Dziś jest poniedziałek. Restauracja tatusia jest dziś zamknięta i może przyjdzie do domu na kolację.

\* \* \*

Elizabeth.

Wychodziłam właśnie do fryzjera, kiedy zadzwoniła Maggie. Była bardzo przejęta i nalegała, żebyśmy się spotkały u Ricky'ego. Chciała mi coś pokazać. Przyszłam tam przed nią. Zastałam Haylee, Angel - prostytutkę o niemilej twarzy, oraz dwóch obcych facetów. Urzędowali na kanapach, już pijani i na haju. Chcieli mnie poczęstować, ale odmówiłam. Kolację miałam jeść w towarzystwie znajomych mułły, a ci dranie Arabowie potrafią wyczuć alkohol na milę.

Usiadłam obok jednego z mężczyzn i zauważyłam, że Haylee, kotka i tygrysica w jednej osobie, przygląda mi się. Wzrokiem badawczym i szyderczym. Nie lubiła mnie. Za plecami nazywała mnie plastikowym manekinem. Jej wrogość była dla mnie zaskoczeniem. Nic złego jej nie zrobiłam. Ricky twierdził, że stanowię dla niej konkurencję i że ona nie może tego znieść. Kompletnie było dla mnie niezrozumiałe, dlaczego miałyby się czuć zagrożona z mojego powodu. Z pewnością była to jedna z najseksowniejszych kobiet pod słońcem, więc jakiegokolwiek poczucie zagrożenia w jej przypadku było czymś zaskakującym.

Kiedyś, gdy we trzy byłyśmy na zakupach, usiłowała mnie namówić, żebym kupiła srebrną sukienkę. Jest to kolor, który niekorzystnie uwydatnia bladość cery, a moja musiała być blada ze względu na mułkę. Uśmiechnęłam się tylko. Pojęłam jad sączący się z niby to niewinnych usteczek. Sukienkę kupiłam, po czym natarłam się kremem brązującym, a wtedy sukienka okazała się idealna. Haylee nadrabiała miną, ale widać było, że jest wściekła.

Podobnie postępowała z innymi. Kiedy dziewczyny przymierzały coś naprawdę pięknego, co im pasowało, mówiła:

- O, ty masz rozstępy na piersiach. Nie szkodzi, można je przecież zamaskować kremem. - Uśmiechała się przy tym jakby

228

bez przekonania do własnych słów. Albo mówiła: „Chyba wolałam cię w zielonej”. A zielona była najgorsza z możliwych. Czasami spotykałyśmy ją na przyjęciu ubraną w sukienkę, którą odradziła którejś z nas.

Wpadła zdyszana Maggie. Usiadła obok mnie, wzięła głęboki oddech i oparła dłoń na moim udzie. Twarz jej promieniała. Spojrzałam na jej rękę.

- O Maggie!... -wykrzyknęłam. -Jest przepiękny.

Szafir z brylantami. Proszę, Boże, proszę - modliłam się -niech nie kryją się w tym żadne ostre rafy. Niech to nie będą puste obietniki.

- A co ty tam masz? - Haylee złapała rękę Maggie, wrywając ją z mojej. - Patrzcie no państwo - oznajmiła głośno, trzymając rękę Maggie w górze, tak żeby wszyscy mogli zobaczyć. - Ktoś chce... - zawiesiła głos dramatycznie - ...ożenić się z Maggie.

Angel pochyliła się, żeby obejrzeć pierścionek.

- Ale numer!

- Gratulacje - uprzejmie powiedzieli nieznanymi mężczyźni. Angel spojrzała na Maggie z twardym błyskiem w oczach.

- Opył to szybko i powiedz, że zgubiłaś. Póki cię kocha, nie spuści ci lania. Poza tym pewnie jest ubezpieczony.

Na pięknej twarzy Haylee pojawił się szyderczy wyraz.

- Czy ty zawsze musisz być taką małą bez serca? Może dlatego, że tobie jakoś nikt nie chce kupić pierścionka.

Angel wzruszyła ramionami.

- Lepiej posłuchaj mnie, Maggie - powiedziała. - Sprzedaj to cholerstwo. Dowiedz się, ile ci dadzą w tym małym żydowskim sklepiku niedaleko Edgware Road. Wiesz, ile będzie za to koki? - Zaśmiała się, gardłowo i tak jakoś dziwnie.

- Pieprz się - rzuciła w jej stronę Haylee.

Wiem, co myślisz, ale pamiętaj, że naprawdę niebezpieczne i jadowite gatunki zwierząt mają jaskrawe ubarwienie. Haylee właśnie taka jest.

- Pozwól, Maggie, na chwilę do kuchni - poprosiłam. Wstała i poszła za mną.

- Kochasz go?

229



- Ach, Beth. Wiesz, że tak.

- Więc obiecaj mi, że nigdy więcej twoja noga nie postanie w tym mieszkaniu.

- Wołami nie zaciągnęliby mnie już do tego okropnego miejsca i tych okropnych ludzi. Kocham go, Beth. Naprawdę go kocham. On wie o wszystkim, a jednak mnie chce.

Przytuliłam ją do siebie i szybko ucałowałam.

- Nie płacz, Beth.

Pociągnęła nosem i ukryła twarz w moich włosach.

- Ciebie też w końcu spotka szczęście. Zobacysz, jeszcze trochę. Niedługo ja będę wkładać kapelusz na twój ślub.

Dlaczego się rozplakałam? Myślałam, że jestem ponad łzy.

- Bądź szczęśliwa, Maggie. Bądź szczęśliwa za mnie - powiedziałam. W tym momencie usłyszałam głos Bruce'a przy drzwiach i cała zeszywniałam. Natychmiast musiałam stamtąd wyjść. - Pójdę już. Idziesz ze mną?

- Tak. Nic tu po mnie.

Wyszliśmy z kuchni. Bruce odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Dokąd to? - spytał.

- Mam się z kimś spotkać - odparłam chłodno i wyszłam. Byłam tchórzem, to prawda, ale wiedziałam, że jeśli nie dopuszczę go bliżej, nie złamię mi serca. Był o wiele bardziej niebezpieczny niż muła. A wiesz, co mi zrobił muła.

\* \* \*

Bruce.

Usiadłem naprzeciwko Haylee. Dwa typki po obu jej stronach uśmiechnęły się kwaśno. Na pewno to oni płacili za alkohol i narkotyki, a oczy aż im się świeciły do Haylee, ale w końcu i tak będą musieli się obejść jakąś starą zdziurą.

- Dokąd poszła Elizabeth? - spytałem Haylee.

- Zdaje się, że do bardzo dobrego fryzjera. Ma ważny wieczór. Zabawia arabskich klientów. - Aż podskoczyłem. Twarz miała niewinną i pozornie szczerą, ale w jej paplaninie kryły się co najmniej dwie trujące strzały. Naprawdę jednak rozdrażniło mnie to, że w oczach tych dwóch obcych facetów Elizabeth wyszła na zwykłą dziwkę. Irytowało mnie również to, że aż skręcało mnie w środku,

żeby jej bronić wobec tych nudziarzy, których i tak guzik to obchodziło. W końcu co mi do tego, jeśli pomyślą sobie, że Elizabeth jest dziwką? Przecież w pewnym sensie nią była.

Wstałem, zbierając się do wyjścia, a wtedy Haylee powiedziała:

- Jak będziesz w Momo's, pozdrów Elizabeth ode mnie. Czego ona znowu się czepia Elizabeth? Aha, Momo's? Trochę posiedziałem w swoim zakładzie, a potem ruszyłem

do Soho. Dawniej sama myśl o Soho wprawiała mnie w zabawowy nastrój. Dzielnica mrocznych, oświetlonych na czerwono bram, gdzie w malowniczych pozach stały na wpół rozebrane kobiety, czekające na klientów, wabiące ich nieprzyzwoitymi propozycjami, oraz barów ze striptizem, w których paskudne striptizerki, gdy tylko trafił się chętny gość, nachalnie pchały mu przed nos swoje spocone wdzięki. Ale Soho się zmieniło.

Gdy homoseksualiści postanowili zawłaszczyć sobie na wyłączny użytek słowo „gej”, mniej więcej w tym samym czasie zaczęli również rościć sobie pretensje do Soho. Dzielnica ta należy teraz do nich. Nakręceni alkoholem i twardymi narkotykami, siedzą i plotkują nad stosami jedzenia w lśniących, urządzonych przez znanych projektantów barach i restauracjach. Powiew orientu mają w postaci obsługi składającej się z młodych chłopców i dziewcząt, ubranych w długie, maskujące kształty ciała chińskie tuniki.

Z dawnych czasów pozostały jedynie prostytutki w bocznych uliczkach, na pierwszym piętrze, w domach bez windy. Wszędzie tam, gdzie na drzwiach napisane jest „modelki”. Wciąż sprzedają ten sam towar, na który stale jest popyt.

Poszedłem na Greek Street do zadymionego baru, gdzie urzędowała grupka zapatrzonych we własny pępek pisarzy, którym cięty, wyrafinowany dowcip służył głównie do niszczenia siebie nawzajem. Powitał mnie mój przyjaciel Ashley, na którego twarzy widać było coraz wyraźniejsze ślady rujnujących zdrowie uciech życia.

- Coś na ukojenie bólu - zwróciłem się do niego.

- Szybki numerek - zaproponował. - Jestem cały twój.

- A bez numerka?

Zaśmiał się z wdziękiem, ukazując cudownie białe zęby, a w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

- No dobra, numerek kiedy indziej. - Postawił przede mną drinka i rozwarł dłoń, pokazując interesująco wyglądające niebieskie pigułki. Bóg raczy wiedzieć, co się po nich działo.

- Dzięki, dziś jestem na płynach.

Wlałem w siebie kilka piw, a potem wzięłem taksówkę do Momo's. Wiem, że to żalosne, ale nie mogłem się powstrzymać. Jeszcze nigdy w życiu tak nie zdzieralem sobie butów, uganiając się za babą.

W ciemno oświetlonym wnętrzu niewybaczalne (ta platyna!) włosy Elizabeth wskazywały drogę jak latarnia morska. Siedziała przy narożnym stoliku z kilkoma Arabami. Nagle coś mnie powstrzymało przed zdradzeniem swojej obecności. Wolałem ukryć się w mroku i obserwować ją w jej świetle. Tak różnym od mojego. Tak odległym. Oczy miała nieruchome i bezlitośnie jasnoszare, przypominające mi łowcę morsów, którego widziałem kiedyś w telewizji. Nie ulegało wątpliwości, że ona też jest łowcą. Idealnie zakamuflowanym i cierpliwie czekającym. Starannie ukryła przed ludzkim wzrokiem naszyjnik, na który nanizowała swoje zdobycze. Z gładkiej kości morsa. Małe rzeźbione zwierzątka z inicjałami nazw na brzuchach. „Nie idź tędy” - krzyczały zwierzęta. „Nie masz najmniejszych szans” - wołały. Był tam niedźwiedź polarny, niegdyś groźny, stojący dumnie na tylnych łapach, dwanaście stóp wysokości, a teraz drobna pamiątka nanizana na sznurek. „Strzeż się łowczyni. Ma serce z lodu i jest głodna” - ostrzegał. Ale polarny miś, choć duży, był głupi. Nieostrożny. A przecież zdarza się, że to zwierzyna pierwsza wypatrzy myśliwego.

W pewnej chwili wstała od stolika i ruszyła w stronę toalet. Błyskawicznie pomknąłem na dół i kiedy zeszła po schodach, czekałem już na nią.

- Cześć, Elizabeth - uśmiechnąłem się.

Wyglądała ekstra w krótkiej białej sukience i obroży z czarnych pereł na szyi, ale minę miała mocno niezadowoloną.

- Cześć, Bruce - odparła krótko i minęłaby mnie bez cienia uśmiechu, gdybym nie złapał jej za rękę.

- Chodź później ze mną na drinka.

232

Chwilę się zastanawiała.

- Dobrze - odparła. - Dokąd? Nie można jej było ufać.

- Znasz bar Mezzanine w Soho? - spytałem, wymieniając całkowicie fikcyjną nazwę.

- Tak. O dwunastej?

- Doskonale. Tylko się nie spóźnij - puściłem jej rękę. Odeszła. Przeskakiwałem po dwa stopnie. Co za suka! Zamierzała wystawić mnie do wiatru. Wróciłem do Ashleya, żeby zaczekać i obmyślić plan działania. Wysączyłem jeszcze kilka piw i wymyśliłem karę. Dziwka jedna. Mimo to nie mogłem powstrzymać uśmiechu na myśl o tym, co mnie czeka.

Tuż przed jedenastą pojechałem taksówką do Momo's.

- Proszę zaczekać - powiedziałem kierowcy i w tym momencie okazało się, że ona właśnie usiłuje wystawić mnie do wiatru. Wyobraź sobie, próbowała złapać akurat moją taksówkę!

Otworzyłem drzwi.

- Zmieniłem plany co do lokalu, więc wróciłem po ciebie. -Chciało mi się śmiać, ale zachowałem śmiertelną powagę.

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że drzemały w niej resztki irlandzkiego poczucia przyzwoitości. Spokojnie wsiadła do taksówki, mówiąc:

- To dobrze. Właśnie miałam do ciebie jechać. Dokąd? Postanowiłem wystawić ją na próbę, a zarazem ukarać, więc

zabrałem ją na spotkanie z kumplami, twardzielami o raczej siermiężnych manierach. Świątowali właśnie wyjście Jelly'ego z więzienia, gdzie siedział za fałszowanie czeków. Taksówka pojechała na East End i zatrzymała się przed niemodnym, obdrapanym pubem. Zauważyłem, że szybko otaksowała wzrokiem swoje eleganckie szmatki, ale kiedy napotkałem jej spojrzenie, oczy miała bez wyrazu, jakby mówiła: mam cię gdzieś. Cała Elizabeth.

Wszyscy się na nią gapili. Paddy ruszył w naszą stronę. Był już niezłe wstawiony i do tej pory pewnie wyleciał z co najmniej trzech pubów.

- No, no, co za miła niespodzianka! - zagaił.

- To Elizabeth. Też jest Irlandką - odparłem.

- Proszę, proszę. A nie mówiłem? Twoje kawalerskie dni są już policzone - stwierdził.

233

Elizabeth nic nie powiedziała. Ja też nie.

- Nie przejmuj się nim za bardzo, Beth - rzekł wylewnie Paddy, ujmując ją pod ramię. - Chodź, poznasz resztę chłopaków.

Zaczęliśmy pijacką zabawę, jeszcze z dawnych lat. Przegrywający wznosi toast i pije sam, a pozostali klaszczą i dopingują. Mrugnąłem do Paddy'ego: zrób tak, żeby Elizabeth jak najczęściej wznosiła toasty. Odmrugnął: masz to jak w banku, chłopie. Ale szybko stało się oczywiste, że ta podstępna spryciara nie ma najmniejszego zamiaru dać się złapać na żadne sztuczki.

Za to ja przez cały czas stałem i wznosiłem toasty: za Paddy'ego, Boneheada, George'a, Jelly'ego, Elizabeth, moją karierę fryzjerską, za Anglię, za Irlandię, za królową, za miliony Anny Nicole Smith, za wszystkie żalosne kurwy z cyckami jak melony, z którymi Paddy miał okoliczność, za motocykl Boneheada. Gdy dotarłem do Myszki Miki czy też Kaczora Donalda, już nie pamiętam, przestałem posyłać Paddy'emu mordercze spojrzenia i od nowa zacząłem wznosić toasty za Paddy'ego, Boneheada i George'a, i Jelly'ego. Byłem załatwiony na amen.

Wnętrze pubu zaczęło wirować. Oj, moja głowa, moja głowa. Chętnie wypiłbym za wszystkie cudowne, znajdujące się na rzeczy dziewczyny, do których nie udało mi się dorwać. Musiałem oprzeć się o ścianę, wznosząc kolejny: za małe pluskwy, które błędnie brałem za przyjaciół. Dopiero gdy stojące za mną krzesło uchroniło mnie przed przewrotką w tył, szczęście nagle się odmieniło. Teraz padło na Elizabeth.

Przyszła kolej na test wytrzymałości. Piła jak kawalerzysta. Elegantka w sukience od znanego projektanta mody i w czarnych perłach przetrzymała w picu moich kumpli. Byli pod wrażeniem. Spodobała im się moja królowa śniegu. Paddy miał łzy dumy w oczach.

- Za dobra, żeby ci ją kto inny sprzątnął sprzed nosa, Bruce -orzekł, klepiąc się po udzie. Jelly bębnił w stół, Bonehead trzymał głowę w dłoniach, a Elizabeth... Elizabeth się zaśmiewała. Boże, jakżeż ona umiała się śmiać!

Żeby skupić na czymś wzrok, wyciągnąłem rękę, chcąc dotknąć lśniących czarnych perł, ale skończyło się to zwaleniem się na stół. Gdy się prostowałem, Paddy mówił coś o pójściu do

234

innego pubu po lekarstwo, ale ja już miałem dosyć. Gdybyż tylko ten cholerny stół przestał się kręcić w kółko!

Facet po drugiej stronie sali robił oczy do Elizabeth. Za sprawą pijackiej logiki wściekłem się na nią. Samolubna kurewka. Gdyby zgodziła się choć raz przespać ze mną, miałbym gdzieś tamtego i jego zapędy. Nie czułbym tego tępego bólu w trzewiach. Co do tego byłem pewien. Przecież to czysto fizyczna reakcja. To tylko żądza, spotęgowana brakiem ujęcia. Ponieważ wyglądało na to, że jej zbroja jest szczelna, należało sprowokować kapitulację. Zapłacić. Na pewno miała swoją cenę. Każdy ją ma.

Byłem tak koncertowo pijany, że nie miało to w ogóle sensu, ale i tak zapytałem:

- Pójdziemy do łóżka?

O dziwo, zareagowała chichotem. Nagle wytrzeźwiała.

- W twoim łóżku jest zbyt tłoczno. A ja potrzebuję spokoju -odparła. Popatrzyłem na nią uważnie. Też musiała być pijana w trzy dupy. Mówiła niewyraźnie i, Jezu Chryste, szczerze.

- Co widzi spokój, kiedy przegląda się w lustrze? - spytałem. Wydało mi się to niezwykle głębokie.

Odpowiedź była natychmiastowa i szokująca.

- Smutek.

- Dlaczego? - Mój głos był obcy, daleki.

- Bo nie ma w nim radości życia.

Spojrzałem na jej twarz, nagle dziwnie bezbronną, i wpadłem w panikę. Ze szczytu swojej niezdobytej wieży wysyłała mi przedziwne sygnały. A ja chciałem jej na ostro, szybko, bez żadnego głębszego zaangażowania się. To nie do końca prawda - podszeptał cichy głosik. Gdzieś we mnie rozdzwiewczał się alarmowy dzwonek. Grunt stawał się niepewny. Na tym terytorium nigdy jeszcze nie byłem. Trochę mną kołysało.

Otworzyłem usta, chcąc zaprotestować, ale ona odwróciła się i poprosiła barmana, żeby jej zamówił taksówkę. Paddy pomógł jej wsiąść. Nad szarymi komunalnymi blokami wstawał świt. Zimne powietrze poranka aż kłuło w płucach. Paddy poklepał mnie z entuzjazmem po plecach. Miałem wrażenie, że młot kowalski wylądował mi na głowie.

- Ostrożnie - błagałem. - Strasznie dawno nie byłem w takim stanie.

235

Doszliśmy do gruchota o dość podejrzenie wyważonych kołach.

- Wskakuj - rzucił.

Sam usiadł za kierownicą. Zbyt źle się czułem, żeby się kłócić. Przez całą drogę powrotną był potwornie cikliwy.

- W całej Irlandii i w całej Anglii nie ma lepszej i piękniejszej dziewczyny niż Elizabeth - rozkliwił się coraz bardziej. - A jak zobaczę cię z jakąś lafiryndą, to tak ci nakopię, że popamiętasz -zapowiedział żarliwie. Paddy chciał mi nakopać? Śmiać mi się chciało, ale ponieważ głowę miałem w takim stanie, jakby już mi ktoś nakopał, więc nawet nie próbowałem.

Ostatecznie film mi się urwał na kanapie Paddy'ego. Moją ostatnią myślą było, czy przypadkiem nie z łez składa się lodowa księżniczka. A biel, którą widziałem, czy to nie słońce kryształowe? Gdzieś z daleka Sherlock Holmes mi zarzucał: „Patrzysz, ale nie widzisz”. Oj, źle się to wszystko mogło skończyć. Martwiło mnie to... trochę.

\* \* \*

Maj 2000.

Anis.

Była niedziela. Obudziłem się wcześnie i poszedłem do salonu, ale za firanką nie było Zeenat czekającej na sikorki. Zastałem ją w kuchni. Stała przed lodówką, trzymając ręce w zamrażalniku.

- Co robisz?

Wyjęła ręce, przyjrzała się z bliska paznokciom i zadowolona z wyników inspekcji, wyciągnęła je w moją stronę.

- Spójrz - powiedziała. - Podoba ci się kolor?

Odcień cynamonu. Niestety mdły, ale zauważyłem, że ona najwyraźniej nie lubi jaskrawych kolorów.

- Mhm, ładny. Nutan zawsze maluje paznokcie na czerwono. Dlaczego ty tak nie robisz?

- Czerwony kolor mnie przeraża. Czasami, gdy przez moment migną mi w lustrze własne paznokcie albo usta, boję się. Wygląda, jakbym krwawiła.

- Naprawdę? - zaśmiałem się. Była taka zabawna, taka nietutejsza.

Przyglądałem się, jak robi kawę. Dotykała wszystkiego ostrożnie poduszczkami palców, a ja w tym momencie zdałem sobie sprawę, ile piękna i delikatności jest w tego rodzaju fizycznym kontakcie z otoczeniem. Mając ograniczoną swobodę ruchów przez mokre jeszcze paznokcie, była tak rozkosznie kobieca. Przyszło mi do głowy, że byłoby pięknie, gdyby zawsze tak się poruszała. Ciekawe, czy to stąd wzięła się moda na krępowanie stóp. Bo mężczyźni uznali, że w kobiecie ograniczonej przez kalectwo tkwi piękno.

- Chodź, spróbuj balijskiej kawy. Znalazłam ją w Camden Town. Pyyyszna.

237

Spróbowałem. „Pyyyszna” balijska kawa była mocna i tak słodka, że aż nie do picia.

- Nie smakuje ci? - spytała z niedowierzaniem.

Na widok szczerzego zdumienia na jej twarzy zacząłem rozważać opcję kłamstwa.

- Może gdyby dać mniej cukru...

- Ale jest pyyyszna właśnie taka. Nie szkodzi. Ja wypiję. -Uśmiechając się, wypita moją również.

Zjedliśmy śniadanie. Ja trochę doskonałego bananowego ciasta i czarny kleisty ryż, który ugotowała, wstawszy o piątej rano, a ona grzanek z marmoladą.

- Uwielbiam to bardzo - powiedziała. - Pyyycha, jak wy to mówicie.

Poszliśmy na targ na Portobello Road.

Niezwykłe się ożywiła na widok podniszczonego bambusowego kosza w kształcie odwróconego dzwonu. Na Bali w takim koszu trzymali koguciki w rodzinnej zagrodzie, żeby zły duch idący do domu zajął się liczeniem dziur w koszu i nie miał czasu zrobić krzywdy ludziom. Kupiliśmy go, żeby chronić mój dom od demonów i złych duchów.

\* \* \*

Ricky.

Pamiętam dzień, w którym przyszli, 3 maja 2000 roku. Był jasny i słoneczny. Kierownik wystawił dwa małe stoliki na dwór -siedziała przy nich jakaś para nad czosnkowym chlebem i szklaneczką wina. Jak tylko weszli do restauracji, powinienem był zadzwonić do Fassa, ale nie zadzwoniłem.

Było ich trzech. Żaden palant nawet się nie uśmiechnął. Trzy tanie garnitury i dwie teczki na trzech. Powinno to było obudzić moją czujność, powinienem był przewidzieć, że będą chcieli się zemścić za mojego złotego roleksa, który pobłyskiwał dyskretnie spod lewego rękawa marynarki od Armaniego. Każdy głupi mógł się domyślić, co tu robią - szakale przyszły ukraść obiad lwu. Ale właśnie nie spałem całe trzy dni, byłem wykończony i na prochach. A kokaina zabija intuicję. Każdy problem wydaje się wtedy świetną okazją do działania, a towarzyszy temu absolutna pewność

murowanego sukcesu. Dlatego dałem się zwieść. Nic złego nie mogło się przecież wydarzyć. Wszystko będzie dobrze. Nawet nie zauważyłem precyzyjnie zgranej akcji zespołowej, tego ich manewru okrążającego.

- Pan Delgado? - przywitał się lider watahy.

- Tak - uśmiechnąłem się.

Jego usta poruszyły się. Był to uśmiech, który mówił: pieprz się.

- Victor Bremner, kontrola watahy. Moi koledzy Colin Cahill i Peter Blather. Chcielibyśmy przejrzeć księgi.

Czujne spojrzenia były o lata świetlne odległe od kobiety inspektora, która czerwieniła się pod moim spojrzeniem i która nauczyła mnie nowych sztuczek. Usta pozostałych panów też się lekko poruszyły. Już zacząłem się przyzwyczajać, że dla nich oznacza to uśmiech, kiedy nagle wszyscy jednocześnie przestali. Jakby mieli to wcześniej przećwiczone.

Powinienem być wtedy zadzwonić do Fassa. Ale jak powiedziałem wcześniej, właśnie dostałem potężnego kokainowego kopa. Dopamina wyczyniała cuda w moim mózgu. Byłem gotów iść z gołymi rękami na grizzly, ścigać się z gepardami...

- Nie ma sprawy - rzuciłem beztróska i zaprowadziłem ich do biura. Wiedziałem wszystko o ich potędze. Mogą nawet przyjść do domu. Nie wolno z nimi igrać. Więc gdy znaleźliśmy się w biurze, powiedziałem: - Jedną chwileczkę, wykonam tylko szybki telefoni.

Zadzwoniłem do Franceski.

- Wyrzuć do śmieci papiery ze wszystkich szuflad po lewej stronie biurka - poleciłem po włosku.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, pan Colin Cahill wyjął z kieszeni marynarki telefon komórkowy. Jego oczy patrzyły zimno i twardo. Krótka szczeknął w słuchawkę:

- Do domu. W pojemniku na śmieci.

Cholerny skurwysyn rozumiał po włosku. Za późno przypomniałem sobie słowa Fassa, że często wysyłają kogoś, kto zna język właściciela kontrolowanej restauracji.

Kardynalna zasada. Złamałem ją. „Ściany mają uszy. Natychmiast zniszczyć wszystko, co może stanowić obciążenie". Obciążające mnie dowody z całego ostatniego roku, typu lipne pokwitowania czy rachunki, leżały sobie beztróska upchnięte do szuflady.

Cholera jasna!

Zadzwoniłem do Fassa, ale warczące szakale już triumfalnie ciągnęły w swoją stronę mój obiad.



\* \* \*

Bruce.

Spotkaliśmy się na lunchu w tajskiej restauracji przy Fulham Road.

Miała na sobie kremową jedwabną bluzkę i zgrabną czarną spódniczkę. Nie wiedzieć czemu, byłem mocno zdenerwowany. Zamówiłem podwójny gin z tonikiem.

- Poproszę to samo - powiedziała do kelnerki. Uniosła brwi pytająco.

Cholera, gapiałem się na nią jak idiota. Gdzie moja słynna umiejętność usypiania czujności?

- Czy chcesz, żebym ci zrobił włosy? - spytałem.

- A co byś z nimi zrobił?

Sięgnąłem przez stół, wziąłem do ręki koszmarną platynę i przesunąłem pasmo w palcach. W ostrym świetle były niemal białe. Miałem co do nich pewne plany.

- Dlaczego akurat taki kolor? - spytałem.

- Bliskowschodni kaprys. Biała skóra, blond włosy.

- Kim jest mężczyzna, który zmienia to, co idealne? Spojrzała na mnie dziwnie i, jak pomyślałem, ze smutkiem.

- Idealne? To straszne.

- Nie cieszysz się, że jesteś idealnie piękna?

- Nie wiesz, że w naturze człowieka leży niszczenie tego, co idealne? Że pragnie tego, co upadłe? Zachwyca nas niedoskonałość, skaza, ruiny zamaskowane pnączem. Nasza własna niedoskonałość czerpie pociechę z wiedzy, że gdzieś tam, ukryte przed ludzkim okiem, są obszary zniszczenia.

- Ja ciebie nie zniszczę.

Spojrzała na mnie, jakbym powiedział coś głupiego.

- Nie będziesz miał okazji. Widziałam, że się zbliżasz, i kiedy byłeś jeszcze zaledwie pyłkiem na horyzoncie, ja już byłam ostrożna.

Ktoś musiał ją bardzo zranić.

240

Przyszła kelnerka z naszymi drinkami. Czy już możemy zamówić?

- Proszę nam dać jeszcze kilka minut - powiedziałem jej.

- A co takiego we mnie zobaczyłaś, że byłaś taka ostrożna? Podniosła szklanę.

- Napalonego kocura. -Au!

- Posłuchaj. Zgodziłam się zjeść z tobą lunch, aby ci powiedzieć, żebyś dał mi spokój. Po prostu nie jestem zainteresowana. Nie jesteś w moim typie. Mam już jednego kochanka. Drugi mi niepotrzebny.  
- Jej czyste szare oczy były całkowicie pozbawione ekspresji, jakby dobrze przeciwoczyła swoją kwestię i wygłosiła ją wcześniej setki razy. Podniosła rękę i skinęła na kelnerkę.

Kelnerka podeszła.

- Poproszę kleisty ryż, zielone curry z kurczaka, rybę z imbirem i smażone warzywa. - Spojrzała na mnie. - A ty co zamawiasz?

\* \* \*

Ricky.

Kurwa, kurwa mać! Co za gówniany miesiąc! Zjawił się brat Cosmosa z wiadomością, że Cosmos wpadł. Gliny go przyfilowały, jak rozbijał się nową bryką i szastał pieniędzmi na prawo i lewo. Jest skończony, capnęli go z towarem i z pieniędzmi. Miał sejf depozytowy w Saint John's Wood. Najpierw robił zakupy w centrum Europy, a stamtąd szedł do depozytu i strzelał podmiankę. Cholerny dureń wychodził z reklamówkami Europy, po sześć, siedem kilo koki w każdej.

Jak go zgarniali, zablokowali całe St John's Wood. Palant jeden od razu się domyślił, jak tylko zobaczył, że idą w jego stronę. Uderzył się w czoło, że niby czegoś zapomniał, i zawrócił. Ale było już za późno. Otoczyli go z piskiem opon, razem kilkudziesięciu gliniarzy. Powalili go na ziemię. Dranie zgarnęli wszystko. Biedny gnojek udupiony jest na dłuższy czas. Zostawił mnie po uszy w gównie. Trzeba było szukać nowego dostawcy. Na razie musiałem skorzystać z usług tego skąpego portugalskiego sukinsyna z Chelsea.

241

Bruce

Ricky i ja pojechaliśmy załatwić sprawy z jakimś Charliem. Nowy facet z Edynburga. Na twarzy i na szyi miał wytatuowanego wielkiego smoka ziejącego ogniem. Totalny luzak. Siedział sobie w restauracji przy oknie i sprzedawał kokę pod stolikiem. Dosiedliśmy się.

Obok przeszła dziewczyna. Flądrowata. Ricky nie mógł wytrzymać, żeby się nie popisać.

- Futro i brudne majtki - skomentował.

W twardych oczach dealera pojawił się błysk rozbawienia.

- Futro i bez majtek - poprawił. Był to moment jak z filmu. Zaśmiałem się, lody zostały przełamane. W końcu dał nam

tabletki ekstazy na koszt firmy, jego babcia robiła je w swoim garażu. Kurwa mać! Mało nam łba nie urwało.

\* \* \*

Ricky.

Znalazłem nowego dostawcę. Zaproponował spotkanie w cichym pasażu. Do kurwy nędzy, trzeba to było widzieć. Włoch, niemówiący ani słowa po angielsku i z wielkim brudnym plecakiem na grzbiecie, zupełnie jak menel, ale kiedy weszliśmy do mieszkania i opróżnił worek, posypał się deszcz koki, setki tabletek ekstazy, viagra, paczuski z marihuaną i strumienie LSD. Na stole leżało, lekko licząc, pięćdziesiąt tysięcy funtów. Przed telewizorem siedziało paru wytatuowanych byczków, wykazujących całkowitą obojętność. Zbierali dla niego płatności, a on im dawał narkotyki.

\* \* \*

Bruce.

W lustrze napotkałem oczy Elizabeth, kocie i nieprzeniknione.

- Podoba ci się? - spytałem, w pełni świadom, jak bardzo pragnę, żeby była zadowolona. Naturalnie ten obcy mi dotąd sentymentalizm dosyć mnie przerażał. Jakbym był jednym z tych palantów, z którymi się kurwiła. Kukielki na drucie, podskakujące,

242

żeby jej sprawić przyjemność. Ode mnie nie doczeka się posłuszeństwa. Wreszcie opracowałem skuteczny plan działania. I sprytny. Aż taka cwana to ona na pewno nie będzie.

- Tak, ślicznie - posłała mi zimny, profesjonalny uśmiech. Odpowiedziałem jej uśmiechem i na koniec rozłożyłem nawoskowanymi palcami kilka pasemek wokół policzków i podbródka. Niestety, absolutnie nic nie pozwoliła mi zrobić z tym ohydny kolorem. Ale mimo to byłem z siebie zadowolony. Dobra robota. W końcu nie dostaje się tytułu fryzjera roku za nic.

Przysunąłem bliżej twarz, tak że znalazła się tuż obok niej. Tak blisko, że nasze policzki prawie się stykały. Jej włosy pachniały szamponem, woskiem i lakierem. A do biednego fryzjera dotarło nagle, że

ten zapach przyprawia go o zawrót głowy. Spokojnie patrzyła na mnie w lustrze, starając się przejrzeć moje plany, ale ja dobrze skrywałem swoje nieczne zamiary. Och, ta przyjemność, przyjemność brania bez proszenia.

- Chcesz działkę?

Jasnoszare oczy były wyraźnie zadowolone z tej propozycji.

- Zaczekaj chwilę.

Była siedemnasta trzydzieści w poniedziałek. Nie miałem zapisanych więcej klientek na ten dzień. Poszedłem na zaplecze i kazałem plotkującym pomocnicom iść do domu. Spojrzały po sobie z wyraźnym zdumieniem. Takie zachowanie z mojej strony było im nieznanym, ale nie skomentowały. Z zadowoleniem spakowały małe przezroczyste plastikowe torebki i wyszły tylnym wyjściem. Zamknąłem za nimi drzwi. Ich wesoły śmiech oddalał się coraz bardziej. Poszedłem do salonu zawołać Elizabeth. Żwawo zerwała się z fotela i weszła za mną do pomieszczenia na zapleczu. Tutaj klientkom myło się włosy, a łakome dziewczynki miały dostać to, na co zasłużyły. Otworzyłem paczuszkę. Elizabeth usiadła na brzeжку krzesła. Była bardzo cicha. Jeszcze jeden powód, dla którego ją lubiłem. Nie ma strachu, że zaraz się zacznie mielenie ozorem. Znała wartość ciszy.

Zrobiłem dwie białe linie na pseudogranitowym blacie, zwinąłem banknot w rurkę i podałem Elizabeth, nie spuszczać z niej oka. Gdy pochylała się nad białą kreską, srebrna fala opadła i zastoniła jej twarz.

243

Oddała mi banknot. Nasze palce nawet się przy tym nie dotknęły. Wyczyściłem blat do końca. Usiedliśmy w czarnych skórzanych fotelach, stojących naprzeciw siebie. Uśmiechnięci przeciwnicy. Ja uśmiechałem się, żeby ukryć moje plany, ona - żeby ukryć swoje myśli. Podobało mi się to, że nie zrobiła tego, do czego każda kobieta czuje się zobowiązana, kiedy koka jest za darmo, i nie pochwaliła towaru, że jest „dobry”.

- Opowiedz mi o sobie - zachęciłem ją. To było wprost niewiarygodne, jak bardzo mnie ciekawiła. Zamknęła oczy. Była jak malowidło aborygenów. Abstrakcyjna i płytka dla przypadkowego turysty, a tak naprawdę pole minowe ukrytych sygnałów. Dokoła szarych oczu wypatrzyłem jasne plamki. Pasowały do jej urody. Byłaby dobrym obrazem. Otworzyła oczy i przytapała mnie na przyglądaniu się jej. Jej usta drgnęły w leciutkim rozbawieniu. W tym była naprawdę dobra, w emocjonalnej przemocy. W czystej pogardzie. Jak już ją zdobędę, zblednie, rozmyje się i nie będzie mi więcej w nocy pulsować w żyłach.

- Co chcesz wiedzieć? - Jedna brew się uniosła.

- Wszystko - odparłem. Rozpoczęła się gra.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- A może od „Wpadnij kiedyś do mnie na górę”? - zaproponowałem.

- Aaa, Mae West i jej słynne powiedzenia\*.

[\* Kwestia z filmu „Lady Lou” („She Done Him Wrong”) z 1933 roku].

A wiesz, co się stanie, jak usuniesz słowo „na górę”?

Spróbowałem. „Wpadnij kiedyś do mnie”. Miała rację. Kiedy przestały istnieć schody, zniknął również idący po nich w górę mężczyzna, a także olśniewająca piękność w negliżu, czekająca za drzwiami.

Wtedy powiedziała coś dziwnego.

- Coś ci powiem po znajomości. Rzucę cię przy pierwszej okazji.

Spojrzałem na nią szybko.

Zaśmiała się, obserwując wyraz mojej twarzy, a śmiech jej rozległ się głośnym echem w wyłożonym kafelkami pomieszczeniu.

244

- Spokojnie. To tylko kolejna perełka z repertuaru madame West.

Bycie sam na sam z Elizabeth na zapleczu salonu fryzjerskiego okazało się dziwnie radosnym przeżyciem. Wyluzowałem się. Nowy dostawca Ricky'ego był rzeczywiście dobry. Nazywał swój towar „macicą perłową”. Udało mi się położyć na nim łapę, nim Ricky go pociął i uzdatnił po swojemu. Buzował przyjemnie w żyłach i sprawiał, iż czułem się niezwykły.

Poszedłem do małej kuchenki. Nadszedł czas zrealizować plan. Z małej fiolki ukrytej za grzejnikiem wyjąłem dwie białe tabletki. Ecstasy. Szybko pokruszyłem je i zmieszałem z koką. Wróciłem, trzymając w ręku torebkę, której zawartość wyglądała niewinnie. Jak koka.

- Jeszcze jest trochę - powiedziałem.

Musiałem się nieco nagimnastykować, ale w końcu tylko Elizabeth wciągnęła doprawioną działkę.

- To nie to samo, co przedtem? - spytała.

- To samiuteńko - odparłem, patrząc prosto w jej pytające oczy. Dobrze umiem kłamać. - Dlaczego pytasz? - spytałem niewinnie. •

- Jest jakby trochę inne. Ostrzej daje w nos i trochę bardziej gorzkie.

- Tak ci się tylko wydaje - zapewniłem, przesuwając palcem po jej policzku. Niedługo jej źrenice staną się ogromne, a skóra bardziej wrażliwa na dotyk. Niedługo, już niedługo...

Jak skończy drugą paczuszkę.

- Wiesz, mam wrażenie, jakbym znała cię od zawsze - powiedziała, opierając policzek na mojej ręce.

- Ja też - zgodziłem się gładko.

- To naprawdę dobre, ale czuję się trochę dziwnie. Obiema rękami uniosła włosy znad karku i przytrzymała je

w górze. Mam cię! To wyraźne zaproszenie. Pozostawał ostatni ruch. Ta sztuczka nigdy nie zawodziła, nawet w przypadku zupełnie obcych dziewczyn w klubie. Pierwsze gramy na koszt firmy, reszta u mnie. Podniosłem do góry wachlarz złożony z trzech pakiecików.

- Mam zamiar wziąć resztę w domu. Jedziesz ze mną?

- Nie, wezwij mi taksówkę - powiedziała. Jej twarz była pusta.

245

„Powiem ci coś po znajomości. Rzucę cię przy pierwszej okazji”. Patrzyłem na nią z niedowierzaniem. Była niesamowita. Ta kobieta była niesamowita. Nawet najzimniejsza, najbardziej sprzedajna suka prześpi się z tobą, kiedy nawącha się tyle twojej koki, co Elizabeth. A ta kobieta nie dawała nic w zamian. To było absolutnie niepojęte. Jak ona to robiła? Byliśmy marionetkami w jej ręku. Pociągała za sznurki, a my tańczyliśmy, jak nam zagrała. Byłem wściekły, ale nie dałem nic po sobie poznać. Z obojętną twarzą wezwałem jej taksówkę i nawet, kurwa, za nią zapłaciłem.

Szansa pieprzenia się z Elizabeth oddalała się coraz bardziej, podobnie jak było z kradzieżą rybek naszej sąsiadki, grubej Mary. Wciąż mam w uszach jej piskliwy głos: „Czy ty kradniesz moje ryby, Bruce?”. Nurkowałem za krzakami, przeskakiwałem przez niski murek, a po drugiej stronie czekała na mnie matka z rękami założonymi na chudej piersi. „Odłóż natychmiast te ryby”. A ja znowu przełaziłem przez mur i wypuszczałem ryby, podczas gdy okrągła biała twarz grubej Mary przyglądała mi się z okna.

Kiedy taksówka odjeżdżała, miała jeszcze czelność mi pomachać.

Suka. Mając wszystkiego powyżej uszu, otworzyłem pakieciki. Jeden, drugi i trzeci. Czas płynął. Rozdzwonił się telefon. Chciałem go olać, ale dzwonił tyle razy, że w końcu odebrałem. To była Elizabeth.

- Bruce - dyszała w słuchawkę. - Co myśmy brali za świństwo? Czuję się fatalnie. Chyba zaraz zwymiotuję. Mój Boże, jakoś ciemno robi się w pokoju. Jezu!...

Usłyszałem głuchy stuk i w słuchawce zapadła cisza. Gapiłem się na nią idiotycznie. Po jakimś czasie dotarło. Cholera! Wpadłem w popłoch. Nie wiedziałem nawet, gdzie ona mieszka. W panice zadzwoniłem do Ricky'ego, ale miał wyłączoną komórkę i nie było go w żadnej z jego restauracji. Zostawiłem mu wiadomość, złapałem marynarkę i wybiegłem w noc. Mieszkanie Ricky'ego zastałem puste. Nie było nikogo. Byłem coraz bardziej przerażony, ale nic nie mogłem zrobić. Mogłem jedynie czekać, czekać na powrót kogoś, kto wie, gdzie ona mieszka. Ale to był poniedziałek, a nikt nigdy nie przychodził w poniedziałki.

246

Na stole stała butelka rumu. Wziąłem ją bezmyślnie, odruchowo. Absolutnie nic nie mogłem zrobić. To niewiarygodne, że nikt nie wiedział, gdzie mieszka Elizabeth. Rum był słodki i mdły, chodziłem nerwowo po pokoju i piłem. Cały czas miałem w uszach jej głos: „Jakoś ciemno robi się w pokoju. Jezu!”. I ten okropny, głuchy stuk.

„Kurwa, co ja narobiłem?!”. Ludzie umierali napuchnięci i krwawiący po wzięciu jednej tabletki ecstasy. Ręce mi się trzęsły. „Kurwa, kurwa mać!”. Nie mogłem uwierzyć, że zrobiłem coś tak głupiego. Jak mogłem to zrobić Elizabeth? Mój Boże, jeśli cokolwiek się jej stanie...

Ze strachu wlałem w siebie całą butelkę. Minęła godzina. Leżałem na kanapie i gdy odwróciłem głowę, zobaczyłem pod stołem butelkę wódki. Godzina minęła z przyprawiającą o męki powolnością. Wypiłem całą. Dobrałem się do zapasów whisky Ricky'ego. Ustawiłem butelki w szeregu i zacząłem pić. Tym razem na poważnie. Przytomność straciłem w połowie butelki brandy używanej do gotowania.

Ricky potrząsnął mną gwałtownie.

- Co chciałeś? Czemuś mnie ścigał?

- Ty cholerny draniu! Dawno zostawiłem ci wiadomość -skrzeknąłem w oszołomieniu. Przecież mówiłem wyraźnie, że to bardzo pilne.

- Nigdy nie oddzwaniam, chyba że to dostawca albo ekstra dymanko.

- Szybko, musimy jechać do Elizabeth. Dałem jej kilka tabletek ecstasy i zdaje się, że jej zaszkodziły. Musimy do niej pojechać.

- Właśnie widziałem się z Elizabeth - odparł ze śmiechem. -Naprawa jak dzięcioł siedziała przy stoliku z ważnymi szwedzkimi biznesmenami. Dobrze, kurwa, wychowani, wstawali za każdym razem, jak szła do kibla. A wiesz, ile razy Elizabeth potrafi pójść do kibla.

-Tabletki...

- Nie wiedziałeś, że może tyknąć nawet piętnaście w jeden wieczór? Spryciułka z niej.

Patrzyłem na niego z głupią miną.

- Ale przecież dzwoniła do mnie...

247

- Zasłużyłeś sobie - oświadczył, ściągając marynarkę i ruszając w górę po schodach. - Jestem totalnie upierdzielony.

Spojrzałem na własne ręce. Zwisły bezwładnie. Mój Boże, zakochałem się w strasznej cholercze.

\* \* \*

Elizabeth.

Zadzwoiłam do Maggie, ale nie mogła rozmawiać. Powiedziała, że znalazła w wannie pająka wielkiego jak dłoń i że próbuje wsadzić go do pudełka, żeby nie zrobić mu krzywdy. Odłożyłam słuchawkę, uśmiechając się. Sprawiała wrażenie szczęśliwej i, jak zwykle, strasznie przesadzała. Gdyby powiedziała, że facet przy Park Lane usiłował ją zamordować, prawdopodobnie okazałoby się, że po prostu chciał ją spytać o drogę. Zastanawiałam się, jak naprawdę wielki jest ten pająk, kiedy zadzwonił Bruce.

- O, nasz bohater - powiedziałam.

Przez chwilę panowała cisza, nabrzmiała zażenowaniem i wściekłością, ale w końcu zaśmiał się i powiedział:

- Jasna cholera, przyznaję, moja wina. Mogłem cię wczoraj zabić. Wybaczysz mi?

Teraz ja się zaśmiałam. No i jak tu mieć do niego pretensje? Omal przeze mnie nie dostał ataku serca. To rozpaczliwe wydzwanianie. Zaskoczył nas tym, Ricky'ego i mnie. W życiu by nam do głowy nie przyszło, że ma aż tak wrażliwe serduszko.

- Następnym razem weź truciznę na szczury. Skuteczniejsza - powiedziałam i to go rozśmieszyło.

Zaprosił mnie na kolację. Powiedział, że to w ramach przeprosin za to, że był takim kretynem.

Czułam się naprawdę marnie po poprzednim wieczorze, więc zrobiłam coś, czego nie powinnam była robić. Zgodziłam się. Nie, to kłamstwo. Tak naprawdę zaczęłam tęsknić do jego widoku, do silnych, szerokich ramion, do oczu wpatrzonych we mnie jak w tęczę. Mmm, i ten dołeczek. Tak, zdecydowanie ten dołeczek. Nie wiem, skąd mi się to brało, ale przy nim blisko czułam się bezpieczna. Chciałam przyjąć jego propozycję, więc ją przyjąłam. Mimo to w głębi duszy żałowałam pochopnej decyzji.

248

Ten mężczyzna miał taką moc, że mógł mnie zranić. On nie chciał mnie. Nie mnie prawdziwej. Był powierzchowny, pragnął tylko fizycznej doskonałości. Widział we mnie baśniowego duszka i wymyślił sobie, że na chwilę straci głowę dla jego wdzięku. Nie byłam duszkiem z bajki, jak to sobie wyobrażał. Nie wolno było dopuścić, żeby mnie zdobył. To nie był mężczyzna dla mnie. Natychmiast by odszedł, gdyby tylko dowiedział się prawdy o mnie. Gdyby poznał mój sekret. Nauka nie poszła w las. Nie wolno ufać mężczyznom.

\* \* \*

Czerwiec 2000.

Nutan.



Obudziłam się, drżąc cała. Było jeszcze ciemno. Włączyłam światło. W łóżku byliśmy tylko we dwie z Zeenat, ale wcześniej przyszedł jasny wąż. Wiedziałam na pewno, że to on. Czułam, jak opiera się ciężko na moich plecach, a jego rozdwojony język poruszał się w moim uchu, jednak nie rozumiałam jego mowy.

Dopóki niebo nie pojaśniało, nasłuchiwałam oddechu leżącej obok mnie siostry. Te odwiedziny to było albo ostrzeżenie, albo może coś złego działo się ze mną. W głowie czułam pulsujący ból.

Nie mogłam zasnąć, więc usiadłam i napisałam do Nenek. Opowiedziałam jej o bólu. Poczta szła tak długo, że mogą upłynąć nawet dwa miesiące, zanim nadejdzie odpowiedź. Gdy Zeenat się obudziła, ból był tak silny, że powiedziałam jej, aby poszła do pracy beze mnie.

- Chcesz iść do szpitala? - spytała Zeenat.

- Nie - odparłam. - Pewnie za ostro balowałam, i za długo. Wyślij list, a po pracy wpadnij do mieszkania Ricky'ego po moje kolczyki, te złote. Zostawiłam je w sypialni na górze. Chyba w szufladzie albo przy łóżku. Jeśli dziś się ich nie zabierze, ktoś może je ukraść.

- Dobrze. Spróbuję zajrzeć tu podczas przerwy, żeby sprawdzić, jak się czujesz, chyba że szef mi nie pozwoli. Będzie mało personelu bez ciebie.

- Dobrze. To i tak pewnie nic poważnego.

Ale o drugiej po południu ból tak się nasilił, że zaczęłam płakać.

250

\* \* \*

Ricky.

Była druga godzina. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale gdy siedziałem w ciszy w gabinecie, nagle poczułem się tak, jakby mnie coś ściągało w dół. Sprawy kiepsko stały. Czyżby przecucie katastrofy? A tam, pieprzyć to. Poderwałem się gwałtownie. Nic z tego, nie dam się. Nie mogłem sobie jednak znaleźć miejsca, więc otworzyłem szufladę, gdzie miałem trochę tabletek LSD. Ich działanie zarekomendowano mi jako „odlotowe” i „genialne”. Łyknąłem cztery, do tego dwie aspiryny i położyłem się.

Kiedy otworzyłem oczy, po niebie leciały piękne różowe flamingi. Uśmiechnąłem się na ten widok. Na ścianie, w ledwo widocznym rozdarciu tapety, uchylały się lekko małe drzwiczki. Ciemne, tajemnicze i przyzywające. Nie miałem cienia wątpliwości, że są to drzwi do ukrytego świata. Mogłem przez nie przejść tylko w głowie i tylko z czystym, nieskrępowanym niczym umysłem. Dobiegł mnie jakiś dźwięk, więc odwróciłem głowę od coraz Szerzej otwierających się drzwi i ujrzałem stojące przy biurku dwie młodsze córeczki.

- Co robisz, tatusiu? - spytały.

Śliczne stworzonka, te moje dzieciaczki. Szkoda, że ich wtedy nie widziałaś. Aniołki, kurwa. Piękne jak małe jasne światełka rozświetlające pokój. Jedna, gdy miała trzy latka, wierzyła święcie, że makaron w kształcie motyli robi się z motyli, i bardzo długo nie chciała go jeść. W przebłytku przytomności rozczuliłem się, postrzegając w nich kontynuację mnie samego. Ponieważ chciałem to zobaczyć, więc zobaczyłem: krew płynącą w ich żyłach. Moją krew. W ciele z mego ciała. Zalała mnie ciepła fala opiekuńczych uczuć. Oddałbym za nie życie, i to bez wahania. W tym momencie zdecydowałem, że koniecznie trzeba podzielić się z nimi moim odkryciem. Powiedziałem im o drzwiach, a jasne twarzyczki przysunęły się ciekawie do rozdarcia w tapecie.

- Tu nic nie ma, tatusiu! - zawołały zgodnym chórem.

Spojrzałem na ścianę. Otwór wciąż się powiększał. Już prawie mógłby się przezeń przecisnąć dorosły człowiek. Trzeba się pośpieszyć, inaczej stracimy jedyną okazję. Oczywiście, żeby tam wejść, one też muszą wziąć LSD. Szybciej, dzieci. Musicie do mnie dołączyć.

251

Ale świetna zabawa! Tylko my we troje.

Razem odkryjemy sekrety innego świata. Otworzyłem szufladę. Wyjąłem dwie tabletki i kazałem dziewczynkom otworzyć buzie. Natychmiast ich śliczne usteczka rozwarły się jak różowe kwiatuszki. W środku bardzo czerwone i bardzo głębokie. To też byłem ja, tam w środku. Wyciągnąłem ręce nad ich buziami.

- Gotowe? - spytałem.

- Gotowe! - zawołały, podniecone nową zabawą.

- Ricky! - To krzyczała kobieta. Jej głos był daleki, ale ostry i niecierpliwy. Moje ręce znieruchomiały. Różowe kwiatki zamknęły się. Moje córki odwróciły się w stronę swojej matki.

- Dziewczynki, idźcie na górę - poleciła.

- Ale!... - zawołały rozczarowanymi głosikami.

- Powiedziałam: IDŹCIE NA GÓRĘ. - Kiedy słyszałem, żeby była taka stanowcza? Nigdy.

Poszły ze spuszczonej głowami i nadąsanymi buziami.

Wolno odwróciłem głowę. Wiedziałem, że postąpiłem źle.

Poczułem, że krew mi odpływa i coś zaczęło gorączkowo drapać w mojej głowie. Kurwa, co ja narobiłem? Równie nagle mój mózg stracił dotychczasową ostrość widzenia i zaczął się rozpylić. Całkiem przyjemnie. Pokój wydawał się wielkim przedszkolem. Stała otulona w niebieski orientalny jedwab, długie loki były mokre po prysznicu. Wyprostuje je podczas suszenia. Pomyślałem sobie wtedy, że chyba wolę loki. Nienawidziła ich. Tyle wiedziałem na pewno. Stała jak skamieniała, na nogach miała drewniane japońskie sandały. Tylko patrzyła i najwyraźniej była w szoku. Przez

uchylone tarasowe okno wpadł łagodny powiew wiatru i uniósł, a potem porzucił już prawie suche loki przy jej policzkach.

Starałem się usilnie skupić wzrok na jej twarzy. Musiałem koniecznie przypomnieć sobie coś, co wyleciało mi z pamięci. To śmieszne, ale byłem w większym szoku niż ona. Mój mózg po prostu odmówił współpracy. Zamiast niej widziałem piękny posąg. Skóra lśniła gładko, była idealna, godna pożądania. Czy to ją uratowałem w opuszczonej podziemnej świątyni? Wszystko już mi się myliło.

- Czy to ty? - spytałem.

Otworzyła usta, jakby przebudziła się z długiego snu. Choć nie słyszałem słów, rozumiałem, że nie jest to moja pączęca bogini. Nie ten głos. Słodszy, o wiele słodszy. To inna kobieta. Przypominała mi kogoś, kogo bardzo dobrze znałem. Przyjrzałem się jej z jeszcze większą uwagą. Tak, znałem ją. No przecież, to matka tych cudownych dzieci.

- Francesca?

Za kilka lat - pomyślałem otępiąły - będzie wyglądała jak jej matka, ociężała i powolna, o udach usianych brzydkimi dołkami, odznaczającymi się nawet przez materiał sukienki, ale w tym momencie była to jeszcze Gioconda Leonarda da Vinci, Mona Lisa.

Z nieśmiałym, tajemniczym uśmiechem. Tak rozkosznie zagadkowym, że aż ten genialny gej musiał ją namalować. Średniowieczne oczy lśniły od wstrzymywanych łez, ręce miała opuszczone bezradnie. Nie, nie posąg, raczej martwe ciało. Ale z kolei usta temu zaprzeczały, poruszały się, mówiły coś. W takim razie jest żywa. Usiłowałem skupić się na jej głosie. Dowiedzieć się czegoś.

- Tam, pod drzewem oliwnym, to z twojego powodu płakałam - mówiła.

Nawet tkwiąc tak mocno w szponach narkotyku, od razu zrozumiałem, o co chodzi. To koniec. Gra skończona. Chciała odejść. Utrata jej była prawdziwym szokiem. Po tych wszystkich latach i wszystkich kłamstwach, do których przełknięcia z taką niechęcią się zmuszała, wreszcie była gotowa odgwizdać fajrant.

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Pewnym krokiem, trzymając głowę uniesioną do góry. Tym razem naprawdę posunąłem się za daleko. Spojrzałem na ścianę.

O... D... L... O... T... Przecież były drzwi w ścianie, kiedy tu wszedłem...

Spiesznie wybiegłem z domu.

To niemożliwe. To nie było możliwe. W głowie mi wirowało. Z przerażeniem spojrzałem na własne stopy. Przecież byłem na bosaka. Zamrugąłem i spojrzałem ponownie. A teraz miałem buty na nogach.

O...D...L... O...T...

253

Boże, potykałem się, i to strasznie. Szedłem. I szedłem. Miałem wrażenie, że idę tak od wielu godzin. Wąskimi zaułkami. Jakbym nie był w Londynie, ale w Singapurze czy Bombaju albo w Bronksie.

Czasami musiałem przestępować wielkie szczury i tłuste zwinięte liny, jakie często leżą w porcie. Raz minąłem mężczyznę stojącego pod staroświecką uliczną latarnią, pobrzękującego monetami w kieszeni. Uchylił kapelusza na mój widok. W innym kręgu światła zobaczyłem piękną kobietę o długich czarnych włosach. Miała taki sam czerwony, zdobiony laką kaftan jak chińska cesarzowa w książce do historii. Chwiejnym krokiem podszedłem do niej, a ona uśmiechnęła się i rozpięła szatę. Nie miała pod spodem nic, jej ciało było długie, wąskie i idealne, ale nie wiedzieć czemu nagle ogarnęło mnie przerażenie. Szarpnąłem się i uciekłem. Słyszałem jej szyderczy śmiech goniący za mną w ciemnościach.

Wreszcie chyba wróciłem we właściwe czasy. Minąłem pub, gdzie dosłownie każdy z gości siedzących na dworze odwrócił się i patrzył na mnie zimnymi, nieprzyjaznymi oczami. Odszedłem stamtąd, zataczając się. To tylko paranoja. Moja własna. Byłem brudny i nieświeży. To wiedziałem doskonale.

Cholera, trzeba się dostać do mieszkania. Dwie godziny błądziłem. Chodziłem w kółko. W końcu działanie LSD osłabło. Momenty przytomności stawały się coraz częstsze. Otworzyłem oczy i okazało się, że siedzę na pętli autobusowej na Victorii. Zatrzymałem taksówkę i pojechałem do mieszkania.

\* \* \*

Francesca.

Słyszałam, jak wyszedł. Wybiegł w hańbie. Niech sobie idzie. Nie był już mój, to nie ten piękny adonis, którego kiedyś bez pamięci czytałam. Dobrze mu się dzisiaj przyjrzałam. Spasiony, wulgarny. Rozbiegane oczka gnijące w coraz to bardziej zniszczonej twarzy. Chciałam go takiego, jaki był w momencie poznania, ale mój Ricky umarł wiele lat temu. Kim był ten podły potwór? Tutta la vita, Ricky? Nad kanałami pociemniało. Czarna woda lśniła ponuro. Czas kazać gondolierowi przestać wiosłować. Najwyższy.

254

Zdaje się, że powinnam była odejść już dawno temu. Najlepiej tego dnia, kiedy w kieszeni jego spodni znalazłam równiutką, zgrabną paczuszkę. Byłam wtedy dzieckiem i jak dziecko najpierw dotknęłam palcem białego proszku w środku, a potem wzięłam odrobinę na czubek języka. Smakowało jak tabletki przeciwbólowe, ale szybko rozpoczęło się odrętwiające działanie. Od tamtej pory ogarniała mnie coraz większa drętwość. Po jego wyjściu siedziałam na łóżku, też nie czując nic. Ani smutku, ani goryczy, ani nawet złości. Absolutnie, zupełnie nic a nic.

Weszły dzieci. Były na mnie złe.

- To przez ciebie tatuś poszedł - oskarżały mnie. To oczywiste, że go kochały. Jak nie kochać tatusia, który wychodząc do pracy, całuje przy drzwiach i mówi, mrugając porozumiewawczo, nie że masz być bardzo grzeczna, ale że masz być niegrzeczna, jak tylko się da. Był ich bohaterem.

Jak on mógł? Jak to możliwe, że chciał zatruć własne ciało i krew? Co mu się stało?

Uważaj, gdy wymawiasz życzenie. Bo może się spełnić.

To prawda, dawno temu bardzo chciałam, żeby Ricky był moim mężem. Skąd miałam wiedzieć, do czego mnie to doprowadzi? Tu cichy głosik w mojej głowie powiedział: „Przestań udawać”. Nawet gdybym wcześniej poznała prawdę, moje serce, które tak rozpaczliwie pragnęło kochać, zdławiłoby całkowicie instynkt ucieczki, każąc udawać, że wszystko jest w porządku. Ale przecież głowa, pozbawiona tej potrzeby miłości, od dawna wiedziała, że taki dzień nadejdzie.

Musiała wiedzieć, bo czy inaczej zaczęłabym w tajemnicy odkładać pieniądze? Mój fundusz „odwal się”, jak go żartobliwie nazywałam. Ricky był lekkomyślny, gdy chodziło o pieniądze, więc nic nie zauważył. Pewnie by się nie przejął, nawet gdyby zauważył. Przez te wszystkie lata pomału zwiększałam budżet domowy, szybciej, niż rosła inflacja, i wszystko skrzętnie odkładałam. Podobnie pieniądze z agencji za noszone tylko raz przeze mnie ubrania. Urosła całkiem spora suma.

Głowa poznała strach przed przyszłością już na samym początku jego zdrad, gdy tylko odnotowała widok bioder tamtej kelnerki, gibkich jak u wilka. Wydawało mi się, że już zawsze będę otoczona wilkami. Zachowywałam się jak oszalała, w głowie mi się

255

kręciło, poruszałam się jak automat. Kręciłam się w kółko, szczerząc zęby i warcząc, i usiłując w ten sposób chronić czułe miejsca. Co za ulga, że nareszcie uwolniłam się od tego szalonego tańca.

- Przecież wiecie, że tata musi chodzić do pracy - powiedziałam biednym, smutnym buziom. To niewiarygodne, jak spokojny głos miałam. Jaka to dobra rzecz nareszcie obudzić się z koszmaru!

- Tata powiedział, że w ścianie są drzwi.

- Naprawdę? Wiecie co, mam świetny pomysł. Zróbmy sobie małe wakacje. Pojedziemy na trochę do babci.

- O tak! Jedźmy do nonny na Sycylię.

- To też, ale najpierw pojedziemy do nonny do Egham. Miałam jeszcze jedno życzenie. Od bardzo dawna. Właściwie

marzenie. Dla niego mogłabym nawet zostać z Rickym. Zawsze obiecywał mi, że nasze ostatnie lata spędzimy na Sycylii. Tego właśnie pragnęłam. Chciałam nad głową mieć sycylijskie słońce, a pod stopami białą ziemię mojego dzieciństwa. Chciałam wrócić do tych czasów, kiedy byłam naprawdę szczęśliwa. Tam, gdzie gruszki i czereśnie nie są sterylne i uwięzione między plastikiem a styropianem, ale żywe i piękne na drzewach. Chciałam, żeby moje dzieci były tak brązowe jak dojrzałe śliwki.

Właściwie moje pragnienie powrotu łączyło się z innym niewinnym marzeniem z dzieciństwa, które zawsze uważałam za niemożliwe. Zabawne, ale to Ricky sprawił, że było niemożliwe. Tymczasem teraz, gdy go nie ma...

Moja wizja narodziła się w delikatesach ojca, kiedy skosztowałam kropli tokańskiej oliwy. Kropla oliwy, niby nic. Nie umiem tego wyrazić, ale ta kropla przeniosła mnie daleko. Otworzyła przede mną nowy świat. Zobaczyłam moją przyszłość. Była taka świeża. Podniecająca. Cudownie podniecająca. W Toskanii zbiera się oliwki, kiedy są jeszcze młode. Niedojrzałe wędrują pod prasę, a na wierzch

dorzuca się liście oliwnego drzewa. W rezultacie powstaje tak cudownie pikantna oliwa, że aż trudno sobie wyobrazić. Z kawałkiem chrupiącego chleba może być posiłkiem sama w sobie.

Na Sycylii bardzo często, kiedy oliwki są zbyt małe albo kiedy jest jeszcze oliwa w domowych zapasach, po prostu zostawia się je na drzewach. Nikt nie wie, co z nimi robić. Nie ma na nie żadnego

256

przemysłowego zapotrzebowania. Więc gdybym mogła robić taką oliwę na Sycylii... Kupować oliwki od rolników, robić z nich dobrą domową oliwę i eksportować do Anglii. Znałam wszystkich dawnych dostawców ojca. Czy odważę się zabrać do tego samodzielnie? Trzeba by kupić kawałek ziemi, nieduży. Po to, byśmy byli samowystarczalni. Gdyby tylko udało mi się tam znaleźć po Bożym Narodzeniu! Styczeń na Sycylii. Ciemne winogrona będą nakryte plastikowymi płachtami. Przed zbiorami.

A co, jeśli mi się nie uda? Może już jest za dużo oliwy na rynku. Co będzie, jeśli stracę oszczędności całego życia, uganiając się za żalostną mrzonką? Jak wychowam dzieci? Potrzebowałam trochę czasu do namysłu. To zbyt poważna decyzja, nie wolno jej podejmować bez starannego rozważenia wszystkich za i przeciw.

Ale jeszcze nie teraz. Najpierw musiałam znaleźć bezpieczne schronienie u rodziców. Tylko na jakiś czas, dopóki nie odzyskam sił. Początkowe odrętwienie jakby trochę ustąpiło i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo zostałam zraniona. Ból był wprost potworny. To za sprawą szoku dotąd nic nie czułam. Otrzymałam śmiertelny cios.

Widzisz, on był moim życiem. Dla niego zrezygnowałam z marzeń. Myślałaś, że chodziło o złote karty, tak? Ale nie. Wszystkiemu winne moje serce. To ono nie chciało odpuścić. Jest takie rosyjskie powiedzenie, że ryba psuje się od głowy. O tak, zepsucie zaczęło się w mojej głowie. Stamtąd po całym ciele zaczął się rozchodzić ten straszny ból. Docierał do ramion, nóg i palców, trujący i ohydny.

A dzieci tuliły się do mnie i pytały:

- Dlaczego płaczesz, mamusiu?

\* \* \*

Ricky.

Była godzina ósma, kiedy wszedłem do mieszkania. Wreszcie się udało. Z głową działały się straszne rzeczy. Chwiejnie poszedłem na górę i kogóż to zastałem w sypialni, jak nie siostrzyczkę Nutan. Otworzyła szeroko oczy na mój widok. Proszę, proszę, zapisać kredą w kominie. Niespodziewany dar od pajęczej bogini. Uśmiechnęła się. Ciepło, otwarcie, ufnie. Powiedziała coś.

257

Nie rozumiałem słów. Coś o kolczykach. Kiedy odwróciła się do mnie plecami, nagle szaleńczo zapragnąłem dotknąć jej skóry.

Zawsze udawała, że mnie nienawidzi, ale widziałem jej tęskne spojrzenia posyłane w moim kierunku. Była we mnie zakochana, i to od pierwszego dnia. Zakochana w kochanku siostry. No proszę, jakie to sekreciki miewają grzeczne panienki. Mogłem mieć ją już dawno temu, ale zostawiałem ją sobie na później... na teraz... Czy będzie pachniała jak Nutan? Prawie czułem ją pod sobą. Trzask drobnych kości. Łamiących mi się w rękach. Jak w banku, że się połamię.

No i, kurwa, co z tego, nawet jeśli się połamię? Ja już byłem złamany. Jej ciepłe oczy były jak balsam. Potrzebowałem balsamu. Gdzieś głęboko we mnie tkwił nieznośny ból. Tak ostry, że samo jego wspomnienie mogło zabić, więc należało go zabić. Co tam, kurwa, ufne dziecięce buzie. Boże, pomyśleć tylko, że ja prawie... A jeśli mój uścisk rzeczywiście zmiażdży tę małą? A niech tam.

Uśmiechnąłem się czule.

- Com'e va, Bella?

Na moment znieruchomiła. Na jej twarzy pojawił się trudny do określenia wyraz, po czym uśmiechnęła się lekko i rzekła coś bardzo dziwnego.

- Udawaj, że jesteś mną. Rób to, co ja.

- Chodź. Tutaj jest ciepło - wyciągnąłem do niej rękę.

Nie zwróciła na to uwagi, sięgnęła po gitarę wiszącą na ścianie. I nagle zobaczyłem jej siostrę. Zabawną, towarzyską i lubiącą ryzyko. „Udawaj, że jesteś mną. Rób to, co ja”. Wiedziałem już, o co jej chodzi. Udawała, że jest swoją siostrą.

- Zagraj. Zagraj „Imagine” Johna Lennona - poprosiła. Ręce mi drżały od narkotyku. Niezgrabnie wzięłem gitarę,

struny były ostre jak noże. Nie chciałem grać. Chciałem zaciągnąć ją do łóżka. Rozpaczliwie pragnąłem zapomnieć. Choć na kilka chwil zatracić się w szalonym seksie. Po tym, jak zrobiłem coś okropnego, niewybaczalnego.

Usiadłem na łóżku i zacząłem przebierać palcami po strunach. Nie John Lennon, ale Cat Stevens; jego głos dźwięczał mi w głowie, dobywał się z moich ust, enigmatyczny, poszukujący i nieznajdujący tego, czego szuka.

258

\* \* \*

O lady D'banville.

Jestem pewien, że działo się to tylko w mojej głowie, ale mówię ci, palce mi krwawiły. Podniosłem głowę i zobaczyłem Francescę. Stojącą nieruchomo jak posąg. Zimną jak lód. Czy to ty? Moja lady D'banville. Usta jak zima.

Kochałem cię, pani

Francesca dotknęła mego policzka. Miała ciepłe ręce. Spojrzałem jej w twarz.

Och nie, to nie moja lady D'banville. Ona śpi.

- Ty płaczesz - powiedziała Zeenat, kuląc się jak kot u moich stóp i głaszcząc mnie po twarzy. - Co się stało?

Ooo, Francesco. To nie ty.

Obudzę cię jutro. La, la, la, la, la

A dlaczego właściwie położyłem ją spać?

Wiedziałem już, że Zeenat będzie zupełnie inna niż jej siostra. Będzie miękka i delikatna, i chętna, aby ją zaspokoić. Będzie chciała, żeby to trwało wiecznie.

- Był raz mężczyzna, który spał z wężem przebranym za kobietę - powiedziała.

Ty masz być wężem? Jesteś najwyżej dżdżownicą. Prawie to powiedziałem, ale w końcu jednak nie. No, no, gdyby naprawdę była przebranym wężem, mogłoby to być nawet zabawne. Nie każdy może się czymś takim pochwalić. Ale ona była tylko tą grzeczną siostrą.

A jednak przez to, że udawała swoją siostrę, stała się dziwnie intrygująca. Trzeba ją spytać o los mężczyzny, który spał z wężem. Ale później. Najpierw musiałem pójść do łóżka z kobietą, która udawała moją kochankę. Przynajmniej będę miał to, czego tak bardzo pożądał Anis. A to już coś.

Do diabła, czemu nie?

- Chodź, Bella.

Przyciągnąłem ją do siebie, ale kiedy moje usta dotknęły jej ust, zaczęła się szarpać. Sama zaczęłaś, kotku. Jak się łapie tygrysa za ogon, to trzeba być przygotowanym na to, że cię pożre. Przygniotłem ją do łóżka. Podniecało mnie to nieporadne, bezskuteczne szarpanie się i te miękkie, rozchylone, przerażone, bezradne, głupie usta. Wiedziałem od Nutan, że Balińczycy nie całują się. Pocierają się nosami i wdychają swój zapach. Tak zupełnie szczerze mówiąc,

259

dziewice są nudne jak flaki z olejem, choć mają pewien swoisty urok pomimo braku wprawy. Być pierwszym facetem. I to po raz drugi w tej samej rodzinie.

Wszedłem ostro. Coś się rozdarło. Majtki lub bielizna i dźwięk ten sprawił, że nagle przestała się szamotać. Rozluźniła się, otworzyła, odemknęła jak morskie stworzenie, które rozkłada macki. Oczy miała wielkie i przestraszone.



Jej kości przygniecione moim ciężarem były drobne i bierne. To niewiarygodne, że była dokładnie tej samej wielkości, co Nutan. Ale Nutan była w łóżku jak pełen sekretów lampart, podniecająca, tajemnicza i niebezpieczna. Ta była mała, obojętna, otwarta i cierpiąca w milczeniu. Jakbym pieprzył dziurę w poduszce. Nienawidziłem tego. Wdzierania się w nią. Nie miała żadnej władzy nad moim wewnętrznym bólem. Nie pomagało nawet tak ostre wchodzenie w nią, że słyszałem głuchy stuk naszych zderzających się ciał. Wszystko na nic. Nie mogłem zapomnieć. Posąg, dzieci...

Nagle gwałtownie wciągnąłem powietrze. Pode mną była Francesca.

Spojrzała na mnie z pogardą.

- Jesteś próżnym, pozbawionym serca szcurem. Trzeba było zostawić dziewczynki w spokoju - powiedziała.

- Kurwa - zakląłem, a mój skołowany wzrok padł na zaskoczoną i przerażoną twarz Zeenat. I nagle poczułem odrazę do tej prostej dobroci, do niewinności dziecka widocznej w jej twarzy. Pomyśleć, że pożądałem tego! Młode, piękne ciało leżące pode mną stało się w moich oczach czepiającym się pnącem. Potrzebującym mnie. Odrażającym. Dobrze znałem ten typ. Potem będzie chciała przytulania się i miłości. Odskokczyłem od jej ciała i krwi płynącej spomiędzy nóg. Nagle ogarnęła mnie złość. Przestałem w ogóle myśleć. Moje przewrotne usta ułożyły się w nieprzyjemny grymas. Zawsze czerpały rozkosz z zabijania.

- Wiesz co, Zeenat, mam fatalny odlot. Zbyt jestem nawalony, żeby się pieprzyć.

Teraz już wiedziała to samo, co ja; że od początku wiedziałem. Odrzucenie było całkowite. Nie okazała się dość dobra. Siostra była lepsza. Przerażone oczy napełniły się łzami. Och

260

nie, tylko nie to. I bez łez wszystko to mnie szczerze nudziło. O wiele lepsza była w moich fantazjach, kiedy było ich dwie. To był błąd. Słowo daję, błąd. Chwytasz, w czym rzecz, prawda? Przecież nie mogę ponosić winy za to, co się stało. Skłamała. Sama weszła do legowiska wilka, udając, że jest jego kochanką.

A tymczasem bogini dobra, czyli posąg zwany Francescą, zupełnie różna, jak sama rozumiesz, od pajęczej bogini, oskarżała, a uniesione wargi odsłaniały zęby.

- Jesteś próżnym, pozbawionym serca szcurem.

Żeby ułagodzić rozgniewaną boginię, mogłem jedynie, jak Inkowie, złożyć w ofierze węże, motyle, ptaki albo też przedmioty z jadeitu, kadzidło i tortille. Zamiast tego wymruczałem:

- No to zostań sobie trochę, postój, popatrz, może nauczysz się czegoś. - Powiedziałem to z taką obojętnością, że Francesca zniknęła w czeluściach mojej głowy. Żegnaj, mój aniele. Bez urazy. To jest właśnie dziesiątkowanie, na tym opiera się władza cezara, co dziesiąty żołnierz musi umrzeć, albo nie będę absolutnym panem wszystkiego, co mam pod sobą.

Nigdy więcej nie obudzę posągu zwanego Francescą. Z burzą loczków, otulonej w orientalny błękitny jedwab. W moim sercu coś dzwoniło. To LSD. Gdy wychodziłem z mieszkania, dobiegło mnie stłumione łkanie Zeenat, ale miałem co innego na głowie. Musiałem zrobić kilka rzeczy, pójść w parę

miejsc, spotkać się z kilkoma ludźmi. Nie ma czasu na małą, głupiutką dziewczynkę. Nie, zupełnie nie ma czasu. Czy moje przebudzenie zawsze będzie tak wyglądać? Wieczny ryzykant.

\* \* \*

Nutan.

Otworzyłam drzwi. Zeenat robiła sobie makijaż. Nasze spojrzenia skrzyżowały się w lustrze, ale jej oczy szybko uciekły.

- Wychodzisz? - spytałam.

- Tak - odparła krótko. Milcząc, dalej nakładała róż. Za dużo - pomyślałam. Co jej się stało?

- Dokąd idziesz? - spytałam ciekawie, siadając na łóżku i ściągając buty. Nie malowała się, kiedy szła na spotkanie z Anisem.

Napadła na mnie z niespodziewaną furią.

261

- A co ci do tego, dokąd idę? Czy ja się ciebie pytam, gdzie ty znikasz?

Patrzyłam na nią, nic nie rozumiejąc.

- Wysłałam po proszki przeciwbólowe.

- O, a kiedy całą noc jesteś z tym... tym... włoskim kundlem? Nie zapytała nawet, jak się czuję.

- Co się z tobą dzieje?

- A co ma się dziać?

Odwróciła się z powrotem do lustra i dalej się malowała. Na ustach miała kolor tak czerwony jak kwiaty kasoomby, z których nasza matka robiła barwnik.

- Zabrałaś moje kolczyki? - spytałam.

- Tak, są przy łóżku. - Potem, wciąż wściekła (poznałam to po jej ostrych ruchach), porwała czarną sukienkę z łóżka, w dodatku jedną z moich, i zaczęła ją wkładać. Z głową zamotaną w sukienkę powiedziała:

- Z ciebie to taka samolubna krowa.

Samolubna krowa. Skąd się tego nauczyła? Krowy to dobre i pożyteczne zwierzęta. Nie wiedziałam, jak mam zareagować. Nigdy tak ostro ze sobą nie rozmawialiśmy.

Głowa wreszcie wyłoniła się z sukienki. Twarz miała zaciętą od furii i widniało w niej coś jeszcze. Nigdy dotąd nie widziałam jej w takim stanie. Szarpnęła sukienkę, naciągając ją na biodra. Dopiero wtedy zobaczyłam, że jest za ciasna i za krótka. Z wyzywającym makijażem wyglądała jak prostytutka. Czy ja też tak w niej wyglądałam?

Zrobiłam wtedy coś głupiego. Klasnęłam w ręce i powiedziałam sarkastycznie po angielsku, tak jak zrobiłby to Ricky:

- Oh, way to go baby.

Krew odpłynęła jej z twarzy. Zamknęła oczy. Po chwili otworzyła je i powiedziała:

- Tak, masz rację. Pokaż mi, jaka jestem mała i nieważna. Myślisz, że twoi nowi przyjaciele są tacy niezwykli, co? A to skorpiony. Wszyscy, co do jednego. Jeszcze się przekonasz, kiedy cię ukąszą. Dopiero jak ciało ci zsinieje i zgnije od trucizny, zdecydujesz się na powrót do domu. Nie zamierzam czekać tak długo. Jadę do domu do Nenek. W przyszłym tygodniu.

- Zazdrosna jesteś - zarzuciłam jej.

262

Parsknęła krótkim, szyderczym śmiechem.

- Co? O ciebie? Akurat! Nenek miała rację. Nie powinnyśmy były tu przyjeżdżać. Sama nie widzisz, jak bardzo jesteś zaślepiona.

Minęła mnie i zbiegła po schodach, stukając wysokimi szpilkami. Na dworze było ciepło i wyszła bez zakietu, z włosami jeszcze mokrymi po prysznicu.

Po jej wyjściu stałam w oszołomieniu. Nie mogłam zrozumieć, o co się kłóciłyśmy - przecież nigdy się nie kłóciłyśmy -i to tak zajadle. Dlaczego? Czyż nie spiłowano nam zębów, gdy przechodziłyśmy okres dojrzewania? Czy nie powinnyśmy być wolne od sześciu złych cech ludzkiej natury: pożądlivosti, chciwości, gniewu, skłonności do pijaństwa, głupoty i zazdrości? Usiadłam przy oknie, podciągnęłam kolana i czekałam na nią. Pewnie zaraz wróci. Będzie się czuła równie źle jak ja. Głowa nadal pulsowała mi bólem, ale już lekko.

Dochodziła dziewiąta, a mimo to było cudownie jasno na dworze. Letni dzień był tak ciepły, że skwaśniało nam mleko, które zazwyczaj trzymałyśmy na oknie. Obserwowałam ludzi wychodzących z białymi pakunkami z baru z kebabami. Siedząc na parapecie, zjadłam trochę chleba z serem. Potrzebowałam działki. Położyłam się na łóżku, ciągle czekając, aż wreszcie zasnęłam i obudziłam się o piątej nad ranem. Nadal jej nie było.

Zaczęłam się niepokoić. Gdzie mogła pójść tak ubrana? Wyrzałam przez okno. Na dworze było ciemno, powietrze ochłodziło się. W nocnej koszuli i grubych wełnianych skarpetach usiadłam przy oknie. Ulica była pusta. O szóstej szalałam z niepokoju. Na niebie zrobiło się jasno. Gdzie ona jest? Nigdy dotąd nic takiego się nie zdarzyło. Żeby zniknęła sama na całą noc.

Zadzwoiłam do pracy i powiedziałam, że jestem chora, a potem cały dzień czekałam na nią przy oknie. Cały dzień.

O siódmej wieczorem bliska byłam hysterii ze zdenerwowania. A może poznała jakiegoś faceta i poszła z nim? W żołądku czułam ucisk, w głowie kłębiły mi się najgorsze możliwe scenariusze. Była delikatna. Nie taka jak ja. A w tym kraju tyle jest różnej maści zboczeńców. Nie powinnam była tak do niej mówić. To straszne, co jej powiedziałam. I czemu, czemu myśmy się pokłócić? W tym zupełnie nam obcym kraju mogło zdarzyć się wszystko.

263

Ósma czterdzieści. Z budki na ulicy zadzwoniłam do Anisa. W jego głosie od razu wyczułam niepokój. O dziewiątej był już u nas. Widać było, jak bardzo się przejmuję, choć starał się to ukryć. Czułam się przez to jeszcze gorzej.

Było mi tak źle, że jak idiotka popłakałam się w jego ramionach. Siedzieliśmy razem, nasłuchując najdrobniejszych szmerów na schodach. Po jakimś czasie zszedł do baru po coś do jedzenia, ale nie byłam w stanie nic przełknąć. Zapach mięsa przyprawiał mnie o mdłości. Spytałam Anisa, czy ma kokę. Nie miał, ale zadzwonił gdzieś z komórki. Za niecałe pół godziny ktoś przyszedł. Wzięłam działkę i wtedy omal nie oszalałam od paranoi. Nie mogłam usiedzieć na miejscu. Byłam przekonana, że stało się coś strasznego. Chodziłam. W dół i w górę, tu i tam, do okna i z powrotem. Chciałam wyjść i szukać jej. Bez sensu - stwierdził Anis, wyglądając przez okno. Ramiona miał napięte.

Minęły przeszło dwadzieścia cztery godziny. Była dziesiąta i Anis właśnie zaproponował, żebyśmy poszli na policję, kiedy usłyszałam stuk szpilek na schodach. Pobiegłam otworzyć drzwi i zamarłam. To była Zeenat, wchodziła na górę po schodach, a jednak... och, nie umiem wytłumaczyć zmiany, jaka w niej zaszła. W jej podejrzanie lśniących oczach zobaczyłam coś dziwnego: strach czy triumf? Trudno powiedzieć. Ale ten krótki moment szybko minął i padłyśmy sobie w ramiona, zapominając

o tym, co obie dojrzałyśmy wtedy w naszych twarzach. Widziałam łzy mojej siostry i jej wyrzuty sumienia, ale jednak coś się zmieniło. Między nami wytworzył się dystans. Sekret.

- Gdzie byłaś?

- U Anny.

Anna pracowała w naszej kawiarni jako kelnerka. Po jakimś czasie Anis poszedł do domu. Wyglądał na głęboko czymś zatroskanego. Dotknęłam jego twarzy.

- Co ci jest? - spytałam. Pokręcił głową i uśmiechnął się smutno. Potem pożegnał się i wyszedł. Zupełnie jakby Zeenat nie przyszła do domu cała i zdrowa. Jakby doznała jakiejś trwałej, nieodwracalnej krzywdy.

Leżałyśmy w łóżku i rozmawiałyśmy, trzymając się za ręce i udając, że nie ma dzielącego nas dystansu, aż wreszcie zasnęłam. Byłam bardzo zmęczona. Śniło mi się, że ona całuje mnie

264

po twarzy, gładzi moje włosy i powtarza ciągle: „Przepraszam. Przepraszam. Wybaczysz mi?”. We śnie odpowiadałam jej: „Oczywiście, że ci wybaczam”.

Obudziłam się nagle w zimnym, niebieskawym świetle świtu. Godzina czarownic. Nenek mówiła, że półmrok jest szparą między światami. Tylko zmarli i ci, którzy widzą, mogą się zapuścić dalej, przejść

przez szczelinę do innego świata. Było mi zimno, przytuliłam się do siostry. Do znajomego kształtu jej ciała. Zawsze z nią spałam. Przypomniłam mi się inny obraz. Nasze drobne ciała skulone i wtulone ciasno w bezpieczny kształt Nenek. Dotknęłam ostrożnie głowy. Tylko lekko pobolewała.

Nie lubiłam Anny. Miała w sobie coś, co mi się nie podobało. Nagle zaczęłam bać się o Zeenat.

\* \* \*

Anis.

Po raz pierwszy kochałem się z Zeenat we śnie. Śniło mi się, że znalazłem ją leżącą o zmierzchu, na wpół ukrytą w naturalnym zagłębieniu pod drzewem mangowym. I zrobiłem to bez jej pozwolenia. Spadłem na jej krągłe kształty i wszedłem w nią. Śpiące ciało wygięło się w łuk, przyjmując mnie. Obok nas przeszło stadko kaczek wracających z pola ryżowego do wioski. Trzepoczące skrzydła muskały nasze nagie ciała, w uszach pobrzmiwały wibracje wywołane stąpaniem szerokich błoniastych łap. Na sam koniec moim ciałem wstrząsnął potężny dreszcz. Wtedy Zeenat obudziła się i zaczęła wodzić lekko dłonią po całym moim ciele. Przepełniony nadzwyczajną rozkoszą, zamknąłem oczy.

- Przecież ci mówiłam. Wcale nie jesteś taki jak twój ojciec. Ty nie jesteś gejem - powiedziała, a ja otworzyłem oczy, obudziwszy się nagle. Zeenat zmieniła się bardzo. Widać to było w jej oczach. Jakby została uwiedziona. Nie była już więcej tą niezapisaną kartą. Ktoś ją zbrukał. Zawiodłem, nie udało mi się jej ochronić. Więcej do mnie nie przyszła. Nawet w niedzielę. Nawet po to, żeby zobaczyć sikorki.

\* \* \*

Lipiec 2000.

Ricky.

Odłożyłem słuchawkę delikatnie, ale w środku aż się cały gotowałem. To ma być lato? Ten okropny, brzydki, brudny i kurewsko szary dzień? Miałem ochotę rozwalić coś, ze zwykłej bezsilnej złości. Szakale od ceł i akcyzy wyliczyły swoje i wyszło im, że jestem winien mniej więcej ćwierć miliona funtów tytułem zaległych podatków, odsetek i kar.

- Mieści się panu w głowie takie kurewstwo? - darłem się przez telefon do Fassa.

Fass był przekonany, że uda się zmniejszyć tę sumę do stu dziewięćdziesięciu tysięcy, ale i tak na kolana mnie tym nie powalił. Cholerne skurwysyny za dużo na mnie miały. Bardzo pilnował się, żeby nie powiedzieć: a nie mówiłem. Zresztą wcale nie musiał.

Szlag by ich trafił, tych drani.

Trzeba będzie sprzedać trzy, a może nawet cztery restauracje, żeby ich spłacić. Skurwiele. Te restauracje to moja krew i pot, i łzy. Palanty pieprzone. I po co to? Żeby przekazać jakiemuś albańskiemu złodziejaskowi, który sika w łóżko i wacha klej w mieszkaniu wyłudzonej od opieki społecznej. Albo zasmarkanej nastoletniej samotnej matce, co to jest zbyt leniwa, żeby ruszyć dupę i wziąć się, kurwa, do pracy. Chorobliwa potrzeba karania tych, co ciężko pracują, i chuchania na tych, co się objają - oto prawdziwa przyczyna, dlaczego taki piękny kraj schodzi, kurwa, na psy.

Furia dosłownie rozsadzała mnie od środka, dopóki nie dostrzegłem tuż za oknem potężnej pajęczyny, zakrywającej misternie utkaną siecią niemal całą szybę. Od razu humor mi się poprawił. Mój sen był bezpieczny, obietnica dotrzymana. Nic złego nie mogło się przydarzyć.

266

\* \* \*

Nutan.

Kiedy listonosz przyszedł na górę z listem od Nenek, poczęstowałam go galaretką i kawą. Miał taką miłą, pogodną twarz. Spytał o Zeenat. Powiedziałam, że jest u znajomej. Teraz często tak robiła. Zostawała u Anny.

Po jego wyjściu usiadłam na łóżku i otworzyłam list Nenek. Dwukrotnie przeczytałam jej zagadkowe słowa i wcale nie byłam mądrzejsza niż przedtem. Pisała, żeby się nie przejmować tajemniczym bólem głowy, jaki miałam wtedy, kiedy po raz pierwszy pokłóciłyśmy się z Zeenat. Podobno wszystkie kobiety w naszej rodzinie to miały, „kiedy nasza krew się budziła”. I ostrzegła mnie, że nie zostało wiele czasu i że powinnam bardzo uważać na moją siostrę.

Czy w ten sposób się z nami żegnała? Czyżby była chora? Albo wręcz umierająca? Odpisałam jej natychmiast, chcąc wiedzieć, co dokładnie miała na myśli z tym budzeniem się krwi i brakiem czasu. Wysłałam list podczas przerwy. Zeenat nie chciała iść ze mną. Powiedziała, że jest zmęczona. Musiało rzeczywiście tak być, bo przysunęła sobie krzesło do półek z talerzami, oparła skrzyżowane ramiona o jedną z nich i położywszy czoło na rękach, natychmiast zasnęła.

\* \* \*

Francesca.

Zadzwonił telefon, a ja wiedziałam, że to Ricky. Pobiegłam na dół, ale ojciec zdążył odebrać pierwszy. Zatrzymałam się na podeście.

- Proszę więcej nie dzwonić - powiedział tonem, jakiego nigdy u niego dotąd nie słyszałam.

Potem bardzo cicho odłożył słuchawkę. Och, jak strasznie chciałam porozmawiać z Rickym! Zeszłam na dół i stanęłam w drzwiach.

- Kto to był?

Ojciec spojrzał na mnie spokojnie.

- Pomyłka.

- Aha - odparłam i wróciłam na górę.

267

Usiadłam na łóżku. A więc zadzwonił. Ludzie potrafią się zmienić, gdy naprawdę bardzo czegoś chcą. Po co by dzwonił, gdyby nie chciał, byśmy wrócili do niego?

Przemierzałam nerwowo pokój. Bez niego nic nie miało sensu. Ogarniało mnie przekonanie, że nie powinnam była przyjeżdżać do rodziców i mieszać ich w całą tę sprawę. Gdybym tylko miała jakichś przyjaciół, do których mogłabym się zwrócić, po prostu poszłabym spać do hotelu. Pewnie do tej pory już byśmy się z Rickym pogodzili. Czułam wręcz niechęć do rodziców. A jednak to moja wina, że nastawili się przeciwko niemu. Byłam wtedy tak skołowana, że popełniłam błąd, mówiąc im o wszystkim. Gdybym chociaż przemilczała sprawę narkotyków, jakoś by mu może w końcu wybaczyli. Był ojcem moich dzieci. A teraz stali mi na drodze twardo jak skała i nic nie mogło tego zmienić.

Albo ten szalony plan, żeby jechać na Sycylię i robić oliwę. Kogo chciałam oszukać? To przecież idiotyczne. Jasne, że nic by z tego nie wyszło. Od razu powinnam to sobie wybić z głowy. Doznałabym jedynie upokorzenia z powodu poniesionej klęski. Przecież ja nic nie wiedziałam o prowadzeniu interesów ani tym bardziej o oliwie, tłoczeniu jej i sprzedawaniu.

Umiałam jedynie robić zakupy. Nie potrafiłam nawet zająć się porządnie własnymi dziećmi. Nie, to jakieś szaleństwo! Na miłość boską, przecież był moim mężem. Potrzebowałam go. Dzieci go potrzebowały. Nigdy nie byłam z innym mężczyzną ani nikogo innego nie kochałam. Kompletnie nie wiedziałam, co dalej robić. Byłam jak ryba wyjęta z wody.

Musiałam znaleźć jakieś rozwiązanie. Postanowiłam, że jednak zadzwonię do niego. Siedziałam w swoim pokoju po ciemku, czekając, aż rodzice pójdą do sypialni. Godzinę później podeszłam cichutko pod ich drzwi i przez chwilę nasłuchiwałam chrapania ojca.

Po cichu zeszłam na dół i wcisnęłam guzik ostatniego połączenia. Aż serce mi podskoczyło, kiedy wyświetlił się numer restauracji. A więc kochał mnie. Zależało mu na nas. Wziąwszy głęboki oddech, wybrałam 141, żeby nie wyświetlił się mój numer, i zadzwoniłam do restauracji. Odebrał kierownik,

ale zanim zdążyłam się odezwać, usłyszałam w tle głos Ricky'ego. Śmiał się. Głośno i wesoło. Dopiero wtedy zrozumiałam. On wcale nie cierpiał. I wcale mu na nas nie zależało.

268

Odłożyłam słuchawkę i wróciłam do łóżka. O Boże! Proszę Cię, daj mi z powrotem moje dawne życie.

\* \* \*

Nutan.

Ulice były zimne i puste. Nadeszła ta pora między czwartą a szóstą rano, kiedy koka się już skończyła, ale sen jeszcze nie nadchodził. Kiedy bardzo chce się więcej, choć wiadomo, że ani już nie będzie nowego haju, ani nie wróci stary. Ciało osiąga wtedy pewien kres, poza który nie da się wyjść. Pozostaje jedynie zapaść gdzieś w sen.

Spodziewałam się, że zastanę pusty pokój. Zeenat rzadko teraz bywała w domu. Dużo czasu spędzała u Anny. Za dużo - pomyślałam. Coś było w błyszczących niezdrowo oczach tej okropnej dziewczyny, co wzbudzało we mnie niepokój o Zeenat. Miałam świadomość, że od naszej kłótni Zeenat coraz bardziej się ode mnie oddala. Nawet kiedy spała przy moim boku, czułam, jak odchodzi coraz dalej. Miałam wrażenie, że ona ma jakiś sekret, i bałam się tej strasznej rzeczy, której nie może odkryć nawet przede mną.

Coraz częściej nawiedzała mnie myśl, że jednak powinnyśmy wrócić na Bali. Uświadomiłam sobie, że Zeenat miała rację. Obce, zimne powietrze tego kraju odurzyło mnie. Żadnej z nas nie służyło. W Anglii zwróciliśmy się przeciwko sobie. To moja wina. Fakt, że trochę mi odbiło, ale teraz już wszystko wróciło do normy. Zapragnęłam wrócić. Zatęskniłam do tego, byśmy były takie jak przedtem. Minęły już nasze wymarzone wakacje, czas wracać do domu. Kiedy idąc po schodach, zobaczyłam, że pali się światło, ogarnęła mnie radość. Zeenat była w domu. Dobrze, że jeszcze nie śpi. Możemy porozmawiać. Będzie szczęśliwa, jak się dowie, że ja też chcę wrócić. Weszłam do pokoju.

Była tam.

Trzymała w ręku strzykawkę.

Odwróciła się i spojrzała na mnie. A więc to był ten straszliwy sekret. Ach, Sito, wyszłaś z magicznego kręgu. Po raz pierwszy zauważyłam szpilkowate źrenice w niezdrowo błyszczących oczach. Ooo, i nagle przypomniało mi się, gdzie widziałam podobnie niezdrowe lśnienie.

269

Anna. Oczy przebiegłe jak u lisa w norze, którego w żaden sposób nie można dosięgnąć. Za późno ją rozpoznałam. Za plecami mojej siostry kuliła się Kuni, garbata służąca z teatru cieni ojca, szeptem namawiająca do złego, siejąca spustoszenie. Czyż widząc chytryść malującą się na jej twarzy, nie



pomyślałam od razu, że jest zręczną intrygantką? Ukrytym wrogiem, wabiącym Zeenat, odciągającym ją ode mnie. W głowie huczało mi od natłoku myśli. Tak bardzo, że aż robiło mi się słabo. Wcześniej do tego stopnia zaabsorbowana byłam własnymi odkryciami, iż nie zauważyłam, że ona też dokonuje swoich. Teraz najwyraźniej zirytowała ją moja reakcja świadcząca o szoku. Widziałam to po jej twarzy. W ogóle nie przejęła się tym, że odkryłam jej sekret. To wprawiło mnie w jeszcze większy szok.

- Co ty robisz? - Mój głos był zaledwie szeptem, ale niósł w sobie cały strach, jaki miałam w sercu.

- A jak myślisz?

Otworzyłam usta, chcąc coś powiedzieć, sprzeciwić się, ale ona podniosła rękę ostrzegawczo.

- Nie próbuj mnie powstrzymać. To teraz stanowi część mojego życia.

Ani nie miała wyrzutów sumienia, ani nie odczuwała wstydu. Wręcz przeciwnie, sprawiała wrażenie śmiałej, a nawet triumfującej. A więc w to przerodziły się jej lęki. Pokręciłam głową, nadal nie mogąc uwierzyć. Tymczasem to wcale jeszcze nie był koniec. Zrobiła coś jeszcze bardziej niewiarygodnego. Wolno, ruchem pięknym i wdzięcznym, jak tancerka, podała mi strzykawkę.

- Wcale nie jest tak, jak mówią. To najpiękniejsze, co może być, ma niezwykley smak, jak... jak krew - powiedziała, a jej oczy lśniły. „Udawaj, że jesteś mną. Rób to, co ja. Bądź mną”.

Bez słowa wpatrywałam się w jej twarz. O Zeenat, Zeenat, coś ty zrobiła?

Nie wyglądała na ćpunkę; była radosna i silna. Jakże potężna się stała! Zastygłam bez ruchu, porażona jej niezwykłą siłą. Po raz pierwszy w naszym wspólnym życiu to ona odkryła nowe doświadczenie. Teraz chciała sama tworzyć rzeczywistość, a nie uczestniczyć w scenie zaaranżowanej przeze mnie. Przewidziała nawet rolę dla mnie. Trzymała moją kwestię w ręku. I prosiła, bym wypowiedziała ją tak, jak brzmi w jej scenariuszu. Opowiadającym

270

o szlachetnej królowej, która na palcach, powoli, zmierza ku zagładzie. Tym razem to ja miałam udawać, że jestem nią. Robić to, co ona. Być nią.

Przypomniałam sobie, jaka była kiedyś. W różowym świetle tropikalnego zachodu słońca. Pełna uroku, elokwentna, lecz skromna. Wdzięczna postać obsypana kwiatami frangipani, na lekko ugiętych nogach, przechylona w bok, z dłońmi uniesionymi wysoko nad głową. Kciuki dotykały palców wskazujących, a reszta palców rozłożona była jak wachlarz w starannie wystylizowanym ruchu. Teraz skojarzyłam ten widok z ptakiem, który rozpościera skrzydła, gotów do lotu. Spójrzcie, jak wznosi się do góry. Są takie cudowne słowa pochodzące z wiersza, który dotknął we mnie głębokiego i sekretne miejsce, ale do tej chwili nie wiedziałam, co one oznaczają: Czyja śnię ciebie, czy ty śniesz mnie?

Czas zatrzymał się w miejscu. Patrząc na siostrę, nagle zrozumiałam przodków, pulsujących w moich żyłach. Puputan. Czy mówiłam ci już, że „puputan” znaczy „koniec”? Chwalebny koniec. Odziani w biel, przystrojeni w najpiękniejsze klejnoty, moi dziadowie szli na lufy Holendrów, obojętni wobec śmierci. Wszystko albo nic.

Wszystko albo nic. Jeżeli jedynym sposobem dotarcia do niej jest wbicie igły we własne ciało, aby w pełni doświadczyła swego oddalenia... Jeżeli ona wyrazi zgodę na mój upadek... śmiało ruszę w stronę wymierzonej we mnie broni i pokażę jej, że złożona w imię miłości i honoru dobrowolna ofiara jest wieczna. I zawstydzę ją jej własnym przerażeniem. Dopiero w tym momencie rozumiałam wstyd ojca. Stracił swój honor, ponieważ uległ władzy mojej babki i trwał pod nią tchórzliwie, miast śmiało ruszyć na czekające karabiny. „Kochać znaczy okaleczyć” - powtarzały żałośnie w kółko pożyczonym głosem jego skórzane kukiełki.

I cóż zrobiła córka szalonego radży? Zrobiła rzecz szaloną.

Postąpiłam krok w jej stronę i... wzięłam od niej strzykawkę. Myślałam, że przerazi się ofiarą, której zażądała, i powstrzyma mnie, ale ona powiedziała łagodnie:

271

- Będzie dobrze. Zrobię to za ciebie. Wystarczy przyłożyć igłę do skóry i nacisnąć. Wszystko. I będzie pięknie. Zobaczysz, jak pięknie.

W mojej głowie załkał ojciec złamanym głosem starego króla: „Moja piękna żona jest jak tygrysyca. Jakże lekko przychodzi jej sprowadzenie na mnie upadku”.

To dziwne. Zeenat wciąż miała moją twarz, ale już nie pozwalała mi czytać swoich myśli. Szybkim, sprawnym ruchem zawiązała nieprzezroczystą gumową rurkę na moim ramieniu. Następnie poszukała żył, lekko uderzając w zagłębienie wewnątrz łokcia. Wyskoczyła jedna, zielona i ufna. Patrzyłam w otępieniu, jak Zeenat fachowo odnajduje furtkę prowadzącą do mego ciała. Ani razu nie spojrzała mi w twarz. Wbiła igłę. Bolało. W strzykawce pojawiła się krew.

- Trzeba tak zrobić - wyjaśniła.

Zamknęłam oczy. Nie mogąc uwierzyć w to, co robiłyśmy.

Przez chwilę widziałam nas pokonane, leżące bezwładnie na łóżku w obskurnym, odrażającym pokoju, a zaciągnięte zasłony odcinały nas od światła ulicznej latarni. Koszmarny to był obraz. Gdyby Nenek nas zobaczyła! „Będzie dobrze. Zrobię to za ciebie. Wystarczy przyłożyć igłę do skóry i nacisnąć. Wszystko”.

Mój żołądek się zbuntował, odwróciłam głowę i zwymiotowałam na dywan. I wtedy zapadłam nie w czarną, nieznaną otchłań upodlenia i strachu, ale w miękką, ciepłą chmurę. Otoczyła mnie łagodnym wirem. Uwolniona od prześladowających mnie przebiegłych oczu mojej siostry, oparłam głowę na jej brzuchu. Miała rację. My, które wyszłyśmy z tego samego łona i tego samego nasienia, musimy trzymać się razem. Było to o wiele lepsze niż wszystko, czego dotąd próbowałam, i rzeczywiście miało niezwykły smak. Dzień jutrzejszy był snem. To dobre, co ona mi zrobiła.

- Masz rację. Jest pięknie - wymamrotałam.

\* \* \*

Bruce.

Ciepła noc wywabiła na ulice wszystkie młode stworzonka na wysokich obcasach i w słodkich kusych spódniczkach. Stały z nami w kolejce do Blue Swallow. Bramkarze zlustrowali nas

272

dokładnie. Chętnie widzieli u siebie cud piękności, więc bez zastrzeżeń wpuścili Elizabeth, ale nie Ricky'ego.

- Nie w dzinsach - orzekli. Tępe twarze były nieubłagane.
- Do zobaczenia w środku - rzucił Ricky i odwrócił się na pięcie.
- Pewnie ma drugie spodnie u siebie w restauracji - snuła przypuszczenia Elizabeth.

Zamówiliśmy właśnie drinki przy barze, kiedy zauważyłem Ricky'ego.

- Hej! - zawołał i pomachał. Był w dzinsach.
- Jak wszedłeś?
- Poszedłem do sąsiedniego klubu, dałem szatniarce dwudziestkę i przemyciła mnie tylnymi drzwiami.

Roześmieliśmy się.

- Mam tu sprawę do załatwienia - powiedział, rozglądając się za dealerami. Dałem mu stówę, dorzucił następną, co dawało pięć gramów.

Wsunął mi towar do ręki i rozejrzawszy się dokoła, natychmiast zaczął się ślinić na widok jednej skośnookiej laski przy barze. Przyjrzałem się jej. Rewelacyjne włosy i intrygująco wydęte usteczka, ale ja olewam pieprzenie się z Chinkami. Wcale nie są takie ekstra, jak wieść niesie. Te, które przewinęły się przez moje łóżko, były zimne.

- Idę na coś żółtego! - przekrzyczał hałas Ricky, ruszając do ataku. Wsunąłem jeden pakiecik do ręki Elizabeth i osobno udaliśmy się do toalet.

W drodze powrotnej minąłem rudowłosą piękność w króciutkiej bluzeczce naszytej cekinami. Oczywiście obejrzałem się za nią, a kiedy odwróciłem się do Elizabeth, patrzyła na mnie dziwnie.

- Coś się stało? - spytałem.
- Nic. Chodźmy do China White. Maggie tam jest - zaproponowała niespokojnie.

Podszedł do nas jakiś facet i, traktując mnie jak powietrze, poprosił Elizabeth do tańca. Coś dziwnego zrobiło mi się w brzuchu. To coś domagało się ukręcenia łba z tej cherlawej szyjki. Złapałem jego twarz w dłonie. Delikatnie, rozumiesz. I odwracając tę zdumioną twarz w moją stronę, uśmiechnąłem się.

273

Uśmiech tygrysa. Zaniepokojony wyrwał się z uścisku, wyjąkał "coś i wycofał się grzecznie. To był jeszcze smarkacz. W dodatku pijany. Patrzyłem za nim, jak znika w tłumie, i nagle poczułem się pusty w środku. Nie była moją kobietą. Wygrałem błahą utarczkę, ale wciąż nie miałem dostępu do pola właściwej walki. Elizabeth patrzyła na mnie spokojnie i uważnie.

- Subtelny jesteś.

- Idziemy? - spytałem szorstko. Moje własne uczucia bynajmniej nie budziły we mnie zachwyty.

Skinęła potakująco.

- Znajdźmy tylko Ricky'ego i Chinę.

Bramkarze przy drzwiach łypnęli podejrzliwie na widok Ricky'ego. Mrugnął do nich porozumiewawczo.

- Czary - rzucił zaczepnie w ich stronę, kiedy wsiadaliśmy do czekającej taksówki. - Ludzie to zaraza - odezwał się nagle. Odwróciłem się do tyłu i spojrzałem na niego. O mój Boże, już był narąbany. - Chociaż nie. Jesteśmy raczej jak wielkie szczury. Widziałem taki film o wyspie niemal kompletnie zniszczonej przez szczury. Małe dranie zjadły wszystko, zwierzęta, rośliny, ptaki, kwiaty i drzewa. Kurwa, wszystko. A kiedy już zeżrą korzenie drzew, rzucą się na siebie nawzajem, tak jak my to kiedyś zrobimy. Szczury zeżarły wyspę, my zeżremy całą planetę. Pomyślcie tylko. Jesteśmy zupełnie jak te szczury. Nic z siebie nie dajemy innym stworzeniom na tej ziemi. Nie robimy miodu, nasze mleko jest tylko na nasz własny użytek, nasze ciało, które podobno jest słodkie w smaku, uważamy za zbyt cenne, żeby je zjadać. Nie umiemy robić gniazd ze śliny. Nawet jak już umrzemy, nie wolno z naszej skóry robić skóry. Umiemy tylko srać i pieprzyć się.

- Mówisz, że szczury się dużo pieprzą? - spytała ta żółta.

- Przede wszystkim, Bella - odparł Ricky i śmiejąc się szyderczo, przesunął ręką po jej udzie.

Zauważyłem, że kierowca przygląda się Elizabeth w lusterku. Odwróciłem się, wyglądała przez okno, znudzona i nieszczęśliwa. Wyraz jej twarzy mówił: „wyrwij mnie stąd”. Mnie też zaczynało brakować wyrozumiałości, więc kiedy skośnooka lalka znów się zaśmiała, złośliwie i nieprzyjemnie, spojrzałem na nią, jakbym miał przed sobą żółty worek wypchany żabami.

274

\* \* \*

Ricky.

Któregoś dnia przy śniadaniu z nosa trysnęła mi krew, ale nie zwracałem sobie głowy lekarzami. Znałem diagnozę. Na jakiś czas przestać brać narkotyki. Żeby śluzówka się zregenerowała. Przestać brać narkotyki.

Tak, jasne. Poszedłem do kuchni i podgrzałem sobie freebase.

Jeśli nigdy tego nie próbowałaś, koniecznie zrób to. Jest zajebiste: ale, jak za wszystkie zacne rzeczy, trzeba nieźle zapłacić. Ha, ha, dokładnie to restauracją. Zdaje się, że wpadłem w nałóg, który pożera kilka tysięcy tygodniowo.

„Sprzedaj restaurację. Wtedy wystarczy ci na jakiś czas” - doradził ktoś.

Święta racja. Sprzedałem już cztery, żeby spłacić sukinsynów od watu, nie? Na cholerę mi aż sześć? Co tam, łatwo przyszło, łatwo poszło.

Jak wyleczę nos, nie będę musiał aż tyle wydawać. Poza tym planowałem przestać. Planowałem wziąć dupę w garść. Niedługo. Już niedługo.

\* \* \*

Nutan.

Pod Tesco spotkałyśmy Annę. Wyglądała na zmarzniętą, chorą i jeszcze chudsza, niż kiedy pracowała w kawiarni. Niosła dwie pękate plastikowe torby pełne whisky. Nie mogłam oderwać wzroku od jej oczu. Odrealnione, lśniące na zielono, z maleńkimi czarnymi źrenicami. Spytała, czy mamy pieniądze.

Tak.

- No to chodźmy - powiedziała, idąc w stronę budki telefonicznej.

- Masz? - spytała w słuchawkę. - Może być pięć? Dwadzieścia minut. Tam gdzie zawsze. Pa.

Pociągnęła nosem i wytarła go rękawem. Pomogłyśmy jej przenieść torby przez ulicę, a potem skręciliśmy w boczną uliczkę. Na tyłach sklepu monopolowego wsadziła chudą twarz przez otwór w zamkniętej na kłódkę kracie i wrzasnęła głośno. Wyszedł facet w średnim wieku.

275

- Może być? - spytała.

Skinął bez słowa i wrócił po klucz.

- Tylko ty - powiedział jej.

- Zaczekajcie chwilę. - Wzięła sama torby i weszła do ciemnego wnętrza. Stałyśmy na zewnątrz.

- Ile butelek? - spytał.

- Osiem.

Wyjął je z plastikowych toreb i szybko sprawdził, czy nie były otwierane. Wyciągnął z kieszeni dwadzieścia funtów. Wysła, a on zamknął kratę i wrócił do sklepu.

- Czy on wie, że są kradzione?

- Oczywiście. Każdy przy tej ulicy kupi trefny towar, ale są w porządku. Nigdy nie próbują cię wykantować, jak widzą, że jesteś naprawdę chora i w potrzebie. Najgorzej jest w pubie. Zawsze starają się człowieka wyrolować, im gorzej wyglądasz i bardziej potrzebujesz browna.

Brown lub bobby, lub bobby brown, w slangu heroína.

- Wiedzą, że w końcu i tak weźmiesz, ile dają.

Tamtego dnia patrzyłam na nią, myśląc sobie: ty biedne, biedne stworzenie. Nigdy nie będziesz nic mieć. Ani rodziny, ani dzieci. Kradzieże. Wykorzystywanie przez obcych, którzy widzą tylko zdesperowaną ćpunkę. My nigdy takie nie będziemy. Przestaniemy, zanim znajdziemy się w takim stanie. Będziemy rozsądne. Przestaniemy, zanim zabrnijemy za daleko. Będziemy wiedzieć, kiedy przestać. Już prawie minął tydzień, odkąd pierwszy raz dałam sobie w żyłę, i zupełnie nie miałam ochoty na następny raz. Cała rzecz w tym, żeby nie robić tego często, to nasze ciała się nie przyzwyczajają. Skoro mogłyśmy panować nad koką, nad brownem też zapanujemy.

Anna wzięła od nas dwadzieścia funtów. Torebka kosztuje dziesięć funtów, ale powiedziała, że wytarguje pięć torebek za trzydzieści pięć funtów. Czekaliśmy na przystanku. Facet się spóźnił, a ona wpadła w panikę. Patrzyłam na nią na poły z fascynacją, na poły z obrzydzeniem. Zaczęło jej lecieć z nosa. Wytarła go wierzchem dłoni.

- Cholerne sukinsyny. Wszyscy są tacy sami, kompletnie odbija im palma, bo mają prochy.

276

Mają prochy. I poczucie władzy nad sponiewieranymi głodem klientami.

- Cholerne dranie. Mówisz im, że jesteś chora, i czekasz prawie pod samymi drzwiami, a oni na to: za godzinę. Kiedy wystarczyłoby tylko zejść na dół. Mają nas w kieszeni. Są jak lekarze. Bez ich lekarstwa strasznie chorujemy. A oni mają to gdzieś. Czasem strasznie trzeba się wycierpieć, zanim uda się wbić lotkę.

Wbić lotkę, dać w żyłę, wstrzyknąć heroinę.

Zwierzyła się, że sypia z sześćdziesięcioletnim facetem, który dorzuca się hojnie do heroiny. Jej kochankowi, staremu dziadowi z dredami, nie przeszkadza, że ona ćpa, jeśli tylko odpala mu dołę.

Przyszedł dealer. W tym momencie ręce Anny już mocno się trzęsły, tak bardzo potrzebowała działki. Mieszkała niedaleko. Jej kroki stały się szybkie i lekkie. Musiałyśmy biec, żeby nadążyć. Mieszkanie zajęte było na dziko. Drzwi zostały wyrwane z futryny, a potem przybito je gwoździami, zatem jedyną ich funkcją było bronienie dostępu. Do środka wchodziło się przez okno, rozsunawszy deski, którymi było zabite.

W suchym, kwaśnym powietrzu pięciu ćpunów kulilo się na podłodze dokoła gazowego kominka. Pokój ten był wręcz niewiarygodny. Trudno wprost uwierzyć, że na świecie może istnieć taki brud i

nędza. Wszędzie walały się rozrzucone po podłodze igły, fajki do cracka, kawałki folii i łyżki, pudełka po pizze, dziecinne zabawki, sterty brudnych ubrań i poutykane po kątach śmieci. Na podartej, straszliwie poplamionej kanapie odepchniętej pod ścianę leżał osobnik pogrążony w śpiączce. Pod drugą ścianą znajdował się potwornie brudny materac, a na nim rzucony niedbale, pognieciony i skłębiony brązowy wełniany koc. Reszta sprzętów, jak się dowiedziałyśmy, została sprzedana lub ukradziona.

Otwierałaś szafki w kuchni, a tam pełno było zużytych igieł, kawałków folii i okopconych łyżek. Było to okropne, naprawdę okropne miejsce, a jednak mnie fascynowało. Weszłam tam, bo chciałam je zobaczyć na własne oczy, jakby to była jakaś atrakcja turystyczna. Myślę, że podobnie jak ty, kiedy nie potrzebując specjalnej zachęty, wkraczałaś w mój świat. Nawet piekło, z prozaicznego powodu

277

wielkiej obfitości nagich ciał, może wydać się zmysłowe, jeśli stoisz bezpiecznie w progu.

Był to jeden jedyny taki dzień, kiedy zobaczyłam, jacy naprawdę są bywalcy tego mieszkania: bladzi, wychudzeni, z wyrazistymi, błyszczącymi oczami. Po tym pierwszym dniu przestałam zauważać ich okropny, niezdrowy wygląd. Kiedy staniesz się jedną z nich, nie widzisz tego. Ani w ich oczach, ani w swoich własnych.

Fakt, że Anna żyła w tak straszliwym brudzie, powinien był obudzić moją czujność, ale tak się nie stało. Powinnam była dobrze się zastanowić, zanim weszłam w coś, co potrafi doprowadzić ludzką istotę do stanu takiego upodlenia. Trzeba było natychmiast wziąć siostrę za rękę i wyjść. Nie powinnyśmy były tam zostawać, ale byłam młoda, głupia i już uwięziona w pułapce, która wydawała się fantastyczną przygodą. Nikt nie byłby w stanie wyegzekwować ode mnie takiej samodyscypliny. Teraz to wiem. Teraz wiem.

Wtedy nie miałyśmy pojęcia, w co się pakujemy. Dla nas było to jak życie towarzyskie. Kwestia przynależności do grupy. Do paczki. Jeśli nie brataś, nie byłaś jedną z nich. Dealerzy wyglądali przecież jak zwykli ludzie. Tyle że mieli więcej pieniędzy. Zostałyśmy na noc w tym mieszkaniu.

„Weź łyżkę. Połóż na niej heroinę. Dodaj kwasek cytrynowy albo witaminę C w proszku, albo sok z cytryny lub ocet. Jeśli używasz kwasu cytrynowego bądź witaminy C, musisz wcześniej zmieszać je z odrobiną wody. Podgrzewaj łyżkę nad płomieniem, aż płyn zacznie bulgotać. Zdejmij z ognia. Włóż do płynu kawałek papierosa lub waty, który posłuży za filtr. Przyłóż igłę do filtra i wciągnij płyn do strzykawki. Bez filtra będziesz mieć brudny odłot, który może spowodować nieopisane cierpienia. Zawsze uważaj na bąbelki powietrza. Żeby nie dostały się do żyły. Poszukaj żyły. Nigdy nie wstrzykuj bezpośrednio do ciała. To bardzo boli. Powoduje obrzęk. Robi się wrzód, który potwornie pali i kłuje. Tylko do żyły”.

Obrzydliwe. Ale tak robiłyśmy. Dziwisz się, dlaczego nie zaczęłyśmy od palenia? Nie każdy może palić. Moja siostra nie mogła. Natychmiast rzygała. Tak bardzo, że kończyło się to wymiotowaniem krwią.

278

\* \* \*

Anis.

Było późno. Mocno pijany szamotałem się z kluczem w zamku, kiedy usłyszałem jej głos wymawiający moje imię. Próbowałem odwrócić się, ale tylko zatoczyłem się do tyłu i straciłem równowagę. Upadłem na jedno kolano i wtedy w świetle ulicznej latarni zobaczyłem Zeenat. Stała na najniższym stopniu. Przez moment mój mózg nie chciał odpalić i ruszyć z miejsca. Zamrugalem.

- Co... -zacząłem.

- Ciii - powiedziała i przyłożyła palec do ust. Ach, znowu sekrety. A ja wciąż pamiętałem ją, jak jeszcze była dzieckiem.

Uśmiechając się nieśmiało, weszła po schodach, wyjęła mi klucz z ręki i otworzyła drzwi. Przytrzymała je otwarte. Zataczając się, wszedłem do środka i patrzyłem w otumanieniu, jak ona zamyka za nami drzwi. Zdecydowany trzask zamka rozległ się pustym i martwym echem w ciemnym holu. Wtedy odwróciła się do mnie, a choć patrzenie jej w oczy sprawiało mi ból, nie mogłem uciec od tego spojrzenia. Widać w nim było dzikie pragnienie czegoś. Ona była inna. Inna niż cała reszta. Chciała jedynie brać. Nie umiała dawać. Tamtej nocy ujrzałem to w jej błyszczących oczach.

\* \* \*

Sierpień 2000.

Anis.

Pomyliłem się co do Zeenat. Wcale wtedy nie przyszła, żeby brać. Przyszła po to, żeby mnie przedstawić swojej nowej przyjaciółce. Dotąd znałem ją jedynie z daleka i aż do tej chwili udawało mi się unikać jej towarzystwa. Niejednemu towarzyszyła do późna w nocy, nie chcąc odejść nawet w chłodnym świetle poranka. Czasami, kiedy się mocno upiłem na przyjęciu, szeptała: „Szybko, wyciągnij do mnie rękę”. Jej głos był słodki, a ona sama z daleka przypominała Ofelię Johna Millais. Niezwykle blade i cudownie piękne ciało na wpół zanurzone pod powierzchnią wody. We śnie była piękna, ale po przebudzeniu? Widzisz, nie wiedziałem, jaka ona będzie po przebudzeniu.

Teraz wiem.

„To dobre. Wcale nie takie, jak mówią. Zobaczysz, będzie ci dobrze. Zrobię to za ciebie. Wystarczy przyłożyć igłę do skóry i nacisnąć. Wszystko. I będzie pięknie. Zobaczysz, jak pięknie”.

Przecież Kriszna powiedział na polu bitwy do Ardżuny: „Gdy ktoś ofiarowuje mi z oddaniem liść, kwiat, owoc lub wodę, przyjmuję ten dar miłości, dar czystego serca”.



Przyjmuję. Przyjmuję.

Obudziłem więc śpiącą królową, a ponieważ wcześniej tak długo odtrącałem ją z pogardą, w oczach miała zemstę. Usta zaciśnięte w niedobrym uśmiechu, paznokcie brązowe i okrutne. Od razu głęboko wbiły się w moje ciało. Jakże mocny był jej uścisk! Będzie mnie miała, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Nie masz pojęcia, jak bardzo jest zdeterminowana. Do tego stopnia, że nic jej nie powstrzyma. Za każdym razem, gdy zdobędę się na

280

odwagę i będę próbował od niej odejść, zacznie torturować moje ciało bólem, kluciem, drętwieniem, potężnymi wymiotami i skurczami mięśni kończyn.

Prawdę mówiąc, nie przeszkadzają mi jej okrutne oczy i zaciśnięte usta, bo kiedy sam zamykam powieki, jej oddech staje się wonny ponad wszelkie słowa, a zakrzywione brązowe szpony w moim ciele dają rozkosz nadzwyczajną. Spożywając mannę na pustyni grzechu, Izraelici krzyczeli w swoim pięknym języku: Man hu?! „Co to jest?!”. Ja też tak wołałem, kiedy z jej bladych ust spływał do moich słodki płyn. Ludzie uczeni w piśmie, twierdzą, że ona karmi cię swoją własną krwią. Możliwe, ale to naprawdę pyszne. Powinienem otworzyć oczy. Błędem, zdaje się, było to, że je zamknąłem.

\* \* \*

Elizabeth.

Jak tylko weszłam do mieszkania Ricky'ego i zobaczyłam Maggie, pijaną, bladą jak ściana, w ciemnych okularach, wiedziałam, że coś się stało. Puste obietnice. Czyż sama ich nie znałam? Mężczyzn takich jak on jest na kopy, to jej ryzyko zawodowe. Uniosła w górę rękę bez pierścionka i pomachała do mnie.

- Cholerny sknerus zabrał go. Powinna była posłuchać tej starej dziwki i sprzedać go. Ale, co tam, czas rozkręcić imprezkę. - Głos miała dzielny, jednak za dobrze ją znałam, żeby uwierzyć. Jej serce zostało złamane.

Później pojechaliśmy do jej mieszkania. Nakarmiła koty i mrówki, a potem padła na wytartą kanapę i zrzuciła ciemne okulary. Zobaczyłam wtedy oko podbite na fioletowo, które drań zostawił jej na pamiątkę.

- Tak mi przykro, Maggie - powiedziałam. Wybuchnęła płaczem, a ja nie byłam w stanie nic zrobić, żeby ją pocieszyć.

Cały czas łkała.

- Byłam taka głupia. On tylko chciał być moim alfonsem. Próbował mnie wykorzystać.

281

\* \* \*

Bruce.

Czułem się fatalnie, byłem na haju i przekonany, że wszystko to kłamstwa. Kiedy dzwoniłem wymyślnym dzwonkiem do drzwi jej mieszkania w Mayfair, w głowie szalała mi burza. W obsydianowej tabliczce z numerem zobaczyłem, jak szybko i jak bardzo się zaniedbałem. Czy naprawdę jestem aż tak gruby? Otworzyła drzwi. Ubrana była na ciemnoniebiesko. Założyła ręce, twarz miała wręcz lodowatą, a jedna brew uniosła się pytająco.

- Poszedłem kiedyś za tobą - wyznałem w ramach tłumaczenia się. Musiałem zdobyć jej adres. Nie dała go nikomu. Nie chciała ani mnie, ani nikogo w gniazdku miłosnym dzielonym z Arabem.

Patrzyła na mnie z niechęcią.

- Czego chcesz?

- A może, na miłość boską, jednak wpuścisz mnie do środka. Gdzie ty masz serce? - spytałem.

- W lodówce - odparła i poszła w głąb mieszkania, zostawiając otwarte drzwi.

Tak chłodno wszystko kalkulowała, że było to aż godne podziwu. Zamknąłem drzwi i przez moment miałem nierealne wrażenie, że przechodzę przez sale egipskie u Harrodsa. Trudno o trafniejsze określenie tego skarbcza Ali Baby. A jednak mimo całej tej wulgarności nie było tu ani jednego śladu jego fizycznej obecności. Żadnego pudełka z cygarami hawańskimi na stoliku ani białego turbana na gwoździu, ani nargilów na widoku, kompletnie niczego.

Poszedłem za nią do kuchni. Otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę wina. Wisiał tu obraz przedstawiający mężczyznę i unoszącą się w powietrzu kobietę, i od razu wiedziałem, że tylko ta jedna rzecz jest jej. Reszta należała do niego. To jedno wybrała ona i powiesiła w kuchni, w mało widocznym miejscu.

- Lubisz Chagalla? - spytała.

- Nie znam człowieka. - Jednak obraz podobał mi się. Było w nim coś odległego i nieosiągalnego. Podobnie jak w jakimś dziwnym sensie ona sama.

- Uważam, że to największy rosyjski malarz wszech czasów. Malował jak umierające dziecko. Jakby wierzył w cuda.

282

Nalała do kieliszka płyn w słomkowym kolorze i podniosła do ust. A więc dla mnie nie ma wina. Czasami, gdy była celowo taka niegrzeczna, miałem ochotę ją uderzyć.

- Trudno o coś bardziej kulturalnego niż te dwa słowa: „białe wino”. Nie sądzisz, że razem tworzą wizję wdzięczną i pełną elegancji? - powiedziała, patrząc na mnie uważnie znad kieliszka.

Spojrzałem na nią tępo.

- Wiesz, mam nadzieję, że i tak nigdy nie prześpisz się ze mną? Nie ma sprawy. Wcale nie o spanie mi chodziło.

- Zastanawiam się, czy Bóg wiedział, malując ci te piękne skrzydła, że staniesz się tak okrutnym motylem.

Wyciągnąłem z kieszeni prostokątne aksamitne pudełko, zawierające bransoletkę z czarnych pereł. Nie kupiłem jej. Paddy ją „znalazł” i uznał, że będzie pasować do obroży. Położyłem pudełko na stole i lekko pchnąłem w jej kierunku. Patrzyła na nie uważnie, ale nie wzięła go do ręki. Już miałem powiedzieć, że może bezpiecznie je otworzyć, bo to od Paddy'ego, ale w tym momencie rozpoznałem muzykę, której słuchała, i nie mogłem się powstrzymać, żeby się nie popisać.

- „Cztery pory roku” Vivaldiego. „Zima”.

- „Jesień” - poprawiła krótko, jakby odruchowo.

Potem obeszła bufet i stanęła naprzeciw mnie. Oparła się biodrem o stół i założyła ręce. Jej twarz była bez wyrazu.

- Chcę, abyśmy się dobrze rozumieli. Nie możesz mnie kupić - powiedziała.

- Czemu? A Arab może? Zaczęła się śmiać.

- To nie twoja liga, skarbie. Trzy zakłady fryzjerskie przy głównej ulicy? - spytała kpiąco.

Nawet kiedy się tak nienawistnie śmiała, szalałem za nią. Poczujęm, jak wzbiera we mnie złość.

- Wiesz, co mi przypominasz? Nietoperza. Tak, nietoperza wiszącego do góry nogami, którego mózg też odwraca wszystko do góry nogami. Wstrzykuje środek antyseptyczny niespodziewającej się niczego ofierze, a potem wypija krew.

Spojrzała na mnie obojętnie.

- A ty to co? Nie robisz różnych takich numerów? Podeszedłem do lodówki.

283

- A teraz, kurwa, wezmę twojego kulturalnego drinka - oświadczyłem, otwierając drzwiczki. Widok zawartości sprawił, że Elizabeth wydała mi się jeszcze bardziej obca. Świeże daktyle, fikuśnie pokrojone kawałki mięsa, sery pleśniowe, tacka z agrestem, zupa ogórkowa i różne zagranicznie wyglądające produkty spożywcze ze sklepów takich jak Harrods czy Fortnum and Mason. A gdzie cheddar, bekon i jajka? Mój wzrok padł na mały okrągły pojemnik. Aaa, oczywiście, kawior dla królowny. Mój parweniuszowski język nie znosił kawioru, ale miałem wielką ochotę ją zdenerwować. Wyjąłem pojemnik.

- Druga szuflada z lewej strony - podpowiedziała.

Czyżbym dosłyszał irytację w jej głosie? W rzeczonej szufladzie, w oddzielnej przegródce, leżała piękna łyżeczka z macicy perłowej. Nabrałem nią kawioru.

- Dobre? - spytała ironicznie.

Nie wiem, co ja takiego jadłem przedtem, ale jej kawior był znakomity. Małe, śliskie, słone eksplozje smaku jajeczek miażdżonych na języku. Sięgnąłem po następną porcję. Znałem rosyjskie słowo na ich określenie. Jakiś chłystek kiedyś próbował mi wtrzytnąć podrabiany kawior, niby że to towar najwyższej jakości. A tak, malassol, jak ten złodziej tłumaczył przekonywająco: „Mało soli. Jajeczka tak wysokiej jakości wymagają jak najmniej soli”.

- Malassol... bieluga - rzuciłem niedbale.

- Imponujące jak na chłopaka z East Endu.

- Widzisz, do czego prowadzą zbytne uogólnienia? To tak jak powiedzieć, że wszyscy Anglicy śpią w skarpetkach albo że wszystkie irlandzkie dziewczyny, które stać na mieszkanie w Mayfair, to prostytutki.

Westchnęła ze znużeniem.

- Pewien jesteś, że nie wolałbyś być teraz gdzie indziej?

- Owszem, jestem pewien. Dobrze mi tu jak świni w błocie - uśmiechnąłem się nieprzyjemnie. Możesz nazwać to głębokim poczuciem wyobcowania. Ja nazwę to niezaspokojonymi potrzebami. Po prostu nie mogłem się opanować. - Więc jak Arab przyjeżdża, ma tu swoje miłosne gniazdko?

Uśmiechnęła się, okrutnie rozbawiona.

284

- Akurat nie. Mułła ma apartament w Ritzu. Za dużo byłoby kłopotu z czterema ochroniarzami i służącym, który idzie przodem, perfumując powietrze, którym mułła oddycha.

Nie udało mi się zapanować nad wyrazem twarzy. A wtedy stała się jeszcze okrutniejsza.

- To ja chodzę do niego. Jestem jak zakazana przyjemność, jak czarne trufle, tak dojrzałe, że sam zapach wystarczy, by wprawić w ekstazę - powiedziała. - Zazwyczaj po wyjściu jego osobistego szewca - dodała, a szare oczy zaśniły niedobrym blaskiem.

- O! - Zobaczyłem ją przez moment w jej świetle, tak różnym od mojego. Cynicznie wyrażającą zgodę na tak wysoce odrażającą sytuację. Jak taka inteligentna kobieta mogła być zadowolona z tego, że jest kosztowną zabawką w ręku religijnego hipokryty? Jeśli oczywiście nie była beznadziejnie płytka... rodzaj monogamicznej dziwki. Dobrze wyszkolona pielęgniarka udająca namiętność do obrzydliwej świni.

Dotąd miałem o niej lepsze zdanie.

Być może dlatego, że wyobrażałem sobie ten układ jako bardziej podniecający, bardziej szalony. Dzikszy, może nawet z jakąś dozą niebezpieczeństwa. A nie sterylny pakt o używaniu: „wpadnij do mnie na górę, jak już szewc sobie pójdzie”. Dlaczego wciąż pragnąłem poczuć rano na poduszce

zapach tej dziwnej kobiety? A może była naprawdę głęboka, tylko się to jeszcze nie ujawniło, albo już przemineło. W końcu kiedyś powiedziała mi, że jej ulubioną postacią jest Aspazja, najślynniejsza grecka hetera; słowo to, jak mi wyjaśniła, oznacza kochankę, a nie, jak odruchowo pomyślałem, dziwkę. Zacząłem nienawidzić jej, jego i siebie.

Zadzwoił telefon, miał wyciszony dzwonek.

Zauważyłem, że drgnęła. Jej wzrok niespokojnie powędrował w stronę wyświetlacza. Rozmowa międzynarodowa. Wyraźnie się spięła, spojrzała na mnie błagalnie czujnymi oczami, podniosła palec i lekko dotknęła ust. W pełnej napięcia ciszy odwróciła się do mnie plecami, podniosła słuchawkę i wszystko się zmieniło. Oczywiście mówiła płynnie po arabsku.

„To przez głód ziemniaczany\*. Nauczył nas, że albo szybkie przystosowanie się, albo śmierć” - powiedziała kiedyś.

[\* W latach 1845 - 1849 w Irlandii panował wielki głód spowodowany zarazą, która zniszczyła zbiory ziemniaków].

285

Kim była ta istota, w której się tak niebacznie zakochałem? Widok pięknych ust wypowiadających gardłowe słowa napawał moje serce smutkiem. Oczyma wyobraźni zobaczyłem ją w sukience bez pleców, tej czarnej z ogonem z tyłu, a wtedy oliwkowa ręka, mięsista, zadbana i władcza, wylądowała na jej karku i uprowadziła ją ode mnie. I choć wmawiałem sobie, że ona chce tylko pomóc mu wydać pieniądze, czułem się tak, jakbym miał w sobie zardzewiały garnek z wrzącą cieczą, która właśnie zagotowała się i wylała, pokrywając ciało bolesnymi pęcherzami. Zielony z zazdrości patrzyłem, jak rozmawia przez telefon. Nauczyła się jego języka.

Śmiejąc się niskim, zmysłowym głosem, odłożyła słuchawkę. Jej pozbawione uśmiechu oczy odnalazły moje.

Rzuciłem monetą miłości. Pulsująca nienawiść schowała swoją twarz po drugiej stronie.

- Czy słodka jest krew Araba? - warknąłem zaczepnie lodowatym głosem.

Nie zastanawiała się nad odpowiedzią. Odpaliła z prędkością poruszania się języka węża.

- Tak samo jak twoja, jeśli dobrze pamiętam. Podałem się. Jaki to miało sens?

- Chcesz działkę? - spytałem. Skinęła głową.

- Chcesz wina?

Też skinąłem i odstawiłem kawior do lodówki. Smutna, przegrana sprawa. Totalna, pieprzona beznadzieja. Pozostawało nawalić się do reszty. Śmignęła tylko obok mnie jak powiew zimnego wiatru, ale moje pełne tęsknoty serce mimo wszystko wyrывało się do tego bezdusznego przeciągu.

\* \* \*

Nutan.

Czasami, kiedy jesteśmy u Anny, a ona akurat sprzedaje się na ulicy, siedzimy przed kominkiem i czekamy. Gdy wraca, wyciąga wszystkie narkotyki z kieszeni, po czym siada i płacze z obrzydzenia do samej siebie. I wciąż płacząc, wstrzykuje sobie. Czasem, gdy czuje się bardzo brudna, wchodzi do wanny. Bardzo często

286

narkotyki działają tak silnie, że zasypia w trakcie mycia. Boję się, że pewnego dnia utonie w kąpeli.

Jednego wieczoru przestała oddychać. Boże, była taka nieruchoma. To było przerażające. Na szczęście znalazł się chłopak, który zrobił jej masaż serca i sztuczne oddychanie. Pojechaliśmy z nią na pogotowie. Tam wstrzyknęli jej adrenalinę. Wypłukało to heroinę z jej organizmu i natychmiast ocuciło, ale zaburzyło znacznie stan psychiczny. Gdy odzyskała przytomność, w napadzie furii rzuciła się z pięściami na pielęgniarkę.

- Ty cholerna suko! Coś ty narobiła! Wiesz, ile zapłaciłam za to? Czterdzieści funtów psu w tyłek - darła się histerycznie. Odbijało jej już. Kompletnie odbijało. Mogła przecież umrzeć, a w ogóle się tym nie przejmowała.

\* \* \*

Bruce.

Zastałem Ricky'ego jedzącego samotnie lunch. Usiadłem przy stole. Nalał mi kieliszek czerwonego wina, postawił przede mną pusty talerz i wrzucił na niego trochę polenty i kawałki królika duszonego w czerwonym winie.

- Jedz, jedz - zapraszał.

- Pomówmy o Elizabeth i Arabie - zacząłem.

- Daj sobie spokój - doradził. Oderwał kawałek chleba i wytarł sos z talerza. - Strata czasu. To jakby wrzucić cukier do oceanu i czekać, że woda stanie się słodka. Zapoluj gdzie indziej, ona ci nóg nie rozłoży. Latami próbowałem, aż w końcu sobie odpuściłem.

- Ja ją kocham.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Kawałek namoczonego w sosie chleba zastygł w drodze do ust.

- Ty ją... - odrzucił głowę do tyłu i zaczął się śmiać. Oczy błyszcząły mu uciechą. Kiedy wreszcie zdołał się opanować, powiedział: - To znaczy, że koniecznie musisz ją przelecieć, tak?

Nieco mnie tym zirytował.

- Nie, ja naprawdę ją kocham - powiedziałem z naciskiem.

- A to w takim razie co innego. Czemuś wcześniej nic nie mówił? - rzucił ironicznie. - Bzdura albo raczej zachłanność,

287

zależy jak na to spojrzeć. To jeszcze nie miłość, kiedy wpada ci w oko przepiękna kobieta. Kurczę, przecież ty nawet jej dobrze nie znasz. A gdyby nie wyglądała tak, jak wygląda, aha? A gdyby nie była takim bóstwem? - Wepchnął kawałek chleba do ust i zaczął żuć. - Też byś ją kochał?

- Odwal się. Skąd mam znać odpowiedź na hipotetyczne pytanie. Wygląda tak, jak wygląda, a ja jestem w niej zakochany, i już.

- Jak to się dzieje, że nigdy nie widziałem cię z dziewczyną, która nie byłaby ekstralaską? I czemu mianowicie twoje związki nigdy nie trwają długo?

Spojrzałem na niego.

- Ty dupku, nagadałeś jej na mnie, prawda? Uśmiechnął się przebiegle.

- No bo spytała. Co miałem zrobić? Skłamać?

- Spytała? - powtórzyłem.

Wzruszył ramionami i potarł podbródek. Ta jego troska o szczerłość wobec Elizabeth jakoś nie mieściła mi się w głowie i nagle przypomniało mi się coś, co powiedział kiedyś Anis: coś o wilku martwiącym się, że owieczki mokną na deszczu.

- Przykro mi, stary, ale jak z nią rozmawiałem, nie wiedziałem, że jesteś aż tak napalony - bronił się, a ja doskonale wiedziałem, że tak naprawdę ma to głęboko gdzieś.

Dobrze wiedział, co zrobił. I że pragnąłem jej od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałem. Wcale nie chciał, żebym ją miał. Nawet na jedną noc.

- Daruj sobie, stary. Nie musisz ubierać tego w piękne słówka. Nazwij rzecz po imieniu. A poza tym i tak nic z tego. Elizabeth woli dziewczyny.

- Odpieprz się - powiedziałem i zostawiając nietknięte jedzenie i wino, wyszedłem. Wykrzykiwał jeszcze jakieś tłuste dowcipy i głośno ryczał ze śmiechu, kiedy zatrzasnąłem drzwi od jego mieszkania.

\* \* \*

Nutan.

Z trudem rozwarłam powieki, na języku miałam posmak metalu. Skóra mnie swędziała. Anis mówił, że to trucizna zawarta w narkotyku

288

spala się w moim ciele, a ciało stara się trucizny pozbyć. Na dworze było jasno, czas iść do pracy, ale ja nadal byłam zmęczona. Potrząsnęłam Zeenat, żeby ją obudzić. Musiałam trząść nią dłuższą chwilę, zanim się ocknęła.

- Czas do pracy - powiedziałam.

- Wymówiłam za nas obie - odparła bełkotliwie.

- Jak to?

- Będę pozować Anisowi. Dobrze płaci - wymamrotała z zamkniętymi oczami.

Z ulgą opadłam z powrotem na łóżko i natychmiast ogarnął mnie sen.

\* \* \*

Bruce.

Zabrałem ją do Luculeusa. Lokal mały, intymny i drogi. Za wszelką cenę chciałem, żeby jedzenie było jak najlepsze. Start w nowym kierunku. Zamówiła ostrygi, a potem confit z kaczki. Kelner, Francuz, najwyraźniej jej nadskakiwał.

- Doskonały wybór, proszę pani.

Wziął od niej długie menu, bajerując ją wzrokiem.

- Poproszę o to samo - powiedziałem.

Rozejrzała się po sali. Niemal wszystkie kobiety były starsze od niej, miały dyskretne maniery i sądząc po prawdziwych futrach wiszących w szatni, wszystkie były Europejkami. Nalałem wino i zaczęliśmy niezobowiązującą rozmowę. Sześć ostryg prześlizgnęło mi się już przez gardło, ale rozmowa nadal się nie kleiła. Ona na coś czekała. Miałem wrażenie, że spodziewa się zasadzki.

- Ricky twierdzi, że jesteś lesbijką - powiedziałem jak gdyby nigdy nic.

Zaśmiała się i wsunęła malutki kawałek chleba do ust.



- Czasem tak się zachowuję, jakbym nią była - wyznała z błyskiem w oku. - Po co psuć zabawę? Ricky to uwielbia. Dwie ekstrapanienki oddają się igraszkom, za co czeka je nagroda z rąk samego boga.

- Mówisz o tym, jak on zwabia dziewczynę do łóżka, a ty potem wchodzisz tam i zamykasz drzwi?

289

- Proponuję jej działkę. Te dziewczyny zrobią wszystko za działkę. Później z wdzięczności opowiedzą to, co on chce usłyszeć. A on nagrodzi je następną porcją koki. I wszyscy są zadowoleni.

- Po co ta cała wyrafinowana maskarada?

- Nie wiem. Taka sztuczka a la Greta Garbo. Dostępna dla wszystkich i nienależąca do nikogo, coś w tym stylu. To facetów kręci.

- Dlaczego mnie w takim razie właśnie pozbawiłaś złudzeń?

- Ponieważ nie chcę, żeby cię kręciło - odparła beztrosko, ale jej oczy uważnie przyglądały mi się znad kieliszka.

Przybyło główne danie. Ostatnia uwaga zaboląła mnie. Kaczka okazała się przesolona.

- Czemu robisz taki ostry makijaż? Co ty jeszcze ukrywasz? - spytałem.

Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem. Z szarych oczu wyczytałem, że nie zawiodłem jej. To na tę pułapkę czekała cały wieczór.

- O co ci chodzi? - spytała cicho.

Niespodziewanie chwyciłem jej rękę, spoczywającą na stole. Zaskoczyło ją to.

- Popatrz mi w oczy. Zobacz siebie w moich oczach - powiedziałem. - Spójrz na siebie moimi oczami. Co widzisz?

Utkwiła wzrok w moim rozgorączkowanym spojrzeniu, a ja odniosłem wrażenie, że budzi się w niej jakaś nowa świadomość i dochodzą do głosu całkiem nowe emocje. Nagle odwróciła wzrok.

- Co widziałaś? - spytałem z zaciekawieniem.

- Że wiesz, jak się nazywam i że noszę maskę, ale tak naprawdę mnie nie znasz.

- Więc powiedz mi, kim jesteś.

- Kim jestem? Rzeczywiście chcesz wiedzieć? - Z zamyślnym wyrazem twarzy postawiła kieliszek na stole. Po chwili sięgnęła do torebki i wyjęła małą buteleczkę. Wylała trochę białego płynu na rękę i zaczęła wcierać w twarz. Przez cały czas oczy miała utkwione w moich. Makijaż rozmasał się, szarość zlała się z różem i ze złotym brązem, a czarny tusz spłynął w dół po policzkach. Podniosła serwetkę i zaczęła się nią wycierać. Patrzyłem zszokowany. Gdy twarz była już czysta, odłożyła serwetkę na stół.

290

Ani razu nie oderwałem od niej wzroku, ale czułem na sobie ciekawskie i pełne niedowierzania spojrzenia innych gości. Bez złotobrzazowej maski wyglądała na bladą i zmęczoną. Skórę na ustach miała tak cieką, że aż niemal przezroczystą. Sprawiała wrażenie bezbronnej, wręcz budziła litość. Poczulem gęsią skórkę na ramionach i dziwnie zaborcze uczucie ścisnęło mnie w środku.

Czekała nieruchomo. Czegoś ode mnie chciała.

- Boże, jaka ty jesteś piękna - szepnąłem.

Miałem wrażenie, jakbyśmy znaleźli się w kleszczach. Była to walka dwóch silnych charakterów. Przez nieskończenie długi moment wydawało mi się, że ona nienawidzi mnie albo siebie. Nagle odsunęła krzesło i wyszła. W małej restauracji zapadła cisza. W totalnym osłupieniu patrzyłem na jej oddalające się plecy. Co chciała, żebym powiedział? Że wygląda groteskowo? Drzwi otworzyły się i już jej nie było. W milczeniu patrzyłem, jak wybiega i wsiada do taksówki. Kochałem tę kobietę. Taka była prawda.

Spojrzałem na swoją kaczkę i dałem znak ręką. Natychmiast wyrósł przy mnie kelner. Zrobiłem ruch, jakbym coś pisał. Kiedy przyszedł rachunek, odliczyłem pieniądze i zostawiłem na talerzyku. Odstoniła się przede mną, jakby to był rodzaj testu. A potem zachowała się tak, jakbym go oblał. Zdziwiłem się, że na dworze jest aż tak zimno.

Po drugiej stronie ulicy z Draycotts wysypała się grupka kobiet, ich dźwięczne głosy rozbrzmiewały głośno w moich oszołomionych uszach. Zatrzymałem się przed wystawą sklepu z obrazami naprzeciwko Josepha. Musiałem chwilę pomyśleć. Na wystawie stał staroświecki obraz przedstawiający kosz z owocami, z niezwykłą precyzją oddający najmniejszą kropelkę wody. Co za żenujący brak wyobraźni! A więc oblałem test. Przypomniałem sobie rozmazany makijaż. I to, że przez cały ten czas jej twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu, tyle że uważnie mnie obserwowała. Właśnie zaszło coś ważnego, a ja nie wiedziałem co.

Obok mego odbicia w szybie pojawiło się inne. Odwróciłem głowę. Aha, jedna z tych rozbawionych panienek z Draycotts. Po drugiej stronie ulicy czekały przyjaciółki.

291

- Hej, chcesz iść z nami na imprezkę? - spytała. Była młoda i od biedy ładna.

- Dlaczego nosisz makijaż? - spytałem.

Zdziwiona, ale wciąż chętna, objęła ramionami swoje szczupłe ciało i postanowiła uniknąć szczerzej odpowiedzi.

- Noszę. Bo co?

- Bo nic - powiedziałem, kiwając głową. Rzuciłem: „Dobranoc” i odszedłem. Oddaliłem się już spory kawałek, kiedy usłyszałem, że krzyczy za mną: „Pieprzony świr!”. Minąłem jakąś restaurację. Jej wnętrzu wydawało się takie ciepłe. Zimny wiatr dmuchnął mi w twarz. Owinąłem się ciasniej płaszczem, żeby się przed nim osłonić. Anis napisał piękny wiersz:

Zimny wietrze, błagam cię, Muśnij ją lekko, Spraw, niech ona zadrży, Spraw, niech mnie pokocha.

\* \* \*

Elizabeth.

Obudziłam się nagle, z lękiem, i szybko rozejrzałam się dokoła. Nie, w mojej sypialni wszystko było nadal kremowo złote. I czyste. Jak zawsze. Nie ma strachu. Nic się nie zmieniło. Jeszcze. Wstałam z łóżka i rozsunęłam ciężkie zasłony. Do pokoju wlało się białe światło. Rozwiązałam wstążeczki przy ramionach koszuli nocnej, która z cichym szelestem spłynęła na podłogę. Stałam nago przed wielkim lustrem. W jasnym świetle przyjrzałam się sobie. Ileż razy stałam dokładnie w tym samym miejscu! Obserwując siebie. Raz z niedowierzaniem, innym razem z przerażeniem. To, jak nieznosnie jestem brzydka.

Tego dnia widok w lustrze zniosłam gorzej niż zwykle. Nałożyłam szlafrok i przeszłam do salonu. Był bogato urządzony, wręcz przytłaczający swoją wulgarnością. Zdecydowanie nie w moim guście. W ogóle to arabskie badziewie nie jest w moim stylu. Wręcz go nie znoszę. Chodząc po pokojach, czułam się jak gość. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca wśród tych obcych dla mnie wspaniałości.

292

Wiem, czemu tak się działo. Ponieważ nic z tego nie było moje. Nic. Wszystko należało do niego. Wystarczy, że strzeli palcami, i puf! - wszystko zniknie. To dlatego tak bardzo się pilnowałam. Dzień i noc miałam się na bacności. Przez pięć lat nie zrobiłam ani jednego fałszywego kroku. Dotąd było to łatwe. Teraz wszystko się zmieniło. Coś we mnie w środku burzyło się, oddziało i ścierało boleśnie. Rodziły się nowe, nieznane dotąd apetyty. Nagle zaczęłam tęsknić do rzeczy będących poza moim zasięgiem...

Nigdy nie sądziłam, że do tego dojdzie.

W bogato zdobionym, wulgarnym lustrze nad kominkiem zobaczyłam swoją twarz, bladą, przerażoną, nieszczęśliwą. Nie wolno mi. Nie mogę sobie pozwolić na uczucie do tego mężczyzny. Nie do Bruce'a. On jeden jedyny był w stanie mnie zniszczyć. Nie wolno dopuścić go ani kroku bliżej. Idiotyczna miłość w ułamku sekundy zmieniałaby się w nienawiść, gdyby odkrył moje kłamstwa. Ja cała jestem jednym wielkim obrzydliwym kłamstwem. On kochał wytwór swojej wyobraźni.

Jednak serce odrzucało rozsądne rady. Gorąco pragnęło jego towarzystwa i wymyślało różne preteksty, żeby z nim być. A ostatnio nie tylko tęskniło do niego, gdy nie dzwonił, ale też płakało gorzko, kiedy odchodził. O Boże, dlaczego on? Dlaczego ze wszystkich facetów na świecie musiałam zakochać się akurat w nim? W prymitywnej bestii modlącej się do doskonałości. Jak mogłam być tak przerażająco głupia i oddać serce komuś takiemu?

Na lata całe zagrzebałam mój sekret, a nawet zmieniałam cmentarze, ze strachu, że ktoś go odkryje. Teraz przekroczyłam pewien punkt krytyczny, a wtedy on niespodziewanie wyskoczył jak diabeł z pudełka. „A kuku” - powitał mnie chytrus, jakby nigdy nic.

Stałam w kuchni, mając pod stopami zimny marmur. Spojrzałam na kobietę unoszącą się na obrazie Chagalla.

- Mamo - szepnęłam - co byś zrobiła na moim miejscu, gdyby miłość zapukała do twoich drzwi?

Wydało mi się, że słyszę w sobie jej słowa: „Zaproś go do środka. Powiedz mu tak: Szanuję ciebie, który przyszedłeś z dalekiej krainy, i choć jestem biedna i nie mogę ci wiele dać, dziel ze mną wszystko, co mam, bo jesteś moim przyjacielem”.

293

Mylisz się, mamo. Miłość nie jest przyjacielem. Wszystko mi odbierze. Spójrz, co zrobiła z tobą. I znów wrócił obraz matki tamtego ranka, kiedy kołysała w ramionach moją siostrę, zawodząc swą straszną pieśń: „O, na, na, na, na, na. O, na, na, na, na”. Aż siłą wyrwano z jej ramion ten ciężar.

\* \* \*

Bruce.

Następnego dnia po kolacji z Elizabeth poszedłem do świątyni pająka i zastałem Ricky'ego i Elizabeth siedzących razem na długiej kanapie i pogrążonych w rozmowie. Przez moment zabolął mnie ten widok dwóch jasnych głów tak blisko siebie. Wiedziałem, że nie są kochankami, ale nawet ta niewinna bliskość wywołała we mnie falę zazdrości. Byłem zazdrosny o Ricky'ego. Odwrócili się i spojrzeli na mnie, a Ricky zaczął śmiać się tym swoim głośnym, idiotycznym włoskim śmiechem. Bardzo go to bawiło, że jestem taki napalony na Elizabeth.

Nie uśmiechnąłem się.

Wstał, pocałował Elizabeth w głowę i wyszedł. Elizabeth wyciągnęła nogi, wypełniając nimi przestrzeń, którą on zwolnił. Domyśliłem się, po co to robi: żeby nie usiadł obok niej. Siadłem naprzeciwko. Uśmiechnęła się, jakby nic się nie stało poprzedniego wieczoru.

- O czym rozmawialiście?

- Ricky'ego wyrzucili wczoraj ze Spearmint Rhino - powiedziała.

- Za co?

- Wszedł na scenę i zaczął lizać słup tancerki.

- Ale kretyn - powiedziałem i oboje się roześmieliśmy. Gdy się śmiała, była zachwycająco piękna. Zapragnąłem wziąć ją w ramiona. Właśnie w radiu Robbie Williams i Nicole Kidman śpiewali ten słodki kawałek „Somethin' Stupid”. Zrobiłem głośniej i stanąłem przed nią.

- Zatańczysz ze mną?

Wyciągnąłem rękę, ona po chwili wahania podała mi swoją. Pomogłem jej wstać i w tańcu oddaliliśmy się od kanapy. Nauczyłem się tańczyć w klubie, dokąd wieczorami matka chodziła

294

na tani alkohol i na tańce. Elizabeth okazała się świetną tancerką, byliśmy doskonale zgrani, kroki wychodziły nam wręcz idealnie.

Wirując, odsunęła się ode mnie i roześmiała się. Była niesamowita. Przyciągnąłem ją do siebie, a wtedy poczułem zapach jej perfum. Potem znów rozdzieliliśmy się, wirując. Było jej dobrze. Było jej dobrze...

Oczy miała szczęśliwe, usta lekko rozchylone, w głosie dźwięczał upojny śmiech. Piosenka już prawie dobiegała końca, Robbie i Nicole powtarzali ostatnie linijki:

Kocham cię Kocham cię

- Kocham cię - powiedziałem, a wtedy ona zamarła. To była prawda. Kochałem ją. Poczułem, że jej ciało kurczy się, jakbym ją oparzył. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Nagle rozległ się jakiś hałas. Ktoś wchodził do mieszkania. Czar przysł. Wysunęła się z moich ramion.

- Muszę iść. Chwyciłem ją za rękę.

- Słyszałaś, co powiedziałem? Naprawdę.

- Nie psuj tego. Nie niszczy tej odrobiny, która mi została - ostrzegła.

- Najważniejszej rzeczy w życiu dowiedziałem się od faceta nazwiskiem Guillaume Apollinaire - powiedziałem. Jasnoszare oczy były bez wyrazu. - Postępuj: „Stawiamy ich nad urwiskiem i każemy latać. Wzbraniają się. Mówimy: leć! Wzbraniają się. Wtedy spychamy ich z krawędzi...”

Aż podskoczyła ze strachu. Nie podobała się jej moja historia.

- „I latają”\* -dokończyłem.

[\* Cytat z książki Clarissy Pinkoli Estes Biegająca z wilkami. Przekład Agnieszki Cioch].

Wysunęła się z moich objęć i kręcąc głową, cofnęła się.

- Nie - rzekła bardzo wyraźnie i wyszła z mieszkania. Dlaczego? Dlaczego nie ty i ja? Elizabeth?

295

\* \* \*

Wrzesień 2000.

Anis.

Z oczu Zeenat znikło to cudowne światło. Mimo to wciąż przepełnia mnie wielka tkliwość. Co za wyrachowanie!

\* \* \*

Nutan.

Poszłam szukać Zeenat. Drzwi otworzył Anis i od razu uciszył mnie, kładąc palec na ustach. Weszłam za nim do salonu, w którym urządził pracownię. Był to duży, pusty pokój, gdzie pod ścianami stało mnóstwo przeważnie wielkich obrazów. Drewniana podłoga zachlapana była farbą. Na środku stało na sztalugach płótno, a obok niego stolik pełen farb i dzban z pędzlami. Z dużego wykuszowego okna wlewało się z dworu wspaniałe białe światło. Nadawało wnętrzu dość niesamowity charakter. Nie pozostawiało żadnych ukrytych ani zakrytych przestrzeni.

Na niskim stoliku oświetlonym przez to niezwykle światło, w wymyślnej pozie i całkiem naga, leżała Zeenat. Bezlitośnie ostra jasność wydobywała wszystko, nie darując niczemu. Wdzierała się w ciało mojej siostry, jakby jej zadawała rany. Zeenat wychylona była do przodu i w lekko uniesionej pozie opierała się na rękach. Palce miała pobielale, a mięśnie napięte z wysiłku. Długie włosy spływały na jeden bok. Trwała nieruchomo, rzuciła mi tylko jedno, bardzo krótkie spojrzenie. Robiła to dla nas. Dla pieniędzy. Powinnam być za to wdzięczna, a nawet zażenowana, ale nie byłam. Widziałam jedynie dziwny, szklisty wyraz jej oczu i ledwo dostrzegalne drganie mięśni szyi. Znałam ten widok. Była na haju, a ja chciałam być tam z nią. Potrzebowałam tego.

296

Całkowicie pochłonięty swoją sztuką, Anis zapomniał o mnie. W ich kompletnie wyciszonym świecie ja w ogóle nie istniałam. Jakiś czas stałam w drzwiach, niewidoczna dla nich i niepewna, co robić, aż w końcu poszłam do kuchni. Na kwadratowym stole stał słoik z marmoladą, na talerzyku leżał kawałek masła, a obok stały dwa nieumyte po śniadaniu talerze. Jedli tosty. Nie wiedziałam, że Zeenat zaczęła jeść śniadania. Na Bali nigdy nie jadałyśmy śniadań. Na stole pozostały też dwa kubki z osadem po porannej kawie. Wiedziałam, który należał do Zeenat. Ten z nierozpuszczonym cukrem na dnie. My, Balińczycy, lubimy kawę bardzo, bardzo słodką.

Zlew wypełniały brudne naczynia. Na blacie stał mały telewizorek z wyłączonym głosem. Na ekranie piękne modelki szły po wybiegu. W ich niemych ruchach było coś niesamowitego. Po co ktoś oglądał Fashion TV, w dodatku bez dźwięku? Stałam przy oknie wychodzącym na wybetonowane podwórko. Pełne było zeschniętych liści. „Ogród” Anisa odgradzał od ulicy mur. Za nim widać było ludzi i samochody. W domu panował nienaturalny spokój. Jakby zbudowali kokon i zamknęli się w nim tylko we dwoje.

Nikt inny nie mógł tam wejść. Nawet siostra bliźniaczka.

Jednak cisza ta nie miała w sobie spokoju. Była brzemienią oczekiwaniem. Na co czekali? Usłyszałam, że Anis odchodzi od swego dzieła, żeby popatrzeć na nie z perspektywy, a potem wraca; jego buty głośno stukają na gołej podłodze. Znowu cisza. Zaniepokoiłam się. Pomyślałam o mojej siostrze. Światło. Niezycliwe światło ukazało ją moim oczom bez osłonek. Wydobyło coś, czego nie powinnam była oglądać. A jednak nie mogłam cofnąć się w czasie i wymazać tego, co widziałam.

Patrzyłam przez okno niewidzącym wzrokiem. Ten wyraz twarzy Zeenat. I ona oparta na rękach, w upokarzającej pozie, bez żadnego skrawka ubrania, który by choć trochę osłonił nienaturalnie skręcone ciało. Był w tym jakiś brak szacunku, wręcz nadużycie. Przecież gdyby ludzie przechodzący ulicą podnieśli wyżej głowy, mogliby ją tak zobaczyć.

Otoczająca mnie rzeczywistość zmieniała się. Moja siostra obojętnie traktowała moją obecność. Dlaczego pozwalała temu sadystycznemu egoiście traktować się w ten sposób? Dlaczego

297

była naga i w takiej pozie? Niczym żebrzące zwierzę. Robiła to dla narkotyków. Wiedziałam, że tak.

Ogarnęła mnie wściekłość. Nie wolno mu pozwolić, żeby robił jej takie rzeczy. W tym momencie dosłownie poczułam zapach własnej wściekłości. Był bezwzględny i bardzo pierwotny. To zazdrość. Przyjrzałam się jej bliżej. Byłam zazdrosna o Anisa. Muszę przykuć tę zazdrość łańcuchem do ściany. A ona urągała: „No, dalej, przykuj mnie. Ściany bywają różne, ale łańcuchy są zawsze takie same. Dają się zerwać”.

Nie powinniśmy byli przyjeżdżać do tego zimnego, okropnego kraju. Zmienił nas. Chciałam wracać, ale w głowie rozległ się chytry, odwodzący od tego zamiaru głos: Tusing jani, tusing ada de wasa. Nie teraz. To nie jest pomyślny dzień.

Z duszą na ramieniu zakradłam się do sypialni Anisa. Właściwie po to tutaj przyszłam. Wiedziałam, gdzie trzyma swoje zapasy. Chciałam trochę. Tylko troszeczkę. Tak bolało, kiedy nie brałam. Bałam się, że Zeenat się dowie, jak bardzo zaczynałam uzależniać się od narkotyku. Że się dowie, jak dużo biorę, gdy ona nie patrzy.

Ach, ojciec, czy widzisz, co nam zrobisz? Zmieniłeś nas w swoje skórzane lalki. To Sita, ojciec. Zgubiła się w dżungli i natychmiast porwał ją Rawana. Szybko, ojciec, pociągnij za nasze sznurki, inaczej zginiemy. Pomóż jej. Pomóż nam. Porusz nami. Spraw, byśmy znowu zatańczyły, mistrzu lalek.

\* \* \*

Zeenat.

Poczułam zapach goździkowego papierosa babki. Dymny, ciepły. Zapach ten był jedyny w swoim rodzaju, stracony, umarły. Kusił, żeby wrócić. Do popiołów.

\* \* \*

Anis.

Koncepcja sztuki balijskiej zakłada zróżnicowaną perspektywę. Fragmenty tego samego obrazu są tak skomponowane, jakby oglądano je z różnych punktów. Więc mur widziany jest frontalnie,

298

kwiaty z góry, kobiety piorące w rzece z lewej strony, a ptaki na drzewach z dołu.

\* \* \*

Bruce.

W szatni nocnego klubu Ricky poderwał stojącą przed nami dziewczynę. Miała oryginalną urodę. Włosy kręcone, rysy grube i typowe dla rasy czarnej, ale przy tym skórę jaśniejszą od mojej, a oczy małe i niebieskie. Zimno, bez wyrazu patrzyły na Ricky'ego.

Głos miał ciepły, spojrzenie głębokie.

- Pobzykamy się później, Bella? - spytał.

Małe niebieskie oczy obrzuciły Ricky'ego od stóp do głów.

- Żebyś się nie zdziwił - załatwiła go krótko i odwróciła się.

- Czy coś takiego w ogóle działa? - spytałem Ricky'ego. Zaśmiał się. Tak naprawdę guzik go to obchodziło.

- To tylko mała wprawka techniczna. Nie myślałem o niej na poważnie. Zaczekaj, aż przejdę do rzeczy.

Kiedy nad ranem dotarłem do jego mieszkania, grała głośna muzyka i kilka osób bawiło się w najlepsze, a ta sama, nie czarna i nie biała dziewczyna siedziała wygodnie rozparta na kanapie. Miała na sobie szlafrok Ricky'ego i paliła skręta. Małe niebieskie oczka spojrzały na mnie. Usiadłem obok niej. Czasami nie byłem w stanie zrozumieć, w czym kryła się tajemnica jego powodzenia. Był



gruboskórny, wręcz chamski, ale wszystkie leciały na niego. Nie mogłem pojąć, jak on to robi. Tylko jedna wymigła się od jego uścisków, ale poza tym się to nie zdarzało.

- Myślałem, że nie masz zamiaru tu przyjść - zagałem.

- Owszem. - Akcent był tak bardzo jamajski, że aż chciało mi się śmiać.

Ricky wyszedł z toalety, zauważył mnie, uśmiechnął się szeroko i uniósł brwi. Odczepił od paska zestaw kluczy. Rzucił mi na kolana.

- Elizabeth jest na górze. Jakiś kretyn wsypał jej coś do drinka.

- Jak to?

- Do boju, stary. Może to jedyna szansa, byś mógł ją sobie bzyknąć.

299

Złapałem klucze i popędziłem po schodach. Gdy otworzyłem drzwi, w środku było ciemno. Cicho zamknąłem je za sobą. Kiedy oczy przywykły do mrocznego wnętrza, oświetlonego jedynie ulicznym neonem, zobaczyłem, że Elizabeth leży na łóżku i patrzy na mnie w milczeniu. Ogarnęła mnie fala ulgi. Aż mi się słabo zrobiło. Jezu, jak ja się wystraszyłem, że jej się coś stało.

- No i jak? - spytałem cicho. Tani materac zapadł się pod moim ciężarem. Była taka drobna i bezbronna. Chciałem ją przykryć. Sięgnąłem po koc.

- Nie - szepnęła. - Tutaj wszystko pachnie potem i seksem. Daj mi tylko chwilę odpocząć.

- Jak się czujesz?

- Teraz już dobrze, ale ramiona i nogi mam jeszcze zdrętwiałe.

- Co się stało?

- Kolejny facet, który nie dowierzał skuteczności swojego bajeru.

Zaśmiałem się słabo.

- Ach, Elizabeth, Elizabeth. Cała wieczność dzieli nas od tamtego dnia. Czy nie widzisz, jak bardzo mi na tobie zależy?

- Na szczęście Ricky był na miejscu - powiedziała.

- Hmm! - Położyłem się obok niej. To prawda, że byłem trochę pijany, ale czułem cudownie błogi spokój, leżąc w ciemności obok niej, kiedy jej ostry język stępiony został przez niedobry narkotyk. W myślach zacząłem precyzować życzenia do spełnienia.

\* \* \*

Anis.

Zadzwoiła siostra.

Ojciec nie żył. Stałem przy oknie. Mżyło. Liście były szklście zielone, a kora drzew niemal czarna. Przez ulicę przebiegała kobieta w ciemnym kostiumie i z bardzo białymi nogami. Lubiłem, gdy padał taki delikatny, szary deszcz. Czułem się wtedy bezpiecznie we wnętrzu mego mieszkania. Umarł na rozległy zawał. Tak szybko, że mama nie zdążyła nic zrobić. Zanim przyniosła szklanę mleka, o którą poprosił, był już martwy.

300

Odwrociłem się od okna, zamknąłem oczy i zobaczyłem go, ale nie jak pieprzy się z mężczyzną, tylko jak siedzi ze mną w deszczu w Afryce i patrzy na stadko pawianów, które skakały i dokazywały, usiłując łapać chmary latających termitów. Aaa, szkoda, że tego nie widziałś, takie to urocze. Niemal poezja: taniec w delikatnej mżawce i wyłapywanie skrzydlatych termitów z powietrza.

Zeenat podeszła do mnie. Wyczułem w niej pewną lekkość, a zarazem niepewność.

- Co się stało? - spytała.
- Mój ojciec umarł.
- Spotkacie się w innym świecie - pocieszyła mnie.
- Tego się właśnie obawiam - odparłem sucho.

Ujęła moją twarz w dłoń i odwróciła w swoją stronę. W ostrym świetle wyglądała inaczej. Jej skóra miała w sobie bladość. Już zdążyłem zapomnieć, że jej oczy mają brązowe cętki. Oczy lśniące, wielkie i przejrzyste. Jak wampiry żyliśmy nocą i kryliśmy się w ciągu dnia.

Przyszło mi do głowy, żeby namalować ją w tym brzydkim, szarym świetle. Nie chciałem iść na pogrzeb, trzymać matki za rękę i kłamać, jak bardzo jest mi przykro, że jej mąż hipokryta nie żyje. Posadziłem Zeenat przy oknie. Przeważnie malowałem ją w nocy. Teraz mijały godziny, a ja wciąż malowałem. Światło zmieniało się, dwukrotnie przerywaliśmy, żeby sobie wstrzyknąć. Czasami oczy zamykały jej się, jak zwykle, ale mimo to malowałem. W pokoju ściemniło się i nawet w półmroku nie chciałem przestać. Aż nagle przypomniałem sobie dokument mego ojca: „Przeczytać dopiero po mojej śmierci”.

Odłożyłem pędzel i delikatnie wzięwszy to dziecko z parapetu okna, zaniósłem je do mego łóżka. Ostrożnie przykryłem pokryte bliznami ramiona.

Drzwi otworzyła mi siostra. Nie byliśmy ze sobą blisko. Wyszła za mąż i miała dzieci, ale ja nawet nie wiedziałem, ile. Patrzyła na mnie w milczeniu, krytycznie. Mnie przypisywała całą winę za zerwanie więzi z ojcem. To ja byłem samolubnym, niewdzięcznym brutalem w wysnutym przez nią melodramacie.

Minąłem ją. Hol pełen był ludzi stojących w grupkach, rozmawiających przyciszonymi głosami. Wszyscy podnieśli głowy

301

i spojrzeli na zbłąkanego syna, sławnego i lekko stukniętego. Gdy mama przytuliła mnie, stałem sztywno, nieco zażenowany uściskiem obwisłego ciała. Zmarszczki na jej skórze zaczynały wydzielać zatęchły zapach starości. Koniecznie trzeba było uratować ją przed tym ohydny dokumentem.

W gabinecie ojca zamknąłem za sobą drzwi.

Wciąż miał to samo hasło, co było do przewidzenia. Głupiec. Sprawdziłem każdy plik, ale wyglądało na to, że wszystko zostało starannie wyczyszczone. Przecież nie miałyby serca tego zniszczyć, przynajmniej nie całkowicie. Musiał zachować gdzieś na dyskietce. Rozpocząłem poszukiwania. Zimne, precyzyjne, dokładne. Szukałem wszędzie. Nie było takiej teczki, której bym nie otworzył, segregatora, który nie zostałby sprawdzony, książki, której stronic bym nie przekartkował. Otwierałem szafki, szuflady, sprawdzałem za obrazami, nawet wpełzłem pod biurko w poszukiwaniu skrytek. Potem coś mnie napadło i zaatakowałem scyzorykiem kanapy. Najpierw były to krótkie nacięcia, później długie, głębokie szramy. Na nic. Zerwałem wykładzinę. Znowu nic. Czy to możliwe?

Że zniszczył to dawno temu? Że rzeczywiście nie chciał, żebyśmy to zobaczyli? Może źle go osądziłem. Może wcale nie chciał, byśmy się dowiedzieli o jego podwójnym życiu. Dobrze. Niech matka i siostra wierzą, że był idealnym mężem i ojcem. Niech sobie mają te swoje wspomnienia.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich mama. Stara, wątpa i ubrana na białą. Zamknęła drzwi i weszła głębiej do środka, ze smutkiem w oczach rozglądając się dokoła. Wszystko na nic. Spojrzała na mnie i skraj sari okrywający głowę opadł jej na ramię. Jakże się postarzała! W jej włosach pełno było srebra. Oczy budziły litość.

Co pomyślała? Że szukam testamentu? Że chcę pieniędzy ojca? Zakryła twarz rękami i kołysała głową na boki jak otępieła z bólu zwierzę. Patrzyłem na nią w milczeniu. Jej smutek i ból były mi obce. Nie wiedziała tego, co ja. Podeszła bliżej i stanęła przede mną. Bardzo delikatnie jej stare palce zaczęły muskać moją twarz, brwi, powieki, po krzywiźnie nosa doszły do ust, a potem w górę do kości policzkowych. Jakby była ślepa. Jakby delektowała się tym momentem, starając się na zawsze zachować

302

moją twarz w pamięci. Kiedy jej palce dotknęły mego obojczyka, wyraźnie rysującego się pod skórą, gdzieś z głębi jej piersi dobyło się westchnienie.

- Czy dharmą artysty jest cierpienie? - spytała cicho, jakby mówiła do siebie. - Znam tylko dharmę bycia żoną i matką.

Nagle ujrzałem nas troje: matkę, siostrę, która miała wtedy zaledwie trzy lub cztery lata, i siebie, siedzących w ogrodzie na tyłach domu w cieniu chlebowca. Jedliśmy mangostany z wielkiego kosza. Ileż setek zjadaliśmy tego w każdym sezonie! Były to ulubione owoce mamy.

Sięgnęła w fałdy sari i wyciągnęła dyskietkę.

- Tego szukałeś? - spytała, a jej zapadnięte oczy uważnie wpatrywały się w moje.

W tym momencie żołądek mi się ścisnął, kolana zmieniły się w galaretę i omal nie osunąłem się na ziemię. Włożyła mi do ręki dyskietkę, a ja wpatrywałem się w nią, kompletnie nic nie rozumiejąc. Kiedy podniosłem na matkę skołowany wzrok, jej oczy nie domagały się już współczucia, ale same współczuły. Ona wiedziała. Dharma syna polega na tym, aby inni, patrząc na niego, wykrzykiwali zazdrośnie: „Co zrobił ten człowiek w swoim życiu, że zasłużył na tak cudownego syna?”. Zawiodłem, jeśli chodzi o moje powinności. A jednak patrzyła na mnie łagodnie i dobrotliwie. Pokiwała głową, jakby rozumiała i wybaczała, po czym odwróciła się, chcąc odejść. Była już przy drzwiach i dotykała klamki.

- Od jak dawna wiesz? - spytałem. Mój głos był szorstki, obcy.

- Zawsze wiedziałam - odparła, ponownie zakrywając głowę sari. Otworzyła drzwi i wróciła do gości przybyłych na pogrzeb. Jej dharmę wypełniła się.

\* \* \*

Nutan.

Nigdy nie przestałam kochać babki, ale mijały dni, potem tygodnie, a ja ani razu o niej nie pomyślałam. Czułam się winna, naprawdę winna, ale nic nie mogłam na to poradzić. Zostałam narkomanką. To odniosło nade mną zwycięstwo. „Jest brown? Muszę, choćby odrobinę”. Jakże żałowałam, że nie można zawrócić

303

wskazówek zegara. Czułam się taka samotna. Od tygodni się nie myłam. Woda była dla mnie za zimna. W szafce nie było jedzenia, ponieważ przestałam jeść. Schudłam dziesięć kilo. Byłam odrażająca. Nienawidziłam siebie. Miałam ochotę zamknąć się w domu na klucz. Nie widzieć nikogo. I tylko brać narkotyki. Brałam przed pójściem spać i brałam po obudzeniu. „Poproś w aptece o to różowe opakowanie z ośmioma igłami, dobrze?”

Nie widywałam już rano listonosza, ale pewnego dnia przyszedł list od Nenek, którego nie mógł tak po prostu wrzucić do skrzynki, tylko trzeba było potwierdzić odbiór podpisem. Zawstydziałam się, widząc przerażenie malujące się na jego twarzy. Tak wiele się zmieniło, odkąd ostatni raz piliśmy razem kawę, przegryzając ją czymś słodkim.

- Dobrze się czujesz, złotko? - spytał. Wymamrotałam coś, podziękowałam mu i zatrzasnęłam drzwi. Nenek włożyła do listu korzeń cynamonu. Zamknąwszy oczy, wdychałam ten zapach. O, Nenek! Miałaś rację. Po stokroć miałaś rację. Otworzyłam list.

Wyrzucała mi, że nie dostała odpowiedzi od żadnej z nas. Zmarszczyłam brwi, usiłując przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz pisałyśmy. Czy rzeczywiście minęły aż dwa miesiące? Nenek donosiła, że

ojciec ma zamiar napisać do swego krewnego i poprosić go, by sprawdził, co się z nami dzieje. Wyskoczyłam z łóżka, poszperałam w walizce, znalazłam numer stryja i pobiegłam do najbliższej budki telefonicznej. Tak strasznie dyszałam po biegu, że musiałam trochę postać przed budką, żeby uspokoić oddech. Potem zadzwoniłam pod numer, który dał mi stryj. Ręce mi drżały. Odebrała jego żona.

Powiedziałam jej, że gdyby ojciec pisał, iż niepokoi się o nas, niech się tym specjalnie nie przejmują. Wszystko jest w porządku. Odparła, że list od ojca przyszedł już cztery dni temu. Szybko zapewniłam ją, że mamy się świetnie. Właśnie byliśmy na krótkich wakacjach w Paryżu. Zdaje się, że jej ulżyło. Stryjowi na pewno niepotrzebny jest taki dodatkowy kłopot. Odwiesiłam słuchawkę. W przyszłości musiałyśmy być bardziej ostrożne. Gdyby przyjechał...

Usiadłam na łóżku i napisałam do Nenek. Długi list. O tym, jak byliśmy z Zeenat przez trzy tygodnie w Paryżu. Że było

304

cudownie. Oglądałyśmy pomniki, piękne stare domy i romantyczne mosty z żółtymi latarniami. Zwiedzałyśmy galerie sztuki i stałyśmy pełne podziwu przed wieżą Eiffla. Plotkarskim tonem napisałam jej o Francuzach, o uroku mężczyzn i elegancji kobiet. O, a czy wiedziała, że Francuzi prawie się nie kąpią? A w ogóle to jedzą surowe ostrygi, skropione odrobiną soku z cytryny. Dodałam, że też skosztowałam jednej i że była obrzydliwa. Taka oślizgła. I tak dalej, wypisywałam różne rzeczy, o których słyszałam od Ricky'ego. Kiedy przelewałam te moje kłamstwa na papier, po twarzy spływały mi gorące łzy.

Skończywszy pisać, stanęłam przed lustrem, kompletny wrak, i obserwowałam, jak sobie wstrzykuję. Oczy miałam świecące niczym tłuste od oleju kamyki. Czy to prawda? Czy rzeczywiście aż tak bardzo siebie nienawidziłam? Dlaczego? Czym ja sobie na to zasłużyłam? Na wbijanie igły w ramię. To boli, kiedy się wbija igłę w ramię. O tym się nie mówi, prawda? Dziwne. Co będzie dalej? Podetnę sobie żyły? „Czy możesz sprawić, żebym była taka jak dawniej? Jest mi naprawdę źle”.

\* \* \*

Ricky.

Jest taka piosenka, którą śpiewała moja córka. Nazywa się „Dziesięć zielonych butelek”. Wymyśliłem nowe słowa do tej piosenki. Nazwałem ją „Dziesięć włoskich restauracji”. Nowe słowa pasują, kurwa, jak ulał.

Sprzedalem następną. Musiałem. Moje finanse były fatalnie zabagnione. Fass musiał odejść na emeryturę. Drugie oko odmówiło współpracy. Znalazłem nowego księgowego, Anglika, ale kiedy nakreśliłem sytuację, wyraz uprzejmego zainteresowania malujący się na jego twarzy ustąpił miejsca odrazie. Pod tym względem chylę czoło przed Fassem. Moralność nigdy mu specjalnie nie

przeszkadzała w pracy. Wiele zdziałał, nie mrugnawszy nawet okiem. Pod koniec rozmowy II inglese wyprostował się sztywno i stwierdził dobitnie, że nie interesuje go księgowość kreatywna w żadnej postaci. Nadęty palant.

Słyszałem o księgowym, Chińczyku w Soho, który podobno jest dobry. Mam jego numer. Muszę tylko znaleźć czas, żeby

305

zadzwonić do faceta. Pięć włoskich restauracji wisi na ścianie. Jeśli jedna z nich przez przypadek zleci...

\* \* \*

Francesca.

Usłyszałam, jak matka mówi:

- Allora, teraz mąka. A dzieci spytały:

- Jak to, wszystko od razu?

Piekły dla mnie coś, czego i tak nie będę w stanie zjeść. Zamknęłam oczy i próbowałam odgrodzić się od ich głosów. Przez to znowu poczułam się winna. Byłam złą matką. Pomyślałam o sobie jak o cierpiącym wilku, z łapą uwięzioną w żelaznym potrzasku i krwawiącym obficie. Wyjęcym z bólu, ale warczącym na każdego, kto zbliża się, żeby mu pomóc. To wielkie szczęście, że matka zajęła się dziećmi.

Tak bardzo schudłam, że mogłam policzyć wszystkie żebra, ale na początku, kiedy pierwszy raz zauważyłam, że chudnę, pomyślałam: cóż, to niemal warte tych cierpień. A potem osunęłam się na podłogę w łazience i płakałam, ale tak cicho, że nie sędzę, by ktokolwiek słyszał.

Gdybym zeszła na dół, śmiech dzieci umilkłby, matka powitałaby mnie z fałszywą pogodą, a ojciec udawałby, że się uśmiecha. Nie chcieli widzieć, jak cierpię. Odchodząc od Ricky'ego, nie wyobrażałam sobie, że będzie to aż tak bolało. Wydawało mi się, że jestem silniejsza. Byłam taka wściekła, podejmując decyzję o rozstaniu, że aż stępiło to moją zdolność odczuwania. Ale gdy minęło trochę czasu, bolesne poczucie straty stawało się coraz większe i coraz trudniejsze do zniesienia. Ledwo zmuszałam się do wstania z łóżka. Najlepiej czułam się w ciemnym pokoju, leżąc bez ruchu w jednej pozycji.

Zegarek przy łóżku wskazywał, że zbliża się pora lunchu. Zwlokłam się z łóżka. Włosy, proste i brudne, związałam w koński ogon. Zeszłam na dół. Zanim otworzyłam drzwi do kuchni, miałam już przyklejony uśmiech do twarzy. Dziewczynki zeskoczyły z wysokich stołków i patrząc na mnie uważnie, podeszły nieśmiało.

- Robimy dla ciebie ciasto czekoladowe. - Najwyraźniej miały ochotę, bym je przytuliła, ale tylko stały grzecznie i czekały. Niepewne, czy można się do mnie zbliżyć.

Matka wytarła ręce w fartuch i wzięła książkę z lodówki. Przeszła na włoski:

- Córka Imuli, która jest psychiatrą, poleca ci tę książkę do przeczytania.

Przypomniało mi się, co Ricky powiedział o mojej matce. Kiedy krytykowałam jego matkę, mówiąc, że jest to osoba, która wprawdzie zbudowałaby bibliotekę, ale zamiast półek z książkami miałyby płyciny z wymalowanymi grzbietami książek, on tylko zaśmiał się kpiąco i powiedział: „A bibliotekę twojej wypełniłby kto inny”.

Wzięłam do ręki książkę Clarissy Pinkoli Estes zatytułowaną Biegnąca z wilkami. Zbieg okoliczności. Czyż dopiero co nie porównywałam siebie do rannego wilka?

- Idź i poczytaj, a ja przyniosę ci kawę - zachęciła matka. Także dlatego, żeby uciec od pogodnej atmosfery panującej w kuchni, wzięłam książkę i wyszłam. Zwinięta w kłębek w ulubionym fotelu ojca, zaczęłam czytać. W pewnej chwili matka dotknęła mego ramienia, a ja uświadomiłam sobie, że nawet nie słyszałam, jak wchodziła. Tak bardzo pochłonięta byłam lekturą. Matka postawiła kawę na stole i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Od czasu do czasu mruczałam do siebie: „To racja. Tak naprawdę jest. Tak, oczywiście...”

Wielu rzeczy dowiedziałam się o sobie. Dowiedziałam się, że jestem wilczycą i że mój cień ma cztery łapy. Tylko nikt nie nauczył mnie wyć. Natrafiłam na historię o tym, jak pewien okrutny człowiek zamknął psa w drucianej klatce, do której podłączony był prąd. Na początku płynął po lewej stronie klatki. Pies szybko się nauczył, że trzeba trzymać się prawej strony. Wtedy elektryczność popłynęła z prawej, więc pies uciekł na lewą. Znowu zmieniły się zasady gry i znów pies wrócił na prawą stronę. Ponownie zmieniono stronę i potem jeszcze raz. Później prąd płynął w całej klatce i włączany był w nieregularnych odstępach czasu. Pies nauczył się, że niezależnie od tego, gdzie się znajduje, zawsze go boli. Poddał się i siedział potulnie w jednym miejscu, przyjmując wstrząsy. A wtedy okrutny człowiek otworzył drzwi klatki. Myślisz,

że pies uciekł? Tego należałoby się spodziewać, ale ja z góry wiedziałam, że nie wyjdzie. Pozostał w klatce i dalej znosił ból.

Naukowcy nazywają takie zachowanie „wyuczoną bezradnością”. Tak właśnie stało się ze mną. Sparaliżowana bólem, siedziałam i tylko patrzyłam na otwarte drzwi. Ale nic więcej. Podjęta spontanicznie decyzja powrotu do domu była ze strony mojej złaknionej duszy pierwszą próbą konkretnego rozwiązania sytuacji. Tak długo tkwiłam w małżeństwie bez miłości, oderwana od sycylijskiej ziemi, że sama myśl o powrocie tam budziła lęk. Karmiona ciągle łamanymi obietnicami, stałam się bezlitosna dla samej siebie. Zagryzłam usta, zasłoniłam oczy i zatkałam uszy, by stać się czymś, czym wcale nie byłam. Czymś, czym w ogóle nie powinnam być.

Zaprzedałam marzenia o chlebie wyrabianym w drewnianej dzieży.

Ostrożnie na palcach wróciłam na górę i zamknęłam się w moim dawnym pokoju. Nie chciałam, żeby mi przeszkadzano. Jeszcze nie. Z dna szafy wyciągnęłam starą drewnianą skrzynkę, którą dostałam od babci. Otworzyłam ją i weszłam w inny świat. Zrobione w domu lalki z kukurydzy, sosnowe szyszki, niebiesko żółte szklane kulki, kilka książek i ukochana aksamitna sukienka. A pod tym wszystkim moje trzy „Księgi Ważnych Chwil”, przewiązane niebieską wstążką. Ojciec kupił je dla mnie w Anglii, kiedy byłam dzieckiem. Rozwiązałam niebieską wstążeczkę i otworzyłam je. Ujrzałam rządki równego dziecięcego pisma. Moje małe marzenia. Wymknęła mi się łza i spłynęła w dół. Dotknęłam jej. To nie był wcale smutek. Przysięgam, że nie. To był moment zadumy nad czymś utraconym.

Nad wszystkim, co porzuciłam dla Ricky'ego.

Zdjęłam skuwkę z niebieskiego markera i w „Księdze Ważnych Wydarzeń” wpisałam drukowanymi literami słowa: ODESZŁAM OD MĘŻA.

W „Księdze Dobrych Pomysłów”: JADĘ DO DOMU ROBIĆ OLIWĘ.

A w „Księdze Radości”: HA, HA, HA, MYŚLAŁ, ŻE JESTEM PSEM, A JA JESTEM WILKIEM.

Przycisnęłam wszystkie trzy mocno do piersi. Czekala mnie długa walka, ale teraz już wiedziałam, że nie jest beznadziejna.

308

Byłam w stanie tego dokonać. Zeszłam na dół i otworzyłam drzwi salonu. Moje dzieci oderwały buzie od telewizora. Uklękałam i przywołałam je gestem, a one na czworakach przyszyły do mnie i rzuciły się w moje otwarte ramiona. Jakże mocno maleństwa się do mnie tuliły! Muszę je tak kochać, żeby nauczyć je pewności siebie pozwalającej na bezpieczne oddalenie się. Muszą być silne, gdy dorosną, muszę nauczyć je miłości. Tak bardzo je z Rickym skrzywdziliśmy. Spojrzałam na ojca.

- Tato, chciałabym kupić kawałek ziemi na Sycylii.

Ojciec uśmiechnął się. Był to uśmiech spokojny, ale pełen ogromnej radości i satysfakcji.

- Ziemia już dawno czeka na ciebie - odparł. Uśmiechnęłam się przez łzy. Ach, tato, przygotowałeś się na moment mojego przebudzenia.

- Pamiętasz Tota? - spytał. Skinęłam potakująco.

- Jego matka sprzedała mi kawałek ziemi, który miał być dla niego. Nieduży, ale wystarczy. Nie ma tam jeszcze studni. Jak będziesz chciała, to wykopieśmy, za jakieś trzy tysiące funtów. Jest całkiem spora stodoła, gdzie przed wojną rodzina Tota trzymała pszenicę. W kilku miejscach ściany skruszały, ale w sumie trzymają się nieźle. Własnymi rękami i ciężką pracą stworzysz tam dom dla siebie i swoich dzieci. Widzisz, praca cię uleczy. Wierzę w ciebie. Rób tę swoją oliwę, córeczko.

\* \* \*

Październik 2000.



Bruce.

To wtedy, kiedy z Elizabeth poszliśmy do Anisa, żeby podrzucić mu trochę towaru, opowiedział mi o dotknięciu ziemi przez Buddę.

- Mogę? - spytała Elizabeth.

- Są do niczego. - Najpierw odmówił, ale potem zmienił zdanie i skinął przyzwalająco. Zaczęła oglądać płótna odwrócone do ściany. Nie wygłaszała żadnych uwag, dopóki nie doszła do obrazu Buddy.

- Dlaczego jego ręce nie są w zwykłej pozycji? Myślałam, że zawsze spoczywają na kolanach.

Wtedy Anis, oparty o obraz, opowiedział nam legendę o kuszeniu Buddy. W piątym tygodniu po dostąpieniu oświecenia Budda medytował pod drzewem bodhi i wtedy zjawiła się przed nim mara, demoniczna, olśniewająco piękna dakini, kusicielka, usiłująca sprowadzić go ze słusznej drogi. Jasna, świetlista istota unosiła się przed nim w powietrzu, roztaczając woń tysięcy kwiatów. Nawet słońce wzięło udział w spisku i aby nie stanowić konkurencji dla promienistego ciała demona, skryło się za czarną chmurą. Zrobiło się ciemno jak w nocy. Mara rozpoczęła swój uwodzicielski taniec i wykorzystując wszystkie znane sobie sztuczki, obiecywała nieopisane rozkosze, a na koniec rzuciła Buddzie na kolana żółty hibiskus, będący zaproszeniem do miłości.

Budda wyciągnął prawą rękę i dotykając ziemi, wezwał ją na świadka, że ani na moment nie uległ pokusie. Tak wielka była siła woli Buddy, że ziemia mu odpowiedziała: sześciokrotnie zadrżała na dowód, że nie zszedł z wybranej ścieżki.

- Dotknięcie ziemi. Co za niezwykła historia - mruknęła Elizabeth, patrząc w zamyśleniu na obraz.

310

\* \* \*

Anis.

Gdzie podziała się dawna namiętność? Było mechanicznie i okropnie, kiedy spróbowaliśmy. Bardzo ją kochałem, ale teraz zawsze byłem zmęczony. Może gdybym nie był taki osłabiony, a ona taka wątpiła i chora. Leżałem w łóżku apatycznie, bojąc się, że ją utracę, a jednak nie mogłem myśleć o niczym innym, tylko o następnym ciemnym, spowolnionym śnie.

\* \* \*

Nutan.

Gdy wszedł Ricky, siedziałam na jego łóżku i wstrzykiwałam sobie heroinę. Patrzyliśmy na siebie i na kilka sekund twarz stężała mu od szoku i niedowierzania. Zareagował z niebywałą agresją: szybko podszedł i wyrwał igłę. Trysnęła krew. Rzucił strzykawkę na drugi koniec pokoju, złapał mnie, wywłócił z łóżka i zaciągnął przed lustro.

- Spójrz - powiedział. - Popatrz, czym jesteś. Wstrętną ćpunką.

W jego pełnych obrzydzenia oczach zobaczyłam samą siebie. Po raz pierwszy naprawdę siebie zobaczyłam. Och, jak okropnie wyglądałam! Policzki miałam zapadnięte, włosy potargane. A oczy!

- Rzuć to gówno albo nie przychodź tu więcej - zagroził głosem pełnym odrazy. Uwierzyłam, że mówi bardzo poważnie. Odepchnął mnie. Upadłam na podłogę, a on spojrzał na mnie z góry. W długim, uważnie taksującym spojrzeniu malowała się jedynie wzgarda. W jego oczach byłam odrażająca. Nie przejąłby się wcale, gdybym więcej nie przyszła. Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Chciało mi się płakać, ale jeszcze bardziej chciałam tego, co zostało w strzykawce. Pamiętałam okropny widok własnej twarzy w lustrze, ale jeszcze bardziej potrzebowałam narkotyku. Ruszyłam na czworakach w jego stronę. Wtedy Ricky wrócił do pokoju. Bez słowa wziął strzykawkę i wyszedł. Powoli wstałam z podłogi. Pełna obrzydzenia do samej siebie, podeszłam do drzwi. Z salonu dobiegały głosy. Czy oni wszyscy widzieli to samo, co ja przed chwilą zobaczyłam w lustrze?

311

Gdzieś tu był grzebień. Nie mogłam go znaleźć. Zawstydziłam się. Przesunęłam palcami po włosach. Ręce drżały mi z przerażenia. Widzisz, ja naprawdę zobaczyłam siebie. Pamiętałam, że w jednej z szuflad powinna być szminka. Zaczęłam jej gorączkowo szukać. Przepęłniało mnie takie samo obrzydzenie, jakie zobaczyłam w oczach mego kochanka. Znalazłam szminkę, nie moją, innej kobiety. Ręce drżały mi tak mocno, że nie mogłam jej nałożyć. Obrzydliwość. Musisz mi wierzyć, że naprawdę nienawidziłam siebie w tym momencie. Najbardziej na świecie pragnęłam, żebyśmy z Zeenat przestały. Już jakiś czas temu zaczęłam bać się tego niebezpiecznego błota, w którym się pływiłyśmy. Bałam się, że sięga nam już do pasa. Bałam się, że stanie się jeszcze głębsze i że utkniemy w nim. Musimy przestać. Jeszcze nie zaszłyśmy za daleko.

\* \* \*

Ricky.

Cztery włoskie restauracje wiszące na ścianie.

Tak jest, musiałem sprzedać następną. Bo od dłuższego czasu nie płaciłem podatków od wynagrodzeń pracowników i nabierały się karne odsetki. Zawsze cię w końcu dopadną. To niesprawiedliwe, ale cóż poradzić? Płacisz najbardziej sprzedajnym bydłakom na świecie. Kucharzom. Dajesz im po pięćdziesiąt funtów za zmianę i wydawałoby się, że na tym powinien być koniec. A tu figa. Dochodzi jeszcze ubezpieczenie społeczne i podatek. Księgowy, Chińczyk, zasugerował wyjście regularnie stosowane przez innych jego klientów. Pożar w tej restauracji, która najbardziej potrzebuje remontu. Oczywiście wszystkie rachunki giną w płomieniach. Ubezpieczenie zazwyczaj pokrywa straty.

Mój Boże, ten człowiek był jeszcze bardziej bezwzględny niż Fass. Patrzyłem na niego z podziwem, ale nie do końca byłem przekonany do jego koncepcji. Pewnie w tym momencie pojął, że jestem troszkę inny niż jego stali klienci, przeważnie Chińczycy. Czarne oczy nie przejęły się tym wcale. Padła inna propozycja równie korzystnego rozwiązania. Zniszczyć wszystko i udawać, że zgubiłem w taksówce, jadąc do księgowego. Pokiwałem

312

głową. Bardziej w moim stylu. Zrobiłem tak, a on dokonał szacunkowej oceny moich dochodów. Zaniżonej. Jeszcze zostały mi pieniądze ze sprzedaży restauracji. Myślałem o tym, żeby skończyć z freebase. Chciałem powrotu Franceski i dzieci. To moja rodzina. Dzieci mnie potrzebują. Są ciałem z mego ciała i krwią z mojej krwi. Przeszanę, kiedy tylko zechcę.

\* \* \*

Nutan.

Zamknęłam nas na klucz. Anis poszedł do szpitala, ale my obie, Zeenat i ja, nauczone przez Nenek nieufności do szpitali, robiłyśmy to na własną rękę. Już sam zapach szpitala nas przerażał. Na szczęście Bruce'owi udało się zdobyć dla nas lekarstwo na złagodzenie objawów głodu narkotycznego. Zaczęły się od razu: kurcze, bóle, drgawki kończyn, pocenie się i głód heroiny. O Boże, ten głód! Żeby go zagłuszyć, połykałyśmy coraz więcej pigułek. Od nich miałyśmy skołowaciałe języki i zeszywniałe stopy. Z odrętwiałych ust kapą nam ślina.

Pamiętam, jak Zeenat powolnym ruchem położyła mi rękę na głowie.

- Przepraszam - wybełkotała niewyraźnie. - Gdyby nie ja, nie byłybyśmy tutaj.

Z wielkim trudem utrzymywałam otwarte powieki.

- Nie szkodzi. Nie płacz - mamrotałam.

Nagle okazało się, że wzięłyśmy za dużo pigułek i nie miałyśmy ich już więcej, żeby złagodzić ból i ten niedający się opisać głód. Wzdłuż i wszerz przemierzałyśmy mały pokój, miotając się jak oszalałe zwierzęta, wzrok miałyśmy dziki i zdesperowany. Palce Zeenat nerwowo bębniły po różnych

powierzchniach. Co chwila jej ciałem wstrząsały gwałtowne drgawki. Moim też. To było ohydne. Zupełnie nie można było nad nimi zapanować.

Nagle odwróciła się do mnie, jej oczy płonęły dziko w umęczonej twarzy.

- Może...?

- Nie! - krzyknęłam.

- Błagam, błagam.

313

- Nie - powiedziałam twardo.

- Proszę. Tylko ten jeden raz. - Zaczęła naciągać kurtkę. - Zrozum. Już dłużej tego nie zniosę - zawyła, doprowadzona do szału. Stojąc przede mną, bezradnie ścisnęła brzuch i nagle wystrzeliła z niej fontanna wymiotów. Pokryta własnymi rzygowinami, cały czas trzymając się za brzuch, jęczała: - Proszę, proszę, daj mi klucz.

Widziałam ją jak przez mgłę i prawie jej nie poznawałam. W nabiegłych krwią oczach płonęła straszliwa żądza, usta poruszały się gorączkowo, w końcu upadła przede mną na kolana i żałośnie błagała o klucz. Diabelski proszek wzywał ją. Nauczył nas języka dzikiego i uwodzicielskiego jak język dzikich zwierząt. Trzymał ją mocniej niż mnie. Dłużej z nim przebywała i dlatego cierpiała bardziej niż ja. Jak oszalała kręciła się dokoła w desperacji. Zwierzę w klatce. Podbiegła do drzwi i zaczęła w nie kopać. Hałasu narobiła strasznie, ale trzymały mocno.

- Dawaj klucz! - wrzasnęła na mnie. Tylko ja wiedziałam, gdzie jest schowany.

Podbiegła do okna. Otworzyła je i zanim zdążyłam do niej dobiec, wyskoczyła i spadła na markizę nad barem z kebabami. Była tak chuda, że markiza wytrzymała jej ciężar. Usłyszałam trzask rozdieranego materiału. Zsunęła się w dół na plecach i wylądowała na chodniku jak kot na czterech łapach. Nie podniosła nawet głowy, żeby zobaczyć, czy patrzę. Po prostu oddaliła się ulicą, utykając mocno. Musiała natychmiast strzelić sobie działkę. Patrzyłam za nią, dopóki nie skręciła za rogiem, nieumyta, w podartych dżinsach, z zarzyganymi włosami i ubraniem. Po jej odejściu nie było sensu dłużej cierpieć. To właśnie robi narkoman. Szuka pretekstu.

Sięgnęłam po klucz. Czułam się tak źle i ręce tak bardzo mi drżały, że nie mogłam otworzyć drzwi, więc - w co teraz aż trudno uwierzyć - rozważałam możliwość wyjścia w ten sam sposób co Zeenat. Ale w końcu drzwi ustąpiły i zataczając się, zeszedłam po schodach. Ja też musiałam sobie strzelić. Wezmę na kredyt. Z pewnością mi nie odmówi, kiedy zobaczy mnie w takim stanie. Nawet jeśli odbiło mu od władzy, jaką dają nad innymi prochy, będzie widział przecież, że jestem tylko widmową skórą, jaką zostawia po sobie wąż.

314

\* \* \*

Bruce.

Razem z Elizabeth i Maggie poszliśmy odwiedzić Anisa. Przeżyłem szok, kiedy zobaczyłem, że skrzydło szpitala, w którym przebywa, bardziej przypomina szpital dla umysłowo chorych. Zewsząd dobiegały płacze, krzyki i zawodzenia, a on został tak nafaszerowany morfiną, że leżał na łóżku i z ust kapała mu ślina. Na nasz widok usiłował usiąść, ale nie był w stanie. Wyglądał okropnie.

- Pomóż mi pochodzić - rzekł niewyraźnie, oczy mu błyszcząły.

Dźwignąłem go do pozycji siedzącej. Był niewiarygodnie drobny. Mocno wbił mi przy tym łokcie w dłonie. Pomogłem mu wstać z łóżka i bardziej przeciągnąłem go, niż przeprowadziłem po pokoju. Nogi miał jak z ołowiu. Nie miało to większego sensu. Zaprowadziłem go z powrotem do łóżka, a on zwałił się na bok.

- Straszne - wymamrotał. Maggie się rozplakała.

- Będzie dobrze - pocieszyłem go.

-Jasne... wszystko jest... po wariacku... jak jesz i pijesz w krainie czarów. - Próbował się uśmiechnąć, przy czym pociekło mu jeszcze więcej śliny. Maggie szybko wytarła mu usta. Gołą ręką. Zaskoczył mnie ten jej odruch, poczułem równie odruchowe obrzydzenie.

- Powinni pokazywać takie obrazki w telewizji. Nikt nie chciałby wtedy nawet tknąć narkotyków - powiedziała Maggie. W jej głosie słychać było tłumione łkanie. Objąłem ją i poklepałem.

- Hej, nie jest aż tak źle. A będzie o wiele lepiej, jak już Anis przejdzie ten etap leczenia. Przez cierpienie do gwiazd.

Kiwnęła głową, ale w jej oczach wciąż lśniły łzy. Miała takie miękkie serce. Spojrzałem na Elizabeth. Siedziała nieruchomo i patrzyła na Anisa. Pobyliśmy u niego jeszcze chwilę, obserwując, jak ciężko walczy sam ze sobą, żeby nie zasnąć. W końcu poddał się i zapadł w sen. Nawet przez sen jęczał, jego ciałem wstrząsały drgawki, nogi odruchowo kopały, czasem tak gwałtownie, że aż wyrывało go to z letargu. To był potworny widok.

315

Po wyjściu stamtąd Elizabeth zaproponowała, żeby sprawdzić, co się dzieje z bliźniaczkami. Próbowały rzucić narkotyki na własną rękę, ponieważ obie nie znosiły szpitali. Nie ufały im. Poza tym ich wizy już się skończyły i bały się, że zostaną deportowane. Uważałem, że to kiepski pomysł, ale załatwiłem im od znajomego mojego znajomego trochę środków uspokajających.

W ich mieszkaniu zastaliśmy drzwi otwarte, a dziewcząt nie było. Pokój wyglądał tak, jakby przeszedł tam huragan. Moje wrażliwe oczy od razu spostrzegły, że nawet ściany zachlapano były wymiocinami. Zapach był tak kwaśny i wstrętny, że aż samemu zebrało mi się na wymioty.

\* \* \*

Nutan.

Zeenat i ja stałyśmy się drażliwe i opryskliwe. Warczałyśmy na siebie. Pewnego dnia zarzuciła mi, że wzięłam pieniądze z kieszeni jej džinsów.

- Tylko sześćdziesiąt pensów na słodką bułkę - broniłam się, ale nie uwierzyła mi. Rzeczywiście ukradłam jej pieniądze. Tylko w ten sposób mogłam zdobyć działkę.

Coraz gorzej wyglądałyśmy. Któregoś dnia Zeenat schyliła się, żeby podnieść z podłogi džinsy, i wtedy zobaczyłam, że wszystkie kości jej sterczą. Czasami odnosiłam wrażenie, że patrzy na mnie z nienawiścią w oczach. Ale zaraz też myślałam, że to przecież niemożliwe. Kochała mnie. Gdyby mnie nie kochała, nie wychodziłaby po to, żeby zdobyć pieniądze dla nas obu. Nie wiedziałam, skąd je bierze, skoro nie ma Anisa. Czyżby zaczęła kraść? Kochała mnie. Wiedziałam, że mnie kocha. To ten zazdrosny narkotyk. Nie zostawiał przestrzeni dla innej miłości.

\* \* \*

Bruce.

Była czwarta rano. Poszła już cała koka i Ricky właśnie skrobał wierzch telewizora, wdychając ostatnią kreskę. Jemu i Maggie strasznie chciało się jeszcze. Zaczęli wydzwaniać, ale nikt

316

nie miał, a jeśli mieli, to nie sprzedawali. Wtedy Ricky wpadł na pomysł.

- A może pokruszymy pigułki nasenne i to będziemy wdychać?

Słyszał, że podobno to też daje dobry odlot. Maggie była za. W chwilach, gdy Maggie tak rozpaczliwie potrzebowała sniffa, a jej twarz śmiertelnie bladła i pod rozgorączkowanymi oczami pojawiały się ciemne pierścienie, zaczynałem zdawać sobie sprawę, jak okropna potrafi być nawet kokaina. Co mnie naprawdę u niej niepokoiło, to podrażniona skóra z boku nadgarstka, który zazwyczaj odruchowo zasłaniała drugą ręką, o czym zapomniała, kiedy była na silnym haju. Skóra była opuchnięta, fioletowa i ohydna. Cała trucizna, którą wprowadzała do swego ciała, zbierała się w tym jednym miejscu. Ricky też miał coś takiego. Bardzo brzydkiego. Na ramieniu.

Byłem zmęczony i chciałem już iść do domu. O pierwszej miałem spotkanie z dyrektorem banku, a nie zanosilo się na zbyt dobre nowiny. Już od jakiegoś czasu stan mego konta był niski, zatrważająco niski. Chciałem odprowadzić Elizabeth do domu, a potem wcale nie wachać, tylko połknąć kilka tabletek nasennych, nastawić budzik na dwunastą i walnąć się spać. Ale Elizabeth uparła się, że zaczeka na Maggie.

Ricky pobiegł na górę i wrócił z garścią rohypnolu. Pomogliśmy mu pokruszyć tabletki. Maggie wzięła pierwszą kreskę, a Ricky, zachłanny jak zawsze, zaaplikował sobie naprawdę potężną dawkę. Niewiele potem zostało i resztę zaproponował Elizabeth, ale ona nie chciała. Bardzo uważała. Nigdy nie brała czegoś, o czym nie wiedziała dokładnie, jaki będzie miało efekt. Zapewne bała się powierzyć swoje sekrety nieznanym substancjom. Lubiła kontrolować sytuację. Wołała zaczekać i zobaczyć, co będzie z Rickym i z Maggie. Więc Ricky wciągnął też ostatnią porcję.

Maggie zareagowała pierwsza. Weszła na stolik, stanęła na palcach i wyciągnęła się jak baletnica, która ma zaraz wykonać piruet albo skok. Ale tylko przechyliła się w tył i upadła. Ricky ją złapał. Zaczął się śmiać.

- Wszystko w porządku, Bella? - spytał. Spojrzała mu głęboko w oczy i uśmiechnęła się dziwnym, krzywym uśmiechem.

317

Siedząca obok mnie Elizabeth poruszyła się niespokojnie. Ricky posadził Maggie, a ona wysunęła się z jego ramion i podeszła do okna. Otworzyła je i zaczęła wychodzić. Wszyscy rzuciliśmy się w jej stronę. Wciągnęliśmy ją z powrotem.

- Chciałam latać - wyjaśniła Maggie ze świecącymi oczami. Odwróciła się do mnie. - Wiesz, że Beth potrafi? Już to robiła. Nic nie może się z tym równać, prawda, Beth? Ach, wyjść przez okno! Wiatr, co pędzi na spotkanie. Jak ptak. Wolna.

Zaciągnęliśmy ją z powrotem na kanapę. Wtedy nagle Ricky zaczął się dziwnie zachowywać. Kilka razy przesunął ręką po włosach i zamrugał szybko. Znałem to spojrzenie. Był silnie nakręcony. Maggie podeszła do niego. Złapał ją i zaczęli się dziko całować: języki, zęby, głośne cmoknięcia.

- Pójdziemy? - spytałem Elizabeth.

Ale równie nagle Ricky odepchnął Maggie i zaczął się nerwowo kręcić po mieszkaniu.

- Zróbmy coś. Zróbmy coś. Urządzmy imprezkę. Nie, orgię -mrucał. I wtedy nagle powiedział: - Ktoś ma chęć na muzykę? - Wziął gitarę i trzasnął nią o ścianę. Poszedł gryf. Oj, niedobrze, poszukałem spojrzenia Elizabeth. Było czujne.

Ricky chodził w kółko jak oszalone zwierzę.

- Hej, gdzie jest koka, co? Macie telefon? - Wyglądał strasznie. Maggie zdjęła bluzkę i wachlowała się rękami.

- Boże, ależ tu gorąc - powiedziała. Zacząłem się poważnie niepokoić.

- Uau, już wiem - oznajmił Ricky i ni stąd, ni zowąd brutalnie porwał Elizabeth z kanapy. Mocno przycisnął do siebie jej szczupłe ciało, niemal je miażdżąc. Zrobiło mi się niedobrze.

- Co by powiedziała nasza pajęczycza, moja mała Elizabeth, gdybyśmy się tak troszeczkę pobzykali? Co? Tutaj. Teraz. Co?

- Przestań, Ricky - rzuciła stanowczo Elizabeth, odpychając go obiema rękami, ale on tylko mocniej ją ścisnął.

- Tu jest raj. Żadnych węży, pamiętaj - powiedział i złapawszy jej kark w żelazny uścisk, zaczął ją całować. Tak na serio. Widziałem, jak stara się ją zmusić, żeby otworzyła usta. Jej rozpaczliwe wysiłki na nic się zdawały. Zrobiłem krok naprzód.

- Ej, ty! - zawołałem. Ale on drugą ręką już zaczął podciągać jej spódnicę. Błysnęło jasne udo.

318

Zrobiło mi się czarno przed oczami. Rzuciłem się w ich stronę.

- Ricky! - wrzasnąłem, a kiedy podniosłem głowę, wymierzył me cios. Dostał w podbródek i stracił przytomność. Zwalił się na plecy. Elizabeth kucnęła przy nim. - Zaczął tracić panowanie nad sobą - powiedziałem tonem wyjaśnienia. Elizabeth milczała.

Nagle jakiś dziwny głosik wymówił imię Maggie. Obejrzelismy się i zobaczyliśmy, jak skulona w kącie pokoju sama siebie woła po imieniu. Był to okropny, budzący dreszcze dźwięk:

- Maaagiiieeee, Maaagiiieeee! Elizabeth podeszła do niej.

- Co się dzieje, Maggie? - spytała cicho.

- Nie rozumiesz. Nigdy nie zrozumiesz.

- Czego nie rozumiem? - usłyszałem głos Elizabeth.

- Ach, nieważne. Zapomnij. Tylko naucz mnie latać. Ufam ci. Tobie jednej ufam. Nie zawiedziesz mnie, prawda? - Podciągnęła się do góry i spojrzała na nas, a potem wymamrotała: -W głowie mi się kręci. Pomóż mi, Beth. Pomóż mi.

- Zaczekam z nią, dopóki narkotyk nie przestanie działać -powiedziała do mnie Elizabeth. Nie miałem odwagi zostawić jej sam na sam z Rickym. Na wypadek, gdyby po ocknięciu się znowu dostał szału.

- Zaczekam z tobą.

- Dziękuję - odpowiedziała i choć głos miała zdławiony, nawet nie podniosła głowy, żeby na mnie spojrzeć.

\* \* \*



Anis.

Pojechałem po Maggie do jej mieszkania. Mieszkała w brzydkim bloku na dziewiątym piętrze. Tak wysoko, że dokoła hulał wiatr i miało się wrażenie, jakby zbierało się na burzę. Jak w latarni morskiej ustawionej niebezpiecznie blisko skraju przepaści. Pionowa ściana, a w dole rozszalałe morze.

Samo mieszkanie było dość obskurne, ale niepozbawione uroku, który nadawała mu niewiarygodna wprost liczba książek należących do Maggie. W salonie mieściła się prawdziwa biblioteka.

319

Książki stały w kilku rzędach na półkach, ich równe kolumny podtrzymywały szklany blat służący za stolik do kawy, a zbudowane z nich wysokie stopy po obu stronach drzwi zwieńczone były staroświeckimi mosiężnymi świecznikami. Zastawione były nimi całe ściany, leżały też na każdej dostępnej powierzchni. Dwa koty, jeden szylkretowy, drugi nieprzystępny i śnieżnobiały, z zadziwiającą zwinnością przemykały wśród nich jak wśród wież. Byłem zaskoczony bogactwem tego księgozbioru. Obejmował książki z dziedziny poezji, historii, sztuki, filozofii oraz wiele dzieł sławnych pisarzy.

Maggie przyniosła na małym talerzyku owoc persymony pokrojony w ćwiartki.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że interesujesz się też rzeczami, które nie szkodzą twemu zdrowiu - powiedziałem, siadając na szaro białej sofie i biorąc do ręki książkę o Freudzie. Otworzyłem ją. - A o nim co sądzisz?

- Mówi się, że był to seksualnie zrepresjonowany oszust, który nigdy nikogo nie wyleczył. Natomiast Jung to co innego. Bardziej w twoim typie. W poprzednim wcieleniu był tybetańskim lama.

- Ty wierzysz w reinkarnację? - zdziwiłem się.

- Jestem katoliczką, Anis. Wierzę w Sąd Ostateczny. Szylkretowa kotka przyszła sprawdzić, co się dzieje. Pogłaskałem ją po głowie.

- Nie uważasz, że Lilly jest urocza? Bo Wellington to próżny, samolubny drań, a nie kot. Prawda? - powiedziała, uśmiechając się z uwielbieniem do Wellingtona. Biały kocur siedział nieruchomo i patrzył.

- Przeczytałaś to wszystko?

- Tak, i jeszcze Czarodzieja z Oz. Zaśmialiśmy się oboje.

- Proszę, weź je - powiedziała i wcisnęła mi w ręce kilka pięknie oprawionych książek z dziedziny filozofii.

- O! - Zaskoczyła mnie tym. - Dzięki. Chętnie pożyczę i powiem ci, co o nich myślę.

- Nie oddawaj mi ich. Chcę, żebyś je zatrzymał. Do ciebie bardziej pasują. Jedną chwileczkę, tylko włożę buty. - Byłem poruszony. Zaczęła wkładać baletki.

320

- Dlaczego nosisz baletki?

- Och, Anis. Poproszę inny zestaw pytań.

- Dobra. Dlaczego bierzesz narkotyki?

- Myślę, że mam osobowość skłoną do uzależnień, a może też noszę w sobie ukryte pragnienie śmierci.

- Samobójstwo?

- Żeby smażyć się w piekle przez wieki? Nie, raczej poczekam. Poza tym samobójstwo wymaga odwagi.

Przyjrzałem się jej. A więc nie była jak owad; skrzydła, nogi, oczy - wszystko zbudowane z tej samej substancji, pochodnej cukru. Tu, w latarni morskiej, wcale nie sprawiała wrażenia, jakby jej jedynym celem w życiu było zdobywanie narkotyków. Moje oko artysty zaczęło dostrzegać w niej niezwykłą istotę. Ona była wręcz piękna w tej swojej bladości i znużeniu życiem. Spytałem, czyby mi pozowała.

- Dobrze - odparła, wzruszając ramionami. Zawiozłem ją do siebie.

- Pozwolisz mi się namalować bez baletek? - spytałem. Przez chwilę wahala się, po czym zdjęła je. Jej stopy były

widmowo białe, na brzegach różowe i delikatne. Poruszyła palcami. Nagle zapomniałem o wszystkim, a wtedy na moment stała się czysta jak dziecko. Przyszedł mi pomysł do głowy. Zacząłem mieszać farby, a ona chodziła po pokoju, z zachwytem patrząc na obrazy. Coraz bardziej ją lubiłem. Podobało mi się nawet to jej chodzenie na bosaka i zaglądnienie do moich obrazów. Zeenat wykazywała kompletny brak zainteresowania moją pracą. Natomiast Maggie miała niezłe oko, jeśli chodzi o sprawy techniczne. Zawsze do bliższego przyjrzenia się wyciągała najlepszy obraz.

Wypatrzyła niedokończony portret Swathi, upchany głęboko za innymi. Ten, który przestałem malować w dniu, w którym zadzwoniła jej ciotka i powiedziała, że ona nie żyje. Wyciągnęła obraz.

- Och, Anis - szepnęła, unosząc prawą rękę i zakrywając usta. Kucnąwszy na podłodze, patrzyła na obraz. Kiedy się odwróciła, oczy miała zalęknione, jakby już знаła moją odpowiedź na pytanie.

- Gdzie ona teraz jest?

321

- Nie żyje - odparłem krótko.

Maggie spojrzała na mnie i znowu na obraz.

- Dlaczego jej nie dokończysz? Zimno jej i czeka. Czuję smutek. Jej i twój.

Bose stopy podeszły zbyt blisko. Jak dziecko niefrasobliwie przekroczyła bariery.

- To co? Zaczynamy? - spytałem.

- Co mam robić?

Poszedłem do sypialni i głęboko w szufladzie znalazłem pewną książkę. Wylałem ją o spodnie z kurzu i podałem Maggie.

- Czytaj to na głos, kiedy cię będę malował - poleciłem. Wzięła książkę.

- Dharma? - spytała.

- Obowiązek - odparłem. - Obowiązek każdej żywej istoty jest święty i nie wolno go lekceważyć. Czy jest się nauczycielem, lekarzem, ojcem, matką, architektem, muzykiem czy kurtyzaną. Każdego dotyczy to w równym stopniu. - Nie odrywałem wzroku od płótna, ale miałem świadomość, że z pełną powagą otworzyła leżącą na jej kolanach książkę na stronie, gdzie tkwiła zakładka. Zaczęła czytać.

- „Dharma kurtyzany to otrzymywanie pieniędzy za przyjemność. Jej obowiązkiem jest malować koralową barwiczką usta, czarną zdobić oczy i wcierać szafran w piersi, aż zaczną lśnić. Do jej jaskini wkroczy bez miłości wiele tygrysów, a choć zabawią krótko, musi traktować wszystkich jednakowo, jak najbardziej szacownych gości. W południe może wetrzeć perfumy w czoło i przejść tą samą ulicą, co człowiek, który w nocy ujeżdżał ją jak konia, a w pełnym świetle dnia krzywi się z niesmakiem. Obowiązkiem nocnej klaczy jest zapomnieć”.

Urwała, a ja nie patrząc na nią, opowiedziałem jej historię, którą słyszałem od dziadka.

- Król starożytnego miasta Takskaszila spytał swego nadwornego astrologa, dlaczego miasto cierpi straszliwą suszę. Odpowiedź była zaskakująca: „Celibat to jadowity wąż, którego płodność omija z daleka”. Suszę powodowało duchowe gorąco wydzielane podczas nieustannych modlitw ascetów, medytujących w królewskim lesie. Rozwiązanie było proste: „Sprowadź

322

kurtyzany z całych Indii. A gdy przystąpią do swej pracy, spadnie deszcz”. Król zaprosił kurtyzany i zaczęło padać. Umilkłem, Maggie czytała dalej.

- „Ani ślubny palankin, ani deszcz ryżu nie stanie się jej udziałem, ale prostytutka może czerpać dumę z istotnej natury swojej roli, gdyż nawet obchody ku czci bogini Druga Ma nie odbędą się bez zebrania odrobiny ziemi z jej ogrodu. I przychodzić będą do niej wysoko urodzeni i możni, z girlandą jaśminu wokół lewego nadgarstka. A jej dłonie, czerwone od henny, dotkną wówczas łańcuszków z dzwoneczkami na jej kostkach. Będzie ciągle tańczyć dla swych gości. A wtedy może uprzejmy człowiek, zachwycony gracją jej ruchów, nazwie ją tancerką”.

W tym momencie zauważyłem jej spojrzenie, które padło na leżące na podłodze baletki. Po twarzy popłynęły łzy. Nie mogłem pozwolić, żeby przerwała czytanie. Obraz czekał.

- Czytaj dalej - poleciłem. Koniecznie musiałem do końca zobaczyć serce i duszę, które zraniłem.

- „W dawnych czasach była szlachetną uzdrowicielką i wysoką kapłanką, zarabiającą pieniądze dla świątyni, w której mieszkała. Wiedziała też, że dzieli dharmę lotosu. Skazana na życie w szlamie, na to, by dolne partie jej ciała pozostawały w stałym kontakcie z nieczystością, a jednak ona sama pozostać musi nieskażona brudem. Czyż nie dzieje się tak, że ten sam niemy szlam, który pragnie ją

zbrukać, milcząco zakrywa jej najbardziej mroczne sekrety? Któż poważy się zaprzeczyć czystości lotosu? Z pewnością nie szlam".

Na stronicę otwartej książki upadły łzy. Powinienem być podejść do niej, pocieszyć ją, ale nie mogłem. Kropla łzy załśniła w padającym z tyłu świetle, a wtedy pędzel w moim ręku zaczął żyć własnym, gwałtownym życiem. Zawiodłem w swojej dharmie jako syn, kochanek, brat, przyjaciel. Jedynie obowiązek artysty został spełniony. Dla oka artysty boleść jest tak naturalna i piękna, że nie może on się jej wyrzec. Nie wiem, ile czasu malowałem łzy kurtyzany. Zdawać się mogło, że wyplakała morze łez.

Teraz może wydać się to dziwne, ale tamtego dnia była to najnormalniejsza rzecz na świecie. Że tak rzewnie płakała nad nieczystym lotosem. To, że jej biedne serce zostało przy tym złamane, wydawało się bez znaczenia. Musiałem namalować łzy

323

kurtyzany. Karę kurtyzany należało uwiecznić na płótnie. Dopiero gdy odłożyłem pędzel, podszedłem i przytuliłem ją.

- Ciii - powiedziałem, a ona natychmiast przestała. Przez długi czas trzymałem jej ciało wtulone w moje, dopóki nie stała się dobrze mi znana. Jak dawno utracona siostra.

\* \* \*

Bruce.

- Cześć, Maggie - powiedziałem, padając na kanapę obok niej. Przerzucała żurnal z modą, wyglądając przy tym na znudzoną.

- Cześć, Bruce.

- Gdzie są wszyscy? - spytałem niedbale.

- Elizabeth piecze ciasto - odparła.

- Co takiego?

- Niespodzianka, co? Ona lubi piec - spojrzała na mnie z boku - i lubi dzieci.

Nie ma co owijać w bawełnę.

- Dlaczego Elizabeth nazywa mnie Myślicielem?

Odwróciła głowę w moją stronę i na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Ten uśmiech Maggie... Sprawiał, że niezależnie od tego, co powie, nie będę jej miał tego za złe.

- Taki irlandzki zwyczaj. Przewisko wręcz odwrotne do tego, jaki naprawdę jesteś.

- Ładne rzeczy!

- Ale wiesz, że tak naprawdę to ona wcale tak nie uważa.

- Masz ochotę wyskoczyć na drinka?

- Jasne - zerwała się natychmiast. Spojrzała na mnie z góry: - No co? Idziemy?

Zabrałem ją do baru Ashleya. Piliśmy sobie miło, aż w końcu nawet pisarze o najbardziej ciętym języku i zazwyczaj niezwykle precyzyjni w swoich wypowiedziach zaczęli wygadywać kompletne bzdury pod wpływem alkoholu.

- Jest mi dobrze, tak trzymać! - wydarłem się pijackim głosem.

- Wiesz, że naprawdę groźne psy trzymają ci, którzy mają największą potrzebę chronienia siebie.

324

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Sama widzisz, jak bardzo byłem pijany.

- Nic takiego. Kochasz Beth?

- Kocham - oświadczyłem uroczyście.

- Czy obiecasz mi, że się z nią ożenisz?

- Ożenię się.

Wolno pokiwała głową.

- Dobry człowiek z ciebie. Nie zapomnij o swojej obietnicy.

- A namówisz też Elizabeth, żeby obiecała, że za mnie wyjdzie?

- Nie trap tym swojej ślicznej główki. Zostaw Beth mnie. Ja to z nią załatwię. Czy kiedykolwiek myślałeś, żeby to zrobić po afrykańsku? Kiedy to państwo młodzi, aby wyrazić radość, tańczą w kościele?

- Nie. Raczej normalnie poprowadzę ją do ołtarza.

- Ona chce mieć trójkę dzieci.

- Nie mam nic przeciwko temu.

- Jest coś, co muszę ci powiedzieć o Beth - rzekła nagle. Przyjrzałem się jej uważnie. Sprawiała wrażenie, jakby nagle wytrzeźwiała.

- Co takiego?

Odwróciła wzrok i powiedziała cicho i tajemniczo:

- Nie, niech ci powie sama, gdy nadejdzie odpowiedni moment. To i tak nieistotne. Ona myśli, że jest inaczej, ale nie. Sam się przekonasz.

Ashley właśnie wyrzucał pisarzy.

- Już zamykasz?

- Tak, stary. Jest czwarta rano.

Poszliśmy do niego na górę. Miał u siebie ponad czterdzieści gatunków whisky. Spróbowałem wszystkich i poległem na kanapie, podczas gdy Maggie i Ashley cały czas pili i dyskutowali na temat praw gejów.

\* \* \*

Elizabeth.

Anis przyprowadził dziś do mieszkania pisarkę, która nazywa się Rani Manicka. Napisała jedną książkę i zbiera materiały do drugiej. Ubrana była w stare dzinsy i wielki niebieski sweter.

325

Niezbyt wyjściowy strój... poza butami. Były srebrnoszare z różowymi plamkami. Zauważyła, że się im przyglądam, i uśmiechnęła się.

- Prawda, że odlotowe? - spytała. - Robione na zamówienie. Ze skóry łososia. Mam nawet do nich odpowiednie rękawiczki.

- Czytałam twoją książkę - powiedziałam. Wyraźnie ją to zaskoczyło.

- Podobała ci się? - spytała natychmiast z wyraźnym ożywieniem, przez co stała się jakby trochę żalonna, a z drugiej strony dziwnie chwyciła za serce. Bardzo chciała usłyszeć, że książka mi się podobała. Żałowałam, że w ogóle poruszyłam ten temat.

- Właściwie to jeszcze nie skończyłam. To dobra książka, ale ja lubię lekturę nieco więcej wymagającą od czytelnika i mniej komercyjną.

Wtedy spojrzała na mnie zupełnie innym wzrokiem, jakbym jej zdradziła jakąś poufną informację na swój temat. Uśmiechnęła się.

- Twoim zdaniem jest zbyt komercyjna?

- Może...

Niespodziewanie dotknęła mojej ręki.

- No chyba nie jesteś jak ci zimni krytycy, którzy muszą koniecznie deprecjonować wszystko, co wiąże się z emocjami, i nazywać je komercjalizmem? Czy tobie sam intelekt by wystarczył? My, pisarze, jesteśmy odrębną rasą ludzi, nieśmiały i wrażliwych. Powodowani tkwiącą w nas niepewnością, uciekamy od okrucieństwa otaczającego nas świata i żyjemy na kartach naszych dzieł. Czy chciałabyś, byśmy stąpali wyłącznie po gołej ziemi i żywili się zimnym rozsądkiem?

Załatwiła mnie na amen. Na szczęście podszedł do nas Anis, który przyniósł jej dużą szklankę whisky. Dość szybko się upiła i, zapomniawszy o swoim małym notesie, zaczęła wygadywać na jakiegoś krytyka z Hampstead, który zjechał jej książkę. W głowie mi szumiało i miałam ochotę poprosić ją, żeby się zamknęła, ale powstrzymało mnie to, że tak szczerze dorzuciła cztery pięćdziesiątki do naszej zrzutki na kokainę, a sama nawet z niej nie skorzystała. Więc powiedziałam jej tylko, że na ogół krytycy to albo pisarze, którym się nie powiodło, albo początkujący pisarze,

326

i z tego powodu obrażeni na cały świat, więc i tak można spokojnie mieć gdzieś, co sobie myślą. Wolno pokiwała głową.

- Wiesz, dobra z ciebie dusza, ale mnie jest niedobrze - odparła, wstając chwiejnie. Naprawdę źle wyglądała. Zataczając się, ruszyła w stronę drzwi. - Muszę do domu.

W takim tempie nigdy nie napisze swojej książki. Nie miała w sobie czadu, żeby nam dotrzymać kroku. Ricky patrzył na nią z rozbawieniem i lekką pogardą. Maggie odprowadziła ją i Anisa do drzwi. Wymieniły numery telefonów. Czego Maggie mogła chcieć od pisarki, która kompletnie nie umie się bawić? Zapytana przeze mnie, dlaczego dała jej swój numer, Maggie powiedziała:

- Zrobiło mi się jej żal. Przecież bez naszej pomocy ona nie napisze nic wiarygodnego o seksie, narkotykach i rock'n'rollu.

Podaliśmy jej zwinięty w rurkę banknot.

- No dobra, nieważne.

Zaraz po wyjściu Anisa i pisarki przyszli znajomi Ricky'ego, Włosi, i przynieśli spory koszyk świeżych prawdziwków. Zebrali je tego wieczoru w Windsor Great Park. Ricky był w siódmym niebie. Natychmiast przyrządził proste, lecz boskie danie, spaghetti z grzybami. Kiedy zasiedliśmy do stołu, jeden z Włochów powiedział:

- No to teraz przydałoby się parę kurew. A Ricky spojrzał na Maggie i zapytał:

- Chcesz zarobić, Maggie?

Ta wredna małpa Haylee zaśmiała się, a Włosi zachichotali z nadzieją. Byłam tak wściekła, że chciałam go uderzyć, ale nie mogłam sobie na to pozwolić. Nikt nie może zobaczyć prawdziwej Elizabeth. Maggie spojrzała obojętnie na Ricky'ego, ale ja doskonale wiedziałam, że w środku krwawi boleśnie.

- Dlaczego sam nie zarobisz, Ricky? W końcu niezła z ciebie cipa - powiedziałam, odsuwając krzesło.

- Ooo, co za ostre pazurki! - zawyła zachwycona Haylee, a Ricky odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno. Wzięłam Maggie za rękę.

- Chodź, Maggie. Nie musimy tu siedzieć.

Wychodząc z mieszkania, słyszałyśmy, jak Ricky coś powiedział, a potem wszyscy klaskali i krzyčeli.

W taksówce w drodze do Trampa Maggie była bardzo cicha. Choć muła był członkiem klubu, nigdy nie korzystałam z jego nazwiska przy wejściu, ponieważ wówczas mógłby śledzić moje poczynania. Były na szczęście prostsze sposoby. W kolejce osób czekających do wejścia stał mężczyzna w wieku lat trzydziestu paru, góra czterdziestu. Bez namysłu podeszłam prosto do niego. Nie bawiłam się w udawanie nieśmiałej.

- Wprowadzisz nas? - spytałam.

Uśmiechnął się szeroko, nie dowierzając własnemu szczęściu.

- Jasne - odparł. Amerykanin. Całkiem miły facet. Wprowadził nas do środka, kupił drinki i nawet zgodził się sfinansować prochy, ale akurat nikt nie miał nic na sprzedaż. Nawet włoscy kelnerzy. Widziałam, że Maggie jest w coraz większej potrzebie. W jadalni siedziała grupka Arabów, którzy najwyraźniej już coś wączali, ale ich świat był zbyt mały. Nie mogłam ryzykować.

Wróciłyśmy więc do Maggie. Od razu padła na kanapę. Koty przeciągnęły się i przyszły się do niej połaścić. Nagle zerwała się, aż odskoczyły spłoszone, i rzuciła się na kolana.

- Popatrz - powiedziała, ostrożnie zbierając z wykładziny małe białe okruszki. Kokaina. Pieczołowicie ułożyła je w linię. -Chcesz trochę? - spytała.

- Faj - odparłam. - Za nic. Daj spokój, Maggie. Z kocią sierścią?

Ale jej było wszystko jedno. Pochyliła się. Oparta o drzwi patrzyłam, jak wciąga stare brudne kryształki do swego ciała. Poczułam się potwornie nieszczęśliwa.

\* \* \*

Anis.

Maggie otworzyła drzwi i wzięła mnie za rękę.

- Chodź, pokażę ci coś. - Głos jej lekko zadrżał. Nie wiedziałem, co mam o tym myśleć, ale poszedłem za nią wąskim korytarzem. Otworzyła drzwi. Znalazłem się w jej sypialni.

- Patrz - powiedziała.



Całą wolną przestrzeń zajmowały obrazy. Musiało ich być ze trzydzieści lub czterdzieści. Wszystkie wyszły spod tej samej ręki. Świadczył o tym ich styl.

- No i co sądzisz? - Pytanie zadała mi przestraszonym szeptem małej dziewczynki. Puściła moją rękę, a ja podszedłem bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć. Szedłem jak we śnie. Pierwsze wrażenie: trochę jak nie z tego świata i nawet zabawne, ale skąd w takim razie brało się we mnie to porywające uniesienie? Dlaczego po skórze na karku biegały mi dreszcze? Obrazy sięgały ku mnie i dotykały czegoś we mnie w środku. Jakby mówiły na głos i miały niewidzialne ręce. Czy nikt poza mną nie słyszy ich i nie widzi? Czy to możliwe, że to żalosne stworzenie, na co dzień sprzedające swoje ciało, jest naczyniem zawierającym tak niezwykle talent?

Czułem, że w pełnym napięcia milczeniu czeka, co powiem. Na widok jej dzieł zawstydziłem się własnych żalonych prób ośmieszenia ojca za pomocą sztuki. Ta dziewczyna malowała z serca. Nie malowała gniewu, lecz ból. Nie rozdrabniała się, malując śmiech, lecz dodawała czystą radość do swoich fantastycznych barw.

Jej obrazy powinny znaleźć się w muzeum. Nie masz pojęcia, jak niewiarygodne było to znalezisko. Zwykła prostytutka, której nikt nigdy nie uczył malować, tak bez wysiłku tworzyła niezwykle arcydzieła.

Kiedy w końcu odwróciłem się do niej, patrzyła na mnie z wielką uwagą.

- Podobają ci się? - spytała znowu, odważniej tym razem, gotowa na odrzucenie.

- Nie są złe. - Dlaczego nie powiedziałem, że ma wspaniały, wręcz fantastyczny talent? Wcale nie dlatego, że byłem zazdrosny, ale dlatego, że przestraszyłem się. Obrazy były tak dobre, że wymagały właściwego podejścia, postanowiłem więc zrobić jej niespodziankę. Pokażę je w sekrecie mojemu marszandowi i namówię go, żeby urządził jej wystawę. Zrobimy z niej sławę. Czego się bałem? Że nie rozumiejąc wielkości swego geniuszu, za bardzo się pośpieszy i zbyt tanio się sprzeda. Da się oszukać.

329

Wstrzymywane dotąd przez nią powietrze uszło w końcu w postaci długiego, przejmującego westchnienia. Milcząc, podeszła do obrazu przedstawiającego bardzo bladą dziewczynę na baśniowo fioletowej leśnej polanie. Ciało dziewczyny przedstawione zostało w lekkim skręcie, tak że widać było bajeczne skrzydła ważki wyrastające z jej pleców. Na twarzy malował się anielski wyraz niewinności i od razu wiedziałem, że to jest sama Maggie. Ostrożnie zdjęła obraz ze ściany. Przejrzyste niebieskie oczy płonęły wdzięcznością.

- Chcesz go? - spytała. Wziąłem obraz do ręki, nie będąc w stanie wymówić słowa. Zbyt cenny był to prezent. - Ja widzę kształty - wyjaśniła.

Spojrzałem na cudowne światło, na pełne radości ślady pociągnięć pędzla, na dziką, groźną wiszącą skałę, wdzierającą się w głęboki błękit nieba, na cudną niewinność dziewczyny i nie mogłem powstrzymać się, żeby nie zadać sobie w duchu pytania. Jak to piękne dziecko zostało zwykłą prostytutką?

Spojrzałem na nią i odniosłem wrażenie, że czyta w moich myślach.

Zraniona, otworzyła drzwi i wyprowadziła mnie ze swego rajku.

\* \* \*

Nutan.

Zdobyłam heroinę, ale była gówniana. Jak ludzie mogą być tak podli? Naprawdę nie obchodzi ich, że są przyczyną cierpienia? Może zresztą był to po prostu efekt działania narkotyku jako takiego, ale czułam się, jakbyśmy natrafili na wyjątkowo kiepski towar.

Nie mogłam stwierdzić tego na pewno, ponieważ dawno straciłam kontrolę, ale odnosiłam niejasne wrażenie, że bardzo szybko zwiększamy dawkę. Obie byłyśmy w kiepskim stanie. To przez to ciągle przesiadywanie w ciemnym, śmierdzącym pokoju. Jeszcze w dodatku faceci z baru na dole działali mi na nerwy. Któregoś dnia jeden z nich zaproponował mi pieniądze za seks. Kiedy spojrzałam na niego z oburzeniem, rzekł tylko: „Oj, przepraszam, myślałem, że to siostra”.

330

Niechący wstrzyknęłam sobie jedną porcję w ciało, rękę miałam tak spuchniętą i obolałą, że z trudem nią poruszałam. Nienawidzę brudu, a mimo to przez cały dzień leżałam w niepranej od dawna pościeli, słaba i do niczego. Od dawna nie myłam się ani nie kąpałam. Powinno być mi wstyd, a jednak leżałam, czekając na siostrę. Wiedziałam, że zawsze da mi lepszą, większą girlandę.

\* \* \*

Zeenat.

Liście w parku były pomarańczowe i brązowe. Dni stawały się coraz krótsze. Ludzie na ulicach spiesznie mnie omijali. Nienawidziłam ich. Byli zdrowi. Było im ciepło w płaszczach. Ich zimno nie brało się ze środka. Najgorętszy ogień nic nie pomoże, kiedy zimno idzie od środka.

\* \* \*

Ricky.

Zadzwoiłem do brata i powiedziałem mu, że muszę kupić następną restaurację. Czy może sprzedać mój spadek? Potrzebowałem stu tysięcy funtów. Brata aż zatkało, taki to był dla niego szok. No tak, zapomniałem. Ziemi się nie sprzedaje, tylko się ją kupuje i przekazuje z pokolenia na pokolenie.

- No to mnie spłać - zaproponowałem.

On na to, że właśnie zasadził winnicę i nie spodziewa się żadnych zysków przez dwa lata. Spytałem, czy nie mógłby pożyczyć trochę z banku i na przykład przysłać mi połowę. Obiecał, że się postara.

- Jak szybko? - spytałem. - Nie chciałbym stracić tej transakcji.

- Za tydzień - obiecał.

- Świetnie. Ucałuj mamę i tatę. Nie pozwól, żebym stracił tę okazję.

Pieniądze - chwała niech będzie bratu - nadeszły w ciągu tygodnia. Spłaciłem dwóch komorników i zacząłem balować. Ale dwa tygodnie później znów tkwiłem w gównie. Więc sprzedałem

331

roleksa za pięć patyków. Dzień później dostałem list z banku, że coś tam, że dom zostanie zajęty, jeżeli natychmiast nie wpłynie spora suma, już nie pamiętam teraz, dokładnie ile. Prosilili, żebym się z nimi skontaktował. Chcieli omówić sprawę.

- Yafancullo - mruknąłem i zadzwoniłem po firmę przeprowadzkową. W domu były meble warte grube tysiące funtów. Wyznaczcie cenę za wszystko. Facet spojrział na moją nieogoloną twarz i odwrócił wzrok od moich oczu hazardzisty. Drań potarł brodę i powiedział:

- Dziesięć patyków?

Stałem na piętnastu. A bank niech sobie, kurwa, zabiera swój dom. I tak nie był mi potrzebny.

Stałem na środku pustego domu. Przez chwilę doznałem poczucia straty, tak bolesnego, że aż miałem wrażenie, jakby żołądek mi się zapadał. Echo dziecięcych głosików i kobiety wołającej: "Il tavola! Kolacja gotowa!".

Pieprzyć to. Nawet się nie pofatygowałem, żeby zamknąć drzwi na klucz i zgasić światło. Po drodze do mieszkania zadzwoniłem do dealera:

- Ile? - spytał.

- Dużo - odparłem.

\* \* \*

Anis.

Na dworze rozszalała się potworna burza, wiatr z wyciem zamiatał ulice. Stałem przy oknie, patrząc na ostre jak igiełki krople deszczu bębniące o szybę. Bezpiecznik musiał pójść, bo nie mieliśmy światła, ale mnie po prostu nie chciało się majstrować w schowku pod schodami. Zeenat znalazła paczkę świec. Pewnie wzięła wszystkie, bo pokój wyglądał jak scenografia do filmu grozy. Światło świec zmieniło Zeenat w egzotyczną nieznajomą. Czułem się tak, jakbyśmy właśnie spotkali się po raz pierwszy nad płomieniem w pogańskiej balijskiej świątyni.

Siedziała na podłodze z podwiniętymi nogami. Na niebie pojawił się błysk i dotąd mam przed oczami ten moment, kiedy

332

oświetliło ją jaskrawe białe światło. Patrząc wtedy na nią, doznałem szoku. Nie była już tym małym brązowym ptaszkiem, którego zacząłem malować. Stała się dzikim, bezlitosnym drapieżnym ptakiem.

Gdy przyglądałem się potężnemu drapieżnemu ptakowi, w mojej głowie nagle pojawiła się szukająca schronienia mała Maggie. O, Maggie! Tak mi przykro, że przeze mnie płakałaś, ale zobaczyłem cię jako ukończony obraz i w tej postaci piękna byłaś nad wszelki rozsądek. Zaczekaj jeszcze chwilę, planuję dla ciebie niespodziankę. Nie masz pojęcia, w jak piękny sen zmieni się teraz twoje życie.

\* \* \*

Nutan.

Śniłam samą siebie, że leżę martwa na marmurowym blacie. Było mi zimno, strasznie zimno, a dokoła mnie tłoczyły się duchy.

\* \* \*

Ricky.

Kiedy zadzwoniła Elizabeth z wiadomością, że Maggie nie żyje, że wypadła z okna swego mieszkania na dziewiątym piętrze, pewien byłem, że skoczyła. Ta wariatka szukała śmierci.

I znalazła ją pod własnym oknem.

A wtedy Elizabeth powiedziała:

- Pewnie była na rohypnolu i próbowała latać.

Oczywiście, miała rację. Miłość pająka. Za jej sprawą raj stawał się niebezpieczny. Czy to było drobne ostrzeżenie? Żądanie czegoś więcej?

Nadal nic nie pamiętam z tamtej nocy. Tyle tylko, że pomagałem przytrzymać Maggie, kiedy chciała latać, ale od tego momentu mam kompletną dziurę w głowie. Pomyśleć, że rozwaliłem gitarę na kawałki i zupełnie tego nie kojarzę. Gorzej, powiedzieli mi, że upadłem, uderzyłem się w brodę i straciłem przytomność.

333

\* \* \*

Elizabeth.

W nocnej ciszy dziwnie podziałała na mnie wiadomość o śmierci Maggie. W pewnym sensie było w niej nawet coś pogodnego, Maggie odeszła tam, gdzie nie ma już żadnych potrzeb. Czyż sama nie widziałam z bliska oblicza śmierci i czyż od czasu do czasu nie pragnęłam, by znów uderzyła? Mimo iż moja siostra przypominała mi, że kraina umarłych to zimne i ciemne miejsce, śmierć miała dla mnie pewien urok.

Jednocześnie opłakiwałam ją, i to z takim bólem, jak matka trzymająca w ramionach martwe ciało swego najukochańszego dziecka. Dobry Jezu, zmiłuj się. Tęskniłam za nią jak dziecko łkające za zmarłą matką.

Przypomniała mi się noc, kiedy ten szczur ją rzucił, a ona pokazała mi ranę krwawiącą w sercu.

Dlaczego tak cierpliwie znosiła ciernie poniżenia? Czy złożysz hołd jej pamięci i wysłuchasz jej historii? Obiecuję, że nie będzie długa. Była córką prostytutki. Obie mieszkały w brudnej, małej norze, zimnej nawet w lecie. Matka pracowała w bocznych uliczkach, uważając, żeby nie wsiadać do samochodów mężczyzn o pustych oczach. Czasami bywała nieostrożna i wracała do domu posiniaczona, ale jakoś trwała.

Kobiety z ich ulicy zaczęły protestować, więc musiała przyprowadzać mężczyzn do domu. Maggie widziała wszystkich tych brudnych facetów, którzy przychodzili na górę, i słyszała wydawane przez nich sprośne odgłosy.

Miała siedem lat, kiedy matka zauważyła, jak Klaus, jej alfons, delikatnie gładzi nogę jej córki, kiedy ta, siedząc z nim, czytała mu. Po jego wyjściu powiedziała:

- Nigdy nie pozwalaj, żeby cię dotykał.

Życie biegło tak jak przedtem. Maggie spała na kanapie, oni w łóżku.

Pewnej nocy Maggie otworzyła oczy i zobaczyła, że on stoi nad nią. Jego twarz ukryta była w ciemnościach, ale czuła jego zapach, silny i piżmowy. Chciała zawołać matkę, ale nie mogła. Leżała jak

spalizowana na kanapie. Z jej ust dobywały się jedynie słabiutkie jęki, na wpół stłumione, na wpół zagubione w tym dziwnym zapachu piżma.

334

Nagle matka stanęła w drzwiach. Dwa lata żyła w strachu przed tą chwilą. Strzeliła mu w plecy, a on zwał się na Maggie. Matka wyciągnęła ją spod martwego ciężaru, usiadła i zaczęła, aż przyjdą dobrzy ludzie, żeby ją zabrać. Maggie miała babcię mieszkającą samotnie w Irlandii, ale uważano, że jest niezrównowazona i nie będzie w stanie zająć się dzieckiem. Zatem państwo wzięło to zadanie na siebie.

Czasami Maggie pisała do matki do więzienia. Matka twierdziła, że niczego nie żałuje. Że bez namysłu zrobiłaby to samo. Maggie uważała, że to była prawdziwa miłość. Ja nie. Myślę, że jej matka popełniła straszliwy błąd. Nie ocaliła córki. Rzuciła swoje dziecko na ścieżkę zbrukaną stopami zepsutych istot. Żywiły się jej krwią. A ona pokornie nosiła koronę cierniową ich kłamstw.

Czasami myślę o matce Maggie. Siedzącej w więziennej celi, sytej, ubranej, z dachem nad głową, bezpiecznej, z zadowoleniem czytającej kłamstwa córki. Nie miał jej kto powiedzieć, że jej największy akt poświęcenia był daremny.

\* \* \*

Anis.

Strasznie przybiła mnie wiadomość o śmierci Maggie. Było to tak nagłe, tak niespodziewane, że aż nierealne, nie mogło być realne. Spojrzałem na mój niedokończony obraz łez kurtyzany i zwątpiłem we wszystko: w jej spontaniczny śmiech, pierwsze pozowanie, kiedy doprowadziłem ją do płaczu, w skarby znajdujące się w jej nędznym mieszkaniu. Ach, co za strata!

Ale jeszcze gorsze było to, że czułem się bezpośrednio odpowiedzialny. Wtedy w jej mieszkaniu powinienem był powiedzieć głośno i wyraźnie, że obrazy są genialne. To było z mojej strony okrucieństwo i straszne zadufanie w sobie, że nie wyzwoliłem jej od razu tamtego dnia z jej okropnej sytuacji. Mogła skończyć z prostytutką, a może nawet i z narkotykami. Przynajmniej gdyby sprzedała obraz, nie musiałaby wachać sproszkowanych tabletek nasennych. Wszystko mogłem zmienić.

Zmagalem się z poczuciem winy i przegrałem. Było twarde i nieugięte. Nie zgadzało się nawet na moment odpoczynku. „Ty głupcze,

335

ty skończony głupcze - warczało. - Miałeś jej życie w swoich rękach".

Dziwnie ciągnęło mnie do rzeczy związanych z życiem Maggie: do jej mieszkania, książek, jej świata. Poprosiłem Elizabeth

o klucze. Żółto czarne policyjne taśmy zostały już zdjęte. Był wieczór, kiedy otworzyłem drzwi i nagle poczułem się tak, jakbym znalazł się na skraju przepaści i miał zaraz odkryć coś naprawdę ważnego.

Czy była moim odbiciem? Czy to coś w niej, do czego czułem największy wstręt, było dokładnie tą samą bestią, którą wciąż próbowałem zdusić w sobie, ale która nadal żyła w ukryciu? Czy jej potrzeba zapomnienia była także moją potrzebą? Nawet martwe ćmy, które moja babka wymiatała z werandy, wzbudzały zawistne myśli. Były wolne. Nie kryły żadnych brzydkich sekretów.

Książki były wszędzie: Freud tu, Nietzsche tam, Wolter na parapecie, Szekspir przy biblioteczce. Otworzyłem to okno, z którego wypadła, i do środka wdarł się zimny podmuch wiatru. Luźne kartki sfrunęły ze stołu. Zostawiłem okno lekko uchylone i włączyłem elektryczny kominek. Bardzo szybko w małym mieszkanku zrobiło się ciepło i przytulnie. Wyobraziłem ją sobie siedzącą przy kominku w nocnej koszuli, ze stopami opartymi na spłóviałym podnóżku i z szylkretowym kotem śpiącym na jej kolanach. Jedna ręka zagłębiona w kocim futerku, w drugiej otwarta książka. Płomienie kominka rozświetlające pogrążoną w lekturze twarz. Odniosłem wrażenie, że czuję jej obecność.

Prawdziwym powodem, dla którego tu przyszedłem, była chęć zobaczenia niedokończonego obrazu, do którego zrobiła aluzję. Cicho wszedłem do sypialni i znów stanąłem zdumiony. Dokładnie czterdzieści jeden obrazów szeptało do mnie jak duchy. Odwiesiłem na miejsce obraz fioletowej polany, który mi dała, i usiadłem na łóżku, rozkoszując się momentem, w którym otaczało mnie najczystsze piękno. Ona myślała kształtami. Wspaniałymi, odważnymi kształtami.

Przeszukałem szuflady i szafy, przerzucając eleganckie etole i suknie, aż wreszcie wyczułem pod dłonią szorstkie płótno. Jakie sekrety mogą mi powiedzieć zmarli? Gdy wyjąłem obraz, wprost zamarłem. Uśmiechał się z niego słodko złoty chłopiec.

336

Nieukończony fragment twarzy pozostawał płaską czerwonawą plamą, ale dziecięce ręce w bieli i oranżu były wręcz mistrzowskie. W tych rękach kulił się żałośnie najsmutniejszy kot, jakiego widziałem w życiu. Mizerna mordka zwisała między wychudzonymi łapkami, a dziwnie ludzkie oczy były na wpół przymkniętymi dziurami cierpienia. Był to najpiękniejszy obraz, jaki trafił w moje ręce. Jego emocjonalna treść wprost elektryzowała. Piękne dziecko gości, żałosny kot żył.

Pamiętasz, jak mówiłem ci o języku sztuki? Ten kot w ten sam sposób należał do Maggie, co zdarta skóra na fresku w Kaplicy Sykstyńskiej do Michała Anioła. Obraz zatytułowany był po prostu „Chłopiec i kot” i gasił moje „łzy kurtyzany”, które wypadały przy nim blado i mdło. W czerwonawym świetle lampy Maggie „Chłopiec i kot” żyli tak, jak chciała tego artystka. Wiecznie. Zapragnąłem mieć go dla siebie. A może? Wystarczy podmienić fioletową polanę na ten... Przecież wartość pieniężna byłaby o wiele mniejsza, więc nie skrzywdziłbym potencjalnych spadkobierców ziemskich dóbr Maggie.

Zszedłem na dół i przyniosłem płótno, sztalugi i farby. Usiadłem przy stole i zacząłem robić szkice: włosów, ramion, nóg, baletek, ale nie twarzy. Twarzy nie umiałem oddać. Na stoliku pod ścianą stała jej fotografia. Długo na nią patrzyłem. Została zrobiona w klubie nocnym. Nie było to złe zdjęcie, ale czegoś mi w nim brakowało. Jakby prawdziwa Maggie gdzieś się schowała. Odłożyłem szkice i wyjrzałem przez okno. W dole były światła, samochody, ludzie.

Wiatr zmierzwił mi włosy. Tamtego dnia musiała wyjść na gzyms. Wyszedłem przez okno i stanąłem na gzymsie. Stałem tak, jak zapewne stała ona... na skraju odkrycia. Przeklęty niech będzie Ricky, że wprowadził w jej życie rohypnol. Była katoliczką. Sama z siebie by nie skoczyła. „Nie mam odwagi” - powiedziała. A ja jej uwierzyłem. Tragiczna śmierć musiała chwycić ją za kostki.

Stanąłem na jednej nodze. Czy miałbym odwagę? Silny powiew wiatru uderzył we mnie i omal nie straciłem równowagi. Natychmiast moje ręce, nogi i mózg rzuciły się w stronę ocalenia. Wróciłem do środka, cały drżący. Ona skoczyła, ja nie miałem odwagi.

337

Było zimno, więc zamknąłem okno i położyłem się do jej łóżka. Poduszka pachniała perfumami, czymś delikatnym i kwiatowym. Zgasłem lampkę przy łóżku i przez kilka godzin leżałem bezsennie. Jakbym czekał, że ona wróci. W końcu nad ranem przysnąłem i zobaczyłem ją przycupniętą na łożu suchych liści; światło księżyca padało na jej twarz. Ręce miała zagrzebane w szeleszczących liściach, a na twarzy cudownie szalony uśmiech. „Posłuchaj ziemi -szeptala. - Przeżuwa wszystko, co dzisiaj pochowaliśmy”.

Gdy obudziłem się, światło dnia ukośnie padało na obrazy. Efekt był rewelacyjny, ale przestraszyłem się, gdy usiadłszy na łóżku, wziąłem mylnie swoje odbicie w lustrze za kogoś obcego. Jak dziwną dziewczyną była Maggie! Pierwszą rzeczą, jaka ją czekała po przebudzeniu, było spotkanie z lustrem. Wisiało przekrzywione. Podeszedłem, żeby je wyprostować, i za nim znalazłem jej pamiętnik.

Otworzyłem elegancki, oprawiony w skórę zeszyt, i mój wzrok padł na słowa:

Zaproszenie na pogrzeb Maggie MacFadden.

Zamknąłem pamiętnik z trzaskiem. Skąd wziął się ten strach? Nagle poczułem się intruzem w domu Maggie. Piękne obrazy patrzyły na mnie wrogo. Nie miałem pozwolenia na czytanie jej myśli. Zadzwoiłem do Elizabeth. Zapadła tak przejmująca cisza, że pomyślałem sobie, iż rozmowa została przerwana, ale wtedy wydała z siebie dźwięk, który zabrzmiał jak stłumione westchnienie.

- Będę za pół godziny. Poczekać na mnie.

Zabrałem pamiętnik do kuchni i usiadłem na krześle, czekając na nią. Czarne mrówki na okiennym parapecie otoczyły grudkę dżemu. Patrzyłem, jak znikają w dziurze w ścianie. Zadzwoił brzęczyk. Wpuściłem Elizabeth.

Spojrzała na mnie uważnie.

- Przyniosłam ci śniadanie - powiedziała, mijając mnie i idąc do kuchni. Jej włosy były białe w świetle poranka. Była niewątpliwie bardzo piękna, ale nigdy nie miałem ochoty jej malować. Miała zbyt zimną i twardą urodę. Wystarczyło popatrzeć, jak Bruce się przez nią męczył. Otworzyła okno. Aż do tej chwili nie zwróciłem uwagi na koci zapaszek.

Odwrociła się do mnie i uśmiechnęła się. Nie odpowiedziałem jej uśmiechem.

338



Z papierowej torby wyjęła croissanty i dwa styropianowe kubki z kawą, a z torebki małą porcję masła i dżemu truskawkowego.

- Cukier?

Skinąłem głową. Wsypała torebeczkę cukru do jednego z kubków. Potem otworzyła kredens i wyjęła talerze i noże. W słonecznej ciszy zasiedliśmy razem do pierwszego wspólnego śniadania. Usiadła i zaczęła smarować masłem croissanta. Zrobiłem to samo. Były jeszcze ciepłe.

Czułem się z nią dobrze. Jakbyśmy byli bliskimi przyjaciółmi. Bardzo dziwne uczucie, zważywszy na to, jak przedtem szczerze nie lubiłem tej kobiety. Kiedy skończyliśmy, zgarnęła okruszki z talerzy na parapet. Ona i mrówki od dawna się znały. Wyciągnąłem pamiętnik.

Spojrzała w dół na swoje dłonie.

- Kiedy pączek jest młody, trzyma się mocno drzewa, ale kiedy rozkwitnie, chętnie opada na wyciągniętą dłoń. Maggie pożegnała się z tobą, dając ci obraz fioletowej polany. To była najcenniejsza rzecz, jaką miała. Powiedziała mi, że w tym miejscu była kiedyś odważna i szczęśliwa. - Elizabeth patrzyła na mnie uważnie, tym razem bez uśmiechu. - Powiedziała mi też, że dała ci swoje najlepsze książki do przeczytania. - Jej wzrok padł na pamiętnik w moim ręku. - Ale tego ci nie dała.

Co ona mówi? Maggie wiedziała, że umrze? Że skoczy? Że Maggie zrobiła coś tak niekatolickiego? Że mała Maggie miała odwagę, której ja nie miałem?

- Ale ona powiedziała mi, że jest katoliczką...

- Ach, Anis, choć Maggie uwielbiała dzieła Nietzschego, jedyną rzeczą, jaką z niego cytowała, był wyświechtany frazes „ostatni chrześcijanin umarł na krzyżu”.

- A co z rohypnolem?

- A co ma być? Przecież doskonale wiedziała, jak na nią działa.

Nagle poczułem się zdradzony. Maggie sprzedała się. Była geniuszem i nie wypełniła swojej dharmy.

Wtedy Elizabeth opowiedziała mi o powracającym koszmarze, który dręczył Maggie przez ostatnie dwa lata. Czasami nawet kilka razy w tygodniu i zawsze w kolorze. W tym śnie zamknięta była w publicznym szalecie. Wszędzie leżały ekskrementy, na podłodze,

339

na ścianach, w umywalkach, na lustrze, nawet sufit był nimi pokryty. Czasami, gdy rozpaczliwie usiłowała się wydostać, zdarzało się, że ich dotknęła. Wtedy zjawiała się jej matka. Ona też była brązowa i błyszcząca. W wyciągniętej ręce trzymała obraną ze skórki ćwiartkę jabłka dla Maggie. Obrzydzenie, jakie ogarniało Maggie, było tak straszne, że budziła się, zdyszana i nieszczęśliwa.

Maggie, którą znałem, widniała już tylko we wstecznym lusterku i szybko małała.

- Czy wiesz, co jest w pamiętniku? - spytałem, podnosząc go do góry.

- Nie, ale jestem pewna, że są to rzeczy nie dla naszych oczu. Uważam, że powinniśmy go spalić. Ze względu na Maggie.

Nikt mi nie chce nic mówić - pomyślałem, patrząc na zamkniętą, pełną tajemnic twarz Elizabeth. Wolno przesunąłem notes w jej stronę. Zdjęła skórzaną oprawę, po czym spaliliśmy go w kuchennym zlewie. Po kilka kartek naraz. A potem opuściliśmy stopy cudownych książek, smutne genialne obrazy i wiatr, niestrudzenie wyjący za oknem.

Kiedy szliśmy do samochodu, nagle zrozumiałem, dlaczego, pomimo wszelkich starań, mój ołówek nie odnalazł twarzy Maggie. To dlatego, że nie chciałem jej zobaczyć takiej, jaka była naprawdę. Próbowałem wygładzić nieprzyjemne, zgrzytliwe fragmenty i nadać jej motywom moją własną, nic niewartą interpretację.

Była prostytutką i myśl ta napęłniała mnie odrazą. Ciało prostytutek były dla mnie jak zbiorniki toksycznych odpadów. Codziennie wlewano w nie potworne ilości nasienia, dając upust niepohamowanej chuci i wyuzdanych seksualnych perwersji. Związek z nimi mógł jedynie zbrukać człowieka. Mimo iż udawałem, że wcale tak nie jest, zaliczałem ją do innego gatunku niż siebie. Nawet jej geniusz nie uczynił z niej w moich oczach istoty pełnowartościowej. Dlatego ostatniej nocy nie pozwoliła mi zobaczyć swojej twarzy. Rozpoznała we mnie hipokrytę. Miała rację, nie ufając mi.

Dziwne, jak w kuchni tragicznie zmarłej kobiety otrzymałem lekcję współczucia. Żeby było śmieszniej, nauczyła mnie tego zimna, twarda Elizabeth. Czyżbym źle zrozumiał tych wszystkich posłańców,

340

których Bóg mi zesłał? Nigdy nie potrafiłem należycie cenić wspomnień. Ja, który miałem przepiękne wspomnienia o Maggie. Omal nie zniszczyłem czegoś bardzo cennego. Znowu.

Po powrocie zastałem w moim łóżku Zeenat.

Sceneria się zmieniła, ale destrukcja pozostała ta sama. Z czułością pogładziłem jej włosy. Były nieumyte. Zauważyłem jeszcze coś. Jej skóra umilkła. Zniknął delikatny zapach pokruszonych kwiatów, jaki kiedyś wydzielala. W cynobrowych płatkach lotosu spała podstępna kobra. Czy jeśli jej nie zbudzę, nie wyśliznie się, kiedy zasnę?

- Kocham cię - szepnąłem smutno.

Nie otworzyła oczu, tylko skrzywiła usta w nikłym uśmiechu.

- Zostawiłam trochę dla ciebie - wymamrotała.

Po tak straszliwej odpowiedzialności kompletny jej brak.

- Dzięki - odrzekłem.

\* \* \*

Bruce.

Zabrałem Elizabeth na lunch, żeby porozmawiać o Maggie. Obiecałem coś Maggie i teraz chciałem dotrzymać słowa. Zamówiliśmy właśnie drinki, kiedy zadzwoniła jej komórka. Wstała, odeszła od stolika i chwilę rozmawiała po arabsku. Kiedy wróciła, okazało się, że musi iść.

- Jasne, idź - rzuciłem zimno, wściekając się z zazdrości.

- Przepraszam - odrzekła i już jej nie było. Patrzyłem, jak wsiada do taksówki.

- Czy to będzie lunch dla jednej osoby, proszę pana?

- Nie będzie lunchu dla nikogo.

Zostawiłem niewielką sumę na stoliku i pojechałem do apartamentowca Elizabeth. Zaparkowałem kawałek dalej przy tej samej ulicy i czekałem. Po mniej więcej godzinie przed wejściem do jej domu zatrzymała się długa biała limuzyna. Pięć minut później stanęła w drzwiach ona. Włosy miała upięte w gładki kok, ubrana była w długą białą suknię z cekinową obrożą na szyi. Schodząc po schodach, lekko unosiła suknię i zobaczyłem, że na nogach ma płaskie, białe sandały. Niewątpliwie bydlak był

341

do tego wszystkiego niski i gruby. Z samochodu wysiadł wielki facet, siedzący obok kierowcy, i pomógł jej wsiąść. Długi samochód odjechał. Aż mi się zrobiło niedobrze. Tu chodziło o pieniądze.

Robiła to dla pieniędzy.

Jednak nigdy nie widziałem, żeby siedziała na forsie. Miała otwarte drogie rachunki w drogich sklepach, ale nie miała żywej gotówki. Arab był cwany. Luksusy, dopóki jesteś moja. Kiedy myślałem o tym, doszedłem do wniosku, że ja też mógłbym pozwolić sobie na tę wyrachowaną sukę. Zupełnie spokojnie. W myślach zobaczyłem jej obraz, jak idzie do Ritza. Do apartamentu w nieodpowiedniej wieczorowej sukni. A on? Czy nie wie, że europejskie kobiety nie noszą ślubnych sukien ani welonów w porze lunchu? Wszyscy w Ritzu będą wiedzieć, po co przyszła. Będą szydzić i mówić: „Oto nadchodzi kurwa”.

Czekałem. Trzy godziny.

Kiedy wreszcie limuzyna wróciła, aż zaczęło mi się gotować w żołądku. Znów wyskoczył ten sam goryl, otworzył jej drzwi, a potem je zamknął. Nawet na niego nie spojrzała ani mu nie podziękowała. Elegancki kok zniknął. Włosy miała jak zwykle rozpuszczone. Odczekałem chwilę i zadzwoniłem do drzwi.

- Tak? - powiedziała.

- Muszę się z tobą zobaczyć.

- Nie teraz, Bruce. Jutro u Ricky'ego. Do widzenia.

- Zaczekaj - powiedziałem. - Co jadłaś? Gapiłem się na czarne usta domofonu.

- Jagnięcinę. Po irlandzku - odparła w końcu, zmęczonym głosem.

- Nie musisz tego robić. Wyjdź za mnie. - Wcale nie miałem zamiaru mówić czegoś takiego. Sądząc po ciszy w domofonie, ona też nie spodziewała się tego usłyszeć. Po czym skopałem wszystko: - Obiecałem Maggie, że się z tobą ożenię. - Kulawe, ale prawdziwe. Tego właśnie chciałem. Zestarzeć się z nią. Cisza trwała dalej.

- Nie stać cię na mnie, Bruce - rzekła szorstko.

- Co? Chcesz całe życie być zwykłą dziwką? - palnąłem.

- Owszem, jestem dziwką, jak mówisz. I co ci do tego? - odparła lodowato i najwyraźniej nie oczekując odpowiedzi, wyłączyła domofon.

342

Trzymałem palec na guziku, dopóki po drugiej stronie drzwi, za bezpieczną osłoną drewna i szkła, nie pojawił się portier.

- Wszystko w porządku, proszę pana? Nadęty kretyn.

- Tak, wszystko w porządku - odpowiedziałem i odszedłem.

\* \* \*

Elizabeth.

Obserwowałam kiedyś małą dziewczynkę po drugiej stronie ulicy. Po deszczu wyszła na dwór w kaloszach. Na początku grzecznie omijała kałuże, ale nie minęło wiele czasu, a zaczęła w nie wchodzić. Kiedy to nie wystarczało, brodziła w wodzie, tupiąc i rozkosznie chlapiąc na ubranie. Tego też było mało. Zdjęła kalosze i nalała do nich wody po brzegi. Patrzyłam na nią z zazdrością; na tę niebywałą przyjemność czerpaną z tego, że jest niegrzeczna i że potrafi się zbuntować. Było to wprost cudowne. Kiedyś ja też nosiłam kalosze. Ja też kiedyś byłam dzieckiem i wiedziałam, czym jest świadomy bunt. Dopóki nie zaprzedałam siebie.

\* \* \*

Bruce.

Byłem w lekkiej depresji. Cholerny Arab mnie tak wykończył. Spędziłem wieczór z Rickym i filipińską prostytutką. Poszło kilka butelek brandy, koki już prawie nie było, więc Ricky popadł w lekką nerwowość. Zdecydował, że pójdzie po więcej, i choć sam już nie chciałem kokainy, dałem mu pieniądze. Niespodziewana śmierć Maggie dotknęła nas wszystkich. Siedziałem, nie mając siły ruszyć się z miejsca. Czułem się coraz gorzej, coraz bardziej podle, jak współwinny. Po wyjściu Ricky'ego oparłem się wygodnie i zamknąłem oczy. Byłem tak zmęczony, że musiałem zasnąć, bo otworzyłem oczy, gdy Haylee delikatnie dmuchała mi w ucho. Przez sekundę wydawało mi się, że śnię. W końcu próbowałem zaciągnąć ją kiedyś do łóżka i okazała się to strefa zakazana.

343

- Cześć - wymruczała.

- Co ty tu robisz? - spytałem mętnie, patrząc na zegarek. Była prawie piąta. Ricky musiał „zapomnieć” wrócić z towarem.

- Właśnie przyszłam z imprezki. Pomyślałam sobie, że może ktoś tu jeszcze nie śpi. - Spojrzała na filipińską prostytutkę, wciąż nieprzytomną po pijaństwie.

- Nie, nie ma już koki. Ricky ulotnił się jakieś dwie godziny temu, niby żeby skołować trochę. No i pewnie znalazł sobie inne towarzystwo.

- Nie ma sprawy, w takim razie się upijmy. - Nalała nam obojgu po solidnej porcji brandy. Wcisnęła mi kieliszek do ręki i usiadła naprzeciwko.

- Chcesz smakowitą plotkę?

- Jasne.

- Ricky przespał się z Zeenat. -Co?

- Aha. Wybiegła stąd rozszlochana. Wiesz co? Założę się, że to przez to gównno, co ona teraz bierze. No i tak się kończy robienie w jajo własnej siostry.

- Czy Nutan wie?

- Nie sędzę. - Zniżyła głos do szeptu. - Nikt nie wie. Tylko ty i ja.

\* \* \*

Anis.

Od razu rozpoznałem w tłumie babkę Maggie. Była to kobieta niespokojna i różowiotka, trochę jak nie z tego świata, w małym czerwonym kapelusiku. Być może widziałem przedtem jej ducha

uśmiechającego się na którymś z obrazów Maggie. Kurczowo przyciskała do brzucha zniszczoną torebkę.

- Dzień dobry. Jestem Anis.

- O! - zaskoczone blade niebieskie oczy obejrzały mnie sobie uważnie.

W milczeniu opuściliśmy lotnisko.

Po zidentyfikowaniu ciała wyszła, mrugając powiekami.

- Nic nie było po niej widać - powiedziała z zadumą. - Pan nie był jej facetem, prawda?

344

Ach, o to chodzi.

- Nie, tylko znajomym.

- Całe szczęście.

Wnuczka nie żyła, ale przynajmniej miała dobry gust, jeśli chodzi o mężczyzn.

- Ma pani ochotę na lunch? - spytałem.

- Nie, nie, dziękuję. Muszę wracać.

- Tak od razu?

- Tak. Usmażyłam dżem malinowy i trzeba go powkładać do słoików. Poza tym ktoś musi nakarmić lisy.

- Zostały obrazy namalowane przez Maggie. Pozwolę sobie zauważyć, że są sporo warte. Może chciałaby pani je zobaczyć?

Wzruszyła ramionami.

- Nie, proszę je zatrzymać.

- Pani mnie nie rozumiała. Warte są kilkaset tysięcy funtów. Jej oczy otwarły się szeroko. Zagryzła dolną wargę, a potem

wysunęła koniuszek języka.

- No to może będzie pan tak miły i sprzeda je w moim imieniu? Cóż za naiwność, że gotowa była w takiej sprawie zaufać obcemu. Co by było, gdyby to Ricky pojechał po nią na lotnisko?

- Oczywiście, chętnie. - To mi się fucha trafiła.

- Dziękuję - uśmiechnęła się jak mała zagubiona dziewczynka, co wzbudziło we mnie chęć pocieszenia jej.

- To był wypadek - powiedziałem.

- A, tak, tak. Oczywiście. - Spojrzała na mnie uprzejmie jasnymi oczami, w których malowało się zakłopotanie. Kompletnie nie znała życia. Przemijając, nie dotykała delikatnie jej policzków, ale okręcało ją dokoła, krzycząc: „Złap mnie, jeśli potrafisz!”. Pomyślałem o mojej własnej babce. Wszyscy uważali, że babka Maggie jest szalona, bo umiała rozmawiać z lisami.

- Krzyczała cały dzień, kiedy była... - Helen urwała raptownie, marszcząc brwi. - Nie, chwileczkę. To moja córka tak robiła. Maggie była najśladszym dzieckiem na świecie. Och, jak mogłam zapomnieć? - Mówiła to cichym, nieszczęśliwym głosem. Usta jej zadrżały, duże krople łez zalśniły na jasnych rzęsach i spłynęły po zniszczonych policzkach. - Zbyt wiele dałam jej matce. Dla Maggie nic nie zostało.

Nagle łzy przestały płynąć.

345

- Czy wiedział pan, jak zarabiała na życie? Nie odrywałem oczu od jezdni.

- Była tancerką, ale powinna była być malarką. Genialnie malowała.

- Wie pan, przeczytałam wszystko na ten temat, o psychopatologii prostytutki. Podobno przyczyną jest podświadome pragnienie zemsty za zaniedbanie w dzieciństwie.

Oderwałem wzrok od jezdni. Nie wyglądała już na tak małą i zagubioną jak przedtem.

- Kiedy była mała, zdejmowała ubranie i stawiała w oknie wychodzącym na ulicę. Zabawne, prawda, że nic wtedy z tego nie rozumiałam.

Odwiozłem Helen i zadzwoniłem do mego marszanda. Powiedziałem mu, że znalazłem fantastyczną malarkę. Że chciałbym, żeby moje obrazy były właśnie takie jak jej.

- Bomba - odparł. - Kiedy mogę ją poznać?

Wtedy powiedziałem mu, że to prostytutka i że już nie żyje. Drań cmoknął głośno i powiedział:

- Och, jak ja cię uwielbiam!

\* \* \*

Nutan.

Stałyśmy się skryte i przebiegłe, a dawki były coraz większe i częstsze. Ukrywałyśmy to przed sobą wzajemnie, kiedy dla nas obu stało się oczywiste, co robi ta druga. Dawna radosna niewinność została utracona na zawsze.

Czasami czekałam, aż ona zaśnie. Kiedy upewniłam się, że śpi, wychodziłam na palcach, ale raz, otwierając drzwi, usłyszałam, że woła za mną.

- Dokąd idziesz? - spytała głośno i opryskliwie.

- Przejdź się - skłamałam. Przyglądała mi się jeszcze chwilę, jak złapanej na gorącym uczynku zbrodniarce. Musiała wiedzieć, że kłamię, ale jak zbity pies ułożyła się i zasnęła.

Wykradłam się. Bez cienia wstydu, ze zwierzęcą przebiegłością kupiłam trochę od dealera z sąsiedniej ulicy, ale tym razem nie było tego tyle, żeby się dzielić. Nie mogłam więc wrócić do niej. Zamknęłam się w toalecie na dworcu Victoria.

346

Ta ulga... och, ta ulga... była tak wielka, że nie mogłam przestać. Dawka za dawką. Kilka razy ktoś próbował otworzyć drzwi, ale wołałam słabym głosem: „Zajęte!”. Zapomniałam o mojej siostrze. Czekala w pokoju, zbyt chora, żeby wyjść. Niech się pieprzy. Mogła sobie sama kupić. Kiedy wstałam, tak mocno zakręciło mi się w głowie, że znowu musiałam usiąść. Dżinsy miałam mokre. Cała podłoga była mokra od moczu. Nienawidziłam siebie. Boże, jak ja siebie nienawidziłam!

Anna powiedziała, że jestem „regularną ćpunką”.

\* \* \*

Zeenat.

Pamiętam, jak tańczyłyśmy i sypałyśmy kwiaty na ludzi siedzących w kucki dokoła nas. Działo się to pod gwiazdzistym niebem i przy pełni księżyca, w amfiteatrze z rozkołysanych palm. Do miejsca, w którym występowałyśmy, dochodziło się ścieżką wytyczoną przez kamienne lampy. Na tle nieba widniał ciemny zarys krytego słomą dachu świątyni. Było to piękne, może nawet jeszcze piękniejsze niż taniec na prawdziwej scenie. Krążące nad nami gołębie miały przyczepione do szyi i nóg gwizdki i piszczałki, wydające rozkoszną, dźwięczną jak dzwoneczek muzykę. Przyglądały się im zachłannie koty o okrutnych oczach, kulące się między nogami dzieci. Jakże to wspomnienie było dalekie i ulotne! Inny świat. Myśmy były wtedy inne. Śpiewałyśmy, kąpiąc się w rzece.

\* \* \*

Ricky.

Zadzwoiłem do brata. Powiedziałem mu, że zaproponowano mi udział w innej restauracji, tym razem na sto pięćdziesiąt miejsc. Rozmiary mojego imperium zrobiły na nim wrażenie.



- To już dwunasta restauracja?

- Si, si, a może sam byś zainwestował? To okazja. Musisz tylko trochę włożyć, a na pewno zarobisz. Wchodzisz w to?

- Hm, w tym momencie to dosyć trudne - zawahał się. -Wiesz, właśnie zasadziliśmy na nowo winnice...

347

- No to zastaw dom. To zbyt dobra okazja, żeby ją przepuścić. Widzisz, w tym kraju jest cudowny system. Inwestorzy mają pierwszeństwo przed wierzycielami. Więc nawet jeśli coś pójdzie nie tak, pierwszy odzyskasz swoje pieniądze.

- Jesteś pewien?

- Na sto procent. Gwarantuję. Po prostu nie możesz stracić.

- Cóż, w takim razie skoro uważasz...

- Uważam. Kiedy możesz przysłać pieniądze?

- Za parę tygodni, ale najpierw muszę...

- Najlepiej poproś tego naszego kuzyna, który pracuje w Banca di Creditor Cooperativo Del Nisseno, żeby przesłał jak najszybciej. - Szybciej, szybciej, popędzałem go w myślach. -Nie chcesz chyba stracić takiej gratki.

Życzył mi powodzenia. A przy okazji, czy widuje Francescę i dzieci?

Czasami. Mieszkają w gospodarstwie niedaleko od niego. Słyszał, iż Francesca zawarła umowę z rolnikami, że będzie od nich kupować co roku oliwki. W ten sposób ma stałe dostawy i wystarcza im na ich własne potrzeby. Sprowadziła wymyślną tłoczarnię oliwy z Toskanii i zaczęła sprzedawać własną oliwę. Nigdy nie odwiedza mammy, ale on ze swego traktora, jadąc na pole, widuje dzieci. Są opalone i wyglądają na szczęśliwe. Albo śmigają po gałęziach drzewek migdałowych, albo ganiają bez opamiętania w gaju oliwnym.

Obiecałem sobie wtedy, że wezmę dupę w garść, rzucę kokę i sprowadzę z powrotem dzieci i Francescę. Niedługo, już niedługo. Mogę przestać, kiedy tylko zechcę.

\* \* \*

Bruce.

Ojciec miał ostatnie stadium raka. Nie było to dla mnie szokiem. Od dawna wiedzieliśmy, że pomału umiera, więc nawet byłem dość zaskoczony pustką, jaką poczułem w środku. Stary drań stał mi się

bliski. Poszedłem do Elizabeth. Wysłuchała mojej nieskładnej opowieści o tym, jak w wieku sześciu lat wlałem po drabinie na kredens, żeby się dostać do ukrytego skarbu ojca. Jeden czarno biały magazyn z panienkami. Tylko jedno zdjęcie

348

pozostało mi w pamięci po tych wszystkich latach: blondynka, leżąca w stodole w pozie, jakby robiła orła na śniegu, z powtykanymi tu i ówdzie źdźbłami siana. Łzy napłynęły mi do oczu, kiedy pomyślałem sobie o nim, jak przeglądał te strony. Jakże niewinne były jego zakazane przyjemności!

- Gdy tak głębiej się zastanowić, to była trochę podobna do ciebie - powiedziałem.

Niesforne pasma srebrnych włosów wiły się miękko po obu stronach jej szyi. Pochyliłem się i oparłem głowę na jej piersi. Srebrna nitka otarła się o mój policzek, a ja przesunąłem głowę w lewo i natrafiłem na jej usta. Zdaje się, że nawet stawiała lekki opór, ale była tak ciepła, a ja tak bardzo jej pragnąłem, że nawet ta rezerwa z jej strony dawała pewne ukojenie. Nagle przestała się wzbraniać i oddała mi pocałunek. Było pięknie. Nie mogłem wprost uwierzyć. Moje ręce powędrowały w dół i zaczęły wyciągać koszulę z dżinsów. Wtedy zamarła. Zastopowało mnie to. W jej oczach dostrzegłem nerwowy błysk.

- Nie - rzuciła ostro. Odsunąłem się. -Co?

- Przepraszam, wypita trochę za dużo wódki podczas lunchu - wyjaśniła bardzo zimno. Twarz miała bladą, jakby doznała szoku.

- Co się, cholera jasna, z tobą dzieje? - warknąłem.

- Przepraszam, nie powinnam była.

- Co ci jest? Przecież to nie wielki post, nie musisz się umartwiać! - wrzasnąłem.

- Idź już. Proszę. - Tym razem jej głos drżał mocno. Byłem wściekły. Chciałem ją uderzyć. Rozerwać na strzępy.

Zmusić, żeby błagała o litość. A jednak kochałem ją. Jej oczy były jak kałuże oleju na ścieżce. Choćbym nie wiem jak się starał je omijać, za każdym razem ślizgałem się i upadałem.

- Nie martw się. Już sobie idę. - Spojrzałem na białą twarz. - Jesteś albo wyjątkowo sprzedajną dziwką, albo największym tchórzem, jakiego spotkałem w życiu. Tak czy owak, kiepsko z tobą, Lizzie. - Jej ręce zaciśnięte były mocno, kostki pobielające. - Ricky miał rację. Uganianie się za tobą to jak wrzucanie cukru do oceanu, cholerna strata czasu. I wiesz co jeszcze?

349

Poddaję się. - Mówiłem to naprawdę spokojnie. Nawet nie trzasnąłem drzwiami. Nie zaczekałem na windę. Zbiegłem po schodach.

Powinienem być wściekły, ale gniew przeszedł mi równie szybko, jak się pojawił, i poczułem się zwyczajnie rozbity. Cholera. Co za kurewska sytuacja! Nawet moje finanse były w opłakanym stanie. Zaniedbałem swoje salony, więc podupadły. Wszystko nagle stało się jakieś inne po śmierci Maggie.

Pozostawało albo wziąć się w garść, albo stoczyć się do końca. Przede wszystkim potrzebowałem wakacji w słońcu, spokojnej głowy, samotnego spaceru wzdłuż plaży, smaku cudzoziemskiego żarcia i może bzyknięcia paru nieznajomych dam.

Czułem się okropnie. Poszedłem do Paddy'ego. Leżał wyciągnięty pod swoim rzęchem.

- Cześć, Paddy! - zawołałem.

- Co ty tu robisz? - Z boku spod samochodu wysunęła się jego głowa. Jedno spojrzenie na mnie wystarczyło, żeby wzbudzić w nim litość.

- Ach, te baby! Zawsze nas tak urządzają.

Czułem się w tym momencie tak źle, że chciało mi się wyć.

- A co byś powiedział, gdybyśmy tak poszli na bilard i opili nowy dzień? - zaproponował, uśmiechając się chytrze.

Zdaje się, że piliśmy dość długo. Powiedziałem Paddy'emu o tacie i o blondynie w stodole, z sianem powtykanym tu i ówdzie, ale ani razu nie padło słowo na temat Elizabeth, pięknej kobiety, która odrzuciła moją miłość. Zmienialiśmy puby tak wiele razy, że sami już nie wiedzieliśmy, gdzie byliśmy, a gdzie nie; zlewały się nam krzesła, na których siedzieliśmy, smak drinków wypijanych spieszenie, poplamione pisuary, do których sikaliśmy, świeżo wytarte stoły, na których opierałem łokcie, podczas gdy tak strasznie chciało mi się płakać.

Czy to miłość? I to tym się wszyscy tak cholernie podniecają? Ten ohydny ból, który bez końca przeżera trzewia, nieważne, jak bardzo jesteś pijany albo na haju?

W ostatnim pubie podeszła do nas dziewczyna i zaczęła z nami flirtować. Wtedy było już oczywiste, że rozpaczliwa próba zabawienia się okazała się kompletnym fiaskiem.

- Uważasz, że jestem ładna? - spytała nieśmiało.

350

Nie katuj nas i sama zgadnij, słonko - chciałem odpowiedzieć. Była ładna, ale nie była to królowa śniegu. Moja królowa śniegu topiła się jak zegary na obrazie Salvadora Dalego.

- Weź ją sobie - powiedziałem do Paddy'ego, wstając.

- Zaczekaj, obaj ją sobie weźmiemy.

- Nie - odparłem. - Nie jestem w nastroju.

\* \* \*

Listopad 2000.

Ricky.

Kierownik Villa Ricky, wkurzający palant, nabrał nowego zwyczaju zamykania szufladki w kasie na noc. Kelnerom powiedział, że dosyć ma przychodzenia co rano i odkrywania, że jest wyczyszczona po mojej wieczornej wizycie. Nie wiem, kto wcisnął w nim ten guzik alarmowy. Przecież zostawiłem mu kartkę z poleceniem, żeby na początku zakładał ze swoich, zanim zaczną napływać pieniądze z danego dnia.

\* \* \*

Bruce.

Wyjechałem na Bahamy. W oświetlonych neonami lokalach, których jest tam mnóstwo, nocne życie aż wrzało, ale ja trzymałem się od niego z dala. Cały dzień leżałem na słońcu nad basenem. Pierwszego dnia przyszła przepiękna dziewczyna w zielonym bikini i zajęła leżak dwa miejsca dalej ode mnie. Miała ciało, jakie coraz rzadziej się spotyka: duże piersi, wąską talię i rozszerzające się biodra. Coś w jej wyglądzie przypominało mi Elizabeth. Położyłem się, zamknąłem oczy i cieszyłem się, że nie uśmiechnęła się do mnie, ponieważ jej nie chciałem. Koniec z uganianiem się za babami. Do diabła z nimi. Mogą sobie wsadzić gdzieś swoją tanią kokieterię. Nie mogłem spać w nocy, więc spacerowałem po plaży lub leżałem w niewielkim zagłębieniu w piasku, nasłuchując odległego szumu silników łodzi i wody uderzającej o brzeg. Był to prawie czas pełni, więc morze przybliżyło się do plaży, a fale wydawały się wezbrane i obfite.

Leżąc w aksamitnych ciemnościach, zamykałem oczy i wtedy otwierały się sekretne drzwi. Wchodziła przez nie Elizabeth

352

i tańczyliśmy do „Something' stupid” w wykonaniu Robbiego Williamsa i Nicole Kidman. Ale kończyło się zawsze tak samo. Ogarniał mnie gniew na nią. W końcu nie zdobywałem jej. W którymś momencie byłem niemal pewien, że ona pragnęła wtedy tego tak samo jak ja. Czasami zastanawiałem się nad słowami Maggie: „Jest coś, co muszę ci powiedzieć o Beth”.

Tuż przed świtem zapalały się światła w hotelowej jadalni, a ja podnosiłem się z piasku i szedłem w ich stronę. Z bliska słychać było szczęk sztućców; nakrywano stoliki do śniadania. Ten dźwięk przynosił mi ulgę - inni ludzie nie śpią i zajmują się swoimi sprawami. Życie toczy się dalej.

Któregoś dnia towarzystwo z Australii zaprosiło mnie na grilla. Żłopali mocny alkohol, pożerali tony kiełbasek i hamburgerów kupowanych w ekonomicznych opakowaniach w miejscowym supermarkecie, najwyraźniej zamierzając urznąć się do nieprzytomności. Ktoś wyciągnął fachowo zrobionego skręta, ale odmówiłem. Trawka źle na mnie działała. Były tam różne Sheile do wyboru do koloru, ale same wielkie baby i nie w moim typie. Poza tym nie miałem przy sobie prezerwatywy, a

nie byłem taki głupi, żeby przespać się z którąś bez zabezpieczenia. Za dobrze je znałem. Te włączące się z plecakiem po świetle nastolatki pieprzą się, z kim popadnie. W ich towarzystwie poczułem się nagle stary i zgrzybiały. Zostawiłem wszystkich bawiących się w najlepsze, a sam wróciłem do mego zagłębienia w piasku.

Po powrocie z wakacji wziąłem się do roboty i wyprowadziłem biznes na szerokie wody, czyli tam gdzie był, zanim spuściłem go z oka. Nie ma takiej rzeczy, której nie dałoby się naprawić. Jak mawiał mój ojciec: „Pot na twojej twarzy cię wyżywi”.

Tak a propos, umarł. Cicho. Jedynie matka po nim płakała, a i to tylko trochę. Co jeszcze pamiętam o nim? Jak garbił się nad bladymi, niemal przezroczystymi stopami, obcinając paznokcie, słaby i wątpy. A tak, oczywiście, jego oczy. Myślę, że zawsze będę je pamiętał. Te zimne, kamienne oczy, teraz już zamknięte.

Postanowiłem nie chodzić więcej do świątyni pająka. Naznaczona została śmiercią Maggie. Raz Ricky zostawił mi wiadomość na sekretarce, że szuka towaru, przy czym wyraźnie był na haju, i raz zadzwoniła Haylee, żeby wyciągnąć mnie na imprezkę. Nie oddzwoniłem do nich. I to wszystko.

353

Czasami późno w nocy, wracając z klubu, jechałem przez Mayfair, ale nigdy jej nie widziałem; w klubach rozglądałem się za platynowymi głowami, ale nigdy się na nią nie natknąłem. Kiedyś podszedłem do drzwi jej apartamentowca i stałem przy domofonie, gapiąc się, dopóki ten nadęty palant, strażnik, nie wyszedł i nie spytał: „Wszystko w porządku, proszę pana?”. Zdarzało się jeszcze, zwłaszcza po drinku, że tęskniłem za spojrzeniem szarych, rozkosznie szarych oczu, ale za cholerę bym się już za nią nie uganiał, bo to prowadziło donikąd. Czasem trzeba sobie pewne rzeczy odpuścić.

Wychodziłem z chłopakami i parę razy zaprawiłem się ostro, ale głównie pracowałem, i szybko zacząłem wracać do siebie. Coraz mniej o niej myślałem. Potem zacząłem sypiać z innymi dziewczynami. Był to tylko seks, ale to już coś, na początek. Zdarzały się jednak chwile, kiedy zamknąwszy oczy, udawałem, że to ona - w moich rękach, w moich ustach, tak blisko, tak blisko.

\* \* \*

Nutan.

Śniła mi się siostra. Byłam w dziwnym, ciemnym miejscu, jakby w jakiejś jaskini, gdzie nad kociołkiem pochylała się czarno ubrana kobieta. „Spójrz, co przygotowałam dla twojej siostrzyczki” - zawyła, i wciąż wyjąc, śmiała się. Obudzona usiadłam nagle, wymęczona i niepewna, co się dzieje, i zobaczyłam, że Zeenat stoi w nogach łóżka i patrzy na mnie. Zamrugałam z pełnym szoku niedowierzaniem. Wyglądała okropnie. Nieumyta i zaniedbana. Nie zdawałam sobie sprawy, jak szybko moja siostra ulega degradacji. Zawołałam do niej, a ona dokładnie w tej samej chwili wypowiedziała swoje imię. Dopiero wtedy odkryłam straszliwą prawdę.

W nocy przestawiła lustro. Miałam przed oczami siebie. Jak zagonione zwierzę wpatrywałam się w swoje skulone odbicie. Odrażające, a jednocześnie fascynujące. Ciemne kręgi, szkliste oczy, skóra tak dziwnie ciasno opinająca kości. Pół człowiek, pół zwierzę. Ale moje oczy zawstydyły się i uciekły. Lustro to niebezpieczna rzecz. Mówi szczerze w nieszczerym otoczeniu.

354

Zeenat już wyszła po prochy. Bez makijażu, nie mówiąc o lakierze na paznokciach, przed śniadaniem, przed umyciem zębów. Związała włosy gumką i pobiegła w kierunku dworca Victoria. Na nogach porobiły mi się rany. Tarłam je w roztargnieniu, zastanawiając się, kiedy ona wróci. Na dworze było przeraźliwie zimno i jeśli ona nie wróci szybko, ja też będę musiała stawić temu zimnu czoło. Ja też potrzebowałam tego, przed śniadaniem i przed umyciem zębów. Poszukałam papierosa. Pierwszy mach na ogół wywoływał zawrót głowy, ale przestawały mi się trząść ręce. Opadłam z powrotem na łóżko, próbując odnaleźć odrobinę ciepła między cienkimi kocami. Spod brudnych, poplamionych prześcieradeł przyjrzałam się naszym warunkom życia.

Pokój był obrzydliwy ponad wszelkie wyobrazenie. Pod łóżkiem leżały psujące się resztki jedzenia, wykładzina oblepiona była błotem, ściany szare i zachlapane wymiocinami. Podłogę zaścierały brudne ciuchy, umywalka była pęknięta i zaświniona, z plamami krwi w środku i wszędzie dookoła. Jakie to dziwne, że nie budziło to we mnie odrazy.

Brud po prostu przestał mnie razić. Wiedziałam, że gdzieś w naszym pokoju jest szczur. Przeprowadził się z baru na dole. To przez jedzenie i opakowania po jedzeniu na wynos, rozrzucone na podłodze. Coś się psuło. Potworny smród wypełniał cały pokój. Spojrzałam na zegarek. Wiedziałam, gdzie ona jest. Tylko udawałam, że nie wiem. Udawałam, że wierzę, iż ona kradnie w sklepach, ale dobrze wiedziałam, skąd pochodzą pieniądze.

Inni mnie nie obchodzili. Udawałam, że mnie obchodzą, żeby więcej od nich wyłudzić. „Masz coś, stary?”

Ach, te myśli, kłębiące się w mojej głowie. Usiadłam i ujęłam głowę w dłonie. No, gdzie ona jest? Usłyszałam kroki na schodach i od razu wyskoczyłam z łóżka. Nadchodziła bogini z eliksirem zapomnienia. Drzwi otworzyły się. O, jest. Nieumyta i zaniedbana. Cóż, wyglądałyśmy dokładnie tak samo.

\* \* \*

Anis.

Fizjologiczny wpływ heroiny na miłość i pożądanie jest taki, że niszczy obie te rzeczy. Jeśli druga osoba istnieje, to tylko jako

355

wspólnik w niekończącym się procesie zdobywania narkotyków. Wydaje się, że jedzenie, picie i spółkowanie są dobre dla zwierząt. Życie z jego niepotrzebnymi komplikacjami i podstawowymi potrzebami staje się udręką, więc tylko przecieka między palcami.

Wyrzekamy się wszystkich naszych potrzeb w zamian za ściskające nas jak w kleszczach pragnienie, za jedną wynaturzoną rozkosz. Nie przejmują nas wcale zapadnięte policzki, zimny, nieprzytomny uśmiech, sterczące kości. Prawie nie jemy. Uważamy, że to jest bajeczne. Mamy jedno jedyne pragnienie: przechodzić z jednego bajecznego snu w drugi.

\* \* \*

Bruce.

Otrzymałem zaproszenie na otwarcie wystawy obrazów Maggie MacFadden i choć wiedziałem, że Elizabeth na pewno tam będzie, nie mogłem się powstrzymać i poszedłem. Próbowałem wmieszać się w tłum kulturalnej publiczności, popijającej taniego ciepłego szampana. Z daleka dostrzegłem Anisa i bliźniaczki. Po Anisie nie było tego tak widać, gdyż korzystnie prezentował się w czarnym garniturze i koszuli frakowej, ale dziewczęta były chude jak szczapy, a ramiona i nogi miały grubości zapalek.

Podeszła do nich Elizabeth. Ubrana była w prosty czarny strój i pomyślałem sobie, że nigdy nie wyglądała piękniej i bardziej niedostępnie. Anis powiedział jej coś do ucha, ona położyła mu dłoń na ramieniu i kiwnęła głową. Był to subtelny, intymny gest. A więc utrzymywała z nim kontakt. Pewnie zbliżyli się do siebie. Anis z bliźniaczkami poszli dalej i wtedy zobaczyłem, że oczy Elizabeth szybko przeszukują salę. Czyżby chodziło o mnie? Stojąc samotnie, wyglądała jak bezbronne dziecko.

Nadal ją kochałem. Jedno spojrzenie, i całą dotychczasową kurację diabli wzięli. Zrobiłem krok w jej stronę. Ludzie zmieniają się. Może ona też się zmieniła. Ale w tym momencie zbliżył się do niej jakiś mężczyzna, a jej piękne szare oczy obróciły się w jego stronę. Był w nich ten sam chłodny wyraz, którym mnie trzymała kiedyś na dystans. Zostawiłem kieliszek w recepcji i wyszedłem. Nic się nie zmieniło w pułapce na naiwnych durniów. Jakież głupiec był ze mnie!

356

\* \* \*

Ricky.

Kurwa, całkiem dobrą cenę dostałem za restaurację, dziewięćdziesiąt tysięcy funtów. Sprzedawanie restauracji zaczynało mi wchodzić w krew. To było takie proste. Jedna mniej i nagle wszystko jest

cacy. Miałem trochę długów do spłacenia, ale reszta zostawała dla mnie. Pieniądze wystarczą mi na długi, długi czas. I tak jestem do przodu. Na ścianie są jeszcze dwie, a ja nie miałem zamiaru już więcej sprzedawać.

\* \* \*

Nutan.

Tego popołudnia zauważyłam, że w miarę upływu czasu moja twarz przybierała coraz bardziej chorobliwy, żółtawy odcień. Twarz Zeenat nie. Może dlatego, że się malowała. Co dzień. Obserwowałam ją, siedząc w łóżku. Jasnoczerwona szminka też dużo daje.

\* \* \*

Zeenat.

Makijaż. Ukrywa wszystko: strach, dumę, wstyd, zazdrość. Wszystko.

\* \* \*

Anis.

Byłem potwornie zmęczony i głodny, ale mimo to przez cały dzień sama myśl o jedzeniu przyprawiała mnie o mdłości. Noc nie zapadła jeszcze całkiem, kiedy pomyślałem, że może jednak skusiłbym się na porcyjkę muli w białym winie w Spago. Właśnie skręciłem przy banku Barclays, kiedy nagle nie wiadomo skąd napatoczyło się to nieszczęsne dziecko. Potargane brudne włosy i ciemne kręgi pod nieprzytomnymi oczami. Ćpunka - pomyślałem. Dziwne. To była dobra dzielnica.

- Wezmę w usta za dziesiątkę - zaproponowała niespokojnie.

357

Przyśpieszyłem kroku. Nie szła za mną, ale nagle moje stopy same się zatrzymały. Stałem bez ruchu, milcząc, a ona podbiegła do mnie.



- Możemy pójść w tę uliczkę - namawiała. Jej oczy wędrowały niespokojnie, czarne od brudu ręce podskakiwały nerwowo.

Wyjąłem z portfela banknot dwudziestofuntowy. Tylko żeby mnie nie dotknęła. Musiałem dać jej pieniądze w taki sposób, żeby nie doszło do fizycznego kontaktu. Wyrwała mi banknot z ręki i szybko uciekła. W żołądku poczułem zimny ucisk. Chwiejnie przeszedłem kilka kroków i oparłem się o niski murek czyjegoś ogrodu. Na czoło wystąpił mi pot. Ludzie mijali mnie. Nikt nie wiedział. Że jednak mnie dotknęła. Skórę miała jak lód. Dlaczego pozwoliłem na nieczysty dotyk?

To była moja przyszłość.

\* \* \*

Nutan.

Nie umiem już śmiać się ani uśmiechać. Zazdroszczę ludziom mającym normalne życie. Biorą pieniądze z bankomatów, płacą kartami kredytowymi, pchają wózki pełne zakupów albo czekają na przystankach na powrót do domu, do prawdziwych rodzin.

Są czyści. Nie czekają na kolejną działkę.

Byłam zupełnie otępiała, a ona biła mnie. Twarz miała wykrzywioną okrucieństwem, a jednak nawet nie czułam ciosów. Teraz myślę sobie, że po prostu musiała za słabo uderzać. Biedaczka, ona też była chora. Pamiętam, że osunęłam się na ziemię.

Szarpnęła mnie za włosy.

- Masz mnie nie szpiegować - ostrzegła. Jakże zła stała się jej uśmiechnięta dawniej twarz. Potem rzuciła we mnie paczuszką. Przyciskałam ręce do głowy, nasłuchując oddalającego się stukotu jej obcasów. W środku byłam kompletnie sflaczała. Nie musiałam jej szpiegować. Wiedziałam. Przedtem też. Podgrzałam łyżkę nad zapalniczką i od razu sobie wstrzyknęłam. Po ścianie osunęłam się na brudną podłogę. Oczywiście, że wiedziałam, co ona robi.

358

\* \* \*

Anis.

Piętnastego dnia cyklu kobieca głowa i włosy mają wielką seksualną energię. Przesunięcie palcami po włosach lub delikatne skropienie głowy wodą bądź olejkiem rozprowadza tę energię po całym ciele. Dotknąłem ust Zeenat.

Aaa, te szkarłatne usta.

Pamiętam jeszcze, jak nagły błysk czerwieni budził w tobie strach.

Zeenat, Zeenat. A co byś powiedziała, gdybyśmy zaczęli znowu, hmm?

\* \* \*

Nutan.

Moja siostra wygląda brzydko i szaro, a jednak mężczyźni dają jej pieniądze.

\* \* \*

Anis.

Siedziałem w kuchni i oglądałem Fashion TV bez rozpraszać uwagę dźwięku, rozkoszując się widokiem eleganckiej procesji pięknych, młodych ciał. W ciągu ostatnich lat zmienił się sposób chodzenia modelek. Kiedyś było to przesadne kołysanie biodrami, tak jak to teraz robią transwestyci, a obecnie jest to krok bardziej bezpłciowy, polegający na unoszeniu nóg wysoko w górę. Jak wielbłądy na piasku. Zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Przyszedł Ricky. Roztył się ostatnio. Śmierdział starym tytoniem.

- Jak tam, bello? - Mówił zdecydowanie za głośno. - Kurwa, ale tu gorąco.

Szybko zaprowadziłem go do kuchni i zamknąłem drzwi.

- Madre mia, spójrz na te putany. Żują gumę dupami, czy co? Spojrzałem na piękne kobiety poruszające się na ekranie. To

skurwiel. Wszystko mi zepsuł.

- Potrzebujesz pieniędzy?

Przesunął ręką po tłustych, żółtych włosach. Leniwe usta, wyrażające absolutną pogardę, otworzyły się konfidencjonalnie.

- Tak - przyznały. - Oddam, jak dotrą pieniądze z Włoch -skłamały.

Obaj dobrze znaliśmy ten rytuał. Poszedł za mną do pracowni i stanął na środku pokoju. Zamknąłem drzwi i wyjąłem książeczkę czekową. Kątem oka zobaczyłem, że idzie w stronę obrazu Zeenat. W pokoju panowała cisza, zakłócana jedynie szelestem pióra na papierze. Podpisałem czek.

- Nie wiedziałem, że malowałaś Nutan. - Głęboko w jego głosie kryła się wzgarda.

- To Zeenat - sprostowałem.

Jego wzrok natychmiast pobiegł w moją stronę. Twarz na ułamek sekundy zrobiła się chytra i złośliwa. Po chwili udał, że się śmieje, jakby chciał ukryć tę brzydotę pod maską śmiechu. Jakbym nie znał jego sekretu. Jakbyśmy mimo wszystko mówili o Nutan. Uniósł ręce w górę.

- No wiesz, nie jestem zazdrosny.

Uświadomiłem sobie wtedy, że czuję do niego autentyczne obrzydzenie. Ten człowiek był bez duszy. Miał w sobie coś niereformowalnie brzydkiego. Dobro i piękno we wszystkich przejawach irytowały go i nudziły. Pragnął niszczyć i na ślepo siał destrukcję. Robił to naumyślnie.

Podąłem mu czek. Sprawdził, czy jest podpisany i wypełniony poprawnie. Żeby dealer od razu go przyjął.

Chciałem, żeby już sobie poszedł, więc milczałem, ale następnym razem, kiedy krew w moich żyłach ochłonie nieco, powiem mu, że moje fundusze wyschły. Że od bardzo dawna nie sprzedałem żadnego obrazu i muszę żyć z funduszu powierniczego zostawionego mi przez dziadka. Ruszyłem przodem w stronę drzwi.

- Ciao - rzucił beztrąsko.

W kuchni pochód ekstradziwczyn szedł nadal, ale nastrój przysł bezpowrotnie. Nie byłem w stanie skupić się na świetle poruszającym się na smukłych ciałach.

Cicho otworzyłem drzwi sypialni.

Zeenat spała. Wiedziałem, dlaczego Ricky nie rozpoznał jej na moim płótnie. Wcale nie była taka, jak ją namalowałem. Uniósłem koc i spojrzałem na skulony kształt. Była potwornie, ale to potwornie chuda, z trudem oddychający szkielet. Usiadłem ciężko

na brzegu łóżka i ukryłem twarz w dłoniach. Siedziałem zgarbiony i przygaszony, dopóki pod moją koszulę nie wsunęła się milcząca, lodowata ręka.

Zeenat zawsze teraz była zimna.

Nawet kiedy ogrzewanie włączone było na cały regulator, skórę miała lodowatą. Nawet jej oddech był zimny. Było to dla mnie niezrozumiałe. Lodowate palce wpełzły głębiej pod koszulę. Lodowata dłoń spoczęła na mojej piersi. Odebrałem to jak szok termiczny, ale nie uciekłem.

Mimo że doskonale wiedziałem, co czeka na mnie w moim własnym łóżku, apatycznie odwróciłem się na spotkanie błyszczących oczu.

\* \* \*

Ricky.

Całą noc przesiedziałem w kuchni, podgrzewając freebase.

\* \* \*

Grudzień 2000.

Elizabeth.

Z taksówki zobaczyłam Zeenat siedzącą przy oknie kawiarni. Naprzeciwko niej siedziała ta pisarka Rani Manicka.

\* \* \*

Zeenat.

- Mów mi Rani - powiedziała, otwierając piękne sześciokątne srebrne puzderko z misternym grawerunkiem kwiatów i liści. Przypominało nasze cenne dziedzictwo, poświęcone przez ojca, by zgotować nam upadek. - To hinduski antyk. Noszono w nim akcesoria do żucia betelu - wyjaśniła. Teraz służyło jej za torebkę. Wyjęła paczkę papierosów i poczęstowała mnie. Płuca wypełnił mi ciepły dym.

Obiecała mi dwieście funtów za moją historię, po czym dodała, że jeśli będzie naprawdę dobra, dołoży mi następne dwieście. Jej oczy płonęły ciekawością. Włączyła magnetofon.

- Gotowa? - Potrzebowałam pieniędzy, więc bardzo mi zależało. - Jeśli będzie ci trudno, możesz przejść na balijski. Przetłumaczę sobie później.

- Urodziłam się w ryżowym ogrodzie. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, moi przodkowie pozakładali ryżowe tarasy na zboczu wzgórza. W ciągu roku góra kilkakrotnie zmieniała się, jakby wkładała różne szaty. Najpierw była zielona jak kwaśne jabłko, potem rozkwiatała delikatnym niebieskim odcieniem, aż wreszcie kotłowała się złotem w słońcu. Ale ja najbardziej lubiłam, kiedy tarasy zalane były wodą i jak lustrzane mozaiki odbijały niebieskie niebo. Wtedy pojawiało się pełno kaczek żywiących się słodkowodnymi ślimakami.

362

Na skraju pól ryżowych chłopcy odważnie galopowali na potężnych bawołach, a my łapałyśmy ważki na długie kije wysmarowane lepkiem sokiem. To był nasz przysmak, ważki usmażone w oleju kokosowym, a gdy byłyśmy spragnione, sięgałyśmy po słodkie zielone kokosy.

Pod olbrzymim drzewem o płomienistej koronie stała kapliczka Dewi Sri, naszej bogini ryżu. W listopadzie, kiedy drzewo obsypane jest jasnoczerwonymi kwiatami, jest to najpiękniejsze miejsce w całej wiosce. Szkoda, że nie widziałas tego wielkiego dywanu czerwieni. Bogini ryżu jest tak powszechnie kochana, że podczas żniw kobiety chronią ją przed niemiłym widokiem długich noży. Uzbrojone w dyskretne małe ostrza zwane ani ani, ścinają ryż żdźbło po żdźbło. Kiedy pola były świetliście złote, siadywałam w bambusowych zagajnikach i słuchałam bogini ryżu, jak śpiewa wśród ciężkich od ziarna łodyg piękną, szumiącą pieśń. Wieczorami, kiedy wszyscy bogowie już wejdą po olbrzymich schodach ryżowych tarasów na zboczu wzgórza i wrócą do swej siedziby, kobiety idą do małych bambusowych domków i zabierają jedzenie ofiarowane tego ranka. Bo bogowie żywią się tylko zapachem.

O tej porze roku rośliny są tam złote i brzemienne. Tutaj jest zimno. Bardzo zimno. Nie ma równowagi. Nie ma ani jednej świątyni wypełnionej kadzidłem, zapraszającym bogów do środka. Nikt nie wystawia tłących się kokosowych łupin dla demonów. Więc demony przychodzą do domów i mieszkają w nich. Na Bali w czarne jak smoła noce mężczyźni zapalają wysuszone łodygi bananowców i dla odstraszenia złych duchów zakreślają na niebie wielkie koła żywicznego płomienia, sypiąc deszczem złotych iskier. A tu nawet o północy nie bałam się nigdy angielskiej nocy za drzwiami. Z latarni cały czas spływa na ulice niebieskie światło, a zło i tak mieszka w domach.

Brudna od grzechu i drżąca, złana potem, przebywałam wśród upadłych istot żyjących w tym mieście. Jedyne, co jest w stanie mnie rozgrzać, to heroina. Nie trzeba było opuszczać bogini ryżu, jej pól i cichego gdakania wodnych kanałów. Znałam kiedyś dziewczynkę, która siedziała przy studni z pantoflami w ręku. Włosy miała długie i splątane i stale się uśmiechała. Myślę, że wtedy jeszcze moja siostra mnie kochała.

363

Nutan uważa, że jestem szlachetna, ponieważ wzięłam na siebie zdobywanie prochów. Dzięki temu ona nie musiała stać się takim nieczystym stworzeniem jak ja, może leżeć, ni to we śnie, ni to na jawie, w naszym wspólnym barłogu. Myśli, że poświęcam się dla niej. Nie wie, że prawdziwą przyczyną jest poczucie winy. Jak myślisz, dlaczego zawsze dawałam jej dłuższą girlandę, większy latawiec i najlepszy kawałek ciasta? Czując się winna z powodu własnej chciwości, karałam siebie tym, że dawałam jej rzecz, którą sama chciałam mieć.

W duchu często życzyłam jej, żeby spotkało ją niepowodzenie, a kiedy tak się stało, czułam się okropnie. Usiłowałam jej to wtedy wynagrodzić, ofiarowując różne rzeczy: serdeczność, wsparcie, wszystko, czego pragnęła...

Nie rozumiała mnie, nic nie wiedziała o trawiącej mnie bezlitosnej zawiści, która sprawiała, że marzyłam, aby ona się czasem potknęła. Młodsze rodzeństwo jest jak ciało zwierzęcia; rośnie w cieniu głowy i jest jej podporządkowane, ale ukradkiem stara się podważyć jej autorytet. Nigdy nie wybaczę sobie, że zrobiłam jej pierwszy zastrzyk.

Dlaczego dałam mojej siostrze narkotyki?

Być może dlatego, że nie mogłam znieść, kiedy spoglądała na mnie ze swojej wyższej, czystszej pozycji. Chciałam, żeby była przy mnie, tam gdzie ja. Tak naprawdę zawsze byliśmy tylko we dwie. Dla Ibu istniał tylko ojciec, ojciec zaślepiony był namiętnością do Nenek, a Nenek kochała wyłącznie Ibu, reszta się nie liczyła. Sama więc widzisz, że miałyśmy tylko siebie. Albo może to było jeszcze prostsze. Może byłam jak ci łowcy głów z opowieści Nenek. Nie wystarczyło zabić obcego. Głowa musiała mieć imię, zanim skurczona zawiśnie na ścianie. Tylko wtedy zemsta jest słodka. Zawsze byłam zazdrosna o siostrę. O to niezwykle światło, które nosiła w sobie, a którego ja byłam pozbawiona. To dlatego Ricky wybrał ją, nie mnie.

Dlaczego zgodziłam się na seks z Rickym?

Nie powiedziała ci? Co jej, to moje, a co moje, to jej. Nie, oczywiście, że nie. Tak sobie tylko gadam. W gruncie rzeczy sama nie wiem, dlaczego. Mogłabym powiedzieć, że rzucił się na mnie, wziął mnie siłą, ale tak naprawdę to się dokonało na długo przedtem, nim jego ciało weszło w moje. On tylko spełnił pożądliwe sny.

364

Nie wiem nawet, dlaczego nadal go chcę. Na Bali powiedzielibyśmy, że Ricky ma charakter *tunggak semi*, łodygi kwiatu, próżnej, aroganckiej i samolubnej. Każdego Balijszyka uczy się od dziecka, że brak ogłady i subtelności w zachowaniu, wyglądzie czy uczuciach godny jest pogardy. Bycie ordynarnym to samo, co bycie złym, i to w znaczeniu prawdziwego zła. Ale nie mogłam mu się oprzeć. Pomyśleć, że zdradziłam moją siostrę dla tego gada. Sama nie rozumiem mego szaleństwa.

Zdradziłam ją i chcąc o tym zapomnieć, pobiegłam do Anny i wbiłam sobie igłę w ramię. To była moja ucieczka. Przeniosłam się w dobre miejsce. W miejscu tym panuje ogromny spokój, ono tak naprawdę nie istnieje, ale kiedy tam przebywam, na tyle mogę oderwać się od własnego ciała, że nawet nie jestem w stanie zawołać pomocy. Chwile bez heroiny się nie liczą. Są jak przerwy, kiedy nie jestem sobą, lecz zdesperowanym zwierzęciem gotowym za każdą cenę zdobyć następną działkę. Dochodzi do takiego momentu, kiedy ulgę przynosi deprawowanie innych. Zapach upadku staje się czymś dobrze znanym. Coraz bardziej pragniesz zobaczyć ten sam chory błysk w oczach drugiego człowieka.

Anis jest szlachetny i wspaniałomyślny, i to nie tylko, jeśli chodzi o narkotyki i pieniądze. Ma w sobie jakąś wielkość ducha. Pamiętam doskonale, jak wyglądał tego dnia, kiedy się poznaliśmy: nieogolony, w czarnym golfie. Elizabeth powiedziała kiedyś: „Postać podobną do Anisa można znaleźć jedynie w powieści Ernesta Hemingwaya”. Miała rację. Był szlachetny i wybaczał ufnie jak dziecko. Nie chował

nigdy urazy i szczerze mnie kochał, to ja grałam z nim fałszywie. Biedny Anis. Podstępna, zdrażliwa Zeenat. Ze świni duchom buta kała ofiarowuje się tylko skórę i kości, natomiast psa całego. On uważa, że jestem jak świnia, a ja jestem psem. Wszystko zostało złożone w ofierze.

Nie wie, jak niewiele kosztuje posiadanie mojego ciała. Gdyby przyszedł o odpowiedniej porze w nocy na odpowiedni róg. A może przychodzi... Może on wie, ale ponieważ wybaczenie leży w jego naturze, kocha mimo wszystko. Lubię sobie czasem pomyśleć, że zakochała się we mnie postać z książki Hemingwaya.

Nenek mawiała, że każdy popełniony grzech zostaje zapisany: w mózgu, na języku i - o czym ludzie nie wiedzą - w liniach dłoni.

365

Brała nasze ręce i uważnie przyglądała się delikatnie zarysowanym liniom, jakby z ich przebiegu mogła odczytać nasze grzechy. Kiedy tylko coś przeskrobałyśmy, wityśmy się w jej uścisku.

Już nigdy więcej nie mogłabym pokazać jej moich dłoni.

Któregoś dnia spojrzałam w lustro i zobaczyłam rzecz dziwną. Moje oczy, na wpół zgaszone, ale wciąż płonące, lśniły podobnie do oczu Nenek. Były tak samo ciemne i widniało w nich skażenie, ujawniające się na twarzach tam, gdzie rozmnażanie się zachodzi w obrębie tej samej małej społeczności. Dawno temu mama też musiała to dostrzegać, gdy dotykając palcami naszych oczu, nosów i ust, kłamała: „To dobrze, że obie macie twarz waszego ojca”. Biedna Ibu.

Zawsze wiedziałam o Nenek i o ojcu. I to nie dlatego, że raz usłyszałam, jak mówił o niej madu, miód, co tak naprawdę oznacza kobietę utrzymankę. Nie, wyczytałam to z oczu matki, z tego, jak patrzyły na ojca, gdy w pobliżu znajdowała się Nenek. Odebrała Nenek mężczyznę, ale przekonała się, że to nie wystarcza. Wyrodna córka, powiesz? Nie, ponieważ ojciec nigdy nie wyrzekł się miłości do Nenek. Nenek miała wszystko, czego pragnęła Ibu. Wielką urodę, moc, stopy, moją siostrę i mnie. Gdy przestraszone czymś budziłyśmy się w nocy, nigdy nie pozwalała nam wchodzić do łóżka Ibu. Wiem, że robiła to po to, aby chronić moją chorą matkę, ale niechcący ją przez to od nas izolowała.

Czy wystarczy tego, co opowiedziałam, na te dwieście funtów ekstra?

- Nie, ale prawie. Boisz się śmierci?

- Nie, ale też nie pragnę śmierci. Nawet kiedy na tylnym siedzeniu samochodu czuję na twarzy nieświeży oddech obcego mężczyzny. Nie czuję potrzeby, żeby śmierć położyła kres temu wszystkiemu. Cały czas chcę tylko jednego: więcej heroiny. I lubię ryzyko i podwójność związaną z ćpaniem.

Wystarczy? Nie jest to jeszcze warte czterech stówek? Jak nie, daj mi te dwie. Resztę opowiem kiedy indziej. Muszę iść. Czeka ją na mnie.

- Ostatnie pytanie. Opowiedz mi o Anisie.

- Na Bali kobiety potrząsają szerokimi okrągłymi koszami, w których jest ziarno ryżowe. W ten sposób usuwa się brud i łuski,

które ulatują z wiatrem. Na tej samej zasadzie poprzez sprzeczności i konflikty to, co czyste i piękne, oddziela się od brzydoty i zanieczyszczeń. Anis jest jedyną dobrą rzeczą, jaka pojawiła się w moim koszu. To jest dewa\* w przebraniu.

[\* Dewa - w buddyzmie istota niebiańska].

To oczywiste, że powinnam jak najszybciej wrócić do Nenek. Ona wyleczyłaby mnie z cierpienia, jak to na moich oczach czyniła z innymi. Dawała im zioła wywołujące wymioty, które wyływały z nich szeroką strugą. Macie na to specjalne słowo.

- A tak, wymioty chlustające. Co za wdzięczna nazwa...

- Nenek wyleczy też Anisa. I wtedy będziemy szczęśliwi. Jest takie słowo używane w moim kraju. Nazywa się enten, to znaczy przebudzenie się na moment i pogrążenie na nowo we śnie. Wierzymy, że tym jest życie. Króciutkim momentem wyrwania ze snu. Ja, która to robię, i ty, obserwująca mnie, powinnymy traktować chwile, kiedy jestem narkomanką albo prostytutką, po prostu jako ofiary złożone czasowi. I tak wszystko przeminie. Nie ma potrzeby czynić sobie wyrzutów ani czuć do siebie wstrętu.

Zostanę uzdrowiona i będę szczęśliwa. Spotkam boginię śmierci na cmentarzu w zakolu rzeki, ale dopiero kiedy Anis i ja zobaczymy nasze wnuki.

Szlachetna pisarka, wyłączwszy magnetofon, wyciągnęła zwitek banknotów, grubszy niż dwieście funtów. Moja historia zarobiła czterysta funtów. Gdy wychodziłam, patrzyła w okno. Pora pójść po Nutan. Wyobraziłam sobie jej zadowoloną twarz. Razem pójdziemy do Anny. Jest co świętować. Za dwa dni Boże Narodzenie.

\* \* \*

Nutan.

Leżeliśmy w ciemności, gapiąc się bezmyślnie w telewizor. Czasami myślę sobie, że to dlatego tak późno zauważyliśmy, że ona zsiniała. Że coś złego się z nią dzieje.

Pamiętam, jak Zeenat wbijała sobie igłę w ramię, i nawet pamiętam, jak osuwała się na podłogę. Szybko, szybko. Ja też muszę. Ciepły koc. Spójrz tylko, jak miękko osunęła się na swój.

Teraz ja. Reszta leżała, patrząc, jak Snakehead napełnia strzykawkę. Spojrzał na mnie. Tak, teraz moja kolej.



Podniósł się, przestąpił bezwładne ciało Zeenat i podszedł, żeby mi wstrzyknąć. Wiedział, że jestem na zbyt dużym odlocie, żeby zrobić to właściwie. Nie wiem, jak długo siedziałam, cudownie rozgrzana, gapiąc się w telewizor, kiedy nagle dokoła mnie zaczął się jakiś ruch, na wpół gorączkowy, na wpół ospały. Niechętnie odwróciłam głowę.

Był tam Anis... skąd on się wziął... pochylający się nad... Zeenat.

- Na miłość boską, Anno, pomóż mi ją ułożyć! - wrzasnął, a głos miał dziwnie ostry i spanikowany.

- Niech ktoś, kurwa, włączy światło.

- Kurwa, żarówka poszła.

- Pomóżcie mi.

- Trzymaj ją, podnieś trochę.

Spod na wpół przymkniętych powiek widziałam, jak przewracają ją na bok i potrząsają nią.

- Zeenat, oddychaj, proszę cię - błagał Anis.

Zabawne, jak Zeenat kiedyś określiła heroinę. Brązowy cień do oczu. Czasami inni narkomani usiłują ci sprzedać kawałki brązowego cienia do powiek, ukradzionego u Bootsa. Pierwsza ostrzegła nas przed tym Anna.

- Kurwa, koszmar, jak sobie to wstrzykniecie - uprzedziła. Moje kończyny były duże i ciężkie.

Próbowałam wyciągnąć

rękę i dotknąć jej, ale ręka była odlana z brązu. Hej - chciałam powiedzieć - wiem, co jej jest. Już raz tak było, jak wzięta za dużo, ale w końcu da się ocucić. Proszę, nie wieście jej do lekarza. Mogą mi ją zabrać. Ale nie potrafiłam zmusić języka do posłuszeństwa. Czteryście funtów, które Zeenat dostała od pisarki. Wszystko wydałyśmy.

Ktoś znalazł latarkę. Zaświecili jej w twarz. Usta miała ciemno sine. Wszyscy zaczęli krzyżeć jednocześnie. Wtedy się przestraszyłam. Ostrzegałam tę dziewczynę: „Jeśli ktoś da ci chleb śmierci, nie jedz go”. Anna próbowała bić ją po twarzy, ale Anis odepchnął ją brutalnie i zaczął robić sztuczne oddychanie. Na nic.

- Jezu, ona nadal nie oddycha! - usłyszałam pełen niedowierzania okrzyk Anisa.

368

- Do kurwy nędzy, czy nie możemy wezwać karetki?! - wrzasnęła Anna.

Już w chwili, gdy Zeenat przewróciła oczami, aż pokazały się białka, mogłam się zorientować, że tym razem jest inaczej. Byłam sparaliżowana, język miałam zbyt sztywny, aby krzyżeć. Później jej poszukam, później. Na razie jest dla mnie stracona, ale w końcu na pewno się wynurzy.

Po twarzy Anisa sływały łzy. Kotłosał w ramionach jej ciało, zawodząc:

- Nie, nie, znowu, proszę, nie...

Anna była biała jak kreda, z wyjątkiem ust, które wyglądały jak czarna dziura.

- Kurwa, tylko nie to.

Chłopak, którego nie znałam zbyt dobrze, gapił się na mnie, oczy miał puste, a jego usta poruszały się, nie wydając dźwięku.

Snakehead chyłkiem wymknął się z pokoju. Znałam jego myśli - logika narkomana uczy, że lepiej nie dać się zastać z trupem.

Wtedy odpłynęłam. Na chmurze.

\* \* \*

Ricky.

Boże Narodzenie. Siedziałem sam w kuchni i nie był to indyk, to coś, co przyrządziłem. Było ze mną coraz gorzej. Kompletna paranoja!

\* \* \*

Bruce.

Postanowiliśmy z siostrą, że w pierwsze święta bez taty ja spędzę z mamą pierwszy dzień świąt, a siostra przyjedzie w drugi. Mama upiekła wielkiego indyka. O wiele za dużego jak na nas dwoje. W milczeniu zasiedliśmy do stołu. Później wręczyliśmy sobie prezenty. Mała złota bransoletka dla niej i sweter dla mnie. Zapiąłem bransoletkę na jej rękę. Wyglądała ślicznie, nawet na jej chudej, poznaczonej plamami wątrobowymi ręce.

- Teraz ty - powiedziała. - Przymierz nowy sweter.

Był za ciasny.

369

- Nie szkodzi - pocieszyłem ją. - Zaniosę do sklepu i wymienię. - W tym momencie usta mamy zaczęły drżeć. Nagle rozplakała się w chusteczkę.

- Wiesz - wyznała - ojciec zawsze chciał, żebym nosiła bardzo wysokie obcasy, ale ja nie chciałam. Uważałam, że to zbyt wyzywające. Bałam się, co powiedzą panie z naszej ulicy. Teraz dopiero rozumiem, że to był błąd. Powinnam była je chociaż raz włożyć. Żeby zrobić mu przyjemność.

- Nie płacz, mamó - powiedziałem łagodnie. - Na pewno cię w nich widział. Założę się nawet, że miały sześć cali. - Jej oczy zamglone były od łez. - Wiem, bo kiedy mężczyzna kocha kobietę, w jego marzeniach ona robi wszystko, czego on chce.

\* \* \*

Nutan.

Po przebudzeniu od razu wiedziałam, że jej już nie ma. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mnie opuści. Wszystko robiliśmy razem. I znowu wrócił moment jej odejścia, czerni w moich ustach, oczy całe w sadzy.

O Boże, jak nieznośnie bolało mnie całe ciało. Każdy ruch był męką. Do tego stopnia, że nawet ubranie boleśnie ocierało skórę. Nie do wytrzymania. Potrzebowałam działki. Anis był wciąż na policji. Tak źle się czułam, że nie byłam w stanie skupić wzroku. Jedna dawka. Potrzebowałam tylko jednej dawki, to wszystko, i będzie dobrze, ale nie miałam pieniędzy. Byłam tak zdesperowana, że nie mogłam czekać ani chwili dłużej. Skoro Zeenat odeszła, musiałam sama zdobyć towar. Została mi tylko jedna cenna rzecz.

„Ale to bardzo cenne. Twoja matka zrobiła to dla ciebie”.

Tak, ale bez trudu zdobędę inne po powrocie na Bali. Tam o nie łatwo.

„Praca zajęła jej wiele, wiele miesięcy. Nie pamiętasz, jak mówiła, że to na twój ślub?”

Będzie inna.

„Jest nie do zastąpienia. Twoja matka nie żyje”.

To tylko kawałek tkaniny. Mam inne rzeczy, które należały do niej.

370

Wyciągnęłam to z dna walizki.

„Twoja matka zrobiła go specjalnie dla ciebie”.

Odwal się, daj mi spokój. To tylko kawałek materiału.

Wepchnęłam go do plastikowej torby i zbiegłam na dół. Była pora lunchu i w pubie na pewno znajdzie się ktoś, kto go zechce kupić. Pomyślałam, że mogłabym sprzedać za pięćdziesiąt funtów. Na pewno wart był ponad setkę. W butikach dla turystów w Seminyak sprzedawano takie po kilkaset funtów. W

pubie było zimno i ciemno. Okropnie leciało mi z nosa. Siedziała tam kobieta w ładnej spódnicy. Pewnie ją zainteresuje. Podeszłam do niej.

- Może chce pani kupić tradycyjną, haftowaną złotem tkaninę z Bali?

Z nosa leciało mi coraz bardziej. Wytarłam go grzbietem dłoni. Najwyraźniej zauważyła wtedy, że kiepsko ze mną. Może nawet podejrzewała, widząc mój nerwowy uśmiech, że ukradłam haft.

- Pokaż - powiedziała.

Wyjęłam materiał. Nawet w ciemnym wnętrzu artystyczna robota lśniła złotem i od razu widać było, że jest to rzecz wyjątkowa i cenna. Oko jej zabłysło. Wzięła haft do ręki i zaczęła uważnie się przyglądać, szukając skaz. Nie znalazła. Podniosła głowę. A jej oczy... Nigdy nie zapomnę wyrazu jej oczu. Były takie uważne. I chciwe.

- Ile? - zapytała.

- Pięćdziesiąt funtów - odparłam.

- Dycha.

Spojrzałam na nią z przerażeniem.

- Warta jest kilka setek. Jest całkiem nowa.

- Pewnie spadła z ciężarówki, co? - zaśmiała się pogardliwie. Jej towarzyszka uśmiechnęła się szyderczo.

- Moja matka ją zrobiła - powiedziałam jej. Spojrzała na mnie obojętnie.

- Chociaż dwadzieścia - błagałam.

- Przykro mi, mam tylko dziesięć funtów. - Wcale suce nie było przykro. Rozejrzałam się po sali w nadziei, że trafi się inna kobieta, do której mogłabym podejść, ale pozostałe barowe stołki zajmowali sami mężczyźni. A ja po prostu nie miałam już czasu na chodzenie po innych pubach.

- No dobra.

371

Otworzyła portfel. Był pełen forsy. Wyciągnęła dziesięciofuntowy banknot i podała mi. Wybiegając, słyszałam, jak jej towarzyszka gratulowała jej „świetnej okazji”.

Ibu ją dla mnie zrobiła. Najchętniej wróciłabym i rzuciła jej tę zakichaną dziesiątkę w twarz, ale potrzebowałam działki. I to bardzo. To tylko kawałek materiału. Może później, kiedy zwolnią Anisa, pójdę do niego. On na pewno będzie coś miał.

\* \* \*

Ricky.

Szef kuchni zaczął mi dzisiaj podskakiwać. Jego czek okazał się bez pokrycia. Dwa razy. „Zwrot do wystawcy, przedłożyć później”, a potem już tylko „zwrot do wystawcy”. No to świetnie, witamy w naszej bajce, palancie. Wszyscy dostawcy każą sobie teraz płacić od razu przy odbiorze. Tchórzliwe szczury. Facet od obrusów zerwał współpracę. Kurzy bobek. Przez te wszystkie lata zarabiał na mnie, ile włożyło, a jak tylko są jakieś problemy, to spieprza. Kij mu w oko. Jak już się zbiorę w kupę, postaram się, żeby grosza ode mnie nie zobaczył.

Jedna z restauracji jest po uszy w gównie, traci pieniądze w tempie ekspresowym. Poszedłem tam wczoraj. Kurwa mać, nawet alkohol pachnie tak, jakby tracił pieniądze. Źle się dzieje. Ogólnie jest do dupy.

\* \* \*

Nutan.

Wróciłam do domu mokra, brudna i ledwo żywa z zimna. Musiałam iść w deszczu. Nie pamiętam. W połowie schodów usłyszałam głosy w naszym pokoju. Nie wiedziałam, co myśleć. Byłam zdezorientowana. Pomyślałam, że to może policja. Kiedy stanęłam w drzwiach, zobaczyłam właścicieli baru, naszych gospodarzy. Nie zauważyli mojej obecności, klęli na czym świat stoi i przetrząsali nasze rzeczy.

- Co wy robicie? - spytałam. Mój głos był słaby i przerażony.

Podskoczyli, jak złapani na gorącym uczynku, i aż poczerwienieli z wściekłości.

372

- Spójrz, jak wygląda ten pokój - skrzeknął jeden z nich. To był ten, co proponował mi pieniądze za seks. - Nie myśl, że nie wiem, co się tu dzieje. - I czubkiem buta pokazał strzykawkę. - W mordę kopane ćpuny! - zawołał histerycznie. - A czynsz?

Patrzyłam na niego tępo.

- Moja siostra umarła wczoraj - powiedziałam mu.

Odruchowo cofnął się, jakby ta wiadomość mogła go ubrudzić. Tak, to ta, której płaciłeś za seks - chciałam powiedzieć, ale byłam zbyt zmęczona. Zapadła cisza. Tylko szum samochodów za oknem nie słabł ani na moment. Ale on miał to gdzieś. I raczej trudno go za to winić.

- Jeśli nie możesz zapłacić, to musisz się wynieść.

- A kaucja, a moje rzeczy?

- Kaucja? Jaka kaucja? - spytał szyderczo. - Spójrz, w jakim stanie, kurwa, jest ten pokój. Kto zapłaci za te wszystkie szkody? Wynocha! I to już.

Odwrociłam się i zaczęłam schodzić po schodach. Nie wiedziałam, co robić. Ona nie żyła. Nic już nie miałam. Tylko jedno mi pozostawało. Strzelić sobie w żyłę.

- Masz! - krzyknął mężczyzna i obok mnie przefrunęły dwa paszporty. Podniosłam je i zataczając się, zesłam na dół. Zostałam bez niczego, w starym swetrze i dżinsach. A zaraz będę potrzebować następnej działki. Więc ukradłam whisky w supermarkecie i sprzedałam w monopolowym. Kupiłam dwie porcje browna, ukradłam łyżkę z kawiarni, cytrynę z warzywniaka, poszłam za róg i strzeliłam sobie w żyłę na terenie kościoła. Właściwie był to cmentarz.

Angielscy zmarli spoczywali cicho i spokojnie na swoich miejscach. Ja dobrych kilka godzin przeleżałam na trawie rosnącej na czyimś grobie. Kompletnie nie miałam pojęcia, co robić ani dokąd pójść. Myślałam, że wariuję. Anis prawdopodobnie jeszcze siedział na policji. Robiło się ciemno i zimno. Tak zimno, że zaczęłam się dziko trząść. Nigdy dotąd nie czułam się taka samotna i opuszczona.

Wstałam i poszłam w stronę domu Anisa. Dom pogrążony był w ciemnościach. Wybiłam szybę i weszłam. Nie miałam nic w ustach, odkąd razem z Zeenat zjadłyśmy na spótkę jeden deser ryżowy. Szybko znalazłam jego zapasy. Strzeliłam sobie i od

373

razu nieznośne uczucia poszły sobie. Musiałam jednak wstrzykiwać cały czas, inaczej by wróciły. Bez narkotyku były nie do wytrzymania i nie do przezwyciężenia. Widzisz, ona nie żyła. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że może się to stać. Nigdy nie myślałam, że mnie zostawi.

Tego dnia, kiedy zaproponowała mi swoją własną śmierć, powinnam była dać jej w twarz, tak mocno, żeby igła wyleciała jej z ręki. W kółko przeklinałam siebie. To ja pierwsza ją zdradziłam. Zostawiałam ją samą i szłam się upijać i wachać kokę z Rickym i nowymi przyjaciółmi. Ją, która nigdy nie uczyniła mi nic złego.

Wiedziałam, dlaczego to zrobiła. Przez całe nasze życie wszyscy traktowali nas jak jedno. Ubierano nas dokładnie tak samo. Bliźniaczki. Próbowwała być sobą. Bardzo się starała. Teraz już było za późno, żeby rościć sobie do niej jakiegokolwiek prawa własności.

Kiedy zobaczyłam swoją twarz w lustrze w łazience, pomyślałam o samobójstwie. Zobaczyłam siebie, jak umieram. Sine usta. Brak oddechu. Będąc świadkiem jej śmierci, stanęłam twarzą w twarz z moją własną. Zawsze będę wciąż od nowa przeżywać ten moment. Zawsze będzie się to wydawało logicznym następstwem. Zapragnęłam wstrzyknąć sobie śmiertelną dawkę i czekać. Nigdy nie

rozumiałam samotności. Zostawszy sama, byłam pozbawiona symetrii. Brzydka. Tylko jedna, pojedyncza. Kim byłam?

Nenek wiedziała. „Śnij o Ibu - powiedziała do Zeenat. - Śnij o Ibu". Wcale nie będzie zaskoczona, kiedy się dowie.

\* \* \*

Ricky.

Doszło do tego, że wszyscy mnie ścigali. W sprawie pieniędzy. Było już tak źle, że mój personel udawał, iż to nie ja jestem właścicielem. Właściciel nigdy nie przychodził. Stałem przy barze i piłem kawę, a pracownicy opowiadali głośne kawałki facetom w garniturach: „Nie, już tu nie przychodzi. Myślę, że jest we Włoszech". A ja nawet nie fatygowałem się, żeby się odwrócić i spojrzeć. Pewnego dnia wszedłem do restauracji i piękna kobieta zawołała do mnie: „Ciao, Ricky!". Zadziałał odruch.

374

Uśmiechnąłem się do niej. W odpowiedzi uśmiechnęła się uwodzicielsko.

- Si, Bella - rzuciłem.

Wtedy od stolika przy oknie wstali dwaj faceci w poliestrowych garniturach i wręczyli mi wezwanie do urzędu. Wyszła razem z nimi. Bez uśmiechu jej twarz była kurewsko niemila.

\* \* \*

Nutan.

Ciągle było ciemno, kiedy się obudziłam. Miałam świadomość, że zostałam obrabowana, tylko nie bardzo wiedziałam, co mi zabrano. Gdzie byłam? W piersi czułam duszności, które potęgowało przecucie czegoś złego. Duże, piękne wykuszowe okna? Aha, dom Anisa. W takim razie jestem bezpieczna. Może to tylko koszmarny sen. Nic nie pamiętałam. Próbowałam sobie cokolwiek przypomnieć. Całkowita pustka.

Czy był to kolejny ostrzegawczy sen dotyczący mojej siostry?

Śniło mi się... śniło mi się coś niewyobrażalnego... Och, nie... Gorączkowo zaczęłam modlić się do duchów.

Nie wzywajcie jej w nocy, nie w nocy.

O potężne duchy, witam was w moim domu.

Jeśli was obraziłam, przebaczenie, bądźcie wspaniatomysłne.

Przyjmijcie moje ofiary. O potężne.

Stałam się Nenek, samotnie błagając pośród wycia rozszalałej nocy, a łzy spływały mi po policzkach. To tylko sen. Jeśli będę błagać odpowiednio żarliwie, jak moja babka dawno temu... Czyż z pomocą duchów przez tyle lat nie utrzymywała Ibu przy życiu? Ja też tak zrobię. Rozkażę duchom.

Nie zabierajcie tego, co nie jest wasze. Nie okazujcie swego gniewu. Och, zostawcie mi dziecko. Pozwólcie, by żyło jeszcze jeden dzień. Nie wzywajcie jej w nocy, NIE TEJ NOCY.

375

Ustyszałam jakiś dźwięk dobiegający z salonu. Otworzyłam drzwi i cicho ruszyłam korytarzem. Moje stopy poruszały się bezszelestnie. Co to za cień podązał za mną? Salon był słabo oświetlony. Stanęłam w progu, drżąc, przerażona. W świetle małej chińskiej latarni zobaczyłam Anisa, który siedział ciężko na podłodze, gapiąc się na puste płótno. Obejrzał się i zobaczył mnie.

O Boże, nie, spójrz tylko, co złe duchy zrobiły z jego twarzą. Usta miał jak krwawiąca rana, a oczy jak dwie czarne, pełne przerażenia dziury. Co to? Dlaczego przepętnia mnie strach?

- Zeenat - szepnęłam.

Nic mi nie odpowiedziała ta maska cierpienia. Podniósł leżącą obok strzykawkę i podał mi. Z gardła wyrzywało mi się łkanie, kiedy potykając się, szłam w jego stronę.

- Szybciej, już nie mogę.

Pochwyciłam igłę, ale ręce trzęsły mi się tak bardzo, że nie potrafiłam znaleźć żyły. Anis wziął ją ode mnie delikatnie, z niezmierną czułością przyłożył do mojej skóry i nacisnął. „Będzie dobrze. Zrobię to za ciebie. Wystarczy przyłożyć igłę do skóry i nacisnąć. Wszystko”.

\* \* \*

Anis.

Zastałem Nutan w kuchni. Miała podcięte nadgarstki. Patrzyła spokojnie na własną krew, zbierającą się w kałużę na podłodze.

- Nie, nie, nie rób tego! - zawołałem, klęcząc przy niej i przyciskając obie rany do siebie.



- Nic nie rozumiesz - odparła. - Karmiłam duchy. Są głodne i nieszczęśliwe.

Byłem tak zaskoczony, że na moment puściłem jej zakrwawioną rękę. W uszach rozległ się szept babki: „Słyszysz? To ziemia chce krwi i kości”. Może ta krew kapiąca na ziemię to jakaś zapomniana wiedza. Może ogłuszeni rykiem postępu nie słyszymy jej cichego pomruku. Inaczej dlaczego każda starożytna cywilizacja opłacałaby przetrwanie ofiarami z ludzi?

To oczywiste. Ziemia też musi jeść - pomyślałem, bandażując jej rękę.

376

\* \* \*

Nutan.

Mężczyzna wolno podszedł do ekranu. W tle pojawiło się więcej męskich postaci, wszyscy byli w czerni, szli przed siebie i znikali nie wiadomo gdzie. Był to pokaz mody Isseya Mijake, kręcony na parkingu albo może w jakimś magazynie. Efekt upiorny i niesamowity. Dlaczego Anis oglądał to bez dźwięku?

Dotknęłam drzwi, skrzypnęły. Anis obejrzał się.

- Śniła mi się - powiedziałam. - We śnie mówiła: „Nie rób tego”. Wyciągnęłam rękę i przyjąłam wstrzyknięcie w ramię. „Ja też myślałam, że to ty powinnaś być umrzeć” - powiedziała, kiedy leżałam, umierając.

Uklęknęłam u jego stóp i dotknęłam jego twarzy. Moje ręce powędrowały do rozpiętego kołnierzyka koszuli, palce wsunęły się pod materiał. Może w trakcie zmęczymy się i zaśniemy.

- Co z niej zostało w tobie? Pokaż mi.

- Nie - rzekł ostro. - Nie psuj tego, co zostało. Pogubiłam się kompletnie i poczułam się nieczysta. A przecież chciałam tylko być tam, gdzie ona.

Odnaleźć zapach jej perfum. Pooddychać nią trochę. Wciąż była realna, jakby nie zniknęła wraz ze śmiercią. Anis wyjaśnił, że czas sprawi, iż zniknie. Pomoże zamazać ostre kontury.

\* \* \*

Elizabeth.

Poszłam odwiedzić Anisa. Nie miał w lodówce nic prócz skwaśniałego mleka, spleśniałego sera i czegoś tak już zepsutego, że ledwo można było znieść ten zapach. Przewidywałam, że tak będzie, więc przyniosłam własne produkty. Zrobiłam duszoną kapustę z szynką, usiedliśmy na podłodze i zjedliśmy. Rozgrzebywał widelcem swoją porcję, a ja siedziałam i cierpliwie czekałam, aż wszystko zje. Potem przeprosił i poszedł do sypialni, a ja stałam przy oknie, usiłując nie myśleć o tym, co on tam robi. Kiedy wrócił, wyglądał normalnie. Uśmiechnęłam się do niego, ale nie odpowiedział mi uśmiechem.

Podszedł do sprzętu grającego i pokój wypełniły piękne dźwięki „Nocy na Łysej Górze” Musorgskiego. Gestem pokazał

377

mi, że mam wrócić na poduszki, na których siedzieliśmy podczas jedzenia. Jego twarz była nieczytelna, wziął mnie za rękę i ucałował ją delikatnie. „Dziękuję” - powiedział. Potem zaczął mówić. Kilka razy przerywał, żeby wyjść do sypialni, czasem powieki mu opadały, ale zmuszał się wtedy do otworzenia ich i mówił dalej. A moje serce ogarniało coraz większe, bolesne współczucie dla małego chłopca, który wykradł brudny sekret, a potem obciążył nim samego siebie, aby chronić matkę. Wszystkie te lata niepotrzebnego poczucia winy. Jak to się dzieje, że raniemy tych, których podobno mamy kochać? Czułam gniew na tę nieznaną mi kobietę za to, że pozwoliła, by syn stał się w domu intruzem. Tymczasem ten mały chłopiec, wciąż żywy i cierpiący, spojrzał mi ze smutkiem w oczy i powiedział, że nie należy winić matki. Ona w sposób doskonały wypełniła swoją dharmę. Była dobrą żoną. A co z jej obowiązkiem matki - chciałam go zapytać.

- Jestem jak wampir - przyznał gorzko. Jego usta skrzywiły się. - W mrocznych miejscach wyszukuję miłe dziewczęta i wysysam z nich życie. Taki Picasso minus geniusz. - Zaśmiał się smutno. - Zdaje się, że to ja mógłbym być tym okropnym pajakiem, którego czci Ricky, czającym się w pobliżu, czarnym i ohydny. Zwabiającym piękne kobiety do sieci, namawiającym, żeby zdjęły ubranie, i niszczącym je. Swathi, Maggie, a teraz Zeenat...

- Nie mów tak! - zawołałam. - Swathi była umierająca, kiedy ją poznałeś. To ty nadałeś sens ostatnim chwilom jej życia. Być muzą wielkiego artysty to wielki dar od losu. Tak uwodzicielski komplement, że nawet zakochała się w tobie. Czy to twoja wina, że nie mogłeś odwzajemnić jej uczucia? A Maggie, czy wiesz, co powiedziała o tobie? Że pozwoliła ci się namalować, bo ty malujesz ludzkie dusze. Byłeś pierwszą osobą w jej życiu, która zdołała dostrzec w niej coś więcej niż tylko grzeszne ciało. Po raz pierwszy poczuła się naprawdę piękna w oczach mężczyzny. Dlatego dała ci swój obraz. Nawet ja nie mam na własność żadnego jej obrazu. Chciała ci w ten sposób podziękować. Nie możesz winić siebie, przecież planowałeś dla niej najwspanialszą niespodziankę. To nie twoja wina, że ona nie mogła już dłużej czekać. Kochałam ją i nie winię ciebie.

Spójrz na mnie - powiedziałam. Podniósł głowę, w oczach miał poczucie winy człowieka, który przeżył. Był zbyt wrażliwy.

378

Nie nadawał się do tego brutalnego świata. - A jeśli chodzi o Zeenat, to nie pozwolę, byś siebie obwiniał. Zapomniałeś, że to ona zrobiła pierwszy siniak na twoim ramieniu? A kiedy próbowałeś się odtruć, to ona znowu sprowadziła cię na tę drogę, może nie? Jej już nie ma. Musisz pozwolić jej odejść.

Jedna połowa jego ust uniosła się w niby uśmiechu.

- Nie rozumiesz - szepnął. - Nie potrafię.

\* \* \*

Nutan.

Moja siostra powiedziała: „Mam trochę towaru. Przyjdź do naszego dawnego pokoju, gdzie mieszkaliśmy, to razem weźmiemy”. Obudziłam się i zaczęłam się ubierać. I wtedy poraziła mnie myśl. Przecież ty nie żyjesz.

Musiałam opuścić dom Anisa i zabrać moją siostrę z zimnego pokoju, w którym trzymano jej ciało. Musiałam położyć jej biedną głowę na kolanach matki. Tam było jej miejsce. Nigdy nie powinnam była zabierać jej do tego trującego świata. Na naszej małej wyspie byliśmy bezpieczni. Musiałam wrócić i stanąć ponownie przed oczami babki.

Będą wrzucać kwiaty do jej trumny, a ojciec, ten daleki nieznajomy, który, by ukarać kochankę, tak ochoczo naraził córki na niebezpieczeństwo, zaśpiewa w starożytnym języku jawajskim tym dziwnie zawodzącym tonem, który zazwyczaj rezerwował dla najwyżej urodzonych ze swoich lalek, i mocno afektowanym głosem wypowie to samo, co na pogrzebie matki: „Zaczekamy, aż się odrodzi na ziemi. Może jako moja prawnuczka”.

Gdy zamykałam oczy, pod powiekami zaczynała szaleć burza. Widzisz, ja nie jestem taka jak mój dobrze urodzony ojciec. Jestem jak moja babka: na języku mam smak ziemi i nie potrafię udawać, że nie czuję tego, co czuję. Śmierć, być może, przyniesie mi wyzwolenie, ale co z nieobecnością, którą przedtem będę musiała znosić? Co mam zrobić z tą nieznośną pustką, gdy budzę się w środku nocy i tęsknię za jej ciałem obok mojego?

Byłam jak ślepy i nierozważny pyton! Niechący połknęłam wielkie stworzenie zwane bólem. Nie wiem, ile lat mi to zajmie,

379

ale zostawcie mnie w spokoju, dopóki nie przeżuję mego posiłku. Niczym się teraz nie różnię od was. Ja też jestem niewypowiedzianie samotna.

\* \* \*

Anis.

Na niebie nie było księżycy. Znowu nie mogłem spać. Gryzło mnie sumienie. Gdzie następny stopień? Ten, na którym stałem, był ponad moją wytrzymałość, musiałem iść dalej. Nie wiem, dlaczego nigdy nie przyśnił mi się ten moment, kiedy ona leżała martwa w moich ramionach, ale Bóg mi świadkiem, miałem go często przed oczami na jawie. Czasami człowiek czyta w gazetach, jak dziecko znalazło rodziców martwych po przedawkowaniu czy coś w tym rodzaju, i już ma dosyć. A gazetę czyta się przy śniadaniu, siedząc przy stole, na którym czekają ciepłe tosty z dżemem, masło, miód i pyszne świeże mleko, więc jak, choćby w przybliżeniu, może się to równać horrorowi, gdy na własne oczy widzisz, kiedy ktoś umiera w mękach, bo wziął za dużo.

Historia to wieszczący śmierć upiór, przyodziały w pokutny worek, mający obłąkane spojrzenie i groźący kościstym palcem. A mnie przyniosła znaczne profity. Mimo że to wcale nie ja ściągnąłem dziennikarzy. Rzucili się jak wataha wilków na wieść o trupie w objęciach Anisa Ramji. W rezultacie ceny moich obrazów zaskakująco poszły w górę. Może dlatego, że po śmierci malarza często rośnie wartość jego obrazów. Wyciągnięto zatem logiczny wniosek co do mojej przyszłości. A moja szorstka melancholia zaczęła pociągać niektóre kobiety.

Jednak zmarli nie potępiają mnie. Ona przychodzi do mnie, zarumieniona i szczęśliwa. Wastan titiang 'e Zeenat, Na imię mam Zeenat. Prosi o gambar titiang, mój obraz. I czy uwierzysz mi, jeśli powiem, że czasami, budząc się, czuję jej zapach?

\* \* \*

Ricky.

Zrobiłem przekręt. Sprzedałem udziały w mojej restauracji kierownikowi i szefowi kuchni. Nie wiedzieli, że restauracja

380

miała się znaleźć na liście komornika, kiedy ci od watu ostatecznie ogłoszą moje bankructwo. Miało się to stać w ciągu paru dni.

Ci durnie obnosili się z papierami bez wartości, głośno gadając o fantastycznych zmianach, jakie wprowadzą, a cicho o tym, jaki ze mnie nieudacznik. Pozwalałem im na to. Naiwne głupki. Wiem, jak długo każdy z nich musiał ciuć te dwadzieścia tysięcy.

Co do kierownika, nie miałem żadnych wyrzutów. I tak mnie okradał.

Stary kucharz. Tak, to smutne, ale co miałem zrobić? Facet był u mnie od pierwszego dnia, wiernie mi służył, był już po pięćdziesiątce, a ja zabierałem mu ciężko zapracowaną emeryturę, ale w pewnym sensie nie miałem wyboru. Nie mogłem zaproponować udziałów kierownikowi, a jemu nie. Był moim kamuflażem. Kto by pomyślał, że z premedytacją zrobię w bambuko starego Franka? Wszystko mógłby trafić szlag, gdybym nie zaproponował najpierw kucharzowi. Kierownik zaraz zacząłby podejrzewać jakiś szwindel.

Zgoda, to tylko wykręty. Tak naprawdę pieniądze kucharza były mi potrzebne. Tonąłem. Musiałem uchwycić się czegokolwiek. Kucharz pierwszy wręczył mi czek. Nawet jego pałające wdzięcznością oczy nie zepsuły mi nastroju. Potrzebowałem pieniędzy. Zaniósłem czek do Paola, a on natychmiast mi wypłacił. Wydawało się, że to dużo. Myślałem, że starczy na długo, ale szybko poszło.

\* \* \*

Styczeń 2001.

Ricky.

Ile dasz za złotego rollsroyce'a?

Pięć patyków! Wsadź je sobie, stary. Ma dopiero trzy lata. Prawie nówka.

Daj spokój, wkurzasz mnie tylko, doskonale wiesz, że weźmiesz za niego trzy razy tyle.

No dobra, pies to trącał, bylebyś dzisiaj go zabrał.

Kiedy możesz przyjechać? Bardzo mi się śpieszy.

\* \* \*

Nutan.

Co do joty wypełniłam instrukcję Elizabeth i zadzwoniłam do jej drzwi dokładnie o trzynastej. Jednak czekałam dość długo na zimnie, zanim się odezwała.

- Chodź na górę - zaprosiła mnie.

Z windy wyszedł facet, który wyraźnie usiłował ukryć twarz. Mimo to odniosłam wrażenie, że skądś znam tego schludnego przystojniaczka. To musiał być ktoś znany. Może widziałam go w telewizji. Elizabeth otworzyła drzwi. Doznałam szoku.

- Co ci się stało? - spytałam.

- Uderzyłam się niechcący - powiedziała, z trudem poruszając spuchniętą wargą. Ostrożnie, krzywiąc się z bólu, ułożyła się na śnieżnobiałej sofie. - Jedyną dobrą stroną pana M. jest to, że zawsze zostawia pół torebki mocnego towaru. Jest na stoliku w kuchni. Przynieś, dobrze?

Siedząc na sofie, kończyłyśmy kokę. Była piętnasta, kiedy spojrzała na mnie.

382

- Ostatnia porcja jest dla ciebie.

- Proszę - powiedziała potem i podała mi kopertę z pieniędzmi. - Zabierz ją stąd. Na Bali.

Życie jest dziwne. Elizabeth była ostatnią osobą, do której zwróciłabym się o pomoc. Zawsze wydawała się taka niesympatyczna. A jednak była bohaterką. Żeby zdobyć pieniądze na przewiezienie Zeenat, zrobiła coś, co było dla niej absolutnie odrażające. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Upadłam na kolana i otworzyłam usta, żeby jej podziękować, ale uciszyła mnie gestem podniesionej ręki i rzekła chłodnym głosem:

- Idź już. Muszę się umyć, przespać i dojść do siebie. W przyszłym tygodniu przyjeżdża mułta. Nie zrobiłam tego dla ciebie. Zrobiłam to dla Zeenat.

Dlaczego ona wcale nie potrzebowała ludzkiego ciepła, pozostawało dla mnie zagadką. Najwyraźniej miała dobre serce, ale umyślnie robiła wrażenie, że jest zimna i pozbawiona uczuć.

Zakłopotana, odwróciłam się i chciałam wyjść, a wtedy ona powiedziała:

- Zaczekaj chwileczkę. Lepiej zostaw pieniądze tutaj. Ja załatwię wszystko za ciebie. - Spojrzałam jej w oczy. Były szczere i uczciwe. Oczywiście miała rację. Nie można mi było ufać. - Czy pięćdziesiąt funtów wystarczy ci do jutra? - spytała.

Kiwnęłam głową.

Na dworze znowu ogarnęło mnie poczucie straty. Cios, który zabił moją siostrę, smagnął i mnie. W powietrzu zbierała się mgiełka śmierci.

Nocnym autobusem pojechałam na Vauxhall. Na miejscu przede mną usiadła kobieta w skórzanej kurtce. Od jej zapachu poczułam mdłości. Szybko się przesiadłam. Przy wejściu do obskurnego bloku mieszkań komunalnych nacisnęłam guzik oznaczony numerem siedemdziesiąt siedem. Musiałam nacisnąć jeszcze trzy razy, zanim odpowiedział ledwo przytomny głos.

- Mogę wejść na górę? - spytałam.

Odezwał się brzęczyk i otworzyłam drzwi. Musiałam zapomnieć. Jutro miało nadejść zbyt szybko, żeby pamiętać.

383

\* \* \*

Bruce.

O wpół do czwartej dostałem na komórkę wiadomość od Haylee: „Jedź do Elizabeth. Zbiera pieniądze dla Nutan”. Mimo że wiedziałem, co oznaczają te słowa, serce stanęło mi w gardle wobec perspektywy zobaczenia Elizabeth. Wiedziałem też, że jeśli Haylee wysłała tę wiadomość, to było już za późno. Ale może..., może nawet Haylee potrafiła rozpoznać prawdziwą miłość i życzyć jej powodzenia. Może jeszcze miałem czas. Mimo to gdy zadzwoniłem do jej drzwi, było mi smutno. Dlaczego do mnie się nie zwróciła?

Nie mogłem oderwać oczu od jej napuchniętej wargi. Coś we mnie pękło.

- Haylee wysłała mnie z wariacką misją ratunkową - powiedziałem. Nawet ja sam słyszałem drzenie w swoim głosie. Coś we mnie w środku pękło.

- Za późno - odparła swobodnie. - Pewnie Nutan jej wygadała. Ale co tam, wyrazy uznania dla Haylee za to, że próbowała.

Poszedłem do sypialni i przyniosłem koc. Delikatnie otuliłem nim jej biedne, szczupłe ciało. Chciało mi się płakać. Za każdym razem ona była nade mną górą.

- Nie jest tak źle, jak na to wygląda. Jesteś mężczyzną, to wiesz, o co chodzi. Nie ma penetracji, więc nic się nie stało, prawda? - zażartowała przez posiniaczone wargi. Twarda z niej sztuka.

- Dlaczego? - spytałem zszokowany.

- Musiałam to zrobić. Winna jej to byłam. Nie zadałam sobie nawet trudu, żeby ją wytraskać po buzi, kiedy się dowiedziałam, że ćpa.

- Dlaczego mnie nie poprosiłaś o pieniądze?

- Może chcę cię zachować na lepszą okazję. - Zaśmiała się słabo.

- Och, Elizabeth.

- Dlaczego ciągle wracasz? Tak bardzo się starałam, żeby cię odepchnąć. Boże, pomyśleć, że nawet starłam cały makijaż w restauracji, żeby ci pokazać, jak okropnie potrafię wyglądać.

Patrzyłem na nią z niedowierzaniem.

384

- To dlatego starłaś makijaż? Myślałaś, że mnie do siebie zraszisz?

- Teraz, jak tak mówisz, wydaje się to niemądre.

- Trochę...

- Wszystko to jedno wielkie kłamstwo, Bruce. Ukrywałam przeszłość, licząc na to, że umrze w ciemnościach, a ona tylko się zestarzała i zrobiła się jeszcze bardziej paskudna. Wystarczy rzucić na nią trochę światła, a już widać, jak bardzo jest żywotna i jaka wredna.

I opowiedziała mi wszystko: o bracie zabranym przez morze, o podrzutku, który pragnął podbić miasto, mimo że jego mieszkańcy byli martwi, i o mężczyznach, którzy ściskali ją tak mocno, że zostawiali na jej ramionach siniaki w kształcie swoich palców.

Było to wprost niewyobrażalne. Bycie z nią tak blisko. Słuchanie o tak intymnych rzeczach. Nawet z posiniaczoną wargą była piękna. Jasnoszare oczy nie były twarde i zimne, ale wilgotne i czułe. Wiem, że to banał, ale kochałem tę przystępną, pozwalającą się dotknąć istotę tak bardzo, że to aż bolało. Zacząłem lękać się, że ona zaraz odzyska dawną lodowatą pewność siebie i znowu skryje się pod maską ironii.

- Chcesz usłyszeć jeszcze jedno wyznanie?

- Co takiego? - spytałem. Gotów byłem na wszystko.

- Nie lubię brać koki. -Co?

- To prawda. Jak tylko widzę mały biały pagórek, zaczynam bać się tej chwili, kiedy stracę wszystko i utknę na zawsze w tej straszliwej pułapce, która jak spirala prowadzi w dół. Będę rozbijać uliczne automaty i pukać do domów obcych mi ludzi o piątej rano. Na dzień czarnej rozpacz, którą tylko kolejna kreska może uleczyć.

- Chcesz rzucić? -Tak.

- Ja też - powiedziałem.

- Mówisz poważnie?

- Tak. Śmierć Maggie wiele zmieniła. Po raz pierwszy zobaczyłem świątynię Ricky'ego w prawdziwym świetle: jest to brudne, okropne miejsce, pełne smutnych, zagubionych ludzi. Nikt

385

nie jest tam szczęśliwy. Ryczą głośno ze śmiechu, ale w środku są martwi. Trzeba być martwym, żeby się modlić w świątyni pająka.

- Jesteś absolutnie pewny? - spytała.

- Absolutnie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz wahałem. A ty jesteś pewna?

- Nigdy w życiu niczego nie byłam bardziej pewna - odparła silnym, zdecydowanym głosem.

- Naprawdę cię kocham - rzekłem cicho.

- Naprawdę? Rzeczywiście naprawdę? - Jej głos był smutny, taki smutny.

- Tak, tak, naprawdę - westchnąłem. Dlaczego tak trudno jej uwierzyć, że rzeczywiście ją kocham?



- Cóż, skoro jesteś absolutnie pewny - powiedziała i odsunęła się ode mnie. Po chwili odwróciła się, wyprostowana i dumna, a jej oczy znów zmieniły się w szare diamenty.

Z niemiłym skrzywieniem spuchniętych ust rzuciła szyderczo:

- Czy to na tę doskonałość od tak dawna masz chęć? Rozwiązała szlafrok, który spłynął na ziemię. Pod spodem była naga.

Skamieniałem. W uszach mi huczało.

Czas zwolnił bieg, a ja usłyszałem własne słowa:

- O Boże!

\* \* \*

Anis.

Patrzyłem z niechęcią na puste płótno w salonie. Czekano na mnie, ale ja czekałem na moment, w którym znów będę mógł znieść zapach farby. Chciałem namalować ją na niebiesko, a sam krwawiłem na czerwono. Czerwień wylewała się ze mnie, niepowstrzymanie, tak jak chciwość tryska z oczu hazardzisty, kiedy koło zostanie wprowadzone w ruch. Nie było ulgi od straszliwej udręki. Zatapiała wszystko.

Spojrzałem na wstające słońce. Bładożółte smugi rzucały kwadraty światła na zachlapaną farbą drewnianą podłogę. Ich widok przypominał mi dziadka, wyprostowanego, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na takiej słonecznej plamie w domu na wzgórzu. Trwał tak godzinami, wyrzucając oddech z klatki piersiowej,

386

a całe jego jestestwo wibrowało w strumieniach dźwięku Om. Twarz jego wyglądała przy tym tak, jakby nie dotykał jej upływ lat, i malował się na niej tak ogromny spokój, że aż mu zazdrościłem.

- Emocje zaburzają jasność widzenia - mawiał, sięgając po muszlę napełnioną wodą z kurkumą, którą trzymał na nasłonecznionym oknie kuchni. - Medytuj, Anis, medytuj, a osiągniesz głęboki spokój. Bez oderwania się nie ma ciszy. Skoncentruj wzrok i percepcję na duchowym oku na twoim czole i czekaj na odpowiedź.

Pełnąc w stronę kwadratu światła, poczułem litość dla ojca. Jego dusza na pewno rozpacza z powodu niezliczonych kłamstw, paraliżującego poczucia winy i syna, który nie wybacza.

Może i był bestią, ale mimo wszystko był stworzeniem natury. Szkoda, że nie czytał filozofów. Arystoteles wskazałby mu, jak między tchórzostwem a brawurą znaleźć złoty środek: odwagę.

Przypomniał mi się taki, jaki był podczas naszego ostatniego spotkania, gdy przygryzał od środka policzek, zgaszony moją niechęcią i odrazą.

Matka opowiadała, że kiedy miałem trzy lata, kochałem go tak bardzo, iż domagałem się, żeby mnie pierwszego przytulał po powrocie z pracy. A jeśli zdarzyło się, że tego nie zrobił, wybiegałem na dwór i siusiałem na jego buty, żeby go ukarać. Już wtedy moja miłość była okrutna i wymagająca. Kim byłem, żeby się go wstydzić? Zamknąłem oczy.

„Jesteś tym”.

Kim?

„Nieznany, który wie i zna. Wycisz się, właśnie tym jesteś”.

Na plamie słonecznego światła łatwo było przyjąć pozycję martwego ciała, jakiej nauczył mnie dziadek.

\* \* \*

Bruce.

Patrzyliśmy na siebie. Nie wiem, ile czasu minęło. Oczy mnie bolały, ale jej wprost lśniły od bólu. Więc to była ta „nieistotna” rzecz, o której Maggie niemal mi powiedziała, gdy upijaliśmy się u Ashleya. Przypomniał mi się inny strzęp rozmowy z przeszłości.

387

„Nie lubisz być idealnie piękna?”

„Nie wiesz, że człowiek ma w swojej naturze niszczenie tego, co idealne?”

Choć ani na chwilę nie oderwałem spojrzenia od jej oczu, wszystko widziałem. A potem, nie mogąc się dłużej powstrzymać, moje oczy rozpoczęły wędrówkę po zwartym, różowym, popalonym ciele. Od piersi do lędźwi nosiła ślady straszliwych poparzeń.

- Żaden chirurg plastyczny nie jest w stanie mnie naprawić -szepnęła.

Moje zdrętwiałe ciało przysunęło się bliżej do niej, a palce niedowierzająco dotknęły blizn. Odsunęła się, jakby to miał być jakiś podstęp, zachowując między nami dystans. Wzdrygnęła się. To nie podstęp. Położyłem dłoń na jej brzuchu i z drobiazgową dokładnością przesuwałem palcami po miejscach gładkich, po poszarpanych brzegach blizn, po częściach bielszych i po tych nienaturalnie różowych. Badałem wszystko, a ona stała bez ruchu. Było to ohydne. Och, cóż za okrutny, okrutny los... Ja, który tak wielbiłem perfekcję.

- Ogień?

- Kwas.

- Oczywiście - pokiwałem głową, jakby to była jedyna słuszna odpowiedź. Na to, że tak wielka piękność skrywała tak monstrualną niedoskonałość.

- Arab?

- Arab.

- Dlaczego?

- Kiedy ktoś prawie nie korzysta ze swojej własności, musi się zabezpieczyć, żeby inni z niej nie korzystali. A poza tym on tego nie ogląda. Używa mnie jak chłopca.

- Ach. - Skąd brał się we mnie ten dziwny spokój? Niespodziewanie okazuje się, że ona jest odrażająca... a ja, który tak wielbiłem perfekcję...

Boże, co za potworne odkrycie! Kolana ugięły się pode mną.

- Przepraszam - powiedziałem i ukryłem twarz na jej pokrytym bliznami brzuchu. Moje własne łzy zdumiały mnie. Przecież nie płakałem od czasów, gdy byłem dzieckiem. Pomyślałem o nas tańczących, o tym, jak byliśmy zgrani, zupełnie jakbyśmy

388

razem tańczyli od lat, i wtedy w głowie rozległ się szyderczy głos Ricky'ego: „To jeszcze nie miłość, kiedy wpada ci w oko przepiękna kobieta. Kurczę, przecież ty nawet jej dobrze nie znasz. A gdyby nie wyglądała tak, jak wygląda, aha? Gdyby nie była takim bóstwem?”.

Jakiego okrutnego figla spłatał mi los!

Jej idealne dłonie przytuliły moją głowę. Skóra na nich była miękka, bez blizn. Biedna Elizabeth.

- Ciii - pocieszała mnie. Jeszcze bardziej się rozplakałem.

Wtedy głaskanie ustało i powiedziała bardzo, bardzo cicho:

- Uciekaj... uciekaj, Bruce, uciekaj natychmiast. Wstałem i spojrzałem w piękne oczy, i wtedy poczułem

w nozdrzach zapach jej strachu. Podniosłem z ziemi szlafrok i delikatnie narzuciłem jej na ramiona.

- Myślałem, że cię kocham...

Jedna nieposłuszna łza uciekła i stoczyła się po jej policzku. Otarłem ją delikatnie.

- ...ale teraz już wiem na pewno. Kocham cię, Elizabeth. Czy nie rozumiesz, że jesteś dla mnie czymś więcej niż ta twarz i to ciało? Kocham cię bardziej niż kiedykolwiek.

Z jej gardła dobyło się wstrzymywane dotąd łkanie, dzikie i głośne.

- Jeśli któregoś wieczoru okaże się, że to wszystko kłamstwa... Moje palce powędrowały w górę i dotknęły jej warg.

-Cii.

Moje usta odnalazły jej usta w naszym pierwszym prawdziwym pocałunku. Tego nie musiałem jej kraść podstępem. Delikatnie. Wargi miała spuchnięte. Nasze twarze były wilgotne, a pocałunek smutny i słodki. Nie taki, żeby się zatrzęsła ziemia, nie namiętny, o jakim marzyłem, ale tego smutnego, słodkiego pocałunku nie zamieniłbym na nic na świecie.

- Kiedy byłem mały, mama czytała mi do poduszki Pluszowego Króliczka. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, co miał na myśli Koń ze Skóry, kiedy tłumaczył Króliczkowi, co to znaczy być PRAWDZIWYM. Powiedział, że to nie dzieje się tak od razu. Trwa bardzo długo i zazwyczaj, zanim zabawka stanie się prawdziwa, ma już zagłaskaną prawie całą sierść, oczy jej odpadają,

389

łapki się obluźwiają i w ogóle łachmanieje, ale ponieważ jest prawdziwa, nie może być już brzydka, chyba że dla tych, którzy niczego nie rozumieją. A jak już raz stanie się prawdziwa, to na zawsze\*.

[\* Margery Williams, Pluszowy Króliczek, na podstawie tłumaczenia zamieszczonego w Internecie].

Dzisiaj po raz pierwszy zrozumiałem, o czym mówił Koń ze Skóry. Bez włosów, bez oczu, z obluźowanymi łapkami -jesteś dla mnie prawdziwa. Na zawsze.

- W tym, co mówisz, jest radość, ból, nadzieja i... miłość.

- Nie płacz. Proszę, nie płacz. Zobaczysz. Moja miłość będzie trwała wiecznie. A potem nauczę się kochać cię jeszcze bardziej - obiecałem. - Od kiedy wiesz, że mnie kochasz?

- Odkąd otworzyłeś moją lodówkę i poczęstowałeś się kawiozem.

- Od tak dawna? I cały ten czas pozwalałaś mi cierpieć?

- Chodźmy stąd - powiedziała nagle i zaprowadziła mnie do sypialni. Usiadłem na jej łóżku. Aaa, gęsi puch. Bez szemrania poddaje się ciężarowi ciała. Czy to rzeczywiście prawda, że ona jest moja? Czy naprawdę była moja? Ubrała się szybko, a potem wyciągnęła zniszczoną walizkę z dna szafy.

- Już jesteś spakowana? - spytałem zdziwiony.

- Ręce odważyły się na to, czego nie śmiało zrobić serce.

- Nic więcej nie zabierasz? Ciuchów, futer, biżuterii... Rozejrzała się wolno i pokazując różne rzeczy, mówiła:

- To jego. To jego. I to. I to też...

Wyjęła tylko świecę z bogato zdobionego lichtarza ze złoczonego hebanu. Podeszła do mnie z uśmiechem. I wtedy przypomniała sobie o swoim obrazie.

Stanęliśmy przed Chagallem. Jej palce na pożegnanie pogłaskały unoszące się postacie. Kiedy odwróciła się do mnie, oczy miała zamglone. Dla ludzi Araba zostawiliśmy ślady świadczące o używaniu narkotyków. To zrozumie. W końcu była upadłą kobietą. Zamknęliśmy drzwi i wrzuciliśmy klucz przez szparę na listy. Wziąłem od niej walizkę, ona niosła świecę. Zeszliśmy razem po schodach i wtedy zobaczyłem wszystkie niepołączone dotąd ze sobą momenty jako jeden, misternie obmyślony plan.

390

\* \* \*

Nutan.

Lotnisko było duże i zimne. Kiedy ostatni raz tu byłam, towarzyszyło mi podniecenie i poczucie wielkiej przygody. Teraz zapowiadało się na ciężką próbę. Piętnaście godzin bez działki. Nie wiedziałam, jak to wytrzymam. Strzeliłam sobie jedną przed, a drugą po odprawie bagażowej. Na czas lotu miałam valium od Bruce'a.

- To cały pani bagaż?

- Tak - odparłam. Jedyne ważne rzeczy osobiste to łyżka i kwasek cytrynowy. Będą mi potrzebne, póki nie położę głowy na kolanach babki. Na pewno mi wybaczy i wyleczy mnie, tak jak niejednokrotnie przedtem na moich oczach czyniła to z innymi. Była to nieprzyjemna kuracja, ale skuteczna.

Spytałam Anisa, czy chce syrop zapomnienia na swój ból. Babka może mu zrobić. Spojrzał na mnie obojętnie.

- Nie - odparł. - Wspomnienia są zbyt cenne, by się ich wyrzekać.

Zaczekałam do ostatniej chwili i wstrzyknęłam sobie w toalecie. A potem przeszłam przez kontrolę paszportową i ruszyłam długim szerokim korytarzem do wyjścia 33. Kobieta, która odbierała ode mnie kartę pokładową, spojrzała na mnie dziwnie. Powinnam czuć się zawstydzona, ale narkotyk był łaskawy dla mnie. Wspierał mnie. Usiadłam ciężko w fotelu i zapadłam w drzemkę. Obudził mnie mężczyzna w mundurze.

- Czas wsiadać do samolotu. Źle się pani czuje? - spytał, choć na pewno doskonale wiedział, co jest ze mną.

Doszłam na swoje miejsce i zwałam się na nie.

Mogę zdradzić ci jeden sekret? Coś, czego nikomu innemu nie mówiłam. Uprzedzam, może cię to zszokować. Ja już dawno przestałam się przejmować takimi rzeczami. Najpierw jednak powiem ci, co mi mówił Anis. Jak był mały, przeczytał w jednej z książek ojca, że w szesnastym wieku przybył na Jawę Pers nazwiskiem Ludovico Di Varthema i odkrył, że na wyspie panuje kanibalizm. Jawajczycy

jedli ludzi chorych, starych i zniedołężniałych. Zabierali nienadających się do pracy rodziców czy chore rodzeństwo na targ i sprzedawali na mięso, a za uzyskane pieniądze kupowali starych, chorych i zniedołężniałych od innych

391

rodzin. Gdy zszokowany Ludovico protestował, potrząsali głowami w rozpacz i wołali: „O wy, nieszczęśni Persowie, czemuż zostawiacie takie piękne mięso na pokarm robakom?!“.

Tej nocy, kiedy umarła Ibu, Nenek wycięła maleńki kawałek ciała z karku mojej matki i zjadła je. Nie, nie dlatego je zjadła, że było to piękne mięso. Zjadła, żeby zatrzymać magię mojej matki w swoim ciele.

Wiedziałam, że to zrobiła, ale dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego. Z tego samego powodu, dla którego człowiek, który znajdzie diament, zawsze będzie dążył do tego, by go zatrzymać. Chciała zatrzymać w sobie istotę swojej córki. Wiedziałam też, że zje kawałek mojej siostry. A ja będę jej towarzyszyć, ponieważ nie jestem wysoko urodzoną córką mego ojca. Moi prawdziwi przodkowie należeli do starożytnego plemienia Bali Aga. Nie wierzymy ojcu, kiedy mówi, że powtórne narodziny to zwycięstwo nad śmiercią.

„Jiarisang - powie mi moja babka. - Wykonuj swój obowiązek“.

Najpierw jednak muszę się przespać. Kiedy się obudzę, zacznie się moja próba.

„Bądź przy mnie.

Nic się nie bój, nie uciekaj“.

\* \* \*

Francesca.

Spojrzałam na zegar wiszący nad kamiennym kominkiem. Madonna, już piąta. Wstałam i przeciągnęłam się. Trzy godziny minęły od wyjścia dzieci, które miały dziś nocować u babci Delgado. Jak szybko płynie czas, gdy pochłania mnie wypisywanie etykiet lawendowym tuszem i cierpliwe obwiązywanie każdej butelki surowym sznurkiem. Ogień przygasał, więc dołożyłam więcej polan. Odwróciłam się i przez chwilę podziwiałam stół zastawiony rzędami butelek. Oliwa Extra Vergine od Franceski.

Szybko przeszłam przez zimny, wąski korytarz. W przyszłym roku planowałam zainstalowanie porządnego ogrzewania. Z szafy w sypialni wyjęłam piękną zieloną sukienkę i poszłam do małej łazienki. Zamknęłam drzwi, powiesiłam sukienkę na wieszaku i włączyłam mały elektryczny grzejnik. Siedząc na

392

brzegu wanny, ogrzewałam dłonie w strumieniu gorącego powietrza. Nie były to już pięknie wymanikiowane, miękkie ręczki Franceski Delgado. Były to uczciwe, spracowane ręce Franceski Sabelli.

Z lustra odpowiedziała mi spojrzeniem moja prawdziwa twarz. Pełniejsza i bardziej miękka niż kiedyś, z ustami normalnych rozmiarów. Gdy wspominałam, jakie były dawniej, nie mogłam się wprost nadziwić. Teraz to niewolnicze naśladowanie innych nieszczęśliwych kobiet wydawało mi się wyjątkowo groteskową aberracją. Moja skóra była modnie brązowa, ale nie dlatego, że leżałam przez pół godziny na opalającym łożku, tylko dlatego, że słońce stało się moim zegarem. Budziłam się, gdy jego pierwsze promienie dotykały nieba, i dopóki z nieba nie spadło, pracowałam na roli.

Nawet moje włosy nie były już więcej prostym, równiutko przyciętym welonem. Pełne były miękkich, rozświetlonych słońcem nieposłusznych loków. Kiedyś znany fryzjer dojrzał we mnie piękno naturalnego wyglądu. Skrócił je odrobinę, a potem tak położył pasemka, jakby zrobiło je słońce. Wtedy mi się to nie podobało, ale teraz byłam inna.

Pokój ogrzał się wreszcie, więc napełniłam umywalkę i rozebrałam się. Moje piersi nie były już pięknymi stożkami, tylko podłużnymi kawałkami ciała. Nie przeszkadzało mi to. Wykarmiły trzy duszyczki. Słuszne zatem, że były bujne i świadczyły o płodności. Brzuch był lekko wypukły, gładki i okrągły. Szerokie biodra łączyły się z umięśnionymi udami, sprężystymi od kucania przy zbiorze oliwek. Przesunęłam dłońmi po skórze.

Jakże szybko nabrałam kształtów gruszki! Ale w sercu nie miałam najmniejszej ochoty, by optakiwać ten posągowy ideał, jakim kiedyś byłam. To tutaj było ciałem kobiety. Silnej, radosnej kobiety, która odzyskała władzę nad własnym życiem. To ciało czuło wszystko. Kiedyś chodziłam, mówiłam, rozmawiałam i śmiałam się, i nikt by się nie domyślił, że robiłam to na oślep, niczego nie czując. Nie przyznając się do swojej straszliwej biedy. W moich obfitych kształtach zawarte było błogostawieństwo moich protoplastek, matki, babki i jej matki. A ponieważ stanie się też pewnie udziałem moich córek, musiałam nauczyć je, aby umiały dostrzec jego piękno.

393

Odnalazłam swoje miejsce w życiu. Byłam szczęśliwa, naprawiając krzywdy, opiekując się dziećmi, pracując na roli, będąc przy tym strażniczką starych i zapomnianych wspomnień oraz tworząc poezję smaku, którą potem sprzedawałam w butelkach z etykietami wypisanymi lawendowym tuszem.

Kiedy łazienka przyjemnie się nagrzała, umyłam się w lodowatej wodzie i włożyłam sukienkę. Ramiona otuliłam grubym kasztanowym szalem, rozpyliłam trochę perfum na włosy. Z szafki pod umywalką wyjęłam kosmetyczkę z przyborami do makijażu. Ponieważ teraz nie budziłam się w środku nocy, żeby sprawdzić, która godzina, i żeby pomacać puste miejsce obok w łożku, nie były mi już potrzebne podkłady, korektory i balsamy. Nawet róż też nie. Odrobina szminki, troszeczkę tuszu na rzęsy i byłam gotowa.

Wróciłam do salonu i wyjrzałam na dwór. Ściemniało się. Zobaczyłam go, jak schodzi ze wzgórza, ściskając w ręku bukiet polnych kwiatów. Był cichy i poważny i czekał na mój rozwód, żeby się ze mną ożenić. Szybko wycisnęłam odrobinę kremu na ręce i wtarłam go. Potem zamknęłam za sobą drzwi na

klucz. Był czas, kiedy zostawiłabym je otwarte, ale nawet Ravanusa się zmieniła. W pnie drzew oliwnych wbite były specjalne igły. Serce mi się krajało, kiedy patrzyłam na biedne drzewa. Niosłam drewnianą skrzynkę, żeby je powyjmować. Nawet to zimne, szare światło niedługo zniknie. Zaczęłam iść w stronę machającego do mnie mężczyzny, ciekawa, co się wydarzy dalej.

\* \* \*

Nutan.

Zostawiłam ją na lotnisku i pojechałam do domu taksówką. Zbyt byłam słaba i chora, żeby cokolwiek załatwić. Wyboista podróż w góry jawi mi się teraz jak bolesny, rozmazany obraz, pamiętam tylko, że wyglądając przez okno w samochodzie, przeżywałam szok. Najbardziej niewiarygodne było to, że nic, ale to absolutnie nic się nie zmieniło. Nie wiedziałam, co tu zastanę, ale nie myślałam, że aż tak kompletną obojętność na to, że moja siostra przestała istnieć. Jakby czas się zatrzymał. To

394

niewiarygodne, że ten świat egzystował w tak zupełnej separacji od tamtego. Czy rzeczywiście minął rok?

Zaczęło mżyć. Przycupnięty na kruszących się kamiennych stopniach świątynnego placu chłopiec, z aksamitnym hibiskusem zatkniętym za prawym uchem, leniwie głaskał białego bojowego koguta. Od czasu do czasu dumny ptak porywał kawałek jedzenia z jego ust. Czy Ricky w ogóle istniał? A Anis? Jeśli istnieli, to szybko teraz znikali, rozptywali się.

Samochód zatrzymał się, prawie wypadłam z niego na ziemię. Jak pijana ruszyłam wzdłuż muru naszej zagrody; zwiślały nad nim grona jasnozielonych owoców mango, właśnie zaczynających się żółcić. Weszłam przez bramę, niszę jak zwykle wypełnione były ofiarami. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, ale schowałam się za aling aling i przez chwilę podglądałam, co się dzieje w środku. Może się bałam, a może chciałam opóźnić moment spotkania, nie wiem. Jednak nie zapomnę tego. Pierwszego, ukradkowego spojrzenia na Nenek i na ojca.

Ojciec kucał przy klatce z kogutami, włosy miał nie jak zwykle związane w węzeł, ale rozpuszczone na plecach. Za uchem nie miał ani czerwonego hibiskusa, ani zwykłej czarno żółtej orchidei. W ramionach trzymał ulubionego białego koguta. Ale jego twarz...

O Boże, gdybyś mogła zobaczyć jego twarz! Wyglądała tak, jakby minął nie rok, ale pięćdziesiąt lat, a może nawet sto. Ciało zniknęło. Skóra zwiślała z kości policzkowych aż do szczęk i zbierała się w małych fałdkach wokół ust. Oczy głęboko zapadnięte. Broda i nos sprawiały wrażenie, jakby przybliżyły się do siebie, a on sam wyglądał jak jedna z jego skórzanych kukiełek.

Od razu wiedziałam, która.



Ojciec zabitego łowcy głów. Pamiętam jego rozpacz i ból. „Jadłeś ciało mojego syna, więc staniesz się moim synem” -szeptał w migającym świetle głosem mego ojca.

Oderwałam wzrok od ojca i spojrzałam na Nenek siedzącą na drewnianych schodach swojej części domu. Paliła papierosa. Była dokładnie taka, jak ją widziałam w moim śnie, stuletnia, ale wciąż żywotna i triumfująca. Kołysząca mnie w swoich starych ramionach i ocierająca moje łzy.

395

Trwała nieruchomo, czekając na mnie. Wiedziała, że przybędę, choć jej nie uprzedziłam. Za bardzo się bałam. Nie potrafiłam jeszcze wyznać jej: „Moja siostra nie żyje”.

Prześlizgnęłam się obok aling aling i szalony radża pierwszy odwrócił się i zobaczył swoją córkę. I cóż szalony człowiek zrobił?

Rozkrzyczał się jak dziecko. Nigdy tak przy mnie nie płakał, nawet kiedy umarła mama. Piękny ptak przytulił się do jego piersi, zapomniany, a jemu leciało z nosa, z otwartych szeroko ust kapłała ślina. Przez chwilę byłam jak zahipnotyzowana, nie mogłam wprost oderwać od niego oczu. Nie sądziłam, że coś takiego jest możliwe. On, który zawsze był taki daleki i zimny. I wtedy uświadomiłam sobie własną obojętność. Moje serce stwardniało i obarczyło winą właśnie jego. To on przyniósł lśniącego lisa do domu i naraził córki na mordercze spojrzenie kochanka.

Wzgardziłam jego bólem i chwiejnie rzuciłam się w ramiona babki. Klęcząc u jej stóp, ukryłam twarz na jej kolanach. Ten jej zapach. Och, ten jej zapach. Jakże kłuł mnie w serce! Podniosła głowę.

Dotknęła mojej napiętej twarzy.

- Od dnia, w którym się narodziłaś, wiedziałam, że ten moment nadejdzie. Próbowałam. Bardzo starałam się powstrzymać rękę losu. Ale cała moja magia i cała moja moc okazały się bezskuteczne. Czy wiesz, że raz go widziałam, twojego żółtowołosego mordercę? Tak, los go tu przyprowadził. Przybył na wyspę, do tej wioski. Ty i Zeenat byliście jeszcze małe, ale nawet wtedy próbował ciebie dotknąć. Zabrałam was natychmiast i myślałam, że może stanie się inaczej, że zmieniałam przyszłość, ale nie... Szukałaś go, prawda? Nie jesteś temu winna. Taki był twój los. Tak miało być. Przeznaczenie nie jest napisane na piasku, ale wyryte w marmurze.

Uśmiechnęła się smutno.

- Nie martw się. Wyleczę cię. Wiem, jak ci pomóc.

Położyła rękę na moim czole i jej chłodny, pewny dotyk przyniósł mi ulgę. Spokój sprowadza jasność umysłu i nagle stanęłam twarzą w twarz z tym, co zawsze żyło w moim sercu, niewypowiedane na głos i ledwo zrozumiałe. Przypomniałam sobie, jak raz Nenek spojrzała na mnie kompletnie pustymi oczami. To dlatego

396

jasnego węża widziałam tylko ja, a moja siostra nie. Dlatego pojawił się u mnie w Londynie, przyczyna tajemniczego bólu głowy i tajemne słowa - budzenie się krwi... moje dziedzictwo...

Ja byłam jej dziedziczką.

Następczynią.

Patrząc mi w oczy, powiedziała:

- Odnalazłam cię we śnie i ujrzałam nie słabą, zranioną i pełną winy, ale odważną i promienną. Ziemia unosiła się pod twoimi stopami, a na dumnie wzniesionej głowie spoczywała korona z legendarnego balianu. Twoja sława będzie tak wielka, że z czterech zakątków świata będą przyjeżdżać do ciebie ludzie. Jesteś strażniczką daleko większej wiedzy, niż kiedykolwiek było dane mnie. Nie uciekaj i nie lękaj się przyszłości. Widziałam ją, jest cudowna.

A ponieważ mówiła prawdę, jej głos był mocny i pewny.

\* \* \*

Ricky.

Wiedziałem, że to koniec, jeszcze zanim wszedłem do mieszkania. Totalne opuszczenie. Śmiech i ludzie rozptłynęli się w powietrzu. Wokół śmierdziało zatęchłym, okropnym zapachem. Przedtem nie zwracałem uwagi na to, że zasłony są wystrzępione, że na kanapach widnieją ślady po gaszonych papierosach, że wełniany puchaty niebieski dywan zrobił się obrzydliwy. Kiedyś było to przyjemne mieszkanie z niebieskimi dywanami i zasłonami w geometryczne wzory. W swojej zachłanności przepisałem je na swoje nazwisko i coś tam namotałem z hipoteką.

Możliwe, że bank jutro tu wkroczy. Ale dzisiaj należało jeszcze do mnie. Można sprzedać telewizor. Może Bruce weźmie go ode mnie za pięćdziesiąt. Będzie za to gram. Albo dorzucę radio i może mikrofalówkę, i stówka za całość. A to już dwa gramy. Gdy tak siedziałem, snując plany co do moich przyszłych stu funtów, wpadła mi pewna myśl do głowy. Pomysł. Podszedłem do telewizora i rozkręciłem go śrubokrętem. No i patrzcie państwo, w szczelinie między dwiema częściami obudowy było tyle koki, że starczyłoby na dużą krechę. Przez lata drobiny wpadały do szpary, czekając właśnie na ten dzień.

397

Ostrożnie zebrałem proszek. Część była tak stara, że aż zbrązowiła, i w tobie pewnie wywołałaby obrzydzenie. Ale dla mnie była w sam raz. Nigdy nie byłem specjalnie wrażliwy. Kiedyś, jako dziecko, zostawiłem kotlet wieprzowy w ławce w piątek i kiedy wróciłem po weekendzie i podniosłem blat, wszędzie pełno było wijących się robaków. Chłopak siedzący obok wybiegł z klasy z krzykiem, a mnie to w ogóle nie ruszało. Usiadłem w ławce chłopaka, który uciekł z krzykiem. Już taki byłem.

Żałosne, ale nie miałem banknotu w portfelu, żeby zwinąć rurkę. Nie szkodzi. W kuchni znalazłem starą słomkę. Wciągnąłem szybko i opadłem na kanapę, wzdychając.

Ach, do diabła tam. Warto było.

Cała reszta świata niech spieprza. Nikogo nie potrzebuję.

„Chmury to myśli. Naucz się ich na pamięć” - mawiała Maggie. Głupia dziewczucha. Wyfrunęła z okna. Pajęcza miłość, zwariowana czarna wdowa, wplotła, kurwa, węża do raję.

Czy opowiadałem ci już o tym, jak Haylee zdjęła przy mnie sweter?

- O la Madonna - powiedziałem. Uśmiechnęła się.

- Zaczekaj, jeszcze nie skończyłam - i odwróciwszy się, ściągnęła dzinsy. Nie mogłem się powstrzymać. Musiałem ją ugryźć. Taką śliczną miała dupcię. Che bella? Czy to było wczoraj? Wydaje się, jakby wczoraj.

A Francesca. Jakie to było słodkie dziecko, kiedy tak stała samotnie na pustym polu. I te niebieskie ważki dokoła niej. Z takim zapamiętaniem obrywała płatki margerytek.

„Kocha, nie kocha!” Och, te piękne, piękne czasy. Gdzie się podziały?

Teraz jest producentem oliwy najwyższej jakości. Zawsze myślałem o niej jak o dziecku. Nigdy nie sądziłem, że poradzi sobie sama w wielkim, złym świecie. Bez urazy, co, Francesco?

Pamiętam, jak śmiała się na Bali. Była wtedy taka szczęśliwa. Te wspomnienia są jak łagodne fale, miękko toczące się jedna za drugą.

Ale boję się tych innych, tych twardych. Są czarne i złe. Niedługo mnie dopadną, ale nie ma strachu, za każdym razem narkotyk je załatwi. Usta zdrętwieją, fale się zablokują.

398

Ej, dokąd idziesz? Wracaj. Nie skończyłem mojej historii. Jeszcze powstanę z popiołów, zobaczysz. Pajęcza bogini wciąż tka. Aż ciarki przechodzą, ona wciąż kryje niespodzianki w pracowitych szcękach. Okrutne niespodzianki. Dopadnę jeszcze ślicznotki, szamoczące się w jej sieci.

Może oddam jej ich niewinne duszyczki, a może nie. Czeka przebiegle u moich drzwi, szepcząc: „Śmierć jest niczym”. Więc czuję się zobowiązany okazać jej hojność. Ludzkie życie jest nic niewarte. Posłuchaj, zaczekaj chwilę, a pozwolę ci zdecydować

o losie moich małych mróweczek. Daj spokój, zostań.

Nie chcesz dziewczyn. Dobra, nie będzie dziewczyn. Mam coś lepszego.

Zabiorę cię do Soho. Pokażę ci prawdziwych sukinsynów nurzających się w wymyślnych rozkoszach. Nie patrz podejrzliwie. Sama zobaczysz, jak się wzruszysz. Tam świat jest podły.

Zostań. Nie idź. A może przypomnieć ci o korsykańskiej wiedźmie? „Będzie to ktoś niezwykły” - powiedziała.

Nie jestem skończony. Od zera do zera? Mylisz się. Znowu będę bogaty, a wtedy przyjdiesz, prawda? Będzie po co. Powrócą piękne kobiety, kręcąc małymi, zgrabnymi kuperkami, ocierając o siebie pozbawione złudzeń uda, otwierając żarłoczne usteczka, jadowite nawet we śnie. Jak Bruce to określił, ich walutą jest seks. Ich tanie małe sakieweczki pełne są tego towaru.

I dokładnie wiedzą, jak wycenić każdy pieniążek.

Czy opowiadałem ci kiedyś o Maroko? Nie, nie o kraju, o dziewczynie. Tak czarna, że aż niebieska, ciało twarde i lśniące jak wypolerowane drewno. Chyba odezwała się we mnie krew mauretańskich przodków, gdyż zachciało mi się dotyku czarnej skóry. W czerwonych światłach klubu Stork napaliłem się na nią jak jasna cholera.

To prawda, co mówią o czarnych laskach.

Jak się raz jednej spróbuje, reszta świata wysiada. I to wcale nie dlatego, że ich włosy w stanie naturalnym są jak kaszmirowa czapka, a skóra miększa niż u innych ras. One w ciemności pachną piżmem i seksem. No i są jak trzeba napalone. Dio bono, pieprzą się jak dzikie. Nie trzeba ich upijać, żeby stały się namiętne,

i nie tłumaczą się rano: „Właściwie nigdy się tak nie zachowuję...”. Nie wstydzą się własnej seksualności, wychodzą na całą

399

noc ze szczoteczką do zębów w małej torebeczce. Chodzi im o czystą przyjemność. Toteż są niezapomnianymi kochankami.

A blondyni działają na nie jak magnes. Jej uśmiech niemal materializował się w mroku.

- Często tu przychodzisz? - spytała. -Nie.

Poszliśmy do mnie. Miała długie do pasa, przedłużone sztucznie włosy, a tyłeczek taki, że można było się zabić, wysoki

i umięśniony. Kiedy przysunąłem się bliżej, w chmurze otaczającego ją zapachu wyczułem piżmo. Nie nieprzyjemne, ale grzesznie mocne. Zdjęła białą sukienkę. Chwyciłem ją mocno, a wtedy usłyszałem trzask pękającego materiału. Bielizna została mi w ręku.

Skrzyżowała ramiona.

- Ty draniu - fuknęła na mnie. - To mnie kosztowało dwieście funtów. - Zabrzmiało to naprawdę szczerze.

Bezczelna pinda. Spojrzałem na tani kawałek poliestru i koronek, jaki moja matka utargowałaby za wiele mniej, trzydzieści tysięcy lirów, i to za pięć sztuk, równowartość około pięciu funtów. Uśmiechnąłem się, widząc, do czego zmierza. Wyceniała swoją walutę.

Włosi, gdy łapią ptaki, rzucają ziarno na balkony i czekają, aż się przejedzą i będą zbyt ciężkie, żeby odfrunąć. Nigdy tego nie próbowałem, ale zawsze wydawała mi się to dobra metoda. Daj trochę, bierz wszystko.

- Dobra, zapłacę - zgodziłem się, a ona podeszła do mnie, wysportowana jak atletka. Tak naprawdę to wcale mnie nie wykołowała. Było to najlepiej wydane dwieście funtów w moim życiu. Głód to nic zabawnego. A ona najadła się ziarna za dwieście funtów.

Kochałem wszystkie ptaszki, które przylatywały na mój balkon.

Umiałem znosić pogardę w ich oczach. To była ich tarcza. Jak inaczej poradziłyby sobie z brudem, z codziennym zdradzaniem siebie? Zgadzam się z najgorszym, a zarazem najwspanialszym bohaterem stworzonym przez tego wielkiego człowieka, Maria Puzo: „Trzeba współczuć tym dziewczynom, one pracują. Ja się bawię”.

400

No chodź, zostań chwilę. Co ci szkodzi? Ugotuję makaron. Penne arrabbiata, może być? Niedługo zapadnie zmrok i zapalimy świece. Mogą wyłączyć elektryczność. Jestem czarodziejem. W świetle świec rozsnuję swoją magię, cudowną magię. Zwali cię z nóg. Słowo daję, że nie słyszałaś jeszcze wszystkiego. To będzie dopiero, mówię ci. Ona jeszcze nie skończyła, ta moja pajęcza bogini. Mam w zanadru kilka niespodzianek. To nie może być koniec.

Chodź, nie będziesz tak siedzieć z odwróconym kieliszkiem. Upijemy się razem czymś zakazanym. Zaczekaj chwilę.

Proszę?

Nie idź...

Hej...

No dobra, to następnym razem.

\* \* \*

15 stycznia 2004.

Najdroższa Nutan,

ach, nigdy nie uwierzysz, kogo dziś widziałam. Wiem, że pisałam do Ciebie zaledwie kilka dni temu, ale koniecznie muszę z kimś o tym porozmawiać. Aż trudno uwierzyć, że to naprawdę się wydarzyło. W pierwszej chwili wyglądał jak zwykły menel grzebiący w koszu na śmieci pod stacją metra, ale nagle dostrzegłam w nim coś znajomego. Miał siwiejącą rudawą brodę, lecz włosy, wymykające się spod rastafariańskiej czapki, choć brudne, były koloru blond. Ubrany był w podartą, ubłoconą skórzaną kurtkę i kiedy podeszłam bliżej, usłyszałam, jak mruczy do siebie: „Wariat, wariat, wariat”.

Znalazł wyrzuconą kanapkę i usiłował ją rozdzielić poczerńniętymi od brudu palcami. Uważnie obejrzał zawartość, a potem zbliżył do twarzy i powąchał. A mnie aż zatkało. Nie, to nie może być - szeptał w szoku mój mózg. Niemożliwe. Ale, wielki Boże, to prawda. Nagle podniósł głowę i nasze spojrzenia się spotkały.

Niebieskie oczy popatrzyły na mnie. Była w nich pustka. Uśmiechnął się.

- Czy my się znamy? - zagadał.

To przez moje włosy. Nigdy nie widział ich naturalnego koloru ani tak krótko przyciętych. Pokręciłam głową, instynkt mi podpowiadał, żeby się nie odzywać.

- Masz jakieś drobne? - spytał. Sprawiał wrażenie całkiem przytomnego. Właśnie takiego go zapamiętałam. Ale gdy na jego twarzy rozlał się szydery uśmiech, uświadomiłam sobie, że gapię

403

się na niego. Poszukałam w portmonetce i wyjęłam banknot dziesięciofuntowy. Wyrwał mi go z ręki. Odwróciłam się i spiesznie ruszyłam na stację. Trochę mi było głupio, ale nie mogłam się przemóc i podać mu ręki. Był zbyt niebezpieczny. Niszczył wszystko, czego się dotknął.

Przed oczami pojawiła mi się wizja, jak on odpoczywa u mnie w gościnnym pokoju. Jego ręce wolno wysuwają się spod koca i chwytają moje dzieci za szyje. Dzieci giną od jego uścisku. A wszystko to dzieje się podczas snu i on nawet nie wie, że ma takie mordercze ręce. Pomyślałam o moim mężu, o dzieciach, o domu, który stworzyłam. Zbyt drogocenne to było, bym mogła ryzykować.

Coś perwersyjnego, co tkwi we mnie, chciało ukryć się za filarem i obserwować go. Istnieje odruchowa przyjemność, jaką człowiek czerpie ze spektakularnego upadku innych. Ale za bardzo się go bałam. Wiem, powiedziałaś kiedyś, że nie ma takiej prawdy, którą wyznawałby na tyle, by oddać za nią duszę, więc nigdy nie może być naprawdę niebezpieczny. Najgorsze potworności w historii nie działy się za sprawą niewierzących czy drobnych kanciarzy. Ale mimo to... gdy teraz w rastafariańskiej czapce grzebał w śmieciach, nawet podeszwy jego schodzonych butów emanowały jakąś ekscytującą i niebezpieczną magią.

Gdy wmieszałam się w tłum, usłyszałam jego wołanie: „Możesz się ukryć, ale i tak nie uciekniesz. Pająk leniwie kołysze się na wietrze. Czeka na ciebie, Elizabeth”.

Zamarłam. Oczywiście, wiedział, że to ja. Ricky i ja byliśmy bratnimi duszami, połączonymi ze sobą jakąś niewidzialną nitką. Kiedyś podnosiło mnie to na duchu, ale teraz budziło strach, ponieważ był czas, że oboje paliliśmy kadzidło i modliliśmy się przy ołtarzu pajęczycy. Oboje przynosiliśmy jej smaczne kąski. Przyjmowała prezenty, które wrzucaliśmy do jej sieci, ale nas również wysysała. Wtedy chętnie na to przyzwalał, ale teraz wiele czasu już minęło, odkąd przestałam pragnąć trujących przynęt, jakimi nas kusila.

Jestem teraz chroniona. Chodzę do kościoła. Prowadzę czyste, proste życie i zapomniałam, jak smakuje Uncja koki, wódka o szóstej rano i męska ręka na moim ciele, do której czuję wstręt. Nie złapie mnie żaden kołyszający się na wietrze pająk. Jadąc schodami

404

ruchomymi w dół, owiewana podmuchami ciepłego powietrza z tuneli, czułam na sobie spojrzenie Ricky'ego. Wciąż szukał. Ostrzegałam go, że nigdy nie odnajdzie tego koszmarne snu, który dla niego był ukojeniem, ale mi nie wierzył.

Ściskam Cię serdecznie, Elizabeth.

\* \* \*

10 kwietnia 2004.

Kochana, słodka Nutan,

oboje z Bruce'em właśnie wróciliśmy z nowej wystawy Anisa. Jest późno, dzieciaki śpią jak susły, Bruce już się położył, a ja po prostu musiałam usiąść i napisać Ci o tym wieczorze. Och, Nutan, było absolutnie cudownie. To prawdziwy geniusz. Pamiętasz, jak poprzez zmysłowość wyrażał pogardę, zimną i bezwzględną? No to już tego nie ma.

Ludzie patrzyli po sobie ukradkiem, czy inni też reagują w podobnie emocjonalny sposób. Zawsze był doskonałym rzemieślnikiem, ale teraz dzięki smutkowi nauczył się prawdziwej mądrości. A ta dała mu jasność spojrzenia. Każde pociągnięcie pędzla jest na swoim miejscu, obrazy są tak przekonujące i mają w sobie tyle godności, że aż się wzruszyłam.

Ubrany był w beżowy strój a la Nehru. Sprawiał wrażenie uduchowionego, jakby odnalazł głębszy sens życia. Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała, on nadal to robi. Powiedział mi kiedyś: „Narkoman mylnie bierze ból za przyjemność. Moje więzienie jest dość specyficzne. Drzwi są szeroko otwarte, ściany zrobione z piernika, a ogniwa łańcuchów z marcepanu. Zawsze będę uzależniony, Elizabeth. Pewnego dnia przeczytasz w gazetach o mojej śmierci wskutek przedawkowania”. Znalazł w tym pociechę, gdyż jego rozpacz jest wielka.

Gwiazdą wystawy był piękny obraz zatytułowany po prostu „Swathi”. Smutna kobieta z lekko rozchylonymi ustami. Sprawia wrażenie, jakby została uchwyciona w momencie, w którym

406

zaczyna mówić. Anis powiedział, że namalował go, żeby spłacić dług.

Namalował nas wszystkich. Galeria poprzetrącanych Indi. Sama zobaczysz, jak przyjedziesz na Boże Narodzenie. Była tam Maggie, świeża i pełna życia, na zielonej polanie z białymi kwiatami. Motyle siedziały na jej rękach, a na twarzy miała uśmiech Mony Lisy. Znak, że zna już tajemnicę, której my jeszcze nie znamy. To wspaniały, a zarazem zatrważający obraz. Zawsze pragnęła śmierci.

Na jednym jesteś Ty. Przypominasz mi dzikie zwierzę, które kiedyś zostało udomowione, a teraz wraca do życia w naturze. Twoje oczy lśnią i patrzą gdzieś w dal. Widziały pułapki myśliwych. Czujne, mocne mięśnie rysujące się pod skórą na ramionach sprężone są do skoku; ciało pamięta, kości wiedzą. Tym razem jesteś przygotowana. Tym razem nikt Cię nie ogłuszy ani nie złapie. A jeśli coś stracisz, to najwyżej trochę futra czy skóry. Tylko Twoje usta są smutne. Ogarnia mnie smutek, gdy patrzę na Ciebie oczami Anisa.

Ale najlepszy ze wszystkich jest obraz Zeenat tańczącej w świątyni. Ma paznokcie długie i złote, ubrana jest w piękny strój, a na głowie ma złoty diadem. Twarz jest spokojna, ale oczy wcale nie są spuszczone w dół ani nieśmiałe. Patrzą do góry i promieniają dziwnym światłem. Wiem, że to taka fantazja na temat końca i śmierci, a jednak nie sposób odmówić pewnej konsekwencji tej tęsknocie artysty, który tworzy iluzję, jakby w jakiś niewytłumaczalny sposób ona ciągle była żywa. Zdawać by

się mogło, że on nadal się z nią spotyka w jakimś sekretnym miejscu, gdzie ona tańczy dla niego. Jak inaczej zdołałby namalować to wszystko z taką precyzją? Na pewno nie z pamięci.

Bruce chciał go dla ciebie kupić, ale Anis go nie sprzedaje.

Uśmiechnął się tylko zagadkowo.

- Ten jeden jest mój - powiedział.

Potem przyszła ta pisarka Rani Manicka i Anis podszedł się z nią przywitać. Myślę, że oni są razem. Widziałam, jak dotknął palcem jej policzka, a ona uśmiechnęła się, takim pełnym tajemnic uśmiechem.

Miała na sobie długie rękawiczki, więc nie widziałam śladów po igle, ale prawie jestem pewna, że przejęła nałóg od Anisa. Wokół jej

407

ust pojawiły się linie. Wyraźnie się postarzała i była przygaszona, nawet gdy się śmiała. Od razu wiedziałam, co się w niej skończyło: wiek niewinności. Kiedyś jej twarz była otwarta i ciekawa, a teraz jest zamknięta i tajemnicza. Jej oczy lśniły nerwowo, jak oczy kota w mroku.

Zastałam ją pod obrazem Zeenat.

- Wiesz, że to ja zapłaciłam za jej śmierć - szepnęła smutno. Potem powiedziała mi, że przestała pisać książkę o nas. Nie chce czerpać korzyści ze śmierci Zeenat. Nie mogłam zaoferować jej żadnej pociechy. Mówiliśmy trochę o Tobie i obiecałam, że przekażę Ci od niej pozdrowienia.

„Bardzo cię o to proszę” - powiedziała na koniec i poprawiając rękawiczki, odeszła. Smutno mi się robi, jak pomyślę, że był czas, kiedy dawała Ci magnetofon, gdy szłaś po narkotyki, żeby potem słuchać żargonu świata narkomanów. Nie mogę sobie darować, że Maggie postanowiła jej pomóc tego dnia, kiedy poznaliśmy ją u Ricky'ego.

Był też obraz Ricky'ego ze łzami wytatuowanymi pod jednym okiem. Wyglądał jak bóg lub jak anioł zemsty. Nie powiedziałam Anisowi o tej historii z rastafariańską czapką i koszem na śmieci. Ma za miękkie serce, jeszcze by odszukał Ricky'ego, żeby mu pomóc, a Ricky tylko by z niego szydził i w końcu by go zniszczył. Bruce'a Anis namalował na wesoło. „Nawet goryle muszą się uśmiechnąć na widok baniek mydlanych” - powiedział mi.

Jestem też i ja, irlandzkie dziecko. Z daleka nie przypominam siebie, natomiast gdy podeszłam bliżej, ogarnął mnie dawny ból. Jakbym słyszała głos matki śpiewającej starą celtycką piosenkę. Namalował mnie na ciemnym tle, z platynowymi włosami i z wielkim cierpieniem w twarzy. Dopiero teraz wiem, co robi prawdziwy geniusz. Bierze za rękę i prowadzi starymi skrzypiącymi schodami na ponury, zapomniany strych. Są tu okropne pajęczyny, które tylko czekają, żeby przyczepić się do skóry, ale on nawet w ciemności potrafi bezpiecznie wśród nich przeprowadzić. Potem nagle staje się dziewczynką z zapałkami, która zapala swoją ostatnią zapałkę i szepcze do ucha: „Widzisz”.

W migotliwym płomyku stajesz twarzą w twarz z utraconą prawdą. Oko artysty przejrzało mnie na wylot. Uchwycił wiernie nas wszystkich mimo kłamstw, które rozsnuwaliśmy.



Haylee trzyma w ręku winne grono, a jej porcelanowa twarz spogląda na świat z ukosa, co doprowadzało zawsze mężczyzn do szaleństwa. I te jej usta! Co on zrobił z jej ustami! Wyglądają jak zapuchnięta rana. A jednak to wspaniały obraz. Jedna wielka magia i urok dużych niebieskich oczu i wydatnych ust.

Przyszła ubrana w biały skórzany kostium ze spodniami. Dłuższy czas stała przed obrazem. Myślałam, że się wścieknie, a potem odwróciła się do Anisa i powiedziała: „No, no, zdolny z ciebie chłopiec! Tylko te wariackie usta”. Potem spojrzała spod rzęs, złączyła usta i wyduła je w idealny dąs. Z dawnym błyskiem w oczach powiedziała: „Mam przy sobie trochę. Chcesz działkę?”.

Był to dziwny moment déjà vu. „Mam przy sobie trochę. Chcesz działkę?” Och, ten dreszcz, jaki przebiegał mnie kiedyś, gdy ktoś wypowiadał te słowa. Pierwszy zareagował Anis. Wziął swój kieliszek z winem, pocałował ją w czoło i odszedł. „Bądź grzeczna” - doradził jej na pożegnanie. Zaproponowała mu nie tę truciznę.

- A wy? - spytała Haylee. - Przez pamięć dawnych czasów? Spojrzałam na Bruce'a. W jego oczach wyczytałam to samo, co

on zobaczył w moich. Pytanie.

- A my? - spytałam. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, a potem kiwnęłam głową, i on też. Zgodnie odwróciliśmy się do Haylee. Pięknej mary, która przyszła nas kusić. Dakini w białej skórze.

- Dzięki, Haylee, ale nie potrzebujemy - rzekł Bruce.

Przez ułamek sekundy w jasnoniebieskich oczach kusicielki błysnęła chęć zbrukania tego, czego sama mieć nie mogła, ale niespodziewanie odpuściła sobie. „Więcej będzie dla mnie” - powiedziała tylko i szybko odeszła.

Spojrzałam na Bruce'a.

- Czujesz to? - spytałam.

- Co? Że ziemia zadrżała sześciokrotnie, kiedy jej dotknąłem, ponieważ wcale, ale to wcale nie uległem pokusie? Tak, naprawdę, naprawdę czułem to.

Objął mnie i roześmieliśmy się.

Och, jak już późno, prawie trzecia. Nie do wiary, że tak długo wypisuję Ci te różne rzeczy. Lepiej będzie, jak już pójdę spać. Jutro czeka mnie ciężki dzień. Ale na koniec jeszcze Ci tylko powiem, że po całym roku przykładowego łykania pigułek jamu wreszcie doczekałam się rezultatów.

Bruce rzucił się na mnie w środku nocy, mrużąc: „Co ty masz, kurczę, za perfumy? Doprowadzają mnie do szaleństwa”. Nieźle, po trzech latach małżeństwa, co? Aha, pamiętasz ten sproszkowany korzeń, który przysłałaś na urodziny Bruce'a? No więc jego sława rozeszła się na siłowni. Przyślij

jeszcze. Może nawet coś na tym zarobimy. Nie mogę się wprost doczekać, kiedy Cię zobaczę. Przekaż moje najserdeczniejsze pozdrowienia Nenek. Ucałowania od Bruce'a.

Całuję mocno, Elizabeth.

\* \* \*

11 maja 2004.

Droga Rani,

dziś rano poszłam z procesją do świątyni. Kroczyłam w szeregu pobożnych wiejskich kobiet ubranych w koronkowe bluzki z kwadratowym dekoltem, niosących na głowach dary. Ich stąpanie wzbudzało chmury kurzu. W chłodnym górskim powietrzu przeszliśmy najpierw obok cudownie płomienistego drzewa, potem ścieżkami wśród złoto zielonych pól ryżowych do wioski, mijając po drodze olbrzymie drzewo waringin. Ono cały czas rośnie, wolno, ale nieprzerwanie. Rozrzuca korzenie powietrzne, z których wyrastają gałęzie.

Jest niesamowite. Jedno drzewo stało się lasem jak ze snu, pełnym pasożytujących paproci i lian. Nie tak dawno temu jego stale rosnące ramiona schwytały w pułapkę, a potem udusiły i w końcu połamały kamiennego demona, który im stanął na drodze. W strachu, że zamierza połknąć cały plac, członkowie banjar, czyli rady starszych, zasiedli ze skrzyżowanymi nogami i patrząc sobie w oczy, obradowali przez kilka godzin. W końcu postanowili nic nie robić.

Drzewo jest tu od trzystu lat, a żółta przepaska, którą zawiązali na nim nasi przodkowie, oznacza, że jest święte. Lepiej pogodzić się z ruiną i zniszczeniem niż przyciąć święte korzenie. Tak, to śmieszne, wiem, ale to takie balijskie dziwactwo. Nie dbamy o rzeczy. Fascynuje nas upadek i nowe życie, które z niego powstaje. Godzimy się z mądrością, jaką niesie w sobie rozkład. Białe mrówki muszą pożreć drewno, para deszczowa musi rozmoczyć papier i sprawiedliwe jest, że lata obracają człowieka w pył...

411

Wyżej, krętą górską ścieżką szły jedna za drugą na targ kobiety pochodzące ze starożytnych plemion. Handlują świniami. Noszą świnie na rękach, jakby to były dzieci, a te małe i kwiczące pocieszają, pozwalając im ssać swoje jałowe piersi.

Zaniosłyśmy wonne kwiaty na najdalszy kraniec wioski, za mur z czerwonej cegły, obok latarni, w górę po kamiennych stopniach do świątyni Siwy, boga niszczyciela. Przez wysoką bramę weszłyśmy do najdalej położonej i najświętszej części świątyni. W wewnętrznej świątyni wymieniliśmy resztki darów z dnia poprzedniego na nowe ofiary ze świeżego ryżu, ciastek i owoców. Kiedy z glinianych kociołków uniósł się dym z drzewa sandałowego, uklęknęłam, przysiadłam na piętach i z dłońmi złożonymi w błagalnym geście modliłam się za Ciebie.

Piszę z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby Ci wysłać dwa ostatnie listy Elizabeth, gdyż uważam, że powinny znaleźć się w Twojej książce. (Bądź tak dobra i zwróć je, jak skończysz. Nawet najdrobniejsze pamiątki związane z Elizabeth są dla mnie bardzo cenne). Po drugie, ponieważ moja babka - pamiętasz, wyraziła się, że jest „niezwykła”, kiedy Ci o niej opowiedziałam - ma dla Ciebie dwie dobre rady.

Ona jest mądra i mam nadzieję, że weźmiesz sobie jej słowa do serca. Pyta, czy nie mogłabyś zatytułować swojej książki „Dotknięcie ziemi”. To dlatego, mówi, że ziemia chce pobłogosławić tę książkę. A drugie przesłanie jest takie: „Nie płacz, jeśli krwawiłaś. To tylko zepsuta krew. Zapal lampę i z dumą weź do ręki pióro, gdyż twoje niewinne spojrzenie odważyło się ogarnąć piękno, także gdy jest pełne wstydu i zbrukane. I powraca ono w całej swej krasie w niewidzących oczach kochanka, wtulonego w trwale oszpecony brzuch, w pełnych kształtach ciała, które przestało być idealne, w rozrzuconych pędzlach prostytutki, a kiedy ronisz łzy nad sobą, także w gwiazdach świecących nad Twoją bezbronną głową...”.

Posyłam Ci też trochę korzeni. Do każdego dołączona jest osobna instrukcja. Trzymaj się ich ściśle. Są tylko dla Ciebie. Upaść może każdy i każdy też może powstać. I przyjedź na Bali... tak jak Cię widziałam na początku.

Nutan.

\* \* \*

Dziękuję.

Moim najlepszym na świecie Rodzicom. Mojej siostrze Hilcie za przeczytanie maszynopisu i namówienie do usunięcia nudnych fragmentów. Elizabeth, Heather i Margaret Josiah za pokazanie świata, o którego istnieniu nie miałam pojęcia, a Lee Arnoldowi za postać Bruce'a Arnolda.

Darley Anderson, która walczy o mnie jak lwica. O takiej agentce powinien marzyć każdy początkujący pisarz. Elizabeth, Lucie, Rosie i Carrith z agencji Darley Anderson za - och, za wszystko.

Mojej redaktorce i wydawcy, która po raz kolejny okazała się godna panującej o niej opinii: „W świecie wydawniczym jest Sue Fletcher i reszta”. Swati Gamble za to, że była, jaka była, Jocaście Brownlee za godne pozazdroszczenia umiejętności kreowania wizerunku książki. A także wszystkim pracownikom wydawnictwa Hodder, którzy przyczynili się do jej wydania.

\* \* \*

Spis treści.

Osoby biorące udział:

Bliźniaczki.....	13
Ricky Delgado.....	67
Francesca Sabella .....	107
Elizabeth Miller .....	129
Anis Ramji .....	161
Bruce Arnold .....	185

ŚWIĄTYNIA PAJĄKA.

Gry i rozgrywki.....	205
----------------------	-----